



Propozycja oczyszczenia,  
uratowania ludzkiej godności i prawdy  
przez amputację chorej duchowej tkanki

Krystian Lupa

# THOMAS BERNHARD

## wymazywanie

**THOMAS BERNHARD**

**„WYMAZYWANIE”**

## Telegram

Po rozmowie z moim uczniem Gambettim, z którym spotkałem się dwudziestego dziewiątego na wzgórzu Pincio, żeby uzgodnić majowe terminy lekcji, pisze Murau, Franz-Josef, i którego wysoką inteligencją jestem zaskoczony również teraz, po powrocie z Wolfsegg, ba, którą byłem zachwycony w sposób na tyle odświeżający, że całkiem wbrew swojemu zwyczajowi, nakazującemu mi od razu przez Via Condotti iść na Piazza Minerya, a także w coraz pogodniejszym nastroju dzięki myśli, iż, prawdę mówiąc, już od dawna w Rzymie, a nie w Austrii czuję się jak u siebie w domu, poszedłem przez Flaminia i Piazza del Popolo, wzdłuż całego Corso do swojego mieszkania, gdzie około drugiej w południe otrzymałem telegram, informujący mnie o śmierci moich rodziców i mojego brata Johannesesa. Rodzice i Johannes zginęli tragicznie w wypadku. Caecilia, Amalia. Trzymając telegram w ręku, spokojnie i z jasnym umysłem poszedłem do okna w gabinecie i popatrzyłem w dół na zupełnie pusty Piazza Minerva. Dałem Gambettiemu pięć książek, co do których jestem przekonany, że w ciągu najbliższych tygodni będą mu przydatne i konieczne, i poleciłem, żeby przestudiował te pięć książek jak najuważniej i we wskazanym w jego przypadku wolnym tempie: *Siebenkasa* Jeana Paula, *Proces Franza Kafki*, *Amrasa* Thomasa Bernharda, *Portugalkę* Musila, *Escha, czyli Anarchii* Brocha, i pomyślałem teraz, otwartwszy okno, by swobodniej oddychać, że moja decyzja o wręczeniu Gambettiemu właśnie tych, a nie innych, pięciu książek była słuszna, ponieważ w trakcie naszych lekcji zaczną nabierać w jego oczach coraz większej wagi, i że wystarczająco dyskretnie dałem mu do zrozumienia, iż następnym razem zamierzam podyskutować z nim o *Powinowactwach z wyboru*, nie zaś o *Świecie jako woli i wyobrażeniu*. Również tego dnia po mozolnych, ciężkich rozmowach z rodziną z Wolfsegg, sprowadzających się do codziennych, całkowicie prywatnych i przyziemnych potrzeb, rozmowa z Gambettim okazała się dla mnie po raz kolejny ogromną przyjemnością. Niemieckie słowa ciążyą językowi

niemieckiemu jak ołowiane ciężarki, powiedziałem do Gambettiego, i w każdej sytuacji popychają ducha na szkodliwą dla niego płaszczyznę. Niemiecka myśl, podobnie jak niemiecka mowa, zaczyna bardzo szybko kuleć pod niegodnym człowieka ciężarem jego własnego języka, który tłamsi każdą pomyślaną myśl, zanim jeszcze w ogóle zostanie wypowiedziana; myśl niemiecka rozwijała się zawsze z wielkim trudem pod brzemieniem języka niemieckiego i nigdy nie rozwinęła się w pełni, w przeciwieństwie do myśli romańskiej rozwijającej się pod wpływem języków romańskich, czego dowodzi historia wielowiekowych usiłowań Niemców. Chociaż wyżej cenię hiszpański, prawdopodobnie dlatego, że jest mi bliższy, to jednak tego przedpołudnia Gambetti po raz kolejny udzielił mi cennej lekcji na temat łatwości, lekkości i nieskończoności języka włoskiego, który pozostaje w takim samym stosunku do niemieckiego, jak wzrastające w pełnej swobodzie dziecko z zamożnego i szczęśliwego domu do tłamszonego, bitego i dzięki temu *nie w ciemię bitego* dziecka z domu biednego, najuboższego. O ile wyżej zatem, powiedziałem do Gambettiego, należy cenić dokonania *naszych* Filozofów i pisarzy. Każde słowo, powiedziałem, niechybnie ściąga ich myśl w dół, każde zdanie ciąży ku ziemi bez względu na to, co ośmiela się pomyśleć, wskutek czego *wszystko* ciąży zawsze ku ziemi. Dlatego również ich filozofia, a także to, co tworzą, jest jakby z ołowiu. Nagle wygłosiłem do Gambettiego Schopenhauerowskie zdanie ze *Świata jako woli i wyobrażenia* najpierw po niemiecku, a następnie po włosku, usiłując jemu, Gambettiemu, dowieść, jak ciężko opadła szala wagi na mojej lewej ręce wyobrażającej szalę niemiecką, podczas gdy, by tak rzec, szala włoska, wyobrażana prawą ręką, szybko skoczyła w górę. Ku mojemu i Gambettiego zadowoleniu wygłosiłem kilka Schopenhauerowskich zdań, najpierw po niemiecku, później w swoim własnym tłumaczeniu na włoski, i położyłem je, niejako wyraźnie widoczne dla całego świata, ale przede wszystkim dla Gambettiego, na szalach wag wyobrażanych przez moje ręce, po czym wdałem się w doprowadzoną przeze mnie z biegiem czasu do ostatecznych granic

zabawę, która wreszcie skończyła się zdaniem z Hegla i aforyzmem Kanta. Niestety, powiedziałem do Gambettiemu, ciężkie słowa nie zawsze są najbardziej ważne, podobnie jak nie zawsze najbardziej ważne są ciężkie zdania.

Jednak ta zabawa wkrótce mnie wyczerpała. Przystanąwszy przed hotelem Hassler, zdałem Gambettiemu krótką relację z podróży do Wolfsegg, która to relacja mnie samemu wydała się w końcu zbyt rozwlekła, a nawet, prawdę mówiąc, zbyt przegadana. Staralem mu się unaocznic, jak wyglada porównanie naszych dwu rodzin, przeciwstawić niemiecki pierwiastek mojego rodu włoskiemu pierwiastkowi rodu Gambettiiego, w rezultacie jednak wygrałem tylko swoją rodzinę przeciw jego rodzinie, co musiało moją relację zniekształcić, a Gambettiiego, zamiast oświecająco pouczyć, tylko w nieprzyjemny sposób zrazić.

Gambetti jest dobrym słuchaczem i ma bardzo wytrawne, wyszkolone przeze mnie ucho na prawdę danego wywodu i jego logikę. Gambetti jest moim uczniem, i na odwrót, ja sam jestem uczniem Gambettiiego. Uczę się od Gambettiiego co najmniej tyle, ile Gambetti uczy się ode mnie. Nasza wzajemna relacja jest idealna, raz bowiem ja jestem nauczycielem Gambettiiego, a on moim uczniem, to znowu Gambetti jest moim nauczycielem, a ja jego uczniem, i bardzo często dochodzi do tego, że żaden z nas nie wie, czy w danej chwili Gambetti jest uczniem, a ja nauczycielem, czy też odwrotnie.

Doświadczamy wtedy *stanu idealnego*. Oficjalnie jednak to ja jestem zawsze nauczycielem Gambettiiego i za swoją działalność pedagogiczną otrzymuję od niego, a ściśle mówiąc, od ojca Gambettiiego, zapłatę.

Dwa dni po powrocie ze ślubu mojej siostry Caecilii z fryburskim fabrykantem kapsli do wina, teraz jej mężem, a moim szwagrem, muszę ponownie spakować rozpakowaną dopiero przed południem torbę podróżną, której jeszcze wcale nie opróżniłem do końca, lecz zostawiłem ją na krześle obok biurka, i udać się z powrotem do właściwie obrzydłego mi w ciągu

ostatnich lat Wolfsegg, pomyślałem, ciągle jeszcze patrząc przez otwarte okno na opustoszały Piazza Minerva w dole, a powód nie jest teraz śmieszny ani groteskowy, tylko straszny. Zamiast rozmawiać z Gambettim o *Siebenkasie* i o *Portugalce*, będę musiał paść pastwą czekających na mnie w Wolfsegg siostr, powiedziałem do siebie, zamiast z Gambettim o Powinowactwach z wyboru, będę musiał rozmawiać z siostrami o pogrzebie rodziców i brata oraz o spuściźnie po nich. Miast przechadzać się z Gambettim tam i z powrotem, będę zmuszony spełnić obowiązek pójścia do magistratu, na cmentarz i na plebanię, a potem będzie mnie czekał spór z siostrami na temat formalności pogrzebowych. Pakując ponownie bieliznę, którą dopiero przed wieczorem wypakowałem, usiłowałem uprzytomnić sobie jasno konsekwencje, jakie pociągnie za sobą śmierć rodziców i śmierć brata, ale nie doszedłem do żadnego wniosku. Byłem jednak naturalnie świadom, czego wymaga teraz ode mnie fakt śmierci tych trojga ludzi, najbliższych mi przynajmniej na papierze: mojej całej siły, całej siły woli. Spokój, z jakim bez pośpiechu wpychałem do torby rzeczy nieodzowne w podróży, równocześnie uwzględniając w swoich rachubach najbliższą przyszłość, zachwiana skutkiem tego niewątpliwie strasznego nieszczęścia, wydał mi się niesamowity dopiero długo po tym, kiedy zamknąłem torbę. Pytanie, czy kochałem rodziców i brata, pytanie, któremu od razu dałem odpór słowem naturalnie, pozostało bez odpowiedzi nie tylko co do swej istoty, lecz także co do stanu faktycznego. Już od dawna nie miałem ani z rodzicami, ani z bratem tak zwanych dobrych stosunków, były one raczej napięte, a w ostatnich latach raczej obojętne. Już od dawna nie chciałem nic wiedzieć o Wolfsegg, a więc również o nich, ale i odwrotnie, oni o mnie też, taka jest prawda. Ta świadomość tylko ograniczyła nasze wzajemne stosunki, sprowadzając je mniej lub bardziej do kontaktów w najważniejszych życiowo kwestiach. Pomyślałem: dwadzieścia lat temu rodzice wyrzucili cię nie tylko z Wolfsegg, do którego chcieli cię dożywotnio przykuć, lecz równocześnie ze swoich serc. W ciągu tych dwudziestu lat brat nieustannie zazdrościł mi rozwoju

duchowego, mojej *megalomańskiej samodzielności*, jak się kiedyś wyraził w rozmowie ze mną tej *bezwzględnej wolności*, z powodu której mnie nienawidził. Siostry posuwały się w swojej nieufności wobec mojej osoby znacznie dalej, niż to jest dopuszczalne między rodzeństwem; od chwili, kiedy wyjechałem z Wolfsegg, a tym samym odwróciłem się do sióstr plecami, one także prześladowały mnie swoją nienawiścią. Taka jest prawda. Podniosłem torbę, była jak zwykle za ciężka, pomyślałem, że w istocie jest całkiem zbyteczna, gdyż przecież w Wolfsegg mam wszystko. Po co targam ze sobą tę torbę? Postanowiłem pojechać do Wolfsegg bez torby, więc z powrotem wypakowałem spakowane wcześniej rzeczy i wszystko po kolei wsadziłem do komody. To normalne, że kochamy swoich rodziców, i tak samo naturalne jest, że kochamy rodzeństwo, pomyślałem, znowu stojąc przy oknie i patrząc na ciągle jeszcze opustoszały Piazza Minerva w dole, nie zauważamy jednak, że od pewnego określonego momentu zaczynamy ich nienawidzić, bez udziału naszej woli, ale w ten sam naturalny sposób, w jaki wcześniej kochaliśmy ich ze wszystkich tych powodów, które uświadamiamy sobie dopiero lata, a nierzadko dziesiątki lat później. Nie potrafimy już określić dokładnie chwili, kiedy to przestajemy kochać rodziców i rodzeństwo, i nawet nie staramy się jej odtworzyć, jako że w gruncie rzeczy zwyczajnie się tego boimy. Kto opuszcza członków swojej rodziny wbrew ich woli, i do tego jeszcze w najbardziej bezlitosny sposób, tak jak ja to uczyniłem, musi liczyć się z ich nienawiścią, im większa więc była początkowo ich miłość do nas, tym większa jest, kiedy pojmiemy, cośmy sobie poprzysięgli, ich nienawiść. Przez dziesiątki lat cierpiałem wskutek tej nienawiści, powiedziałem teraz do siebie, ale od lat już z tego powodu nie cierpię, przywykłem do ich nienawiści i już mnie nie rani. A ta ich nienawiść do mnie stała się niechybnie powodem mojej nienawiści do nich. Jednakże oni również przestali w ostatnich latach cierpieć wskutek mojej nienawiści. Pogardzali *swoim rzymianinem*, podobnie jak ja pogardzałem nimi jako *wolfsegganami*, i prawdę mówiąc, w ogóle o mnie nie myśleli, podobnie jak i ja

przez większość minionego czasu w ogóle o nich nie myślałem. Zawsze nazywali mnie *szarlatanem* i gadułą, pasożytem wykorzystującym ich oraz cały świat. Ja zaś miałem na ich scharakteryzowanie wyłącznie jedno słowo: *głupcy*. Śmierć, choćby to nawet był jedynie wypadek samochodowy, powiedziałem do siebie, nic tu nie zmienia. Nie powinienem bać się własnego sentymentalizmu. Gdy czytałem ten telegram, ani przez chwilę nie zadrżały mi ręce, a przez moje ciało ani przez chwilę nie przebiegł dreszcz. Będę musiał powiadomić Gambettiego o tym, że moi rodzice oraz brat nie żyją i że na kilka dni będę musiał przerwać nauczanie, pomyślałem, tylko na kilka dni, gdyż nie zamierzałem zatrzymać się w Wolfsegg dłużej niż na kilka dni; tydzień wystarczy, nawet gdyby zaszły jakieś nieprzewidziane, komplikujące sprawę formalności. Przez moment pomyślałem o tym, czyby nie zabrać Gambettiego ze sobą, odczuwałem bowiem strach przed ogromną przewagą wolfseggan i chętnie miałbym u boku przynajmniej jednego człowieka, w którego obecności mógłbym obronić się przed ich natarciem, *odpowiadającego mi człowieka* i partnera w sytuacji rozpaczliwej, a być może bez wyjścia, ale natychmiast porzuciłem tę myśl, chcąc oszczędzić Gambettiemu konfrontacji z wolfsegganami.

Zobaczyłby wtedy, że wszystko, co w ostatnich latach opowiadałem mu o Wolfsegg, to fraszka w porównaniu z prawdą i rzeczywistością, którą by ujrzał, pomyślałem. Chwilami byłem przekonany, że powinienem zabrać Gambettiego ze sobą, to znowu, że nie powinienem. W końcu postanowiłem go nie zabierać. Z Gambettim wywołałem zbyt wielkie, najprawdopodobniej w ogólnym rozrachunku przykre dla mnie i sensacyjne zainteresowanie, pomyślałem. Takiego człowieka jak Gambetti już w ogóle w Wolfsegg nie rozumieją. Całkiem niefrasobliwych obcych przybyszów przyjmowali zawsze z niechęcią i nienawiścią, zawsze odrzucali wszystko, co obce, nigdy *nie zadali się* z czymś obcym lub z kimś obcym, jak ja to mam w zwyczaju. Zabrać Gambettiego do Wolfsegg oznaczałoby dla mnie zrazić go do siebie i w efekcie bardzo boleśnie



zranić. Ja sam ledwo potrafię uporać się z Wolfsegg, a co dopiero człowiek o takim usposobieniu jak Gambetti. Konfrontacja Gambettiego z Wolfsegg mogłaby zaiste doprowadzić do katastrofy, pomyślałem, której niechybną ofiarą stałby się wówczas jedynie Gambetti. Wszakże już wcześniej mogłem być zabrać go ze sobą do Wolfsegg, pomyślałem, jednak zawsze z jakichś ważnych powodów odstępowałem od tego pomysłu, chociaż często sobie powtarzałem, że podróż do Wolfsegg może być pożyteczna nie tylko dla mnie, lecz także dla samego Gambettiego. Relacje na temat Wolfsegg, które przedtem składałem Gambettiemu, zyskałyby wtedy dzięki jego osobistym obserwacjom na autentyczności, niedającej się uzyskać w żaden inny sposób. Znam Gambettiego już piętnaście lat i ani raz nie zabrałem go ze sobą do Wolfsegg, pomyślałem. Być może Gambetti ma na ten temat inne zdanie niż ja, powiedziałem teraz do siebie, biorąc pod uwagę niezwykłość, jaką naturalnie jest nie zaprosić i nie zabrać ze sobą człowieka, z którym od piętnastu lat utrzymuję mniej lub bardziej zażyłe stosunki, ani razu w ciągu tych piętnastu lat do miejscowości będącej miejscem mojego pochodzenia. Dlaczego w istocie przez te wszystkie piętnaście długich lat nie pozwoliłem Gambettiemu zajrzeć w *karty moich stron rodzinnych*? pomyślałem. Bo zawsze napawało mnie to lękiem i ciągle jeszcze ten lęk odczuwam.

Bo przede wszystkim pragnę uchronić się przed wiedzą Gambettiego na temat Wolfsegg, a zatem również przed jego wiedzą na temat mojego pochodzenia, i nawet jego samego chcę uchronić przed taką wiedzą, która prawdopodobnie wywarłaby na niego wyłącznie zgubny wpływ. W ciągu trwających piętnaście lat naszych stosunków nigdy nie chciałem wydać Gambettiego na pastwę Wolfsegg. Mimo iż zawsze byłoby mi niezwykle miło nie jeździć do Wolfsegg samotnie, lecz w towarzystwie Gambettiego, to wciąż wzdrażałem się przed zabraniem go tam ze sobą. Naturalnie Gambetti w każdej chwili pojechałby ze mną do Wolfsegg. Cały czas przecież czekał na moje zaproszenie. Ja go jednak nie zapraszałem. Pogrzeb jest nie tylko smutną, lecz

także nader nieprzyjemną okazją, powiedziałem teraz do siebie, więc akurat z tej okazji nie poproszę Gambettiego, by pojechał ze mną do Wolfsegg. Powiadomię go o tym, że moi rodzice nie żyją, chociaż, powiem, nie mam potwierdzenia, iż wraz z moim bratem zginęli w wypadku samochodowym, ale ani słowem nie napomknę, by się tam ze mną wybrał. Jeszcze dwa tygodnie temu, zanim pojechałem na wesele siostry, w wielu surowych słowach opisywałem Gambettiemu moich rodziców, a brata nazwałem ni mniej, ni więcej tylko człowiekiem podłego charakteru i beznadziejnym głupcem. Wolfsegg opisywałem jako siedlisko tępoty. Okropny klimat, jaki zawsze panował w okolicy Wolfsegg i zawsze wszystko opanowywał, przenosi się na ludzi, którzy są zmuszeni do życia albo dokładniej: do wegetowania w Wolfsegg, i podobnie jak ten klimat charakteryzują się nieomal morderczą bezwzględnością wobec innych. Przy tym jednak wspominałem również o niesłychanych zaletach Wolfsegg, o pięknych jesiennych dniach, o ukochanym przeze mnie, niemającym sobie podobnego zimowym chłodzie i o zimowej ciszy w okolicznych lasach i dolinach. A także o tym, że jest tam wprawdzie bezwzględna, lecz na wskroś nieskalana i wspaniała natura. Ale i o tym, że mieszkający wśród niej ludzie w ogóle nie zauważają owej na wskroś czystej i wspaniałej natury, gdyż nie pozwala im na to ich tępota. Gdyby nie było tam członków mojej rodziny, tylko same mury, w których żyją, powiedziałem wówczas do Gambettiego, musiałbym czuć, że Wolfsegg to szczęśliwe dla mnie zrządzenie losu, gdyż jak żadna inna miejscowość odpowiada mojemu duchowi. *Nie mogę jednak wymazać mojej rodziny ze świata tylko dlatego, że tego chcę* powiedziałem. Wyraźnie słyszę siebie wypowiadającego to zdanie, a groza, jaka wkradła się w nie teraz wskutek rzeczywistej śmierci rodziców i brata, kazała mi, nadal stojącemu przy oknie i patrzącemu w dół na Piazza Minerva, wypowiedzieć je jeszcze raz głośno. Ponieważ zaś owo zdanie *Nie mogę jednak wymazać mojej rodziny ze świata tylko dlatego, że tego chcę* wygłoszone wówczas do Gambettiego z najwyższą odrazą wobec ludzi, do których się

odnosiło, powtórzyłem teraz dość głośno i nieomal teatralnie, tak jakbym był aktorem, który mając obowiązek wypowiedzenia takiego zdania przed większym audytorium, musi się w tym najpierw wyćwiczyć, momentalnie pozbawiłem je ostrości. Naraz przestało mieć niszczącą siłę. Jednakże to zdanie *Nie mogę jednak wymazać mojej rodziny ze świata tylko dlatego, że tego chcę* niebawem znów wysunęło się na plan pierwszy i zawładnęło mną.

Usiłowałem coś zrobić, żeby zamilkło, ale nie pozwoliło się zdławić. Nie tylko je wypowiadałem, paplałem to zdanie raz po raz pod nosem, by je ośmieszyć, lecz mimo prób zdławienia go i ośmieszenia stawało się z każdą chwilą groźniejsze. Naraz uzyskało taką wagę, jakiej jeszcze nie miało żadne inne moje zdanie. Z tym zdaniem nie możesz się mierzyć, powiedziałem do siebie, z tym zdaniem będziesz musiał żyć. To stwierdzenie momentalnie przyniosło mi ukojenie. Jeszcze raz wypowiedziałem zdanie *Nie mogę jednak wymazać mojej rodziny ze świata tylko dlatego, że tego chcę* tak, jak je wygłosiłem wcześniej do Gambettiego. I naraz uzyskało takie samo znaczenie jak wówczas, gdy wygłosiłem je do Gambettiego. Na Piazza Minerva nie było, oprócz gołębi, śladu życia. Nagle zrobiło mi się zimno i zamknąłem okno. Usiadłem przy biurku. Leżała na nim jeszcze poczta, między innymi list od Eisenberga, list od Spadoliniego, arcybiskupa i *kochanka* mojej matki, oraz kartka od Marii. Zaproszenia od różnych rzymskich instytucji kulturalnych, a także wszystkie inne od osób prywatnych wrzuciłem natychmiast do kosza, również kilka listów, które już po całkiem pobieżnych oględzinach wydały mi się listami z pogrózkami lub z prośbami o jałmużnę, od ludzi, którzy albo chcieli ode mnie pieniędzy, albo oświecenia w kwestii, co w istocie zamierzam osiągnąć swoim sposobem myślenia i życia, od ludzi odwołujących się do kilku artykułów w gazetach, które w ostatnim czasie opublikowałem i które tym ludziom nie odpowiadają, ponieważ są naturalnie pomyślane i napisane przeciw nim wszystkim, oczywiście listy z Austrii, pisane przez ludzi prześladowanych mnie swoją nienawiścią aż w Rzymie. Od lat otrzymuję takie listy, których, jak

początkowo sądziłem, nie piszą bynajmniej wariaci, tylko naprawdę dojrzałe osoby, by tak rzec, bez zarzutu pod względem prawnym, te osoby grożą mi między innymi prześladowaniami i śmiercią za moje publikacje w najrozmaitszych gazetach i czasopismach, nie tylko we Frankfurcie i Hamburgu, lecz także w Mediolanie i Rzymie. Ci ludzie powiadają, że nieustannie obrzucam Austrię błotem, że w najbardziej bezwstydnym sposób lżę ojczyznę i gdzie tylko i kiedy mogę, pomawiam Austriaków o podłe i nikczemne katolicko-narodowosocjalistyczne przekonania, mimo iż, jak piszą ci ludzie, w rzeczywistości nie spotyka się już podobno w Austrii takich podłych i nikczemnych katolicko narodowosocjalistycznych przekonań. Austria nie jest podła ani nikczemna, *zawsze była po prostu piękna*, piszą ci ludzie, a naród austriacki jest zacny. Takie listy zawsze natychmiast wyrzucałem, dzisiaj rano też. Zatrzymałem jedynie list od Eisenberga, zaproszenie od mojego kolegi ze studiów, obecnego ra-bina Wiednia, na spotkanie w Wenecji, gdzie pod koniec maja, jak pisze, będzie miał różne zajęcia i chciałby wybrać się ze mną do teatru, nie tak jak przed rokiem, jak pisze, nie na *coś takiego jak Opowieść o żołnierzu* Strawińskiego, lecz na *Tankreda* Monteverdiego. Oczywiście przyjmę zaproszenie Eisenberga, natychmiast mu odpowiem, pomyślałem, ale *natychmiast oznacza po powrocie z Wolfsegg*.

Przechadzki z Eisenbergiem po Wenecji były dla mnie zawsze ogromną przyjemnością, pomyślałem, podobnie jak w ogóle przebywanie z Eisenbergiem. Zawsze gdy przyjeżdża do Włoch, choćby tylko na kilka dni do Wenecji, zapowiada się, pomyślałem, zaprasza mnie, i to zawsze na, jak sam mówi, *wysoce artystyczną ucztę*, niewątpliwie *Tankred* w Fenice jest taką ucztą, pomyślałem. Prysłali mi egzemplarz okazowy „Corriere della Sera”, w którym wydrukowano mój krótki esej o Leoszu Janaczku. Pełen niecierpliwości otworzyłem gazetę, ale ów esej nie był po pierwsze zamieszczony na czołowym miejscu, co natychmiast wprawiło mnie w zły humor, po drugie już podczas pobieżnej lektury odkryłem w nim szereg niewybaczalnych błędów drukarskich,

a więc najstraszliwszą rzecz, jaka mogła mi się przytrafić.

Rzuciłem „Corriere” w ką i ponownie przeczytałem, co napisała na kartce Maria. Moja wielka poetka pisze, że w sobotę wieczorem pragnie wybrać się ze mną na kolację, *jedynie z tobą*, napisała zresztą nowe wiersze, *dla ciebie*, jak pisze. Moja wielka poetka jest w ostatnim czasie bardzo płodna, pomyślałem i wyciągnąłem szufladę, w której przechowuję kilka fotografii członków mojej rodziny. Bardzo uważnie przyjrzałem się zdjęciu, na którym moi rodzice wsiadają właśnie na londyńskim dworcu Victoria do pociągu do Dover. Zrobiłem im tę fotografię bez ich wiedzy. Przyjechali do mnie, kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku studiowałem w Londynie, i po dwutygodniowym pobycie w Anglii, który zawiódł ich aż do Glasgow i Bristolu, udali się podróż do Paryża, gdzie oczekiwały ich moje siostry, które z kolei po odwiedzinach u naszego wuja Georga przyjechały do Paryża z Cannes, żeby spotkać się tam z rodzicami. Przynajmniej w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym zachowywałem się jeszcze dość przyzwoicie wobec rodziców, pomyślałem. Pragnąłem studiować w Anglii, a oni w najmniejszym stopniu się temu nie sprzeciwiali, zakładając najwidoczniej, że po studiach w Anglii wrócę do Wiednia, wreszcie zaś do Wolfsegg, aby spełnić ich pragnienia i wraz z bratem uprawiać ziemię oraz zarządzać gospodarstwem w Wolfsegg. Ale ja już wtedy nie miałem zamiaru wracać, prawdę mówiąc, wyjeżdżałem z Wolfsegg do Anglii, do Londynu, z mocnym postanowieniem, że nigdy więcej tam nie wrócę. Nienawidziłem rolnictwa, pasji mojego brata i ojca. Nienawidziłem wszystkiego, co wiązało się z Wolfsegg, ponieważ chodziło tam zawsze wyłącznie o ekonomiczne korzyści dla rodziny, o nic więcej. W

Wolfsegg, odkąd ono istnieje i znajduje się w rękach mojej rodziny, zajmowano się wyłącznie gospodarstwem i tym, jakby tu w przyszłości ciągnąć coraz większe zyski z jego produkcji rolnej, a więc z upraw, nawet jeszcze dzisiaj obejmujących bądź co bądź dwanaście tysięcy hektarów, a także z kopalń. Tylko jedno im było w głowie: jak największa eksploatacja swojej

własności. Wprawdzie zawsze udawali, że powoduje nimi coś więcej niż tylko żądza zysków finansowych, udawali, że cenią kulturę, a nawet różne rodzaje sztuki, ale rzeczywistość była zawsze przygnębiająca i zawstydzająca. Mieli wprawdzie tysiące książek w pięciu aż wolfseggskich bibliotekach i z absurdalną regularnością odkurzali te biblioteki trzy czy cztery razy do roku, ale nigdy nie czytali książek ze swoich bibliotek. Wszystkie te biblioteki były zadbane w najwyższym możliwym stopniu, żeby je mogli bez wstydu pokazywać gościom, chęlić się przed nimi i prezentować drogocenne druki, ale osobiście z wszystkich tych tysięcy, ba, dziesiątków tysięcy drogocennych druków nigdy nie robili użytku, jaki wydawałby się oczywisty. Pięć bibliotek w Wolfsegg, cztery w głównym budynku i jedną w oficynach, założyli już moi praprapradziadowie, rodzice natomiast nie dokupili do tych zbiorów nawet jednego tomu. Mówi się, że wszystkie nasze biblioteki razem wzięte są równie cenne jak światowej sławy biblioteka biskupstwa w Lambach. Ojciec nie przeczytał w życiu ani jednej książki, matka czasem tylko przeglądała stare publikacje przyrodnicze, by napawać się widokiem zdobiących je sztychów o wspaniałych barwach. Siostry w ogóle nie zachodziły do żadnej z bibliotek, chyba tylko po to, żeby pokazać je gościom, gdy ci wyrazili życzenie obejrzenia naszych zbiorów. Fotografia, którą zrobiłem rodzicom na dworcu Victoria, ukazuje ich w wieku, gdy jeszcze wypuszczali się w podróż i nie dokuczały im żadne choroby. Mieli na sobie kupione dopiero co u Burberryego płaszcze od deszczu, a w rękach dzierżyli nowe parasole, również od Burberryego. Jako typowi mieszkańcy kontynentu starali się wyglądać bardziej angielsko od Anglików, przez co robili wrażenie raczej groteskowe niż eleganckie i wytworne, toteż na widok tej fotografii nigdy nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, tym razem jednak nie miałem ochoty się śmiać. Moja matka miała nieco zbyt długą szyję, którą raczej trudno by było nazwać piękną, w chwili zaś gdy robiłem to zdjęcie, wyciągnęła ją, jako że właśnie wsiadała do pociągu, jeszcze o kilka centymetrów bardziej niż zazwyczaj, co podwoiło komizm tej

fotografii. Mój ojciec z kolei zachowywał zawsze postawę kogoś, kto nie potrafi ukryć przed światem nieczystego sumienia i z tego powodu jest bardzo nieszczęśliwy. W chwili gdy robiłem owo zdjęcie, ojciec miał na głowie kapelusz wciśnięty na czoło nieco głębiej niż zwykle, co ukazuje go o wiele bardziej nieporadnym, niż był w rzeczywistości. Nie wiem, dlaczego zachowałem akurat tę fotografię rodziców. Pewnego dnia dojdę do tego, co mną powodowało, pomyślałem.

Odłożyłem zdjęcie na biurko i zacząłem szukać innego, zrobionego dopiero przed dwoma laty na brzegu jeziora w Wolfsegg, a ukazującego mojego brata na własnej żaglówce, którą przez cały rok trzyma w Sankt Wolfgang w budce dzierżawionej od Furstenbergów. Mężczyzna na fotografii to zgorzkniały człowiek, którego zniszczyło stałe przebywanie wyłącznie w towarzystwie rodziców. Sportowy strój z trudem maskuje choroby, które już całkowicie bratem zawładnęły. Jego uśmiech jest, jak to się mówi, udręczony, a fotografię mógł zrobić tylko jego brat, czyli ja. Kiedy dałem mu odbitkę tego zdjęcia, podarł ją bez słowa. Zdjęcie brata położyłem obok fotografii, na której rodzice wsiadają w Londynie do pociągu do Dover, i jakiś czas przyglądałem się obu odbitkom. Kochałeś tych ludzi tak długo, póki oni ciebie kochali, a potem znienawidziłeś ich w chwili, kiedy i oni ciebie znienawidzili. Nigdy oczywiście nie myślałem, że ich przeżyję, wręcz przeciwnie, zawsze byłem zdania, że to ja pewnego dnia umrę pierwszy.

O sytuacji, która teraz powstała, *nigdy* nie myślałem, o wszystkich innych możliwościach natomiast myślałem raz po raz, nigdy jednak o tej. Bardzo często wyobrażałem sobie - i bardzo często też marzyłem o tym, żeby umrzeć, zostawić ich, zostawić samych beze mnie, uwolnić ich od siebie przez swoją śmierć, ale nigdy o tym, że to oni mnie zostawią. Fakt, iż to *oni* teraz nie żyją, a nie ja, był dla mnie w pierwszej chwili nie tylko najbardziej nieprzewidywalny, lecz wręcz *sensacyjny*. Zaszokował mnie ów sensacyjny element, owa sensacyjna elementarność, a nie sam w sobie fakt, że nie żyją, i to nieodwołalnie. Rodzice

jako para, prawdę mówiąc, zawsze we wszystkim nieporadna, chociaż w moich oczach przez całe życie demoniczna, skurczyli się raptem, skurczyli się nagle do rozmiarów tej groteskowej i śmiesznej fotografii, która leży teraz przede mną na biurku i której przyglądam się z największą wnikliwością i bezwstydem. Podobnie jak fotografii brata. Tych ludzi bałeś się przez całe życie tak bardzo, jak niczego innego na świecie, pomyślałem, i z tego lęku uczyniłeś największą potworność swojego życia, powiedziałem sam do siebie. Od tych ludzi przez całe życie nie potrafiłeś się odsunąć, chociaż raz po raz podejmowałeś takie próby, ale wszystkie twoje próby były koniec końców skazane na porażkę, pojechałeś do Wiednia, żeby odsunąć się od rodziców i brata, do Londynu, żeby się od nich odsunąć, pojechałeś do Paryża, Ankary, Stambułu, a wreszcie do Rzymu, nadaremnie. Musieli zginąć tragicznie i skurczyć się do rozmiarów tego śmiesznego świstka papieru zwącego się fotografią, by nie móc ci już dłużej szkodzić. Mania prześladowcza się skończyła, pomyślałem. Nie żyją. Jesteś wolny.

Na widok fotografii ukazującej mojego brata na żagłówce w Sankt Wolfgang po raz pierwszy poczułem dla niego współczucie. Wyglądał teraz o wiele śmieszniej niż dawniej, gdy oglądałem to zdjęcie.

Przeraziło mnie moje nieprzejednanie zrodzone pod wpływem tej obserwacji. Również rodzice na fotografii ukazującej ich na dworcu Victoria byli komiczni. Żadne z tych trojga, leżących teraz przede mną na biurku, nie miało nawet dziesięciu centymetrów wzrostu, a w modnych strojach i groteskowych postawach ciała, pozwalających wnioskować o równie groteskowych postawach ducha, każde z nich wyglądało jeszcze komiczniej niż dawniej, gdy oglądałem te zdjęcia. Fotografia utrwała jedynie groteskowy i komiczny moment, pomyślałem, nie pokazuje człowieka, jakim, ogólnie rzecz biorąc, był za życia, fotografia jest podstępny, perwersyjny zafałszowaniem, każda fotografia, bez względu na to, przez kogo zrobiona, bez względu na to, kogo przedstawia, jest absolutnym pogwałceniem ludzkiej godności, potwornym



zafalszowaniem natury, podłym barbarzyństwem. Z drugiej strony obie fotografie sprawiały wrażenie niezwykle wprost charakterystycznych dla utrwalonych na nich ludzi, zarówno dla rodziców, jak i brata. To są oni, powiedziałem do siebie, tacy, jacy są w rzeczywistości, to byli oni, tacy, jacy byli w rzeczywistości. Mogłem być zabrać ze sobą z Wolfsegg i przechować również inne fotografie rodziców oraz brata, ale zabrałem i przechowałem właśnie te, ponieważ oddają zarówno rodziców, jak i brata w chwili, w której je zrobiłem, takimi, jacy są w rzeczywistości, zarówno rodzice, jak i brat.

Stwierdziwszy to, nie odczułem cienia wstydu. To nie przypadek, że nie zniszczyłem akurat tych fotografii, a nawet zabrałem je ze sobą do Rzymu i przechowałem w swoim biurku. Tutaj nie mam wyidealizowanych rodziców, powiedziałem do siebie, tutaj mam rodziców, jakimi są, jakimi byli, poprawiłem się. Tutaj mam brata, jakim był. Wszyscy troje są tacy zalęknieni, tacy podli, tacy komiczni.

Nie ścierpiałbym wszakże w swoim biurku, pomyślałem, zafalszowanego obrazu rodziców i brata. Tylko faktyczne, prawdziwe wizerunki. Tylko to, co absolutnie autentyczne, choćby było nie wiem jak groteskowe, a może nawet wstrętne. I właśnie te fotografie z moimi rodzicami i moim bratem na nich pokazałem kiedyś Gambettiemu, przed rokiem, pamiętam jeszcze gdzie, w kawiarni na Piazza del Popolo.

Przyjrzał się tym fotografiom i słowem ich nie skomentował. Przypominam sobie tylko, że przyjrząwszy się im, zapytał: *czy twoi rodzice są bardzo bogaci?* Odpowiedziałem na to: *tak* Pamiętam też jeszcze, że czułem się później bardzo podle, iż w ogóle pokazałem mu te zdjęcia. Nigdy nie powinienś był pokazywać Gambettiemu akurat *tych* zdjęć, powiedziałem wówczas do siebie. Było to głupotą. Istniały i istnieją niezliczone fotografie, na których moi rodzice są przedstawieni naprawdę, jak to się mówi, *serio, ale nie odpowiadają one obrazowi, jaki w ciągu całego życia wytworzyłem sobie na ich temat. Istnieją też fotografie serio mojego brata, ale i one są zafalszowaniami.*

*Nigdy bym nie pokazał Gambettiemu żadnego z tych zafalszowań. Poza tym niemal niczego na świecie nie nienawidzę tak bardzo, jak pokazywania zdjęć. Nie pokazuję żadnych i żadnych nie pozwalam sobie pokazywać. To, że pokazałem Gambettiemu zdjęcie rodziców na dworcu Victoria, było wyjątkiem. Jaki miałem w tym cel? Gambetti też nigdy nie pokazywał mi żadnych fotografii. Oczywiście, ja znam jego rodziców i rodzeństwo, więc pokazywanie mi ich zdjęć nie miałoby sensu. Gambetti nigdy nie wpadłby nawet na taki pomysł. W gruncie rzeczy nienawidzę fotografii i sam przez całe życie nie wpadłem na pomysł, by je robić; pomijając ów londyński wyjątek, Sankt Wolfgangi Cannes, nigdy nie posiadałem aparatu fotograficznego. Pogardzam ludźmi, którzy nieustannie zajmują się fotografowaniem i cały czas biegają wkoło z aparatami zawieszonymi na szyi. Nieustannie poszukują motywów i fotografują wszystko i wszystkich, nawet najbardziej bezsensowne rzeczy. Mają w głowie tylko to, żeby nieustannie przedstawiać samych siebie, zawsze w najbardziej odpychający sposób, czego jednak nie są świadomi.*

*Utrwalają na fotografiach perwersyjnie zniekształcony świat, niemający z rzeczywistym nic wspólnego poza tym, że jest jego perwersyjnym zniekształceniem, któremu wyłącznie oni są winni. Fotografowanie to pospolita mania, która z biegiem czasu ogarnęła całą ludzkość, gdyż ludzkość jest nie tylko zakochana, lecz wręcz zadurzona w zniekształceniu i perwersyjności, i rzeczywiście wskutek tego nieustannego fotografowania zaczyna z wolna postrzegać zniekształcony i perwersyjny świat jako jedyny prawdziwy.*

*Ci, którzy fotografują, popełniają jedno z najnikczemniejszych przestępstw, jakie mogą popełnić, zmieniając naturę na swoich zdjęciach w perwersyjną groteskę. Ludzie na fotografiach są śmiesznymi, zmienionymi nie do poznania, ba, okaleczonymi manekinami, tępo i ohydnie patrzącymi w tę podłą soczewkę. Fotografowanie jest nikczemną namiętnością, która ogarnęła wszystkie części świata i wszystkie warstwy ludności, chorobą na którą zapadła cała ludzkość i z której nigdy nie zdoła się wyleczyć. Wynalazca sztuki*

fotograficznej jest wynalazcą sztuki najbardziej ze wszystkich możliwych wrogiej ludziom. Jemu to zawdzięczamy ostateczną deformację natury i człowieka, sprowadzenie ich do postaci perwersyjnych gąb. Jeszcze na żadnej fotografii nie widziałem naturalnego, a to znaczy prawdziwego i rzeczywistego człowieka, podobnie jak jeszcze na żadnej fotografii nie widziałem prawdziwej i rzeczywistej natury. Fotografia to największe nieszczęście dwudziestego wieku. Oglądając zdjęcia, zawsze czułem obrzydzenie, jak do niczego innego. Ale, powiedziałem teraz do siebie, jakkolwiek zniekształceni są rodzice i brat na tych jedyńych fotografiach zrobionych przeze mnie aparatem należącym do mojego brata, to im dłużej na nie patrzę, widzę, że poza perwersyjnością i zniekształceniem ukazują jednak prawdę i rzeczywistość tych, by tak rzec, sfotografowanych, ponieważ ja nie przejmuję się zdjęciami i nie widzę przedstawionych na nich ludzi takimi, jakimi fotografia ukazuje ich w tym niegodziwym zniekształceniu i perwersyjności, lecz takimi, jakimi ja ich widzę. Moi rodzice na dworcu Victoria w Londynie napisałem na odwrocie fotografii. Na drugiej zaś, ukazującej brata w Sankt Wolfgang: Mój brat na żaglach w Sankt Wolfgang. Sięgnąłem do szuflady i wyjąłem zdjęcie, na którym moje siostry Amalia i Caecilia stoją upozowane przed willą w Cannes, kupioną przez wuja Georga, brata mojego ojca, za pieniądze, którymi ojciec po śmierci moich dziadków raz na zawsze, jak to się mówi, spłacił go, a on tak sprytnie ulokował kilka pakietów akcji w różnych częściach Francji, że mógł z nich zawsze żyć nie tylko dobrze, lecz nawet w pewnym, dogadzającym mu luksusie. On, pomyślałem, przyglądając się fotografii, na której moje siostry ukazują swoje mniej lub bardziej szydercze twarze, wyciągnął lepszy los w przeciwieństwie do swojego brata, a mojego ojca. Wuj Georg zmarł cztery lata temu równie nagle jak jego brat, mój ojciec, tyle że na zawał serca, który zaskoczył go w parku okalającym willę, gdy właśnie wybierał się na inspekcję hodowli róz, będących w późniejszych latach życia jego jedyną namiętnością. W wieku trzydziestu pięciu lat udało mu się wreszcie odbić od Wolfsegg i z mnóstwem pieniędzy i

*stosem książek schronić na Riwierze. Kochał literaturę francuską i morze, oba te zamiłowania całkowicie go pochłonęły. Często myślę, że mam wiele z wuja Georga, w każdym razie więcej niż z ojca. Również ja przez całe życie kochałem literaturę, książki i morze.*

*Również ja odszedłem z Wolfsegg, nawet w młodszym wieku niż on. Moje siostry Amalia i Caecilia przed willą wuja Georga napisałem na fotografii. Po raz ostatni byłem w Cannes w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym. Przynajmniej raz do roku odwiedzałem wuja Georga. Kilka dni spędzanych z nim w jego willi zawsze dobrze mi robiło. Jedynym spadkobiercą uczynił, ku przerażeniu naszej rodziny, swojego dozorcę, który zawsze wiernie mu służył i którego zawsze z czułością nazywał: mój zacny Jean.*

*Wuj Georg był kilkakrotnie w Rzymie, mieście, które, podobnie jak ja, kochał najbardziej i cenił najwyżej ze wszystkich miast świata. Gambetti i wuj Georg dobrze się rozumieli, kiedy przez wiele wieczorów na świeżym powietrzu na Piazza del Popolo albo, gdy padało, w kawiarni Greco wiedli rozmowy o wszystkim, co tylko możliwe, zwłaszcza jednak o sztuce i malarstwie. Wuj Georg był zapalonym kolekcjonerem dzieł sztuki i z tego, co wiem, większość dochodu z procentów od swojego majątku wydawał na zakup obrazów i rzeźb współczesnych artystów. Mając dobry gust i absolutnie nadzwyczajny instynkt w wybieraniu dzieł sztuki, dzięki wrodzonej kolekcjonerskiej pasji powiększył niebawem swój pierwotny majątek o drugi, bardzo znaczny, o którym można spokojnie powiedzieć, że jest wart miliony. Nieznani, a popierani przezeń artyści stawali się naprawdę sławni zaraz po tym, gdy on ich odkrył, kupując ich prace i równocześnie czyniąc je znanymi. Wuj Georg nie lubił prymitywnego ducha interesu mojej rodziny, w istocie nienawidził tej corocznie wyzyskiwanej na wsi natury i gardził wszystkimi wielowiekowymi tradycjami Wolfsegg, czy to chodziło o produkcję mięsa i tłuszczu, skóry, drewna i węgla, czy też o polowania, których nienawidził z całej duszy, którym jednak jego brat, a mój ojciec, oraz jego bratanek, a mój brat, oddawali się jako pierwszej ze wszystkich*

możliwych namiętności.

*Spośród wszystkich pasji godnych nienawiści wuj Georg z najęgłębszej głębi swojej duszy nienawidził polowań. Chociaż jego rodzice, a moi dziadkowie, ulegali pasji łowieckiej, podobnie jak ulegał jej też mój ojciec, jego brat, on ciągle wzbraniał się przed uczestniczeniem w polowaniach. Tak samo jak ja nie jadał dziczyzny i w czasie, kiedy jego rodzina była na polowaniu, zamykał się w jednej z bibliotek, aby pogrążając się w intensywnej lekturze, nie myśleć o łowieckich ekscesach swoich najbliższych, podczas gdy oni odstrzeliwali jelenie, ja siedziałem w bibliotece za dobrze zamkniętymi oknami żeby nie musieć słyszeć strzałów, powiedział kiedyś, i czytałem Dostojewskiego. Wuj Georg, podobnie jak ja, kochał literaturę rosyjską, przede wszystkim Dostojewskiego i Lermontowa, i częstokroć opowiadał wiele mądrych rzeczy o tych rosyjskich pisarzach, zajmował się też równie często dwoma rewolucjonistami -*

*Kropotkinem i Bakuninem, których, co się tyczy tak zwanej literatury pamiętnikarskiej, cenił najwyżej, i to właśnie on wprowadził mnie w literaturę rosyjską jako niesłychanie biegły w niej specjalista, który posługiwał się rosyjskim równie płynnie jak francuskim i któremu ja sam zawdzięczam miłość do literatury rosyjskiej, a później także do francuskiej. Zresztą w ogóle większą część swojego bogactwa intelektualnego zawdzięczam wujowi Georgowi. On, wuj Georg, bardzo wczesnie otworzył mi, by tak rzec, oczy na resztę świata, zwrócił uwagę na to, że poza Wolfsegg i Austrią istnieje jeszcze co innego, coś o wiele wspanialszego, o wiele bardziej niesamowitego, i że świat składa się nie tylko, jak się powszechnie mniema, z jednej jedynej rodziny, lecz z milionów rodzin, nie tylko z jednej jedynej miejscowości, lecz z milionów takich miejscowości, nie tylko z jednego jedynego narodu, lecz z wielu setek i tysięcy narodów i nie tylko z jednego jedynego kraju, lecz z wieluset i wielu tysięcy krain, z których każda jest najpiękniejsza i najważniejsza. Cała ludzkość wydaje się nieskończona ze wszystkimi swymi urokami i możliwościami, mawiał wuj*

*Georg. Jedyne tępak uważa, że świat kończy się tam, gdzie on sam się kończy. Wuj Georg wprowadził mnie jednak nie tylko w literaturę, otwierając ją przede mną jako bezkresny raj, on wprowadził mnie również w świat muzyki i otworzył mi oczy na wszelkie rodzaje sztuki. Dopiero kiedy już dysponujemy należyтым pojęciem sztuki, dysponujemy też należyтым pojęciem natury, mawiał. Dopiero gdy z pojęcia sztuki umiemy zrobić właściwy użytek, czyli delektować się nią, możemy również zrobić właściwy użytek z natury i delektować się nią. Wielu ludzi nigdy nie dochodzi do pojęcia sztuki, nawet do najprostszego, wskutek czego nigdy nie są w stanie pojąć natury. Idealna kontemplacja natury zakłada istnienie idealnego pojęcia sztuki, mawiał. Ludzie, którzy udają, że widzą naturę, ale obce jest im pojęcie sztuki, postrzegają naturę niezwykle powierzchownie, nigdy idealnie, a to znaczy, że nie widzą jej nigdy w jej całej nieskończonej wspaniałości. Człowiek duchowy ma szansę, najpierw, przez naturę, dotrzeć do idealnego pojęcia sztuki, by poprzez idealne pojęcie sztuki dotrzeć do idealnej kontemplacji natury. Podczas naszych podróży włoskich wuj Georg nie biegał za inną, jak mój ojciec, od jednej kolumny do drugiej, od jednego pomnika do drugiego, od jednego kościoła do drugiego, od jednego Michała Anioła do drugiego, w ogóle nie prowadził mnie do żadnych dzieł sztuki. Swoje rozumienie sztuki zawdzięczam wujowi Georgowi właśnie dlatego, że mnie nie popychał, jak rodzice, od jednego arcydzieła do następnego, lecz zawsze zostawiał ze wszystkimi tymi arcydziełami samego, ciągle tylko zwracając mi uwagę na to, że istnieją i gdzie można je znaleźć, a nie postępował tak, jak robili to ze mną rodzice, którzy co chwila popychali mój umysł ku jakiejś kolumnie lub rzymskiej bądź greckiej ruinie. Wskutek tego, że członkowie mojej rodziny, z wyjątkiem wuja Georga, już od wczesnego dzieciństwa popychali mój umysł ku tak zwanym słynnym zabytkom świata starożytnego, z właściwą tejże rodziny członkom prostą bezwzględnością, bardzo wczesnie doprowadzili do tego, iż mój umysł nader szybko stał się całkiem niewrażliwy na jakikolwiek rodzaj sztuki; nie zbliżyli mnie do niej, tylko mi ją zohydzili.*

*Musiałem poświęcić wiele lat na to, żeby doprowadzić do porządku swój umysł, otepliały od popychania go przez nich ku setkom i tysiącom dzieł sztuki. Gdybym od dziecka, w które rodzice nie wahali się nigdy, aż do bezgranicznej przesady, ładować wszystkiego całkiem jak popadnie, znajdował się był pod wpływem wuja Georga, pomyślałem, odniósłbym z tego ogromną korzyść. Najpierw jednak, krótko mówiąc, rodzice musieli mnie prawie całkowicie zniszczyć, po to, żebym potem, gdy byłem już ponad dwudziestoletnim mężczyzną beznadziejnie, jak się zdawało, straconym, wuj Georg zdołał mnie mimo wszystko uzdrowić. Z rozważą i przezornością. Kiedy pojąłem, ile wuj Georg znaczył dla mnie, dla moich postępów i całego mojego rozwoju, na leczenie było już prawie za późno. Sile własnej woli, nakazującej mi wydostać się ze złowrogiego Wolfsegg, czyli wyzwolić z nieuleczalnego zła, jakie wyrządzili mi rodzice, a także przenikliwości wuja Georga zawdzięczam ostatecznie swoje ocalenie. Że jako dorosły nie musiałem wieść żywota podobnego do żywota wszystkich członków mojej rodziny, poza wujem Georgiem, lecz przeciwnie do nich wieść taki, jaki wiódł wuj Georg. Przez całe życie nienawidzili wuja Georga, a w ostatnich dziesięcioleciach wcale tego nie ukrywali, z czasem zaczęli traktować go tak samo jak mnie, myśleć o nim tak samo jak o mnie, oszukiwać go tak samo jak mnie. On jednak nie musiał się z nimi liczyć. Uporządkowawszy wpierw swoje sprawy finansowe, wsiadł pewnego dnia w po-ciąg i pojechał do Nicei. Tam postanowił się najpierw porządnie przez kilka tygodni wyspać, żeby później, całkowicie odświeżony, co bardzo często podkreślał, rozejrzeć się za korzystnym dla siebie miejscem. Owo miejsce musiało znajdować się nad morzem, w dużym ogrodzie, powietrze zaś musiało tam być najlepsze, jednocześnie musiało to być w punkcie korzystnie położonym pod względem komunikacyjnym. Pierwsze widokówki od wuja Georga odbierano w Wolfsegg z rozgoryczeniem.*

*Wyobrażano go sobie, jak leniwie przeciąga się na słońcu, spacerując nad brzegiem morza we wszystkich możliwych, szytych ma się rozumieć na miarę paryskich garniturach z lnu, a w snach członków mojej rodziny, które*

*naturalnie były wyłącznie koszmarami sennymi, on, całe życie nazywany przez nich nic niewartym Łajdakiem, pojawiał się, raz po raz wchodząc do banków w wytwornych miejscowościach na Riwierze, by pobierać odsetki od samoistnie rosnącego z dnia na dzień majątku. Byli zbyt głupi, żeby bodaj uwierzyć w coś takiego jak życie duchowe. Wuj Georg wiódł żywot intelektualisty, czego dowodzi kilkaset notatników zapisanych od pierwszej do ostatniej strony. Ciasnota horyzontów mieszkańców Europy Środkowej, którzy, jak się wszakże mówi, żyją, aby pracować, zamiast pracować, aby żyć, przy czym jest całkowicie obojętne, co należy rozumieć przez pracę, już od dawna denerwowała wuja Georga, toteż wyciągnął wnioski ze swoich rozmyślań. Dreptanie w miejscu to nie była rzecz dla niego. Człowiek musi wietrzyć głowę, powtarzał zawsze, co znaczy, że bez ustanku, dzień w dzień, musi wpuszczać do głowy świat. W Wolfsegg nigdy nie wietrzono głów, a więc i nie wpuszczano do nich świata. Wszyscy trwali nieustępliwie na swojej ojcowiznie, tak jak byli do tego stworzeni, jedynie po to, by pilnować, żeby ta ojcowizna, czyli gigantyczna bryła majątku, umacniała się jeszcze bardziej i bardziej i żeby się nie rozpadła. Z czasem zaczęli stopniowo przejmować od tej bryły majątku jej bezruch, stałość i absolutną twardość, sami tego nie zauważając. Zawsze byli stopieni z tą bryłą majątku w budzącą grozę i obrzydzenie jedność, czego jednak nie dostrzegali. Ale wuj Georg to dostrzegł. Nie chciał mieć nic wspólnego z tą bryłą majątku. Czekał tylko na stosowny, przypuszczalnie nawet idealny moment, żeby wyrwać się z tej wolfseggskiej bryły majątku. Zaproponowali mu, jak mi wiadomo, żeby nie wycofywał swojego spadku z Wolfsegg, lecz w mniejszym lub większym stopniu zadowolił się swego rodzaju rentą.*

*Przenikliwość ustrzegła wuja Georga przed popełnieniem tego głupstwa. Tacy ludzie jak członkowie mojej rodziny są, gdy co do czego przychodzi, najbardziej pozbawieni skrupułów przede wszystkim w stosunku do swoich najbliższych. W ostateczności nie cofną się przed żadną nikczemnością. Pod płaszczykiem chrześcijańskich uczuć, wspaniałości i towarzyskości są po prostu*



*chciwi i idą, jak to się mówi, po trupach. Wuj Georg od samego początku nie pasował do ich planów. W głębi duszy bali się go, bo wcześniej ich przejrzał. Już jako dziecko przylapywał ich na okropieństwach i zawsze, nieustraszenie, zwracał im na nie uwagę, dzielnie wytykał im te okropieństwa, był podobno, jak mówią, dzieckiem, którego najbardziej obawiano się w Wolfsegg.*

*Z natury przenikliwy, wcześniej rozbudził w sobie namiętność do kompromitowania swoich najbliższych. Już jako małe dziecko szpiegował ich i konfrontował z ich ohydztwami. Ponoć żadne dziecko w Wolfsegg nie zadawało tylu pytań, nie żądało tylu odpowiedzi. Mnie samemu członkowie mojej rodziny zarzucali zawsze, że upodabnam się do wuja Georga. Jakby chodziło o najbardziej odstrasżającego ze wszystkich ludzi, mówili do mnie co chwila: robisz się jak wuj Georg. Ale te ostrzeżenia przed wujem Georgiem w ogóle nie poskutkowały, od samego początku bowiem nikogo bardziej od niego w Wolfsegg nie kochałem. Twój wuj Georg to potwór! mawiali często. Twój wuj Georg to pasożyt! Twój wuj Georg przynosi nam wstyd! Twój wuj Georg to przestępca! Lista tych strasznych inwektyw, jakie zawsze mieli w pogotowiu na określenie wuja Georga, nigdy nie odnosiła w moim przypadku pożądanego przez nich skutku. Co kilka lat wuj Georg przybywał do nas z Cannes z kilkudniową wizytą, rzadko na kilka tygodni, i wtedy byłem najszcześliwszym z ludzi. Gdy wuj Georg przyjeżdżał do Wolfsegg, przeżywałem wielkie dni. Nagle Wolfsegg przestawało być powszednie. W jednej chwili robiło się światowe. Naraz wietrzono biblioteki, książki wędrowały tam i z powrotem, muzyka wypełniała pokoje, które zazwyczaj były zimnymi, ponurymi, całkiem niemymi jaskiniami. Te pokoje, w wyobrażeniu wszystkich odpychające, stawały się ni stąd, ni zowąd przytulne i swojskie.*

*Głosy, których ton był w Wolfsegg zwykle opryskliwy, opryskliwy lub stłumiony, zaczynały naraz rozbrzmiewać całkiem naturalnie. Wolno się było śmiać, nawet podczas rozmów wolno było mówić z naturalną głośnością, nie tylko wtedy, gdy chodziło o wydawanie poleceń służbie. Dlaczego zawsze przy*

*szluzbie rozmawiacie po francusku, strofował wuj Georg moich rodziców, to przecież śmieszne. Słyszcząc takie uwagi z jego ust, czulem się najszcześliwszym z ludzi. Dlaczego w taką wspaniałą pogodę nie pootwieracie okien? pytał. Podczas gdy zazwyczaj, a już w sposób szczególnie przygnębiający w ciągu ostatnich lat, rozmawiało się przy stole zawsze tylko o świniach i bydle, o lirach drewna i korzystniej-szych bądź mniej korzystnych cenach ich magazynowania, naraz padały takie słowa jak Tolstoj lub Paryż, Nowy Jork, Napoleon lub Alfons 13, albo Meneghini, Callas, Wolter, Rousseau, Pascal, Diderot. W ogóle nie widzę, co jem, mówił wuj Georg bez żenady, na co moja matka podrywała się od stołu i otwierała okiennice. Otwórz te okiennice jeszcze szerzej, mówił do niej wuj Georg, żebym mógł zobaczyć zupę.*

*Jak możecie przez cały czas żyć w takim półmroku? pytał. Żyjecie przecież jak w muzeum! mówił.*

*Wszystko wygląda tu tak, jakby całymi latami nikt niczego nie używał. Po co trzymacie w kredensach te wspaniałe naczynia, skoro się na nich nie jada? Te wasze drogocenne srebra? Podziwiałem wuja Georga.*

*Przy nim nigdy nie groziła codzienna nuda. Nie siedział przy stole, jak inni, nieruchomo i sztywno, co chwila zwracał się do kogoś z nas, aby o coś zapytać, aby wypowiedzieć jakąś sentencję lub rzucić jakiś komplement. Powinnaś nosić więcej błękitu, mówił do mojej matki, w szarościach ci nie do twarzy.*

*Wyglądasz jak w żałobie. A przecież od śmierci ojca minęło już piętnaście lat. Ty, mówił do swojego brata, sprawiasz wrażenie, jakbyś był sam u siebie zatrudniony. Po czym wybuchał donośnym śmiechem.*

*Kiedy podawano do stołu, co u nas zawsze odbywało się prawie w całkowitym milczeniu, żartował z dziewczętami wnoszącymi potrawy, choć moja matka wytrzymywała to z największym trudem. Już niedługo, mówił, nie przejmując się obecnością dziewcząt wnoszących potrawy, nie będzie miał was kto obsługiwać. Wtedy dopiero się ożywiecie. Coś rewolucyjnego wisi tu w*

powietrzu, mówił. Mam przeczucie, że wydarzy się coś takiego, co wszystkich chociaż częściowo zbudzi na powrót do życia.

Słyszając takie uwagi, ojciec potrząsał przecząco głową, matka natomiast patrzyła tylko nieruchomo w twarz wuja, jakby nie czuła najmniejszych skrępowań przed okazaniem mu swojej niechęci. W krajach śródziemnomorskich, mówił wuj Georg, wszystko jest inne. Bliżej tego nie wyjaśniał. A kiedy ja, mający wtedy może siedemnaście albo osiemnaście lat, dopytywałem się, co w tak zwanych krajach południowych jest inne niż u nas w środkowej Europie, powiedział, że wyjaśni mi to pewnego dnia, gdy sam przyjadę do tych śródziemnomorskich krajów. W krajach śródziemnomorskich życie ma sto razy większą wartość niż tutaj, mówił. Naturalnie byłem niezwykle ciekaw dlaczego. Mieszkańcy Europy Środkowej zachowują się jak marionetki, nie jak ludzie, jakby wszyscy cierpieli na jakieś porażenie, mówił wuj Georg. Nigdy nie zachowują się naturalnie, wszystko w nich jest sztywne i w ostateczności śmieszne. I nieznośne. Jak ich język, który jest najbardziej z tego wszystkiego nieznośny. Niemiecki jest absolutnie nie do zniesienia, mówił. Byłem zachwycony, gdy mówił kraje śródziemnomorskie.

Przyjeżdżanie tutaj, mówił, to szok. Nie przeszkadzało mu bynajmniej, że swoimi uwagami odbiera słuchaczom apetyt. I co to za okropna kuchnia, wołał. W Niemczech, w Austrii, a także w tak zwanej niemieckiej Szwajcarii nie ma jedzenia, jest żarcie! Ta osławiona kuchnia austriacka to jeden wielki afront. Gwałt na żołądku, także gwałt na całym ciele. Potrzebuję zawsze kilku tygodni, by odpocząć w Cannes od austriackiej kuchni. A czym jest kraj bez morza! wołał, nie rozwijając dalej tej myśli. Kiedy wypijał łyk wina, krzywił się z niesmakiem. Wyraźnie też widziałem, że zawsze ma coś do zarzucenia austriackim wodom mineralnym, które na ogół uważa się za bardzo dobre, ale nie komentował tego.

Musiał się, tak myślałem już wówczas, nieskończenie nudzić w Wolfsegg, nigdy bowiem nie udawało mu się tam doprowadzić do tego, na co zawsze miał

największą ochotę, czyli do zajmującej rozmowy.

Niekiedy, przynajmniej w pierwszych dniach pobytu, podejmował jakieś próby, na przykład zniecka rzucał na stół słowo: Goethe; ale oni nie wiedzieli, co z nim począć. Nie mówiąc już o takich słowach jak Wolter, Pascal, Sartre. Ponieważ, co nieustannie czuli, nie mogli dotrzymać mu kroku, rekompensowali to sobie rosnącą z dnia na dzień niechęcią do niego, która wreszcie pod koniec jego pobytu w Wolfsegg przeradzała się zawsze w jawną nienawiść. Ciągłe dawali mu do zrozumienia, że ciężko pracują, gdy tymczasem on absolutne nieróbstwo i wygrywanie tego nieróbstwa uczynił treścią swoich dni i, jak się zdaje, dożywotnim ideałem. Wiesz, powiedział kiedyś do mnie wuj Georg, ja nie przyjeżdżam przecież do Wolfsegg ze względu na rodzinę, lecz ze względu na te mury i krajobraz, uprzytamniające mi moje dzieciństwo. I ze względu na ciebie, dodał po chwili. W testamencie zawarł postanowienie, żeby nie chować go w Wolfsegg, jak spodziewali się tego członkowie mojej i jego rodziny, lecz w Cannes. Chciał mieć grób nad morzem. Pośpieszyli więc z mniejszym lub większym przepychem, czyli całkowicie i absolutnie prowincjonalnie wystrojeni, na jego pogrzeb do Cannes, spodziewając się niesamowitego majątku, po czym, jak już o tym wspomniałem, musieli przyjąć do wiadomości i zabrać ze sobą do domu największe rozczarowanie swojego życia, jak zawsze powtarzała moja matka. Zacny Jean, syn biednych rybaków z Marsylii, odziedziczył około dwudziestu czterech milionów szylingów w akcjach i co najmniej dwa razy tyle w rzeczywistym majątku. Kolekcję dzieł sztuki wuj Georg zapisał muzeum w Cannes i Nicei. Na kamieniu nagrobnym, który zacny Jean był zobowiązany mu wystawić, miało znaleźć się tylko nazwisko wuja Georga, a pod nim następujące słowa: ten, który we właściwym momencie zostawił za sobą barbarzyńców. Jean ściśle dostosował się do polecenia wuja Georga. Kiedy moi rodzice w drodze do Hiszpanii odwiedzili przed rokiem jego grób, tak się podobno zdenerwowali, że matka poprzysięgła sobie, iż jej noga nie postanie na grobie wuja Georga, sentencję na jego grobie potraktowała

*jako potwornie haniebną i po powrocie do Wolfsegg opowiadała ponoć bez przerwy o występku swojego szwagra, mojego wuja Georga. Z wujem Georgiem odbywałem najdalsze i najciekawsze spacery po okolicach Wolfsegg, z nim chodziłem pieszo aż do Ried w regionie Innviertel w jedną stronę i aż do Gmunden w drugą. Zawsze znajdował dla mnie czas. Wiedzę, iż na świecie istnieje jeszcze coś innego oprócz krów, służby i surowo przestrzeganych świąt ustawowych, zawdzięczam wyłącznie jemu. Jemu też zawdzięczam, że nauczyłem się nie tylko czytać i pisać, lecz w istocie także myśleć i posługiwać wyobraźnią. Jego zasługą jest, iż wprowadził wysoko, ale nie najwyższej cenię pieniądze, a ludzkości poza Wolfsegg nie traktuję, podobnie jak przez całe życie członków mojej rodziny, wyłącznie jako zła koniecznego, lecz jako dożywotni bodziec, by zajmować się nią jako największą i najciekawszą niesamowitością. Wuj Georg otworzył przede mną świat muzyki i literatury i przybliżył mi kompozytorów oraz pisarzy jako żywych ludzi, a nie tylko jako gipsowe figury wymagające odkurzenia trzy lub cztery razy do roku. Jemu zawdzięczam, że sięgnąłem po nasze książki, zamknięte, jak się zdawało, na zawsze i na wieki w bibliotekach, i zacząłem je czytać, nie ustając w tym do dzisiaj, i że wreszcie nauczyłem się filozofować. Wujowi Georgowi zawdzięczam, iż w końcu nie stałem się człowiekiem li tylko mechanicznie wprzęgniętym w wolfseggski młyn finansowo-ekonomiczny, lecz człowiekiem, którego można nazwać absolutnie wolnym. Że nie odbywałem li tylko tych otepiających tak zwanych podróży kształcących, jakie zwykli byli odbywać moi rodzice i jakie również ja w ciągu pierwszych lat z nimi odbywałem, na przykład do Włoch i do Niemiec, do Holandii i Hiszpanii, lecz że posiadałem sztukę podróżowania jako jedną z największych przyjemności, które może zaoferować świat, i do dzisiaj się tym rozkoszuję. Dzięki wujowi Georgowi poznałem nie martwe, lecz żywe miasta, nie odwiedzałem martwych narodów, lecz żywe, nie czytałem martwych, lecz żywych poetów i pisarzy, nie słuchałem martwej muzyki, lecz żywą, nie oglądałem martwych obrazów, lecz żywe. To on, nikt inny, przyklejał do wewnętrznych ścianek mojego mózgu*

wielkie w dziejach nazwiska nie pod postacią nudnych kalkomanii równie nudnej historii, lecz przedstawiał mi zawsze żywych ludzi na żywej scenie.

Podczas gdy rodzice dzień w dzień ukazywali mi świat jako absolutnie nudny, co stopniowo paraliżowało mój umysł, jako świat, w którym w istocie nie opłaca się wcale żyć, wuj Georg przedstawiał mi ten sam świat zupełnie inaczej, czyli jako nieustannie i o każdej porze w najwyższym stopniu intrygujący. W ten sposób już jako małe dziecko miałem zawsze do wyboru dwa światy, świat rodziców, który zawsze odbierałem jako nudny i wyłącznie uciążliwy, oraz świat wuja Georga, składający się w ogóle - jak się zdawało - z samych niesamowitych przygód, w którym to świecie człowiek nigdy nie mógł się nudzić i w którym w istocie zawsze miało się ochotę żyć wiecznie, w którym oczywistością było pragnąć, żeby się nigdy nie kończył, a wynikającą z tego konsekwencją było znów automatycznie pragnienie, by żyć w nim wiecznie, czyli w nieskończoność. Moi rodzice, mówiąc w uproszczeniu, zawsze wszystko cierpliwie znosili, wuj Georg natomiast nigdy niczego nie znosił cierpliwie. Rodzice od urodzenia żyli wyłącznie według zasad ustalonych przez przodków i nigdy nie przyszło im do głowy, że mogliby ustanowić dla siebie własne, nowe zasady, wedle których to nowych, przez siebie ustanowionych zasad mogliby żyć, wuj Georg natomiast żył wyłącznie według swoich własnych, przez siebie ustanowionych zasad. I co chwila obalał te ustanowione przez siebie zasady. Moi rodzice zawsze kroczyli wyłącznie wyznaczonymi wcześniej drogami i nigdy nie przyszłoby im do głowy, żeby choć na chwilę z tych dróg zboczyć, wuj Georg natomiast kroczył wyłącznie swoją własną drogą. Rodzice, by przytoczyć jeszcze jeden przykład przeciwieństwa w stosunku do wuja Georga, nienawidzili tak zwanego nieróbstwa, nie potrafili sobie bowiem wyobrazić, że człowiek duchowy wcale nie zna nieróbstwa i wcale nie może sobie na nie pozwolić, że człowiek duchowy żyje w najwyższym napięciu i z największym zainteresowaniem właśnie wtedy, gdy, by tak rzec, jest niewolnikiem nieróbstwa, oni bowiem w ogóle nie wiedzieli, co począć ze swoim faktycznym

*nieróbstwem, ponieważ faktycznie w ich nieróbstwie w ogóle nic się nie działo, ponieważ tak naprawdę w ogóle nie byli w stanie myśleć, a co dopiero zdobyć się na dłuższy proces myślowy. Tak zwane nieróbstwo jest dla człowieka duchowego w ogóle niewyobrażalne. Tymczasem ich nieróbstwo było faktycznym nieróbstwem, albowiem jeśli czegoś nie wykonywali, w nich też nic się nie dokonywało. A człowiek duchowy jest, wprost przeciwnie, najbardziej aktywny wtedy, gdy, by tak rzec, nic nie robi. Tego jednak nie da się wytłumaczyć faktycznym nierobom, na przykład moim rodzicom czy w ogóle członkom mojej rodziny. Z drugiej strony domyślali się wszakże, jakiego rodzaju jest to nieróbstwo wuja Georga, gdyż ich nienawiść za przyczynę miała właśnie to, że się tego domyślali, podejrzewali bowiem, że jego nieróbstwo, zupełnie inne, całkiem odwrotnie niż ich nieróbstwo, nie tylko może być dla nich niebezpieczne, lecz niebezpieczne było zawsze. W oczach tych, którzy przez nierobienie niczego rozumieją tylko faktycznie nierobienie niczego i jako nieroby również w rzeczywistości nic nie robią, ponieważ w trakcie nierobienia niczego nic w nich nie zachodzi, nierób, czyli człowiek duchowy, stanowi faktycznie największe zagrożenie, jest najgroźniejszy ze wszystkich ludzi. Nienawidzą go, bo naturalnie nie mogą nim pogardzać. Wuj Georg podobno już w wieku czterech lat wybrał się sam do odległej o dziewięć kilometrów miejscowości Haag, aby wyjaśnić całkiem obcym ludziom, że jest z Wolfsegg, ale w ogóle nie zamierza tam wracać. Mieszkańcy Haag, rzecz jasna całkowicie bezradni wobec tego dziwnego dziecka, przyprowadzili ponoć małego Georga jako najkrnąbrniejsze stworzenie, jakie można sobie wyobrazić, z powrotem do rodziców do Wolfsegg. Przez większość czasu rodzice i inni opiekunowie musieli go prawie jak małego pieska przywiązywać do Wolfsegg, żeby uniemożliwić mu ucieczki. Podobno wuj Georg już w najwcześniejszym dzieciństwie powziął postanowienie, że pozostanie w Wolfsegg jedynie tak długo, jak to będzie absolutnie konieczne.*

*Czekałem jednak na chwilę, powiedział do mnie kiedyś w Cannes, kiedy*

*rzeczywiście bez skrępowania, a to znaczy, wyposażony we wszystkie środki niezbędne do osiągnięcia całkowitej wolności, będę mógł się uwolnić od Wolfsegg. Wprawdzie Wolfsegg samo w sobie jest czymś cudownym, powiedział, ale nasza rodzina zawsze sprawiała, że przejmowało mnie dreszczem. Mój brat, a twój ojciec, powiedział kiedyś wuj Georg, jest człowiekiem słabego charakteru. W istocie to miły człowiek, ale trudno z nim wytrzymać.*

*Twoja matka zaś, a moja szwagierka, jest osóbką chciwą, która wyszła za twój ojca wyłącznie z wyrachowania. Bo sama pochodzi w gruncie rzeczy znikąd. Tego, że kiedyś, jak mówią, była ładna, dzisiaj już wcale po niej nie widać. Twój ojciec nie jest z natury łasy na pieniądze. To dopiero ona, twoja matka, obudziła w nim ową prymitywną chciwość. Ja jednak nie mogłem się z nim porozumieć; zanim jeszcze poznał twoją matkę, we wszystkim byliśmy odmienni. Oczywiście, on jest dobroduszny, jeszcze dzisiaj, ale, nie gniewaj się, głupiec z niego. Twoja matka całkowicie trzyma go pod pantoflem. A przecież jako uczeń był lepszy. Wszystko, co robił, wypadło znakomicie. Oddawał najlepsze prace. Jego lubiano, mnie nie. Zawsze miał lepsze stopnie. Mimo to, choć stale nosiliśmy takie same ubrania, ja zawsze wyglądałem bardziej elegancko niż on. Nie wiem czemu. Mówię to wyłącznie dlatego, że tak naprawdę zawsze kochałem twój ojca, a mojego brata, powiedział wuj Georg. Istotnie, kiedy po raz ostatni był w Rzymie, mówił tylko o tym, że kochał swojego brata jak żadnego innego człowieka na świecie, ba, ciągle go jeszcze kocha, gdyby tylko nie pojawiła się naraz ta kobieta, powiedział, twoja matka. Kobiety pojawiają się i pozbawiają mężczyznę, za którego w końcu wychodzą zawsze wbrew woli owego mężczyzny, jego dobrych cech, ba, jego całego dobrego charakteru, po czym niszczą go albo w najlepszym razie robią z niego pajaca. Twoja matka zrobiła z twój ojca pajaca. Mój Boże, wykrzyknął wuj Georg, jak pięknie twój ojciec mógłby się rozwinąć, gdyby był trafił na inną kobietę! Nie znam bardziej amuzycznego człowieka od twojej matki, powiedział. Chodzi do opery, ale kompletnie nie rozumie muzyki. Ogląda obraz,*



*ale kompletnie nie rozumie malarstwa. Kłamie i udaje, że czyta książki, ale w ogóle ich nie czyta. A mimo to bez przerwy papie przy stole, powiedział, i zagaduje wszystkich na śmierć tymi swoimi kompletnymi niedorzecznościami. Choć przecież powinna wiedzieć, jak to osiągnąć, żeby pieniądze robiły się same przez się, nie w taki głupi i chorobliwy sposób, jak ona to czyni i jak się tego od niej nauczył twój ojciec. Wuj Georg napomknął przy tym o swojej własnej sztuce robienia i ciągłego pomnażania pieniędzy. Trudno uwierzyć, że jesteśmy z jednej i tej samej stajni, twój ojciec i ja, mawiał często. Mnie zawsze przychodziło do głowy wiele pomysłów, mówił, twojemu ojcu nigdy żaden.*

*Ja odbywałem podróże, bo taki był mój kaprys i taka pasja, twój ojciec nigdy nie odczuwał bodaj najmniejszej potrzeby podróżowania, podróżował zawsze, bo tak wypadło, według beznadziejnych planów, jakie opracowywali dla niego inni, sami obrzydliwi ludzie, mówiący zawsze o sobie, że są znawcami sztuki. Musisz pojechać do Rzymu i iść do Kaplicy Sykstyńskiej, mówili do niego, a on wsiadał w pociąg, jechał do Rzymu i szedł do Kaplicy Sykstyńskiej. Musisz zobaczyć Giorgionego, który wisi w Accademii i nazywa się La Tempesta, mówili do niego, a on wsiadał w pociąg, jechał do Wenecji i oglądał obraz Giorgionego, który nazywa się La Tempesta. Mówili, musisz pojechać do Werony i obejrzeć grób Romea i Julii, a on jechał i oglądał. Akropol, mówili, koniecznie musisz go zobaczyć, jechał więc do Aten i oglądał Akropol. Musisz zobaczyć Rembrandta, mówili, musisz zobaczyć Vermeera, musisz zobaczyć katedrę w Strasburgu i katedrę w Metru. Jeździł wszędzie i oglądał to, co mu polecali tak zwani znawcy sztuki. A jacy straszni ludzie mu to wszystko zawsze polecali, mówił wuj Georg, te straszliwe drobnomieszczańskie pały z tytułami profesorów, wchodzące z nim w stosunki wyłącznie po to, żeby za darmo spędzić kilka dni w naszym pięknym Wolfsegg. Te okropne figury z Wiednia, które zawsze do siebie zapraszał, profesorowie uniwersytetów, historycy sztuki i tak dalej, myślał bowiem, że to są ludzie kultury. Ci obrzydliwcy z Salzburga i Linzu, swoim ohydny zapachem zatruwający Wolfsegg w weekendy, tak zwani*

filozofowie, uczeni, adwokaci, którzy go - wszyscy bez wyjątku - jedynie wykorzystywali. Przyjeżdżali do nas z całym inwentarzem i obżerali się przez weekend, plotąc przy stole te swoje pseudonaukowe bzdury. A dalej ci obrzydliwi lekarze, których sprowadzał z Vocklabruck albo z Wels. Oni tylko mieszały mu w głowie. Twój ojciec zawsze miał błędne przekonanie, że te szumne akademickie tytuły stanowią rękojmię głębokiego bogactwa duchowego. Zawsze się co do tego mylił. Ja przez całe życie nienawidziłem wszystkich tych tytułów i ludzi je noszących. Są mi tak wstrętnei, jak nic poza tym. Kiedy słyszę: profesor uniwersytetu! robi mi się niedobrze. Wszak taki tytuł jest prawie zawsze dowodem na wyjątkowo nieprzeciętnego durnia. Im bardziej niesamowicie brzmi taki tytuł, tym większy dureń go posiada. A do tego jeszcze jego żona, a twoja matka! Ona pochodzi właśnie stamtąd, gdzie zawsze wdeptywano ducha w ziemię. I w ciągu tych kilkudziesięciu lat od ślubu z twoim ojcem doprowadziła tę sztukę do jeszcze większej perfekcji. Ale twój ojciec nigdy nie był samodzielnie myślącym człowiekiem, w ogóle nie miał po temu możliwości. Zawsze podziwiał innych, o których sądził, że myślą, i pozwalał, by to ci inni za niego myśleli. Naturalnie zawsze nader wygodnie się urządzał. Jednak to wygodnictwo nie uszło mu na sucho. Nie rozwinął się. Przykro mi, powiedział wuj Georg, ale twój ojciec jest wyjątkowym głupcem. I właśnie takiego wyjątkowego głupca potrzebowała twoja matka, która zawsze była wyrachowana. Z tego punktu widzenia twoi rodzice tworzyli zawsze idealną parę, powiedział. Te słowa jeszcze bardzo wyraźnie brzmią mi w uszach, siedzieliśmy pod gołym niebem na Piazza del Popolo, i właśnie wówczas, późnym popołudniem, wuj Georg zapalał taką chęcią do rozmowy jak jeszcze nigdy dotąd, ponieważ, całkiem wbrew swoim zwyczajom, już po południu wypił kilka lampek białego wina. Właśnie dlatego, że zawsze kochałem twojego ojca, a mojego brata, zresztą nawet jeszcze dzisiaj go kocham, pozwalam sobie mówićo nim w ten sposób, powiedział wuj Georg, sam to wiesz. Zawsze życzyłem twojemu ojcu innej kobiety niż twoja matka, ale w końcu, powiedział

*nagle, patrząc na mnie z zakłopotaniem, jest to przecież twoja matka. Może to był błąd, powiedział, że dostałeś się w moje ręce. Może byłbyś bardziej szczęśliwy beze mnie, kto wie. Na to powiedziałem tylko: nie. Mieszkał w de la Ville, swoim ulubionym hotelu przy Schodach Hiszpańskich, z którego miał zaledwie kilka kroków w dół do Cafe Greco. Przynajmniej raz w roku przyjeżdżał do Rzymu, gdy Cannes zaczyna mnie drażnić, mawiał zawsze. Raz w roku Cannes go drażniło. Paryża nie lubię, powtarzał często, Rzym lubię zawsze. Również dlatego, że wiem, iż ty jesteś w Rzymie. W ukochanym mieście ma się zawsze człowieka, którego darzy się miłością, powiedział. Szkoda, że Rzym stał się taki głośny. Ale wszystkie miasta stały się głośne. Chociaż na fotografii, ukazującej moje siostry Amalię i Caecilię przed willą wuja Georga, nie było go wcale widać, oglądając tę fotografię, właściwie bez przerwy myślałem tylko o nim. Nim się zajmowałem. Usiłując dzięki niemu odwrócić swoją uwagę od telegramu z Wolfsegg, którego całej straszliwości nie potrafiłem do tej pory ogarnąć. Rodzice są martwi, ostatecznie martwi, mój brat Johannes martwy. Nie byłem jeszcze gotów uporać się z tym faktem i jego konsekwencjami. Odłożyłem to na później. Największym wsparciem byłby dla mnie w tych godzinach wuj Georg. Ale go nie było. Myśli, jaka mi się teraz nasuwa, nie powinno się nigdy pomyśleć.*

*Ułożyłem wszystkie trzy fotografie na biurku tak, że chociaż wuja Georga w ogóle na nich nie ma, jako że zdjęcie ukazuje jedynie moje obie siostry w Cannes, leżał teraz na samym wierzchu, czyli ponad moimi rodzicami, by tak rzec, jako pierwszy, a pod rodzicami mój brat Johannes. A teraz jednocześnie wszyscy są martwi. Co, zadałem sobie pytanie, łączyło ich ze sobą i ze mną? W de la Ville, gdzie wuj Georg zajmował naturalnie najlepszy i najpiękniejszy ze wszystkich pokoiów, powiedział kiedyś do mnie, że musi kochać swoją rodzinę, chociaż jest zmuszony jej nienawidzić. Dokładnie takimi słowami scharakteryzował swój stosunek do jego i mojej rodziny. Brata, mojego ojca, kochał i równocześnie nim pogardzał. Szwagierki, mojej matki, nienawidził*

wprawdzie jako swojej szwagierki, szanował ją jednak jako matkę moją i mojego brata Johannesesa. Oni dożyją bardzo podeszłego wieku, powiedział kiedyś, ci ludzie dożyją bardzo podeszłego wieku, z biegiem lat pokryją się skorupą tępoty, nie padną tak nagle jak ludzie naszego pokroju. Pomylił się. Mają przewlekle, tylko coraz bardziej wydłużające, a nie skracające życie choroby i choćby były nie wiem jak uciążliwe, nie są to choroby śmiertelne, które pojawiają się i powalają człowieka. Zainteresowania tych ludzi ich nie zniszczą, namiętności nie doprowadzą do szaleństwa, bo w ogóle żadnych nie mają. Spokój ducha, a wreszcie obojętność regulują dzień w dzień ich procesy trawienia, tak że mogą liczyć na dotrwanie do sędziwej starości. Prawdę mówiąc, nic ich na świecie nie pociąga i nic na świecie nie odpycha. W ogóle nie przekraczają w niczym miary, żeby nie mogło to ich choćby odrobinę osłabić. W chwili gdy zauważyli, że jestem elementem zakłócającym im życie, powiedział wuj Georg, wykluczyli mnie ze swojej wspólnoty, najpierw potajemnie, później jawnie.

W istocie zapłaciliby w końcu każdą, nawet najwyższą cenę, żeby się mnie pozbyć. Sam z siebie przyjąłem w Wolfsegg rolę, której nie mogli zaakceptować, byłem kimś, kto nieustannie wytykał im błędy, kimś, czyjej uwadze nie uchodziła żadna ich słabostka charakterologiczna i kto przy każdej sposobności przyłapywał ich na tych charakterologicznych słabostkach. Jakże ogromne było zdziwienie moich najbliższych, gdy pewnego dnia zwróciłem im uwagę na to, że naszych bibliotek nie otwierano już od pół roku, i gdy zażądałem, aby mnie do nich wpuszczono. Kiedy mówiłem nasze biblioteki, ludzie zawsze otwierali oczy ze zdumienia, gdyż wszyscy inni mieli w najlepszym razie jedną bibliotekę, my zaś mieliśmy ich pięć, ale z tymi pięcioma bibliotekami pozostaliśmy w znacznie bardziej zawstydzający sposób w tyle w rozwoju umysłowym, powiedział wuj Georg, niż ci, co posiadali zaledwie jedną bibliotekę. Owe pięć bibliotek, które i mnie przez całe życie przepelniały wielką dumą założył nasz praprapradziad, z pewnością nie był to żaden szaleniec, czyli jak mawiano w Wolfsegg, umysłowo

oblakany, mógł sobie na to pozwolić i chciał tego - zamiast wszędzie w naszych budynkach zakładać salony służące jedynie rozprzestrzenianiu się nudy i tępoty, założył tam biblioteki, i to z niebywałą znajomością tematu. Pewnego dnia, powiedział wuj Georg, włamałem się do tych, by tak rzec, sennych bibliotek, czego oni nie mogli mi do śmierci wybaczyć. Ale po moim wyjeździe z Wolfsegg z powrotem je zamknięto i latami nikt z nich tam nie wchodził, póki nie rozniosła się wieść, że takie biblioteki istnieją, wobec czego, by nie stracić twarzy, musieli je pokazywać zainteresowanym. W Wolfsegg długo nie używano niczego, póki naraz ja nie zabrałem się do używania wszystkiego. Siadałem na fotelach, na których przez kilkadziesiąt lat nikt nie siadał, otwierałem drzwi szaf, których przez kilkadziesiąt lat nikt nie otwierał, piłem z kielichów, których nikt nie tykał przez kilkadziesiąt lat. Ba, chadzałem po korytarzach, po których nikt przez całe dziesięciolecie nie chadzał. Od początku byłem tym zainteresowanym, przed którym musieli się mieć na baczności, powiedział wuj Georg. Zacząłem też wertować nasze stare pisma, składowane od wieków w wielkich skrzyniach na strychach, o których istnieniu oni zawsze wiedzieli, którym jednak nikt nigdy bliżej się nie przyjrzał. Bali się niemiłych odkryć. Mnie, powiedział wuj Georg, zawsze wszystko interesowało, a przede wszystkim interesowały mnie rzecz jasna nasze koligacje. Interesowała mnie historia, ale nie w taki sposób, jak ich, którzy się naszą historią interesowali, by tak rzec, wyłącznie pod kątem setek tysięcy chlubnych kart odkładanych jedna na drugą, lecz historia jako całość. Ja odważyłem się na to, na co oni nigdy się nie odważyli, zajrzałem mianowicie w głąb, na samo dno straszliwych czeluści naszych dziejów. To właśnie wywołało w nich taką wściekłość na mnie. Georg stał się wreszcie w Wolfsegg postrachem dla nich wszystkich, powiedział wuj Georg. Bali się, że dziecko, jakim byłem, mogłoby nimi zawładnąć, a nie oni nim. Moi rodzice, a twoi dziadkowie, powiedział, przykuli mnie do Wolfsegg i zakneblowali mi usta. Właśnie tego nie powinni byli nigdy zrobić. A twoi rodzice nie wyciągnęli żadnych wniosków z klęski swoich rodziców, czyli twoich

*dziadków, wręcz przeciwnie, w postępowaniu z tobą stosowali jeszcze mniej fortunne metody. Z drugiej strony jednak, powiedział, co by z ciebie wyrosło, gdyby nie zachowywali się właśnie w ten sposób, jak się zachowywali? Odpowiedź na to pytanie wydawała się zbędna, gdyż była oczywista. Kiedy cię widzę, powiedział wuj Georg, tak naprawdę widzę zawsze siebie. Rozwinąłeś się dokładnie tak samo jak ja. Zerwałeś z nimi, zszedłeś im z drogi, odwróciłeś się do nich plecami, wymknąłeś się we właściwym momencie. Podobnie jak nie wybaczyli mnie, nie wybaczyli również tobie.*

*Mój Boże, westchnął, tym, czym dla mnie jest Cannes, dla ciebie jest Rzym. W ten sposób z oddalenia możemy uporać się z Wolfsegg. Kiedy pomyślę o tych obezwładniających wieczorach z moją rodziną, w trakcie których najwspanialsze maksymy rozsypywały się w tej samej chwili, kiedy zostały wypowiedziane. Cokolwiek powiesz, nie jesteś rozumiany. O czymkolwiek napomkniesz, nie zostaje to w ogóle przyjęte do wiadomości. Jeśli już twój ojciec czyta jakąś gazetę, to jest to „Oberösterreichische Landwirtschaftszeitung”, jeśli czyta jakieś książki - to są to książki handlowe. A później, muszą bowiem wykorzystać abonament, jadą do teatru w Linzu, idą na jakąś okropną komedię i bez cienia wstydu chodzą na te śmieszne koncerty do tak zwanego Brucknerhaus, w którym przy największej głośności dominują fałszywe dźwięki. Ci ludzie, mam na myśli twoich rodziców, powiedział, nie tylko zamówili sobie abonament do teatru i na koncerty, oni mają abonament na życie, na każdy dzień, wchodzą w życie jak do teatru, na okropną komedię, bez cienia wstydu wchodzą w to swoje życie jak do odrażającego teatru, w którym słychać głównie fałszywe dźwięki, i żyją, bo tak trzeba, a nie dlatego, iż chcą żyć, nie dlatego, iż życie jest ich namiętnością, nie, żyją dlatego, że ich życie zostało zaabonowane przez ich rodziców. I podobnie jak w niewłaściwych momentach w teatrze, również w swoim życiu klaszczą w niewłaściwych momentach, i podobnie jak na koncercie, również w swoim życiu nieustannie okazują radość w momentach, w których w ogóle nie ma się z czego radować, a*

w najbardziej odrażający sposób wykrzywiają te swoje aroganckie gęby w chwilach, gdy powinni się serdecznie śmiać. I podobnie jak te abonamentowe sztuki, na które chodzą są na katastrofalnie niskim poziomie, tak również ich życie jest na katastrofalnie niskim poziomie. Z drugiej strony, powiedział, z wolna powinno się nam stawać obojętne, co oni robią, co zrobili ze swoim życiem, nie powinno nas to nic obchodzić. Ale gdzie jest powiedziane, że my sami poszliśmy dobrą drogą? My też nie jesteśmy najszczęśliwsi. Ciągle tylko poszukiwaliśmy ideałów, których jednak nie znaleźliśmy. Faktem jest, że wszyscy zawsze szukaliśmy drogi, by się do siebie zbliżyć, a w efekcie coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy im usilniejsze były nasze próby ponownego zbliżenia się do siebie, tym bardziej się od siebie oddalaliśmy. Nasze próby w tym kierunku, powiedział, kończyły się zawsze i wyłącznie rozgoryczeniem. Zawsze też dawaliśmy spokój tym próbom, bo inaczej udławilibyśmy się własnymi pretensjami, powiedział. Naszym błędem jest to, że nigdy nie pogodziliśmy się z faktem, iż Wolfsegg nas już nic nie obchodzi, że to jest ich Wolfsegg, a nie nasze Wolfsegg. My, zamiast zostawić ich w spokoju, chcieliśmy zawsze narzucić im, wmusić w nich Wolfsegg, które jest naszym, a nie ich. Zawsze mieszałyśmy się do ich Wolfsegg, chociaż byłoby lepiej, gdybyśmy pozwolili robić im, co chcą. Spłacili nas i powinniśmy byli raz na zawsze się tym zadowolić, nie mamy już prawa do Wolfsegg, powiedział. Wpatrywałem się wnikliwie w fotografię, na której moje siostry mają około dwudziestu dwu lub dwudziestu trzech lat. Ich szydercze spojrzenia wyszły im na złe, pomyślałem. Zostały same, nie miały siły wyrwać się z Wolfsegg. Pełne szyderstwa spojrzenia to była ich jedyna broń, przeciw otoczeniu, przeciw rodzicom, od których nie udało się im uciec i których wystraszyli się również pożądati przez nie mężczyźni. Moje siostry nie były piękne, nigdy, w żadnym momencie, pomyślałem. Ani nawet interesujące. Nie rozwinęły się, zostały głupimi wiejskimi dziewczuchami, jakimi były wówczas. Zaledwie dwadzieścia lat później te szydercze twarze nie wyglądają już świeżo, są ściągnięte wieloma

zmarszczkami zgorzknienia. Właściwie są dość brzydkie. Może Caecilia jest bardziej dobrodusznna od Amalii. Do chciwości odziedziczonej po matce doszło potem zgorzknienie. Początkowo obie wydawały się muzykalne, wobec czego wuj Georg usiłował wykierować je na pianistki, co było żalosalną próbą, która musiała skończyć się porażką. Brakowało im wytrwałości, muzyka była im zresztą obojętna, wskutek czego muzykalność gdzieś się rzecz jasna ulotniła, wystarczyło jej zaledwie na drugą obsadę w chórze kościelnym. Matka już od czwartego, piątego roku ich życia ubierała je zawsze w tak samo skrojone chłopki o jednakowym deseniu, w których z czasem musiały zwiędnąć. Obie są chorowite, ale to chorowitość odziedziczona po matce, rokująca długie życie. Nieustannie pokaszują, nie znam ich innych, najpierw kaszlą w Wolfsegg z góry na dół, a potem znowu z dołu do góry, ale tego kaszlu nie należy brać poważnie, nie jest to kaszel śmiertelny, to tak, jakby ten kaszel był ich jedyłą pasją, ich najbardziej ulubioną rozrywką w życiu. W tym kaszlu, jak się zdaje, utonął talent muzyczny moich sióstr. Pokaszują też nieustannie w towarzystwie. Nie mają nic do powiedzenia, więc bez ustanku pokaszują. Każda nosi na szyi odziedziczony po babce srebrny łańcuszek, a kiedy je spytać, kim są, ich pierwsze słowo brzmi: katoliczkami. Obie posyłano na kursy gotowania do Bad Ischl, myślano bowiem, że nauczą się tam podstaw cesarskiej kuchni, ale żadna z nich nie nauczyła się w Bad Ischl gotować, gotują jeszcze gorzej niż nasza matka, która kompromituje się zawsze wtedy, gdy kucharka jest na urlopie w Aschau nad Dunajem. Kartoflanka to jedyne, co nasza matka umie dobrze ugotować. Nikt z nas jednak nie lubi kartoflanki. Tylko mój ojciec wprost ją uwielbia, tak w każdym razie twierdzi. Moje siostry były zawsze, jak to się mówi, dobrze wychowane, co nie zmienia faktu, że były też najbardziej przebiegłymi sztukami, jakie można sobie wyobrazić. Gdy jedna brała książkę, druga wytręcała jej ją z ręki. Nigdy nie widywało się ich osobno, zawsze we dwie. Jest między nimi rok różnicy, ale uchodzą za bliźniaczki. Jeśli mówię, że je kochałem, nie znaczy to, że w takim samym stopniu nie czułem do nich



nienawiści. Kiedyśmy dorośli, naturalnie bardziej ich nienawidziłem, niż je kochałem, z biegiem czasu została być może, tak sobie myślę, jedynie nienawiść. One zawsze były rozczarowane moją osobą. O swoim bracie, o ile mi wiadomo, wypowiadały się wyłącznie bardzo źle, przede wszystkim w towarzystwie, co, jak musiały zakładać, mogło mieć dla mnie fatalne skutki. Czegóż to one nie wymyślały, żeby mnie poniżyć! Głupcy zawsze wywierają na otoczenie znacznie bardziej destrukcyjny wpływ niż inni, myślę. Zawsze kochałem siostry, co nie znaczy, że również zawsze ich nie przeklinałem. Matka od samego początku przywiązała je do siebie i już ich nie puściła. Nie wolno im było podróżować, chodzić na bale i nawet gdy zbliżały się już do dwudziestki i chciały na przykład iść na tak zwany targ czwartkowy do Lambach, nadal musiały prosić o pozwolenie. Otrzymywały wyłącznie tyle kieszonkowego, żeby ich wybryki nie mogły być zbyt wielkie, wystarczało tego przeważnie na napój i kromkę chleba. Buty na miarę robił im zasadniczo tylko szewc ze Schwanenstadt, który szył buty już naszym dziadkom, wskutek czego zawsze były niemodne, a z czasem spowodowały, że moje siostry chodziły niezdarnym krokiem, który został im także później, kiedy miały już możliwość kupowania sobie butów w Wiedniu. Nie umiem powiedzieć, która z nich dwu jest inteligentniejsza. Nie umiem powiedzieć, czy Caecilia ma lepszy gust niż Amalia. Nie umiem powiedzieć, czy Amalia wie więcej od Caecilii. Mają tak podobne głosy, że trudno rozpoznać, która z nich woła, jeśli właśnie któraś woła.

Ponieważ z reguły pokazywały się zawsze razem i żadna z nich, jak się zdaje, nigdy nie czuła potrzeby oderwania się od drugiej, bardzo długo nie mogły znaleźć odpowiedniego mężczyzny. Ba, myślę nawet, że nigdy nie myślały o zamążpójściu, aż Caecilia w ubiegłym roku pojechała do Schwarzwald. Do Titisee, gdzie mieszka nasza stara ciotka. Tam poznała fabrykanta kapsli do wina. Caecilia wyszła za mąż, ściągając tym na siebie nienawiść swojej siostry Amalii. Amalia wyprowadziła się z głównego budynku i przeniosła do pawilonu ogrodowego. Po ceremonii zaślubin w kościele jedynie na chwilę pojawiła się

*na odbywającym się zaraz potem tak zwanym przyjęciu weselnym, wkrótce jednak wyszła i nikt jej więcej nie widział. Znając ją, myślę, że w ogóle przestała wychodzić z pawilonu ogrodowego. Aż do wiadomości o śmierci. Ponieważ teatralność jest u niej cechą znacznie bardziej wyrazistą niż u siostry, pewnie z krzykiem wypadła z pawilonu i wbiegła do głównego budynku, jak myślę. Prawdopodobnie w chwili nieszczęścia mąż Caecilii był jeszcze w Wolfsegg, zamierzał bowiem dopiero za dwa tygodnie wrócić do Scharzwaldu i Fryburga. Powiadają, że ciotka z Titisee, jak to się mówi, wyswatała Gaecilię.*

*To typowe dla Caecilii, że pomyślała, iż również po ślubie będzie mogła zostać w Wolfsegg. Ile samozaparcia musiało matkę kosztować, by ją przekonać, że powinna pojechać z mężem do Fryburga, wszakże nasza matka poprzysięgła sobie w głębi duszy, iż nigdy nie wypuści żadnej z moich sióstr z Wolfsegg, ponieważ przez całe życie bała się samotności. Obie córki miały zostać z nią w Wolfsegg, a to dlatego, żeby kiedyś, jak pewnie myślała, straciwszy jedną z nich, nie musiała zostać całkiem sama.*

*Matka była zawsze osobą dalekowzroczną, przede wszystkim zaś zawsze, w pierwszym rzędzie, brała pod uwagę wszystko, co się tyczyło jej własnej przyszłości. Utratę męża, mojego ojca, wkalkulowała już od dawna, gdyby obaj synowie wyjechali kiedyś z Wolfsegg, wtedy zawsze jeszcze zostaną mi córki. Taki był jej zamysł, który nawet rozwijała dalej: jeśli odejdzie jedna córka zostanie mi jeszcze druga. Była zła na Caecilię, co zresztą pozwalała sobie okazywać podczas wszystkich dni weselnych, ale wystrzegła się, z całą właściwą sobie przebiegłością, publicznego okazywania złości i nagłej nienawiści do odszczepieńczej córki, wręcz przeciwnie, przy każdej sposobności udawała, że bardzo się cieszy z tego szczęśliwego związku, jak się o nim co chwila wyrażała. Dopiero teraz jest szczęśliwą matką, którą zawsze pragnęła być, mówiła, dla wtajemniczonych było to naprawdę odrażające. Potem kazała się jeszcze fotografować zięciowi we wszystkich możliwych zakątkach Wolfsegg, ona, która nigdy nie pozwoliła się sfotografować, by tak rzec, obcemu, we*

wszystkich możliwych śmiesznych, a nawet bezwstydnym pozach, jak myślę, i co chwila obejmowała zięcia, prosząc któregoś ze stojących dookoła ludzi, by sfotografowali ich tak objętych. Podczas wesela jej sztuka aktorska sięgnęła niewątpliwie najwyższych wyżyn. I to właśnie ze Schwarzwaldu! wołała. Zawsze kochałam Fryburg! I Titisee! Jej brak dobrego smaku przechodził wszelkie granice. W głębi duszy niczego nie pragnęła bardziej niż rychłego rozpadu związku Caecilii z tym jej dość głupkowskim małżonkiem, który przypuszczalnie sam nie wie, jak do tego wszystkiego doszło, obojętnie z jakich przyczyn. Sposób myślenia matki nigdy nie był subtelny. Jest bardzo prawdopodobne, jak sądzę, że ciotka z Titisee zemściła się na matce, doprowadzając do ślubu swojej bratanicy Caecilii z fabrykantem kapsli do wina, nic bowiem nie jest bardziej oczywiste od tego, że za to groteskowe małżeństwo winę ponosi ciotka z Titisee. Nigdy nie lubiła mojej matki, teraz więc święciła triumfy. Podczas gdy matka ciągle w najobrzydliwszy sposób pozowała w trakcie tego wesela, z całą pewnością miała już pomysł, jak by tu co rychlej zniszczyć to niepożądane przez nią małżeństwo, myślę. W jej głowie już pracował mechanizm zniszczenia, chociaż ciągle jeszcze prezentowała obecnym gościom weselnym obraz matki nad wyraz tym małżeństwem uszczęśliwionej. Że też wuj Georg tego nie dożył! wykrzykiwała. W ciągu tych wszystkich dni mój ojciec zachowywał się dość obojętnie, załatwiał różne sprawy, większość czasu spędzał na folwarku i w lesie, takie uroczystości zawsze budziły w nim obrzydzenie i znosił je cierpliwie tylko ze względu na swoją żonę oraz dlatego, że zawsze go do tego zmuszała. Przez cały czas był, jak to się mówi, uosobieniem spokoju. Nie mogłem opędzić się od myśli, że naraz się postarzał, opadł z sił, stracił wszelkie zainteresowania. To nie znaczy jednak, że bym mu współczuł. Z siostrami miałem, jak sądzę, normalne, choć nie nazbyt dobre stosunki w dzieciństwie, zawsze złe stosunki w wieku dorosłym, a teraz, po śmierci rodziców i Johannesesa, bałem się spotkania z nimi oko w oko. Będą się starały wszystko mi utrudnić, pomyślałem. Nie wytrzymam tych szyderczych na fotografii, później zaś zgorzkniałych spojrzeń,

*sposobu mówienia moich sióstr, ich sposobu chodzenia, ich sposobu ubierania się i ciągłych wybuchów przy każdej okazji, mających na celu obwinianie mnie o coś, o co nie mają podstaw mnie obwiniać. Zawsze oskarżały mnie, że opuściłem Wolfsegg, że obraziłem rodziców, że mniej lub bardziej śmiertelnie ich zraniłem, a teraz, po ich śmierci, będą mnie na pewno nękały z jeszcze większą natarczywością. Nie cofną się przed żadnym oskarżeniem, choćby najbardziej absurdalnym, najpodlejszym, pomyślałem. Na nic się zda moja powściągliwość ani to, że w miarę możliwości będę schodził im z drogi, nieustannie tam będą, by całą winę przypisać właśnie mnie. Mnie i, nawet już tak dawno po jego śmierci, wujowi Georgowi. Przy każdej okazji będą mówić, że to ja doprowadziłem rodziców do szaleństwa, do obłądu, że to ja ich śmiertelnie zraniłem. Chociaż to w ogóle nie ma nic wspólnego ze mną. Już za życia rodziców zawsze byłem winien ich nieszczęścia, i nie tylko nieszczęścia rodziców, lecz również nieszczęścia sióstr. To, że ja, tak brzmi teoria moich sióstr, odszedłem z Wolfsegg i odwróciłem się do niego plecami, sprawiło między innymi, iż to one zostały przykute do Wolfsegg i musiały w Wolfsegg zwiędnąć, nie mogąc się w ogóle rozwinąć, nie mogąc wyjść za mąż etcetera. Że cała atmosfera w Wolfsegg przez ostatnie dwadzieścia lat, czyli dokładnie od momentu, kiedy odszedłem z Wolfsegg i wreszcie wyjechałem do Rzymu, stała się ponura, straszliwie ponura. Że ojciec, a także Johannes zachorowali, a matce do nieustannej migreny przyplątała się jeszcze choroba żołądka i nerek. Że stan zdrowia wszystkich tak bardzo się pogorszył. Że w Wolfsegg przestano cokolwiek odnawiać. Nawet to, że w ciągu tych dwudziestu lat nie reperowano dachów, jest ponoć moją winą, zawsze gdy deszcz wpadał do środka i musiały biegać ze szmatami i kubłami na strych, by wycierać wodę - to też była moja wina. Że dawniej, gdy jeszcze mieszkałem w Wolfsegg, było zawsze tak wesoło, a od chwili mojego wyjazdu do Rzymu już nie. Ni stąd, ni zowąd przestano na przykład słuchać w Wolfsegg muzyki. Wolfsegg zamilkło, powiedziała kiedyś do mnie Amalia” przez ciebie, przez twój dziki upór, który pognał cię do Rzymu,*

*bo, jak ośmieliła się powiedzieć, nie mam poczucia odpowiedzialności, nie kocham rodziców, zawsze ich nienawidziłem, zawsze nienawidziłem, podczas gdy one rodziców zawsze kochały. Całe pieniądze, które należały się również siostronom, rodzice, by tak rzec, wpakowali we mnie, a im je zabrali. To ja wskutek swojego kosztownego trybu życia, powiedziała Caecilia, uszczupliłem ich wydatki na życie, i na koniec ja również ponoszę winę za to, że ich spadek coraz bardziej traci na wartości etcetera. Posunęły się nawet do stwierdzenia, iż tylko z tego powodu studiowałem, wyszukując sobie w tym celu najdroższe uczelnie w Europie, by im, moim siostronom, przykrócić cugli. Dlaczego musi to być Londyn, Oksford, pytały ciągle, skoro mógłby być Innsbruck?*

*Nieustannie, odkąd sięgam pamięcią, nazywały mnie swoim bratem megalomanem, który trwoni ich pieniądze, chociaż były to pieniądze moje, a co najwyżej, można powiedzieć, pieniądze rodziców.*

*Chodzę zawsze w najdroższych ubraniach, podczas gdy one z powodu mojej manii wielkości są zmuszone nosić najzwyklejsze rzeczy. Ty jesteś winien temu, że chodzimy w takich szmatach, powiedziała kiedyś Amalia. Najpierw zwały za wszystko winę na wuja Georga, później na mnie. Nawet brat nie zawahał się zrobić mi zarzutu z trybu życia, jakie prowadzę. Wolfsegg nie jest w stanie finansować mnie w tak rozrzutny sposób, oto jego słowa. Nie wierzyłem własnym uszom, ale usłyszałem to bez wątpienia właściwie. Z reguły moje rodzeństwo przekazywało tylko dalej uwagi rodziców, jakich musiało wysłuchiwać przez cały rok, a kiedy byłem w Wolfsegg, bez najmniejszych hamulców dawało upust zjadliwości pod moim adresem. Siostry i brat przez cały czas określali moje życie jako nikomu nieprzydatne, a o moim istnieniu mówili bez ogródek, że jest najzbędniejsze z możliwych, i próbowali odwieść rodziców od wysyłania mi comiesięcznych czeków, a w każdym razie domagali się drastycznego ukrócenia tego procederu. Nieustannie nastawali na to, by rodzice, jak sam kiedyś usłyszałem, rozprawili się ze mną krótko i nie pozwolili wodzić się za nos, jak wyraziła się moja siostra Caecilia podczas którejś z*

*popołudniowych herbatek pitych z matką w tak zwanej Salettl, gdzie całkiem przez przypadek pojawiłem się wcześniej, niż to zapowiedziałem. Nieustannie musiałem doświadczać ich bezczelności wymierzonej we mnie, potajemnie lub nie, dręczyła ich, odkąd sięgam pamięcią, myśl, że otrzymuję więcej od nich, więcej, niż mi się należy, i prowadzę, ich zdaniem, lepsze i przyjemniejsze życie, co mi się, ich zdaniem, nigdy nie należało. Kim on jest? pytały co chwila moje siostry, co on sobie wyobraża?*

*Jeśli milczałem przy stole, miały mi to za złe, jeśli zaś odzywałem się przy stole, też miały mi to za złe.*

*Ciągle milczysz, mówią z pretensją, albo ciągle gadasz. Kiedy zostawałem w domu, chciały koniecznie wiedzieć, czemu nie wychodzę, gdy natomiast wychodziłem, dopytywały się, czemu nie siedzę w domu?*

*Jeśli wkładałem jasny garnitur, życzyły sobie, bym włożył ciemny, jeśli miałem na sobie ciemny, chciały mnie widzieć w jasnym. Jeśli rozmawiałem z miejscowym lekarzem, mówiły z wyrzutem. ciągle tylko rozmawia z tym lekarzem, ciągle namawia się z nim przeciw nam. Kiedy przestawałem rozmawiać z lekarzem, mówiły, nawet z lekarzem nie porozmawia. Jeśli mówiłem, że wolę Rzym od Paryża, natychmiast oznajmiały, iż tylko dlatego chwalebę Rzym, że one go nienawidzą. Jeśli mówiłem: nie chcę mącznych potraw, odnosiły moją wypowiedź o mącznych potrawach do siebie, chociaż ja, wypowiadając się o potrawach mącznych, wcale nie myślałem o moich siostrach, ale niezależnie od tego, co mówiłem, słyszały zawsze, że wypowiadam się przeciw nim. Z czasem, już choćby z tego powodu, nie mogłem wytrzymać w Wolfsegg. Jeśli miałem ochotę jechać nad jezioro, zarzucały mi, że ciągle jeżdżę nad jezioro, co było absurdalne, gdyż co najwyżej raz w roku przychodziła mi ochota, by pojechać nad jezioro, w odróżnieniu od mojego brata, który rzeczywiście nieustannie jeździł nad jezioro, to znaczy co dwa, trzy dni, latem jeszcze częściej, ale nawet przez myśl im nie przeszło obwiniać z tego powodu brata.*

*Gdy szedłem do lasu, byłem w ich oczach wariatem, ale jeśli brat szedł do lasu, uważały, że to całkiem normalne. Gdy raz jeden zamówiłem w gospodzie martini, powiedziały natychmiast, on zamawia zawsze drogie martini. Kiedy przysyłałem im widokówki z jakiejś miejscowości, natychmiast mówiły, przysyła nam te widokówki tylko po to, by nam dokuczyć. On może pozwolić sobie na podróż do Cannes, do Lizbony, do Madrytu, do Dubrownika, my nie. Tak więc dość wcześnie odzwyczaiłem się od przysyłania im widokówek. Kiedy jednak przestały otrzymywać ode mnie widokówki, mówiły, nie przysyła nam widokówek, jest na to zbyt skąpy. Przez całe pięć, sześć dni potrafiły być na mnie złe, iż zimą w największy mróz wietrzę swoje pokoje, by się nie udusić, zarzucały mi, że otwierając okna, marnotrawię ich pieniądze akurat teraz, gdy tak krucho z pieniędzmi, a drewno jest takie drogie. Nigdy mi nie wybaczą, że wietrzę pokoje zimą, chociaż ja w niewietrzonych pokojach nie potrafię żyć, by nie wspomnieć już o zajmowaniu się pracą umysłową. Wolałyby chyba same się podusić niż przyjąć do wiadomości, że wietrzę pokoje w Wolfsegg, gdzie bez problemu wystarczy dREW na opał jeszcze przynajmniej na tysiąc lat. Gdy po raz pierwszy przyjechałem z Rzymu do Wolfsegg, przekonany głęboko, że jestem tu nadzwyczaj radośnie oczekiwany, zaraz na początku napomknąłem, jak wspaniały jest Rzym w lutym, kiedy to lekko ubranym można siedzieć pod gołym niebem przed kawiarnią i popijać kawę. Wtedy one natychmiast się rozzłościły, że w lutym popijam sobie w Rzymie kawę pod gołym niebem, a potem cały czas robiły mi wyrzuty, iż zawsze siedzę pod gołym niebem i popijam kawę, gdy tymczasem one nie tylko w lutym, ale przez cały rok muszą ciągle pracować. Czy ty w ogóle wiesz, ile roboty jest w Wolfsegg! pytały co chwila. Nie możemy sobie na nic, ale to na nic pozwolić. Ty żyjesz w luksusie, a my tutaj harujemy, by utrzymać Wolfsegg! Przez dwadzieścia lat, od kiedy wyprowadziłem się z Wolfsegg, moje siostry nabrały nawyku używania wobec mnie obrzydliwie protekcyjnego tonu, którego po prostu nie mogę znieść. Musisz latać, skoro pociąg kosztuje tylko jedną trzecią tego co bilet na samolot? perswadowała mi*

ostatnim razem matka, a siostry natychmiast z całą podłością zgodziły się z tym kuriozalnym zarzutem. Podobnie jak już w najwcześniejszym dzieciństwie razem z matką występowały przeciw mnie, tokując tymi swoimi jasnymi i piskliwymi głosikami, tak samo i teraz występują przeciw mnie, tokując obrzydliwymi podstarzałymi głosami, od których za każdym razem, gdy muszę ich słuchać, głowa mi pęka. Matka mówiła coś niegodziwego, a siostry bezmyślnie to podchwytywały, w trójnasób zwiększając wagę tej niegodziwości. Nigdy nie ośmieliłbym się pokazać Gambettiemu takiego okropnego Wolfsegg, myślę, więc lata całe strzegłem się, by go tu nie zapraszać.

Wszystko, co do tej pory opowiadałem mu o Wolfsegg, myślę, to perwersyjnie niewinne sprawy w porównaniu z panującymi tam rzeczywistymi i faktycznymi stosunkami. Za żadną cenę nie powinienem był nigdy dopuścić, żeby Gambetti zajrzał do tego oszalałego piekła. We wsi też nikt moich sióstr nie lubił; do moich uszu zewsząd dobiegały same okropieństwa na ich temat. Moja matka również nie była chętnie widziana w tej miejscowości. Jednakże ojca ludzie cenili, ubolewając w głębi duszy, że musi żyć z taką kobietą i takimi córkami. A z moim bratem Johannesem pracowali razem w naszym gospodarstwie rolnym i leśnym, ale nie wiem, czy robili to z ochotą. Johannes nie był jednak człowiekiem całkiem nieprzystępnym. W rzeczywistości nie zachowywał się aż tak wyniośle, jak go o to pomawiano. Ale jego sposób bycia nie należał do zbyt miłych. Bardziej wskutek nieśmiałości niż wyniosłości zachowywał się cały czas arogancko, chociaż arogantem nie był. W przeciwieństwie do matki i sióstr odnosił się, podobnie jak ojciec i zresztą jak ja sam, ze zrozumieniem i życzliwością do okolicznej ludności, umiając ją sobie przede wszystkim zjednać. Za to moich sióstr, co spokojnie mogę powiedzieć, nikt nie lubił.

Nigdy zresztą nie podjęły nawet żadnej próby, by je polubiono. To, iż nawet w średnim wieku nadal pokazywały się zawsze we dwie, było nie tylko bardzo śmieszne, lecz także odpychające, nie tylko groteskowe, lecz także



*naprawdę wstrętne. I że również w średnim wieku nadal się tak samo ubierały. Po dziś dzień są wciąż marionetkami w rękach swojej matki, marionetkami wydającymi z siebie straszliwie piskliwe głosy. Jeśli się kiedykolwiek zgodziły zacerować mi skarpetki, to cerowały je takimi wielkimi ściegami, że skarpetki nie nadawały się do noszenia, a poza tym cerowały nitkami w kolorach w ogóle niepasujących do koloru skarpetek, na przykład najspokojniej w świecie cerowały zielone skarpetki czerwoną wełną i były głęboko urażone, kiedy zamiast podziękować, pełen odrazy rzucałem im tę okropną robotę pod nogi. Zawsze też wydawało mi się szczególną głupotą to nieustanne noszenie przez moje siostry dziwnie niegustownych strojów ludowych z Górnej Austrii, odrazę budziły we mnie również tak zwane chłopki, które dwa razy do roku szła im krawcowa mojej matki. Kiedy przyjeżdżałem z Rzymu do Wolfsegg, a one wychodziły mi naprzeciw w owych chłopkach, za każdym razem z trudem się opanowywałem, żeby już w pierwszej sekundzie nie być napastliwym. Jako małe dziewczynki nosiły warkocze, później upinały sobie włosy w walek z tyłu głowy. Te jasne wálki z czasem im posiwiały.*

*Przypominam sobie też, że już jako małe dziewczynki nie potrafiły znieść widoku mnie siedzącego w ogrodzie z książką. Nie dawały mi spokoju, nazywały, co zawsze napawało mnie szczególną odrazą, zmarnowanym geniuszem, które to określenie przejęły ze słownika naszej matki, i tak długo wykrzykiwały mi to bezwstydnego określenie nad głową, że wreszcie ciskałem książkę i podrywałem się z miejsca, by uciec i zaszyć się w swoim pokoju. Szukam jakiegoś radosnego rysu w moich siostrach, ale nic takiego nie znajduję. Po namyśle mógłbym pewnie opowiedzieć o nich parę rzeczy, które ukazałyby je w jaśniejszym świetle, ale jest ich tak niewiele w porównaniu z okropieństwami, jakie mnie z siostrami wiążą, że to niewarte wzmianki. Muszę się przyznać, że moja prawda o nich, które przez całe życie tylko mnie dręczyły, zazdroszcząc mi nawet oddechu, bynajmniej mnie nie przeraża. Rażącym fałszem byłoby, gdybym teraz przemilczał wszystkie te podłości i okrucieństwa*

z ich strony. Nie zasługiwałyby na to, a i ja sam bym na to nie zasługiwał. Kilka razy do roku dla odświeżenia i gwoli własnej uciechy kupowałem sobie jeden z owych słomkowych kapeluszy, jakie na Zatybrzu oferują zawsze za bezcen, aby można było jak najlepiej ochronić się przed rzymskimi upałami, w niektóre dni naprawdę nie do zniesienia. Kiedy raz przyjechałem w takim tanim kapeluszu do Wolfsegg, czyli, jak wówczas jeszcze myślałem, *do domu, moja matka zażądała wytłumaczenia wyłącznie z powodu kapelusza, który miałem na głowie. Czy to konieczne, bym kupował sobie taki drogi słomkowy kapelusz, skoro mamy taki katastrofalny kryzys gospodarczy i ledwo można utrzymać Wolfsegg? To tylko przykład potworności członków mojej rodziny, którzy gdy się teraz zastanawiam, chyba w ogóle nie znali takich słów jak wstyd, wrażliwość, zrozumienie. I którzy nigdy nie odczuwali najmniejszej konieczności poprawy, lecz już kilkadziesiąt lat temu stanęli wszyscy co do jednego w miejscu, najzupełniej się tym zadowolając. Kiedy ja zawsze z całych sił starałem się doskonalić, mierzyłem się ze wszystkim i brałem na swoje barki wszystko, z czym należało się zmierzyć i co należało na swoje barki brać, oni nie podejmowali najmniejszych wysiłków w tym kierunku. Podobnie jak ludzie z wyższym wykształceniem są w większości zdania, że po ukończeniu studiów akademickich spełnili obowiązek wobec własnej osoby i nie muszą dalej dążyć do pogłębiania wiedzy, możliwości poznania i kształtowania charakteru, uważając, że osiągnęli już szczytowy punkt swojego życia, jak myśli na przykład większość lekarzy, których znam, tak i członkowie mojej rodziny po ukończeniu gimnazjum, tak zwanego humanistycznego, nie sięgali wyżej i dożywotnio zatrzymali się na tym w istocie absolutnie niezadowolającym poziomie. Czymś okropnym jest nastawienie pozwalające myśleć, iż nie ma już potrzeby duchowego wzbogacania siebie, a pogłębianie wiedzy, wszystko jedno jakiej, jest już zbędne, ciągle zaś doskonalenie charakteru to strata czasu. Oni przestali pogłębiać swoją wiedzę i doskonalić charaktery prawie zaraz po ukończeniu gimnazjum, a więc, nie mając jeszcze dwudziestu lat, poniechali wszelkiej pracy*

*nad sobą i wskutek prostackiej, zawyżonej samooceny zadowolili się tym, co już osiągnęli. Gdy na przykład wuj Georg przez całe życie dążył do pogłębiania swojej wiedzy, do kształtowania charakteru, do pełnego, bezgranicznego wykorzystania własnych możliwości, oni się tym w ogóle nie zajmowali, i to w sytuacji, kiedy nie osiągnęli nawet najniższego stopnia rozwoju, jaki można by zaakceptować. Zaniechali tego jeszcze przed dwudziestką, muszą to wyraźnie powiedzieć, niczego nie przyswajali, nie zadawali sobie najmniejszego trudu, by się doskonalić. A przecież to takie oczywiste, że człowiek pogłębia swoją wiedzę, doskonali i wyrabia charakter tak długo, póki istnieje.*

*Kto bowiem przestaje pogłębiać swoją wiedzę i kształtować charakter, a więc pracować nad sobą, by rozwinąć jak najszerszej swoje możliwości, przestaje żyć, a oni wszyscy przestali żyć już około dwudziestego roku życia, od tej pory tylko nędznie wegetują, co muszą powiedzieć, naturalnie sami dla siebie, aż do przesyty. Raz na sto lat, myślę, udało im się wydać na świat takiego człowieka jak wuj Georg, o takim nadzwyczajnym charakterze, i właśnie człowieka tego nadzwyczajnego charakteru prześladowali, póki żył, z niechęcią i nienawiścią. Gdy oglądam fotografie, na których są ukazani, myślę, że mogli zrobić ze sobą wiele, może nawet niesłychanie dużo, ale z czystego wygodnictwa nie zrobili nic.*

*Zadowolili się codziennym, nudnym sposobem życia, który nie wymaga od nich nic ponad tradycyjne, wrodzone im otępienie. Niczego nie zaryzykowali, niczego nie postawili na jedną kartę, już w najmłodszych latach, jak to się mówi, pozwolili sobie na upadek. Nigdy nie zrobili użytku ze swoich możliwości, jakie niewątpliwie były im dane, podobnie zresztą jak wszystkim ludziom. A jeśli którekolwiek z nich zrobiło kiedyś użytek ze swoich możliwości, jak wuj Georg, by nie mówić tu od razu o mnie, dręczyli go brakiem zrozumienia i życzliwości. Moje siostry zatrzymały się w miejscu w momencie wyjścia z gimnazjum. Z wysoko podniesionymi głowami opuściły gimnazjum, trzymając w rękach świadectwa ukończenia szkoły niczym dożywotnio ważną kartę gwarancyjną na*

coś nadzwyczajnego, chociaż w najlepszym wypadku chodziło o kartę gwarancyjną na nadzwyczajną ograniczoność, i zatrzymały się w miejscu. Dzisiaj, mając bez mała po czterdzieści lat, pozostają na poziomie dziewiętnastolatek i wszystko w nich jest właściwie dość śmieszne oraz, w ich wieku naturalnie, w ogóle nie godne ubolewania, lecz niesmaczne. Ale także nasz ojciec zatrzymał się w miejscu bardzo wcześnie, po ukończeniu tak zwanej zasadniczej szkoły ciesielskiej, do której uczęszczał w wiedeńskim Neustadt; pomyślał sobie, że osiągnął szczytowy punkt swojego życia, i od tej pory już tylko słabł. W wieku dwudziestu dwu lat zatrzymał się w miejscu, by skostnieć i zmarnieć. Również mój brat Johannes zatrzymał się w miejscu tego dnia, gdy skończył szkołę leśniczą w Gmunden, i już się dalej nie rozwinął. Podobnie jak dziewięćdziesiąt procent ludzkości, także on sądził, iż dobre świadectwo ostatniej szkoły, do której uczęszczał, to szczytowy punkt jego życia. Tak uważa większość ludzi, można zwariować. Wychodzą ze szkoły, zatrzymują się w miejscu i przestają się wysilać. I. można by tak powiedzieć, zapadają się w sobie. A niewysilający się człowiek jest bez wątpienia wstrętny, patrząc na kogoś takiego, nie możemy obserwować go bez największej niechęci. Przygnębia nas, z czasem zaś nie tylko unieszczęśliwia, lecz doprowadza do wściekłości. Występujemy przeciwko niemu, chociaż to nic nie pomaga. Ludzkość, jak się zdaje, wysila się tylko dopóty, póki oczekuje swoich idiotycznych świadectw, którymi potem może się szczycić publicznie, a gdy już ma wystarczająco dużo takich świadectw w ręce, zaniedbuje się. Przytłaczająca większość ludzi żyje tylko po to, by zdobywać świadectwa i tytuły, z żadnego innego powodu, a zdobywszy wystarczającą ich zdaniem liczbę świadectw i tytułów, spoczywa na laurach. Ludzkość, jak się zdaje, nie ma innego celu w życiu. Jak się zdaje, nie przejawia w ogóle zainteresowania własnym, niezależnym życiem, własnym, niezależnym istnieniem, interesują ją tylko owe świadectwa i tytuły, pod których ciężarem, jak się zdaje, dusi się już od wieków. Ludzie nie dążą do niezależności i w ogóle samodzielności, nie dążą do własnego naturalnego rozwoju, tylko do

zdobycia świadectw i tytułów, i gdyby wręczać je im i dawać bez jakichkolwiek warunków, w każdej chwili oddaliby życie za te świadectwa i tytuły, taka jest naga i przygnębiająca prawda. Tak mało cenią życie samo w sobie, że istnieją dla nich tylko świadectwa oraz tytuły. Wieszają te świadectwa i tytuły na ścianach swoich mieszkań, wiszą one w mieszkaniach rzeźników i filozofów, pomocy kuchennych, adwokatów i sędziów, którzy przez całe życie wpatrują się w te świadectwa i tytuły wzrokiem pełnym pożądliwości, jakiej ich oczy nabrały od nieustannego wpatrywania się w owe świadectwa i tytuły. W istocie nie mówią o sobie, jestem takim a takim człowiekiem, lecz jestem takim a takim tytułem, jestem takim a takim świadectwem. I nie utrzymują kontaktów z takim a takim człowiekiem, lecz tylko z takim a takim świadectwem i z takim a takim tytułem. Możemy więc spokojnie stwierdzić, że w rodzie ludzkim obcują ze sobą nie ludzie, ale wyłącznie świadectwa i tytuły, ludzie są w rodzie ludzkim, brutalnie mówiąc, nieistotni, ważne są tylko tytuły i świadectwa. Już od wieków nie widuje się ludzi, tylko tytuły i świadectwa. W kawiarni nie spotyka się pana Hubera, lecz tytuł doktora Hubera, na obiad nie idzie się z panem Maierem, lecz z magistrem inżynierem o tym nazwisku. Każdy z nich uważa, że osiągnął swój cel, jak się zdaje, dopiero wtedy, gdy nie jest już człowiekiem, lecz magistrem inżynierem, gdy nie jest już, jak sądzi, tylko panią Muller, lecz panią radczynią sądową. A do swoich biur też nie przyjmują panienek, lecz świetne świadectwa. Owa żądza świadectw i tytułów jest wprawdzie rozpowszechniona w całej Europie, ale niewątpliwie w Niemczech, a zwłaszcza w Austrii, osiągnęła porażający poziom niesamowitości i groteski. Dopiero niedawno powiedziałem do Gambettiego, że Austriacy i Niemcy nie cenią ludzi, tylko tytuły i świadectwa, ba, posuwają się do tego, by sądzić, że człowiekiem można stać się dopiero wtedy, gdy otrzyma się świadectwo lub dostanie tytuł, przedtem bowiem nie jest się człowiekiem. Gambetti uznał moją opinię za zbyt skrajną, nazwał ją przesadzona, ale ja jeszcze w trakcie naszych lekcji udowodnię mu, że w żadnym razie nie przesadzam i że to zjawisko dotyka nie tylko Austrii, jak znów zacząłem

*myśleć, lecz całej Europy, a z zastraszającą szybkością szerzy się również na całym świecie. Jednakże owa żądza posiadania świadectw i tytułów nie jest naturalnie wymysłem tego stulecia, ludzie zawsze czuli taką żądzę. Ponieważ sami zbyt nisko siebie cenili, pewnego dnia, już przedwiekami, zaczęli podawać się za świadectwa i tytuły, by móc sobie samym spojrzeć w oczy. Wuj Georg powtarzał bardzo często: zawsze kiedy jadę do Austrii, sądzę, siedząc w pociągu, że w przedziale siedzą wyłącznie tytuły profesorów i doktorów, a nie ludzie, że po ulicach chodzą wyłącznie świadectwa, a nie młodzież - sami radcy dworu, a nie starcy. Podobnie jak mój ojciec swoje świadectwo ukończenia szkoły ciesielskiej, również mój brat, jego syn Johannes, powiesił sobie na ścianie nad biurkiem świadectwo ukończenia szkoły leśniczej w Gmunden, oprawione w okazałą ramę, jakby chodziło o obraz na ołtarzu. Obaj uznali ukończenie tych bez wątpienia koniecznych, ale przecież w końcu dość komicznych szkół za szczytowy punkt swojego życia. A siostry co chwila wygdakiwały z siebie słowo gimnazjum, chociaż nikt ich o to nie pytał. Cały świat cierpi na chorobę świadectw i tytułów, która uniemożliwia jakiegokolwiek naturalne życie. Jednakże kraje romańskie w ogóle jeszcze nie osiągnęły w powyższej kwestii tego nadzwyczaj przygnębiającego stanu co w Austrii i Niemczech, mówił wuj Georg.*

I sądzę, że ów niemiecko-austriacki stan się tam nie zakorzeni. Te narody nie były i nie są aż tak ograniczone. W tych narodach kwitnie jeszcze naturalne życie, podczas gdy u nas prawie całkowicie wymarło. W Niemczech i w Austrii już od stuleci jest niemożliwe prawdziwe, naturalne życie, ponieważ zostało ono pożarte i wymazane z powodu żądy posiadania świadectw i tytułów. Z moim bratem Johannesem miałem dobre kontakty we wczesnym dzieciństwie, jest między nami zaledwie rok różnicy, on jest, nie, on był starszy, a póki nie poszliśmy do szkoły i póki nie urodziły się nasze siostry, byliśmy dobrymi przyjaciółmi. W szkole jednak nasze drogi się rozeszły. Już w wieku sześciu lat, myślę, każdy z nas poszedł w kierunku, który później wyznaczył całe nasze

życie, i prawdę mówiąc, każdy poszedł w kierunku przeciwnym do kierunku drugiego. O ile Johannes coraz głębiej i głębiej wchodził w uprawy, las i leśnictwo, ja z równie dużym zdecydowaniem oddalałem się od upraw, lasu i leśnictwa, tak więc on coraz głębiej wnikał w Wolfsegg, a ja tymczasem oddalałem się od Wolfsegg, jego w końcu Wolfsegg nie tylko przeniknęło, lecz niebawem zdominowało i jak sądzę, wchłonęło i pożarło, ja zaś, wreszcie z dala od Wolfsegg, stałem się światowym człowiekiem. O ile ulubionymi słowami mojego brata stawały się stopniowo wyłącznie takie, jak *zboża, świnie, świerki, sosny* etcetera, moimi były *Paryż, Londyn, Kaukaz, Tolstoj, Ibsen* etcetera i wkrótce na nic się już zdało, że on raz po raz próbował wzbudzić we mnie zachwyty dla swoich ulubionych słów, podobnie jak i mnie nie powiodła się próba zainteresowania go moimi. Kiedy ja, wzorem wuja Georga, spędzałem większość czasu w naszych bibliotekach, mojego brata można było najczęściej spotkać w zabudowaniach gospodarskich, on czekał w oborze, aż krowa wreszcie się ocieli, a ja tymczasem zajmowałem się w bibliotece rozszyfrowaniem zdania Novalisa, i podobnie jak on oczekiwał w oborze narodzin cielaka, ja z taką samą niecierpliwością oczekiwałem narodzenia się myśli Novalisa w moim umyśle. Na zakończenie gimnazjum on kupił sobie żaglówkę, ja zaś pieniężną nagrodę od rodziców za pomyślne ukończenie szkoły przeznaczyłem na podróż z wujem Georgiem do Anatolii. Kiedy ja wykorzystywałem każdą wolną chwilę na przebywanie z wujem Georgiem, póki jeszcze mieszkał w Wolfsegg, mój brat prawie w ogóle nie interesował się osobą wuja, zawsze trzymał się ojca, towarzyszył mu na polach, w lasach, w kopalniach i w urzędach okolicznych miasteczek. Ja od początku widziałem w wuju Georgu swojego nauczyciela, on, Johannes, swojego w naszym ojcu. Nie przebywałem też bez ustanku, jak mój brat, w pobliżu matki i wprost nienawidziłem tego, że jako małe dziecko bez przerwy trzymał się jej spódnicy. Ja nigdy nie trzymałem się matczynej spódnicy i zawsze odchylałem głowę, gdy zamierzała mnie pocałować. On natomiast ciągle domagał się, żeby matka go

całowała. Gdy spał, często wychodziłem z naszego wspólnego pokoju i szedłem do wuja, by opowiedział mi bajkę, których zwykle wymyślał dla mnie całe setki. Mój brat nie miał odwagi naruszać reguł obowiązujących w Wolfsegg, ja natomiast nieustannie je naruszałem. Wychodziłem z domu, kiedy chciałem, on nie, ja szedłem, kiedy chciałem, na dół do wsi, by obserwować żyjących w niej ludzi, przebywać wśród nich, on nie. Ja, kiedy tylko przychodziła mi na to ochota, rozmawiałem z wieśniakami, on z nimi nie rozmawiał, jeśli nie dostał pozwolenia. W końcu ja bardzo wcześnie urządziłem sobie pokój wedle własnego gustu, on zaś nigdy nie wpadłby na pomysł uczynienia tego samego. Jego podręczniki szkolne były zawsze czyste, pismo w zeszytach kaligraficzne, moje podręczniki natomiast były brudne, pismo niechlujne, prawie nieczytelne. Na posiłki brat zjawiał się zawsze punktualnie, gdy tymczasem ja na ogół miałem kłopoty z punktualnością. Ja namawiałem go na różne przygody, on mnie nigdy.

Przygody, na jakie go namawiałem, przeważnie źle się dla niego kończyły, wracał pokaleczony, głośno lamentując, gdyż zawsze był niezgrabiaszem, często wpadał do potoku lub do stawu, potykał się o wystające korzenie, zadrapywał sobie w zaroślach twarz albo nogi, ja nigdy. Kiedy pytałem, czy widzisz to i to tam w oddali, on nic nie widział, był bowiem krótkowidzem, w przeciwieństwie do mnie, który zawsze bardzo dobrze widziałem. Ja nauczyłem się, jak to się mówi, śpiewająco i błyskawicznie jeździć na rowerze, on zaś potrzebował wiele czasu, żeby się w ogóle na nim utrzymać. Nie dorównywał mi też w biegach. A gdy mieliśmy przepłynąć rzekę wpław, przeważnie nie dawał rady i kapitulował. Tak więc bardzo wcześnie utrwaliła się w nim może nie nienawiść, lecz jednak silne poczucie odstawania ode mnie, co zawsze przysparzało mu cierpień i wreszcie wyrodziło się w uzewnętrznianą od czasu do czasu wobec mnie *niepohamowaną nienawiść*. Ja na przykład w ciągu trzech minut zbiegałem w dół do wsi, on potrzebował na to pięciu. W szkole był najuważniejszym uczniem, wywołany przez nauczyciela



natychmiast się podrywał, ja tymczasem, jak mówią, byłem zawsze strasznie roztrzepany i gdy nauczyciel wywoływał mnie do odpowiedzi, przeważnie tego nie słyszałem, co naturalnie pociągało za sobą rozmaite kary. W pierwszych latach szkolnych obaj nie mieliśmy przyjaciół, nie wolno nam bowiem było przyprowadzać kolegów do domu. Po lekcjach musieliśmy zawsze wracać prosto ze wsi do Wolfsegg.

Jednakże w późniejszych latach, kiedy mogliśmy już zapraszać przyjaciół do siebie, każdy z nas miał całkowicie odmiennych, odpowiadających naszym upodobaniom, takich, jakimi byliśmy my sami. Mój brat zasypiał zawsze kamiennym snem, toteż rano był zawsze wyspany, ja już od dziecka źle sypiałem.

Miałem najdziksze, najbardziej ekscytujące sny, on nie. On, zanim znalazł jakąkolwiek miejscowość, długo musiał szukać na mapie, ja nie. Ja nade wszystko kochałem mapy. Rozpościerałem je przed sobą, po czym wyruszałem w dalekie podróże, szukałem najslawniejszych miast i wysnionymi okrętami opływałem morza. Mojego brata interesowało coś całkiem innego: siedząc w kucki w stajni, obserwował zwierzęta. Gdy cyrk Medrano rozbił namiot na dole we wsi, mieliśmy wtedy po pięć, sześć lat, ja nie przepuściłem żadnej okazji, by tam pobiec i przyglądać się cyrkowcom, nade wszystko interesowali mnie artyści występujący na trapezie. Godzinami siedziałem zaszyty w jakimś kątku, podziwiając ich, gdy ćwiczyli się w tej niezwykle pasjonującej sztuce. Mój brat w ogóle nie interesował się cyrkiem. Zimą, póki prawie nie zamarzłem na kość, obserwowałem zawody curlingu w wiosce i wkrótce wyblagałem kamień dla siebie, bym sam mógł wziąć udział w zawodach, czego mi z początku surowo zabraniano, ja jednak bardzo szybko zacząłem łamać ten zakaz, i jak to się mówi, na własną rękę pędziłem do wsi.

Wykorzystywałem każdą sposobność, aby tam zajrzeć, od momentu gdy nauczyłem się chodzić, byłem zafascynowany wsią i nowymi dla mnie, innymi ludźmi. Mój brat nie miał takich zainteresowań, w żaden sposób nie można go

było nakłonić, żeby towarzyszył mi w wypadach do wsi. Musiałby popełnić wykroczenie, czego nie śmiał zrobić i czego z zasady wystrzegał się już od wczesnych lat życia. Ja bez skrępowania wchodziłem do wszystkich wiejskich domów, przedstawiałem się i rozmawiałem z ludźmi.

Zaprzyjaźniałem się z nimi, obserwowałem przebieg ich dnia, uczestniczyłem zarówno w ich zabawach, jak i w zajęciach, a im więcej osób poznawałem podczas takich wypraw do wsi, tym bardziej byłem zadowolony. Poznawałem przede wszystkim prostych ludzi, ich sposób życia, pracy i obchodzenia świąt.

Do czwartego czy piątego roku życia nie wiedziałem, że są jeszcze inni ludzie niż ci z Wolfsegg, coraz więcej innych, setki, tysiące, setki tysięcy, miliony, jak już wkrótce sobie to uprzytomniłem.

Odwiedzałem rzemieślników i obserwowałem ich przy pracy, tokarza, szewca, rzeźnika, krawca. Zachodziłem do biedaków i byłem zaskoczony, że traktują mnie tak serdecznie, zawsze bowiem sądziłem, iż są niewyrozumiali, jak niezmiennie przedstawiała mi ich moja rodzina - ograniczeni, nieprzystępni, zatwardziali, podstępni i przebiegli. Odkryłem jednak, że zachowują się znacznie bardziej uprzejmie niż my na górze w Wolfsegg, że to *oni* są uprzejmi i przystępni, a nie my, którzy wydaliśmy się mi naraz w przeciwieństwie do wieśniaków nieprzystępni, zatwardziali, podstępni i przebiegli. Moja rodzina mówiła, że wieś jest dla mnie niebezpieczna, ja tymczasem odkryłem, że nie grozi mi tam żadne niebezpieczeństwo. W ogóle się nie krępując, otwierałem wszystkie drzwi, zaglądałem do wszystkich okien, a moja ciekawość nie znała granic. Brat nigdy nie uczestniczył w tych wypadach, wręcz przeciwnie, donosił na mnie rodzicom, *on znowu był na dość we wsi*, mówił i nie wstydził się spokojnie przyglądać, gdy dostawałem karę za swój występki, matka biła mnie leżącym zawsze pod ręką bykowcem, ojciec policzkował. Chociaż ja bardzo często byłem bity bykowcem, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek uderzono nim Johanna ani też żeby dostawał on w twarz od ojca. Mnie zawsze

interesowała inność, mojego brata nie, myślałem, patrząc na fotografię ukazującą go w żaglówce na jeziorze Wolfgangsee. Kiedyś powiedziałem Gambettiemu, że mój brat zawsze był uległy, ja nigdy.

Wyjaśniłem Gambettiemu, co w tym przypadku rozumiem przez „uległość”. Przy stole brat zawsze *zachowywał się* spokojnie i nigdy nie śmiał zadać jakiegokolwiek pytania, gdy tymczasem ja co chwila zadawałem pytania przy stole, *najwymyślniejsze*, jak to zawsze wymawiali mi rodzice. Chciałem wiedzieć wszystko, nic nie mogło pozostać bez odpowiedzi. Brat jadł bardzo spokojnie, ja zawsze jadłem pośpiesznie, zostało mi to po dziś dzień. Mój chód był szybki, zawsze miał mnie jak najszybciej doprowadzić do celu, kroki mojego brata były powolne, by nie powiedzieć miarowe. Także gdy pisałem, pisałem zawsze bardzo szybko, a wskutek tego niedbale i, by tak rzec, prawie nieczytelnie, on pisał zawsze powoli, spokojnie. Gdy szliśmy do spowiedzi, on zawsze długo klęczał przy konfesjonale, ja tymczasem ledwo podszedłem, zaraz wracałem. Ja bardzo szybko wyliczałem swoje liczne grzechy, które, jak mi się zdawało, popełniłem, on na wyliczenie swoich potrzebował przynajmniej dwa razy tyle czasu. Ja, jak sobie przypominam, rano ubierałem się także bardzo szybko, gdy jeszcze mieliśmy wspólny pokój, mniej więcej do siódmego roku życia; ledwo wstałem, już byłem umyty i ubrany, on natomiast potrzebował na to przynajmniej trzy razy tyle czasu. Istotnie był we wszystkim bardziej podobny do ojca niż do matki, podczas gdy ja od samego początku miałem więcej cech po matce, w każdym razie jeśli idzie o szybkość, niespokojność, a także co się tyczy ciekawości i pojętności. To oczywiste, że już w szkole podstawowej pisałem lepsze wypracowania niż mój brat, co jednak nie oznaczało, że dostawałem za nie również lepsze stopnie, wręcz przeciwnie, za swoje bez wątpienia lepsze wypracowania dostawałem zawsze gorsze stopnie, co nie było niczym dziwnym, jeśli wziąć pod uwagę nauczycieli, jakich mieliśmy, przywiązujących, mówiąc najogólniej, większą wagę do zewnętrznej formy niż do treści prac. Ja zawsze wybierałem sobie ciekawe, jak sam

mówiłem, egzotyczne tematy, gdy mieliśmy takie do wyboru, mój brat brał najprostsze, które też potem w bardzo prosty sposób rozwijał, ale nie dość, że w prosty sposób, to jeszcze nudnie i rozwlekle, gdy tymczasem moje prace naprawdę były zawsze skomponowane w sposób skomplikowany, a także interesujący, co w każdej chwili jest do udowodnienia na podstawie zeszytów poutykanych wszędzie w skrzyniach i pudłach na strychach w Wolfsegg. Mój brat był w mniejszym stopniu zainteresowany wchłanianiem przez swój umysł coraz większej i większej ilości wiedzy, by w ten sposób stawać się coraz mądrzejszym, dążył zawsze do jednego: żeby wypaść korzystnie w oczach danego nauczyciela, co nigdy nie było moim celem, wręcz przeciwnie, ja nigdy nie miałem, jak to się mówi, dobrej opinii u nauczycieli. Nie lubili mnie także dlatego, że kontakt ze mną wydawał im się zawsze zbyt trudny, lubili natomiast mojego brata i jego nieskomplikowanie. Ale również dlatego, że zawsze, w każdym przypadku natychmiast ich się słuchał. Ja bardzo często okazywałem niecierpliwość i byłem krnąbrny wobec nauczycieli, a także pyskaty, on natomiast podporządkowywał się wszystkim poleceniom i nigdy się nie sprzeciwiał, gdy tymczasem ja sprzeciwiałem się niemal codziennie, czym sam na siebie ściągałem ich wrogość. Podobnie jak moją rodzinę w domu, również nauczycieli pytałem zawsze o wszystko, co tylko możliwe, doprowadzając ich tym do szewskiej pasji, jak to wiem dzisiaj, przy czym moje wymagania wobec nich były prawie zawsze zbyt wygórowane. Z taką samą podejrzliwością jak ja do nich oni odnosili się naturalnie do mnie. W odróżnieniu od mojego brata, który zawsze wierzył w ich autorytet, ja nigdy w ten autorytet nie wierzyłem, wuj Georg już we wczesnych latach mojego dzieciństwa scharakteryzował mi nauczycieli, mówiąc, kim są w rzeczywistości: zatwardziałymi obłudnikami, którzy tylko wyładowują swoje perwersyjne humory na uczniach, nie mogąc wyładować ich w domu na żonach. Ze wszystkich tak zwanych wykształconych ludzi nauczyciele są najgroźniejsi i najbardziej nikczemni, to przekonanie wuj Georg zaszczerpił mi bardzo wcześnie; jeśli chodzi o podłość, znajdują się na

tym samym poziomie co sędziowie, którzy, co do jednego, sytuują się na nader niskim poziomie rozwoju społecznego. Nauczyciele i sędziowie są najnikczemniejszymi sługusami państwa, mówił wuj Georg, zapamiętaj to sobie. Miał rację, doświadczałem tego często - nie sto, ale tysiące razy. Żadnemu nauczycielowi, podobnie jak żadnemu sędziemu, nie wolno ani przez chwilę ufać, dzień w dzień bez zastanowienia i bez cienia zahamowań, z obrzydliwej humorzastości i czystej żądzy zemsty za swoje nieszczęsne, spartaczone życie, niszczą wiele wydanych na ich pastwę istnień, za co w dodatku są opłacani. Obiektywizm nauczycieli jest, podobnie jak obiektywizm sędziów, podłym i obłudnym kłamstwem, mawiał wuj Georg i miał rację. Kiedy rozmawiamy z nauczycielami, szybko orientujemy się, że wszyscy z powodu niezadowolenia z siebie samych mają niszczące ludzi, a w ostatecznym rozrachunku niszczące świat charaktery, dokładnie tak samo jest, kiedy rozmawiamy z sędziami. Mój brat zawsze, od samego początku, obdarzał wszystkich ludzi zaufaniem, a potem zwykle czuł się urażony, gdy niemal bez wyjątku zawodzili jego zaufanie, ja odwrotnie, na samym początku prawie nikogo nie obdarzałem zaufaniem, dzięki czemu rzadko doznawałem zawodu. Od tego ciągle zawodzonego zaufania brat bardzo wcześnie popadł w stan zgorzknienia i już niebawem przybrał, nie, *przejął*, muszę powiedzieć, rysy twarzy swojego zgorzkniałego i, ogólnie rzecz biorąc, rozczarowanego życiem ojca, tak jak człowiek przejmuje po kimś majątek. W ogóle niezwykle szybko zaczął się we wszystkich szczegółach upodabniać do ojca. Jakże często myślałem sobie, twój brat chodzi przecież tak samo jak ojciec, siedzi jak ojciec, wstaje jak ojciec, je jak ojciec i w swoich długich, rozwlekłych zdaniach zestawia słowa zupełnie jak ojciec. Za trzydzieści lat, myślałem często, *będzie* całkiem jak ojciec. W ogóle przejął wszystkie nawyki swojego, czyli również mojego ojca. Stał się, jak jego i mój ojciec, bardzo szybko *wygodnickim człowiekiem*, który jedynie udawał, że jest aktywny, gdy w istocie był uosobieniem nieaktywności, popisując się jako ktoś, o kim należało mówić, iż jest nieustannie aktywny, pracuje bez wytchnienia, ani

przez chwilę nie pozwala sobie na odpoczynek, a wszystko to oczywiście wyłącznie dla rodziny, która zawsze pragnęła widzieć go takim, jak się przedstawiał, rodzina jednak brała poważnie te jego przedstawienia i nie widziała, a może po prostu nie chciała widzieć, że ogląda wyłącznie aktora i ani przez chwilę kogoś, kto jedynie z tym swoim wrodzonym wygodnictwem okopał się za postacią aktora, w rzeczywistości mój brat pracował równie mało jak ojciec, odgrywał tylko z zacięciem aktorskim tak przez wszystkich podziwianą nieustanną pracę i nieustanny zapał do pracy, który ich satysfakcjonował i który w końcu satysfakcjonował również jego samego, jako że od pewnego momentu mój brat sam już przestał zauważać, iż tylko odgrywa przed rodziną ten swój zapał do pracy dla niej, chociaż w rzeczywistości wcale go w sobie nie czuje. Mój ojciec przez całe życie grał rolę niesłychanie zapracowanego, chociaż niezapamiętałego w pracy gospodarza wiejskiego, który nigdy ani na chwilę nie usiadł spokojnie, nie może bowiem w ogóle pozwolić sobie na taki spokój z powodu *poczucia odpowiedzialności za rodzinę*, i dokładnie tak samo mój brat, który doskonale i w sposób naturalny przejął te zagrania po ojcu, obaj bowiem szybko zrozumieli, że wystarczy udawać, iż się pracuje, w rzeczywistości nie wykonując żadnej pracy. Prawdę mówiąc, nie robili nic więcej, poza tym że doprowadzali do możliwie największej perfekcji swoje zagrania, które przedstawiali jako pracę, przez całe życie, i obaj osiągnęli wysoki stopień mistrzostwa w tej dziedzinie, by nie powiedzieć, w tej sztuce. Przytłaczająca większość ludzi, przede wszystkim w Europie Środkowej, udaje, że pracuje, gra nieustannie, tylko pozorując pracę, i aż do podeszłego wieku doskonalili ową odgrywaną pracę, która z prawdziwą ma równie mało wspólnego, co prawdziwe i rzeczywiste przedstawienie z prawdziwym i rzeczywistym życiem. Ponieważ jednak ludzie zawsze wolą oglądać życie jako spektakl, a nie jako samo życie, które ostatecznie wydaje się im nazbyt mozolne, beznamienne i bezwstydnie upokarzające, wolą grać niż żyć, wolą grać niż pracować. Tak więc nigdy nie ceniłem zbyt wysoko pracy ojca, którą wszyscy zawsze bardzo

wysoko cenili, przeważnie bowiem była to wyłącznie gra, podobnie jak praca brata, który z największym wyrafinowaniem podpatrzył tę grę u ojca, by samemu z jeszcze większą perfekcją prezentować się przed podziwiającym go otoczeniem. Jednakże nie tylko w tak zwanych wyższych sferach praca jest dzisiaj przeważnie po aktorsku pozorowana, a nie rzeczywiście wykonywana, to pozorowanie jest szeroko rozpowszechnione również wśród tak zwanego prostego ludu, ludzie we wszystkich zakątkach świata pozorują po aktorsku pracę, pozorują działania, mimo iż w rzeczywistości jedynie leniuchują, w ogóle nic nie robią i przeważnie jeszcze, zamiast robić coś pożytecznego, wyrządzają największe szkody. Większość robotników i rzemieślników myśli obecnie, że wystarczy włożyć niebieski drelich i nie robić dosłownie nic, nie mówiąc już o jakiejś pożytecznej działalności; po aktorsku pozorują pracę, a ich kostiumem jest noszony przez cały dzień niebieski drelich, w którym nieprzerwanie biegają dookoła i istotnie bardzo często się od tego pocą, ale ten pot jest fałszywy i dlatego perwersyjny, wynika bowiem wyłącznie z pozorowanej po aktorsku, a nie z rzeczywistej pracy. Również lud dawno już wpadł na to, że pozorowana po aktorsku praca jest bardziej dochodowa niż faktycznie wykonywana, chociaż bynajmniej nie zdrowsza, wręcz przeciwnie, więc tylko po aktorsku pozoruje pracę, zamiast faktycznie ją wykonywać, wskutek czego różne państwa stają naraz, jak to wszyscy widzimy, w obliczu miny. Na świecie są już naprawdę i rzeczywiście wyłącznie odgrywający swoją pracę aktorzy, a nie robotnicy. Wszystko jest wyłącznie odgrywane, niczego nie wykonuje się naprawdę. Obserwując ojca podczas pracy, myślałem bardzo często, że przecież on tylko gra, że wcale nie pracuje, i dokładnie to samo odnosi się do mojego brata. Nie robię im jednak wyrzutów z tego powodu, iż w rzeczywistości tylko udają pracę, mydląc wszystkim oczy, podobnie jak robi to także reszta ludzkości, nie powinni wszakże, powtarzałem sobie często, oświadczać przy każdej sposobności, że zapracowują się *na śmierć*. I to w dodatku *dla rodziny*, a przy szczególnych okazjach także *dla ojczyzny*. Spokojnie mogę powiedzieć, że nasz

ojciec zawsze wykonywał pracę na Wolfsegg minimalnym wysiłkiem, dokładnie tak samo jak mój brat. Nie zamęczali się pracą. W rzeczywistości Wolfsegg w ich rękach pod każdym względem podupadło. Wuj Georg miał rację, mówiąc kiedyś do mnie: twój ojciec i twój brat są niezwykle wyrafinowani; udają przed światem, że są rodzinnymi robotami, gdy tymczasem w rzeczywistości zrobili sobie z Wolfsegg jedynie dość przytulną wiejską scenę, na której robią z nas durniów. To nie my ich wykorzystujemy, lecz oni nas. I jeszcze pozwalamy się nabierać na ich zakłamanie. Często gospodarzowi wystarczy, że otworzy wrota swojej zagrody i, by tak rzec, puści jak z radia trochę chrząkania świń, wypuszczając je przez te otwarte wrota ze świata nieczystego sumienia, a już uchodzi za rzetelnego i pracowitego. Ludzkość zaś jest rzeczywiście tak głupia, że pozwala się na te metody nabierać. Miliony ludzi wskakują rano w drelichy, dzięki czemu traktowani są poważnie, co oznacza, że uważa się ich za ludzi pracujących, chociaż są wyłącznie armią wyrafinowanych nierobów, którzy tylko wyrządzają szkody i gubią świat, i którzy mają na uwadze wyłącznie swoje brzuchy, nic poza tym. Jednakże intelektualiści są zaiste zbyt głupi, by to dostrzec, powiedział wuj Georg. Dla nich nawet najgorszy z możliwych występ leniwego robotnika albo rzemieślnika na do cna zakłamanej scenie pracy, jeśli tylko ma on na sobie swój niebieski kostium, stanowi powód, żeby mieć wyrzuty sumienia. Intelektualiści są nic niemówiącymi, niewywierającymi żadnego wpływu epizodycznymi postaciami na owej pozbawionej skrupułów i doprowadzającej wszystko do choroby scenie pracy, na której już nieustannie przez ponad pięćdziesiąt lat w najbardziej wyrafinowany sposób i triumfalnie pozoruje się po aktorsku pracę i wszelkie działania *tak*, że człowiekowi aż ciarki chodzą po plecach. Nie mam jednak nic przeciw temu, powiedział wuj Georg, iż ludzie nie chcą pracować, iż ludzkość nie chce pracować, niechby jednak przyznała się otwarcie do swojego lenistwa i niechby dzień w dzień nie odgrywała tego obrzydliwego teatru pracy. Twój ojciec i twój brat są na tej scenie pracy absolutnie wspaniałymi protagonistami.



Natomiast twoja matka reżyseruje wszystko, co się tyczy Wolfsegg. Moje siostry, myślę, już jako małe dzieci wyrobiły w sobie nawyk histerycznego podrygiwania, które z latami stało się jedną z ich najbardziej rzucających się w oczy cech, podrygują przez cały dzień, one nie chodzą, tylko hopsają z kuchni na korytarz i z powrotem, do tak zwanego salonu i znów z powrotem, naprawdę nie chodzą, lecz podrygują, widzę, że podrygują i że pozostały dziećmi, jakimi były jeszcze trzydzieści lat temu, podczas gdy w rzeczywistości oczywiście chodzą, ja mimo to widzę, że chodząc, ciągle podrygują, nie mogę zobaczyć, że chodzą, abym ciągle nie widział, że w gruncie rzeczy nadal tak samo histerycznie podrygują, jakby były całkiem małymi dziećmi, dziewczynkami z długimi warkoczami, które przez całe dnie w kółko podrygiwały w Wolfsegg. Mają po czterdzieści lat, posiwiały, a ja ciągle jeszcze widzę je podrygujące. Kiedy wreszcie udawało mi się od nich uciec, przyłapywały mnie nagle, podrygując, i nie dawały spokoju, sączyły we mnie swój chichot, doprowadzając prawie do obłędu. Nie tylko całymi dniami wyśpiewywały dokładnie te piosenki, których nienawidziłem, lecz zawsze robiły wszystko przeciwko mnie, bez względu na to, co to było. Jakby rodzice z *pełną świadomością* wychowali je *przeciwko mnie*, ciągle tylko tańczyły dookoła, okrążały mnie i atakowały nawet w moich snach. Częstokroć budziłem się ze snu, w którym chciały mnie zabić.

Brata zostawiały w spokoju, nie podniecało ich dręczenie go, ale nie znały większej rozkoszy nad doprowadzanie mnie do rozpacz. Ich nastawienie do mojej osoby było zawsze wyłącznie złośliwe, z owego złośliwego nastawienia do mojej osoby uczyniły sobie zasadę. Przez długi czas byłem beznadziejnie wydany na ich łaskę i niełaskę. Nieustannie mnie też szpiegowały, napawając się karami, jakie wskutek ich skarżypcyctwa musiałem znosić od rodziców, obserwowały z szyderstwem, gdy matka biła mnie bykowcem po głowie, a ojciec policzkował, i przyglądając się tym cięgom, nie potrafiły ukryć nikczemnego chichotu. Nie umiem powiedzieć, która z siostr była bardziej

szatańska, gdyż raz to Amalia Caecilię, innym razem znowu Caecilia podburzała przeciw mnie Amalię. Już wtedy uświadomiłem sobie, że tak zwana słaba płeć jest w rzeczywistości o wiele silniejsza i bardziej bezwzględna, skoro największą radość sprawiało moim siostrom prawie nieskrępowane dręczenie mnie. Ich pomysłowość w tym względzie była niewyczerpana, codziennie wymyślały nowe metody ciemienia, z coraz większym wyrafinowaniem, z coraz większą nikczemnością. Niezwykle wcześnie ukuły spisek przeciw mnie. To im dawano wiarę, nie mnie, to ich słowa się liczyły, nie moje. Sam więc obmyślałem różne rodzaje zemsty. Zamykałem siostry w ponurej, zatęchłej spiżarni, wtrącałem je do stawu, popychałem, tak że w białych odświętnych sukienkach padały jak długie i całe były utyłane od stóp do głów i zakrwawione.

Perspektywa straszliwej kary nie powstrzymywała mnie od brania takiego czy innego okrutnego odwetu za ich podłość. Prowadziłem obie do lasu i uciekałem, zostawiając je same, śmiertelnie przerażone, ale nie przejmowałem się ich krzykami. To jednak one pierwsze posuwały się na ogół do okrucieństw wobec mnie, od samego początku straszliwszych niż okrucieństwa, do jakich ja się posuwałem wobec nich. Gdy patrzę teraz na fotografię, bardzo wyraźnie widzę wszystkie te okrucieństwa, na twarzach sióstr maluje się ich historia, jest tam wszystko, także to, kim są. Okrutne dzieci stawały się z biegiem czasu równie okrutnymi dorosłymi. Już w dzieciństwie nie były ładne, a jako dorosłe osoby są właściwie brzydkie.

Trudno z całą pewnością osądzić, która z nich dwu jest bardziej podobna do ojca, a która do matki, obie naturalnie odziedziczyły po rodzicach *wszystko*, ale w bardziej pospolitej postaci. Przy stole siedzą niczym lalki, paplające od kilkudziesięciu lat ciągle to samo. Siadają równocześnie i równocześnie się podrywają, a gdy jedna idzie do ubikacji, druga od razu biegnie za nią. Te baby nie umieją być same, nawet w ubikacji. Zimą przesiadują zazwyczaj na sofie w swoim pokoju, dziergając dla nas kamizelki, które jeszcze nigdy na nikogo nie

pasowały i zawsze były nieudane, zawsze najbrzydsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Albo rękawy miały różną długość, albo kamizelki były zbyt szerokie w plecach, a za wąskie w talii, podobnie miało się z wycięciami kołnierzy, w dodatku całość była niechlujnie wydziergana, zbyt dużymi oczkami, gdyż siostry naturalnie nie potrafiły się nigdy skupić.

Kolory wełny, wyszukiwane przez nie do robótek, świadczyły zawsze o braku jakiegokolwiek gustu.

Zmuszały mnie i brata, byśmy przymierzali nedorobione jeszcze swetry, a potem ciągnęły i szarpały je we wszystkie strony, twierdząc, że ich robótki są *udane*, gdy tymczasem już od samego początku w najoczywistszy sposób zostały spaprane wskutek nieopisanego dyletantyzmu. Na Boże Narodzenie wszyscy znajdowali te potworne robótki pod choinką i narażając swoje najgwałtowniej sprzeciwiające się temu ciała na najbardziej niewiarygodne zwichnięcia, musieli te paskudztwa na siebie wdziewać i na domiar złego podziwiać. W noc wigilijną wszyscy siedzą zawsze w Wolfsegg jak kaleki w tych spartaczonych robótkach naszych sióstr. Jakby im, przepadającym za dzierganiem, zależało na ośmieszeniu nas tymi robótkami pozbawionymi cienia gustu. Jakby od wielu tygodni i miesięcy uprawiały z tą wełną nierząd. Zima, przed Bożym Narodzeniem, miesiącami królowała w Wolfsegg sama tylko wełna, nic poza tym. W wieczór wigilijny siostry wbijały nas wszystkich w tę swoją obrzydliwą wełnę i jeszcze mieliśmy im za to serdecznie dziękować. Zawsze nienawidziłem ręcznie dzierganych rzeczy, podobnie jak weków, a także w ogóle wszelkich wyrobów własnej roboty. Słoiki Wecka są dla mnie koszmarem, a w Wolfsegg nie tylko w spiżarniach, lecz również w pokojach stoją zawsze na szafach setki weków. Perspektywa, że nagromadzoną w tych słoikach i oznakowaną napisami przez matkę i siostry marmoladę będę musiał zjeść w ciągu następnych kilkadziesiąt lat, zrodziła we mnie już w dzieciństwie trwałą i wciąż żywą nienawiść do wszelkich wekowanych produktów w ogóle, a w szczególności do marmolady. W spiżarniach mieliśmy

też zawsze setki słoików z udkami kurczaków, bażantów i gołębi, od których mętnej żółci mdliło mnie za każdym razem na sam widok. Chociaż z biegiem czasu zużywano w Wolfsegg coraz mniej marmolady, coraz mniej tak zwanych wekowanych produktów, moja matka i siostry marynowały i wekowały coraz więcej; od kiedy sięgam pamięcią, były naprawdę ogarnięte manią marynowania i wekowania i nie można ich było z tej manii marynowania i wekowania wyleczyć. Z czerstwego chleba robiły co tydzień bułkę tartą i przechowywały całe galerie słoików z bułką tarta, której nikt nigdy nie używał, bo w Wolfsegg już prawie niczego nie panierowano, jako że po prostu przestaliśmy jeść sznycle, sznycle po wiedeńsku nie cieszyły się powodzeniem i nikt ich nie jadł. Większość przyrządzano po parysku, według upodobań mojej matki, która pod każdym względem forsowała w Wolfsegg własne upodobania. Jeśli przyjrzeć się Wolfsegg, to wyraźnie dominowały upodobania mojej matki. Od razu po wprowadzeniu się do Wolfsegg zlikwidowała wszystko, co przypominało ojca, a przeforsowała wszystko, co miało przypominać ją, tak więc mój *dom ojczysty*, muszę tak powiedzieć, bardzo szybko stał się *domem matczynym*, nie z korzyścią dla niego, czego dowodzą niezliczone dziwactwa we wszystkich pomieszczeniach w Wolfsegg zresztą nie tylko pomieszczenia, wszystko w Wolfsegg, nawet ogrody, dosłownie wszystko zaczęło zmieniać się stopniowo pod wpływem matki i ostatecznie wskutek jej złych upodobań podupadło. Przez całe stulecia ogrody w Wolfsegg były terenem pielęgnowanym wedle ściśle przestrzeganych planów, póki moja matka ich gruntownie nie zmieniła; bujnie rozrośnięta i przyjazna przyroda wokół Wolfsegg, o czym wiem i czego dowodzą stare sztychy, zmieniła się tu teraz w dość konwencjonalny, głupi i nudny, by nie powiedzieć drobnomieszczański krajobraz. Wszystko nosi, by tak rzec, charakter pisma mojej matki. Jej mania wielkości, muszę powiedzieć, stopniowo wszystko pomniejszała. Wywodząca się, by tak rzec, z dołów i pnąca się ku górze kobieta nie zawsze musi stanowić katastrofę dla takiego majątku jak Wolfsegg, moja matka ją jednak stanowiła. Ojciec, który był słabeuszem,

nigdy nie miał siły, nigdy też nie miał dość charakteru, żeby położyć kres megalomanii i bezmyślności swojej żony. Wręcz przeciwnie, zawsze pochwalał wszystko, czego ta kobieta, nasza matka, sobie życzyła, i wszystkie jej dziwactwa uważał za szczyt mądrości, pochwalał je i wynosił pod niebiosa jako coś dobrego, znakomitego, wręcz wspaniałego, utwierdzając ją coraz bardziej w przekonaniu, że jest *zbawczynią Wolfseeg*, na którą później zawsze się zgrywała. Chociaż tak naprawdę nasza matka była zawsze największym szkodnikiem w Wolfsegg. A siostry też od ich najwcześniejszych lat życia uczyniła posłusznymi jej bezwzględnie pomocnicami, które propagowały i forsowały złe upodobania swojej matki zawsze, gdy tylko miały po temu sposobność. Moje siostry przekształciły się z czasem w dwie najniebezpieczniejsze tuby matki. Te tuby nieustannie stały, leżały i siedziały na czatach. Takie siostry potrafią samą w sobie szczęśliwą scenę zmienić w całkowicie posępna, powiedziałem kiedyś do Gambettiego. Taka matka i takie siostry bez charakteru potrafią, jeśli tylko zechcą, zmienić w takim majątku jak Wolfsegg każdy dzień w noc.

Wspólnymi siłami uczyniły posępnymi tyle dni, ba, tyle lat w Wolfsegg. Po prostu zgasiły nam wszystkim światło, bo tak chciały. Człowiek pokroju mojego ojca, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, żeni się z kobietą, gasząc sobie przy tym światło. Przestaje żyć jak wcześniej, tylko drepcze po omacku w mroku, co jedynie przysparza radości sprawcom tej pomroki. Mężczyźni pokroju mojego ojca wahają się z początku przed nawiązaniem jakiegoś bliższego kontaktu czy wręcz przed zawarciem związku małżeńskiego, odsuwają tę chwilę na coraz bardziej odległą przyszłość, aż potem nagle, w obawie, że wydadzą się na stracenie i narażą na pośmiewisko, wpadają w pułapkę takiej kutej na cztery nogi kobiety, która to pułapka od razu się zatrząskuje, okazując się śmiertelna, powiedziałem do Gambettiego. W odróżnieniu od wuja Georga mój ojciec był oczywiście stworzony do małżeństwa, powiedziałem, ale nigdy z taką kobietą jak moja matka. Poślubił swoją niszczycielkę i zdrajczynię. Naturalnie kochamy matkę, powiedziałem do

Gambettiego, widzimy jednak jej nikczemność i żądzę zniszczenia. Gdy do głosu dochodzi element podłości, powiedziałem do Gambettiego, moralność staje się śmieszna. Ale naturalnie istnieją też odwrotne przykłady: pojawia się kobieta i naprawdę *wszystko* ratuje. Jednakże *ta kobieta, nasza matka*, była wyłącznie niszczycielka, nic ponadto. Z drugiej strony, powiedziałem do Gambettiego, niewykluczone, że tylko ja tak myślę, chociaż wszystko wygląda być może absolutnie inaczej, całkiem odwrotnie, może bez tej kobiety, mojej matki, nieszczęście, jakie spadło na Wolfsegg, okazałoby się jeszcze większe. Wuj Georg bardzo często nazywał sytuację, która dzięki matce zapanowała w Wolfsegg, *tegoż Wolfsegg największym szczęściem. Mój rachunek sprawdził się co do joty*, mawiał często. Ja sam też muszę sobie powiedzieć, że mój własny rachunek się sprawdził. W końcu jest prawdopodobne, iż również ja rozwinąłbym się absolutnie inaczej, gdyby inaczej rozwinęło się Wolfsegg, a więc bez matki, z inną żoną ojca. Gdyby Wolfsegg było inne, nie byłbym tym, kim jestem. Ponieważ w każdym szczególe, przede wszystkim zaś dzięki możliwości mieszkania w Rzymie, mogę nazwać siebie wielkim szczęściarzem, powiedziałem do Gambettiego, nie mam żadnego powodu, by nieustannie mówić o Wolfsegg jako o katastrofie. A to prawdopodobnie dlatego, powiedziałem wówczas do Gambettiego powodowany jednak poczuciem winy, i z tej prostej przyczyny, że uniezależniłem się od Wolfsegg, jakie jest, z dość zdecydowana, co muszę przyznać, bezwzględnością. Nienawidzimy, jak wiemy, swoich żywicieli, z tego też więc powodu właściwie nienawidzę Wolfsegg, powiedziałem do Gambettiego, bo przecież Wolfsegg mnie żywi, bez względu na to, czy mam do tego prawo, czy nie, to obojętne.

Nienawidzimy wszakże tylko wtedy, gdy nie mamy racji, i tylko dlatego, że jej nie mamy. Weszło mi w nawyk nieustanne myślenie (i mówienie!), że moja matka jest wstrętna, siostry również wstrętne i głupie, ojciec to słabeusz, brat nieszczęsny błazen, a wszyscy razem wzięci są głupcami. Ten nawyk to broń, polegająca w gruncie rzeczy na odsądzaniu od czci, co prawdopodobnie

służy tylko rozgrzeszeniu własnego nieczystego sumienia. Równie dobrze, powiedziałem do Gambettiego, oni mogliby rzucać się na mnie, nieustannie stawiać mnie pod pręgierzem, robić ze mnie złego człowieka, podobnie jak ja z biegiem czasu robiłem z nich złych ludzi. Bardzo łatwo i szybko przyzwyczajamy się nienawidzić, potępiać, nie zastanawiając się, czy nasza nienawiść i potępienie okażą się po jakimś czasie choćby w najmniejszej mierze uzasadnione. Ogólnie rzecz biorąc, mamy przecież do czynienia z *biednymi ludźmi, którym, znając sami siebie, powinniśmy przede wszystkim współczuć, ponieważ oni, podobnie jak my, żyją w sposób godny ubolewania i muszą wieść ten swój politowania godny żywot, czy tego chcą, czy nie. Muszą się z nim uporać, powiedziałem do Gambettiego. Dlaczego gdy chodzi o innych, wolimy raczej czepiać się, by tak rzec, coraz bardziej ich nieudolności i wad, zamiast widzieć zalety? powiedziałem wtedy do Gambettiego. Jednakże wpatrywanie się w fotografię sprawiło, że natychmiast odezwały się we mnie wcześniejsze uczucia, siostry wydały mi się całkiem po prostu śmieszne, i takie zresztą są. Nie wątpiłem w ich śmieszność. Czy jednak zasługują na to, żebyś nazywał je wstrętnym:?* zapytałem siebie. Akurat w takim momencie? Zawstydzilem się, zaraz jednak znalazłem na to odpowiedź, że nie możemy myśleć wbrew sobie, toteż nadal trwałem w przekonaniu, iż moje siostry są śmieszne i wstrętne. Tak zwana rodzinna tragedia, mruknąłem do siebie, nie daje wszakże prawa do tego, abyśmy gruntownie zafalszowywali obraz tej rodziny. Abyśmy ulegali nagłemu przyływowi sentymentu i powodowani nim niejako się nawet poddawali, w istocie znowu i wyłącznie z egoizmu. Nieszczęśliwy wypadek, choćby był najstraszliwszy, nie uprawnia nas przecież do zafalszowywania umysłu, zafalszowywania świata, zafalszowywania wszystkiego, krótko mówiąc, poniżania się do obłudy. Często doświadczałem sytuacji, kiedy o zmarłych, którzy za życia wydawali się wstrętni i odrażający, zaczynało nagle mówić tak, jakby nigdy w ogóle nie byli ani wstrętni, ani odrażający. Taki brak dobrego smaku wydawał mi się zawsze nader przykry. Śmierć nie robi przecież z

*człowieka kogoś innego, nie zmienia jego charakteru na lepszy, nie czyni z niego geniusza, skoro był głupcem, ani świątobliwego, skoro za życia był potworem. Takie nieszczęście musimy naturalnie wytrzymać, tolerować z jego całym okrucieństwem, zachowując jednocześnie pewność, że nie zmienia ono prawdziwego wizerunku ludzi zmarłych śmiercią tragiczną. Powiada się, iż nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale to obłuda i zakłamanie. Jak mogę nagle twierdzić o człowieku, który za życia był zawsze okropny i miał na wskroś nikczemny charakter, że nie był okropny ani nikczemnego charakteru, tylko ni stąd, ni zowąd zwać go zacnym?*

*Takiego braku dobrego smaku doświadczamy zawsze, gdy ktoś umrze. Podobnie jednak jak nie powinniśmy się bać powiedzieć w chwili czyjejś śmierci, iż zmarł dobry człowiek, nie powinniśmy się też bać powiedzieć, że zmarł podlec, nikczemnik. Zmarł ze wszystkimi swoimi wadami, powinniśmy powiedzieć, oraz ze wszystkimi swoimi radościami, w każdym razie ze wszystkimi dziwactwami, śmierć w żaden sposób nie powinna korygować wizerunku zmarłego. Zachowamy go we wspomnieniu takim, jaki był, powinniśmy sobie powiedzieć, i niech odpoczywa w spokoju. Powiedziałem do Gambettiego, że długo nie pojedę do Wolfsegg, a teraz raptem muszę tam wrócić. Nie mogę już patrzeć na Wolfsegg, powiedziałem, nie znoszę tych murów, a ludzi toleruję w równie małym stopniu jak mury, i nawet ten klimat stał się dla mnie koniec końców nie do zniesienia. Nie myślałem, że tak szybko mi obrzydnie, powiedziałem do Gambettiego. Nie cierpię rodziców, nie cierpię rodzeństwa, a najbardziej działają mi na nerwy moje siostry. Już zbyt długo jestem w Rzymie, w ogóle za granicą, stałem się cudzoziemcem, nie mogę znieść myśli, że miałbym spędzić choćby godzinę w Wolfsegg, nie czując przykrości. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zatrzymać się w Wolfsegg na dłuższy czas. Nie czuję już żadnego związku z Wolfsegg. Czuję wstręt do wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Wolfsegg. Historia Wolfsegg obciąża mnie w niszczący sposób i nie chcę się już na to w przyszłości narażać. A tu raptem muszę wrócić*



do Wolfsegg. I to w jakich okolicznościach! W jakich strasznych okolicznościach! powiedziałem do siebie. Nie minęły jeszcze cztery godziny, odkąd powiedziałem do Gambettiego, że najchętniej nigdy więcej nie pojechałbym do Wolfsegg. Już nie mogę. Wszystko tam jest kłamstwem, Gambetti, powiedziałem, panuje tam nieznośna sztuczność, jakiej nie potrafi pan sobie wyobrazić, Gambetti. Ci ludzie są głusi na wszystko, co dla mnie tak wiele znaczy, na naturę, sztukę, na wszystko, co istotne. Nie czytają książek, nie słuchają muzyki, całymi dniami gadają tylko o sprawach absolutnie zbędnych, najbanalniejszych. Jakakolwiek pożyteczna rozmowa jest z nimi niemożliwa, co najwyżej najbardziej przygnębiająca. Kiedy coś mówię, nie rozumieją tego, co mówię. Wyjaśniam im coś, a oni patrzą na mnie tępo i z całkowitą obojętnością. Nie mają najmniejszego poczucia smaku. Kiedy mówię o Rzymie, który wszakże jest centrum świata, powiedziałem do Gambettiego, są znudzeni. Kiedy mówię o Paryżu, kiedy mówię o literaturze, o malarstwie. Nie mogę wspomnieć żadnego ważnego dla siebie nazwiska w obawie, że oni jeszcze nigdy go nie słyszeli. Wszystko tam jest paraliżujące i nawet latem zimne w taki sposób, iż nieustannie marzną. Pan nie wie, że ci ludzie mają w głowach wyłącznie najbardziej przyziemne rzeczy. Pieniądze, polowania, Gambetti, warzywa, zboże, kartofle, drewno, węgiel, nic poza tym. Moja matka nieustannie mówi o swoich akcjach, które, jak bez przerwy powtarza, ulokowała w najbardziej pechowy sposób, z ust mojego ojca może pan nieustannie usłyszeć słowo magazyn, brat sądzi, że pępkiem świata jest jego żaglówka i jego jaguar. Musi pan wiedzieć, że przewijają się przez ten dom wyłącznie najokropniejsi ludzie, głupi, śmieszni, nieciekawi ludzie z tych okropnych małych miasteczek, ludzie, z którymi niepodobna odbyć żadnej rozmowy, nie można z tymi ludźmi zacząć żadnego tematu, żeby już na samym początku nie skończyło się to klęską. O ile to będzie możliwe, przed upływem roku nie wrócę do Wolfsegg, powiedziałem wówczas do Gambettiego, nie pojedę tam nawet na Boże Narodzenie, również ten nawyk stał mi się wstrętny, gdyż w Boże Narodzenie zakłamanie w Wolfsegg sięga

szczytu. Przynajmniej przez rok nie pojedę do Wolfsegg, co najwyżej na urodziny ojca! powiedziałem, gdy przystanęliśmy przed hotelem Hassler. Również tym razem wyjechałem z Wolfsegg, jakbym stamtąd uciekał czym obraziłem moją rodzinę, powiedziałem, chociaż tych ludzi w ogóle nie można obrazić, bo oni nawet tego nie zauważają, panująca tam absolutna niewrażliwość jest nie do opisania, Gambetti. Z biegiem czasu obrzydło mi wszystko, co austriackie, podobnie jak wszystko, co niemieckie. W Rzymie mój umysł bez reszty odrzucił Wolfsegg, powiedziałem do Gambettiego. Rzym sprawił, że Wolfsegg mi obrzydło. Już Londyn obrzydził mi Wolfsegg, później Oksford, później Paryż, ostatecznie jednak Rzym. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłem kiedykolwiek mieć wyrzuty sumienia, iż tylko dlatego nie jeździłem do Wolfsegg, że właśnie oni sobie życzyli, abym tam jeździł, oni bowiem w ogóle nie zasługują na to, żebym jeszcze kiedykolwiek pojechał do Wolfsegg. Poleciał samolotem, powiedziałem, poleciał, aby mogli wystawić mnie na pośmiewisko. Samo moje pojawienie się w Wolfsegg było zawsze z mojej strony wystawieniem się na pośmiewisko. Przyjeżdżałem, a oni wystawiali mnie na pośmiewisko. Przekraczałem bramę Wolfsegg i od razu byłem wystawiony na pośmiewisko. Tam wszystko jest nikczemne, powiedziałem, i podłe, jeśli pominąć te kilka chwil, które mogę nazwać znośnymi. Na oczach Gambettiego doprowadziłem się do stanu niesłychanego wzburzenia z powodu Wolfsegg, naraz to wzburzenie, wynikające z wyszydzenia Wolfsegg, wydało mi się istotnie wręcz perwersyjne, nieznośne, ale już nie mogłem go uniknąć, musiałem więc pozostawić rzecz własnemu biegowi; byłem tak szczęśliwy z powrotu do Rzymu, powroty do Rzymu nigdy wcześniej mnie tak bardzo nie uszczęśliwiały i nie emocjonowały, nie mogłem się opanować i uczyniłem Gambettiego bezbronną ofiarą wyszydzenia Wolfsegg; w rzeczywistości stało się to wyszydzeniem wszystkiego, co austriackie, a w końcu jeszcze, na dodatek, wszystkiego, co niemieckie, ba, w ostateczności wszystkiego, co środkowoeuropejskie. Północ stała się dla mnie w ogóle nie do zniesienia,

Gambetti, powiedziałem, im dalej jadę na północ, tym bardziej staje się to dla mnie nieznośne, a Wolfsegg leży w moim mniemaniu już na Dalekiej Północy, w strefie największej nieznośności. Te niekończące się, nudne wieczory, powiedziałem, to niesmaczne jedzenie, te nienadające się do picia wina i te uciążliwe rozmowy, których udręki w ogóle nie jestem w stanie panu opisać, jestem do tego niezdolny, mój drogi Gambetti. Być znowu w Rzymie, pan nie wie, co to dla mnie znaczy, być znowu na Pincio, w parku Palazzo Borghese, spoglądać tu z góry na mój ukochany Rzym. Na mój uwielbiany Rzym. Na mój cudowny Rzym! Kto tak długo jak ja przebywa w Rzymie, całkiem po prostu zamuruję sobie ostatecznie dostęp do takiego miejsca jak Wolfsegg. w ogóle nie może tam już wrócić, staje się to dla niego niemożliwe. Całymi dniami krążę po tamtejszych budynkach, aby się uspokoić, i okazuje się to niemożliwe, całymi dniami chodzę tam i z powrotem po moich pokojach, aby to wytrzymać, i naturalnie wytrzymuję to coraz gorzej, całymi dniami szukam możliwości, żeby jakoś znieść Wolfsegg i nie mieć co chwila wrażenia, iż pozostaje mi tylko oszaleć, ale żadnej takiej możliwości nie znajduję. Pięć bibliotek, powiedziałem do Gambettiego, i tyle wrogości wobec ducha. W krajach romańskich najprostszy ludzie mają poczucie smaku i kulturę, powiedziałem, w Wolfsegg nikt nie ma choćby odrobiny smaku, w każdym razie już od dawna, gdziekolwiek spojrzysz, króluje największy z możliwych brak dobrego smaku. I jaki powszechny brak zainteresowań! Jak gdyby wszystko skupiało się wokół żołądka, powiedziałem, a umysł został całkowicie wyłączony. Taki głupi naród, powiedziałem, i taki wspaniały kraj, którego piękno jest wszak niedościgłe.

Nieźródlna natura i tacy niezainteresowani tą naturą ludzie. Taka od niepamiętnych czasów wysoka kultura, powiedziałem, i taki barbarzyński brak kultury dzisiaj, taka zgubna niekulturalność. Nie mówiąc już o przygnębiających stosunkach politycznych. Co za ohydne kreatury dzierżą władzę w dzisiejszej Austrii! Najniżsi zasiadają obecnie na samej górze. Najwstrętniejsi i najpodlejsi trzymają wszystko w rękach i niewiele brakuje, by zniszczyli wszystko, co jest

czymś. Pod płaszczykiem socjalizmu zabrali się do dzieła gorliwi niszczyciele, bezwzględni wyzyskiwacze. Rząd kieruje dzisiaj potworną machiną zniszczenia, która dzień po dniu niszczy wszystko, co jest mi drogie. Nasze miasta są nie do poznania, powiedziałem, nasz krajobraz stał się na ogromnych połaciach całkiem ni jaki. Najpiękniejsze tereny padły pastwą żądzy pieniądza i władzy nowych barbarzyńców tam, gdzie rośnie nowe piękne drzewo, ścina się je, gdzie stoi wspaniała stara budowla, burzy się ją, gdzie wspaniały potok spływa w dolinę, niszczy się go. Podobnie jak deptane jest w ogóle wszystko, co piękne. A w dodatku robi się to z najobrzydliwszą obłudą, jaką można sobie wyobrazić, w imię socjalizmu. Każda rzecz, która choćby w najmniejszym stopniu ma cokolwiek wspólnego z kulturą, jest podejrzana i tak długo kwestionowana, póki się jej na zawsze nie wymaże. Do dzieła zabrali się wymazywacze, mordercy. Mamy do czynienia z wymazywaczami i mordercami, dokonują swego morderczego dzieła wszędzie, we wszystkich zakątkach.

Wymazywacze i mordercy mordują miasta i wymazują je, mordują krajobrazy i wymazują je. Siedzą na swoich tłustych tyłkach w tysiącach i setkach tysięcy urzędów we wszystkich zakątkach państwa i nie mają w głowach nic poza wymazywaniem i mordowaniem, myślą wyłącznie o tym, jakby tu bezpowrotnie wymazać i wymordować wszystko między jeziorami Neusiedlersee a Bodensee. Wiedeń jest już prawie zamordowany, Salzburg, wszystkie te wspaniałe miasta, powiedziałem do Gambettiego, których pan nie zna, a które naprawdę należą do najpiękniejszych na świecie. Krajobrazy, które przesuwają się przed naszymi oczyma, gdy jedziemy z Wiednia przez całą Austrię, powiedziałem, też już zostały zamordowane, wymazane, jedno okropieństwo goni drugie, jedno obrzydlistwo za drugim wpycha się nam po drodze przed oczy, toteż perwersyjnym kłamstwem jest ciągle mówienie o Austrii jak o pięknym kraju, bo w istocie jest to tylko od dawna już zniszczony, zuchwale spustoszony i zeszpecony kraj, który padł ofiarą perfidnych interesów i w którym prawie nie sposób znaleźć jakiś nietknięty zakątek. To kłamstwo, że

ten kraj jest piękny, bo tak naprawdę został zamordowany. Czy to było konieczne, spytałem Gambettiego, żeby ludzkość w tym stuleciu targnęła się na ten najpiękniejszy ze wszystkich światów, po to by go zamordować i wymazać? Kiedy po latach odwiedzamy wsie, Gambetti, powiedziałem, trudno je rozpoznać, tak samo jak zamieszkujących je ludzi. Cóż to byli za ludzie, jeszcze kilka lat temu, i jacy są dzisiaj! W każdym z nich niczym śmiertelna choroba zagnieździł się brak charakteru, żądza posiadania, bezwzględność, nikczemność, kłamstwo, obłuda, podłość. Ludzie ci robią dziś wszystko, żeby dać upust swojej bezwzględnej nikczemności. Jedzie pan pełen ochoty ponownego zobaczenia tych wsi i wkrótce odwraca się do nich plecami, bo nie może pan znieść bezmiaru podłości. Odwiedza pan te wszystkie piękne miasta i czuje się pan zdruzgotany, opuszczając je z poczuciem upokorzenia, a także z pewnością, że wszystkie skazane są na zatracenie. Zeszpecił je, zniszczył dzisiejszy brak ducha; aby je na powrót odnaleźć, musi pan ich szukać w starych książkach, na starych sztychach, bo codzienna rzeczywistość dawno już je wymazała. Na przykład wszystkie wspaniałe domy w Górnej Austrii, w Salzburgu, w Dolnej Austrii utraciły swe dawne oblicze, pod wpływem tępej mody oszpecono te liczące wiele wieków wspaniałe fasady, wydarto z nich wszystko, co było w nich piękne; przerażonemu człowiekowi, który jeszcze miał w pamięci ich pierwotny wygląd, jawią się teraz całkiem okaleczone, szyderczo wyszczerzone. Same zniszczone fasady, powiedziałem do Gambettiego, jak gdyby wszystkie te miasta trawił jakiś straszliwy trąd, zabójczy, nieznanany dotychczas gatunek trądu. Jednocześnie, powiedziałem do Gambettiego, całym dzielnicom po prostu wyszarpano wnętrzności, okaleczając je i obracając w ruinę.

Architekci zeszpecili powierzchnię naszej Ziemi, powiedziałem, architekci, podjudzeni i podburzeni do tego oszpecania przez bezwzględnych polityków. Z początku wyglądało na to, że to wojny zrujnowały nasze miasta i krajobrazy, ale z o wiele większą bezwzględnością zostały one wciąż ostatnich dziesięcioleci zrujnowane przez ten perwersyjny pokój, przez pozbawione

wszelkich skrupułów geszefciarstwo prominentów, którzy dali wolną rękę swoim płatnym mordercom - architektom. Jakże się ci architekci rozszaleli w ciągu tych dziesięcioleci! W porównaniu z tym zniszczenia wojenne to fraszka, powiedziałem do Gambettiego. W żadnym kraju nie dokonano zniszczeń w tak straszliwy sposób jak w Austrii. Nigdzie w Europie z większą bezecnością. Sam naród uznano za głupców, a jego miasta okaleczono, nieomal je wymazując, powiedziałem do Gambettiego. Przez całe dziesięciolecia głośzono chwałę i wdrażano w życie największy brak smaku. W ostatnich dziesięcioleciach mieliśmy tylu nikczemnych ministrów, bez skrupułów robiących interesy, którzy to ministrowie dopóty zajmowali swoje ministerialne fotele, póki nie podjęli się dzieła zniszczenia i unicestwienia naszych krajobrazów oraz naszych miast i nie doprowadzili go do końca, tylu wymazywaczy naszego państwa, czyli naszej ojczyzny, powiedziałem do Gambettiego, nawet myśleć o tym trudno. Nic więc dziwnego, że w kraju, w którym od dziesięcioleci bezpardonowo króluje nikczemność oraz brak smaku, mamy teraz we wszystkich dziedzinach takie przygnębiające rezultaty. Albowiem w tym samym czasie, kiedy owi ludzie będący prominentami zniszczyli, zrujnowali i nieomal wymazali krajobrazy i miasta, zniszczyli również ducha tego narodu, jego charakter, powiedziałem do Gambettiego. Duch moich ziomków uległ destrukcji, powiedziałem, ich charaktery stały się podłe i nikczemne, wszędzie panuje złowroga atmosfera, w którąkolwiek stronę się pan obróci, natknie się pan na te złowrogi, podłe charaktery. Myśli pan sobie, oto rozmawiam z zacnym człowiekiem, jak dawniej, a tu nagle okazuje się, że to najgorszy podlec, najgorszy nikczemnik, gdyż ów ktoś zacny podlegał zmianom charakterologicznym zgodnym z powszechnym trendem, stał się z biegiem czasu podły i nikczemny, objawiając w każdym calu swoją podłość i nikczemność; nawet nie tłumi w sobie tej podłości i nikczemności, lecz całkiem jawnie je okazuje. Wkracza pan do wsi, którą zachował w pamięci jaką miłą i życzliwą, ale już wkrótce spostrzega pan, że oto mamy teraz do czynienia ze

wsią złowrogą, gdzie nikt nie okaże nikomu odrobiny życzliwości, raczej podłą nieufność. Cała Austria stała się wyzbytym wszelkich skrupułów geszeftem, w którym już tylko wszyscy o wszystko się targują i w którym wszyscy są we wszystkich sprawach oszukiwani. Myśli pan, że odbywa podróż do pięknego kraju, a w rzeczywistości wjeżdża pan do perwersyjnie prowadzonego domu handlowego. Myśli pan, że odbywa podróż do kraju, gdzie panuje kultura, i dostaje pan jak obuchem w łeb, napotykając wszędzie wyłącznie prymitywizm. To zupełnie tak, powiedziałem do Gambettiego, jakby pomniki, które stawiano wszędzie jeszcze w ubiegłym stuleciu, patrzyły ze zgrozą w dół na nieopisany chaos, zafundowany nam przez dzisiejszych władców. Jak ohydne stało się to wszystko, Gambetti, powiedziałem, jak niesmaczne, nie wyobraża pan sobie. Taka ohyda i taki brak smaku byłyby nie do pomyślenia ani we Włoszech, powiedziałem, ani w Hiszpanii. W żadnym innym kraju nikt nie potraktował głupkowatych haseł postępu z równie surową powagą jak w Austrii, powiedziałem, wskutek czego wszystko zrujnowano. Tak jak poważnie wszyscy traktowali w Austrii zawsze każdą bzdurę, powiedziałem do Gambettiego, ze śmiertelną powagą, a pan wie, co to znaczy. Do tej pory myślałem, że ten tak zwany socjalizm jest nieszkodliwą, chwilową neurozą polityczną, powiedziałem do Gambettiego, ale w istocie i naprawdę jest on zabójczy. Mam na myśli *panujący dzisiaj socjalizm*, który jest tylko udawany, Gambetti, taki zakłamany, tak bezczelnie udawany. Nie mamy dzisiaj prawdziwego socjalizmu, nigdzie na świecie, tylko ten zakłamany, obłudny, udawany, powinien pan o tym wiedzieć. Podobnie jak dzisiejsi socjaliści nie są prawdziwymi socjalistami, lecz obłudnymi, zakłamanymi, udawanymi. Ten wiek niejako ubabrał szlachetne słowo „socjalizm” w błocie, aż chce się rzygać, powiedziałem do Gambettiego. Ci, którzy myśleli o prawdziwym socjalizmie i wierzyli w niego, wierzyli, że stworzyli go na wieki, przewróciliby się dzisiaj w grobie, gdyby mogli zobaczyć, co zrobili z niego ich obrzydliwi następcy. Przewróciliby się w grobie, gdyby jeszcze raz mogli otworzyć oczy i zobaczyć to wszystko, co

dzisiaj sprzedaje się i rozpowszechnia wśród narodów pod szlachetnymi hasłami socjalizmu. Przewróciłiby się w grobie, gdyby mogli zobaczyć, jak haniebnie obchodzą się w Europie i na całym świecie z ich szlachetnymi hasłami. Przewróciłiby się w grobie z powodu tego najbardziej gigantycznego ze wszystkich nadużyć. Przewróciłiby się w grobie, przewróciłiby się w grobie, powtórzyłem kilkakrotnie Gambettiemu. Długo nie pojedę do tego kraju, nie pojedę tam przynajmniej przez rok, powiedziałem wtedy do Gambettiego, a raptem okazuje się, że muszę jechać, i to natychmiast. Mój brat na fotografii wygląda na przygnębionego, stoi skulony, powiedziałem do siebie, i chociaż sprawia wrażenie nadzwyczaj eleganckiego, jest wieśniakiem, podczas gdy ja jestem mieszczaninem, zawsze byłem człowiekiem wielkomięjskim, po nim natomiast od razu poznać wieśniaka, choćby nie wiedzieć co na siebie włożył. Podobnie było z jego ojcem, który przez większość czasu, jak *brat*, ubierał się po miejsku, a przecież zawsze można było natychmiast rozpoznać w nim wieśniaka. Później jadą, jeździli, ponieważ matka sobie tego życzyła, do Wiednia i wybierali się do opery, w Wielkanoc na *ParsifaLa*, po czym wieczerali *u* Sachera, bo oni w Wiedniu nie jedli, oni wieczerali, wieczorem wieczerali, w obiad *obiadowali*, rano *śniadali*, po czym we troje, albo gdy byli usposobieni wielkodusznie, we czworo z moją ciotką z Wiednia szli przez Graben i Kertnerstrasse na spacer po Ringu. W wielkomięjskich ubraniach, natychmiast jednak rozpoznawalni jako ludzie z *provincji*. *Odwiedzali najszynniejsze sklepy, w których matka wynajdowała sobie najlepsze suknie, zarazem jednak uszyte bez najmniejszego poczucia smaku, były to modele mediolańskie i paryskie, w których później jeździła do Linzu i chadzała do teatru albo wybierała się do Salzburga na koncerty, bo od dziesięcioleci miała wykupiony abonament. Brat wygląda na zdjęciu zdrowiej niż w rzeczywistości, nosił w sobie od urodzenia wszystkie ojcowskie choroby, ale nie występowały one jeszcze tak jawnie jak u ojca, jeszcze czekały jeszcze nie wybuchały, ja jednak już na tej fotografii dostrzegłem je na jego twarzy, w całej, ogólnie*



*rzecz biorąc, nieszczęsnej postawie ciała. Powiedziałem kiedyś do Gambettiego, że oni wszyscy mają nieszczęsną postawę fizyczną, nieszczęsną postawę duchową i nieszczęsną postawę fizyczną. Wszystko w nich i na nich jest nieszczęsne, po czym wyjaśniłem Gambettiemu określenie „nieszczęsny”, które we Włoszech nie jest znane, język włoski go nie zna, jest ono zresztą nieprzetłumaczalne. Chodzili do opery albo do teatru na sztuki, podczas których w gruncie rzeczy potwornie się nudzili, chociaż na zakończenie przedstawienia klaskali zawsze z ogromnym zachwytem, nie dbając w ogóle o wytworność, ponieważ zawsze tak dużo płacili za te spektakle, normalne ceny, co żadnemu wiedeńczykowi nie przyszłoby do głowy, wiedeńczycy nie płacą normalnych cen, płacą w najlepszym wypadku połowę, normalne ceny pozostawiają obcokrajowcom oraz prowincjuszom, a ci klaszczą, bo musieli zapłacić wysokie, normalne ceny, zawsze najwyższe. Z matką trzeba było zatrzymywać się ciągle przed wystawami słynnych, nie zawsze najlepszych sklepów. Wkraczała do nich z wysoko podniesioną głową i nigdy się w mojej obecności nie zdarzyło, żeby wyszła z któregoś z tych słynnych sklepów, czegoś przedtem nie kupiwszy, już po wizytach w dwu, trzech sklepach moja rodzina i ja musieliśmy, towarzysząc jej, targać wielkie pakunki, a gdy te pakunki naprawdę bardzo nam już ciążyły, ustępowała, poddawała się i siadała wyczerpana u Sachera albo w Bristolu, gdzie się przeważnie zatrzymywaliśmy. Najchętniej wszystko by wykupiła i zawiozła do Wolfsegg. Co ty robisz z tymi wszystkimi strojami? pytał wtedy zawsze mój ojciec, przecież w ogóle w nich nie chodzisz, w Wolfsegg nie możesz ich nosić, bo byłoby to śmieszne, w Salzburgu nikt się nawet nie pozna, że to takie kosztowne rzeczy, ani w Linzu, a już tym bardziej w Wels, wszystko wisi w szafach, aż wyjdzie z mody, i wtedy wyrzucasz je albo rozdajesz. Ale moja matka była niepoprawna. Z Wiednia wracała zawsze co najmniej z tuzinem pakunków, a przynajmniej drugie tyle dosyłano jej jeszcze później ze sklepów, to znaczy te ubiory, które kupiła w Wiedniu potajemnie, bez świadków, czyli mojej rodziny. Nasza matka wydawała zawsze majątek na stroje, których jednak w ogóle nie*

*nosila, a jeśli już, to wkładala je zaledwie dwa lub trzy razy, żeby je potem wyrzucić lub komuś podarować. Biada jednak, gdy siostry miały ochotę na takie, jak to mówiono, stroje modelek, im nie wolno było kupić sobie w Wiedniu ani jednej sukni, nawet gdy dobiegały już czterdziestki, nawet w wieku czterdziestu lat mogły sobie kupić co najwyżej jedną lub dwie sukienki na tak zwanej wyprzedaży w Wels, jako że nasz krawiec z Lambach nadal był głównym dostawcą ich strojów, składających się, jak się rzekło, z samych obrzydliwych ludowych chłopek, na które matka kazala im brać miarę dwa razy do roku i na które nie mogły nawet same wybrać materiałów, gdyż matka uważala, że nie mają wystarczającego w tej mierze do tego gustu, mimo iż nasza matka sama nigdy nie miała choćby odrobiny smaku. Albo wzory na materiałach tych chłopek były za duże, albo za małe, kolory gryzły się ze sobą, kołnierzyki były wycięte zbyt głęboko albo też były za ciasne, rękawy za długie lub za krótkie, spódnice w każdym wypadku przynajmniej o dwadzieścia centymetrów za długie, a fartuszki nigdy nie pasowały do sukienek. Moja matka zawsze ubierala swoje córki jak lalki, bo koniec końców zawsze je też jak lalki traktowała, widząc w nich jedynie lalki, nic poza tym. Podobnie jak wiele matek, traktowała swoje córki od samego początku jak lalki i prawdopodobnie jako lalki, co wcale nie jest przesadą, wydała je również na świat, nie jako ludzi, toteż także w wieku dojrzałym chciała mieć jedną lub więcej lalek. Jej córki nigdy nie były niczym innym jak tylko lalkami, zaspokajającymi jej żądze zabawy, dlatego też nigdy nie wypuściła ich z ręki i ciągle musiały reagować i odpowiadać jak lalki, jak lalki je też codziennie ubierala, karmiła i wyprowadzala, a potem co wieczór kładła do łóżka.*

*Jeszcze w wieku czterdziestu lat moje siostry są nadal podporządkowane tej matczynej żądze zabawy, myślę. Ale również mój brat wiódł przez całe swoje życie żywot lalki, był, by tak rzec, kukielką matki, od samego początku wychowywała go sobie na swego rodzaju zastępczego pajaca w przewidywaniu chwili, gdy zakończy żywot jej mąż, pierwszy pajac. Siostry były zawsze dla*

ogarniętej żądzą posiadania lalek matki mówiącymi lalkami, które kiedy tylko chciała, mogła przywieść do płaczu lub do śmiechu, które kiedy tylko chciała, mogła przegonić, którym kiedy tylko chciała, mogła rozkazywać, rozbierać je i ubierać, kiedy i jak chciała, a jej mąż, mój ojciec, i mój brat, jej syn, byli pajacami, których pociągala za sznurki w zależności od ochoty i humoru. Moja matka była opętana absolutnie perwersyjną żądzą zabawy. Zrobiła sobie z Wolfsegg doskonale funkcjonujący świat lalek, w którym wszyscy z absolutną precyzją spełniali jej polecenia. Wolfsegg było jej domkiem dla lalek, otoczenie jej lalkowym światem. A ponieważ ja nie chciałem być lalką w tym domu lalek i w tym świecie lalek, bardzo szybko oddaliłem się z tego domu lalek i tego świata lalek. Ten dom lalek i ten świat lalek obserwowany z zewnątrz i z daleka sprawia jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie, o wiele straszliwsze. Wolfsegg jest domem lalek, powiedziałem do Gambettiego, a jego otoczenie to nic innego jak świat lalek rządzony ręką matki bezwzględnie, nieludzko, ba, okrutnie. Gambetti roześmiał się i nazwał mnie nieznającym umiaru „przerysowywaczem”, określił mnie jako typowego austriackiego czarnowidza, groteskowego pesymistę.

Odpowiedziałem na to, że moje przerysowania są naprawdę i rzeczywiście niedorysowaniami, że Wolfsegg, tak jak mu je opisuję, to w istocie wręcz idylla w porównaniu z tym, czym jest w rzeczywistości. Gambetti, powiedziałem, pan nie umie wyobrazić sobie Wolfsegg, pan nigdy nie miał sposobności przekroczyć progu tego okropnego domu dla lalek, taki straszny, lalkowy krajobraz nie istnieje nigdzie indziej. Mój ojciec, powiedziałem, ta marionetka znacznie powyżej siedemdziesiątki, której członki są chore i której głowa, od pociągania za nią przez całe życie, stała się tępa i twarda. Mój brat, powiedziałem do Gambettiego, czterdziestoletni pajac, który też nie broni się przed pociąganiem go za głowę i już także przestał tej nikczemnej matce lalek stawiać jakikolwiek opór. Niemcy cierpią na kompleks matki, powiedziałem, podobnie jak Austriacy, matek nie wolno znieważać, powiedziałem do

*Gambettiego, matki są w tych krajach święte, w rzeczywistości jednak większość z nich to perwersyjne matki lalek, jak lalkarze prowadzą swoje dzieci i swoją rodzinę, prowadzą tak długo, aż wreszcie doprowadzają te dzieci do śmierci, tak samo doprowadzają je do śmierci jak swoich mężów. W*

*Niemczech i w Austrii nie ma takich matek jak w krajach romańskich, gdzie matki są naturalne, gdzie nie są matkami lalek, powiedziałem, a zarówno w Niemczech, jak i w Austrii są same matki lalek, i te matki lalek nie robią nic innego, tylko dopóty z absolutną bezwzględnością prowadzą swoich lalkowych mężów i lalkowe dzieci, aż ci lalkowi mężowie i te lalkowe dzieci zostają przez nie doprowadzone do śmierci. W*

*Europie Środkowej nie ma już dzisiaj naturalnych matek, są tylko nienaturalne, by tak rzec, sztuczne matki, powiedziałem, lalkowe matki, które od samego początku wydają na świat nienaturalne dzieci, to znaczy w mniejszym lub większym stopniu tylko sztuczne, nienaturalne dzieci. Nawet w najodleglejszych dolinach górskich nie znajdzie pan już żadnej naturalnej matki, są tylko nienaturalne. A taka nienaturalna matka oczywiście zawsze wydaje na świat nienaturalne dziecko, natomiast to nienaturalne dziecko znowu tylko sztuczne dziecko, i w ten sposób istnieją dzisiaj sami nienaturalni ludzie, sztuczni ludzie, naturalni nie istnieją, błędem jest nazywać człowieka naturalnym, taki już w ogóle nie istnieje, dzisiaj spotykamy człowieka sztucznego, człowieka nienaturalnego i z takim mamy do czynienia, dlatego też spotykając naturalnego człowieka, wpadamy w przerażenie, ponieważ już w ogóle się tego nie spodziewamy, ponieważ przecież od dawna jesteśmy konfrontowani wyłącznie z nienaturalnym człowiekiem, ze sztucznym człowiekiem, już od tak dawna dominującym na świecie, który też od dawna nie jest naturalny, tylko na wskroś i coraz bardziej nienaturalny, Gambetti, sztuczny świat. Sztuczny świat wydał sztucznego człowieka i odwrotnie, sztuczny człowiek sztuczny świat. Nic nie jest już naturalne, powiedziałem do Gambettiego, nic, już w ogóle nic. Ale my nadal wychodzimy z założenia, powiedziałem do*

*Gambettiego, że wszystko jest naturalne, a to błąd. Nic nie jest już naturalne, wszystko jest sztuczością. Natura już nie istnieje. Ciągłe jeszcze wychodzimy od obserwacji natury, skoro przecież od dawna powinniśmy wychodzić jedynie od obserwacji sztuczości. Wskutek tego, powiedziałem do Gambettiego, wszystko jest takie chaotyczne. Takie fałszywe. Takie nieszczęśliwe. Tak śmiertelnie bałamutne. Tam gdzie nie istnieje natura, nie może też istnieć obserwacja natury, Gambetti, to przecież logiczne, powiedziałem do Gambettiego. Fotografia, na której uchwycono mojego brata dokładnie w chwili, gdy wsiada do swojej żaglówki na jeziorze Wolfgangsee, ukazuje go w pozie człowieka szczęśliwego, ale przecież on jest na tej fotografii najnieszczęśliwszym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić. Moje siostry na fotografii, która ukazuje je w Cannes przed willą wuja Georga, mają przyklejone do twarzy miny osób szczęśliwych, przez co wyglądają na o wiele bardziej nieszczęśliwe, niż są w rzeczywistości. Ojciec i matka wyglądają na fotografii, ukazującej ich na dworcu Victoria w Londynie, na takich nieszczęśników, jakimi są, chociaż starali się wyglądać na szczęśliwych. Co fotografujących się ludzi skłania zawsze do tego, żeby za wszelką cenę wyglądać na szczęśliwych na fotografiach, które ich ukazują w każdym zaś razie nie na tak nieszczęśliwych, jakimi są? myślę. Każdy chce, by sfotografować go jako człowieka szczęśliwego, nigdy jako nieszczęśliwego, zawsze jako totalnie zafalszowanego, nigdy takim, jaki jest w rzeczywistości, czyli zawsze najnieszczęśliwszy ze wszystkich.*

*Wszyscy oni chcą być nieustannie fotografowani jako piękni i szczęśliwi, chociaż wszyscy są przecież szpetni i nieszczęśliwi. Uciekają w fotografię, wykrzywiają się złośliwie na fotografii, która w totalnym zafalszowaniu ukazuje ich jako szczęśliwych i pięknych albo przynajmniej jako mniej szpetnych i mniej nieszczęśliwych, niż są. żądają od fotografii swojego upragnionego i idealnego wizerunku, więc każda metoda, choćby to było najokropniejsze zniekształcenie, jest według nich dobra, byle tylko został utrwalony ów upragniony, idealny*

wizerunek. Wcale nie zauważają, jak strasznie, jak potwornie się w każdym przypadku kompromitują. Piękny człowiek na zdjęciu jest zawsze bez wyjątku najszpetniejszy, najszcześliwszy zawsze bez wyjątku najnieszczęśliwszy. W swoich mieszkaniach wieszają fotografie, które kazali sobie zrobić, czyli piękny i szczęśliwy świat, który w rzeczywistości jest najszpetniejszy, najnieszczęśliwszy i najbardziej zakłamany. Przez całe życie wpatrują się w te swoje piękne i szczęśliwe zdjęcia na ścianach i odczuwają przy tym satysfakcję, chociaż powinni odczuwać wyłącznie wstręt. Ale oni, co zresztą chroni ich przed tą straszliwą wiedzą, nie myślą że są szpetni, nieszczęśliwi i zakłamani.

Posuwają się aż do tego, że gościom w swoich mieszkaniach, których oni, zapraszający, znają jako szpetnych, nieszczęśliwych, tępych i podłych ludzi, pokazują te fotografie, na których sami, jak sądzą, są przedstawieni jako ludzie szczęśliwi i piękni; nie wstydzą się pokazywać tych zdjęć nawet tym, którzy ich w rzeczywistości znają, a więc na takiej fotografii rozpoznają oczywiście jako kłamców, ludzi naprawdę na wskroś zakłamanych i zagubionych. Żyjemy w dwu światach, powiedziałem do Gambettiego, w rzeczywistym, który jest smutny i podły, a koniec końców zabójczy, i w sfotografowanym, który jest na wskroś zakłamany, ale przez przytłaczającą większość upragniony i idealny. Zabrać dzisiaj człowiekowi fotografię, zerwać ją ze ściany, powiedziałem do Gambettiego, i zniszczyć, raz na zawsze, to znaczy odebrać mu nieomal wszystko. W konsekwencji można powiedzieć, że ludzkość już tylko na tym wisi, że nie ma już nic innego, czego mogłaby się ucześcić, a wreszcie że nie jest już zawisła od niczego więcej jak tylko od fotografii. Fotografia stanowi dla ludzi ratunek, Gambetti, powiedziałem, na co Gambetti roześmiał się, nazywając mnie porannym fantastą, czyli użył takiego wyrażenia, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem, czego konsekwencją z mojej strony był śmiech, któremu Gambetti oczywiście zawtórował i którym przez pewien czas rozkoszowaliśmy się obaj z największą przyjemnością. Gdybyśmy nie posiadli sztuki przerysowywania, powiedziałem do Gambettiego, bylibyśmy skazani na przerażająco nudne życie,

*na istnienie niewarte istnienia. A ja w swojej sztuce przerysowywania osiągnąłem niewiarygodne szczyty, powiedziałem do Gambettiego. Aby uczynić coś zrozumiałym, musimy przerysowywać, powiedziałem do niego, tylko przerysowanie jest metodą poglądową, nawet niebezpieczeństwo, że nazwą nas błaznami, nie przeszkadza nam w podeszłym wieku. Nie ma nic lepszego niż zostać w podeszłym wieku nazwanym błaznem. Najwyższe szczęście, jakie znam, powiedziałem wówczas do Gambettiego, to szczęście starego błazna, który, całkiem niezawisły, może oddawać się swojej błazenadzie. Jeśli mamy taką możliwość, powinniśmy przynajmniej około czterdziestki obwołać siebie starymi błaznami i spróbować doprowadzić swoją błazenadę do ostateczności. To błazenada nas uszczęśliwia, powiedziałem do Gambettiego.*

*Fotografię przedstawiającą mojego brata Johanna położyłem na samym wierzchu, a na samym spodzie tę, która przedstawia rodziców na dworcu Victoria, co momentalnie przyniosło zdumiewający efekt: brat na górze, a rodzice na dole - ukazali się teraz moim oczom w całkiem innej relacji do leżących pośrodku sióstr. One zawsze miały negatywny stosunek do brata, nigdy jednak tak jawnie negatywny jak wobec mnie, wobec mojego brata był on skrywany. Brata potrzebowały, a mnie nie. Brat był od zawsze ich bezpośrednim przyszłym żywicielem, musiały więc zachowywać się wobec niego całkiem inaczej niż wobec mnie, którego koniec końców w ogóle nie musiały się obawiać. Rodziców jako bezpośrednich żywicieli i karmicieli musiały nieustannie poważać, zważać na nich i z tego powodu również im usługiwać, brata jako pośredniego żywiciela i karmiciela nie musiały poważać i nieustannie na niego zważać, tylko wtedy, gdy zaistniała taka konieczność, mnie natomiast nie musiały w ogóle poważać ani zważać na mnie, ponieważ nigdy nie wchodziłem w grę jako ich żywiciel i karmiciel. Ze mną było im najłatwiej, albowiem również w oczach rodziców byłem zawsze kimś, kogo nie trzeba poważać, chociaż jednak zawsze trzeba było na mnie zważać, ale z całkiem innego powodu, z tego mianowicie, że siostry bezpośrednio musiały się przede*

*mną bronić, ponieważ zawsze wydawałem się im nieobliczalny i nieprzenikniony, nigdy jednak nie uważały mnie za istotną osobę, od której są zawisłe i od której pewnego dnia będą musiały być zawisłe, jak myślały. Od mojego brata będą pewnego dnia zawisłe, ode mnie nie, od rodziców były zawisłe, wobec czego ich poważanie i zważanie na nich, a także usługiwanie im etcetera było samo przez się zrozumiałe. Mnie nie poważały, na mnie nie zważały, na mnie musiały tylko zawsze uważać Fotografia mojego brata na samym wierzchu oznaczała, że teraz to on jest najważniejszy w rodzinie, a rodzice na samym spodzie znacznie mniej ważni. Siostrzom natomiast było trudno zarówno z rodzicami, jak i z bratem, z obecnymi, niebawem mającymi odejść, i z przyszłym, mającym niebawem nadejść w charakterze żywiciela, karmiciela etcetera. Na mnie nigdy nie zważały i w ogóle mnie nie poważały, mnie się zawsze obawiały, ale też tylko do momentu, kiedy właściwie na zawsze odszedłem Wolfsegg. Z Rzymu nie mogłem być dla nich groźny, naturalnie że nie, nawet z Londynu czy choćby z Wiednia. Już od dawna, jak to się mówi, nie byłem brany pod uwagę. A teraz, pomyślałem, wpatrując się w szydercze twarze obydwu, dotknęła je katastrofa, teraz bowiem ja jestem tym, od którego są zawisłe, bez żadnych wątpliwości. Po śmierci rodziców i brata Wolfsegg przypadło mnie. Z prawnego punktu widzenia, o ile wiem. Trzy tygodnie temu powiedziałem do Gambettiego, że kiedy wrócę z wesela mojej siostry Caecilii, długo nie pojedę do Wolfsegg. Wolfsegg to dla mnie zamknięty rozdział. Nie mam żadnego powodu, by jeździć do Wolfsegg, mieszkańcy Wolfsegg już mnie nie potrzebują. Kto to jest fabrykant kapsli do wina, spytał mnie Gambetti, usiłowałem mu to wyjaśnić, powiedziałem, że Fryburg to okropne miasto, drobnomieszczańskie, katolickie, nie do wytrzymania.*

*Fabrykant kapsli do wina, mąż mojej siostry Caecilii, jest również drobnomieszczańskim i katolikiem, nie do wytrzymania. Ale najprawdopodobniej, powiedziałem do Gambettiego, dobrze pasuje do mojej siostry Caecilii. Być może ten mężczyzna jest dla niej nawet ocaleniem. Nie*



*myślałem, że którakolwiek z moich sióstr kiedykolwiek wyjdzie za mąż, nigdy nie powstało im to w głowie, ich rodzice, a przede wszystkim matka, zrobili wszystko, by wykluczyć zamążpójście swoich córek. Moja ciotka z Titisee, powiedziałem do Gambettiego, skojarzyła to małżeństwo, ten na wskroś śmieszny związek. Trzeba sobie tylko wyobrazić wtargnięcie do Wolfsegg fabrykanta kapsli do wina! Katolik i drobnomieszczanin, któremu moja matka po pierwsze musiała zwrócić uwagę na to, że przy stole nie wypada pojawiać się w szelkach.*

*Niemiec z najbardziej niemieckiej zapadłej dziury, powiedziałem do Gambettiego. Ze Schwarzwaldu, gdzie diabeł mówi dobranoc, a niemiecka głupota osiąga szczyty. Teraz nie bałem się już fabrykanta kapsli do wina, w gruncie rzeczy przestałem się też bać sióstr, nie bałem się ich, ale było dla mnie jasne, że w tej strasznej sytuacji będą mi ciężarem aż do niemożliwości i rozpacz. Może Amalia wyjdzie kiedyś za mąż, myślałem dawniej od czasu do czasu, ale Caecilia nigdy, tak kiedyś wyznałem Gambettiemu. A teraz obie stoją przede mną i są całkiem na mnie zdane. Ich oczekiwanie, a równocześnie podejrzliwość będą teraz posunięte do ostateczności. Może grobowiec jest już otwarty, powiedziałem do siebie. Może z okien w Wolfsegg zwieszają się czarne chorągwie. Po raz ostatni wywiesili je po śmierci wuja Georga. I już od razu, pół godziny po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci, wszyscy chodzili w czerni. Bardzo mi teraz brakowało wuja Georga. Wszystko byłoby dzięki niemu łatwiejsze. Komizm złośliwych min moich sióstr na fotografii, pomyślałem, jest zdwojony. To szyderstwo na ich twarzach wynika z trwającej kilkadziesiąt lat dominacji matki nad nimi, powiedziałem do siebie. Te szydercze spojrzenia są ich jedyną bronią. Amalia ukryła się w pawilonie ogrodowym i teraz nienawidzi Caecilii, która poślubiła fabrykanta kapsli do wina prawdopodobnie z przekory wobec matki, jako że zabraniała jej ona zawsze choćby zbliżyć się do mężczyzny, nienawidzi tej, która, jak to się mówi, wyszła z domu. Amalia natychmiast przyłączyła się do matki, by od tej chwili iść z nią całkowicie ręką w rękę, a przede wszystkim zniszczyć małżeństwo Caecilii. Siedzi, jak ją znam, na zydłu w*

*pawilonie ogrodowym i rozmyśla, jak by tu rozwalić niespodziewane i absolutnie niepożądane małżeństwo swojej siostry, wszelkimi dostępnymi metodami. Matka i siostra uknuły spisek przeciw małżeństwu Caecilii z fabrykantem kapsli do wina. To nie ma przyszłości, powiedziałem do Gambettiego przed wyjazdem do Wolfsegg, moja siostra Caecilia i schwarzwaldzki fabrykant kapsli do wina, to prędzej czy później musi się skończyć, gdyż wszyscy są przeciwni temu małżeństwu, a Caecilia nie dorasta do fabrykanta kapsli do wina, chociaż on także jest głupcem. Triumf mojej siostry, jej fortel, powiedziałem do Gambettiego, skończy się pewnego dnia katastrofą. Ona nie wytrzyma w Schwarzwaldzie, już teraz to przeczuwa, z tego też powodu nie chciała od razu po weselu pojechać za mężem do Fryburga, sądziła bowiem, że będzie mogła zostać bez niego w Wolfsegg, co jednak jest absurdalne, przyjdzie jej z nim wyjechać, czy tego chce, czy nie, on ją do tego zmusi, nie można wychodzić za mąż jedynie dla pozoru i nie skonsumować małżeństwa tylko dlatego, że chce się zranić matkę. Ten mężczyzna, powiedziałem do Gambettiego, musi wydawać się sobie w Wolfsegg zupełnie nie na miejscu, całkiem nieszczęśliwy, a jeśli liczył na pieniądze i majątek, to moim zdaniem się przeliczył. Nie ma się czego spodziewać, w żadnym przypadku, już moja matka się o to postara. Jej przebiegłość w sprawach prawnych jest znana i wszyscy się jej boją. Ale skoro jemu nie przychodzą do głowy żadne spekulacje, to co go skłoniło do poślubienia Caecilii? zadaję sobie pytanie, powiedziałem do Gambettiego. O mojej siostrze Caecilii można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest pociągająca lub warta poślubienia. Podobnie zresztą jak Amalia. Często zadajemy sobie pytanie, co pociągnęło, co skłoniło dwoje ludzi, którzy się pobrali, do zawarcia małżeństwa, i nieomal zawsze łapiemy się przy tym pytaniu za głowę: jak to możliwe, że właśnie tych dwoje ludzi? ale nie przychodzi nam do głowy żadna mądra odpowiedź. Jednego człowieka znamy jako kogoś, o kim jesteśmy przekonani, że w żadnym razie nie poślubiłby tej czy innej znanej nam również osoby, wydaje się nam to absolutnie niemożliwe, lecz*

*on właśnie ją poślubia, przy czym wcale nie musi być tak, że to małżeństwo będzie nieszczęśliwe, wręcz przeciwnie, częściej jednak okazuje się nieszczęśliwe, co przewidywaliśmy, przed czym ostrzegaliśmy, ale nie chciano nas słuchać.*

*Być może fabrykant kapsli do wina wkroczył w odpowiednim momencie, powiedziałem do Gambettiego, chociaż, jak przypuszczam, popełnił kolosalny błąd. Jako że moja siostra Caecilia jest również kuta na cztery nogi, powiedziałem do Gambettiego. Przebiegła z niej sztuka, podobnie zresztą jak z Amalii. Jej głupota nie wyklucza przebiegłości. A jak wiadomo, najgłupszy są najgroźniejsi, gdy głupota, powiedziałem bez żenady do Gambettiego, zejdzie się z podłością. O mojej rodzinie, pomyślałem teraz, mówiłem Gambettiemu zawsze same niepochlebne rzeczy, opowiadałem o wstrętnych, odrażających sprawach, ponieważ, co się tyczy jego, zawsze uważałem za całkiem naturalne, że wyjawiam przed nim swoje uczucia jak leci, a uczucia względem mojej rodziny były w ostatnich latach zawsze nad wyraz negatywne, najwstrętniejsze, najbardziej odrażające. Nie miałem okazji, żeby mu opowiedzieć o czymś innym, jedynie o tych negatywnych odczuciach z mojej strony. Odrażających. Wstrętnych. W najlepszym razie absurdalnych. I nigdy przy tym nie czułem cienia wstydu. Wobec Gambettiego nie wolno ci okazać się obłudnikiem, myślałem zawsze, nie możesz sobie pozwolić na to, żeby przyłapał cię na jakimkolwiek kłamstwie, na jakiegokolwiek nieuczciwości, jesteś bowiem jego nauczycielem, a od nauczyciela oczekuje się prawdy i uczciwości jako rzeczy samej przez się oczywistej. Łączy cię z Gambettim absolutne zaufanie. Nie wolno ci nigdy wobec niego okopać się za jakąś nieuczciwością czy wręcz kłamstwem, nawet jeśli niosłoby to ryzyko, zwłaszcza z jego strony, zaklasyfikowania cię do osób bezwzględnych, a może nawet podłych. Nie ma zaś żadnej wątpliwości co do tego, że sam bardzo często bywam bezwzględny i podły myślący człowiek nie uniknie tego niebezpieczeństwa ani tej przywary, musi się z nimi liczyć, musi się z nimi pogodzić, musi z nimi żyć. Musi pozwolić*

*to sobie powiedzieć i nie wolno mu zaprzeczać.*

*Wolfsegg stało się dla mnie absolutnie okropne, powiedziałem do Gambettiego. Panuje tam taka atmosfera, że można zdechnąć. Ze można dostać amoku! wykrzyknąłem do niego. Z drugiej strony, Gambetti, gdyby pan mógł zobaczyć te wspaniałe pokoje, te sklepienia, te korytarze, ten jedyny w swoim rodzaju tak zwany perystyl, w którym zimą, gdy byłem jeszcze dzieckiem, trzymałem sarenki, mój brat Johannes i ja, każdej zimy trzymaliśmy w perystylu dwie sarenki, każdy jedną dla siebie. Karmiliśmy je, rozmawialiśmy z nimi, dawaliśmy im „papu”! Gambetti naturalnie nie zrozumiał słowa „papu”, więc próbowałem mu je wyjaśnić, z czym jednak miałem spore trudności. Wiosną znowu wypuszczaliśmy sarenki na wolność. Przyprawialiśmy sobie do perystylu lekko ranne sarenki, powiedziałem do Gambettiego. Zimowały w naszym perystylu, dzięki czemu zawsze zdołały jakoś przeżyć. Nadawaliśmy im fantazyjne imiona, mój brat i ja, na przykład Sarabanda lub Locarnell. Wiosną, gdy wypuszczaliśmy je na wolność, były już naturalnie do nas przyzwyczajone i z ogromną niechęcią wychodziły z perystylu na wolność, wędrowaliśmy, mój brat i ja, po lasach, żeby pozbierać i zakopać zdechłe sarny, które nie przeżyły zimy. Pomagali nam w tym robotnicy z leśnictwa. Z leśnikami zawsze najlepiej się rozumiałem, byli moimi najlepszymi przyjaciółmi, lubiłem ich jak nikogo na świecie, znałem wszystkich z imienia, żartowali ze mną, chętnie o sobie opowiadali, o co częstokroć prosiłem. Zawsze ciągnęło mnie do prostych ludzi, powiedziałem do Gambettiego. Z nimi i tylko z nimi czułem się dobrze. Ku nim kierowała się cała moja sympatia. Kiedyśmy rozmawiali, zawsze byli spokojni, nigdy też nie gadatliwi. Używali prostego, niewyszukanego języka. Niczego nie udawali w przeciwieństwie do innych, którzy nieustannie coś udają. Niewątpliwie, mówiłem często do Gambettiego, kiedyś Wolfsegg było dla mnie rajem, w pierwszych latach życia, a nawet przez jakiś czas w ciągu pierwszych lat szkolnych. I wiedziałem, że mam do czynienia z rajem. Wkrótce jednak ten raj sponurzał, stopniowo zmieniał się w moich oczach, najpierw stał się*

*przedpiekłem, aż w końcu zmienił się w piekło. Chciałem się wydostać z tego piekła, chciałem to piekło możliwie najszybciej opuścić. Nie mogłem się doczekać, powiedziałem do Gambettiego, kiedy wreszcie wyjadę do internatu, a potem do Wiednia. Nie wiedząc, kim właściwie mam być, co miałbym ze sobą zrobić, od czego powinienem zacząć, żeby rozwijać się we właściwy sposób. Nie miałem najmniejszego wyobrażenia. Kochałem książki, które już przeczytałem, i te, które jeszcze na mnie czekały, kochałem te nieskończone tomy księzek, w których właściwie jest napisane wszystko, jak myślałem, już jako dziecko kochałem, mogę to spokojnie powiedzieć, życie duchowe bardziej niż wszystko inne, ale nie miałem pojęcia, co mam zrobić, by umożliwiło mi to uczestniczenie i udział w tym tak przeze mnie umiłowanym życiu duchowym, a także by uprawiać samemu takie życie duchowe. Nie miałem nikogo, kto mógłby udzielić mi stosownej wskazówki, póki wuj Georg, który zauważył moje rozterki, nie wsparł mnie radami. Po pierwsze musisz całkowicie uwolnić się od swojej rodziny, powiedział wuj Georg, całkowicie się usamodzielnąć, najpierw wewnątrz, a później również zewnątrz. Ja zaś posłuchałem jego rad i najpierw uwolniłem się wewnątrz, a później również zewnątrz, najpierw stałem się niezależny wewnątrz, później także zewnątrz. No i oczywiście musisz wyjechać z Wolfsegg, powiedział.*

*Musisz postawić siebie ponad poglądami i sądami członków twojej rodziny z Wolfsegg i wbrew ich woli wyjechać z Wolfsegg, nie słuchać rad, których celem jest wyłącznie przykucie cię na całe życie do Wolfsegg, poświęcenie się Wolfsegg, musisz zachować się dokładnie odwrotnie, niż oni ci doradzają, właściwie nigdy nie wolno ci podzielać ich poglądów, gdyż ich poglądy są przeciwstawne do twoich, a tym samym wymierzone w twój rozwój. Ich rady są nic niewarte, ich poglądy są nic niewarte, powiedział mi wówczas wuj Georg. Oni wprawdzie twierdzą zawsze, że pragną dla ciebie tylko tego, co najlepsze, jak wiesz, ale są przeciw tobie, ich myśli zmierzają tylko do tego, by cię do siebie przykuć, a jeśli nie pozwolisz się do nich przykuć, spróbują*

wszystkich sposobów, żeby cię zniszczyć. Uwolnienie się od nich, przeciwstawienie własnego nieprzejednania ich nieprzejednaniu wymaga nie tylko ogromnego, lecz wręcz najwyższego wysiłku. Potrafisz się usamodzielić, stać się od nich niezależnym, powiedział wuj Georg, ale zwracam ci uwagę, że cena za to będzie ceną najwyższą. I tę najwyższą cenę będziesz musiał zapłacić. Rzeczywiście, zapłaciłem najwyższą cenę za uniezależnienie się od Wolfsegg, powiedziałem do siebie. Wuj Georg miał rację. Przeciwstawiłem swoje własne nieprzejednanie ich nieprzejednaniu, ale moje było silniejsze, bo bardziej bezkompromisowe. Ile mnie kosztował wyjazd do Wiednia, do tego zbytecznego miasta, jak się o nim wyrażali. Ile mnie kosztował wyjazd do Anglii, a w końcu do Paryża.

Ile mnie kosztowało osiągnięcie wewnętrznej wolności, bym mógł osiągnąć zewnętrzną. Swoją niezależność zawdzięczam wujowi Georgowi, powiedziałem na Pincio do Gambettiego, wciskając mu do ręki Proces Kafki, który gdy czytałem go po raz drugi w życiu, wzbudził we mnie jeszcze większy zachwyty niż podczas pierwszej lektury. Są pisarze, powiedziałem do Gambettiego, którzy gdy czyta się ich po raz drugi, zachwycają czytelnika wieszczę większym stopniu niż za pierwszym razem, a z Kafką przytrafia mi się to zawsze. Mam Kafkę w pamięci jako wielkiego pisarza, powiedziałem do Gambettiego, ale podczas ponownej lektury wypełniało mnie niezwykle uczucie, że czytam jeszcze większego, znacznie większego. Niewielu pisarzy okazuje się w trakcie drugiej lektury ważniejszymi, wspanialszymi, w większości przypadków, gdy czytamy ich po raz drugi, wstydzimy się, że w ogóle ich kiedykolwiek czytaliśmy, doświadczamy tego w odniesieniu do przytłaczającej liczby pisarzy, nie dotyczy to jednak Kafki ani wielkich Rosjan, Dostojewskiego, Tołstoja, Turgieniewa, Lermontowa, ani Prousta czy Flauberta, ani też nie Sartrea, których zaliczam do absolutnie największych. Nie uważam za najgorszą metody, by pisarzy, których już raz przeczytaliśmy i którzy zrobili na nas wrażenie, przeczytać po raz drugi, wtedy bowiem okazują się albo jeszcze większymi, o

wiele ważniejszymi, albo w ogóle nie warto o nich mówić. W ten sposób nasze umysły nie są obarczone przez całe życie balastem literatury, co wreszcie przyprawia te nasze umysły o choroby, o śmiertelne choroby, powiedziałem wtedy do Gambettiego na Pincio. Mój wuj Georg nauczył mnie prawie wszystkiego, co w późniejszym życiu okazało się dla mnie ważne. On był moim nauczycielem, nikt inny. On był moim wychowawcą, nikt inny.

Rodzice z tą swoją umysłową tępotą całkowicie mnie aż do dziewiątego, dziesiątego roku życia odkształcali, zamiast mnie ukształtować, i musiał dopiero wkroczyć wuj Georg, żeby powoli, stopniowo naprawić skutki nieomal całkowitego zniszczenia, jakiego dokonali we mnie rodzice; wuj Georg podjął najwyższy trud, powiedziałem do Gambettiego, by z mojego totalnie chaotycznego umysłu zrobić znowu umysł akceptowalny, chłonny i wrażliwy. Moi rodzice, w przekonaniu, że mnie wychowują, w rzeczywistości mnie zniszczyli, podobnie jak zniszczyli mojego brata Johanna i moje siostry. Tam, gdzie mówili „wychowanie”, powinni byli raczej mówić „zniszczenie”, tym swoim wychowaniem, które, by tak rzec, było wyłącznie zniszczeniem, okaleczyli moją umysłowość do stanu nierozpoznawalności, jak to się mawia w odniesieniu do innych sytuacji. Z największą bezwzględnością wobec mnie całymi latami mieszały na swój katolicki i narodowosocjalistyczny sposób w moim młodym umyśle i wszystko w nim poprzewracali, tak że wuj Georg potrzebował również wielu lat na to, by z powrotem doprowadzić mój umysł do porządku. Koniec końców rodzice, zamiast ukształtować stosownie mnie i moje rodzeństwo, tylko nas zniekształcili, wyrządzając jedynie szkody w naszych umysłach. Rodzice, naturalnie przede wszystkim katolicy, powiedziałem do Gambettiego, zrujnowali nasze umysły stosowaniem owych zgubnych katolickich metod. Kościół katolicki wyrządza tyle szkód w młodych umysłach, że trudno to sobie nawet wyobrazić, o ile rodzice są katolikami niemal automatycznie podporządkowującymi się katolicyzmowi. To, że wychowano nas w wierze katolickiej, oznaczało, że zostaliśmy gruntownie zniszczeni, Gambetti. Katolicyzm jest największym

*niszczycielem dziecięcej duszy, wielkim napędzaczem strachu, wielkim burzycielem charakteru dziecka. Taka jest prawda.*

*Miliony, a wreszcie miliardy ludzi zawdzięczają Kościołowi katolickiemu to, że zostali gruntownie zniszczeni i zrujnowani dla świata, że z ich natury uczyniono nienaturalność. Kościół katolicki ma na sumieniu zniszczonego człowieka, pogrążonego w chaosie i w ostateczności nader nieszczęśliwego, taka jest prawda, a nie coś przeciwnego. Albowiem Kościół katolicki toleruje wyłącznie katolików, nikogo innego, taki jest jego plan i nieustanny cel. Kościół katolicki przemienia ludzi w katolików, tępogłowe stworzenia, które zapominają, co to takiego samodzielne myślenie, i zdradzają je dla religii katolickiej.*

*Taka jest prawda, powiedziałem wtedy do Gambettiego na wzgórzu Pincio. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że zwyczaje katolickie budziły zawsze nasz dziecięcy zachwyty i początkowo nie były dla nas na wsi wyłącznie bajkami, Gambetti, naszym niewątpliwie najpiękniejszym widowiskiem, a dla dorosłych ich jedynym, największym i dożywotnim widowiskiem, to jednak te bajki i to widowisko rujnowały w ludziach całą naturalność, z biegiem czasu ich niszcząc. Kościół katolicki z tymi swoimi bajkami dla dzieci i z tym swoim widowiskiem dla dorosłych dążył wyłącznie do całkowitego uwiedzenia ludzi, którzy dostali się w jego szpony, dzięki tym bajkom i temu widowisku uczynił ich uległymi, wymazał dla siebie jako ludzi, aby uczynić z nich bezwolnych i bezmyślnych katolików, jak sam bezpiecznie mówi, wiernych, powiedziałem do Gambettiego. Wiara katolicka jest, jak każda wiara, fałszowaniem natury, chorobą, którą miliony ludzi pozwalają się całkiem świadomie zarazić, ponieważ stanowi dla nich jedyny ratunek, dla słabego człowieka, całkowicie niesamodzielnego, który nie ma własnego rozumu, który musi jakiemuś innemu, by tak rzec, wyższemu umysłowi kazać za siebie myśleć; katolicy pozwalają, by myślał za nich Kościół katolicki i przez to również za nich działał, ponieważ tak jest im wygodniej, ponieważ, jak sądzą, nie mają innej możliwości. A katolicka głowa katolickiego*



Kościół myśli straszliwie, powiedziałem do Gambettiego. Myśli tylko o sobie i przeciw naturze ludzkiej, myśli tylko o własnych celach, o żadnych innych, myśli ku swojej chwale, Gambetti, a nie czyjejs innej. Żadne inne państwo w Europie, powiedziałem do Gambettiego, nie mieni się państwem katolickim i nie każe głowie Kościoła katolickiego myśleć za siebie, toteż widzimy, do czego to doprowadziło. Mamy w Austrii samych katolików, a nie ludzi o wolnych, niezależnych umysłach, katolików, tam gdzie byłyby potrzebne wolne umysły. W Austrii myśli głowa katolicka, żadna inna. Niczego tu zresztą nie zmieniły różne polityczne przewroty ostatnich dziesięcioleci i nawet socjaliści pozwalają myśleć w Austrii głowie katolickiej, bo w istocie nie mają własnej socjalistycznej. Wszędzie w Austrii spotykamy katolickiego ducha, który wprawdzie podarował nam setki, tysiące katolickich dzieł sztuki, ale zniszczył naszego własnego ducha, samodzielnego, niezależnego, który jako jedyny jest naturalny. Po co nam katolickie dzieła sztuki w postaci katolickich kościołów i pałaców, skoro od stuleci nie mamy własnych umysłów? powiedziałem do Gambettiego. Nasz naród zawsze jednak cierpiał na absolutną słabość umysłową, powiedziałem do Gambettiego, słabość wykorzystywaną przez Kościół katolicki jak w żadnym innym kraju europejskim, nie było tak nawet w Niemczech, gdzie do dzisiaj zachował się swego rodzaju wolny własny duch; w Austrii od samego początku łatwo było Kościołowi katolickiemu i katolicyzmowi wywierać stosowny nacisk na tak zwanych ludzi austriackich, by wreszcie w całości zaprząć naród i państwo do swojej służby i całkowicie je sobie podporządkować. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach zauważamy pewne oznaki wyzwolenia się spod władzy katolicyzmu, spod tego bezecnego katolickiego ucisku, z wielowiekowego, bezwzględne uścisku katolicyzmu, dopiero w ostatnich dziesięcioleciach zauważamy tu i ówdzie rozwijające się, wprawdzie jeszcze nieśmiało, niezależne od katolicyzmu myślenie i filozofowanie, powiedziałem do Gambettiego, a kilku Austriaków znowu ośmiela się myśleć samodzielnie, ruszyć własną austriacką, a nie tylko katolicką

głową. Katolicyzm jest winien temu, że w Austrii przez tyle wieków nie było filozofów, czyli ludzi mających głowę do filozofowania, a wskutek tego również jakiegokolwiek filozofii. Kościół katolicki zdławił myślenie w tym tysiącleciu, można to spokojnie powiedzieć, brutalnie i w sposób doskonały. A cały naród umościł się wygodnie pod władzą głowy Kościoła katolickiego, która w zastępstwie tego narodu zawsze wszystko *myślała po swojej myśli*, powiedziałem do Gambettiego. Katolicyzm i Habsburgowie w tym tysiącleciu mieszały naszemu narodowi w głowie, wywierali niszczący wpływ, zabójczy, jak wiemy, czego dowodzi w Austrii wszystko, czemukolwiek bliżej się przyjrzymy. W tym tysiącleciu, można powiedzieć, katolicyzm wyłączył myślenie w naszym narodzie, doprowadzając do rozkwitu muzykę jako najmniej groźną ze wszystkich sztuk. Krajem muzyki staliśmy się wyłącznie dlatego, że przez całe stulecia absolutnie tłamszono u nas ducha, powiedziałem do Gambettiego. Staliśmy się na wskroś umuzykalnionym narodem, ponieważ staliśmy się na wskroś nieuduchowionym w stuleciach katolickich, powiedziałem do Gambettiego, w takiej mierze, w jakiej katolicyzm wygnał z nas ducha, pozwoliliśmy rozkwitnąć muzyce, bądź co bądź zawdzięczamy tej sytuacji Mozarta, Haydna i Schuberta, powiedziałem. Jednakże absolutnie nie jest po mojej myśli, powiedziałem do Gambettiego, że mamy wprowadzić Mozarta, ale nie mamy własnego umysłu, mamy Haydna, ale oduczyliśmy się myśleć, nieomal całkowicie zaniechaliśmy posługiwania się umysłem, mamy Schuberta, ale, ogólnie rzecz biorąc, umysły uległy otępieniu. Żaden inny kraj nie dopuścił do tego, powiedziałem do Gambettiego, żeby Kościół katolicki bez skrupułów pozbawił go zdolności myślenia, żeby katolicyzm, by tak rzec, skazał go na ścięcie głowy. Nie mamy Montaignea ani Kartezjusza, ani Woltera, powiedziałem do Gambettiego, tylko samych piszących wiersze mnichów i samych piszących wiersze arystokratów z ich katolickim niedołęstwem umysłowym. W ostatnich czasach nastąpiły zmiany, powiedziałem, jednakże potrwa to nie dziesięciolecia, lecz stulecia, zanim zdoła się naprawić wszystkie

krzywdy, jakie katolicyzm wyrządził naszym umysłom, te wszystkie spustoszenia, jakim jest winien. Jeśli w ogóle, powiedziałem do Gambettiego. Nasz naród jak żaden inny pozwolił się wykorzystywać Kościołowi katolickiemu. Przez prawie całe tysiąclecie! Trudno mu będzie wyzwolić się z tego katolickiego uścisku, z tych katolickich szponów. Na nic zdadzą się tutaj niesięgające istoty rzeczy, w mniejszym lub większym stopniu po dyletancku przeprowadzane rewolucje, powiedziałem do Gambettiego, które obserwujemy w innych krajach Europy ocalenie może przynieść wyłącznie prawdziwie fundamentalna rewolucja od podstaw, powiedziałem do Gambettiego, taka, która najpierw wszystko zburzy i doszczętnie obróci w perzynę, rzeczywiście wszystko. Jednakże by rozpocząć taką fundamentalną rewolucję od podstaw, jesteśmy jeszcze dzisiaj zbyt słabi, jeszcześmy do niej nie dojrzeli, jeszcze nawet nie ośmielamy się wziąć pod uwagę możliwości rozpoczęcia takiej fundamentalnej rewolucji od podstaw. Stanowimy obecnie osłabioną de facto pozbawioną ducha tak zwaną ludność austriacką, powiedziałem do Gambettiego, której to, co fundamentalne i elementarne, wydaje się zupełnie niemożliwe. Od grubo ponad stu lat całkowicie osłabioną ludność austriacką, powiedziałem do Gambettiego. Jeśli chodzi o mnie, rodzice brali naturalnie pod uwagę wyłącznie katolickie wychowanie, innego nie potrafili sobie nawet wyobrazić, powiedziałem do Gambettiego. Jak daleko sięgnąć pamięcią wstecz, wszystkie pokolenia w Wolfsegg były wychowane po katolicku. Póki wuj Georg nie wystąpił przede wszystkim przeciw katolicyzmowi, co jednak oznaczało *przeciw wszystkiemu*. Wuj Georg utorował mi drogę, umożliwił kroczenie nią. Najpierw naprowadził mnie na pomysł, a później wyprowadził na właściwą drogę, *na przeciwną drogę*, powiedziałem do Gambettiego. W naszych bibliotekach, pomyśleć, powiedziałem do Gambettiego, pozamykano, by tak rzec, świeckie książki, w odróżnieniu od katolickich z ducha, szafy ze świeckimi książkami były przez całe dziesięciolecia, jeśli nie stulecia, zaryglowane, powiedziałem do Gambettiego, swobodny dostęp mieliśmy jedynie do

katolickich z ducha, świeckie zamknięte, niedostępne, nie wolno było ich czytać, miały pozostać w zamknięciu, jakby w tych szafach z książkami zamknęli wolnego ducha, Gambetti, tak pozamykali w nich, Gambetti, książki, które nie są katolickie z ducha. Wolter, Montaigne, powiedziałem do Gambettiego, zamknięci, zgromadzona w setkach i tysiącach oprawnych w skórę tomów głupota mnichów i hrabiów - dostępna.

Pomyśleć, powiedziałem do Gambettiego, że Wolter, Montaigne i Kartezjusz mieli raz na zawsze pozostać zapieczętowani w tych szafach. Nigdy tych szaf nie otwierano, aż wreszcie otwarto je pewnego dnia, gdyż nalegał na to wuj Georg, na co moja rodzina zareagowała tak, jakby wuj Georg otworzył zapieczętowaną przez stulecia puszkę, skąd w momencie otwarcia wytrysnęła straszliwa trucizna, przed którą wszyscy w jednej chwili rzucili się do ucieczki, ponieważ naprawdę uwierzyli, że jest zabójcza.

Członkowie mojej rodziny nigdy nie wybaczyli wujowi Georgowi, że otworzył tę puszkę, powiedziałem do Gambettiego, i że nagle wypuścił z niej duchową truciznę. Naprawdę zawsze byli zdania, iż nasz wuj Georg zatrzał Wolfsegg, gdy otworzył szafy z książkami, zawarte na trwałe przez całe stulecia. Tego, że w Wolfsegg dawało się nagle zauważyć nie tylko katolicką tępotę, lecz również wolnego ducha, nigdy wujowi Georgowi nie wybaczyli, ani tego, że również Kartezjusz i Wolter unosili się w powietrzu nad Wolfsegg, a nie tylko katolicyzm i narodowy socjalizm. Byli zdania, iż w tych zaryglowanych szafach z książkami zamknęli, by tak rzec, złego ducha, a teraz wuj Georg go wypuścił. Ale nie trwało to długo, bo z powrotem zamknęli owego złego ducha w tych szafach z książkami, a to w chwili, gdy wuj Georg opuścił Wolfsegg, odwrócił się do członków mojej rodziny plecami i osiadł w Cannes, pomyśleć, na Riwierze, na tym szatańskim wybrzeżu, które oni przyrównywali do piekła. Już w pierwszej chwili, gdy wuj Georg z dwiema walizkami wyjechał z Wolfsegg, nie było dla nich nic pilniejszego, jak zamknąć z powrotem w szafach z książkami tego od kilku lat bez przeszkód i, jak sądzili,

w najbardziej niszczycielski sposób zatruwającego Wolfsegg ducha, a klucze przekręcili nie raz, lecz od razu dwa, a nawet trzy razy. Mnie nie pozwolono nigdy więcej otwierać tych szaf z książkami, zabroniono mi tego z największą zawziętością, i z czego zdaję sobie sprawę dopiero dzisiaj, w śmiertelnym strachu. Także kiedy miałem już dobrze ponad dwadzieścia lat, nie pozwalali mi otwierać szaf z książkami, toteż z czasem przestałem zaprzętać sobie głowę ich otwieraniem, nienawidząc codziennych sporów na ten temat i myśląc o nich z obawą. W Wiedniu, powiedziałem do Gambettiego, po pierwsze założyłem sobie bibliotekę, która miała zawierać to wszystko, co wuj Georg zalecał mi jako najpilniejsze do poznania przez tak zwanego człowieka duchowego; już niebawem, poświęciwszy na to bez mała wszystkie pieniądze, jakie miałem do dyspozycji, zgromadziłem najważniejsze książki, sam zestawilem sobie biblioteki, nazwijmy to, *złego ducha*, i oczywiste było, że zacząłem od Montaignea i Kartezjusza, od Woltera i Kanta. Wreszcie miałem zgromadzony *najważniejszy pokarm dla umysłu*, jak raz po raz mawiał wuj Georg, powiedziałem do Gambettiego, a w samym centrum nie mógł oczywiście znajdować się nikt inny, tylko Schopenhauer. Sprawilem sobie, jak ją nazywałem, łatwo przenośną bibliotekę z *najważniejszymi dziełami złego ducha*, którą swobodnie i o każdej porze mogłem wszędzie ze sobą zabrać, tak że nigdy nie musiałem rozstawać się z tymi książkami. Na początek kupiłem sobie dzieła filozofów, do których w Wolfsegg zabraniano mi dostępu, a więc śmiertelną truciznę, później stopniowo kupowałem również dzieła naszych ważnych pisarzy. Podczas zakupów trzymałem się dokładnie obmyślonego z góry planu, naszkicowanego mi przez wuja Georga, powiedziałem do Gambettiego.

Pierwszym moim nabytkiem był *Heinrich von Qferdingen* Novalisa, powiedziałem do Gambettiego, drugim, pamiętam to dokładnie, *Kalendergeschichte* Johanna Petera Hebla. Daleko było jeszcze od nich do Kropotkina i Bakunina, powiedziałem do Gambettiego, do Dostojewskiego, Tołstoja, Lermontowa, którego kocham nade wszystko. Pierwsze, co teraz

zrobię, rzekłem do siebie, to wypuszczę zamkniętego w Wolfsegg złego ducha, którego członkowie mojej rodziny, by tak rzec, skazali na dożywotnie więzienie, i nie tylko nie będę już więcej zamykał drzwi szaf z książkami, lecz zostawię je szeroko po wsze czasy otwarte. Klucze wrzucę do głębokiej studni, żeby nikt nigdy nie mógł tych szaf zamknąć, absolutnie nikt. W ogóle przejdę się najpierw po Wolfsegg wyłącznie w tym jednym jedynym celu, by pootwierać wszystkie okna, jedno po drugim, i wpuścić świeże powietrze, niech pan sobie wyobrazi, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, że wielu okien w Wolfsegg nikt nigdy nie otwiera, to straszne.

Później wrócę do Rzymu i będę mógł powiedzieć do Gambettiego: Gambetti, otworzyłem w Wolfsegg wszystkie okna na oścież i wpuściłem świeże powietrze. Pootwieram wszystkie okna i drzwi, powiedziałem do siebie. Patrząc na fotografię rodziców na dworcu Victoria w Londynie, powiedziałem teraz do siebie, że na całe życie chcieli mi zakneblować usta, po katolicku, co mogę nazwać jedynie tępota. Podobnie jak złego ducha w szafach z książkami, chcieli i mnie, który w ich oczach byłem równie złym duchem, zamknąć w Wolfsegg. Zamknąć oponenta, kontestatora. Odszczepieńca. Nie przypominam sobie, żeby moi rodzice kiedyś choćby jeden jedyny raz z całą serdecznością zostawili mnie samemu sobie i dali mi spokój, żeby mnie chociaż raz jedyny z serca pochwalili. Na pewno usłyszałbym tę ich pochwałę, ale nigdy nie było mi to dane. Już kiedy byłem całkiem małym dzieckiem, traktowali mnie nieodmiennie z największą nieufnością, myślę, że nawet w owych najpierwszych latach, gdy ciągle jeszcze musieli spoglądać ku mnie w dół, bez mała ku ziemi, do kołyski, do kojca, w którym uczyłem się stawać na nóżkach, już wtedy wszystko we mnie wydawało się im podejrzane i we właściwym sensie tego słowa niesamowite, wydawało im się, że być może spłodzili człowieka, który pewnego dnia przerośnie ich o głowę i kto wie, czy ich nie oskarży, a potem może nawet zniszczy i unicestwi. Już w pierwszych latach przyglądali mi się z tą samą podejrzliwością, z jaką śledzili mnie później za

życia, ba, prawdopodobnie już wtedy podskórną nienawiścią, którą później niezwykle wyraźnie dawali mi odczuć, a ja nie wiedziałem, dlaczego musi ona dotyczyć akurat *mnie*, z jakiego powodu, w jakim celu, wskutek jakiej podłości i jakiego zła w mojej duszy. Do mojego brata Johannesesa od samego początku byli dobrze nastawieni, do mnie nigdy dobrze, zawsze tylko źle, tę prawdę należy wreszcie głośno wypowiedzieć, powiedziałem do siebie, przyglądając się zdjęciu. Ojciec mnie zrobił, matka wydała na świat, ale od samego początku nie chciała tego dziecka, w chwili moich narodzin najchętniej wepchnęłaby mnie od razu z powrotem do brzucha, wszelkimi sposobami, gdyby to tylko było możliwe, powiedziałem do siebie. Zawsze wyobrażamy sobie najpierw, że w sposób naturalny jesteśmy kochani przez rodziców, ale naraz zaczynamy rozumieć, że w równie naturalny sposób jesteśmy tylko nienawidzeni, wszystko jedno z jakiego powodu, jeśli tylko nie jawimy się im takimi, jakim ja jawiłem się moim rodzicom, czyli dzieckiem, które nie odpowiadało ich wyobrażeniom, nie udało się, jak to się mówi. Nie liczyli na to, że od razu, gdy tylko otworzę oczy, zobaczę wszystko to, czego zobaczenie nigdy nie było po ich myśli.

Najpierw spojrzałem na nich z *niedowierzaniem*, jak mówią, potem wlepiłem w nich nieruchomy wzrok, wreszcie pewnego dnia ich *przejrzałem*, a tego mi nie wybaczyli. Tego nie mogli mi wybaczyć.

Przejrzałem ich, jak to się mówi, i poddałem sumiennej ocenie, która nie mogła się im spodobać. Rodząc mnie, urodzili, mówiąc dobitnie, swojego rozkładacza i rozsadzacza. Od najpierwszego spojrzenia, muszę powiedzieć, byłem przeciw nim, z całym właściwym mi zdecydowaniem. Kiedyś, pewnego pięknego, łagodnego dnia jesiennego usiłowałem opisać Gambettiemu Wolfsegg, wracaliśmy akurat z Rocca di Papa do, by tak rzec, domu na Piazza del Popolo i usiedliśmy na tarasie kawiarni, było już dobrze po dziewiątej wieczorem, słońce miało jeszcze tyle siły, żeby bardzo łagodnie nagrzewać plac, spróbuję precyzyjnie opisać panu Wolfsegg, powiedziałem wtedy do Gambettiego, któremu w Rocca di Papa powiedziałem coś, jak mi się dziś

wydaje, nieudanego o *Zaratustrze* Nietzschego, zawsze miałem z Nietzschem największe trudności, również tego dnia nie udało mi się powiedzieć nic trafnego o Nietzschem, widzi pan, Gambetti, powiedziałem, kilkadziesiąt lat zajmowałem się Nietzschem, ale w ogóle nie posunąłem się do przodu, Nietzsche zawsze mnie fascynował, równocześnie jednak rozumiałem z niego zawsze tyle co nic. Jeśli mam być szczery, takiego samego problemu przysparzają mi wszyscy inni filozofowie, powiedziałem wtedy do Gambettiego, Schopenhauer, Pascal, aby przywołać choćby tych dwu oprócz Nietzschego, wszyscy oni byli dla mnie przez całe życie trudni, nigdy nie udało mi się rozszyfrować ich nawet w sprawach elementarnych, zawsze ślęczałem nad nimi, nie rozumiejąc nic, jak na *tureckim kazaniu*, chociaż zawsze mnie przyciągali i w najwyższej mierze zachwycali. Im więcej zajmuję się pismami tych ludzi, powiedziałem do Gambettiego, tym bardziej *staję się* bezradny, tylko powodowany manią wielkości mógłbym powiedzieć, że ich pojąłem, podobnie jak sam o sobie tylko powodowany manią wielkości mógłbym powiedzieć, że pojąłem siebie, chociaż tak naprawdę aż do dzisiejszego dnia nigdy siebie nie pojąłem, im więcej zajmuję się sam sobą, tym bardziej oddalam się *od własnej prawdy*, tym bardziej zaciemnia się wszystko, co mnie dotyczy, powiedziałem do Gambettiego, to tak jak z tymi filozofami, myślę, że ich zrozumiałem, powiedziałem do Gambettiego, a przecież nic nie pojąłem, i prawdopodobnie tak jest ze wszystkim, czym się dotychczas zajmowałem. Jednakże od czasu do czasu pozwalam sobie, powiedziałem do Gambettiego, twierdzić, że w swojej megalomanii coś z tych filozofów i ich dzieł pojąłem. Wszystkie te nazwiska i ich dzieła są w ogóle nie do pojęcia, powiedziałem do Gambettiego, ani Pascal, ani Kartezjusz, ani Kant, ani Schopenhauer, ani Schleiermacher, żeby wymienić tylko tych, którzy zaprzatają mnie w obecnej chwili. Z którymi w obecnej chwili obcuje. Z największą bezwzględnością wobec nich, jak i wobec samego siebie, powiedziałem do Gambettiego. Z największą śmiałością i zarazem bezczelnością. Kiedy bowiem zajmujemy się którymś z tych filozofów,



Gambetti, powiedziałem do niego, przejawiamy bez czelność, ośmielając się brać za nich i, by tak rzec, żywcem wrywać im wnętrzności. Zawsze przejawiamy bezczelność, kiedy zabieramy się do jakiegoś filozoficznego dzieła, ale bez tej bezczelności nigdy się do niego nie zbliżymy, z filozoficznego punktu widzenia nie posuniemy się do przodu. Do tych pism filozoficznych i ich objawicieli, których zawsze powinniśmy wyobrażać sobie jako swoich wrogów, jako swoich najstraszliwszych przeciwników, Gambetti, musimy w gruncie rzeczy podchodzić zawsze z najwyższą brutalnością i ordynarnością. Muszę występować przeciw Schopenhauerowi, jeśli pragnę go pojąć, przeciw Kantowi, przeciw Montaigneowi, przeciw Kartezjuszowi, przeciw Schleiermacherowi, rozumie pan. Muszę być przeciwko Wolterowi, jeśli chcę wdać się z nim w najrzetelniejszą dyskusję, która ma mieć jakiegokolwiek widoki na powodzenie.

Jednakże moje dotychczasowe spory z filozofami i ich produktami pozostawały do tej pory dość bezowocne. Niebawem moje życie minie, moje istnienie zostanie wymazane, powiedziałem do Gambettiego, a niczego nie osiągnąłem, wszystko pozostało przede mną dość mocno zamknięte.

Podobnie jak spór z sobą samym pozostał do dzisiaj dość bezowocny. Jestem swoim własnym wrogiem, występuję przeciw sobie jak filozof, powiedziałem do Gambettiego, podchodzę do samego siebie ze wszystkimi możliwymi wątpliwościami, i zawodzę. Nie osiągam najmniejszych efektów. Umysł muszę traktować jak wroga i występować przeciw niemu w sposób filozoficzny, powiedziałem do Gambettiego, by istotnie móc się nim rozkoszować. Na to jednak mój czas jest prawdopodobnie zbyt krótki, podobnie jak im wszystkim przypadł w udziale zbyt krótki czas, to największe nieszczęście człowieka, że jego czas zawsze, w każdym przypadku, jest zbyt krótki, to zawsze uniemożliwiało poznanie. Tak więc ciągle istniało tylko coś przybliżonego, jakieś Nieomal, wszystko inne to bezsens. Jeśli myślimy i nie przestajemy myśleć, które to czynności nazywamy filozofowaniem, dochodzimy wreszcie do wniosku, że cały czas myśleliśmy błędnie. Wszyscy oni do tej pory

myśleli błędnie, choćby nosili nie wiem jakie nazwiska, choćby napisali nie wiem jakie dzieła, ale niczego sami z siebie nie zaniechali, powiedziałem do Gambettiego, nie dobrowolnie, tylko z woli natury, przez chorobę, szaleństwo, a na ostatek z powodu śmierci. Nie chcieli przestać, choćby kosztowało ich to nie wiem ile wyrzeczeń, choćby stało to - w sposób straszny i okrutny - w sprzeczności z wszelkimi regułami i wszelkimi ostrzeżeniami. Ale oni wszyscy zawsze opowiadali się tylko za błędnymi wnioskami, powiedziałem do Gambettiego, a na końcu za Niczym, niezależnie od tego, czym owo Nic jest, powiedziałem do Gambettiego, Nic, o którym wiem, że wprawdzie jest Niczym, ale przecież równocześnie nie może istnieć, czymś, o co wszystko się rozbija, z powodu czego wszystko ustaje, a w końcu się kończy. Również tego wieczoru, zamiast od razu opisać Gambettiemu Wolfsegg, które jeszcze na Flaminia obiecałem mu opisać, gdy tylko znajdziemy się na Piazza del Popolo, wdałem się w jedną z dygresji, których sam u siebie najbardziej się obawiałem, a które zwykłem nazywać filozofującymi, ponieważ w ostatnich latach się mnożą, ponieważ są tak płynne jak filozofia sama w sobie, jak wszystko, co filozoficzne, mimo iż nie mają faktycznie nic wspólnego z filozofią poza samymi pobudkami. Zamiast od razu, jak wcześniej obiecałem, opisać Gambettiemu Wolfsegg, opowiedziałem mu wtedy coś o Nietzschem, czego lepiej żebym był nie mówił, coś o Kancie, co było całkiem bezsensowne, coś o Schopenhauerze, co początkowo sam uważałem za szczególnie kompetentne, później jednak musiałem uznać za dość zwariowane, już po kilku minutach, coś o Montaigneu, czego sam nie rozumiałem nawet w momencie, kiedy mówiłem o tym do Gambettiego; ledwo bowiem wygłosiłem do niego owo zdanie dotyczące Montaignea, Gambetti poprosił mnie, żebym zechciał wyjaśnić mu wygłoszone właśnie zdanie, czego jednak nie potrafiłem uczynić, ponieważ w tej samej sekundzie sam już nie wiedziałem, co w ogóle powiedziałem o Montaigneu. Mówimy coś i widzimy to całkiem jasno, a w następnej chwili w ogóle nie wiemy, cośmy właśnie powiedzieli, powiedziałem do Gambettiego, akurat

powiedziałem coś o Montaigneu, ale teraz, dwie, trzy sekundy później już wcale nie wiem, co naprawdę i rzeczywiście powiedziałem o Montaigneu. Powinniśmy posiadać taką umiejętność, żeby móc coś powiedzieć, wygłosić i to przed chwilą wygłoszone jednocześnie zaprotokołować w umyśle, co jednak nie jest możliwe, powiedziałem do Gambettiego. Nie pamiętam już, dlaczego w tym momencie powiedziałem coś o Montaigneu, powiedziałem do Gambettiego, a naturalnie jeszcze mniej, co o nim powiedziałem. Sądzymy, że doszliśmy już do tego, iż staliśmy się maszynami do myślenia, nie możemy jednak zdać się na myślenie tych naszych maszyn do myślenia. Pracują nieprzerwanie w gruncie rzeczy przeciw naszym umysłom, powiedziałem do Gambettiego, nieustannie produkują myśli, o których niewiemy, skąd pochodzą, po co są myślane i w jakim pozostają ze sobą związku, powiedziałem do Gambettiego. Prawdę mówiąc, jesteśmy przeciążeni tymi maszynami do myślenia, które nieprzerwanie pracują, nasze umysły są nimi przeciążone, ale nie mogą się już wyłączyć, są niechybnie dożywotnio podłączone do tych naszych maszyn do myślenia. Póki nie umrzemy.

Montaigne, mówi pan, Gambetti, a ja w tym momencie w ogóle nie wiem, co to jest, powiedziałem do Gambettiego. Kartezjusz? Nie wiem. Schopenhauer? Nie wiem. Równie dobrze mógłby pan powiedzieć kaczeniec, a ja nie wiedziałbym, co to jest, powiedziałem do Gambettiego. Sądziłem, że kiedy wybiorę się do Sils Maria, powiedziałem do Gambettiego, lepiej zrozumieć Nietzschego, kiedy ulokuję się w pobliżu przełęczy Maloja, w pobliżu Sondrio, a więc że idąc z dołu w górę, lepiej zrozumieć Nietzschego czy też że w ogóle go zrozumieć. Myliłem się jednak, gdyż po tym, jak byłem w Sils Maria, idąc w górę od strony Sondrio, a więc z dołu w górę, rozumiem Nietzschego jeszcze mniej niż przedtem, twierdzą, że teraz już w ogóle go nie rozumiem, nie rozumiem już absolutnie nic więcej z Nietzschego. Po podróży do Sils Maria całkowicie zniszczyłem sobie Nietzschego. W taki sam sposób zniszczyłem sobie kiedyś również Goethego, powiedziałem do Gambettiego, tylko przez

nieszczęsną głupotę, która kazała mi odwiedzić Weimar, a także Kanta, gdy odwiedziłem Królewiec. Wszyscy ci filozofowie, poeci i pisarze, wszystko jedno, przegnali mnie kiedyś po Europie, bym odwiedził związane z nimi miejscowości, i od tej pory rozumiem ich jeszcze o wiele mniej niż przedtem. Niech się pan wystrzeżga, Gambetti, odwiedzania miejscowości związanych z pisarzami, poetami i filozofami, których później pan już w ogóle nie będzie mógł zrozumieć, gdyż naprawdę skompromitują się w pańskim umyśle przez to, że odwiedził pan miejsca ich urodzenia, miejsca ich życia, miejsca ich śmierci. Niech pan bardziej niż czegokolwiek na świecie unika miejsc urodzenia, życia i śmierci naszych największych umysłów, powiedziałem do Gambettiego, niech pan wyrzeknie się raz na zawsze odwiedzania miejscowości związanych z Dantem, Wergilem i Pet-rarką, bo zniszczy pan sobie w swoim umyśle wszystko, co ma pan w nim na temat tych wielkich umysłów. Nietzsche, powiedziałem do Gambettiego, stukam się w głowę, a ona jest pusta, całkowicie pusta. Schopenhauer, mówię sobie i stukam się w głowę, a ona jest pusta. Stukam się w głowę, mówię Kant i mam całkowitą pustkę w głowie. To straszliwie przygnębia, powiedziałem do Gambettiego. Myśli pan o całkiem zwyczajnym pojęciu, a pańska głowa jest pusta. Nic. W ogóle nie ma pan niczego w głowie, jeśli chce pan pojąć takie całkiem zwyczajne pojęcie. Całymi dniami chodzi pan w kółko z taką pustą głową, stuka się pan w nią i za każdym razem stwierdza, że jest całkowicie pusta. To sprawia, że pan szaleje, wariuje, jest nieszczęśliwy, w najnieszczęśliwszy sposób wariuje pan i szaleje i w najstraszliwszy sposób czuje pan przesyt życiem, mój drogi Gambetti. Jestem wprawdzie pańskim nauczycielem, ale przez większość czasu mam całkowitą pustkę w głowie, w której, prawdę mówiąc, nic nie ma.

Prawdopodobnie dlatego, że tak bardzo ją przeciążyłem, powiedziałem do Gambettiego. Ponieważ z biegiem czasu stanowczo zanadto zacząłem jej ufać. Ponieważ całkiem po prostu ją przeceniłem.

Przeceniamy swoje umysły, żądamy od nich zbyt wiele i dziwimy się, że

nagle, kiedy w nie stukamy, okazują się całkowicie puste, powiedziałem do Gambettiego. Później nie ma w naszych umysłach nawet tego, co najniezbędniejsze, powiedziałem do Gambettiego. Prawdopodobnie dlatego, iż porwaliśmy się na filozofów, którzy coś dla nas znaczą, którzy w pewnych okolicznościach znaczą dla nas bardzo wiele, a nawet wszystko, powiedziałem do Gambettiego, od czasu do czasu wycofują się ze wszystkim, co ich stanowi, z naszych umysłów i zostawiają je same. Po prostu uciekają i zostawiają nasze umysły całkowicie puste, tak że zamiast mieć w głowach myśli i coś z tymi myślami począć, coś rozsądnego albo i nie, coś filozoficznego albo i nie, powiedziałem do Gambettiego, odczuwamy wyłącznie nieznośny ból, taki nieznośny ból, że właściwie możemy tylko nieustannie krzyczeć. Ale pilnujemy się oczywiście, żeby takim nieustannym krzykiem nie ujawnić, iż mamy całkowitą pustkę w głowach, gdyż w świecie, który tylko czeka na to, byśmy krzyczeli i zdradzili się z tym, iż mamy całkowitą pustkę w głowach, oznaczałoby to niechybnie nasz koniec. Z czasem przyzwyczailiśmy się do utrzymywania wszystkiego w tajemnicy, w każdym razie tego, że myślimy, że ośmielamy się myśleć, aby nas nie zamordowano, jak bowiem wiemy, morduje się tych, co nie potrafią zachować w tajemnicy swoich myśli, swoich prawdziwych myśli, o których nikt poza nimi samymi nie może mieć pojęcia, powiedziałem do Gambettiego. Zachowywanie myśli w tajemnicy to sprawa decydująca, powiedziałem do Gambettiego, nie ich wypowiedzianie, nie ich publikowanie, które z zachowywaniem w tajemnicy ma bardzo mało, a przeważnie nic wspólnego, i zawsze jest o wiele nikczemniejsze niż zachowywanie w tajemnicy, które wszakże zawsze jest Wszystkim, podczas gdy publikowanie, jak wiemy, jest tylko najnaturalniejszą, doraźną potrzebą. Gdybyśmy jednak mieli możliwość opublikowania myśli zachowywanych w tajemnicy, wypowiedzenia ich choćby w jednym tylko momencie, powiedziałem do Gambettiego, bylibyśmy skończeni. Wtedy wszystko by się naraz skończyło. Wszystko rozprysnęłoby się w największej, w największej z możliwych

eksplozji. Do tego, co filozoficzne, powiedziałem do Gambettiego, zbliżamy się ostrożnie, z jak największą ostrożnością i ponosimy klęskę. Później ze zdecydowaniem, powiedziałem do Gambettiego, i ponosimy klęskę. Nawet jeśli zbliżamy się do tego w sposób całkiem nieustraszony i radykalnie obnażając siebie, ponosimy klęskę. Jakbyśmy w ogóle nie mieli prawa do niczego, co filozoficzne, powiedziałem do Gambettiego. To, co filozoficzne, jest zawsze niczym powietrze, które wdychamy, ale, nie potrafiąc zatrzymać go na dłuższy czas, musimy ponownie zrobić wydech.

Wdychamy je nieustannie i przez całe życie i znowu wydychamy, nie umiając go zatrzymać, ani przez tę decydującą chwilę dłużej, ani przez tę chwilę dłużej, o którą by chodziło. Ach, Gambetti, powiedziałem do niego, chcemy wszystko ująć i pojąć, i przyciągnąć do siebie, a w najmniejszej mierze nie mamy takiej możliwości. Całe życie spędzamy na próbach pojęcia samych siebie, co nam się nie udaje, jak więc możemy sądzić, że uda nam się pojąć coś, co nie jest nawet *nami*? Zamiast opisać Gambettiemu Wolfsegg, jak to wcześniej zapowiedziałem, przez całą drogę po Flaminii i z powrotem kawałek po Flaminii, a później znowu w odwrotnym kierunku i znowu w odwrotnym, aż do Piazza del Popolo, denerwowałem go tymi nieustannie wygłaszanymi zdaniami i jeszcze o wiele głośniejszym tonem, niż mógł to znieść, nie pozwalając mu w ogóle dojść do głosu, chociaż przez cały czas dokładnie wiedziałem, że kilka razy miałby coś do powiedzenia na temat tych moich wynurzeń, które tylko niekiedy z nagłą nazywał charakterystyczną dla mnie mową filozofującą; wiedziałem, że byłoby lepiej, gdybym pozwolił mu bodaj raz przerwać mi i skomentować moją mowę, zamiast nieustannie i niepoohamowanie samemu się jej przysłuchiwać i zachwycać się nią przynajmniej w chwili jej trwania, gdyż równocześnie miałem przecież świadomość, że te moje wynurzenia już za kilka minut mnie samemu zaczną straszliwie działać na nerwy, każą mi się złapać za głowę, że tak bez zahamowań dałem im niejako pole do popisu, na dodatek jeszcze w obecności

Gambettiego, który po swoim nauczycielu ma słuszne prawo spodziewać się nieco więcej zdyscyplinowania, niż to akurat w moim przypadku możliwe. W ogóle powinienem zwracać większą uwagę na to, żeby zbyt daleko nie zapędzać się w obecności Gambettiego, zwłaszcza w filozoficznych eskapadach, pomyślałem wtedy, gdyśmy obaj szli po Piazza del Popolo, na którym wówczas o dziewiątej wieczorem panował jeszcze taki ożywiony ruch, jak w innych wielkich miastach co najwyżej tuż przed dwunastą w południe. Jednakże nie powinniśmy się nigdy wstydzić, nawet wtedy, powiedziałem do Gambettiego, gdy się kiedyś omal nie zagalopujemy, ponieważ nasze umysły sobie tego życzą, nasze naprawdę ciągle pobudzone umysły, jeśli tylko zachęcimy je do myślenia. Słyszac tę niewątpliwie należącą mu się uwagę-przeprosiny, Gambetti nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Zamówił dla nas jak zwykle, bardzo sprawnie, bardzo elegancko, tylko *pół* butelki białego wina, po czym mogłem zacząć swój opis Wolfsegg. Moje rozważania wyszły, jak zawsze, od dołu, od samej miejscowości. Spojrzałem w górę. Wolfsegg, powiedziałem do Gambettiego, leży w górze, na wysokości ponad ośmiuset metrów, przez wieki nie do zdobycia, twierdza składająca się z tak zwanego budynku głównego i licznych przybudówek, a więc pawilonu ogrodowego, domku myśliwskiego, folwarku, tak zwanej oranżerii, willi dziecięcej, budowli równie wspaniałej, wzniesionej trzysta lat temu prawdopodobnie dla dzieci zWolfsegg, powiedziałem do Gambettiego, położonej nieco na uboczu, po stronie wschodniej, skąd jednak można mieć najrozleglejszy widok na Alpy. W ogóle, powiedziałem do Gambettiego, ma się z Wolfsegg najrozleglejszy z możliwych widok na Alpy, jednym rzutem oka można ogarnąć cały obszar między górami tyrolskimi a wschodnimi górami Dolnej Austrii. Tego nie ma nigdzie indziej w Austrii, powiedziałem do Gambettiego. W Gambettim miałem zawsze uważnego słuchacza, który to, co chcę powiedzieć, pozwalał mi cierpliwie rozwijać, nigdy nie przeszkadzał, przeważnie wszak przeszkadzają nam już na samym początku opowiadania czy

relacji, zatrzymują, a przynajmniej powstrzymują, ale nie Gambetti, który przez rodziców, przez jego w każdym calu taktowną rodzinę został wychowany tak, aby umiał słuchać. Majątek Wolfsegg leży mniej więcej sto metrów wyżej niż sama miejscowość, skąd w górę prowadzi tylko jedna jedyna droga, którą w każdej chwili można odciąć dzięki zwodzonemu mostowi w miejscu, gdzie wgłębienie skalne oddziela miejscowość od majątku Wolfsegg.

Samego majątku nie widać z miejscowości Wolfsegg, gęsty, porośnięty wysokimi drzewami las chroni go od stuleci przed wzrokiem ludzi niepowołanych. Bitą drogą, powiedziałem do Gambettiego, wiedzie stromo w górę aż do trzymetrowego muru, za którym ciągle jeszcze kryje się budynek główny i przybudówki. Jeśli jakiś gość wchodzi przez otwartą bramę, widzi najpierw po lewej stronie oranżerię z wysokimi szklanymi oknami, jeszcze dzisiaj hoduje się w niej drzewka pomarańczowe, powiedziałem do Gambettiego, rozwijają się znakomicie dzięki korzystnemu położeniu oranżerii, na którą przez cały dzień pada słońce, są także drzewka cytrynowe i, całkiem jak w słynnej cesarskiej palmiarni w Wiedniu, rosną tam również wszystkie możliwe rośliny tropikalne i subtropikalne, już w dzieciństwie nade wszystko kochałem kamelie, powiedziałem do Gambettiego, ulubione kwiaty mojej babki ze strony ojca. Oranżeria była dla nas dzieci najulubiejszym miejscem, przede wszystkim spędzałem w niej nieraz pół dnia z wujem Georgiem, prosząc go o wyjaśnianie pochodzenia roślin, co zawsze sprawiało mi ogromną przyjemność, w oranżerii usłyszałem pierwsze łacińskie słowa, powiedziałem do Gambettiego, łacińskie określenia mnóstwa kwiatów, hodowanych i pielęgnowanych we wszystkich możliwych małych i dużych doniczkach, kwiatów, którymi opiekowali się trzej ogrodnicy, jakich zawsze mieliśmy w Wolfsegg. I jakich mają tam nawet jeszcze dzisiaj, co, jak pan może sobie wyobrazić, Gambetti, powiedziałem, jest w dzisiejszych czasach w Europie dużym luksusem. Mój pierwszy kontakt z tak zwanymi *innymi ludźmi* był kontaktem z ogrodnikami, obserwowałem ich, jak tylko, jak często i jak długo



mogłem. Ale już od samego początku nie zadowalałem się wyłącznie przepysznyimi kolorami roślin, powiedziałem do Gambettiego, zawsze chciałem od razu wiedzieć, skąd bierze się ten przepych barw, z czego powstaje i jak się go precyzyjnie określa. Ogrodnicy w Wolfsegg byli zawsze najcierpliwszymi ludźmi, promieniowali największym spokojem i żyli życiem uregulowanym i pełnym prostoty, którą podziwiałem jak nic innego na świecie. Ogrodnicy zawsze najbardziej mnie pociągali, ich ruchy były zawsze absolutnie niezbędne, uspokajające, zawsze pożyteczne, ich język był najprostszy, najbardziej zrozumiały. Gdy tylko zacząłem samodzielnie chodzić, moim najbardziej ulubionym miejscem stała się oranżeria, podczas gdy mój brat Johannes większość czasu spędzał w budynkach folwarcznych, z końmi, krowami, świniami i kurami; ja byłem, by tak rzec, człowiekiem roślinnym, mój brat zaś człowiekiem zwierzęcym, całą moją radością były rośliny, jego zaś zwierzęta na folwarku. Przede wszystkim zimą, gdy naturę na dworze pokrył śnieg, gdy panował ziąb i wszystko było ogołocone, powiedziałem do Gambettiego, oranżeria przeżywała swoje wielkie dni. Od samego początku wolno mi było przebywać z ogrodnikami i przyglądać się im, a wreszcie razem z nimi pracować. Odczuwałem wielkie szczęście, powiedziałem do Gambettiego, gdy w oranżerii, z małej ławeczki przy azaliach, moich ulubionych kwiatach, mogłem obserwować ogrodników. Już samo słowo *oranżeria* zawsze mnie fascynowało, powiedziałem do Gambettiego, było to najbardziej ulubione ze wszystkich ulubionych przeze mnie słów.

Oranżeria była tak zbudowana na skale opadającej stromo ku miejscowości Wolfsegg, że łagodne słońce nad nią najbardziej sprzyjało wszelkim roślinom, dawniejsi budowniczy, powiedziałem do Gambettiego, byli *mądrzy*, mądrzejsi niż współcześni. A zdumiewające jest to, że nawet *jednego jedynego budynku* nie budowali tak długo jak dzisiaj, latami, tylko bardzo krótko, zamek na wiele stuleci, powiedziałem do Gambettiego, wznosili budowle mające wszystkie możliwe zalety, ba, subtelności, kilka miesięcy i

gotowe. Dzisiaj marnuje się lata całe na niemiłosiernie pokraczne, perwersyjnie nieużyteczne, szpetne okropieństwa i człowiek zadaje sobie pytanie, po co, powiedziałem do Gambettiego. Każdy człowiek miał wówczas poczucie smaku i każdy pracował dla przyjemności. To wszakże widać po starych budowlach, które są w każdym calu tak doskonałe jak żadna z obecnych. Każdy szczegół w starych budowlach jest stworzony z miłością, powiedziałem do Gambettiego, z największą pieczołowitością, z wyczuciem sztuki i z największym smakiem, również jeśli chodzi o tak zwane drugorzędne szczegóły. Oranżerię zbudowano nie tylko w idealnym miejscu, ale także z największym smakiem, powiedziałem do Gambettiego, dzieło sztuki, które bez trudu może mierzyć się z najwspanialszymi tego rodzaju budowłami w południowych Włoszech i Toskanii. Każdy budowniczy był małym Palladiem, powiedziałem do Gambettiego. Nasza dzisiejsza architektura podupadła, jest nie tylko pozbawiona poczucia smaku, lecz również w dużej mierze bezużyteczna, w wysokiej, najwyższej mierze wroga człowiekowi, podczas gdy dawniejsza była tworzona z wyczuciem sztuki *oraz* przyjazna człowiekowi. Z lewej strony dobudowano do oranżerii duży łuk ze zlepieńca, tak wysoki, że mogą pod nim przejechać furmanki dowolnej wielkości, a z tyłu znajduje się rozległy dziedziniec folwarczny, na który składają się głównie trzy obory i niezwykle przestronna stajnia. Wyżej znajdują się mieszkania zarządców, którzy zawsze bardzo dobrze zarabiali; sam folwark jest zbudowany w kształcie podkowy. W mieszkaniach położonych nad budynkami gospodarskimi mogłoby wygodnie mieszkać około stu ludzi, powiedziałem do Gambettiego, wszyscy mają duże pokoje, wcale nie mniejsze niż pokoje w budynku głównym, który z dużym poczuciem artyzmu wybudowano dokładnie naprzeciw folwarku, na oddalonym o niespełna dwieście metrów wzgórzu; stamtąd, poprzez wspomniany już murowany łuk, ukazuje się najpiękniejszy widok od strony folwarku. Dwupiętrowy dom ma dokładnie trzydzieści cztery metry wysokości, powiedziałem do Gambettiego. Lubię ten widok. Fasada jest tak surowa, że

jeszcze nigdy takiej w Austrii nie widziałem, wytworniejsza niż wszystkie inne. Pośrodku znajduje się brama wjazdowa wysokości ośmiu metrów, pomalowana na bardzo ciemną zieleń, która sprawia wrażenie czarnej, brama jest pozbawiona jakichkolwiek ozdób, jeśli pominąć przytwierdzony śrubami, nigdy nieczyszczony mosiężny przycisk oraz żelazny łańcuch dzwonka tuż obok z lewej strony. Okna na parterze znajdują się akurat na takiej wysokości, że nie można przez nie zajrzeć do wnętrza budynku. Wejście do westybulu robi za każdym razem na mnie, przybywającym z Rzymu, powiedziałem do Gambettiego, niesamowite wrażenie, chłód, a równocześnie wspaniałość, wysokość i głębia tego pomieszczenia sprawiają za każdym razem, że muszę wstrzymać oddech. Westybul ma około trzydziestu czterech metrów długości i sięga aż do muru dziedzińca, światło słońca wpada tylko z góry na liczące sto pięćdziesiąt lat modrzewiowe deski, powiedziałem do Gambettiego, które już całkiem poszarzały, starte butami poprzednich pokoleń. Nie znam piękniejszego westybulu, powiedziałem do Gambettiego, jest wielkopański ze względu na swój ogrom i absolutną surowość, na ścianach nie ma śladu ozdób, ani jednego obrazu, nic. Mury są pobielone wapnem i wywierają na obserwatorze ogromne wrażenie. Tak było od wieków. W ostatnich czasach, powiedziałem do Gambettiego, moja matka zaczęła niekiedy ustawiać w westybulu kosze z kwiatami, które trochę psują wygląd, chociaż całkiem nie mogą go zniszczyć, trochę w nim przeszkadzają, ale całkiem zniszczyć go nie mogą, na to jest zbyt wspaniały. Gdy ktoś wchodzi do środka, powiedziałem do Gambettiego, westybul, sprawiający nawet na mnie wrażenie ogromnego, zimnego i niesamowitego, może istotnie wydać się niesamowity, więc już niejeden człowiek bał się, że zamarznie w nim od razu po wejściu, niektórymi aż trzęsie, gdy wchodzi do środka, powiedziałem do Gambettiego, w ogóle bowiem nie są zwyczajni wkraczać do takich ogromnych, wspaniałych i niesłychanie wielkopańskich westybulów, wszystkie inne westybule, jakie znam, nie są tak ogromne ani tak niesłychanie wielkopańskie, dlatego też naturalnie nie są aż tak

odpychające jak nasz, zawsze dla wszystkich odpychający, nawet dla mnie, którego akurat ta wspaniałość i chłód nieustannie przyciągają, po dziś dzień; gdy pan wchodzi, powiedziałem do Gambettiego, myśli pan natychmiast, że pan umrze w tym naszym westybulu, więc zaczyna pan szukać gdziekolwiek jakiegoś punktu oparcia, a po wejściu z dziennego światła na dworze do raczej przyciemnionego westybulu nic pan nie widzi. Przez chwilę czuje się pan całkiem bezbronny.

Zaraz po lewej stronie przy wejściu znajdują się drzwi do sali dla służby. Następne wiodą do pomieszczenia ze sprzętem gospodarczym. Sąsiednie z kolei do kaplicy. Kaplica jest w rzeczywistości tak duża jak średniej wielkości kościół wiejski, powiedziałem do Gambettiego, ma trzy ołtarze, gotycki pośrodku, dwa po bokach. Nawet jeszcze dzisiaj co niedziela o szóstej rano są w niej odprawiane msze, w tym celu proboszcz albo inny ksiądz przychodzi osobiście ze wsi na górę, pieszo, co wiąże się z ogromnym wysiłkiem, przynajmniej jeśli idzie o starego proboszcza. W zakrystii mamy do dziś wielkie szafy pełne szat liturgicznych gromadzonych przez ostatnie trzysta lat, powiedziałem do Gambettiego.

My w Wolfsegg zostaliśmy wszak oszczędzeni przez większość wojen europejskich, a pożary, które wybuchały w ubiegłym wieku, zawsze w porę gaszono, w naszej miejscowości bowiem mamy jedną z najświetniejszych i najrzetelniejszych straży pożarnych w całej Austrii, powiedziałem wówczas do Gambettiego. Nie ma wieczoru, żeby moja matka między siódmą a ósmą nie klęczała w kaplicy. Od samego początku byliśmy tak wychowywani, aby się tam co wieczór modlić. Do wielkich chwil zaliczały się tu oczywiście wizyty arcybiskupa Salzburga w odświętnych szatach z okazji tak nadzwyczajnych wydarzeń jak chrzty, bierzmowania, śluby etcetera, powiedziałem do Gambettiego. Kościelne widowiska były niegdyś również dla mnie czymś najwspanialszym, podobnie jak dla całej mojej rodziny. Ale to się bardzo szybko zmieniło. Jednakże niezwykłość tych ceremonii pozostała mi w pamięci,

Gambetti, ogromny, promienisty witraż nad każdą niezwykłą uroczystością, pyszniąca się wieloma kolorami.

Naprzeciw kaplicy znajduje się kuchnia wielkości olbrzymiej ujeżdżalni, do dziś zimą nieogrzewana, z ogromnymi, częściowo już w ogóle nieużywanymi paleniskami, chyba że do odstawiania garnków, z setkami, mogę nawet spokojnie powiedzieć, tysiącami misek, filiżanek, miseczek w kredensach i na ścianach. Osiem kobiet i dziewcząt miało tutaj co robić, jeszcze kiedy skończyłem trzydzieści lat, pamiętam bowiem swoje trzydzieste urodziny, a z ich okazji przede wszystkim krzątanię w kuchni.

Kuchnia cieszyła się moimi łaskami nieomal tak samo jak oranżeria, tutaj, w odróżnieniu od pierwiastka męskiego w oranżerii, miałem do czynienia z pierwiastkiem żeńskim, a to mnie nie mniej interesowało. O ile w oranżerii uwielbiałem zapachy kwiatów, o tyle tutaj, w kuchni, były to zapachy nęcących mnie codziennie najwspanialszych ciast. A pogoda ducha wszystkich, bardzo dobrze do mnie usposobionych kucharek, co czułem od samego początku, gwarantowała pogodę ducha również mnie. Gdy przebywałem w kuchni, nigdy mi się nie nudziło, ani troszeczkę, powiedziałem do Gambettiego, kuchnia i oranżeria stanowiły dla mnie najważniejsze punkty odniesienia w pierwszej połowie dzieciństwa. Pośród kwiatów w oranżerii z jednej, a ciast w kuchni z drugiej strony przeżywałem, ogólnie rzecz biorąc, szczęśliwe dzieciństwo. W kuchni nikt nie zadawał mi przykrych pytań, w kuchni mogłem zachowywać się tak. nieskrępowanie, jak chciałem, podobnie zresztą w oranżerii i w ogóle wszędzie tam, gdzie *nie* było moich rodziców. W każdej chwili wypatrywałem sposobności, aby zejść na dół do kuchni lub wymknąć się do oranżerii, powiedziałem do Gambettiego, wszystko jedno o jakiej porze roku: dziecko zbiega do kuchni, do szczęśliwych w jego przekonaniu i przyjaźnie do niego usposobionych ludzi, do oranżerii zaś pędzi również do ludzi w jego przekonaniu szczęśliwych. W każdej chwili, gdy tylko ma taką możliwość, opuszcza surowych, w jego przekonaniu złych, zniecierpliwionych i coraz

więcej od niego wymagających rodziców. Uciekając przed rodzicielskim zniecierpliwieniem i surowością, wypadam we snach z westybulu, biegnę obok oranżerii, obok folwarku, do okolicznych lasów, powiedziałem do Gambettiego.

Godzinami leżę nad brzegiem potoku, obserwując ryby w wodzie i chrząszcze na liściach rdestu węzownika. Dni są długie, wieczory o wiele za krótkie. Gdy się już wejdzie do westybulu, powiedziałem do Gambettiego, po dwudziestu krokach skręca się w prawo i wchodzi na pierwsze piętro, szerokimi drewnianymi schodami. Zwracając się znowu w prawo, wchodzimy do tak zwanego górnego westybulu, na którego wschodnim końcu widać dużą jadalnię z zawsze otwartymi drzwiami. Jadalnia znajduje się dokładnie nad dolnym westybulem i ma duży balkon. W dzieciństwie nie wolno nam było tutaj przebywać, chyba że otrzymywaliśmy wyraźne polecenie uczestniczenia w określonych uroczystościach.

Musieliśmy wtedy w krępujących ciała ubraniach siedzieć przy stole i milczeć. Tutaj również po dziś dzień szafy i komody są pełne najkosztowniejszych naczyń i sztucców, wszędzie leżą najdroższe skarby, nagromadzone w ciągu wielu stuleci przez członków naszego rodu. Na ścianach wiszą wizerunki tych, którzy kazali zbudować Wolfsegg, oraz tych, którzy je utrzymywali i nim zarządzali, a teraz już od dawna spoczywają na cmentarzu w naszym rodzinnym grobowcu. Gdyby ta jadalnia mogła przemówić, powiedziałem do Gambettiego, usłyszelibyśmy całkiem niezafałszowaną, równie fantastyczną co realistyczną, równie promienną co straszliwą historię ludzkości. Przy tym stole jadalnym bez wątpienia tworzono historię, powiedziałem do Gambettiego, i to nie tylko lokalną. Ale stoły jadalne nie mówią, powiedziałem do Gambettiego, i dobrze, bo gdyby zaczęły mówić, to ci, którzy musieli przy nich zasiadać, już po krótkim czasie by je rozwalili. Pamiętam, że przy tym stole w jadalni siedziałem wraz z jakimiś ośmioma arcybiskupami i kardynałami oraz przynajmniej z tuzinem arcyksiążąt, powiedziałem do Gambettiego, co oczywiście robiło ogromne wrażenie na

mnie, dziecku. I z mnóstwem wielkich dam z towarzystwa, których nazwisk już dzisiaj nie pamiętam, a które przyjeżdżały z Wiednia, Paryża i Londynu, by złożyć nam wizytę. I wszystkie również tu, w Wolfsegg, nocowały, to dla nich otwierano pokoje, poza tym zawsze zamknięte na amen, te ogromne zatęchłe pokoje z ponurymi tapetami na ścianach i ciężkimi kotarami, których jakiś słabszy człowiek nie dałby rady ruszyć, nie zdołałby ich wieczorem zasunąć, a rano rozsunąć. W tych tak zwanych pokojach gościnnych, położonych od północnej strony, oblatywał mnie zawsze wielki strach, powiedziałem do Gambettiego. Każdy, kto w nich mieszkał, choćby przez najkrótszy czas, niechybnie nabawiał się choroby. Ale całkiem świadomie wyposażono te pokoje tak nieprzytulnie i urządzono je od północnej strony, a poza tym utrzymywano w nich zawsze pewną określoną chłodną, przyprawiającą o chorobę temperaturę, charakterystyczną dla tych pokojów, nie chciano bowiem, żeby goście zatrzymywali się tu na dłużej, niż to było nieodzownie konieczne, gdyż moja rodzina zawsze przecież zapraszała ludzi z określonego powodu, czyli gdy chciała od nich czegoś konkretnego lub miała na względzie jakąś korzyść, której inaczej by nie osiągnęła. U nocujących w owych pokojach gości już od razu podczas śniadań zaczynały się pojawiać pierwsze oznaki przeziębienia, przeważnie nosili szale owiązane wokół szyi, a najbardziej zwracał uwagę ich kaszel, powiedziałem do Gambettiego. Mimo wszystko jednak, powiedziałem do Gambettiego, ci ludzie zawsze wracali, ponieważ Wolfsegg ich niezwykle fascynowało. Właściwie stale czekali na kolejne zaproszenie.

Moi dziadkowie zapraszali jeszcze bardzo wielu ludzi, moi rodzice już znacznie mniej, nie byli aż tak towarzyscy, ojciec w ogóle nie był towarzyski, a matka miała w pierwszym okresie zbyt wiele zahamowań, czyli kompleksów w stosunku do wszystkich tych ludzi, którzy oczywiście, jak sądziła, przybywają do Wolfsegg wyłącznie po to, żeby wyśledzić jej wszystkie gafy towarzyskie i rozpowiedzieć o nich wszędzie tam, gdzie to mogłoby jej zaszkodzić. W pierwszym okresie, ba, przez pierwsze dziesięć lat, nie zapraszała wcale

towarzystwa mojego ojca, tylko swoje własne, którego znacznie mniej musiała się obawiać, w efekcie czego zaczęli się potem pojawiać, jako się rzekło, ci straszni ludzie, ten tak zwany stan średni, którego widok przejmuje człowieka zgrozą, powiedziałem do Gambettiego, zwłaszcza jeśli tacy ludzie pochodzą z Wels i Voelabruck, z Linzu czy Salzburga i wynoszą się ponad całą resztę świata. Te zaproszenia zawsze budziły we mnie odrazę. Z drugiej strony matka bardzo szybko poczułaby się w Wolfsegg, które było dla niej absolutnie nowe, obce i, prawdę mówiąc, całkiem niestosowne, absolutnie osamotniona u boku mojego – wszak nieszczególnie interesującego ojca, powiedziałem do Gambettiego, zanudziłaby się na śmierć. Wolfsegg niechybnie szybko by ją przygniotło, tę kobietę z nizin, jak ojciec jeszcze w początkowych latach małżeństwa pozwalał sobie żartobliwie nazywać moją matkę, w Wolfsegg przeniosłaby się, by tak rzec, do wieczności. Tak więc od pewnego określonego momentu, decydującego dla jej przyszłego życia, całkiem po prostu zaczęła wprowadzać na górę do Wolfsegg ludzi swojego pokroju i *sploretaryzowała* je, jak mawiał mój ojciec, powiedziałem do Gambettiego. Miała prawo się ratować, powiedziałem do Gambettiego, chociaż nie mogliśmy patrzeć, jakimi to robi metodami. W samym budynku głównym jest ponad czterdzieści pokoi, nigdy ich nie liczyłem. My, dzieci, dostałyśmy własne pokoje dopiero po ukończeniu dwunastego roku życia i ciekawe, że zarówno ja, jak i mój brat otrzymaliśmy pokoje od strony południowej, podczas gdy siostrą przydzielono pokoje od strony północnej. Siostry były więc ciągle zaziębione i bardzo prawdopodobne, że skłonność do grypy zawdzięczają właśnie tej okoliczności, iż wygnano je na północną stronę.

Dziewczęta od zawsze były skazane na północną stronę, niejako za karę, że są dziewczętami. Ale to tylko przypuszczenie z mojej strony, powiedziałem do Gambettiego. Ludzie, którzy dorastają mieszkając od północnej strony, są również w późniejszym życiu tak zwanymi osobami niepełnosprawnymi, powiedziałem do Gambettiego, i przez całe życie takimi poszkodowanymi



pozostają. Od strony północnej nie było przyjemnie nawet latem, gdyż ta część nigdy się nie nagrzewała, zresztą same mury w Wolfsegg, czy to od północy, czy od południa, w ogóle nigdy się nie nagrzewają, są zawsze zimne, przerażające, jeśli się do nich zbyt blisko podejźcie. Okna w Wolfsegg nawet jeszcze na drugim piętrze mają ponad dwa metry wysokości, więc nam, malcom, zawsze było bardzo trudno je otworzyć, toteż chcąc wpuścić świeże powietrze, za każdym razem musieliśmy wzywać kogoś do pomocy rodzice mieli przy swoich łóżkach specjalne dzwonki do wzywania służby, my naturalnie takich dzwonek nie mieliśmy. W czasach naszego dzieciństwa nie było jeszcze toalet na drugim piętrze, tam gdzie spaliśmy i gdzie przez większość dnia musieliśmy przebywać, nasze pokoje były równocześnie pokojami do nauki i sypialniami, w nocy zaś załatwialiśmy potrzeby naturalne, używając starych porcelanowych nocników, co traktowaliśmy, podobnie jak nasi dziadkowie, jako oczywistość, a rano całkiem po prostu wylewaliśmy zawartość tych nocników na dół przez okno w korytarzu na drugim piętrze, z dużą wprawą, muszę powiedzieć.

Wieczorem sami musieliśmy w ogromnych fajansowych dzbanach wnosić wodę na drugie piętro do naszych pokojów, gdyż na górze nie było kranu. Również brudną wodę po myciu zawsze po prostu wylewaliśmy z drugiego piętra na dół, tam gdzie wylewaliśmy też zawartość nocników i miednic, a jeśli na dole, około pięćdziesięciu, a może więcej metrów pod nami rosły ogromne liście rdestu wężownika, to rozrastały się tak bujnie jak nigdzie indziej. Dzieci z Wolfsegg rychło wyzbyły się lęku i niebawem przywykły do uczucia, że są wydane na pastwę losu w tej olbrzymiej, zimnej budowli, obce dzieci natomiast niesamowicie bały się Wolfsegg, a nawet krzyczały, gdy bodaj na chwileczkę zostawiono je tutaj same; my jednak ani trochę nie drżeliśmy ze strachu. Zdaje mi się, że kiedyśmy mieli już po cztery czy pięć lat, powiedziałem do Gambettiego, matka wyгнаła nas ze swojego pokoju, początkowo naturalnie do wspólnych pokojów, ale jednak wyгнаła, pojawiała się co wieczór, gdy byliśmy już umyć, żeby pocałować nas przed snem. Johannes zawsze łaknął jej

pocałunku na dobranoc, ja psychicznie ten pocałunek na dobranoc odrzucałem, nienawidziłem go, chociaż jednak nigdy nie udało mi się go uniknąć.

Jeszcze dzisiaj moja matka prześladowuje mnie we snach tym swoim pocałunkiem na dobranoc, powiedziałem do Gambettiego, pochyla się nade mną, a ja jestem bez ratunku wydany na pastwę tego pocałunku, przyciska wargi do mojego policzka, mocno, jakby chciała mnie ukarać. Kiedy już pocałowała nas obu na dobranoc, gasiła światło i nie wychodząc z naszego pokoju, stała jeszcze przez chwilę w drzwiach, czekając, aż odwrócimy się na bok i zaśniemy. Ponieważ już jako dziecko miałem nadzwyczaj wyostrzony słuch, wiedziałem, że zanim zejdzie na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sypialnie rodziców, stoi jeszcze, nasłuchując za zamkniętymi drzwiami. Nie ufała nawet nam, dzieciom, nie wiem, z jakiego powodu, powiedziałem do Gambettiego, nieufność naszej matki była największa z możliwych, matka cierpiała na nieugaszoną, nieuleczalną, obsesyjną, dzisiaj muszę powiedzieć, absolutnie perwersyjną nieufność. Wszystkie pomieszczenia w Wolfsegg, a więc również wszystkie pokoje, były pobielone wapnem. W pokojach na drugim piętrze zasłony ciemnozielone, prawie czarne, w pokojach na pierwszym piętrze ciemnoczerwone, prawie czarne. Na drugim piętrze, gdzie znajdowały się nasze pokoje, uszyto je z ciężkiego lnu, tak zwanego muhlviertlerskiego, w pokojach na pierwszym piętrze z ciężkiego aksamitu, jak mówią, sprowadzonego z Włoch jeszcze przed przełomem wieków przez babkę ze strony ojca. Jak sięgam pamięcią, zasłony te nigdy nie były prane, co oznacza, że również nikt nigdy nie zdejmował ich ze ścian. Do odrabiania lekcji zamykano nas, mojego brata Johanna i mnie, a później również siostry, w naszych pokojach na tak długo, aż skończymy odrabiać prace domowe i tylko w najbardziej nagłych przypadkach, gdy już w ogóle nie mogliśmy sobie poradzić, wolno nam było wezwać pomoc, ale matka nam nie pomagała, zawsze tylko powtarzała, że sami musimy dojść do rozwiązania swoich problemów i łamigłówek. Ta praktyka nie miała bynajmniej na względzie celów wychowawczych, wynikała wyłącznie z

czystego wygodnictwa matki. Ojciec nigdy nie przejmował się naszymi pracami domowymi. Złościł się tylko, gdy przynosiliśmy do domu złe oceny, jesteśmy go absolutnie *niegodni*, mówił, gdy któreś z nas przyniosło dwóję albo wręcz jedynekę, w naszych czasach szkolnych stawiano bowiem jedynekę. Dwie jedynekę oznaczałyby niechybnie powtarzanie klasy, jednak żadne z nas nigdy nie miało dwu jedynek, jedną za to bardzo często. Nasze pokoje na drugim piętrze ogrzewano wyłącznie w ostatecznym przypadku, dopiero przy dziesięciu stopniach mrozu, chociaż w Wolfsegg mieliśmy zawsze olbrzymi zapas drewna; wtedy sami musieliśmy palić tym drewnem, które, powiedzmy otwarcie, własnoręcznie trzeba było wnosić na drugie piętro, bo służba miała zakaz przynoszenia nam drewna opałowego na drugie piętro. Takie polecenie wydał mój ojciec, który chciał nas wychować na *zahartowanych* ludzi.

Gambetti nie rozumiał słowa *zahartowany*, więc starałem się mu je wyjaśnić. W rzeczywistości jednak te *hartujące metody*, które nasz ojciec sam nazywał *wychowaniem hartującym*, w ogóle nas nie zahartowały, lecz uczyniły *szczególnie podatnymi na wszystkie możliwe choroby*, choć nie byliśmy *aż tak* podatni jak siostry, dorastające w pokojach od północnej strony. Metody wychowawcze ojca, metody hartujące, w ogóle nas nie zahartowały, tylko uczyniły wrażliwymi, powiedziałem do Gambettiego. Ojciec tą swoją hartującą metodą osiągnął efekty przeciwne do założonych, byliśmy zawsze bardziej chorzy niż ci, których nie poddawano tym tak zwanym hartującym metodom, bardziej chorzy niż wszystkie wiejskie dzieci na dole, które naturalnie miały ogrzewane pokoje, chociaż były ubogie lub bardzo biedne i, jak to się mówi, nie posiadały nic w przeciwieństwie do nas, którzyśmy w porównaniu z nimi, co można spokojnie powiedzieć, dławili się bogactwem. W Wolfsegg, powiedziałem do Gambettiego, panowało też zawsze straszliwe skąpstwo. Najbardziej skąpa była matka, bardziej skąpa niż cała reszta rodziny. Często myślałem, że skąpstwo jest jej jedyną prawdziwą namiętnością. Jeśli nie brać pod uwagę wydawania potwornych sum na stroje, była najbardziej skąpym

człowiekiem, jakiego znałem w swoim życiu, nawet wobec samej siebie. Na nic sobie nie pozwalała. W wolfseggskich garnkach wolno było gotować jedynie to, co absolutnie niezbędne, najlepiej wszystko z własnego gospodarstwa, niczego kupowanego we wsi.

Dlatego też jedliśmy ciągle tyle wieprzowiny i wołowiny, co chwila była w Wolfsegg krwawa kiszka oraz wszelkiego rodzaju zacierki, grysiki, owsianki czy suflety. I naturalnie bez przerwy potrawy z jaj.

Wystawne jedzenie wjeżdżało na stół tylko wtedy, gdy pojawiał się tak zwany *ważny gość*, wówczas wolfseggska kuchnia wznosiła się na wyżyny dostatku i rozrzutności, demonstrując bogactwo niemających sobie równych specjalów. Nasza matka była zawsze człowiekiem zwróconym całkowicie na zewnątrz, zawsze było dla niej najważniejsze tylko to, co pomyślą o niej ludzie z zewnątrz i jak ją z zewnątrz ocenią, a pragnęła oczywiście, by zawsze myślano o niej dobrze i żeby z zewnątrz zawsze dobrze ją oceniano. Kucharki potrafiły wspaniale gotować! wykrzyknąłem do Gambettiego, ale przez większość czasu gotowały same nudne potrawy, powtarzające się co trzeci dzień. Często zadawałem sobie pytanie, powiedziałem do Gambettiego, po co nam trzech ogrodników, skoro i tak nigdy nie dostajemy do jedzenia przyzwoitych warzyw, nigdy niczego sensownego z ogrodu, chociaż przecież byłoby tak łatwo postawić przed nami na stole porządne, smakowite warzywa we wszystkich możliwych postaciach, wspaniałe sałaty, zwłaszcza że ja na przykład tak chętnie jem warzywa i sałatę; ale nie, wszystkie zebrane warzywa i cała zebrana sałata były w całości sprzedawane, nie pojawiały się na naszym stole, ogrodnicy zawozili je na targ do Wels albo do Vocklabruck, co przynosiło znacznie większe zyski. Wcale nie musiało się tak zdarzyć, powiedziałem do Gambettiego, żeby ojciec zachorował w Wolfsegg na żołądek. Kucharki i ich pomocnice zajmowały się przez większość czasu, jak już wcześniej powiedziałem, marynowaniem owoców i wekowaniem podrobów, a nawet bezustannym robieniem kiełbas, gdyż w Wolfsegg zabijano również zwierzęta i

ciągle jedzono tylko wyroby mięsne własnej roboty. Bez wątpienia wytwarzano tu zawsze najlepsze krwawe kiszki, jakie jadłem w swoim życiu. Rzeźnik przychodził ze Wsi na górę i zabijał krowy, cielęta, szlachtował świnie, po czym rozkładał je czyściutko w wolfseggskiej rzeźni, obok folwarku. Przyglądanie się rzeźnikowi sprawiało nam zawsze przyjemność, naturalnie gdy byliśmy jeszcze mali, to było niesamowite, odpychające, ba, budziło wstręt, później jednak traktowałem zawsze pracę rzeźnika jako jedną z najwyższych umiejętności, na tym samym poziomie co sztukę lekarza chirurga, a nawet, przeciwnie: praca rzeźnika wydawała mi się jeszcze bardziej godna podziwu. W Wolfsegg było dla nas już jako małych dzieci naturalne, że zabija się i rozbiera zwierzęta, bardzo szybko jednak przestało nas to przerażać; wszystko, co z początku uważaliśmy za odrażające, uświadomiliśmy sobie później jako wręcz nieodzowną konieczność, a praca rzeźnika jest niezwykle trudna i w przypadku świetnego wykonania godna podziwu. Dzieci wiejskie są, by tak rzec, od małego przyzwyczajone, po pierwszym szoku, do kontaktu z życiem i śmiercią, niebawem nie widzą już w tym niczego *przerażającego*, bo nie jest to żadna sensacja, tylko coś absolutnie naturalnego. Pod dachem mamy zresztą wielką masarnię, powiedziałem do Gambettiego, słowo *masarnia* go rozbawiło i musiałem powtarzać je kilka razy, bez przerwy chciał go słuchać, w wędzarni folwarcznej, powiedziałem do niego, wisiały zawsze setki kielbas, setki wędzonek. Wokół perystylu w głównym budynku, gdzie w *mniejzym lub większym stopniu toczy się* życie rodzinne, powiedziałem do Gambettiego, prowadzi przez wszystkie trzy piętra otwarty krużganek, na którym zawsze czyszcę sobie buty. Ta moja uwaga znowu rozśmieszyła Gambettiego, w momencie gdy akurat nalewał mi wino. I właśnie na dole w perystylu zawsze zimną trzymaliśmy te ranne albo osłabione sarenki, powiedziałem do niego, które myśliwi wyszukiwali dla nas i przynosili do Wolfsegg. Domek myśliwski znajduje się przed tak zwaną dziecięcą willą, ale za pawilonem ogrodowym, powiedziałem do Gambettiego. Z lotu ptaka Wolfsegg przedstawia się

następująco: wysoko i stromo nad miejscowością budynek główny, przed którym na przestrzeni około stu pięćdziesięciu lub stu siedemdziesięciu metrów w kierunku wschodnim rozciąga się słabo zarysowanym owalem tak zwany park, sięgając aż do muru z wyłomem, jaki stanowi wysoka brama z kamieni ciosowych, przez którą wjeżdżają samochody gospodarcze, natomiast z prawej strony muru stoi, dobudowana do niego, oranżeria, Gambetti, powiedziałem, a naprzeciw jest, by tak rzec, lewe skrzydło folwarku, który, zaprojektowany w kształcie podkowy, ma z pewnością, z grubsza biorąc, dwieście pięćdziesiąt metrów długości. Z tyłu, dokładnie w kierunku wschodnim, znajduje się pawilon-ogrodowy, a za nim domek myśliwski, natomiast jeszcze kawałek dalej nasza ulubiona tak zwana *dziecięca willa*. Tę tak zwaną dziecięcą willę zbudowano równo dwieście lat temu w stylu willi florenckich, jakie jeszcze dzisiaj stoją na trasie do Fiesole, naturalnie nie jest aż tak okazała, powiedziałem do Gambettiego, ale niezwykła jak na okolice Górnej Austrii. Nie można jednak powiedzieć, że nie pasuje do tego krajobrazu, wręcz przeciwnie, jest, prawdę mówiąc, bardziej urocza niż wszystko inne w naszym krajobrazie. Brzmi to absolutnie osobliwie, ale została zbudowana dla dzieci. Mieści się w niej teatrzyk lalkowy, w którym zawsze odbywały się przygotowywane przez nie przedstawienia. Dramaciki, króciutkie komedie, wesołe sztuki, jakich pisanie łatwo dzieciom przychodzi, ze smutnym zakończeniem, które, gdy się bliżej przyjrzeć, wcale nie jest aż takie smutne. Naturalnie sztuki pisane wierszem. W dziecięcej willi przechowuje się setki kostiumów z tego dziecięcego teatrzyku. Dzisiaj dziecięca willa jest zamknięta, sądzę, że od wielu lat nikt już do niej nie zaglądał. Wiele okien jest wybitych, prawdopodobnie przez miejscową dzieciarnię, powiedziałem do Gambettiego, ale dach *jeszcze* nie przecieka, Gambetti. Właśnie dziecięcą willę chciałem zawsze urządzać, powiedziałem do Gambettiego, ale moja rodzina nigdy nie dopuściła do tego, żeby wydawać pieniądze *na taką bzdurę*. Moje rodzeństwo i ja bawiliśmy się tam jeszcze dość często w teatr, póki wreszcie nam tego nie zabroniono, ponieważ mieliśmy się

*więcej uczyć a mniej bawić w teatr.* Szkoda, powiedziałem do Gambettiego, że dziecięca willa jest martwą budowlą, właśnie dziecięca willa, najpiękniejsza budowla w całej tej krainie, jak okiem sięgnąć; ma tyle uroku, nie wyobraża pan sobie tego, Gambetti, w okolicy, która nie obfituje w takie sympatyczne budowle, w takie ujmujące domy, w radosną architekturę. Być może kiedyś uda mi się jednak przekonać moją rodzinę, powiedziałem do Gambettiego, do ponownego otwarcia właśnie dziecięcej willi, odnowienia jej, urządzenia i dokonania otwarcia przedstawieniem komediowym zagranym przez miejscowe dzieciaki.

Sprawiłoby mi to ogromną radość, powiedziałem do Gambettiego, spektakl zagrany przez miejscowe dzieciaki, w kostiumach sprzed stuleci, tak kolorowych, tak fantastycznych, Gambetti, tak wysoce artystycznych, prawdę mówiąc, poetyckich. Ale jak zwykle, powiedziałem do Gambettiego, *prawdziwą poezję* lekceważy się bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Ja *kby prawdziwa poezja na nic nikomu nie była potrzebna.* Zamknięta i doprowadzona do upadku dziecięca willa jest *absolutnie* smutnym, choć interesującym rozdziałem naszej wolfseggskiej historii, powiedziałem do Gambettiego, może w ogóle najsmutniejszym ze wszystkich. Łowczy nigdy nie byli moimi przyjaciółmi, powiedziałem do Gambettiego, do domku myśliwskiego zachodziłem bardzo niechętnie, podczas gdy mój brat uwielbiał tam przebywać. Podobnie jak dla ojca, tak i dla mego brata polowania stały się od najmłodszych lat życia jedyną prawdziwą namiętnością. Dzisiaj, powiedziałem do Gambettiego, mój brat chodzi na polowania, kiedy tylko może, kilka razy do roku odbywają się też w Wolfsegg duże spotkania łowieckie, na których jaw ostatnich latach w ogóle się nie pojawiałem, do Wolfsegg przybywają wtedy wszyscy możliwi tak zwani prominenci z całej Europy, powiedziałem do Gambettiego, przez wiele dni słychać wówczas w Wolfsegg różne języki, przede wszystkim hiszpański, gdy przyjeżdżają nasi hiszpańscy krewni z Bilbao i z Kadyksu. Do tych spotkań dochodzi już od dawna z inicjatywy ojca, który nie

pozwolił, by nasza matka go ich pozbawiła, są one, jak się o nich mówi, prastarą tradycją w Wolfsegg. Wtedy wszystkie pokoje są zamieszkane, powiedziałem do Gambettiego, również te najbardziej ponure, a także te najzimniejsze.

Przy tej okazji gości w Wolfsegg również wielu Włochów, opróżnia się wówczas spiżarnie, powiedziałem do Gambettiego, otwiera całe tuziny słoików z marmoladą i podaje nawet najrozmaitsze sałatki i kompoty.

Domek myśliwski jest najbardziej ulubionym miejscem mojego brata, który zaszywa się tam, by sporządzać wolfseggskie bilanse, cała księgowość znajduje się w domku myśliwskim. Ja nigdy nie miałem upodobania do trofeów myśliwskich, powiedziałem do Gambettiego, kult trofeów myśliwskich zawsze był mi wstrętny, same polowania odrzucałem psychicznie i brzydziłem się nimi, chociaż jestem przekonany o ich absolutnej niezbędności. Mój brat, kiedy tylko jeździ do Polski, gdzie bierze udział w polowaniach, a nawet do Rosji, ogarnięty tą swoją pasją, nie lęka się bynajmniej panujących tam tak zwanych systemów komunistycznych. Nie żałuje pieniędzy na polowania. Z jednej strony jest *pasjonatem żeglarstwa*, z drugiej *pasjonatem polowań*. I nigdy nie widzi się go w innym ubraniu, powiedziałem do Gambettiego, jak tylko w stroju myśliwskim, który na ziemi austriackiej już dawno stał się niejako strojem narodowym. Ponieważ jest taki praktyczny, powiedziałem do Gambettiego, wszyscy paradują w strojach myśliwskich, ludzie najróżniejszych stanów, także niemający nic wspólnego z polowaniami, paradujących wszędzie w zieleni i szarości, i czasem wydaje się, że cały naród austriacki jest narodem samych myśliwych, nawet po ulicach Wiednia ludzie tysiącami chodzą w strojach myśliwskich. Można odnieść wrażenie, iż żądza polowań oładnęła również mieszczuchami, jak bowiem inaczej wyjaśnić, że wszędzie widać ludzi paradujących w strojach myśliwskich, również tam, gdzie wygląda to wyłącznie śmiesznie, groteskowo i perwersyjnie. Domek myśliwski zbudowano dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku w miejsce poprzedniego, spalonego podczas pożaru. Jeden z moich pradziadów urządził tam kiedyś szczególnego rodzaju



bibliotekę, niech pan sobie wyobrazi, powiedziałem do Gambettiego, byłaby to, by tak rzec, szósta biblioteka w Wolfsegg, pomyślana początkowo wyłącznie jako biblioteka myśliwska, którą jednak później poszerzono, zamieniając ją na bibliotekę ogólną. Dawniej znajdowałem tam najbardziej niewiarygodne skarby, powiedziałem do Gambettiego, była ona stworzona dla kogoś, kto naprawdę bez reszty i przez nikogo nie niepokojony chciał się poświęcić książkom, oddać się im w najbardziej idealny sposób. Do domku myśliwskiego nikt nie przychodzi, nie trzeba obawiać się intruzów, jest pełen powietrza, ciepła, na ścianach wiszą najpiękniejsze egzemplarze starych, namalowanych z największym smakiem artystycznym obrazów na szkle, stworzonych przede wszystkim w XVII wieku, pokolorowana przez jedną z moich prababek kronika świata Schedela leży tam na pochodzącym ze Styrii biurku w stylu józefińskim z ciężką płytą z marmuru kararyjskiego grubości dwudziestu centymetrów, unikat, powiedziałem do Gambettiego, jaki rzadko kiedy można spotkać na północ od Alp. Na tym biurku, na tej marmurowej płycie, najidealniej przenosi mu się własne myśli na papier, powtarzał zawsze wuj Georg, i na tej też płycie zaczął pisać to, co sam nazwał *swoją Antyautobiografią*, kilkusetstronicowy rękopis, którego pisanie kontynuował przez ponad dwadzieścia lat w Cannes, a w którym odnotował wszystko, co uważał za godne odnotowania. Po jego śmierci nikt z nas jednak nie odnalazł tego rękopisu i tylko coś tam przebąkiwano, że sam wuj Georg spalił go na krótko przed śmiercią, gdyż jeszcze dwa tygodnie wcześniej dokonał w nim zapisu, co wiemy z relacji otaczających go ludzi, zapisu dotyczącego Wolfsegg. *Zacny Jean na własne oczy* widział ten zapis dotyczący Wolfsegg, ale nie potrafił powtórzyć, jak on brzmiał, był podobno krótki i zwięzły. Jak znam wuja Georga, mógł napisać wyłącznie jakieś kategoryczne zdanie, które najprawdopodobniej śmiertelnie przeraziłoby moją rodzinę. Być może, powiedziałem do Gambettiego, zacny Jean osobiście ukrył gdzieś ten rękopis, nie można jednak wykluczyć, że zniszczyła go moja matka, miała bowiem dostęp do gabinetu wuja Georga, dopóki ten gabinet nie został jeszcze

na nic zamieniony, rękopis leżał zawsze w szufladzie biurka, a dwa dni po tym, gdy matka była w gabinecie wuja Georga, manuskrypt, niewątpliwie interesująca antyautobiografia wuja Georga, zniknął i nie można go było nigdzie znaleźć. Prawdopodobnie matka została przedstawiona w tej antyautobiografii jak najgorzej, toteż można się po niej spodziewać, że przez pewien czas, udając pogrążoną w żałobie, zamykała się w pokoju wuja Georga i czytała tę antyautobiografię, a później jak rażona gromem najprawdopodobniej rozprawiła się krótko z tym wręcz jej szkodzącym rękopisem. Bo przecież wuj Georg przez całe swoje życie obarczał moją matkę odpowiedzialnością za wszystko. Co chwila powtarzał, *twoja matka to nieszczęście dla Wolfsegg*. Można przypuszczać, że umieścił to zdanie również w swojej *Antyautobiografii*. Płyta z marmuru kararyjskiego na józefińskim biurku ze Styrii jest zawsze zimna, lodowato zimna, powiedziałem do Gambettiego, niezależnie od tego, jak wysoka lub jak niska temperatura panuje na zewnątrz, nawet w pełni lata, gdy wszyscy jęczą z powodu upału, płyta z marmuru kararyjskiego jest niezmiennie lodowata. Na tej lodowato zimnej płycie wuj Georg notował swoje koncepty, w ogóle, powtarzał zawsze, przy tej zimnej płycie z marmuru najlepiej się myśli. Ja sam w ostatnich latach, kiedy to wprawdzie nadal mieszkałem w Wolfsegg, ale już przez cały czas, świadomie bądź nie, zegnałem się z nim, by tak rzec, na zawsze, powiedziałem do Gambettiego, napisałem na tej płycie z marmuru kararyjskiego parę rzeczy, które wydawały mi się godne odnotowania, wówczas, powiedziałem do Gambettiego, były to *filozoficzne rozważania*, które jednak do niczego nie prowadziły i które to zapiski później znowu zniszczyłem, jak wiele innych. Nad zimna, prawie lodowato zimną płytą z kamienia myśli się absolutnie najlepiej, powiedziałem do Gambettiego, najlepiej się też na niej pisze.

Unikat, powiedziałem do Gambettiego, coś absolutnie wyjątkowego, ta płyta z marmuru kararyjskiego.

To przecież ona sprawiała, że od czasu do czasu wabił mnie domek

myśliwski, w innych sytuacjach, jak się rzekło, nie wchodziłem do niego, a już na pewno nie wtedy, gdy odbywały się polowania. Łowczy byli przyjaciółmi mojego brata, nie moimi, ja miałem swoich ogrodników. W pawilonie ogrodowym przebywałem często, nieomal codziennie. Gdy zachodziłem do pawilonu ogrodowego, szedłem do ludu, powiedziałem do Gambettiego, a lud kochałem. Tęskniłem do niego i nigdzie nie czułem się szczęśliwszy. Kochałem zwykłych ludzi, ich prosty sposób bycia. Gdy ich odwiedzałem, traktowali mnie jak swoje rośliny, również z *miłością*. Mieli zrozumienie dla moich zmartwień i kłopotów, dokładnie takie zrozumienie, jakiego nigdy nie okazywali mi łowczy, którzy zawsze mieli na podorędziu tylko te swoje wielkopańskie sentencje, sądzili, że mnie, jako całkiem małemu dziecku, muszą opowiadać wyłącznie swoje pikantne dowcipy, że mogą mnie rozbawić podawanymi nad głowami butelkami wódki, mimo iż tym odrażającym sposobem zachowania wpędzali mnie tylko w poczucie niepewności i smutku, jeszcze większe niż już odczuwane, w przeciwieństwie do ogrodników, którzy, bez zbędnych słów, rozumieli mnie i w każdym przypadku potrafili mi pomóc. Łowczy już z daleka atakowali mnie zawsze tym swoim chełpliwym, aroganckim sposobem bycia, tymi swoimi głośnymi, zapijaczonymi głosami, ogrodnicy zaś mieli w sobie wrażliwość, która mnie uspokajała. Gdy byłem bardziej nieszczęśliwy, niż to się wydawało do zniesienia, gdy byłem w skrajnej potrzebie, *szedłem do ogrodników*, powiedziałem do Gambettiego, *nie do łowczych*. W Wolfsegg stały zawsze naprzeciw siebie dwa obozy, obóz łowczych i obóz ogrodników. Całe wieki wytrzymywali obok siebie, co z pewnością nie było łatwe, Czy to nie ciekawe, powiedziałem do Gambettiego, że raz po raz zabijał się jakiś łowczy, naturalnie strzelając do siebie, a ogrodnik nigdy. Łowczy z Wolfsegg mają na swoim koncie wiele samobójstw, ogrodnicy ani jednego. Co kilka lat jakiś łowczy z Wolfsegg strzela do siebie i trzeba szukać nowego. Łowczy nie dożywają też nigdy sędziwego wieku, bardzo wczesnie dziadzieją, powiedziałem do Gambettiego, i zapijają się. Orodnicy w Wolfsegg zawsze

dożywali sędziwego wieku. Nierzadko jakiś ogrodnik dociągał do dziewięćdziesiątki, łowczy natomiast odchodzą ze służby przeważnie w wieku pięćdziesięciu lat, niezdolni do dalszej pracy. Składając się do strzału, drżą i już około czterdziestki mają zaburzenia równowagi. Przez większość czasu można ich spotkać we wsi, gdzie przesiadują w gospodach z odbezpieczoną bronią pod ręką i tonem starych wyjadaczy wygłaszają swoje polityczne komentarze, co bardzo często prowadzi do bójek, a te naturalnie, jak zawsze na wsi, przeradzają się w ogólną bijatykę, której konsekwencją są ranni, a nawet ofiary śmiertelne. Łowczy zawsze byli krzykaczami i wichrzycielami. Jeśli coś im nie odpowiadało, po prostu przy pierwszej sposobności odpalali z dubeltówek, broniąc się później przed sądem, że zastrzelonego przez siebie człowieka wzięli za okaz dzikiego zwierza. Księgi procesowe Austrii pełne są opisów takich wypadków podczas polowań, które dla sprawcy kończyły się przeważnie upomnieniem w myśl zasady zastrzelony przez myśliwego jest sam sobie winien. Łowczy byli też zawsze fanatykami, powiedziałem do Gambettiego, naprawdę bez trudu można udowodnić, że sprawcami nieszczęść tego świata w ogromnej mierze są myśliwi, wszyscy dyktatorzy byli zapalonymi myśliwymi, oddaliby wszystko za polowanie, za polowanie zabiliby własny naród, co przecież nieraz widzieliśmy. Myśliwymi byli faszyci, myśliwymi byli narodowi socjaliści, powiedziałem do Gambettiego. W czasach nazizmu tam na dole we wsi ostatnie słowo należało do naszych łowczych i to oni w końcu, by tak rzec, wymusili na moim ojcu przystanie do narodowego socjalizmu. To oni, gdy nastał narodowy socjalizm, byli silniejsi, mój ojciec był słabeuszem, który musiał im ulec. W ten to prosty sposób Wolfsegg stało się, za pośrednictwem łowczych narodowosocjalistyczne.

Mój ojciec został nazistą pod presją, musi pan wiedzieć, Gambetti, podjudzany naturalnie przez moją matkę, która podczas wszystkich lat panowania nazizmu była, o czym musi pan wiedzieć, historyczną na-zistką. *Niemiecką kobietą*, jak sama siebie nazywała. W rocznicę urodzin Hitlera

regularnie wywieszano w Wolfsegg flagę nazistowską, powiedziałem do Gambettiego, co było niesmaczne. Przecież wuj Georg głównie dlatego wyjechał z Wolfsegg, że nie chciał tolerować narodowego socjalizmu, który rozpychał się tam z całą siłą, nie chciał i nie mógł. Wyjechał do Cannes, później na jakiś czas do Marsylii i tam prowadził działalność przeciw Niemcom. Tego moja rodzina najbardziej nie mogła mu wybaczyć. W końcu ojciec był w rzeczywistości nazistą nie tylko wskutek wywartej na niego presji, lecz także nazistą z przekonania, a matka wręcz fanatyczką nazizmu. Ten czas, który wtedy przeżyło Wolfsegg, jest najobrzydliwszy, powiedziałem do Gambettiego, poniżający Wolfsegg, zabójczy dla Wolfsegg, czas, którego nigdy nie wolno przemilczać ani tuszować, gdyż taka była prawda. Jeśli panu powiem, że ojciec tylko dlatego, iż zażądała tego matka, zapraszał do Wolfsegg nazistowskich bonzów, to jeszcze dzisiaj na myśl o tym ciarki przebiegają mi po krzyżu. Że na dziedzińcu ustawiała się w szeregu tak zwana miejscowa jednostka SA i ryczała *Heil Hitler!* Niewątpliwie ojciec ciągnął zyski z nazistów. A kiedy odeszli, nikt go nie tknął, absolutnie nikt. Jakby nigdy nic pozostał również po wojnie panem dla okolicznej ludności. Dziecięcą willę oddawał nazistom do dyspozycji, o ile wiem, całkiem dobrowolnie, matka wcale nie musiała go do tego zachęcać. Członkowie Hitlerjugend majsterkowali w dziecięcej willi, tam też uczyli się tych swoich tępych nazistowskich pieśni. Jak rok długi powiewała przed dziecięcą willą flaga ze swastyką, aż pewnego dnia, na kilka godzin przed wkroczeniem Amerykanów, matka ściągnęła ją, całkiem sflaczałą i postrzępioną. W trakcie ściągania tej swastyki nadwreżyła sobie kark, powiedziałem do Gambettiego, i od tej pory miała swego rodzaju chroniczny reumatyzm szyi. Zresztą potem z dziesiątków wolfseggskich flag ze swastyką uszyto fartuchy robocze dla ogrodników i kucharek, a matka osobiście ufarbowała je na granatowo. Ojciec, na jej polecenie, powiedziałem do Gambettiego, wstąpił do partii i od tego czasu nosił odznakę partyjną, bez najmniejszego poczucia wstydu, muszę powiedzieć, całkiem jawnie, przy każdej

okazji. Do dzisiaj ma surduty, w których jest dziurka, powstała właśnie od noszenia odznaki partyjnej. Gdy wuj Georg był po raz ostatni w Wolfsegg, przypomniał mojemu ojcu pod koniec sporu, w trakcie którego w mniejszym lub większym stopniu chodziło o wszystko, co się dzieje na świecie, przede wszystkim jednak o radziecko-amerykańską *równowagę sił*, że kiedyś, i to wcale nie tak krótko, był członkiem partii. Na to ojciec zerwał się i rozbił o blat stołu talerz z zupą, po czym wypadł z jadalni. Matka rzuciła jeszcze w kierunku wuja Georga słowo *podlec* i podążyła za swoim mężem. W taki to smutny sposób skończył się ostatni pobyt wuja Georga w Wolfsegg. Ale narodowy socjalizm prawie zawsze, powiedziałem do Gambettiego, prowokował pod koniec pobytu wuja Georga gwałtowne spory w Wolfsegg, zawsze w najohydniejszej formie. Ledwo odeszli naziści, powiedziałem do Gambettiego, moja rodzina rzuciła się w ramiona Amerykanów i znowu czerpała wyłącznie same korzyści z tego ohydneho aliansu. Członkowie mojej rodziny zawsze byli oportunistami, ich charaktery można spokojnie określić jako nikczemne. Zawsze dostosowywali się do danej sytuacji politycznej i każda metoda ciągnięcia korzyści ze związków z każdym dowolnym reżymem była dobra.

Zawsze trzymali ze znajdującymi się akurat u władzy i jako rodowici Austriacy opanowali sztukę oportunistów jak żadną inną, politycznie nigdy nie ponieśli klęski. Ich brakowi charakteru, muszę powiedzieć, Wolfsegg zawdzięcza to, że do dzisiaj zostało oszczędzone, mam na myśli majątek, budynki i należącą do tego majątku ziemię, żaden wróg nigdy go nie ostrzeliwał ani nie spalił. To wprost nieprawdopodobne, że Wolfsegg w latach panowania nazistów było zarówno ostoją narodowego socjalizmu, jak i ostoją katolicyzmu. Arcybiskupi i gauleiterzy wymieniali się tu w weekendy, przekazując sobie klamkę z ręki do ręki. W tym czasie wszystko to reżyserowała moja matka i łowczy, którzy dzisiaj też są wyłącznie nazistami, podobnie jak matka, *w głębi duszy* całkiem nietknięta dzięki swojej katolickiej obłudzie, jest w całej okazałości narodową socjalistką. Narodowy socjalizm zawsze był jej ideałem,

tak samo jak dla co najmniej dziewięćdziesięciu procent pozostałych kobiet austriackich, powiedziałem do Gambettiego. Tak więc domek myśliwski stał zawsze po stronie mojej matki, powiedziałem do Gambettiego. Nasz ojciec przez całe życie był dla matki zaledwie organem wyko-nawczym, by wyrazić to językiem narodowego socjalizmu, Gambetti. Głupi facet, to jej własne słowa, który nic z tego wszystkiego nie rozumie i powinien jedynie jej się słuchać. Tę dygresję wywołało we mnie wspomnienie domku myśliwskiego, powiedziałem do Gambettiego. Już sama nazwa *domek myśliwski* przywodzi mi na pamięć epokę narodowego socjalizmu. O tym domku myśliwskim, który jako dziecku wydawał mi się zawsze niesamowity, mógłbym opowiedzieć jeszcze wiele innych rzeczy, powiedziałem do Gambettiego, na przykład opowiedzieć panu o morderstwach mających związek z domkiem myśliwskim i narodowym socjalizmem, ale na to w tym, ogólnie rzecz biorąc, błogim nastroju nie mam teraz ochoty. Pewnego dnia jednak, powiedziałem do Gambettiego, zabiorę się do opisanie tego wszystkiego, co w związku z Wolfsegg nie daje mi spokoju, tego wszystkiego, co dotyczy Wolfsegg. Nie daje mi to spokoju od kilkudziesięciu lat. Prawdę mówiąc, prześladowuje mnie w dzień i w nocy. Ponieważ moja rodzina nie ma ani zamiaru, ani umiejętności opisanie Wolfsegg takim, jakie jest i jakim zawsze było, jasne jest, że zadanie to przypada mnie. Chcę przynajmniej, powiedziałem do Gambettiego, podjąć próbę opisanie Wolfsegg takim, jak ja je widzę, każdy bowiem może opisywać wyłącznie to, co *sam widzi, jakie jemu to coś się wydaje, nie inaczej. I nawet gdybym musiał sobie powiedzieć, że widzę jedynie straszne Wolfsegg ze strasznymi ludźmi, nie wolno by mi było powstrzymać się od spisania stosownej dokumentacji. Jestem pewien, iż wujowi Georgowi, kiedy pracował nad swoją antyautobiografią, przyświecał podobny zamysł. Ponieważ jednak autobiografia wuja Georga już nie istnieje, ja mam wręcz obowiązek przyjrzeć się Wolfsegg bezwzględnie i zrelacjonować swoje bezwzględne obserwacje. Kiedy, jeśli nie teraz, gdy jeszcze mogę to zrobić i mam do tego głowę, powiedziałem do Gambettiego, tutaj, w*

*Rzymie, zachowując dystans dzięki odległości, co może być tylko niezwykle pożyteczne dla takiego zamysłu. Tutaj, gdzie mam spokój w domu na Piazza Minerva, gdzie w gruncie rzeczy nikt mi nie przeszkadza w niemal idealnym dla napisania takiej relacji Centrum współczesnego świata. Już od lat noszę się z pomysłem napisania tej relacji o Wolfsegg, o wolfseggskich ludziach, o wolfseggskich stosunkach, o nieszczęściu tych ludzi, o ich nikczemności, małości i braku charakteru, o wszystkim, co mi przedstawiali, i co, póki żyję, w mniejszym lub większym stopniu spędza mi przez całe noce sen z powiek oraz rujnuje mnie, jeśli mam powiedzieć prawdę, Gambetti. Spróbuję pokazać moją rodzinę taką, jaka jest, nawet jeśli koniec końców zostanie opisana tylko tak, jak ja ją widziałem i jak ja ją widzę. A ponieważ do tej pory nie napisał o niej nikt poza wujem Georgiem, którego antyautobiografia została jednak zniszczona, muszę to zrobić ja, Gambetti. Trudność polega zawsze tylko na tym samym, jak zacząć taką relację, skąd zaczerpnąć pierwsze prawdziwie użyteczne zdanie do takiego opisu, to najpierwsze zdanie. Prawdę mówiąc, Gambetti, już bardzo często zaczynałem tę relację, ale ciągle ponosiłem klęskę przy pierwszym zdaniu. Zawsze potem odkładałem to na bok i łapałem się za głowę, myśląc, że chyba jestem szaleńcem, skoro w ogóle zrodziła się we mnie chęć napisania takiej relacji o Wolfsegg, gdyż tylko szaleniec może się podejmować takiej relacji. Komu zresztą miałyby się przydać?*

Powtarzałem to sobie za każdym razem i zawsze dochodziłem do wniosku, że taka relacja nikomu się nie przyda. Bez przerwy jednak towarzyszyła mi świadomość, w ostatnim czasie nawet coraz większa, że muszę tę relację napisać, że nie mogę wzbraniać się przed napisaniem takiej relacji o Wolfsegg, bez względu na to, co mam przeciwko niemu, pewnego dnia będę to musiał zrobić. Tego żąda ode mnie mój umysł. Mój umysł zaś stał się umysłem nieprzejednanym przede wszystkim wobec siebie. Najbardziej nieubłagany, powiedziałem do Gambettiego. A wie pan, powiedziałem do Gambettiego, zostało mi już bardzo niewiele czasu, jeśli niebawem nie zacznę pisać tej relacji,



może być za późno. Nie wiem, ale czuję to, powiedziałem do Gambettiego, że nie mam już wiele czasu. A taka relacja wymaga jednak, żeby ktoś, kto ją pisze, zajmował się nią latami, może nawet nie tylko przez kilka lat, ale i dłużej, powiedziałem do Gambettiego. Nie wystarczy jej naszkicować, powiedziałem do Gambettiego. Jedyne, co ostatecznie mam w głowie, powiedziałem do Gambettiego, to tytuł *Wymazywanie*, gdyż moja relacja będzie służyła wyłącznie temu, by to, co w niej opisane, wymazać, ostatecznie skazać na zagładę wszystko, co rozumiem przez Wolfsegg, i wszystko, czym jest Wolfsegg, rozumie pan, Gambetti, rozumie mnie pan, naprawdę i rzeczywiście wszystko. Po spisaniu tej relacji wszystko, czym jest Wolfsegg, musi zostać wymazane, zgładzone. Moja relacja będzie wyłącznie wymazywaniem, powiedziałem do Gambettiego. Moja relacja całkiem po prostu wymaze, zgładzi Wolfsegg. Prawie do jedenastej siedziałem wtedy z Gambettim na Piazza del Popolo, powiedziałem do siebie, patrząc na fotografie leżące na biurku. Wszyscy nosimy ze sobą swoje Wolfsegg i mamy ochotę wymazać je dla własnego ocalenia, wymazać poprzez zapisanie i zgładzenie. Jednakże przez większość danego nam czasu nie mamy siły na takie wymazywanie. Być może właśnie teraz nadszedł ten moment. Jestem we właściwym wieku, powiedziałem do Gambettiego, w idealnym wieku, aby przystąpić do takiego przedsięwzięcia. Moje mieszkanie na Piazza Minerva, powiedziałem do Gambettiego, na poły zaciemnione, a więc zasłony nieomal całkowicie zaciągnięte, bym mógł mieć całkowity spokój, ochronę przed rzymskim światłem? i zacząć pracę. Co mi przeszkadza, powiedziałem do Gambettiego, rozpocząć ją natychmiast? Zaraz potem jednak znowu: sądzimy, że możemy zacząć takie przedsięwzięcie, a mimo to nie jesteśmy gotowi się go podjąć, wszystko sprzysięga się zawsze przeciw nam i przeciw takiemu przedsięwzięciu, tak więc ciągle z nim zwlekamy i nigdy go nie podejmujemy, wskutek czego nie zapisujemy wielu wytworów ducha, które powinniśmy zapisać, pozostaje tyle zapisków, gromadzonych przez cały czas, latami, dziesiątkami lat nosimy je w głowach, we własnych głowach.

Wytaczamy wszystkie możliwe argumenty, żeby nie musieć zacząć takiej pracy, wygrzebujemy wszystkie możliwe wymówki, przywołujemy wszystkie możliwe duchy, które mogą być wyłącznie złymi duchami, żeby tylko nie musieć zaczynać, mimo iż powinniśmy zacząć. Tragedią kogoś, kto chce coś napisać, jest to, że ciągle przywołuje coś, co przeszkadza mu w pisaniu, powiedziałem do Gambettiego, tragedią, która jest zarazem perfekcyjną i perfidną komedią. A przecież powinna istnieć możliwość napisania jeśli nie doskonałej, to jednak ważnej pracy o Wolfsegg, o tym Wolfsegg, o którym już tyle panu opowiedziałem, Gambetti, które zawsze tyle dla mnie znaczyło i prawdopodobnie jest w moim życiu ważniejsze niż wszystko inne. Nie wystarczy, że sporządzimy notatki o wszystkim, co dla nas ważne, być może, nawet najważniejsze, powiedziałem do Gambettiego, o całym skomplikowaniu własnego pochodzenia, że zapiszemy tyle i tyle setek albo tysięcy kartek poświęconych tej tematyce, która jest naszą dozgonną tematyką, niewątpliwie i naprawdę mamy obowiązek zdać większą, by nie powiedzieć, wielką relację o tym, z czego w końcu powstaliśmy, z czego zostaliśmy zrobieni i co przez cały czas naszego istnienia *odciska na nas swoje piętno*. Możemy przez wiele lat odczuwać strach, możemy lękać się takiego niemal nadludzkiego wysiłku, wreszcie jednak musimy się zabrać do tego zadania i je wykonać. Po co mi ta cała rzymska atmosfera, po co mieszkanie na Piazza Minerva, jeśli nie w tym celu, powiedziałem do Gambettiego. Ale prawdopodobnie nazbyt często już o tym rozmyślałem, a to niewątpliwie coraz mniej sprzyja takiemu zamysłowi; nazwę tę relację *Wymazywanie*, powiedziałem do Gambettiego, gdyż naprawdę wszystko w niej wymażę, skażę na zagładę, wszystko, co opiszę w tej relacji, zostanie wymazane, zgładzone, zostanie dzięki niej wymazana cała moja rodzina, zostanie wymazany jej czas, Wolfsegg zostanie dzięki tej relacji wymazane na mój własny sposób, Gambetti.

Jestem to winien także wujowi Georgowi, powiedziałem do Gambettiego. Podobnie jak Cannes umożliwiło mu, powiedziałem do Gambettiego, opisanie

Wolfsegg, podobnie też Rzym musi to umożliwić mnie, z jeszcze większą niezależnością i nieprzejednaniem. Rzym, powiedziałem do Gambettiego, to idealne miejsce na dokonanie takiego wymazania, takiego zgładzenia, jakie mam na myśli. Albowiem Rzym nie jest starym, prastarym centrum minionych dziejów świata, jest on, co, jeśli uważnie się przyjrzeć, widzimy i czujemy każdego dnia i o każdej godzinie, *centrum współczesnego świata*, powiedziałem do Gambettiego, centrum współczesnego świata nie jest Nowy Jork, nie jest nim również Paryż ani Londyn, ani Tokio, ani Pekin, ani Moskwa, jak to wszędzie czytamy i słyszymy, nie, jest nim Rzym, dzisiaj *znowu* jest nim Rzym, nie umiem tego udowodnić, w każdym razie nie w tej chwili i w każdym razie nie swoimi słowami, ale czuję to. Nie uwierzy pan, powiedziałem do Gambettiego, lecz na Piazza Minerva stałem się nowym człowiekiem. Dopiero tutaj na powrót odnalazłem siebie, po tym, gdy przez tyle lat *zatracałem się* we wszystkich innych możliwych miejscach, tracąc siebie, czyli wszystko, czym jestem. I przez tyle lat nie wierzyłem już w jakiegokolwiek ocalenie, nieustannie widziałem swoją zagładę, swój własny kres, *to, jak schodzę*, Gambetti, powoli, przez długie lata widziałem tylko wszędzie, jak idę na zatracenie i jak schodzę z tego świata, a mój kres jest nie do powstrzymania, gdyż wszystko we mnie naprawdę straciło jakiegokolwiek znaczenie. Ani w Pa ryżu, ani w Lizbonie nie znalazłem tego, czego przez tyle lat szukałem, nowego punktu zaczepienia, nowego początku. Znalazłem go w Rzymie. A przecież niczego się po Rzymie nie spodziewałem, myślałem zawsze, że będzie dobry zaledwie na kilkutygodniową zabawę, na nic więcej. Co najwyżej na trwającą kilka miesięcy rozrywkę, na nic więcej. To zresztą, że z Lizbony, którą kocham, pojechałem w końcu do Rzymu, było pomysłem wuja Georga; Lizbona, chociaż wspaniała, powiedział wuj Georg, jest jednak miastem prowincjonalnym, Rzym natomiast to metropolia, *tak zwana metropolia*, powiedział, poprawiając się, przyjechałem więc do Rzymu tylko po to, by odwlec dokonujący się we mnie niepowstrzymanie upadek, prawie bez nadziei na ocalenie. I wtedy okazało się, że decyzja o przyjeździe do

Rzymu przyniosła mi odnowienie życia, by tak rzec, zwrot duchowy. Nagle odetchnąłem. Głośnie, straszliwie głośnie i cuchnące miasto, myślałem z początku, Gambetti, natychmiast jednak zauważyłem, że właściwie jest ono dla mnie jedyne, nieodzowne, ocalające. W Rzymie, co już od wielu lat nie było w moim przypadku możliwe, zacząłem na nowo robić notatki, w ogóle na powrót snuć myśli o wszystkim, nie tylko myśli wiążące się z kresem mojego własnego życia. Myśli o wszystkim, absolutnie o wszystkim, Gambetti. Naraz zacząłem się znowu wszystkim interesować, nawet sytuacją polityczną, którą nie interesowałem się przez całe lata.

Wszystkimi tak zwanymi *przedmiotami sztuki*. Ludźmi, Gambetti, gdyż, prawdę mówiąc, przez wiele lat nie interesowałem się już nawet ludźmi, ludzie byli dla mnie wyłącznie uciążliwi, ale nie budzili najmniejszego zaciekawienia. Po raz pierwszy po wielu latach znów poszedłem w Rzymie do teatru. Do opery, Gambetti, której przez wiele lat unikałem jak dżumy. I ponownie zacząłem czytać, bo całymi latami nie czytałem już nic oprócz gazet; książki, Gambetti, prawdziwe książki, nie tylko gazety codzienne, którymi, całym tym głównym, napychałem się dzień w dzień w jednym jedynym celu, żeby nie zanudzić się na śmierć, gdyż całymi latami, Gambetti, powiedziałem, nudziłem się prawie śmiertelnie.

Wszystko to *musiało* mnie nudzić, nie znajdowałem dla siebie żadnych rozrywek, a więc ich nie miałem.

Wszystkiego unikałem, ludzi, rzeczy, a wreszcie nawet świeżego powietrza, czego skutkiem okazało się moje fizyczne zmarnienie, naprawdę chorowałem, więc chodziłem jedynie do lekarzy, tylko do nich chodziłem, do nikogo innego, moje wyłączne towarzystwo stanowili lekarze, z którymi rozmawiałem wyłącznie o chorobach, naturalnie przeważnie o swoich własnych, niezdefiniowanych, o swoich własnych nieuleczalnych, jak oni wszyscy mówili, o swoich własnych śmiertelnych, a co może być straszliwszego od rozmów z lekarzami, którzy z reguły są najmniej ciekawymi ludźmi na całej kuli

ziemskiej, jako że nic ich nie ciekawi. Lekarze to najsmutniejsi rozmówcy, jakich można sobie wyobrazić, a zarazem najnikczemniejsi, nieustannie bowiem powtarzają człowiekowi, że zostało mu już niewiele życia, i to jakiego okropnego i politowania godnego, niepotrzebnego i perwersyjnego, skupionego wyłącznie na sobie i na własnych chorobach, tak że w ogóle nie warto go przedłużać.

Zaszywałem się w swoich mieszkaniach w Paryżu, Madrycie i Lizbonie, a moją jedyną drogą była droga na pocztę po to, by sprawdzić, czy przychodzą przekazy pieniężne z Wolfsegg. To było tak przygnębiające, iż wreszcie poruszałem się tylko między podle niebezpiecznymi i żądnymi pieniędzy lekarzami a pocztą w Lizbonie i Madrycie, przez jakiś czas również w Neapolu, powiedziałem do Gambettiego, Neapol jednak źle na mnie działał, ma bowiem klimat, jakiego nie znoszę, i jest absolutnie najgłębszą prowincją. Musi mi pan wybaczyć, powiedziałem do Gambettiego, że Neapol to dla mnie absolutnie najgłębsza prowincja, w ogóle nie mogę określić go inaczej, spojrzenie na Wezuwiusz jest dla mnie katastrofą, gdyż rzucało je już tyle milionów, a może nawet miliardów ludzi. Wciągu tych dziesięciu lat poprzedzających moje zamieszkanie w Rzymie koncentrowałem się wyłącznie na samym sobie, wskutek czego zaniedbałem siebie w najbrutalniejszy i najbardziej niewybaczalny sposób. Pozwoliłem sobie przede wszystkim na duchowe, ale także fizyczne zmarnienie. Stałem się człowiekiem na wskroś zmarniałym. Nieustannie chorym, niecierpliwym, nieznośnie podejrzliwym, jak nikt poza mną, byłbym się prawie udusił przez tę ciągłą samoobserwację i samokontemplację. Całkiem zapomniałem, iż poza moim strasznym światem istnieje jeszcze inny, który nie jest wyłącznie straszny. Przede wszystkim zaś zapomniałem, że istnieje życie duchowe. Zapomniałem o swoich filozofach, o swoich poetach, o wszystkich twórcach sztuki, Gambetti. W ogóle, mogę powiedzieć, zapomniałem o swoim umyśle, uczepliłem się swojego schorowanego ciała i przez nieustanne czepianie się tego chorego ciała

doprowadziłem się prawie do ruiny. Póki nie przyjechałem do Rzymu. Póki mój przyjaciel Zacchi nie wystarał mi się o mieszkanie na Piazza Minerva, gdyż, jak pan wie, przez pierwszy okres mieszkałem w Hasslerze, nie w Hotel de la Ville, jak wuj Georg, o nie, ja musiałem mieszkać w Hasslerze, bo ogarnęła mnie mania wielkości. Od razu, w pierwszej chwili spojrzałem z Hasslera ponad Piazza di Spagna na Rzym i głęboko odetchnąłem z uczuciem, że jestem ocalony. Już się stąd nie ruszę, pomyślałem w pierwszym momencie.

Stałem przy otwartym oknie i mówiłem do siebie, jestem tutaj, zostanę tutaj, nie mnie stąd nie wygna. I rachunek zaczął mi się zgadzać, zostałem w Rzymie i już z niego nie wyjechałem. Wprawdzie kochałem te wszystkie inne miasta, ale żadne nie wywarło na mnie takiego wpływu egzystencjalnego. We wszystkich tych miastach mieszkałem przez dłuższy lub krótszy czas, ale nigdy nie czułem się w nich u siebie. Do wszystkich tych miast, jak to się zwykle mówi bez zastanowienia, przyłgnąłem całym sercem, żadne jednak nie stało się z tego powodu moim miastem. Kocham je wszystkie, zwłaszcza Lizbonę, Warszawę, Kraków, La Palmę, nawet Wiedeń i Paryż, ba, także Londyn i Palermo, ale w żadnym z tych miast nie wytrzymałbym dzisiaj przez dłuższy czas. Zostawiłem je za sobą bez uczucia, że straciłem coś, co należało do mnie, wyłącznie do mnie. Niekiedy pojawiała się myśl, że w Lizbonie mógłbym spędzić równie wiele lat co w Rzymie, wtedy jednak raz po raz przypominał mi się wuj Georg ze swoimi jakże trafnymi słowami o tym, jak sędzę, najwspanialszym ze wszystkich miast. Lizbona jest rzeczywiście jeszcze piękniejsza od Rzymu, ale to miasto prowincjonalne. W Lizbonie spędziłem najpiękniejszy okres mego życia, jednak przecież nie taki jak w Rzymie, najlepszy. W Lizbonie, jak w żadnym innym mieście na świecie, znajduje się to, co nazywam naturą architektury. W Lizbonie to pojęcie jest doskonałością, Gambetti, szkoda, że nigdy nie miał pan sposobności być w Lizbonie. Były to moje najpiękniejsze lata, prawdopodobnie także najszcześniejsze. Jednak dla mojego umysłu, który koniec końców zawsze najbardziej mnie interesował,

Lizbona w ostateczności nie była jednak idealna, gdy tymczasem Rzym okazał się idealny. Rzym to miasto dla umysłu, dla umysłu starożytnego Rzym był idealnym miastem, dla współczesnych umysłów ponownie jest idealnym miastem, a w chaotycznej sytuacji politycznej, jaka tu dzisiaj panuje, przede wszystkim dla współczesnych umysłów. Inne miasta takie nie są, myślę często, myśląc o idealnym mieście dla umysłu; nie jest nim nawet Nowy Jork, a Rzym owszem, całkiem zdecydowanie, z pewnością. Tu jest wybuchowo, a to mi odpowiada, Gambetti. Wybuchowo, Gambetti, a to kocham. Wtedy pomyślałem, że już bardzo daleko odciągnąłem Gambettiego od jego rodziców, i zastanowiłem się, jak dalece mogę i jak dalece wolno mi posunąć się w tym względzie, to znaczy odciągać go od jego rodziców i ich świata, a zatem od ich ideałów, w tej samej chwili jednak myśl ta wydała mi się absurdalna, zdenerwowałem się, że taka myśl w ogóle przemknęła mi przez głowę, gdyż mój stosunek do Gambettiego jest naturalnie stosunkiem odciągającym go od jego rodziców i ich ideałów, kiedy, by tak rzec, nauczam go po niemiecku, wciskam do ręki *Siebenkasa* i *Proces*, udaję, że przybliżam mu literaturę niemiecką, że z biegiem czasu przyswajam mu literaturę niemiecką, to w rzeczywistości konsekwentnie odwodzę go od jego rodziców i ich ideałów, pomyślałem, zachowuję się tak, jakbym miał prawo odwozić go od rodziców i ich ideałów, coraz bardziej oddalać od tego koniec końców przeciwstawnego mi świata, a zatem robię teraz z Gambettim to, co od dawna, odszedłszy z Wolfsegg, robiłem ze sobą, czyli to, że teraz dla Gambettiego ma być dobre wszystko, co było dobre dla mnie, odgrywam rolę wuja Georga, pomyślałem, który swoimi myślami i wynurzeniami na temat Wolfsegg wywabił mnie z niego, ze wszystkimi tego konsekwencjami, aż Wolfsegg mi po prostu obrzydło, czyli że teraz ja, podobnie jak wuj Georg mnie z Wolfsegg, wywabiam Gambettiego ze świata jego rodziców. Ale ja, pomyślałem, nie pracowałem świadomie nad odciąganiem Gambettiego od rodziców, to się stało tak, że początkowo nie byłem tego świadom, to się stało, by tak rzec, przy okazji

mojego tak zwanego nauczania Gambettiego, samo przez się. Zainteresowanie Gambettiego, ba, fascynacja jest większa, gdy mówię mu, jak w moim rozumieniu można by zmienić świat, całkowicie i radykalnie go *burząc, unicestwiając* wręcz do nicości, a później ponownie stwarzając go w sposób, jaki wydawałby mi się do zniesienia, jednym słowem jako absolutnie nowy, chociaż nie umiem powiedzieć, jak by to się miało stać, wiem tylko, że po to, by go na powrót stworzyć, trzeba go najpierw doszczętnie unicestwić, gdyż bez totalnego unicestwienia nie może zostać odnowiony, bo to byłoby tak, jakbym wcisnął Gambettiemu *Siebenkasa* do ręki z prośbą, żeby po zakończeniu lektury zadał mi pytania dotyczące *Siebenkasa*. Umysł Gambettiego wchłonął już wiele z mojego umysłu, pomyślałem, niebawem w umyśle Gambettiego będzie więcej z mojego umysłu niż z jego własnego. Jego rodzice obserwują ten proces z niezadowoleniem, pomyślałem. Wcale zresztą nie jestem przez nich mile widziany, jak to Gambetti przede mną udaje, zapraszają mnie wprawdzie na kolacje do swojego domu, w gruncie rzeczy jednak posyłają do diabła, już od lat uważając za kogoś, kto nie kształci, lecz odkształca ich jedynaka, który tymczasem dorósł i przerasta ich wyobrażenia, są przerażeni tym, że koniec końców spłodzili przyszłego filozofa i rewolucjonistę, co nigdy nie było ich zamiarem, kogoś, kto dąży do ich unicestwienia, zamiast dożywotnio być od nich bezmyślnie zależnym. Winę za to zwalają teraz na mnie, sądząc, że prawdopodobnie jestem nie tylko *uwodzicielem* ich oczywiście ukochanego syna, lecz także jego niszczycielem i że samo przez się jestem też wskutek tego niszczycielem ich samych, którego sprowadzili sobie do domu i jeszcze słono mu za to płacą, gdyż lekcje, które daję Gambettiemu, nie są tanie, ich cena przekracza wszystko, co do tej pory płacili za lekcje Gambettiego, ale ród Gambettich to bogacze, mówię sobie, więc nie muszę mieć wyrzutów sumienia, że biorę od nich tyle pieniędzy, których zresztą nie potrzebuję, bo sam mam ich aż nadto. Jeśli jednak o to chodzi, rodzice Gambettiego zaledwie czegoś się domyślają, nie wiedząc nic dokładnego na ten temat. Gambetti jest zresztą



wtajemniczony w moją sytuację finansową, kiedyś powiedział do mnie, gdyby moi rodzice wiedzieli, jaki pan jest bogaty, nie płaciliby panu ani grosza, nie pozwoliliby mi na naukę u pana. A tak tkwią w przekonaniu, że szczodry gest mecenasów odgrywa pewną rolę w tej już od dawna niesamowitej ich zdaniem nauce, ze swej strony uciekają naturalnie w ten mecenat, żeby nie myśleć o tym, iż może nie robią dobrej roboty, lecz niszczycielską, opłacając moją naukę u pana. Gambetti uważa jednak, że to całkiem w porządku, iż jego rodzice, by tak rzec, wyrzucają pieniądze w błoto, że odciągają go od rodziców i zaszczepiam w nim ideały, które prawdopodobnie kiedyś w straszliwy sposób zwrócą się przeciwko nim, przeciw wszystkiemu, co ich dotyczy. Nigdy jednak nie widzieli we mnie niefrasobliwego nauczyciela języka niemieckiego z Austrii, pomyślałem, wszystko bowiem, kim jestem i co robię, jest na to wszakże zbyt oczywiste, pomyślałem. Zatem nie czynię sobie wyrzutów, że wykorzystując swoją funkcję, wbijam Gambettiemu do głowy literaturę niemiecką, a dodatkowo jeszcze własne idee o zmianie, czyli unicestwieniu świata. Przecież się nie *wkradłem* ani nie *narzuciłem*, pomyślałem, Gambetti przyszedł do mnie, idąc za propozycją Zacchiego, rodzice Gambettiego wyraźnie *poprosili* mnie o to, żeby wziąć ich syna na lekcje, powiedzieli, że jestem idealnym nauczycielem. Ja sam zresztą uważam się za idealnego nauczyciela dla Gambettiego. Gambetti zaś podziela to odczucie. Wszystko, co jego rodzicom z czasem zaczęło wydawać się we mnie niesamowite, Gambettiemu jawi się jako nieodzowne, jako samo przez się zrozumiałe, Gambetti powtarza raz po raz, że uczę go *konsekwentnie* i że on sam w gruncie rzeczy traktuje literaturę niemiecką, na którą ostatecznie zdecydował się z *przypadku*, jedynie jako pretekst do całej reszty, jakiej go uczę, przez co rozumie wyłącznie moje idee, które tymczasem stały się jego własnymi. Raz po raz musimy wszystko odrzucać, powiedziałem kiedyś do Gambettiego na Pincio, raz po raz być przeciw wszystkiemu, aby całkiem po prostu współdziałać w powszechnym unicestwieniu, jakie mamy na względzie, zniszczyć to, co stare, by na koniec

móc je całkowicie i zupełnie wymazać na rzecz Nowego. Należy poniechać Starego, unicestwić je, chociaż ten proces mający umożliwić zaistnienie Nowego jest może bardzo bolesny, jakkolwiek nie możemy wiedzieć, *czy* będzie to Nowe, wiemy jednak, że musi zaistnieć, Gambetti, powiedziałem do niego, nie ma drogi powrotnej. Naturalnie myśląc w ten sposób, mamy przeciw sobie wszystko, co Stare, a więc mamy przeciw sobie Wszystko, Gambetti, powiedziałem do niego. Nie powinno to jednak unicestwić naszej idei zamienienia Starego na upragnione przez nas Nowe. Wszystkiego poniechać, powiedziałem do Gambettiego, wszystko odrzucić, wszystko ostatecznie wymazać, Gambetti. Patrząc w dół na Piazza Minerva, zobaczyłem siebie opowiadającego Gambettiemu o owym śnie, w którym wraz z kolegą ze studiów Eisenbergiem, z Marią i Zacchim znalazłem się w ustronnej dolinie Val Gardena. Ten sen, powiedziałem do Gambettiego, przyśnił mi się co najmniej cztery lub pięć lat temu. Byłem w tym śnie jeszcze całkiem młodym człowiekiem, powiedziałem do Gambettiego, może dwudziestoletnim, Eisenberg w moim wieku, a Maria nieco starsza.

Rozgościliśmy się w małym, starym pensjonacie o nazwie *Pustelnia*, szyld tego pensjonatu widzę dzisiaj jeszcze tak wyraźnie jak za pierwszym razem, powiedziałem do Gambettiego. Bardzo często przypominałem sobie ten sen i za każdym razem usiłowałem coraz głębiej w niego wniknąć, teraz zaś z jeszcze większą siłą woli niż kiedykolwiek przedtem, gdyż trzymając w rękach telegram, chciałem wszelkimi sposobami oderwać od niego myśli, toteż ów sen wydał mi się najkorzystniejszym sposobem oderwania się od tego niewątpliwie straszego telegramu, nie umiem powiedzieć, *wskutek czego wróciłem znów myślą do tego snu, prawdopodobnie jednak wskutek spostrzeżenia Gambettiego, jakie ten zrobił zaledwie na dwie czy trzy godziny przed nadejściem telegramu, tak zwaną uwagę na marginesie, w której jednak pojawiło się słowo Alpy Gambetti powiedział do mnie, że następnego lata wybrałby się ze swoimi rodzicami i ze mną, co dobitnie podkreślił, w Alpy, które nadzwyczaj kocha, tam*

gdzie w pewnej wąskiej dolinie, znanej mu i bliskiej od dzieciństwa, moglibyśmy obaj w niezwykle przyjemny i pożyteczny sposób poczynić postępy w naszych studiach, całkiem odizolowani od zakłóceń, uprzykrzających nam zazwyczaj nasze studia; Gambetti powiedział to na marginesie, wprowadzając w Alpy północnowłoskie pojechałby z rodzicami, w gruncie rzeczy jednak ze mną, i gdyby mi to nie robiło różnicy, zaprosiłby mnie na takie dni studiów w Alpach, jak się wyraził; rozmawialiśmy właśnie o Schopenhauerze i o jego psie, któremu ten filozof przyznał wyższość nad swoją gospodynią, by rzeczywiście domyśleć do końca swoje dzieło Świat jako wola i wyobrażenie i napisać je do końca, o tym, że to pies i gospodyni prowadzili pióro Schopenhauera, jak powiedział Gambetti, gdy naraz, przynajmniej dla mnie w sposób całkiem zaskakujący i bez związku, Gambetti zaczął mówić o przyszłorocznej wycieczce w Alpy i o notesie w kratkę, który zamierza tam zabrać, nie powiedziawszy mi, co ma znaczyć ów notes w kratkę, nie zapytałem go zresztą o znaczenie tego celowo wymienionego notesu w kratkę, ale słyszę jeszcze dobitne słowa Gambettiego z rodzicami w Alpach, a to znaczy tyle, co z panem, tak powiedział Gambetti na wzgórzu Pincio, co, jak myślę, przywiodło mi teraz ponownie na myśl ów sen, który, by tak rzec, nawiedza mnie kilka razy do roku, ze wszystkimi swoimi osobliwościami; jestem pewien, że ten sen przyśnił mi się po raz pierwszy cztery lub pięć lat temu, w Neumarkt w Styrii, w ponurym tak zwanym dwuosobowym pokoju w starym dworku, do którego moi przyjaciele zapakowali mnie wtedy na dwa dni, dla zdrowia, jak się wyrazili, gdyż dostałem chorobliwej gorączki i nikt nie wiedział, o jaką chorobę tak naprawdę chodzi. Przy zaciągniętych zasłonach leżałem w tym dwuosobowym pokoju krewnych, którzy prowadzą w Neumarkt duży warsztat ciesielski i są spokrewnieni z moją matką, a zatem także ze mną, nie pamiętam już, dlaczego właściwie ich wówczas odwiedziłem, prawdopodobnie tylko dlatego, myślę sobie dzisiaj, żeby przeziębic się w Neumarkt, jednej z najbardziej ponurych i wilgotnych miejscowości, jakie znam. Dwa dni i dwie noce przy zaciągniętych zasłonach i w ogóle bez przyjmowania pokarmów,

*myślę sobie, w Neumarkt, które naprawdę jest brzydką miejscowością, nie widzę też przed sobą twarzy ani jednego z moich krewnych, nawet niewyraźnie, tylko to, że właśnie tam miałem ten sen, to jeszcze pamiętam. Deszcz lał, gdy przybyliśmy do północnowłoskiej doliny, Gambetti, powiedziałem do niego, Eisenberg, mój równolatek, Zacchi, nasz rówieśny Filozof, i Maria, moja pierwsza poetka, Maria, zwróciłem się do Gambettiego, moja już wówczas największa poetka Maria przyjechała do nas z Paryża, nie z Rzymu, gdzie wtedy mieszkała, w mieszkaniu, które zajmuje dzisiaj, ale to mieszkanie nie wyglądało wtedy tak jak dzisiaj, wtedy w tym jej mieszkaniu nie było jeszcze tysięcy książek, tylko setki. Jeszcze nie było w jej mieszkaniu dywanów, Gambetti, powiedziałem do niego. Ale już wówczas Maria przez większość czasu leżała w łóżku i w łóżku też przyjmowała gości. Maria w zwariowanym kostiumie dojechała do nas z Paryża, powiedziałem do Gambettiego. Wyglądała tak, jakby właśnie wybierała się do wielkiej opery albo z wielkiej opery właśnie wracała. Czarne aksamitne spodnie, Gambetti, umocowane pod kolanami dużymi kokardami, do tego szkarłatna marynarka z turkusowym kołnierzem. Kiedy Maria w tym operowym stroju pojawiła się w dolinie alpejskiej, wywołało to naturalnie ogromne zainteresowanie. Eisenberg wyszedł jej naprzeciw, ja zaś obserwowałem ją nadchodzącą z daleka, jak zmierza w kierunku Pustelni, wykonując operowe gesty, Gambetti, powiedziałem do niego, ręce, nogi i głowa nieustannie w operowej gestykulacji, skokowo, jakby zbliżała się do pensjonatu, tańcząc, Gambetti, powiedziałem do niego. Najpierw, z oddali, nie można było jeszcze tak wyraźnie rozpoznać tego stroju, ja też naturalnie nie myślałem, że to Maria, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, iż Maria naprawdę tutaj przyjedzie, no, ale że przyjedzie w takim stroju, i to z Paryża, a nie z Rzymu, to już, Gambetti, w ogóle nie, Gambetti, powiedziałem do niego. Naprzeciw wyszedł jej Eisenberg, ani Zacchi, ani ja, jakby Eisenberg wiedział, że ona przyjedzie dokładnie o tej porze, Zacchi ani ja tego oczywiście nie wiedzieliśmy, stojąc w oknie pensjonatu, myślałem sobie, iż Zacchi tkwi w swoim pokoju, już nie śpi,*

*ale jeszcze nie wstał, od zawsze bowiem znałem go jako wstającego późno, w odróżnieniu ode mnie i Eisenberga, którzyśmy zawsze wstawali wcześniej, Eisenberg wstawał zazwyczaj jeszcze wcześniej niż ja, powiedziałem do Gambettiego, tak więc było samo przez się zrozumiałe, że to Eisenberg wyszedł Marii naprzeciw, a nie Zacchi czy ja, Maria dołączyła do nas bardzo wcześniej, powiedziałem do Gambettiego, przed piątą rano. Ja, jak zwykle w Alpach, miałem za sobą bezsenną noc, właściwie przez całą noc stałem przy oknie i wyglądałem na dwór, godzina za godziną, do upadłego, powiedziałem do Gambettiego, choć tak naprawdę i rzeczywiście nie upadłem, no i wtedy ujrzałem Marię nadchodzącą w kierunku pensjonatu, w którym poprzedniego wieczoru zakwaterowałem się z Zacchim i Eisenbergiem wyłącznie w tym celu, żeby rozmawiać o Schopenhauerze i wierszach Marii, pozwoliliśmy sobie na taki pobyt tylko w tym jednym celu, w tym śnie, powiedziałem do Gambettiego, i dlatego wyszukaliśmy sobie klimat, który wydawał się nam do tego celu idealny, tę wąską dolinę alpejską, dokąd prowadzi zaledwie jedna ścieżka - nie droga - dokąd zatem można dotrzeć jedynie pieszo. Maria miała być z nami w tej dolinie już poprzedniego wieczoru; jeszcze widzę siebie, jak uspokajam właściciela pensjonatu, jak nieustannie go przekonuję i zapewniam, że główna osoba, czyli nasza przyjaciółka Maria, na pewno przyjedzie, niechże się uspokoi; właściciel Pustelni obawiał się, że chcemy zapłacić tylko za nas trzech, a więc za Eisenberga, Zacchiego i za mnie, tak zwaną cenę za wyżywienie, gdyż wzięliśmy dla siebie nie tylko pokoje, lecz także całodzienne wyżywienie, żebyśmy w całkowitym spokoju, bez przeszkód, mogli zabrać się do naszego przedsięwzięcia i zrealizować je, czyli przeciwstawić wierszom Marii dzieło Schopenhauera *Świat jako wola i wyobrażenie*, co w Rzymie, skąd przyjechaliliśmy, Eisenberg, Zacchi i ja, wydało się nam szczególnie pojętym przedsięwzięciem, Eisenberg wpadł na pomysł, Zacchi się nim zachwycił, a ja zamówiłem kwatery w Pustelni, Maria zaś zgodziła się na to nasze przedsięwzięcie, skoro to nie Heidegger, powiedziała Maria, skoro to*

*Schopenhauer, to cieszy się na myśl o takim przedsięwzięciu, ale musi jeszcze pojechać na jedną noc do Paryża, nie chciała nam zdradzić celu tej podróży do Paryża, chociaż tak bardzo nalegałem, żeby mi powiedziała, uważając, iż to przecież niezwykle, by na jedną jedyną noc jechać z Rzymu do Paryża, powiedziałem do Marii w tym śnie, to już trzeba mieć powód egzystencjalny, powiedziałem do Marii, która jednak mnie nie słuchała, lecz włożyła płaszcz i w jednej chwili opuściła Rzym. Dołączy do naszej grupy na czas, powiedziała jeszcze na odchodnym. I rzeczywiście zobaczyłem ją teraz, jak w tym swoim operowym stroju podąża dokładnie o właściwej porze w stronę pensjonatu, w którym my byliśmy już gotowi do rozpoczęcia debaty. Ja przez cały poprzedni wieczór, chociaż stałem przy oknie, w mniejszym lub większym stopniu zajmowałem się myślami Schopenhauera oraz wierszami Marii, jednym i drugim, czyli odnosiłem myśli Schopenhauera do myśli Marii, usiłując ustalić filozoficzny związek między tymi dwiema postawami intelektualnymi, między utworami Marii a filozoficznymi usiłowaniami Schopenhauera, raz po raz podporządkowywać jedne drugim, te przeciwstawiać tamtym i podjąć próbę analizy pierwiastków filozoficznych w wierszach Marii, podobnie jak pierwiastków literackich, czy jeszcze lepiej poetyckich w dziele Schopenhauera. W tym celu ta absolutnie bezsenna noc okazała się bardzo przydatna, ba, był to stan idealny, powiedziałem do Gambettiego, musimy być wdzięczni za każdą bezsenną noc naszego życia, Gambetti, powiedziałem do niego, gdyż takie noce w każdym przypadku posuwają nas dalej pod względem filozoficznym. Gambetti słuchał uważnie, a ja tymczasem ciągnąłem dalej opowiadanie o swoim śnie, w najmniejszym stopniu nie poddaję się irytacji z powodu odgłosów dobiegających ze wzgórza Pincio, w opowiedzeniu tego snu nie mógł mi przeszkodzić nawet świergot ptaków, który zawsze odczuwałem jako wrogi duchowi. Przez całą noc stałem w oknie swojego pokoju w Pustelni, Gambetti, rozmyślając o Marii i Schopenhauerze, i już wieczorem powziąłem postanowienie, że będę te rozmyślenia ciągnął możliwie najdłużej, co*

*prawdopodobnie stało się powodem mojej bezsennej nocy. Kiedy później zobaczyłem tę groteskową postać zmierzającą w kierunku Pustelni, Gambetti, która to postać z początku wydawała się jedną wielką czernią i nie można było rozpoznać w niej Marii, bo dopiero gdy wyłoniwszy się z zadymki śnieżnej, zbliżyła się na mniej więcej pięćdziesiąt, a może czterdzieści metrów, uświadomiłem sobie, że tą groteskową osobą o marionetkowych ruchach może być jedynie Maria, natychmiast zrozumiałem powód nocnego pobytu Marii w Paryżu; po prostu była w Paryżu na przedstawieniu operowym, Gambetti, powiedziałem do niego, naturalnie w tym stroju, który przecież znałem już z Rzymu, gdyż Maria kupiła te spodnie i ten żakiet wraz ze mną w Rzymie; pewnego popołudnia, które, jak Maria zawsze mawia, było rozpaczliwe, poszliśmy razem na zakupy i dzięki zakupowi tych właśnie spodni i tego właśnie żakietu zmieniliśmy owo rozpaczliwe popołudnie w szczęśliwe; w pewnych sytuacjach, powiedziałem do Gambettiego, zakupy ratują nas jak nic innego na świecie, musimy się tylko na nie zdobyć i nie strefić przed najwyższym luksusem, to znaczy nie wolno nam strefić przed zakupem najwykwintniejszych kosztowności, równocześnie jednak najkosztowniejszych, najdroższych ze wszystkich, choćby nawet były tak groteskowe jak ten strój, powiedziałem do Gambettiego; zanim poddamy się zabójczej rozpacz, lepiej wyjść na ulicę, pójść do luksusowego sklepu, ubrać się na nowo w najbardziej groteskowy sposób i zrobić z siebie luksusowy twór nawet dla kiczowatego Don Gioyanniego, zamiast we własnym łóżku ratować się potrójną ilością tabletek nasennych, nie wiedząc, czy znowu się obudzimy, chociaż zawsze opłacało się obudzić, powiedziałem do Gambettiego; w chwili kiedy Maria, w tym groteskowym stroju, zbliżała się do Pustelni, zrozumiałem, że pojechała do Paryża obejrzeć swoją ulubioną operę Peleas i Melizanda Debussyego/Maeterlincka. Maria nie obawia się przybyć wprost z paryskiej opery do naszej alpejskiej doliny, by dotrzymać przyrzeczenia, pomyślałem, stojąc przy oknie i przyglądając się, jak zmierza w stronę Pustelni, podczas gdy*

*Eisenberg idzie jej naprzeciw, powiedziałem do Gambettiego.*

*Eisenberg, pomyślałem, obserwując go, już nie śpi, podobnie jak ja, i oczywiście pierwszy dostrzeże Marię, a więc również pierwszy wychodzi jej na spotkanie. To jest charakterystyczne dla Eisenberga, po-myślałem, stojąc przy oknie. Nie dość, że Maria i Eisenberg zawsze dobrze się rozumieją, to jeszcze rozumieją się najlepiej i są sobie równi pod względem duchowym. Eisenberg lubi tę samą filozofię co Maria, oboje mają takie same wyobrażenia o poezji. Od obojga nauczyłem się równie wiele, pomyślałem.*

*Maria nie miała nic w rękach, powiedziałem do Gambettiego, jakby w elementarnym stanie szczęścia wyłoniła się z zadyмки śnieżnej i zmierzała w stronę Pustelni. Właściciel z pewnością się uspokoi, powiedziałem do siebie, zobaczywszy Marię. Jedynie Zacchi wątpił w przyjazd Marii. Jak ona może, zamiast od razu pojechać z nami w Alpy do północnych Wioch, wybierać się wieczorem do Paryża i już wczesnym rankiem być z nami w Pustelni, w której zarezerwowaliśmy pokój również dla niej, powiedział Zacchi. Zacchi nigdy nikomu nie dowierzał, powiedziałem do Gambettiego. Zawsze określaliśmy Zacchiego mianem niedowiarka. Maria przystanęła, a Eisenberg podszedł do niej, powiedziałem wtedy do Gambettiego, o czym pomyślałem teraz, stojąc przy oknie w swoim gabinecie i patrząc na Piazza Minerva w dole, i wówczas, powiedziałem do Gambettiego, opowiadając swój sen, usłyszałem straszliwy huk, niczym grzmot, i cała ziemia zatrzęsła się w jednym momencie. Osobliwe było to, że tego huku nie słyszał nikt oprócz mnie, nikt, jak później stwierdziłem, nie zwrócił uwagi na trzęsienie ziemi. Maria i Eisenberg także nie usłyszeli tego huku i nie zauważyli trzęsienia ziemi. Wydawało mi się, że Maria i Eisenberg zmierzają w stronę pensjonatu, nie dostrzegając mnie, bardzo intensywnie obserwującego ich oboje z okna, jak gdyby Maria zmierzała boso do Pustelni, i rzeczywiście spostrzegłem później, że Eisenberg niesie jej pantofle w ręce, a ona idzie boso. Eisenberg zachowywał się zawsze uprzedzająco grzecznie, powiedziałem do Gambettiego, spośród wszystkich znanych mi osób był tym*



człowiekiem, który uprzejmość, by tak rzec, przyswoił sobie jako drugą naturę. Stałem jeszcze chwilę przy oknie i patrzyłem w dół, usiłując możliwie najdłużej śledzić ślady kroków Eisenberga i Marii w drodze do Pustelni. Naliczyłem około stu dwudziestu stąpnięć, pamiętam dokładnie, Gambetti, powiedziałem do niego, jak gdybym śnił ten sen teraz, a nie jakby przyśnił mi się już cztery czy pięć lat temu. Obraz się urywa i naraz widzę Marię na dole w sieni Pustelni razem z Eisenbergiem, jak zdejmuje Eisenbergowi buty i następnie wkłada mu swoje, a Eisenberg wkłada swoje buty Marii. Oboje śmieją się przy tym swawolnie, jednak gdy tylko wchodzę, śmiech milknie. Po krótkiej pauzie oboje znowu wybuchają takim śmiechem, że trzęsie się od niego cała Pustelnia. Maria wyciąga do góry nogi w butach Eisenberga, czyli w noszonych przezeń zawsze czarnych butach z cholewami, tych niewiarygodnie miękkich, ale przecież czarnych butach z cholewami, Gambetti, mówię. Eisenberg natomiast skacze w kółko po sieni Pustelni w pantoflach Marii, tych lekkich, srebrzyście połyskujących czółenkach; przy tym oboje wołają: Zamieniliśmy się butami! Zamieniliśmy się butami! Zamieniliśmy się butami! aż ich to do cna wyczerpuje i Maria rzuca mi się na szyję, przyciąga mnie do siebie na ławkę w sieni i całuje, podczas gdy Eisenberg stoi odwrócony plecami do ściany sieni i obserwuje nas, jak siadamy na ławce. Maria całuje mnie tak długo, że wreszcie się zrywam. W tym samym momencie Eisenberg żąda, by Maria zdjęła z nóg jego buty. Maria zdejmuje buty Eisenberga i rzuca nimi w kierunku jego głowy, Eisenberg uchyla się, rzeczywiście unikając w ten sposób trafienia w głowę butami rzuconymi przez Marię. Eisenberg schyla się po swoje buty leżące na ziemi, Maria natomiast wskazuje na czółenka, które Eisenberg ciągle jeszcze ma na nogach, Gambetti, powiedziałem do niego. Wyglądało to groteskowo, Gambetti, Eisenberg w czarnym chałacie prawie do kostek i w czółenkach Marii na nogach. Eisenberg mówi, że sam nie ściągnie sobie bucików Marii, my mamy ściągnąć mu czółenka Marii. Na to Maria gra Eisenbergowi na nosie.

Później jednak, widząc, że Eisenberg, zmuszony sam zdjąć sobie

czólenka, stoi z nieszczęśliwą miną, Maria schyla się i ściąga mu je z nóg. Eisenberg stoi boso w sieni Pustelni, powiedziałem do Gambettiego, po czym podchodzi do Marii, która tymczasem przytuliła się do mnie. Eisenberg klęka przed Marią i podaje jej pantofle. To twoje pantofle, zdjąłem je dla ciebie, mówi Eisenberg, oddając Marii czólenka, i wstaje. Maria całuje Eisenberga, powiedziałem do Gambettiego, z czólenkami w ręce wybiega na dwór. Eisenberg i ja patrzymy za nią. Miejmy nadzieję, że nasza dziecinka nie umrze, mówi w tym momencie Eisenberg, powiedziałem do Gambettiego. Znowu zaczyna padać śnieg. Później widzę siebie, Eisenberga i Zacchiego, jak siedzimy w Pustelni przy małym arożnym stoliku, powiedziałem do Gambettiego. Mamy przed sobą wiersze Marii i dzieło Schopenhauera Świat jako wola i wyobrażenie.

Wszystko przed nami otwarte, powiedziałem do Gambettiego. Wchodzi właściciel Pustelni, chce podać na tym stole śniadanie i mówi, żebyśmy go uprzątnęli. Uprzątnijcie państwo te rzeczy ze stołu, mówi właściciel pensjonatu i sam chce zacząć sprzątać. Maria wchodzi w momencie, w którym właściciel pensjonatu zabiera się do własnoręcznego uprzątniania stołu, bez naszego pozwolenia. Nie zdąża jednak porwać dzieła Schopenhauera Świat jako wola i wyobrażenie, ponieważ Eisenberg go strofuje. Ani mi się waż! woła do niego, podczas gdy Maria jeszcze stoi za właścicielem Pustelni, nie rozumiejąc, co właściwie tutaj zaszło, powiedziałem do Gambettiego. Eisenberg zerwał się od stołu i kilkakrotnie krzyknął do właściciela pensjonatu Ani mi się waż! To dopiero naprawdę wywołało oburzenie właściciela Pustelni na nas. Usiłuje błyskawicznie zbliżyć się do otwartego dzieła Schopenhauera, żeby zrzucić je ze stołu, ale Eisenberg jest szybszy. Eisenberg porywa książkę i mocno przyciska ją do piersi. Ja już wcześniej porwałem wiersze Marii, a Zacchi nasze notatniki, które także zdążyliśmy rozłożyć na stole.

Właściciel Pustelni do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, że zaczął grozić, iż nas pozabija. W istocie był silnym mężczyzną i wszyscyśmy się go

bali. Maria usiadła i przywarła do mnie, powiedziałem do Gambettiego. Nie rozumiała, co tu się stało. Wszakże wcześniej, w Rzymie, opisywaliśmy jej *Pustelnię jako idealne miejsce dla naszego przedsięwzięcia, a także to, że pensjonat należy do milego, ba, nadzwyczaj uprzejmego człowieka i że, ogólnie rzecz biorąc, jest to korzystna okoliczność umożliwiająca powodzenie naszego przedsięwzięcia. Tymczasem teraz Maria była świadkiem potwornego zdenerwowania mężczyzny, który groził nam zamordowaniem i który, jak to wszyscy zrozumieliśmy, niczego się nie ulęknie. Wyszukaliśmy sobie Pustelnię, gdyż wydawało nam się, że nic innego nie wchodzi w rachubę jako miejsce przeprowadzenia naszego przedsięwzięcia, czyli przeciwstawienia wierszy Marii dziełu Schopenhauera Świat jako wola i wyobrażenie. Właściciel Pustelni, grożąc, że nas pozabija, nakrył stół, ponieważ miał zwyczaj nakrywania stołu do śniadania, niezależnie od okoliczności, powiedziałem do Gambettiego, musiał go nakryć, bo takie polecenie otrzymał od żony, powiedziałem do Gambettiego, zagroził nam więc naprawdę, że nas pozabija, i równocześnie nakrył do stołu. I na dodatek nawet państwo nie zapłacili! wykrzyknął właściciel Pustelni, podczas gdy my, ciągle jeszcze przerażeni, przyciskaliśmy do piersi swoje książki i papiery, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Musicie państwo natychmiast zapłacić! wykrzyknął właściciel Pustelni jeszcze kilka razy, zanim skończył nakrywać do stołu. Nie byliśmy zdolni wydobyć z siebie słowa, wiedzieliśmy jednak, że za kuchennymi drzwiami Pustelni czyha jego żona. W każdym razie ja to wiedziałem, zdawało mi się, że zza drzwi kuchennych słyszę jej oddech. Na widok naszych książek i papierów właściciel Pustelni nie mógł się uspokoić i nawet gdy już nakrył do stołu, nadal miotał groźby pod naszym adresem. Takich ludzi należy wsadzać pod klucz, wykrzyknął nagle, pod klucz i zamknąć na kłódkę, takich ludzi jak państwo, powiedział do nas cały zziębnięty, co to obnoszą się z takimi książkami i takimi papierzyskami, i co to noszą takie ubrania, po czym wskazał najpierw na strój Marii, a następnie na długi czarny chałat Eisenberga, o brodzie Eisenberga powiedział zaś, że takie brody noszą*

tylko ludzie, których powinno się powywieszać.

Właściciel *Pustelni* wmanewrował się w straszną scenę, powiedziałem do Gambettiego, krzycząc kilkakrotnie, że taką hołotę jak państwo (czyli jak my) powinno się *wytępić*. Kilkakrotnie wykrzyczał nam słowo *wytępić* prosto w twarz. A później wyglądało na to, że dostał jakiegoś ataku, gdyż nagle chwycił się za pierś i oparł o stół. Wykorzystaliśmy ów atak słabości właściciela *Pustelni*, żeby błyskawicznie opuścić jadalnię i uciec z pensjonatu. Przyciskając do piersi dzieło Schopenhauera i wiersze Marii, powiedziałem do Gambettiego, wybiegliśmy z doliny, zupełnie jakbyśmy biegli ocalić swoje życie. Marię wzięliśmy w środek. W dolinie hulała taka śnieżycą, że już w ogóle nic nie widzieliśmy, ponieważ jednak dolina nie była rozległa, udało nam się dotrzeć do jej krańca. Gambetti, jak zawsze, przysłuchiwał się uważnie. Nie miał ani jednego pytania w związku z moim snem. Oczywiście wcześniej opowiedziałem ten sen również Eisenbergowi, Zacchiemu i Marii. Wysłuchawszy go, nikt się nie odezwał. Gambetti mówi o Marii jako człowieku, w którym obecne jest zawsze wszystko, i o jej *sile ducha*, pozwalającej to wszystko wytrzymać, bez względu na towarzystwo. Dlatego też Maria stanowi zawsze i natychmiast centralny punkt, nawet kiedy nie wypowiada ani słowa. Spadolini też jest na swój sposób taki sam, wszystko jedno pośród jakich ludzi. Maria niewątpliwie staje się momentalnie osobą, na której wszyscy muszą od razu skupić uwagę, i ona o tym wie, podobnie jak Spadolini zawsze natychmiast wie, że w każdym towarzystwie będzie na pewno główną postacią. Gdy Maria i Spadolini się spotykają, niszczą nieuchronnie każde towarzyskie spotkanie, zwyczajnie je rozkładają. Często tego doświadczałem, powiedziałem do Gambettiego, że gdy oboje byli na jakimś spotkaniu towarzyskim, natychmiast się ono rozkładało, jak to się mówi, na czynniki pierwsze, ponieważ oboje je niszczyli. Główną postacią jest zawsze albo Spadolini, albo Maria, powiedziałem do Gambettiego, oboje naraz nie mogą nimi być.

Spadolini przynajmniej stwarza pozory, że nie czuje nienawiści do Marii,

ale Maria nigdy nie powściąga swojej pogardy wobec Spadoliniego, wręcz przeciwnie, ona ją przeciw niemu wygrywa, kiedy tylko ma po temu sposobność, powiedziałem do Gambettiego. Spadolini wiecznie powtarza, że niezwykle wysoko ceni wiersze Marii, chcąc w ten sposób odwrócić uwagę od swojej nienawiści do niej, w tych słowach szacunku i uznania dotyczących jej wierszy widzi metodę, która pozwala zatuszować nienawiść do Marii, ale to mu się naturalnie nie udaje, Gambetti, powiedziałem do niego. Spadolini posuwa się zawsze o krok za daleko w wychwalaniu wierszy Marii, które zresztą nie *mogą* mu się w ogóle podobać, powiedziałem do Gambettiego, gdyż w najdrobniejszym szczególe skierowane są przeciw niemu, czyli Spadolinemu, i wywierają na niego wręcz zgubny wpływ, powiedziałem do Gambettiego. Spadolini publicznie chwali tłumaczenia Marii, jej przekłady wierszy Ungarettiego, i tak to przerysowuje, że w całej rozciągłości ujawnia się jego do niej nienawiść, powiedziałem do Gambettiego, on umizga się do Marii, chociaż jej nie lubi, a wszystko, co mówi Maria, wydaje mu się ohydne. Maria natomiast całkiem jawnie występuje przeciw Spadolinemu i nie rozumie, dlaczego ja już dawno z nim nie zerwałem i nie zaniechałem wszelkich kontaktów, Gambetti. Nie może zrozumieć, że jestem przywiązany do Spadoliniego i nie chcę ich zaniechać. Maria nazywa zawsze charakter Spadoliniego niegodziwym, wyjaśnia też dlaczego, Gambetti, i czyni mi wymówki, że *zbyt często* spotykam się ze Spadolinim, z tym *wstrętnym typem, który bez przerwy uwodzi twoją matkę*, jak mówi. Spadolini jest w jej oczach największym obłudnikiem, jakiego zna, Spadolini to urodzony szarlatan, urodzony oportunistą tam, gdzie chodzi o jego cele, nawet nie o kościelne, lecz o całkiem pospolite, czyli osobiste, ja zaś jestem bez charakteru, ponieważ utrzymuję nadal kontakty ze Spadolinim, tak powiedziała znowu dopiero wczoraj wieczorem, powiedziałem do Gambettiego na wzgórzu Pincio. Maria czyta swoje wiersze w Austriackim Instytucie Kultury, a Spadolini z zachwytem bije brawo, obiecując sobie po tym korzyści, bynajmniej nie dlatego, że te wiersze mu się podobają, powiedziała Maria,

powiedziałem do Gambettiego. Spadolini przedstawia Marię peruwiańskiemu ambasadorowi dosłownie jako *największą żyjącą poetkę*, choć w istocie nie może jej ścierpieć, nienawidzi jej, ale przynajmniej raz w miesiącu zaprasza ją na kolację na Via Veneto, którą on kocha, a której ona nienawidzi, którą się brzydzi, powiedziałem do Gambettiego; i chociaż Maria zawsze odrzuca te zaproszenia, Spadolini zawsze je ponawia. Do mnie mówi, znów zaprosiłem Marię, ale odmówiła, raz po raz będę ją zapraszał, a ona raz po raz będzie odmawiać, powiedziałem do Gambettiego. Spadolini jest na swój sposób tak zwaną wielką osobowością, którą Maria musi odrzucać, ona nie toleruje obok siebie żadnej wielkiej osobowości, podobnie zresztą jak w gruncie rzeczy nie toleruje tego również Spadolini, ale Spadolini zachowuje się w towarzystwie jak dyplomata, dyplomata, który przyswoił sobie wszystkie wyrafinowane sztuczki, Maria nigdy ich sobie nie przyswoiła i pokazuje to otwarcie, bo inaczej nie potrafi. Każde z nich dwojga, zarówno Spadolini, jak i Maria, powiedziałem do Gambettiego, stanowi centrum, *nie mogą istnieć dwa centra naraz*, Spadolini stanowi je z wyrafinowania, a Maria z natury, powiedziałem do Gambettiego. Austriackość Marii jest naturalna, watykańskość Spadoliniego sztuczna, powiedziałem do Gambettiego. Oboje są równie wielcy i równie mocno siebie nienawidzą, powiedziałem do Gambettiego, przy czym mają świadomość i swojej wielkości, i swojej nienawiści, jednakże Spadolini jest silniejszy, dlatego też nie musi się zawsze wycofywać jak Maria, której jedyną bronią jest w końcu zawsze wycofywanie się. Spadolini wkracza naprawdę dopiero wtedy, gdy robi się niebezpiecznie, powiedziałem do Gambettiego, Maria zaś właśnie wtedy się wycofuje. Oboje mają skłonność nie tylko do ekstrawaganckich ubiorów, powiedziałem do Gambettiego, lecz do ekstrawagancji w ogóle. W końcu oboje przyjechali z prowincji, Gambetti, i tu mogli utwierdzić się w swojej wartości jedynie dzięki ekstrawagancji, wszystko w Spadolinim i wszystko w Marii jest ekstrawagancją, chociaż w pierwszym przypadku mamy do czynienia z największym wyrafinowaniem, Gambetti, a w drugim z największą

naturalnością. Gdyby kiedyś powzięła postanowienie napisania książki, która miałaby za treść istotę szarlatana, powiedziała do mnie Maria pewnego razu, powiedziałem do Gambettiego, ani przez chwilę nie zawahałaby się uczynić Spadoliniego głównym jej bohaterem. Pisanie prozy było zresztą zawsze jej marzeniem, jednakże wszystkie podejmowane próby kończyły się niczym, zawsze szybko od nich odstępowała, a jeśli nawet nie, to dobrze wiedziała, że nie stworzyła dzieła sztuki, lecz tylko wykonała *podziwu godną pracę*, takich słów kiedyś użyła, Gambetti. Spadolini jest wielkim zapaleńcem, a Maria wielką artystką, powiedziałem do Gambettiego. W gruncie rzeczy, powiedziałem do niego, jestem szczęśliwy, że mam za przyjaciół *dwoje takich ludzi* i w dodatku wielkie osobowości, wszystko jedno, jak ludzie z zewnątrz traktują te przyjaźnie, wszystko jedno, jak Spadolini traktuje Marię i odwrotnie, ja pragnę je pielęgnować i nie chcę ich stracić, nigdy, powiedziałem do Gambettiego. Kiedy Spadolini opowiada mi o Peru, jest dokładnie tak samo jak gdy Maria czyta mi swoje wiersze, ma to tę samą wartość Gambetti. Gdybyśmy trzymali się wyłącznie ludzi mocnych charakterach, szybciotko byśmy się wyjałowili, powiedziałem do Gambettiego, trzeba więc, wręcz przeciwnie, obcować zawsze z tak zwanymi ludźmi bez charakteru, żebyśmy mogli to wytrzymać i nie zmarnieć. Ludzie o tak zwanym zacnym charakterze z biegiem czasu tylko nas wy-jaławiają i niszczą, ich towarzystwa musimy wystrzegać się nade wszystko, powiedziałem do Gambettiego. Maria i Spadolini byli też zawsze moimi największymi nauczycielami, Gambetti. Chociaż nigdy im tego nie powiedziałem. Marię poznałem przez Zacchiego, pośrednika w sprawach ludzkich, filozofującego oryginała, obieżyswiata, człowieka bywałego w świecie, od dawna już znajomego Eisenberga, który z kolei poznał mnie z Zacchim. Trzy lata przed swoim okresem wiedeńskim Eisenberg mieszkał w Rzymie, wyrwał się z domu rodzinnego w Szwajcarii, aby udać się do Wiednia, i tam stał się moim najserdeczniejszym przyjacielem. Wiedeński okres z Eisenbergiem jest, pomyślałem teraz, po ucieczce z Wolfsegg, co z kolei

zawdzięczam wujowi Georgowi, decydujący dla mojego dalszego rozwoju duchowego, przebiegającego całkowicie i bez reszty pod znakiem Eisenberga, pozwala mi studiować świat i dzięki tym studiom stopniowo go rozszfrowywać i rozwiązywać. Eisenberg, mój rówieśnik, był po wuju Georgu najważniejszym dla mnie umysłem, to on nadał moim ideałom właściwy kierunek. Kiedy byłem z Marią w Wiedniu, pomyślałem, stojąc przy oknie i obserwując kilkoro ludzi na Piazza Minerva, którzy tam na dole szli przed siebie spokojnie, niczym niegnani, w mniejszym lub większym stopniu spędzaliśmy dni tylko z Eisenbergiem i tylko przez Eisenberga, z nim byliśmy na Kahlenbergu, na Kobenzlu, a poza Wiedniem w Heiligenstadt. To on pokazywał Marii uroki miasta, wprowadzał ją w owo miasto, również dla niej decydujące pod względem egzystencjalnym. Z

Eisenbergiem nigdy się nie nudziłem i zawsze byliśmy szczęśliwi, powiedziałem do siebie, Maria i Eisenberg od samego początku weszli ze sobą w *relacje filozoficzne*, z których dla mnie, mogącego obserwować to z pełnym spokojem, bez najmniejszych duchowych emocji, wyniknęła ogromna fascynacja jak zawsze wtedy, gdy ludzie duchowi rozumieją się w sposób absolutnie doskonały, po raz pierwszy miałem okazję uczyć się tego na przykładzie ich dwojga i zawsze myślałem, z jak niewielu ludźmi spotyka człowieka takie szczęście. Maria pochodząca z małego i zabawnego miasteczka na prowincji w południowej Austrii, w którym urodził się Musil, nie mający z nim jednak przez całe życie poza tą absolutnie nic wspólnego, które to miasteczko okolicznością do ostatecznych granic nieprzyzwoitości wykorzystało ową okoliczność narodzin Musila, z miasteczka położonego w fatalnej bliskości granicy, gdzie zawsze kwitł wulgarny nacjonalizm i narodowy socjalizm oraz prowincjonalna tępota, z tego małego miasteczka, w którym, jak wiadomo z doświadczenia, ton nadaje zgniłe drobnomieszczaństwo, panoszące się ze swoim kołtuństwem i megalomanią wśród nieporadnie zbudowanych, przygnębiających ciągów ulic i nudnych wzgórz, z małego miasteczka,



położonego raczej w zatęchłym niż w odświeżającym klimacie, ze wszystkimi śmiesznościami właściwymi miasteczkom liczącym około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, którzy nie mają zielonego pojęcia o świecie, a czują się tego świata pępkiem, Maria z własnego popędu, całkowicie porównywalnego z moim, który ostatecznie kazał mi opuścić Wolfsegg, odeszła z tego swojego, przynoszącego jej tylko szkody miasteczka dzieciństwa do Wiednia, żeby, jak to się mówi, zapuścić korzenie tutaj, gdzie jednak zawsze było najtrudniej, odeszła, mając już w głowie wszystkie późniejsze wiersze, co sobie teraz znowu uprzytomniłem, dziewczyna, która zabrała ze sobą jedynie małą damską torebkę i wszystkie złudzenia typowe dla buntowniczkich, uciekinierki, nie tylko szukającej wyjścia, lecz je znajdującej, jak ja. Do Wiednia, od którego wszystkie myślące umysły z prowincji oczekiwały po wojnie więcej, niż mógł im dać, gdyż Wiedeń również i wtedy wobec nikogo nie dotrzymał żadnej ze składanych obietnic, nie dotrzymał ich naturalnie także wobec Marii ani wobec żadnej innej osoby. Wprawdzie Wiedeń okazał się początkowo kołem ratunkowym, ale tylko na krótki czas, po czym - było tak wtedy, a i dzisiaj dzieje się podobnie - obezwładniał wszystkich, którzy szukali i szukają w nim ocalenia. Wiedeń jest zaledwie na bardzo króciutko ocaleniem dla ludzi filozofujących, rozmyślających, stymulujących nawzajem swoje własne umysły, jak sądzę i jak to się do tej pory setki tysięcy razy potwierdziło. Przyjechać do Wiednia oznacza znaleźć ratunek na niezwykle krótki czas, nie na dłużej, co znaczy, że uciekinier, który schronił się w Wiedniu, musi z powrotem jak najrychlej z Wiednia uciekać, jeśli bowiem możliwie najszybciej nie odwróci się plecami do tego bezwzględnie, absolutnie zdeprawowanego miasta, zginie; Maria wcześniej to zrozumiała, ja również, Eisenberg jako jedyny z nas jeszcze dzisiaj wytrzymuje Wiedeń, ale Eisenberg jest silniejszym człowiekiem, z umysłem o wiele jaśniejszym niż Maria i ja, pomyślałem, stojąc przy oknie. Tego rodzaju dusza jak dusza Marii, takich słów użył Eisenberg, bardzo szybko zostanie w Wiedniu stłamszona, pomyślałem, stojąc przy oknie i patrząc na

Piazza Minerva w dole, a potem na Panteon po drugiej stronie, na okna mieszkania Zacchiego, którego zapewne nie ma w domu, jak pomyślałem. Marii udało się wyrwać najpierw do Niemiec, potem do Paryża, później do Rzymu, na co wskazują jej wiersze, pomyślałem. Ciągle jednak podejmowała próby osiedlenia się w Wiedniu, zadawała się ze wszystkimi możliwymi ludźmi, zachęcała ich, by umożliwili jej powrót do Wiednia, zawsze jednak, gdy już wreszcie naprawdę dochodziło do tego, że mogła wrócić do Wiednia, *wszystko rozbijała*, wszystkie plany dotyczące Wiednia wywracała do góry nogami, obrażała ludzi, którzy na przykład wystarali się jej o mieszkanie, z kilku takich mieszkań na resztę życia, jak to się zawsze nazywało, zrezygnowała, zanim jeszcze się do nich wprowadziła.

Pozwalała się zwabiać do Wiednia wielu okropnym ludziom, przede wszystkim z ministerstwa kultury, wręcz wpadała w ręce, co muszę powiedzieć, tym ludziom żywiącym nieczyste zamiary, nigdy bowiem nie chciała uwierzyć w to, co zawsze jej powtarzałem, że wszyscy oni, ci zwabiający ją do Wiednia ludzie, mają nieczyste zamiary, żadnego prawdziwego zainteresowania nią samą, tylko zainteresowanie służące ich zgoła podłym i niskim celom, że ci ludzie bez skrupułów zasłaniają się Marią, by sprawić przyjemność sobie samym, dla samych siebie wykorzystać niecznie przez nich nadużywane, w tym czasie już sławne nazwisko Marii; znałem tych ludzi na wylot, pomyślałem teraz, ona jednak, kierując się fałszywym sentymentem do całkowicie zimnego i naprawdę wbrew opinii publicznej brutalnego, niesentymentalnego Wiednia, wpadała na wszystkich tych ludzi, chociaż tylko do pewnego decydującego momentu, kiedy to im odmawiała, kiedy, by tak rzec, *dawała im kosza w Rzymie*, gdzie w końcu najlepiej czuła się w swoim mieszkaniu. Raz mówiła do mnie, *w gruncie rzeczy pragnę wrócić do Wiednia*, potem jednak. często już kilka minut później, mówiła coś wręcz przeciwnego, oświadczając z takim samym przekonaniem, *w gruncie rzeczy nie pragnę wracać do Wiednia*, w gruncie rzeczy pragnę zostać w Rzymie i w Rzymie chcę nawet umrzeć. Maria

często powtarzała, że chce umrzeć w Rzymie, pomyślałem. Rozum zmuszał ją do pozostania w Rzymie - do kochania Wiednia, ale bycia w Rzymie, pomyślałem. Gdy jednak mijało kilka tygodni, w ciągu których udawało się jej, jak to się mówi, nadepnąć na odcisk wszystkim ludziom w Wiedniu, co starali się dla niej o mieszkania i naprawdę pootwierali jej wszystkie tak zwane ważne furtki w Wiedniu, znowu zaczynała mówić o tym, że w końcu i wreszcie chciałaby wrócić do Wiednia, który jest jej *ojczyzną*, co ja sam kwitowałem w rozmowie z nią wyłącznie śmiechem, gdyż akurat w jej ustach słowo *ojczyzna* brzmiało zawsze równie groteskowo jak w moich, tyle że ja go nigdy nie wypowiadam, bo w ogóle czuję obrzydzenie do jego używania, podczas gdy Maria raz po raz uciekała się do tego słowa, zawsze też mówiła, że słowo *ojczyzna* jest *najbardziej uwodzi-cielskie*. Później ponownie pisała do owych wiedeńczyków z najrozmaitszych ministerstw, odwiedzała ambasadę austriacką albo tak zwany Austriacki Instytut Kultury przy Bruna Buozzi, ów przepyszny pałac w pobliżu Flaminii, w którym, odkąd ta budowla istnieje, ma swoją rzymską Filię austriacki upiór ze wszystkimi swoimi odcieniami; chadzała na tak zwane wieczory autorskie tak zwanych poetów austriackich i na wszystkie możliwe pseudonaukowe odczyty, wygłaszane przy Bruna Buozzi przez wszystkich możliwych austriackich pseudonaukowców, chadzała nawet na tak zwane wieczory pieśni, organizowane tam regularnie ze sławnymi niegdyś śpiewakami austriackimi, którzy już od lat nie mają głosów, tylko wydają z siebie starczy skrzek, co dla włoskiego ucha ma wręcz okrutne, zgubne skutki.

Maria, która chce być rzymianką, a równocześnie wiedenką, i pod wpływem tego niebezpiecznego stanu emocjonalnego i intelektualnego pisze swoje wielkie wiersze, pomyślałem. Myśl o niej nasunął mi sen o Pustelni, który przecież swego czasu wywarł na Marii ogromne wrażenie, teraz więc delectowałem się tymi rozmyślaniami, stojąc przy oknie i patrząc na Piazza Minerva w dole. Czym naprawdę byłby dla mnie Rzym bez niej? pomyślałem. Jakie to szczęście, że wystarczy mi przejść zaledwie kilka kroków, aby odżyć w

jej obecności, jakie szczęście, że Maria istnieje. Wszakże rozmowy z nią przynoszą zawsze największe efekty, a równocześnie są w ogóle najprzyjemniejsze. Z Marią jest zawsze podniecająco, tak, zawsze podniecająco, jej obecność prawie zawsze mnie uszczęśliwia, pomyślałem. Maria ma zawsze najlepsze pomysły i rzeczywiście jest też zwykle dla Gambettiego, jak on mawia, *przeżyciem*. Ona nie cofa się przed niczym w swoich myślach, pomyślałem. W wierszach daje z siebie wszystko, pomyślałem, podczas gdy jej towarzyszkom, zawsze przeciw niej intrygującym, o czym wiem, rywalkom, choćby były nie wiem jak sławne, nigdy się to nie udaje. Maria jest cała w każdej linijce, którą pisze, wszystko jest z niej. Dopiero od Spadoliniego nauczyłem się naprawdę *widzieć* i obserwować, powiedziałem do Gambettiego, od Marii zaś *słyszeć*. Oboje ukształtowali mnie takim, jaki jestem teraz. Później rozmawiałem z Gambettim o tym, że Spadolini nigdy nie wahał się przyjmować pieniędzy od mojej matki, nawet na swoje całkiem osobiste wydatki, te pieniądze pozwalały mu zaspokajać własną próżność, powiedziałem do Gambettiego, moja matka kilka razy do roku przekazywała Spadolinemu wysokie kwoty pieniężne, pochodzące niewątpliwie z wolfseggskich kapitałów. Być może, powiedziałem do Gambettiego, nawet za wiedzą ojca, który robił wszystko, żeby ułagodzić matkę i ze swej strony nie zawahał się, by tak rzec, *we trójkę*, a więc razem z matką i Spadolinim, pojechać do Włoch, by tak rzec, w charakterze świadka koronnego tego nadzwyczajnego związku, przy czym, co byłoby wszakże prostsze do zrozumienia, w roli widza nie występował Spadolini, lecz mój ojciec. Ojciec jednak był zawsze równie zachwycony Spadolinim jak ja, nie chciał się go wyrzekać, pod żadnym pozorem, powiedziałem do Gambettiego. Spadolini nie należy do ludzi, których łatwo się wyrzec, bez względu na to, jak postrzegamy takiego człowieka, nie wyrzekamy się go, niezależnie od tego, co ten człowiek wyczynia, powiedziałem do Gambettiego. Wtedy przyszło mi naraz do głowy, że to przecież w najwyższym stopniu dziwne iż mam przybliżyć Gambettiemu akurat literaturę niemiecką,

właśnie niemiecką, austriacką i szwajcarską, tak zwaną *niemieckojęzyczną*, jak strasznie niefortunnie wszyscy to zawsze formułują, tę literaturę, której w gruncie rzeczy wcale nie *mogę* kochać, którą zawsze cenilem niżej niż rosyjską, francuską, a nawet włoską i czy nie jest z mojej strony błędem *nauczać akurat nielubianej literatury* tylko dlatego, że sądzę, iż umiem mówić o niej lepiej niż o jakiegokolwiek innej? Literatura niemiecka, powiedziałem do Gambettiego, nawet w swoich absolutnie szczytowych momentach nigdy nie mogła równać się z ukochanymi przeze mnie innymi literaturami: rosyjską, francuską czy hiszpańską, ani nawet z włoską. Już sam język niemiecki jest, ściśle biorąc, brzydki, to, jak się rzekło, język nie tylko tłamszący wszelką myśl, lecz również wskutek swojej ciężkości wszystko naprawdę niegodziwie zafalszowujący, nie potrafi on oddać faktycznej wartości prawdy jako takiej, ze swojej natury wszystko zafalszowuje, jest to język chropawy, bez odrobiny muzykalności, i gdyby nie był moim językiem ojczystym, w ogóle bym się nim nie posługiwał, powiedziałem do Gambettiego; jakże dokładnie oddaje wszystko francuski, a nawet rosyjski, nawet angielski, powiedziałem, nie mówiąc już o włoskim czy hiszpańskim, których to języków tak bardzo lubimy słuchać, podczas gdy niemiecki, chociaż to nasz język ojczysty, brzmi w uszach zawsze obco i okropnie. Dla człowieka muzykalnego o umyśle matematycznym, jak ja i jak pan, Gambetti, powiedziałem do niego, język niemiecki jest czymś strasznie przykrym. Kiedy go słyszemy, wydaje się nam natrętny, nigdy piękny, jest nieporadny, przyciężki nawet w sytuacjach, gdy sądzimy, że wchłaniamy go w siebie jako wysoką sztukę. Język niemiecki jest absolutnie *antymuzykalny*, powiedziałem do Gambettiego, *na wskroś pospolity i zwykły, i z tego powodu tak samo odbieramy naszą poezję. Niemieccy poeci zawsze mieli do dyspozycji jedynie bardzo prymitywne instrumentarium*, powiedziałem do Gambettiego, *i dlatego było im stokroć trudniej niż wszystkim innym. Wpatrując się w rodzinne fotografie, powiedziałem teraz do siebie, robimy kalkulacje, które się nie sprawdzają, unieważnia je nieszczęśliwy wypadek. Szydercze spojrzenia moich*

*siostr na fotografii, widzę je wyłącznie jako te szydercze spojrzenia, jakie mają, wszystko jedno kiedy, gdzie i jak do nich nastawiony je widzę, zawsze widzę te ich szydercze spojrzenia, tylko je mam w głowie, jeśli gdziekolwiek myślę o siostrach; właśnie te szydercze spojrzenia przechowałem w szufladzie swojego rzymskiego biurka, nie inne, które przecież także zawsze miały, smutne, dumne, wyniosłe, na wskroś aroganckie, a nie szydercze, i mówiąc o moich siostrach, nie mówię o rzeczywistych siostrach w rzeczywistości, powiedziałem wtedy do Gambettiego, lecz o tych szyderczych spojrzeniach siostr, o tym, jakimi są, jak je, by tak rzec, przypadek utrwalił na tych fotografiach. Gdyby moje siostry umarły, powiedziałem do siebie, nie zachowałoby mi się z nich nic oprócz tych szyderczych spojrzeń. Śmiech siostr słyszę we śnie, ale niekiedy także podczas przechadzek po Rzymie, całkiem niespodziewanie rozbrzmiewa ten osobliwy śmiech osób, liczących na długie życie, i momentalnie widzę tylko te ich szydercze spojrzenia, nic poza tym. Mówią coś, a ja zastanawiam się nad tym, co powiedziały, i widzę te ich szydercze spojrzenia, a potem mówię sobie, że mają te szydercze spojrzenia po naszej matce, która też ma takie szydercze spojrzenie, ale zdwukrotnione w siostrach, powiedziałem do siebie, choćby to wydawało się groteskowe, ba, straszne. Często podejmowałem próbę uwolnienia się od tych szyderczych spojrzeń siostr, rozmycia ich w innych, nieszyderczych spojrzeniach, ale nigdy mi się to nie udało. Ja, powiedziałem do siebie, w ogóle nie mam siostr, tylko ich szydercze spojrzenia, nie mam ani Caecilii, ani Amalii, mam jedynie dwa szydercze spojrzenia w ich strasznym fotograficznym skostnieniu. Moje siostry chciały być piękne, młode, sprawiać wrażenie szczęśliwych, powiedziałem do siebie, wpatrując się w to zdjęcie, a są na nim tylko brzydkie i w istocie, chociaż jeszcze bardzo młode, już niemłode, już bardzo stare i w gruncie rzeczy głęboko nieszczęśliwe w oczach tak zwanych potomnych, którzy kiedyś będą tę fotografię oglądali.*

*Gdyby były wiedziały, że pozostaną wyłącznie ich szydercze spojrzenia i wrażenie prawdziwego nieszczęścia, jakie niewątpliwie odnoszą obserwatorzy*

*tego zdjęcia, nie byłyby kazwały się fotografować, ale one nawet pchały się na to zdjęcie, powiedziałem do siebie, dokładnie to pamiętam, pragnęły je mieć, więc upozowały się, przywierając do siebie i udając szczęście, spontaniczność i naturalność, o której w chwili, gdy ta fotografia była robiona, myślały, że są im wrodzone, podczas gdy to pozbawiona wszelkiej naturalności sztuczność tak okropnie je zniekształciła. Zrobiłem to zdjęcie, o ile pamiętam, z ogromną niechęcią. Ale to nie ja ponoszę winę za tę bezlitosną fotografię, powiedziałem do siebie, to one, moje siostry, ponoszą za nią odpowiedzialność, zmusiły mnie bowiem do zrobienia tego zdjęcia, wmuszając mi tym samym, o czym nie mogliśmy wiedzieć, ani one, ani ja, swoje szydercze spojrzenia, by tak rzec, na całe życie. Już nigdy nie uwolniłem się od tych szyderczych spojrzeń, wszystkie wysiłki w tym kierunku obracały się zawsze wniwecz, kiedyś miałem pomysł zniszczenia tej fotografii, podarcia jej i spalenia, ale potem jednak ciągle tego nie robiłem, jako że pomysł zastosowania takiej metody jak unicestwienie wydał mi się śmieszny w tym przypadku, stanowiącym poniekąd wzorcowy przykład błahej śmieszności, powiedziałem do siebie i z powrotem dołożyłem tę fotografię do innych w szufladzie biurka. To nie siostry prześladują mnie dzień i noc, powiedziałem do siebie, to ich szydercze spojrzenia, które dniami i nocami nie dają mi spokoju, dręczą mnie często przez całe dni, ba, tygodnie. Za pomocą szatańskiej metody fotografii utrwaliłiśmy zaledwie jedno z milionów i miliardów spojrzeń dwojga ludzi, powiedziałem do siebie, i teraz do końca życia obwiniamy te dwie sfotografowane osoby z powodu ich szyderczych spojrzeń, utrwalonych w tym jednym jedynym momencie. A ja mam przecież siostry, a nie tylko ich szydercze spojrzenia, powiedziałem do siebie i pomyślawszy tę absurdalną myśl, złapałem się za głowę. Mam w Wolfsegg siostry, a nie tylko dwa szydercze spojrzenia, które, jak zawsze sądzę, są całkowicie przeciw mnie. Teraz jedno z tych dwu szyderczych spojrzeń wyszło za mąż, co musiałem sobie w konsekwencji powiedzieć, za mieszkającego we Fryburgu Bryzgowijskim fabrykanta kapsli do wina, za tego śmiesznego dziwaka, który moim zdaniem*

*nosi na szyi o wiele za małą głowę w stosunku do swojego dość potężnie rozrośniętego na szerokość ciała, za tego ociężała. Jedno szydercze spojrzenie ma mężczyznę, małżonka, drugie szydercze spojrzenie go nie ma, zaszyło się więc w pawilonie ogrodowym dlatego, że to pierwsze go ma, znienawidziwszy natychmiast, by tak rzec, przez noc, to wydane za mąż szydercze kontrspojrzenie. Nigdy jednak nie udało mi się zobaczyć obu szyderczych spojrzeń moich sióstr oddzielnie, to mi się nie udało, i chociaż nawet wykonałem kosztującą mnie niezwykle wiele wysiłku próbę w tym kierunku, zawsze natychmiast rzuciły mi się w oczy jedynie obydwie szydercze spojrzenia moich sióstr naraz. Fotografia pokazuje dwa szydercze spojrzenia, powiedziałem do siebie, ale czy siostry istotnie mają takie szydercze spojrzenia? zadałem sobie pytanie.*

*Czy one w rzeczywistości mają takie szydercze spojrzenia? Czy tych szyderczych spojrzeń nie miały tylko w tym jednym jedynym momencie, w którym została zrobiona ta tak zwana fotografia canneńska?*

*Być może miały te szydercze spojrzenia istotnie tylko w tym jednym canneńskim momencie, powiedziałem do siebie, nigdy więcej, a tylko ja teraz sądzę, że zawsze, ale to zawsze miały wyłącznie tę szydercze spojrzenia jak na zdjęciu z Cannes. Fotografia to rzeczywiście szatańska sztuczka naszych czasów, powiedziałem do siebie, każe nam przez całe lata, przez całe dziesięciolecia i do końca życia widzieć szydercze spojrzenia tam, gdzie takie szydercze spojrzenia zdarzyły się tylko jeden jedyny raz, przez jedną jedyną chwilę na zdjęciu, które, ulegając nagłemu impulsowi, zrobiliśmy absolutnie bez zastanowienia. I ten nagły impuls jest aż do śmierci zgubny, ba, wręcz straszliwy w skutkach. Skutkach nie dających się usunąć, popychających nas niekiedy na skraj rozpacz. Nie mogę już usunąć tych szyderczych spojrzeń moich sióstr, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, do którego, odkąd zrobiłem tę fotografię, prawdopodobnie bardzo często mówiłem w ohydnych słowach o tych szyderczych spojrzeniach sióstr, odgrywających zawsze naprawdę ogromną*



*rolę w moim życiu. Ta zgubna fotografia, mówiłem często do Gambettiego. Chodzi tu o szydercze spojrzenia sióstr, których to szyderczych spojrzeń nie mogę już usunąć, nie mogę ich wyrzucić ze swojego umysłu, powiedziałem do Gambettiego, ale z innymi fotografiami dzieje się tak samo, na przykład z fotografiami znajomych i sławnych ludzi, które zaszeregowaliśmy jako ważne, niech pan tylko pomyśli o zdjęciu Einsteina, który pokazuje język, Gambetti, powiedziałem do niego. Nie mogę myśleć o Einsteinie, żeby nie widział od razu jego języka, tego złośliwego, chytrego języka, Gambetti, który Einstein pokazuje całemu światu, ba, całemu wszechświatowi. I nie mogę widzieć Churchilla bez jego podejrzliwie wysuniętej do przodu dolnej wargi.*

*Chociaż najbardziej prawdopodobne jest, że Einstein wytknął język tylko ten jeden jedyny raz, przynajmniej w taki złośliwy i chytry sposób, a Churchill tylko w tym jednym jedynym momencie, w którym zrobiono mu to zdjęcie, w taki podejrzliwy sposób wysunął wargę do przodu. Czytam pisma Churchilla, powiedziałem do Gambettiego, i nieustannie widzę tylko tę podejrzliwie wysuniętą do przodu wargę, czytam coś Einsteina i jestem całkowicie opętany tym wytkniętym językiem, pokazywanym światu, a także, jak się rzekło, całemu wszechświatowi. Sądzę nawet, że to nie Churchill napisał swoje pamiętniki, lecz jego podejrzliwie wysunięta do przodu warga, że to nie Einstein wypowiedział te zdania, które poruszyły cały świat, lecz jego wytknięty język. Zastanawiałem się już kiedyś, powiedziałem do Gambettiego, czy gdybym napisał artykuł o szyderczych spojrzeniach moich sióstr Amalii i Caecilii, zdołałbym się w ten sposób uwolnić od ich szyderczych spojrzeń, ale naturalnie porzuciłem tę myśl, ponieważ już niebawem okazała się jedną z najbardziej absurdalnych w ogóle. Nigdy nie zdołam uwolnić się od szyderczych spojrzeń moich sióstr, powiedziałem wówczas do Gambettiego, będę musiał żyć z tymi spojrzeniami, wieść swój żywot, dopóki będzie trwał. Choć przecież niezwykle pożyteczne byłoby napisanie artykułu pod tytułem: Szydercze spojrzenia moich sióstr. Ale po co? powiedziałem wówczas do Gambettiego. Musiałbym już naprawdę*

*cierpieć na najbardziej bezgraniczną nudę, żeby napisać taki artykuł, Gambetti. Zawsze uniemożliwiały mi to te szydercze spojrzenia sióstr, powiedziałem do niego, nie dające mi spokoju, od kiedy sięgam pamięcią. To naturalnie bez sensu sądzić, że gdybym podarł fotografię z szyderczymi spojrzeniami sióstr, uwolniłbym się od ich szyderczych spojrzeń. Gdybym zniszczył tę fotografię, po prostu ją podpalając. Gdybym pociął ją nożyczkami na tysiące malusieńkich kawałeczków. Wtedy tylko w jeszcze bardziej dojmujący sposób siostry byłyby moimi dręczycielkami, Gambetti. A rodzice na drugiej fotografii, powiedziałem do siebie, sprawiają wyłącznie żalosne, a nie dobre wrażenie, śmieszne, komiczne, gdy na londyńskim dworcu Victoria wsiadają do pociągu do Dover.*

*Bez bagaży, tylko z przewieszonymi przez rękę parasolami od Burberryego, ojciec w liczących trzydzieści lat pumpach, które kupił przed wojną w Wiedniu w eleganckim sklepie pana Habiga przy Kertnerstrasse i w których przechodził przez cały okres nazistowski. Widzę go ciągle w tych pumpach, powiedziałem do siebie, odkąd tylko sięgam pamięcią. Nawet jeśli nosi całkiem inne, w moich oczach ma na sobie zawsze te pumpy od pana Habiga. Mówi nieustannie Heil Hitler w tych pumpach od Habiga, które prawdopodobnie były bardzo drogie, gdyż wydają się niezniszczalne. Istotnie są eleganckie, powiedziałem do siebie, ale nie na moim ojcu, na nim wyglądają śmiesznie. W tych pumpach od Habiga już w bramie wjazdowej przyjmował gauleitera Salzburga i od razu prowadził go do swoich stajni, myśląc, że to wyrzuci na gauleiterze najlepsze możliwe wrażenie, dowodząc zarazem wielkopańskości Wolfsegga i wielkopańskości samego siebie. Także arcybiskupów przyjmował w tych pumpach, co było pozbawione wszelkiego gustu, ale całkowicie pasowało do czasów nazistowskich. Wsiadają więc w Londynie do pociągu, a moja matka wyciąga szyję, przez co jej kapelusz w groteskowy sposób trzyma się całkiem luźno na głowie, powiedziałem teraz do siebie, prawdopodobnie przytrzymuje go jedynie szpilka.*

*Dlaczego mam w biurku to właśnie zdjęcie moich rodziców, a nie jakieś*

inne, dlaczego mam tę komiczną fotografię, która ukazuje moich rodziców śmiesznymi i komicznymi, a nie jakąś inną, skoro przecież nie zawsze byli tylko komiczni i śmieszni, powiedziałem do siebie, przez większość czasu byli absolutnie inni, w ogóle nieśmieszni i niekomiczni, raczej surowi, odpychający i wyrachowanie zimni. Podczas gdy przewieszane przez rękę parasole od Burberryego zwisały pionowo ku ziemi, oni sami stali w przekrzywionych pozach, jak ludzie mający wsiąść do pociągu. Na tym zdjęciu wyglądają tak komicznie i śmiesznie przede wszystkim dlatego, że stoją w tych przekrzywionych pozach i równocześnie ze zwieszającymi się pionowo ku ziemi parasolami od Burberryego na rękach, prawo ciężenia czyni ich w tej chwili komicznymi i śmiesznymi, a oni oczywiście w tym momencie o tym nie wiedzą, ponieważ są fotografowani. Nie chcieli być wtedy sfotografowani, ale zostali sfotografowani przeze mnie. Miałem całe setki zdjęć rodziców, które jednak zniszczyłem, wyrzuciłem wszystkie bez wyjątku, zachowałem wyłącznie to jedno jedynej włożyłem je do biurka, to, na którym są tacy śmieszni i komiczni, dlaczego? zadałem sobie pytanie. Prawdopodobnie na fotografii, którą zamierzałem zachować, chciałem mieć śmiesznych i komicznych rodziców, powiedziałem do siebie. Chciałem także mieć zdjęcie brata, na którym nie byłby utrwalony takim, jaki jest w rzeczywistości, zdjęcie, które ukazywałoby go śmiesznym, takim, jakim ja chcę go widzieć, w śmiesznej pozie na jego żaglówce na jeziorze Wolfgangsee, niewątpliwie piękny człowiek, naraz śmieszny, ni jaki, perwersyjny, ba, głupi, bezradny, którego nie można potraktować serio. Chciałem zawsze mieć tylko tę jedną fotografię brata, przedstawiającą go śmiesznym, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, komicznym, podobnie jak chciałem mieć śmiesznych rodziców, komicznych, i nie siostry, tylko ich szydercze spojrzenia, Gambetti, taka jest prawda. Mamy, ogólnie rzecz biorąc, szatańską naturę, która ujawnia się nawet w takich drobnostkach czy, by tak rzec, błahostkach, jak zbierane przez nas fotografie. Jest to dowód naszej nikczemności, naszej podłości, naszej beczelności. I to z żadnej innej przyczyny,

*jak tylko z racji własnej słabości, bo gdyby tliła się w nas choćby odrobina uczciwości, musielibyśmy przyznać, że sami jesteśmy o wiele słabsi od tych, których chcemy widzieć słabymi, o wiele bardziej śmieszni niż ci, których chcemy widzieć śmiesznymi, komicznymi, bez charakterów. To my jesteśmy bez charakteru, śmieszni, komiczni, perwersyjni, Gambetti, po pierwsze my, a nie odwrotnie. Przechowując akurat te, a nie inne zdjęcia mojej rodziny, na dodatek jeszcze w swoim biurku, żebym o każdej porze mógł się im przyglądać, niejako dokumentuję swoją własną podłość, swoją własną bezczelność i brak charakteru. Wystarczyło zawsze tylko otworzyć szufladę biurka, by sycić się widokiem okropnych siostr z tymi ich drwiącymi spojrzeniami, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, by sycić się śmiesznością rodziców, nieszczęśliwą pozą brata, umacniać siebie w napadach słabości, w czasie których wyjmuję fotografie z szuflady biurka i patrzę na nie, odzyskując, muszę to powiedzieć, wskutek tej podłości spokój. Na tym przykładzie widzimy, jak podły bywa człowiek. Opisuujemy innych jako podleców i nikczemników, szukając w tym celu wszystkich możliwych argumentów, a sami jesteśmy tacy w o wiele większym stopniu. Zamiast pod postacią śmiesznej, komicznej fotografii ukryć w szufladzie biurka samych siebie, ukrywamy tam swoją rodzinę, żeby w razie potrzeby wykorzystać ją nieuczciwie do własnych, zgoła podłych celów, powiedziałem do Gambettiego. Naturalnie, powiedziałem do niego, są ludzie, którzy przechowują zdjęcia swoich rodzin ukazujące utrwalone na nich osoby w korzystnym świetle, ale ja do takich nie należę, ja przechowuję te komiczne, te śmieszne fotografie, ponieważ w gruncie rzeczy jestem na wskroś słabym człowiekiem na wskroś słabego charakteru. Chociaż w zasadzie każde zdjęcie jest podłym fałszerstwem, są wszakże takie, które przechowujemy, by tak rzec, z szacunku i miłości dla utrwalonych na nich osób, a także takie, które z podłości i nienawiści do przedstawionych na nich osób wkładamy do szuflady biurka lub wieszamy na ścianie. Niestety, muszę powiedzieć, że absolutnie należę do tej ostatniej nikczemnej kategorii. W pewnym określonym wieku, powiedziałem do*

Gambettiego, około czterdziestki, udaje nam się często przedstawiać siebie takimi, jacy jesteśmy naprawdę, ze wszystkimi swoimi niegodziwościami, co przed osiągnięciem tego wieku nigdy nawet nie przyszłoby nam na myśl. Po osiągnięciu tego wieku pozwalamy sobie niekiedy na wniknięcie w siebie w przerażający sposób. W moim wieku, Gambetti, udaje nam się już dość szeroko rozsunąć zasłony, które przez całe dziesięciolecia były tak szczelnie zasunięte, że nieomal się za nimi udusiliśmy. Pewnego dnia rozsuna się do końca, powiedziałem do Gambettiego. Jak zareagują moje siostry, pomyślałem, kiedy teraz wystąpię wobec nich, by tak rzec, jako zarządzający spuścizną i spadkobierca? Czy również obecnie przyjmą mnie w ten, jak mi się zawsze wydawało, bezczelny sposób? Nie śmiałem nawet ciągnąć dalej tej myśli, wystrzegłem się jej. Ci, co pozostali, siostry i ja, powiedziałem do siebie. Pozostali właśnie ci, o których nikt nigdy nie myślał, że mogą pozostać. O mnie bowiem zawsze myślano, że szybko zejdę z tego świata wskutek, jak to zawsze mawiano, zadyszki, gdzieś, byle nie w Wolfsegg, być może, pomyślałem teraz, to oni oczekiwali zawsze telegramu z wiadomością, że to ja nie żyję. I pozostały też moje siostry, te, które ze względu na swoją absolutną nieważność, jak zawsze mawiała matka, nigdy nie były brane pod uwagę w przypadku jakichkolwiek fundamentalnych czy życiowych kwestii. Ja zaś nigdy nie oczekiwałem telegramu, że moi rodzice nie żyją. Wielu ludzi obawia się zawsze takiego telegramu, ja takiego telegramu nigdy się nie obawiałem. Miliony ludzi żyją w nieustannym lęku przed takim telegramem, mówiłem często do Gambettiego, z wiadomością o śmierci ukochanych lub znenawidzonych przez siebie osób. Ja nigdy nie obawiałem się takiego telegramu. Kiedy widzimy fotografie takie, jakie ja teraz miałem rozłożone przed sobą na biurku, myślimy, że utrwalone na nich osoby nie są dla nas niebezpieczne, przynajmniej na tych zdjęciach, podczas gdy w rzeczywistości są prawdopodobnie niebezpieczne. Śmiertelnie. Ci utrwaleni na fotografiach mają co najwyżej dziesięć centymetrów wzrostu i nawet się nam nie sprzeciwiają. Mówimy im największe potworności prosto w

*twarz, a oni nawet się nie sprzeciwiają, nacieramy na nich, a oni się nie bronią, możemy powiedzieć im prosto w twarz, co tylko chcemy, a oni nawet nie drgną. Jednakże właśnie to doprowadza nas również do szaleństwa i wpadamy w jeszcze większą wściekłość. Przeklinamy tych ludzi z fotografii, ponieważ nie odpowiadają, ponieważ nie odpierają najmniejszego ataku z naszej strony, choć przecież na nic tak nie czekamy i na nic nie jesteśmy tak skazani jak na ich odpowiedź.*

*Bijemy się, by tak rzec, z pomniejszonymi do mikroskopijnych rozmiarów karłami i ogarnia nas szaleństwo, powiedziałem kiedyś do Gambettiego. Policzkujemy te do mikroskopijnych rozmiarów pomniejszone karły i wszystko w sobie doprowadzamy do wariactwa. Porywamy się nawet, powiedziałem do Gambettiego, na znieważanie tych głów o średnicy jednego jedyne go centymetra, Gambetti, wystawiając się w ten sposób bez reszty na pośmiewisko. Przyglądam się moim rodzicom na fotografii, jak, nie sięgający nawet dziesięciu centymetrów wzrostu, wsiadają do pociągu na dworcu Victoria w Londynie, i znieważam ich, mówię, jakimi śmiesznymi kreaturami zawsze byli, wcale w tym momencie nie zauważając, że ośmieszam jednocześnie samego siebie, że jestem znacznie, ale to znacznie bardziej śmieszny, niż kiedykolwiek mogli być moi rodzice, oni nigdy tacy nie byli, Gambetti. Ty głupcze, mówię do brata, nie mającego nawet dziesięciu centymetrów wzrostu, wy perwersyjne siostry, do nich, które na tarasie w Cannes nic mają nawet ośmiu centymetrów wzrostu. Zrobić fotografię znaczy wyszydzić człowieka, Gambetti, powiedziałem, dlatego też wszyscy, którzy fotografują, nawet jeśli w tej dziedzinie nie stali się zawodowcami ani też nigdy nie uczynili z fotografowania wielkiej sztuki, nie są niczym innym, jak tylko szydercami szydzącymi z człowieka. Fotografia sama w sobie to największe szyderstwo, jakie istnieje, powiedziałem do Gambettiego, to największe z możliwych wyszydzanie świata. Dzisiaj jednak, powiedziałem do Gambettiego, istnieje już stokroć więcej ludzi sfotografowanych niż rzeczywistych, co nie oznacza nic innego jak naturalnych, a to powinno dawać*

*do myślenia. Rad jestem, powiedziałem do Gambettiego zaledwie dwa dni po powrocie z Wolfsegg, że znowu znalazłem się tutaj, że na jakiś czas uciekłem od Północy i jej tępoty. Od szponów mojej rodziny, a przede wszystkim od egzaltacji matki, od nieustannego zrzędzenia ojca, od złej pogody w tym kraju. Przez trzy czwarte roku mamy tam złą pogodę, gdy zaś sądzimy, że już nastala wiosna, muszą minąć jeszcze całe miesiące, zanim rzeczywiście nastanie, potem zaś wiosna od razu przechodzi w lato, które jest coraz krótsze. A jesień, sama w sobie najpiękniejsza tam pora roku, daje się we znaki wszystkim ludziom w tym klimacie zdominowanym przez złą pogodę, i czy mają podagrę, czy też reumatyzm, częstymi burzami i lodowatym zimnem przypomina im już w październiku, że ich życie jest nieustannie zagrożone.*

*Nie mówiąc w ogóle o tamtejszych zimach, które sprawiają, że gdy człowiek skończy trzydzieści lat, wszystko staje się nie do zniesienia. Tutejsi ludzie w ogóle nie wiedzą w jak wyjątkowej strefie klimatycznej żyją, wszyscy ciągle tylko tęsknią do zimnej Północy, do jodeł, do górskich jezior, do ożywczych Alp. Widzi pan, Gambetti, jedni odczuwają tęsknotę za Południem, inni za Północą, i w ten sposób wszyscy zawsze są w dużej mierze przynajmniej równie nieszczęśliwi. W tym momencie jednak rozkoszuję się tym odświeżającym, a przecież ciepłym powietrzem, tymi głośnymi, ale przecież sympatycznymi ludźmi, ich beztroską, powiedziałem. W Wolfsegg miałbym na sobie zimowe palto, tutaj biegam w rozpiętej koszuli i swetrze na ramionach. Taka jest różnica. Tutejsi ludzie nie są objuczeni ważącą kilka kilogramów garderobą, ciężkimi butami, ciężkimi marynarkami, ciężkimi filcowymi kapeluszami, chodzą po ulicach w najlżejszych ubraniach i nieomal przez cały rok jedzą posiłki na świeżym powietrzu. Jeszcze słyszę siebie, jak krzyczę Długo nie!, pomyślałem, przez co rozumiałem, że długo nie wrócę do Wolfsegg, podczas kiedy teraz telegram zmusza mnie do możliwie najszybszego powrotu do Wolfsegg. Wydawało mi się jednak, że tę oczywistość uda mi się obecnie odsunąć w czasie za pomocą całkowitej beczynności, kiedy tak najzwyczajniej*

w świecie nie ruszę się od biurka i będę patrzył na zdjęcia, poddając je głębszej niż tylko wnikliwa obserwacji; ani na chwilę nie spuszczę ich z oka, położę obok i rozpostrzę telegram, będę trzymać przed sobą ten krótki tekst z wiadomością o śmierci i nieustannie wczytywać się w niego sylaba po sylabie, do granic, jak mi się zdawało, szaleństwa. W przeciwieństwie do mnie mój brat był spokojnym człowiekiem, ja zawsze byłem w Wolfsegg niespokojnym duchem, on natomiast uosobieniem spokoju. Rodzice określali go zawsze jako zadowolonego, mnie zawsze jako niezadowolonego. Kiedyśmy zbroili coś do spółki, całą winę, jak to się mówi, zwalali na mnie, a nie na niego, jemu wierzyli, kiedy się usprawiedliwiał, mnie nigdy. Jeśli na przykład ja zgubiłem powierzone mi z jakiegoś powodu pieniądze, nie wierzyli, że je zgubiłem, choćbym ich nie wiem jak o tym zapewniał, myśleli raczej, iż tylko udaję, że je zgubiłem, gdy tymczasem się o nie wzbogaciłem, mojemu bratu natomiast od razu wierzyli, gdy gubił pieniądze. Mówił im na przykład, że zablądził w lesie, i oni momentalnie mu wierzyli, kiedy zaś ja mówiłem to samo, nie chcieli mi uwierzyć za nic w świecie, zawsze musiałem się długo i usilnie usprawiedliwiać. Kiedyś brat wrzucił mnie do położonego za dziecięcą willą stawu, rozmyślnie czy nie, wepchnął mnie do wody, przechodząc obok, gdyż obaj bawiliśmy się przy stawie na murku, który nie jest szeroki i dwie idące obok siebie osoby się na nim nie mieszczą. Musiałem zadać sobie bardzo wiele trudu, by utrzymać się na powierzchni wody i nie utonąć, naprawdę myślałem, że tonę, a przy tym myślałem również, iż może brat nie wrzucił mnie do stawu przez nieuwagę i niezdarność, lecz rozmyślnie, ta myśl dręczyła mnie dopóty, dopóki walczyłem w stawie o życie. Mój brat nie mógł mi pomóc, sam nie narażając się na utratę życia. Naturalnie podejmował wiele prób, żeby mi pomóc, ale jego próby kończyły się niepowodzeniem. Staw jest głęboki, więc nawet dziecko niechybnie pójdzie pod wodę i utonie, o ile nie zdoła utrzymać się na powierzchni, powiedziałem do Gambettiego. Jednakże w chwili, kiedy byłem już absolutnie pewny, że utonę, zdołałem przytrzymać się umocowanego na podwodnej części



*murku żelaznego pierścienia, przeznaczonego do zaczepiania małych łodzi, które trzymaliśmy przy stawie, i udało mi się wydostać na brzeg. Gdy po powrocie do domu rodzice zażądali ode mnie wyjaśnień, dlaczego jestem przemoczony do suchej nitki, a ja nie powiedziałem im prawdy, tylko, chcąc chronić brata, rzeczywiście skłamałem, mówiąc, że nieszczęśliwie wpadłem do stawu, bez wahania orzekli, iż wskoczyłem do niego lekkomyślnie, by sprawić bratu kłopot.*

*Kiedy powiedziałem, nie, wpadłem do wody całkiem przypadkowo, skrzyczeli mnie, wyzywając od kłamców, przytulili do siebie mojego brata, jakby chcieli go obronić, a mnie w mokrym ubraniu wygonili na dół do kuchni, żeby przebrano mnie tam w świeże, suche rzeczy. Brat przez cały czas milczał i nie powiedział choćby jednego słowa, nie powiedział prawdy ani nawet przynajmniej tego, że wpadłem do stawu nie z własnej winy, obserwował tę smutną scenę i ani drgnął, żeby cokolwiek wyjaśnić lub polepszyć moje położenie, wręcz przeciwnie, jakby chroniąc się pod opiekę matki, przytulił głowę do jej kolan, co dla mnie oznaczało tylko pogorszenie całej sytuacji. Kiedy zdarzało mi się upaść i podrzeć pończochy, natychmiast dostawałem burę za podarte pończochy, ani w głowie im było mnie pocieszyć na widok skaleczonego kolana, które krwawiło i bardzo bolało, nie, oni tylko obrzucali mnie przez wiele godzin wymysłami, a wieczorem, gdy ja sam zdążyłem już zapomnieć o całym tym nieszczęśliwym wypadku, oni od nowa zaczęli krzyczeć, jakby obrzucanie wymysłami i doprowadzanie mnie do płaczu sprawiało im radość. Mojego brata pocieszali, gdy choćby leciutko się skaleczył, mnie nie pocieszali nawet wtedy, gdy poważnie się zraniłem. Ponieważ zbyt często i na zbyt długi czas uciekałem od nich do ogrodników, karcili mnie bez ustanku, nie chcieli bowiem, żebym chodził do ogrodników, którzy, jak uważali, wywierają na mnie zły wpływ, woleli, żebym chodził do łowczych, przypisując im wywieranie na mnie dobrego wpływu, ja jednak, jak się rzekło, nienawidziłem łowczych i zawsze chodziłem do ogrodników, których*

*kochałem, więc za każdym razem, gdy tylko rodzice dowiadywali się, że byłem u ogrodników, czekała mnie bura, wymyślali również ogrodnikom, że się, jak mówili, ze mną zadają ogrodnicy, tak utrzymywała moja matka, wywierając na mnie zawsze nadzwyczaj szkodliwy wpływ. Jeśli mój brat szedł do łowczych, mówili do niego za każdym razem, dobrze, że byłeś u łowczych, to się nam podoba, przy czym zawsze mówili te słowa tak, żebym musiał je usłyszeć oraz kiedy byli pewni, że mogą mnie nimi zranić. Gdy pewnego razu byłem u łowczych, bo z jakiegoś powodu nie chciałem iść do ogrodników, lecz do łowczych, nie pamiętam już prawdziwego powodu, i na pytanie, gdzie byłem, odpowiedziałem, że byłem u łowczych, nie uwierzyli mi i spoliczkowali mnie w obecności brata, który doskonale wiedział, że byłem u łowczych, bo sam ze mną u nich był, ale on milczał i nie powiedział prawdy, choć mógłby mi przyjść z pomocą. Milczał też beztrosko, ilekroć matka policzkowała mnie, przekonana, że kłamię, chociaż mówiłem prawdę. Także gdy byłem już dorosły, rodzice nie wierzyli mi w żadnej sytuacji, jak pamiętam. Kiedy miałem gościa, a oni pytali mnie o jego nazwisko, pytali, któż to mnie odwiedził, ja zaś wymieniałem nazwisko tego gościa, czyli mówiłem, kto mnie odwiedził, nie wierzyli mi, powtarzali tylko zawsze, że oni już dobrze wiedzą kto mnie odwiedził, w każdym razie nie ten, o kim twierdziłem, że mnie odwiedził. Kiedy byłem w Wels, a oni później pytali, gdzie byłem, ja zaś odpowiadałem im, w Wels, mówili, że nie byłem w Wels, że oni już dobrze wiedzą, gdzie naprawdę byłem, w Vocklabruck, w Linzu, w Styrii, bo na pewno nie w Wels, i za żadne skarby nie dawali się wyprowadzić z błędu. Nigdy mi nie wierzyli, mówili zawsze, że jestem najzwyczajniejszym kłamcą, jak ciągle powtarzała moja matka, urodzonym kłamcą. Co robisz przez cały czas w bibliotece? pytali, gdy wracałem z biblioteki, obojętne z której spośród naszych pięciu bibliotek, bo wszystkie one w gruncie rzeczy wydawały im się podejrzone, i rzeczywiście byłem w całej rodzinie jedyną osobą, która stale chodziła do jednej z naszych bibliotek. Chyba nie po to, żeby czytać! mówili i kazali mi się tłumaczyć.*

*Na nic nie zdawały się moje zapewnienia, że naprawdę idę do biblioteki w jednym jedynym celu - żeby poczytać. Chodzisz do biblioteki, aby oddawać się tam tym swoim niedorzecznym myślom, powtarzała zawsze matka, w ogóle nie przyjmując do wiadomości tego, co nieustannie powtarzałem, że nie, że poszedłem do biblioteki poczytać, z żadnego innego powodu, i nic innego tam absolutnie nie robiłem.*

*Nieustannie zapewniałem, iż do biblioteki chodzę wyłącznie w celach czytelniczych, przebywam tam w celach czytelniczych. Nie dawała mi jednak spokoju, nazywała mnie kłamcą i bez przerwy twierdziła, że byłem w bibliotece, by oddawać się niedorzecznym myślom. Gdy pytałem ją, co rozumie przez niedorzeczne myśli, nazywała mnie, jak to często bywało w latach mojego najwcześniejszego dzieciństwa, kłótnikiem; wcale nie odpowiadała na moje pytanie i dodawała jeszcze, że jestem bezwstydnikiem i kłamcą, po czym najzwyczajniej w świecie odchodziła, zostawiając mnie osłupiałego ze zdumienia. Co chwila podejrzewała, że oddaję się niedorzecznym myślom, sama prawdopodobnie nie wiedząc, co to są owe niedorzeczne myśli, ale podejrzewała mnie o nie z przyzwyczajenia, nawet w towarzystwie nie mogłem czuć się pewnie, mówiła to również w obecności obcych osób, bywających u nas na kolacjach; nawet w obecności tych, co budzili we mnie najwyższy wstręt, tych tak zwanych ludzi z klasy średniej z okolicznych małych miasteczek, których znała od dzieciństwa i z którymi zawsze utrzymywała regularne kontakty, mówiła, że oddaję się niedorzecznym myślom. Muszę powiedzieć, że matka kochała mojego brata Johannesą przede wszystkim dlatego, iż nigdy nie czuł potrzeby zajrzenia do bodaj jednej z bibliotek, co chwila powtarzała też, że Johannes nie chodzi do bibliotek, aby oddawać się niedorzecznym myślom, on chodzi do domku myśliwskiego, gdzie jest wesoło. Wesołość w domku myśliwskim była jednak, w moim im pojęciu i wedle mojego doświadczenia, zawsze dość podła i nikczemna, wesołość łowczych była podłego i nikczemnego rodzaju, składało się na nią bowiem bezustannie opowiadanie nudnych i na*

wskroś pospolitych dowcipów, które nigdy nie wydawały mi się wesołe i przy których zawsze towarzyszyło mi poczucie, że babrzę się w błocie, co zresztą było też zwykle głównym powodem, dla którego brzydziłem się domkiem myśliwskim, podczas gdy te nudne, na wskroś pospolite i bezgranicznie prymitywne dowcipy rodem z domku myśliwskiego zawsze podobały się mojej matce; niczym nie zachwycała się tak jak tymi dowcipami, za każdym razem wychodziła z domku myśliwskiego, zaśmiewając się do łez, co nawet ojciec nazywał perwersją. Chodzisz do pawilonu ogrodowego, mówiła zawsze do mnie, gdzie panuje taka nuda, to jest znamienne. Ale wyśpiewywanie z łowczymi przez pół nocy idiotycznych piosenek, wysiadywanie z łowczymi na ławce, przysuwanie się do nich i pozwalanie na to, by nie tylko mówili do niej w dwuznaczny sposób, lecz także o późnej godzinie molestowali ją i szczypali w tyłek, nigdy nie wydawało się mojej matce, co muszę powiedzieć, zbyt głupie. Kiedy brat miał już odrobione prace domowe i pokazywał je rodzicom, mówili zawsze, że dobrze wykonał swoją pracę, gdy ja robiłem to samo, zawsze przyczepiali się przynajmniej do jakiegoś szczegółu, tu zauważyli błąd, ówdzie nieprawidłowość, i nieustannie karcili mnie z powodu, jak zawsze mówili, nieczytelnej bazgraniny. Kiedy brat przynosił do domu dobrą ocenę, chwalili go oczywiście, a gdy mnie się to przyda-rzało, fakt ten przyjmowano za ledwie do wiadomości wymuszenie uprzejmym skinieniem głowy.

Pamiętam, że w przeciwieństwie do mnie, który zawsze dostawałem trochę podniszczoną pościel, mojemu bratu dawali zawsze najlepszą, a poduszki nowiuteńkie, nie takie połatane jak mnie. Ja musiałem nosić pończochy dłużej niż on, palta, kurtki, na nic się zdały moje prośby, żeby pozwolono mi włożyć nowe, jak bratu, któremu na to pozwalano, gdy jego pończochy, palta, kurtki etcetera były nieznacznie przetarte albo brudne, mnie na to nigdy nie pozwalano. Zawsze wtedy mówili, że jestem *marnotrawcą*, *ale brata nigdy nie nazwano marnotrawcą*. *Moi rodzice, jak sądzę, nigdy nie byli wobec mnie sprawiedliwi, gdyż już w latach mojego wczesnego dzieciństwa nabrali*

*podejrzeń, iż być może mam nad nimi przewagę, nie umiem dokładnie powiedzieć, co wywoływało w nich taką obawę. Jedyne dziadkowie byli wobec mnie sprawiedliwi, traktowali mnie dokładnie tak samo jak Johannes, w ich oczach nie istniała różnica między jednym a drugim wnukiem, w każdym razie nie robili różnicy między nami dwoma. Póki żyli dziadkowie, był to zarówno dla Johannes, jak i dla mnie najszcześniejszy okres w Wolfsegg. Oczywiście, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, ponieważ dziadkowie z natury nie uznawali żadnego faworyzowania. Gdy zmarli, od razu zauważyłem, że rodzice chcą mnie ukarać za to, iż jak sądzili, dziadkowie zawsze lepiej traktowali mnie niż mojego brata, co jednak nie było prawdą, moi rodzice, zwłaszcza matka, zawsze to sobie tylko wmawiali. Zupełnie jakby po śmierci dziadków rodzice pomyśleli, teraz musimy zwrócić się ku zawsze poszkodowanemu przez dziadków Johannesowi i jego traktować szczególnie dobrze, tego zawsze odsuwanego przez dziadków, tego, który ciągle musiał cierpieć wskutek faworyzowania jego brata, czyli mnie, ale mój brat nigdy nie był poszkodowany przez dziadków, podobnie jak ja nigdy nie byłem przez nich faworyzowany, taka jest prawda; w przeświadczeniu, że ja byłem przez dziadków faworyzowany, a brat poszkodowany, rodzice zjednoczyli się tylko po to, żeby od tej pory dawać mi zawsze dokładnie odczuć to, co sobie wmówili, co jednak nigdy nie było zgodne z prawdą. Tak więc po śmierci dziadków zawsze życzliwie traktowali mojego brata Johannes, mnie zaś w przeciwieństwie do niego zawsze z niechęcią, a to ich przedkładanie Johannes nade mnie przerodziło się z czasem, jak sądzę, w coś dla mnie naprawdę nieznośnego, taki sam skutek miała zresztą ich niechęć do mnie. Krótko mówiąc, przywykli kochać mojego brata, a mnie nienawidzić. To absurdalne, powiedziałem do Gambettiego na wzgórzu Pincio, że właśnie w domu z pięcioma bibliotekami nie tylko bardzo nisko ceni się myśl i ducha razem wzięte, lecz, prawdę mówiąc, ma się je w pogardzie. Jedna jedyna biblioteka nie wystarczała, jak zakładam, pierwszym budowniczym i mieszkańcom Wolfsegg, oni czuli naturalną potrzebę rozwoju duchowego i*

intelektualnego, byli zapewne namiętnymi myślicielami, a więc pracownikami umysłowymi, myślenie, jak sądzę, uczynili swoim głównym zadaniem, czego dowodzą liczne tego świadectwa, jakie jeszcze posiadamy, byli przekonani, że najwyższym celem ludzkiego życia jest wieść żywot myśliciela, żywot duchowy, Gambetti, a nie żyć w takiej codzienności i codziennej tępocie, jak to robi moja rodzina. Co to były za czasy, gdy o randze rozumu przesądzała myśl, gdy myślenie było najwyższym nakazem, jak wiemy. Dzisiaj wszystko, co kiedyś wyróżniało Wolfsegg, jest zaprzepaszczone, ponieważ potomkowie całkiem świadomie to zniszczyli; prawdę mówiąc, w ostatnim stuleciu, a przede wszystkim w ostatnich dziesięcioleciach unurzali wszystko w błocie. Moi przodkowie zbudowali nie tylko jedną bibliotekę, powiedziałem do Gambettiego, pozwolili sobie na pięć bibliotek, górną lewą, podobnie jak górną prawą, dolną lewą, podobnie jak dolną prawą, oraz bibliotekę w dziecięcej willi, wszystkie nauki humanistyczne miały w nich przez stulecia swoje miejsce, wszystkie prądy umysłowe, wszystkie sztuki. Kiedyś okopałem się w lewej górnej bibliotece, Gambetti, by przeczytać Siebenkasa Jeana Paula, którą to książkę szczególnie kochał wuj Georg. Czytałem ją godzinami i stopniowo zapomniałem o wszystkim dookoła, zapomniałem również o tym, że w tym samym czasie, kiedy byłem pogrążony w lekturze Siebenkasa miałem pomóc matce w porządkowaniu listów. Zapomniałem o poleceniu, że bym o szóstej po południu, jak w każdą sobotę, pojawił się w jej tak zwanym gabinecie w celu uporządkowania listów, Siebenkas w lewej górnej bibliotece sprawił, iż naprawdę zapomniałem o bożym świecie, a więc również o poleceniu matki. Co sobota między szóstą a siódmą po południu siedziała zawsze w swoim gabinecie i kazała nam, żebyśmy na zmianę z Johannesem dokładnie porządkowali wszystkie listy napisane do niej w ubiegłym tygodniu, dokładnie w kolejności nadejścia. Uporządkowawszy listy, musiałem położyć je w określonym miejscu na biurku. Porządkując matczyne listy, miałem możliwość rozmawiać z nią w spokoju, co poza tym nigdy nie wchodziło w rachubę. W czasie, gdy ja porządkowałem listy, ona załatwiała

swoją korespondencję, stwarzając mi wtedy okazję do zwracania się do niej z wszystkimi problemami. Kiedy indziej nie miałem takiej okazji. Chociaż matka nigdy nie lubiła, gdy zadawałem jej pytania, odbierała je bowiem zawsze jako bezczelne, to podczas porządkowania listów miałem prawo je zadawać, a ona na nie odpowiadała. W gruncie rzeczy porządkowanie listów w gabinecie matki było jedyną okazją, by w ogóle się do niej zbliżyć, w tej krótkiej godzinie przed wieczerzą. Zdarzało się wtedy, że od czasu do czasu rzuciła mi nawet jakieś miłe, a od czasu do czasu wręcz czułe słowo. Podczas tego porządkowania listów, gdy obserwowałem matkę z boku, miałem częstokroć wrażenie, że jednak ją kocham, i to doprawdy bardzo gorąco; jej twarz wydawała mi się wtedy piękna, podczas gdy w innych sytuacjach zawsze irytowała mnie swoją pospolitością. Lampa na biurku, którą matka kazała zapalać i która rzucała słabe światło na jej twarz, dobrze tej twarzy robiła, powiedziałem do Gambettiego na Pincio, o tej porze światło było dla mojej matki niezwykle życzliwe. Kiedy kładłem uporządkowane listy na biurku, zdarzało się, że spoglądała znad korespondencji i ze swego rodzaju czułą sympatią kładła mi dłoń na włosach. Zarazem jednak, jakby znowu wstydząc się tego gestu w momencie, w którym jego wykonanie wydało się jej możliwe, natychmiast zawsze cofała rękę i kazała mi wychodzić z gabinetu. Cofała rękę, myśląc sobie pewnie przy tej okazji, że to nie jest Johannes, i natychmiast wracała do korespondencji. Ale przecież ja chciałem mówić o czymś innym, Gambetti, powiedziałem do niego wtedy na Pincio. Zaszylem się wówczas w lewej górnej bibliotece z Siebenkasem i zapomniałem o porządkowaniu listów.

Była dziewiąta, gdy nagle, dość przerażony, oderwałem się od lektury Siebenkasa, odłożyłem książkę i z zabronionej mi w gruncie rzeczy biblioteki, jak pan wie, zszedłem na dół do rodziny, która już dawno zdążyła spożyć wieczerzę. Siebenkas przykuł mnie na pięć godzin do fotela w bibliotece, zapomniałem więc nie tylko o porządkowaniu listów, ale także o wieczerzy. Zszedłem na dół, Gambetti, a wszyscy siedzieli już w tak zwanym zielonym

salonie i co od razu zauważyłem, czekali wyłącznie na mnie.

Zostałem przyjęty bez słowa. Po pewnym czasie, kiedy mój brat Johannes, jak mi się zdawało, z odpychającą, złośliwą radością tylko na to czekał, matka, w ogóle na mnie nie patrząc, zażądała wyjaśnień, gdzie to się podziewałem, że zaniedbałem porządkowania listów, jak to w ogóle możliwe, iż swoją powszechnie znaną bezczelność wieńczę jeszcze takim brakiem wychowania, że po prostu ignoruję porządkowanie listów i wieczerzę, nie istnieje bowiem żaden powód, przynajmniej żaden, jaki ona potrafi sobie wyobrazić, abym zignorował porządkowanie listów, kazał rodzinie siedzieć samej podczas wieczerzy, napędził im wszystkim strachu, gdzie też mogę się podziewać, myśleli już o wszystkich możliwych nieszczęściach, których może padłem ofiarą o wszystkich możliwych okropieństwach. Czy jestem świadom tego, że przede wszystkim ja, moją matkę, przyprawilem o śmiertelny lęk? Nie ma najmniejszego powodu, który by pozwolił ci nie pojawić się w moim gabinecie w celu porządkowania listów, jak również nie ma żadnego powodu, żebyś zignorował wieczerzę. Matka nadal nie zaszczyciła mnie ani jednym spojrzeniem. Nagle spojrzała mi w oczy i powiedziała jesteś naszym potworem! O ile się nie mylę, byłeś w bibliotece! I co tam robiłeś? Znowu oddawałeś się tym swoim nedorzecznym myślom, powiedziała. Ojciec i rodzeństwo w napięciu czekali na szczytowy punkt oskarżenia, całą swoją uwagę skupili na mnie, który, wystraszony, zatrzymałem się od razu w drzwiach. Miałem wtedy może dziewięć lub dziesięć lat, powiedziałem do Gambettiego. Wszystko we mnie i na mnie się trzęsło.

Chociaż siostry i brat byli mali, dało się po nich poznać podle oburzenie, żądze sensacyjnego ukarania winowajcy przez nadal nieubłagane karcącą mnie matkę. No, więc co naprawdę robiłeś w bibliotece? spytała, na co odpowiedziałem: czytałem Siebenkasa. Po tym moim oświadczeniu zerwała się z krzesła, spoliczkowała mnie i posłała do łóżka. Właściwa kara polegała na tym, że przez trzy dni nie wolno mi było wychodzić z mojego pokoju, matka zamknęła go na klucz i na trzy dni zostawiła mnie w ogóle bez jedzenia. Usiadłem przy



*stole i przez wszystkie dni nie robiłem nic innego, tylko płakałem. Za drzwiami przez cały czas biegały obie siostry, wykrzykując nieustannie z najwyższą, złośliwą radością Siebenkas, Siebenkas, Siebenkas. Gdyby pan kiedyś zabrał się do lektury Siebenkasa, drogi Gambetti, powiedziałem do niego na Pincio, niech pan nie zapomni o tej krótkiej anegdotce. Czy Gambetti dzisiaj, kiedy po tak długim czasie rzeczywiście dałem mu do przeczytania Siebenkasa, pamięta jeszcze tę historię? zadałem sobie pytanie. Wszystkie książki, które przeczytałem w Wolfsegg, mają podobną do tej posthistorię, na całe moje życie są związane z taką posthistorią (albo prehistorią!), pomyślałem, chociaż nie zawsze z tak smutną jak ta, która mnie wiąże z Siebenksem Jeana Paula. Moja matka, Gambetti, nie miała pojęcia, kto to jest Siebenkas, toteż sądziła, że sobie z niej kpię, powiedziałem do Gambettiego. Kiedy była w Rzymie, powiedziałem do Gambettiego, jesienią przed trzema laty, przypomina pan sobie, oprowadzałem ją naturalnie po mieście. Ale ona nudziła się śmiertelnie, chciała tylko bez przerwy oglądać słynne sklepy, przede wszystkim te na Corso i na Via Condotti, miała całą długą listę z nazwami tych słynnych sklepów i poruszała się wyłącznie według tej listy, miała owe słynne sklepy wypisane w porządku alfabetycznym, jeden pod drugim, co było błędem, jak niebawem sama musiała pojąć, gdyż naturalnie nie znajdowały się, jak na jej liście, obok siebie, lecz bardzo często w znacznej od siebie odległości. Odwiedzaliśmy te słynne sklepy, jeden po drugim, zwłaszcza w pobliżu Piazza di Spagna, i w ani jednym nie byliśmy krócej niż pół godziny, w większości z nich spędzała blisko godzinę, co prawie doprowadzało mnie do szaleństwa.*

*Moja matka jest również absolutnie prymitywną fanatyczką biżuterii, powiedziałem do Gambettiego, i z tego powodu biegała od jubilera do jubilera w poszukiwaniu nie jednego, lecz całego mnóstwa pierścionków i naszyjników odpowiadających jej gustowi. Towarzyszyłem matce, jak pan się może domyślić, z niechęcią, ale cóż miałem robić. Ja sam jestem przecież, jak pan wie, wrogiem tych, którzy oglądają tylko słynne pomniki i kościoły, ale tego rodzaju, muszę to*

*powiedzieć, bezwstydnie jawnego niezważania na wszystkie te niewątpliwie gigantyczne skarby kultury jeszcze nigdy u nikogo nie zaobserwowałem. Matka poszła do bazyliki watykańskiej, zaprowadziłem ją tam, gdzie oczywiście zachwyciła się baldachimem nad Grobem św. Piotra dłuta Berniniego, którego to balda chimu ja osobiście nie cierpię, ale poza tym podczas swojego pobytu w Rzymie nie zobaczyła nic poza wyposażeniem wewnątrz sklepów jubilerskich i magazynów z modnymi ubiorami. Zamieszkała, za moją radą, w Hasslerze, który jednak wydawał się jej zbyt staromodny. Nic jej się w nim nie podobało, chociaż Hassler jest niewątpliwie najlepszym hotelem w Rzymie, a może nawet jednym z trzech, czterech najlepszych na świecie. Nic nie było jej zdaniem wystarczająco dobre. Wreszcie zrobiła tyle zakupów, powiedziałem do Gambettiego, że w ogóle nie wiedziała, gdzie to wszystko pomieścić, pudła piętrzyły się w stosach w jej pokoju. Byliśmy zaproszeni na pięć kolacji do krewnych i naturalnie również do naszego przyjaciela Zacchiego, powiedziałem do Gambettiego, ale ona poszła tylko na jedną jedyną, i to nie, jak pan może myśleć, do naszego godnego uwielbienia przyjaciela Zacchiego, tylko do ambasadora austriackiego, gdzie, co może pan sobie bez trudu wyobrazić, było nudno jak zawsze, poszła tam tylko dlatego, że towarzystwo wydawało się jej najbardziej reprezentacyjne, choć wszyscy ludzie, którzy brali udział w kolacji u ambasadora, byli zwykłymi, bezmyślnymi i durnymi dyplomatami z jeszcze bardziej bezmyślnymi i durnymi żonami, które swoim zwyczajem dokonywały dwugodzinnego prania brudów towarzyskich.*

*Zapyta pan z pewnością, dlaczego o tym wszystkim wspominam, powiedziałem do Gambettiego, otóż dlatego, że w drodze z Hasslera do ambasady austriackiej moja matka nagle i całkiem niespodziewanie po tylu latach, ba, po dziesiątkach lat spytała mnie naraz całkiem zniechęta, co to jest właściwie ten Siebenkas, którym posłużyłem się kilkadziesiąt lat temu, aby z niej zadrwić. Przez kilkadziesiąt lat pamiętała tę scenę z Siebenkasem, powiedziałem do Gambettiego. Ta scena z Siebenkasem zrobiła ogromne wrażenie zarówno na*

*niej, jak i na mnie, co teraz miałem okazję stwierdzić. Wyszliśmy z Hasslera w jedną z tych wspaniałych rzymskich nocy, Gambetti, kiedy to człowiek naprawdę wierzy w istnienie rajy, a ona po kilku krokach pyta mnie: możesz mi powiedzieć, co to właściwie jest ten Siebenkas?*

*Powiedziałem jej na to, że Siebenkas to wymysł Jeana Paula. Ponieważ jednak nie wiedziała również, kim jest Jean Paul, musiałem od razu wyjaśnić, że Jean Paul był pisarzem, autorem Siebenkasa. Ach, odparła, gdybym to była wtedy wiedziała! Sądziłam, że Siebenkas to twój wymysł, wymierzony we mnie, niegodziwy figiel. Ale chociaż ja przez całą drogę od Hasslera do ambasady austriackiej śmiałem się bezustannie z tego całego wyjawienia tajemnicy, po czemu istniały wszelkie powody, moja matka tylko milczała. Czy to rzeczywiście prawda, że Jean Paul to pisarz, a Siebenkas to utwór tego pisarza, upewniała się jeszcze, ponieważ początkowo nie chciała w to uwierzyć, ponieważ nie chciała mi uwierzyć, Gambetti. A więc Siebenkas to utwór, a Jean Paul to pisarz, powtarzała kilkakrotnie w drodze do ambasady austriackiej. Szliśmy do ambasady austriackiej pieszo. Gdy pokonaliśmy już mniej więcej połowę drogi, cały czas nie odzywając się prawie do siebie, powiedziała nagle: a Kafka to też pisarz?*

*Tak, Kafka to też pisarz. Szkoda, odparła, sądziłam, że to wszystko twoje wymysły. Szkoda. Nie mogła się uspokoić i pogodzić z tym, że Jean Paul i Kafka są pisarzami, autorami Subenkasa i Procesu, i że nie są to żadne moje wymysły, wymierzone w nią, moją matkę, naturalnie. Widzi pan, powiedziałem do Gambettiego, w jakim stanie intelektualnym znajduje się moja rodzina. W jakim znajduje się Wolfsegg.*

*Pięć bibliotek, Gambetti, i zielonego pojęcia o naszych największych pisarzach i poetach, nie mówiąc już o wielkich, epokowych filozofach, których nazwisk moja matka nigdy nie słyszała, a nawet jeśli je słyszała, to w każdym razie nigdy nie dotarły do jej świadomości. Mój ojciec zna wprawdzie nazwiska, ale tego, co ci ludzie wymyślili i napisali, także nie, ten ziemianin był w gruncie*

*rzeczy również jedynie prymitywnym wzgardzicielem umysłu, dla którego krowy i świny znaczyły wszystko, a umysł tyle co nic. Gdyby ojciec miał wybór między towarzystwem Kanta i tucznika nagrodzonego w Ried w regionie Innviertel, na słynnym targu bydłowym, powiedziałem do Gambettiego, bez wahania zdecydowałby się na to drugie. Wtedy, gdy matka była w Rzymie, nie przedstawiłem jej pana, Gambetti, powiedziałem do niego, ponieważ nie spotkałby się pan z najmniejszym zrozumieniem z jej strony. Tylko by pana krytykowała, że na przykład nie nosi pan krawata, a zamiast księgi podatku od dochodu trzyma pan pod pachą książkę filozoficzną. Chociaż właściwie coś pan stracił, powiedziałem do Gambettiego. Na tę kolację w ambasadzie przyszliśmy oczywiście o wiele za późno, wszyscy już tam byli i oczekiwali nas.*

*Ci ludzie stoją i coś sobie nawzajem przekazują, przechwalając się swoim pochodzeniem i posiadanymi orderami, nieustannie informują, że byli akredytowani w Chinach, w Japonii, w Iranie i w Peru, i bez przerwy babrzą się w tej swojej dawno już stęchłej dyplomatycznej papce. Powtarzają nieustannie, że poznali wszystko na tym bożym świecie i nic więcej poznawać nie chcą, a w swoich miejskich mieszkaniach podobnie się nudzą jak w wiejskich posiadłościach. Rozmawiają o książkach tak, jakby chodziło o pozbawiony smaku chrupki chlebek, a na dyrygowaniu orkiestrą symfoniczną znajdują się tak samo jak na Spinozie, na Heideggerze zaś jak na Dantem, jednakże bystry obserwator zawsze wyniesie z tego wrażenie, że widzieli wszystko i nic. Moja matka, ogólnie rzecz biorąc, prezentuje się całkiem nieźle na takich przyjęciach, gdyż ani nie wypada z roli, ani nie traci fasonu, a jej beztroska wiejska paplanina, w której triumfy święci cały bezsens jej śmiesznego życia, bawi mieszkańców wielkiego miasta. Jako jej towarzysz jestem skazany na milczenie i koniec końców wychodzę na durnia. Gdy wracaliśmy z ambasady do domu, około dwunastej, zapytała mnie jeszcze raz, czy powiedziałem prawdę, twierdząc, iż Jean Paul to pisarz, a Siebenkas to jego utwór. Ponieważ nigdy w żadnej sprawie mi nie wierzyła, Gambetti, nie dała wiary moim słowom i w tym*

przypadku. Przyjechała przecież do Rzymu jedynie dla zaspokojenia ciekawości, powiedziałem do Gambettiego, jako że koniecznie chciała się dowiedzieć, gdzie i jak mieszkam. Owładnięta tą ciekawością, wsiadła pewnego dnia w pociąg i przyjechała do Rzymu, by wyszpiegować, jakby to określił wuj Georg, wszystko, co mnie dotyczy. Nazwa Piazza Minerva nic jej nie mówiła, Panteon zaś był dla niej wyłącznie przerażającym słowem, które знаła ze słyszenia, Gambetti. To, że wynająłem jedno z najpiękniejszych mieszkań w całym Rzymie i w całości urządziłem, zrobiło na niej początkowo wrażenie, w prawdziwym palazzo, wykrzyknęła już od samego wejścia do budynku, w którym mieszkam na trzecim piętrze, z widokiem na Panteon, powiedziałem do niej, sama zaraz zobaczysz. Nie mogła się tego doczekać. Mieszkasz rzeczywiście jak księżę, powiedziała, zanim jeszcze wkroczyła do mojego mieszkania, a w jej głosie od razu zabrzmiał ton pełen wyrzutu. Cóż to za niesamowity portal! wykrzyknęła, stanąwszy przed owym palazzo, w którym było moje mieszkanie, i spojrzawszy w górę na ścianę z marmuru. Wszystko to sobie całkiem inaczej wyobrażałam, powiedziała, gdy poprosiłem, żeby jednak weszła i wspięła się ze mną trzy piętra w górę, gdyż nie ma tu windy, powiedziałem do niej, to przecież dla ciebie nic takiego, wtedy zaczęła wchodzić i przystając co chwila, odwracała się i mówiła: doprawdy jak księżę. Fakt, że ten dom, nie powiedziałem, że ten pałac, nie ma windy, sprawia, iż mieszkanie jest stosunkowo tanie, powiedziałem do niej, muszę tu jednak płacić jeden z najdroższych czynszów, nie zawahałem się tego powiedzieć, podczas gdy wchodziłem z nią na górę do mieszkania, raz trzy kroki przed nią, to znów za nią, w dość uroczystym nastroju, jak można sobie wyobrazić, Gambetti. W końcu znaleźliśmy się na trzecim piętrze i stanęliśmy przed drzwiami mojego mieszkania. Zirykowało ją, że nie przytwierdziłem na nich tabliczki z nazwiskiem. Nie ma tabliczki, powiedziała, nawet listonosz nie wie, że tutaj mieszkasz. Zawsze lubiłeś być anonimowy, powiedziała, zanim weszliśmy do środka, ja zaś na to, że zachowywanie anonimowości w towarzystwie wydawało mi się zawsze czymś najprzyjemniejszym, w całkowitym

*przeciwieństwie do niej, która nieustannie dbała o to, żeby dać się poznać jako ktoś szczególny, chociaż sama nigdy nie wiedziała, czy ma w sobie to coś szczególnego. Oglądając fotografię, na której moi rodzice wsiadają na londyńskim dworcu Victoria do pociągu do Dover, przypomniałem sobie, jak matka wkroczyła do mojego mieszkania na Piazza Minerva: zdumionej i równocześnie przerażonej, z ogromnym trudem przyszło jej w ogóle znaleźć jakiegokolwiek słowa, gdy już weszła do środka. Najpierw nie mogła złapać tchu. W tym czasie jednak, a nawet już w chwili otwierania drzwi, i pewnie też z tego powodu podczas wchodzenia do niego, nie mogłem powstrzymać się od pewnej całkowicie absurdalnej myśli, Gambetti: przed laty moja matka zgubiła jeden z kluczy do sejfów i nie mogła go znaleźć, chcąc znaleźć ów zgubiony klucz, przeszukała i kazała przeszukać nie tylko swoje własne, lecz również wszystkie inne pokoje, ale nigdzie go nie było. Tak więc jej podejrzenie padło nagle na mnie, że to ja zabrałem klucz od sejfów z niewytłumaczalnych dla niej, ale oczywiście niskich pobudek, jak się wtedy wyraziła. I obwiniła mnie, Gambetti, całkiem bezpodstawnie, że w chwili, w której jej podejrzenie padło na mnie, schowałem gdzieś klucz od sejfów, by tak rzec, w najwyższej opresji, i że w ostatnim momencie wrzuciłem ten klucz od sejfów do znajdującej się na dole pod oknami jej pokoju studni, do wyschniętej od kilkudziesięciu lat studni, Gambetti, aby od razu nie zdemaskowano mnie jako pospolitego złodzieja. I niech pan sobie wyobrazi, Gambetti, powiedziałem do niego, że moja matka wydała polecenie przeszukania studni, jeden z ogrodników na jej oczach został spuszczonej przez swoich kolegów do studni, by wyciągnąć klucz, który ja, szatańskie dziecko, wrzuciłem tam ponoć w stanie najwyższej opresji. Naturalnie spuszczonej do studni ogrodnik nie znalazł zgubionego klucza, jako że ten klucz nie mógł się tam znajdować, bo nie wrzuciłem go tam w rzeczywistości, tylko w rozsierdzonej, skierowanej ciągle przeciw mnie wyobraźni mojej matki. Wydostawszy się ze studni, ogrodnik jął raz po raz zapewniać, że na dnie nie ma klucza od sejfów, że w studni nie ma niczego poza starym, na wpół przegniłym*

*butem. Matka tak się rozzłościła, że w studni nie ma jej klucza od sejfu, tylko jakiś stary, na wół przegnęły but, iż zwymyślała ogrodnika. Zwymyślała również mnie, muszę powiedzieć, w nieprzyzwoity sposób, Gambetti, i nie przestawała mi wymyślać aż do późnego wieczora.*

*Wiem, mówiła do mnie jeszcze przez wiele dni po tym zajściu i po tym, gdy ogrodnik na próżno zszedł do studni, że to ty wziąłeś ten klucz i nawet jeśli nie wrzuciłeś go do studni, to jednak w podły sposób go schowałeś, wszystko jedno gdzie. Od tego podejrzenia, Gambetti, do dziś się nie uwolniłem, ciągle jeszcze, by tak rzec, ciąży ono na mnie, matka jeszcze po wielu latach trwała w przekonaniu, że to ja ukryłem gdzieś klucz od sejfu. Ale ja nigdy go nie wziąłem, Gambetti, powiedziałem do niego, nie miałem powodu, żeby go wziąć, bo po co. W ogóle nie wpadłbym na taki pomysł, powiedziałem do Gambettiego. Ledwo otworzyłem drzwi do mojego mieszkania i wszedłem do niego z matką wtedy, gdy była w Rzymie, natychmiast przypomniało mi się to znamienne zajście, które jak żadne inne ukazuje relacje między mną a nią. Jest to jedno z najbardziej charakterystycznych zajęć w naszych relacjach, powiedziałem do Gambettiego, może nawet w ogóle najbardziej charakterystyczne. Przez cały czas, gdy matka przebywała już w moim mieszkaniu, myślałem wyłącznie o tym, jak wówczas kazała przeszukać studnię, sądząc, że to ja wrzuciłem do niej klucz od sejfu, złośliwie, z niskich pobudek. Owo tak odległe zajście przypomniało mi się w związku z otwieraniem mieszkania i myśl o nim nie opuszczała mnie przez cały czas, ale nawet wtedy, gdy zaniepokojona, zirytowana moim niezwykłym zachowaniem zapytała, co się ze mną dzieje, nie powiedziałem, jaka myśl zaprzęta mnie bardziej niż jej wejście do mojego mieszkania. *Nic*, odpowiedziałem. Bronilem się przed wydaniem na jej łup tej afery z kluczem w studni, która to sprawa zajmowała mnie bardziej niż pierwsze wejście matki do mojego mieszkania na Piazza Minerva, być może wywołałbym okropną dyskusję na ten temat, po tylu latach, Gambetti, powiedziałem do niego.*

A dyskusji z matką bardzo się bałem, boję się ich jeszcze dzisiaj, Gambetti. Ojca zostawiła wówczas w Wolfsegg, chociaż, jak wiem, chętnie pojechałby z nią do Rzymu. Wmówiła mu, że jest w Wolfsegg absolutnie niezbędny. *Nie możesz przecież w tych niepewnych czasach zostawić Wolfsegg bez dozoru*, tak brzmiały zawsze wypowiedziane przez nią wyrzuty, kierowane pod adresem mojego ojca, pomyślałem, patrząc na fotografię. *Przecież nie możesz teraz w okresie polowań, zostawić łowczych bez dozoru*, powiedziała do mojego ojca, *zapewniając go jeszcze, że wyruszenie w tę podróż do Rzymu samotnie, bez niego, wcale nie sprawia jej tak wielkiej przyjemności*, przywykła wszakże jeździć do Rzymu razem z nim, jej opiekunem, opiekunem, jak bardzo często z drwiną nazywała mojego ojca, *by mu się przypodobać, a nie dlatego, że istotnie była zdania, iż jej mąż, a mój ojciec naprawdę był jej opiekunem, nie był nim i nigdy nie mógłby być*. Tak więc pojechała sama do Rzymu, *żeby patrzeć mi na ręce, jak powiedziała zarówno do ojca, jak i do Johannaesa, co wiem, i biegła później po Rzymie tylko ze swoim przyjacielem Spadolinim, który już wówczas był bardzo wysokim urzędnikiem watykańskim, niezwykle szybko dosłużywszy się rangi arcybiskupa*, *powiedziałem do Gambettiego, noce spędzała wyłącznie ze Spadolinim, kiedy dzwoniłem do Hasslera, powiedziałem do Gambettiego, mówiono zawsze, że signory nie ma w domu, ani o jedenastej, ani o dwunastej, ani o pół do drugiej, ani o trzeciej, to jest cała prawda o mojej matce, o jej podróży do Rzymu, dla której to podróży koniec końców stanowiąc jedynie pretekst, Gambetti*. Podczas tej wyprawy do Rzymu ona wyłącznie zasłaniała się mną przed swoim mężem, moim ojcem. Spadoliniego znała z czasów, gdy był jeszcze podrzędnym radcą w wiedeńskiej nuncjaturze. Nie mogę powiedzieć, *żeby ten Spadolini nigdy mi się nie podobał, wręcz przeciwnie, jest to absolutnie fascynująca postać, nie mam nawet nic przeciw temu, że moja matka przez całe dziesięciolecie utrzymywała z nim znajomość, a może raczej przyjaźń, i że w mniejszym lub większym stopniu pielęgnowała ją przez dziesiątki lat, sprzeciwiam się jednak tajności tego związku, który w*



rzeczywistości jest romanssem, Gambetti. I wiem też, że matka była w Rzymie nie tylko ten jeden i nie ostatni raz, bardzo często spotykała się ze Spadoliniem, zasłaniając się pilną podróżą do Wiednia, często przyjeżdżała lub przylatywała do Rzymu, żeby chociaż jedną czy dwie noce spędzić ze Spadoliniem. Spadolini również często bywał w Wolfsegg, zmuszony, co było dla niego dość przykre, celebrować msze w naszej kaplicy, by tak rzec, w najwspanialszej oprawie, jakby celebrował mszę w Bazylice św. Piotra. Moja matka jest żadna wszelkich ceremonii, uwielbia pompatyczność, a chrześcijańskokościelną jak żadną inną, jest, jak sądzę, katoliczką przede wszystkim z tego jednego tylko powodu, że uwielbia tę kościelną pompatyczność, przede wszystkim zaś ceremonie podczas pogrzebów rzymskokatolickich, powiedziałem do Gambettiego. Arcybiskup w domu, i do tego jeszcze jeden z najwyższych watykańskich urzędników, by tak rzec, to ją fascynowało i temu ulegała we wszystkich możliwych, mniej lub bardziej niestosownych okolicznościach, ojciec długo nie mógł przejrzeć matactw matki, a kiedy już je przejrzał, było o wiele za późno, tych dwoje już zanadto rozbudowało swój spisek, Gambetti. Jednakże Spadolini jest zbyt niezwykłą osobowością, naturalnie, w przeciwnym razie nie wspiąłby się przecież tak wysoko w hierarchii watykańskiej, powiedziałem do Gambettiego. Pomijając ten niesmaczny romans między nim a moją matką cenię go nader wysoko, jest to jeden z najinteligentniejszych i najbardziej wykształconych ludzi. Nuncjusz w Limie, w Kopenhadze, wreszcie w Paryżu, w Nowym Jorku i Madrycie, Gambetti, to już coś, wszystkie te języki, którymi ten człowiek mówi, tysiące ksiązek, które przeczytał, wszystko, co widział i słyszał, to zdumiewające, że właśnie ktoś taki zbliżył się do mojej matki i przy niej został, przy takiej na wskroś powierzchownej kobiecie. Spotykała się z nim, zasłaniając się mną, powiedziałem do Gambettiego, dla pozorów musiała, by tak rzec, odwiedzać syna, żeby w istocie móc spotykać się potajemnie z arcybiskupem, co można nazwać wyłącznie podłością. Niech pan sobie tylko wyobrazi, na dwa dni poleciała ze Spadoliniem samolotem do Palermo i na dodatek spędziła z nim dwie noce w

Cefalu.

*Nie mam nic przeciw temu, Gambetti, ale ta potajemność budzi we mnie odrazę. Prawdę mówiąc, nie znam bardziej wykształconego i bardziej wartościowego człowieka niż Spadolini, wyłączając pana i Zacchiego, powiedziałem do Gambettiego. To niezwykle wrażliwe usposobienie, taki wzniosły umysł, i ten człowiek przez lata, przez kilkadziesiąt lat związany był z moją matką tak odrażającą tajemnicą. Ale matka niczego nie nauczyła się od Spadoliniego. Być może jego fascynuje właśnie owa beztroska, ta jej głupota, powiedziałem do Gambettiego. W ciągu dnia biegła ze mną po rzymskich sklepach, nocami spotykała się ze Spadolinim na Zatybrzu, jak wiem. Ale nie tylko po to, żeby, jak my to robimy, zjeść rybę, napić się wina, rozprostować nogi i wyłącznie z tego powodu być szczęśliwym, Gambetti, nie tylko po to. Ci dwoje zachodzili do różnych spelunek w pobliżu rakarni, którą pan zna, gdzie nie przeszkadzało im straszliwe wycie bezpańskich rzymskich psów dostarczanych tu w celu likwidacji. Jednakże nie zdradzę panu źródła, z którego mam te informacje, powiedziałem do Gambettiego, nawet panu. Spadolini, ten intelektualista, ten wybitny uczony, autor wspaniałych artykułów, geniusz zarówno w sztuce krasomówstwa, jak i w sztuce milczenia, geniusz, który zawsze niesłychanie mnie fascynował. Kiedy przyjechał po raz pierwszy do Wolfsegg, pomyślałem, że Wolfsegg nigdy dotąd nie gościło tak wspaniałego człowieka i tak wybitnego męża stanu. Kiedy po raz pierwszy w ornacie przewidzianym na Zielone Świątki odprawiał u nas mszę, Gambetti, nie wyobraża pan sobie, jak byłem poruszony, gdy zobaczyłem Spadoliniego po raz pierwszy, byłem bliski zawieszenia swoich wątpliwości wobec Kościoła katolickiego. Mężczyzna o takiej urodzie, muszę to przyznać, o takich manierach, o takiej naturalności w sposobie bycia jak nikt inny, a jednocześnie o takim wyczuciu na wszelką najdrobniejszą sztuczność. Natychmiast, tak to było, zakochałem się w Spadolinim. Ale dla mojego ojca Spadolini był zawsze solą w oku, ojciec nie mógł nic przeciw niemu zrobić, to matka decydowała, kiedy Spadolini nas*

odwiedzi, matka zdecydowała, kiedy sama odwiedzi Spadoliniego w Wiedniu, Paryżu, a wreszcie w Rzymie. Jadę do Spadoliniego, myślała, mówiąc mojemu ojcu, że jedzie do mnie. Być może wtedy, gdy po południu przyszła do Hasslera, udawała tylko przede mną, że dopiero co przyjechała do Rzymu, Gambetti, a w rzeczywistości już od kilku dni była w Rzymie razem ze Spadolinim, kto wie. Po mojej matce mogłem się spodziewać wszystkiego. Spadolini prowadził ją do opery, Spadolini zabierał ją do Neapolu, Spadolini wynajmował dla nich dwojga taksówkę, którą jeździli do Bari, do wspólnego przyjaciela ich obydwójga, jak wiem. Bo Spadolini, dobrze pan wie, najbardziej fascynuje kobiety, żony ambasadorów padają przed nim na kolana, przepychają się, żeby tylko pocałować go w rękę i z klęczek, na drżących kolanach, popatrzeć mu w oczy. Byłoby też jednak całkowicie nienaturalne, gdyby taki mężczyzna miał być stracony dla świata świeckiego, powiedziałem do Gambetti, ale nieszczęście polega na tym, że akurat moją matkę musiał sobie wypatrzeć wśród setek kobiet chętnych do podziwiania jego niepowtarzalnego uroku. Ja jestem tym kłamstwem, Gambetti, powiedziałem do Gambetti, które umożliwia Spadoliniemu istnienie w naszym życiu. A jednak ojciec nie tylko domyśla się istnienia tego związku, powiedziałem do Gambetti, ale świetnie o nim wie, tyle że bunt przeciw temu nie miałby sensu, matka może z ojcem zrobić, co tylko zechce. Mimo to nigdy nie odważyła się jak dotąd pojechać jawnie do Spadoliniego do Rzymu, wtedy bowiem musiałaby całkiem otwarcie zasłonić się mną, zwariowanym, ogarniętym manią wielkości synem, który na wiele miesięcy zatrzymał się w Hasslerze i wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości wynajął sobie na Piazza Minerva jedno z najdroższych mieszkań, na lata, być może na dziesięciolecie, ponieważ jedząc śniadanie, chce mieć przed oczyma widok na Panteon. Ale ja wiem, że moja matka nie uświadamia sobie do końca, iż w Rzymie spotyka się przede wszystkim ze Spadolinim, powiedziałem wówczas do Gambetti. Jeśli idzie o zakłamanie wobec ojca, jej aktorstwo jest doskonałe, powiedziałem do Gambetti. Pod tym względem matka osiąga niedościgłą

wręcz maestrię, równą maestrii najdoskonalszych artystów. Ponieważ wtedy przyjechała do Rzymu wyłącznie ze względu na Spadoliniego, pomyślałem teraz, wpatrując się w fotografię ukazującą matkę z moim ojcem na londyńskim dworcu Victoria, przez cały czas nudziła się ze mną, mając w głowie tylko i wyłącznie Spadoliniego. Ale stosunek między tymi dwojgiem nie obarcza konta Spadoliniego, powiedziałem do Gambettiego, obarcza on całkowicie i wyłącznie konto matki. Nie możesz przecież teraz w okresie polowań, zostawić łowczych bez dozoru, to zdanie, wygłoszone wówczas przez nią do mojego ojca, wydaje mi się teraz, w tak długi czas po jej wizycie w Rzymie, jeszcze o wiele bardziej nikczemne niż wtedy. Nawet łowczy, a wreszcie i ja musieliśmy zawsze być kozłami ofiarnymi, dzięki którym mogła się spotykać ze Spadolinim w Rzymie. Podczas gdy ona myślała przecież wyłącznie o tym, aby możliwie jak najszybciej spotkać się ze Spadolinim, nie wstydziła się i, jak to się mówi, miała czelność codziennie wysyłać do ojca widokówki z Zamkiem św. Anioła, Panteonem i Bazyliką św. Piotra, a więc w ogóle najbardziej pozbawione smaku, z takimi zdaniami jak: my (czyli ona i ja!) spędzamy przepiękne dni w Rzymie etcetera, i kazała mi podpisywać te kartki, dzięki czemu, jak się jej zdawało, miała alibi, oczywisty dowód na to, że codziennie przebywa ze mną i z nikim innym. Tymczasem to Spadolini był głównym bohaterem jej pobytów w Rzymie, Gambetti, nie ja. Jednakże, Gambetti, powiedziałem do Gambettiego, mnie w ogóle nie zależy na tym, żeby być głównym bohaterem jej pobytów w Rzymie.

Kłamliwość mojej matki osiągnęła wówczas tak wysoki poziom zuchwałości, powiedziałem do Gambettiego i natychmiast, muszę się do tego przed sobą przyznać, zawstydzilem się wypowiedzianego zdania, poczułem bowiem, że tą uwagą posunąłem się nazbyt daleko, przynajmniej wobec Gambettiego, co też od razu spostrzegłem po jego reakcji na tę moją uwagę. On jest zbyt subtelny, pomyślałem, aby nie odebrać tej mojej uwagi, zresztą nie tylko tej jednej, jako uwagi nie na miejscu, ba, nieomal ohydnej.

Nauczyciel nie powinien otwierać się w taki obrzydliwy sposób przed

*uczniem, pomyślałem, ale dotarło to do mnie zbyt późno. Z drugiej strony jednak, pomyślałem, powinienem być szczery w stosunku do swojego ucznia Gambettiego. Szczery owszem, ale nie nikczemny, poprawiłem się od razu, szczery owszem, ale nie podły, szczery owszem, ale nie ordynarny, szczery owszem, ale nie bez godności.*

*Jednakże Gambetti zna mnie już zbyt długo, żeby mnie nie rozumieć, pomyślałem z kolei, zna mnie tak długo i akceptuje, musi mieć swoje powody, pomyślałem. Ze Spadolinim oraz z moją matką to niebezpieczna sprawa, powiedziałem, kończąc z kolei tę sprawę, do Gambettiego, przechadzaliśmy się wówczas tam i z powrotem pod domem De Chicaria, nie mogąc się zdecydować, czy mamy jeszcze ochotę napić się herbaty w herbaciarni przy Piazza di Spagna, czy też usiąść w Greco. Nagły deszcz zapędził nas jednak do Greco, jak już nieraz, abyśmy mogli kontynuować rozmowę, w której centrum znajdował się, prawdę mówiąc, Pavese, a nie Spadolini i moja matka, o których myśl przyszła mi do głowy przy okazji pewnego spostrzeżenia Pavesego w jego słynnym Rzemiośle życia, w ogóle jednej z najważniejszych dla mnie książek, o której tego dnia trochę opowiadałem Gambettiemu. Porównałem Pavesego z Heinem i wyjaśniłem Gambettiemu swój pogląd. Nie pamiętam już, co w związku z Pavesem i Heinem, moimi ulubieńcami, spowodowało, że zacząłem naraz mówić o Spadolinim i o matce.*

*Naturalnie sam Spadolini zatajał przede mną spotkania z moją matką w Rzymie; chociaż bowiem bardzo często spotykam Spadoliniego, a spotykam się z nim chętnie i prawie co tydzień odwiedzam go w jego mieszkaniu albo w biurze, nigdy dotąd choćby słowem nie wspomniał o tym, że spotyka się z moją matką, ten kościelny dostojnik po prostu milczał na ten temat. Nie jestem pewien, czy on mimo wszystko nie wiedział, że ja jestem poinformowany o jego spotkaniach z moją matką. Pewnego dnia spotkaliśmy się wszyscy razem, Spadolini, matka i ja, i poszliśmy do Rocca di Papa, dokąd Spadolini, jak zawsze wspaniałomyślnie, zaprosił nas na obiad. Spadolini jest jednym z*

*najwspanialszych gospodarzy, jakich znam. Matka i Spadolini objawili mi się przy tej okazji w Rocca di Papa jako doskonali aktorzy, nic tego popołudnia nie wskazywało na to, że od poprzedniego wieczoru byli ze sobą całą noc, równie niewiele wskazywało też na to, że zdążyli się już umówić na spotkanie nazajutrz wieczorem. Jak można sobie wyobrazić, moje położenie między tą dwójką kłamców i obłudników, między zakłamaną matką i obłudnym dostojnikiem Kościoła, nie było miłe. Uporałem się z tym jednak, nie dałem po sobie niczego, ale to niczego poznać, udawałem, że co się tyczy tych dwojga, jestem najgorzej zorientowanym człowiekiem na świecie. Matka pożegnała się ze Spadoliniem w Rocca di Papa tak, jakby miała widzieć go po raz ostatni, podczas gdy przecież już wcześniej umówiła się z nim na spotkanie. Spadolini wrócił taksówką do Rzymu, jaz matką również, ta osobna jazda, jedno po drugim, wydała mi się wyłącznie ohydą groteską, która głównie dlatego uczyniła całą tę sytuację tak wyrazistą, że była doskonale zainscenizowana, nie umiem powiedzieć, przez które z tych dwojga z większą zręcznością, czy przez Spadolinię, czy też przez matkę. Mam jednak prawo założyć, iż w takich sytuacjach moja matka okazuje się osobą szczególnie wyrafinowaną. Spadolini to tylko prowadzony przez nią za rękę wykonawca jej sztuki maskowania się, pomyślałem, powiedziałem do Gambettiego. Najbardziej przykre jest dla mnie, Gambetti, musieć sobie powiedzieć, że księżę Kościoła to zwykły, posłuszny goguś mojej matki, chyba może pan to sobie wyobrazić. Naturalnie moje kontakty ze Spadoliniem spowodowane jego związkami z moją matką są drażliwej natury, ale oczywiście nigdy się tych kontaktów nie wyrzeknę, nawet gdyby zostały wystawione na o wiele większą próbę wytrzymałości, nie chcę bowiem wyrzec się człowieka takiego jak Spadolini. Chętnie go odwiedzam i cieszę się, że jest w Rzymie. Nie znamy zbyt wielu ludzi, z którymi moglibyśmy się spotykać z większym zainteresowaniem i z większą fascynacją, jeśli odczuwamy taką potrzebę. A Spadolini należy bez wątpienia do nielicznych ludzi ducha, jakich mam w Rzymie. Człowiek rozumu nie rezygnuje z kogoś takiego. Naprawdę, Gambetti,*

*powiedziałem do niego, jeśli idzie o Spadoliniego, nie mam najmniejszych skrupułów. Ale to nie jest ktoś dla mojej matki, Gambetti, ona nie zasługuje na takiego człowieka jak Spadolini. Oboje nazywają przyjaźnią coś, powiedziałem, śmiejąc się, co przecież jest wyłącznie nikczemnym, a równocześnie nazbyt śmiesznym stosunkiem, powiedziałem do Gambettiego. W rzeczywistości fotografie niczego nie zatajają, niczego nie ukrywają, sprawiają jedynie, że to, co utrwalone na nich osoby chcą przez całe życie zatajać i ukrywać, staje się wyraźne i bezwzględne, pomyślałem, przypatrując się nadal zdjęciom. Wszystko, co na nich zniekształcone i zakłamane, jest prawdą, pomyślałem. Absolutna potwarz jest na nich prawdą. Nawet jeśli utrwaleni, odbici, jak to się mówi, na nich ludzie nie żyją, nie są przez to lepsi. Tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy rok w Londynie, powiedziałem do siebie, wtedy rodzice byli jeszcze, jak to się mówi, młodymi ludźmi. Podróżowali. Nie mieli dzieci. Matka całymi latami broniła się przed posiadaniem dzieci, aż wreszcie ojciec ją do tego zmusił. Zażądał od niej przynajmniej dziedzica.*

*Wolfsegg musiało mieć dziedzica. Gdy moja matka urodziła Johannesesa, miała podobno poprzysiąc sobie: ani jednego dziecka więcej. Ale już rok później przyszedłem na świat ja, trudny, szatański, sprowadzający same nieszczęścia. Zawsze słyszałem, że nie chciała mnie mieć, wzbraniała się przede mną. Ale musiała mnie urodzić. Sprawcę swoich nieszczęść, co często powtarzała, również mnie prosto w oczy przy wszystkich możliwych okazjach, których już niepodobna zliczyć. Nie uszczęśliwiły jej także moje siostry, które przyszły na świat po mnie, ona nigdy nie była kimś, kogo nazywa się szczęśliwą matką, o ile takie szczęśliwe matki w ogóle istnieją. Dziedzic został zaakceptowany, mnie nigdy naprawdę nie zaakceptowano, uznano mnie za jego następcę, nigdy za nikogo więcej, przez całe życie musiałem czuć się zastępcą Johannesesa i dawano mi do zrozumienia, że jestem wyłącznie, by tak rzec, dziedzicem zastępczym, splotzonym na wypadek zaistnienia absolutnie ostatecznej sytuacji, jak wiem, pewnego letniego wieczoru w dziecięcej willi. Wbrew woli matki, co mi sama*

często powtarzała. W gorączkowej potyczce, by tak rzec, w połowie sierpnia. Podobno moja matka udała się do pewnego internisty w Wels, żeby się mnie pozbyć, ale ów internista odmówił wykonania zabiegu jako niebezpiecznego dla mojej matki. Tak zwana aborcja nie była jeszcze wówczas czymś zwyczajnym i naprawdę wiązała się zawsze z ryzykiem śmierci. Toteż moja matka poddała się losowi. Przez całe życie traktowała mnie jak dziecko niechciane i zawsze mnie tak przedstawiała, przy wszystkich możliwych okazjach, nazywając też często najbardziej zbędnym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. Znalazłem wprawdzie schronienie w Wels u dziadków ze strony matki, a w samym Wolfsegg u rodziców ojca, ale na zawsze pozostałem kimś, kto nie ma swojego miejsca. To naprawdę uniemożliwiało jakikolwiek proces wychowawczy i już w ciągu pierwszych lat prawie mnie zabiło, unicestwiło około osiemnastego i dziewiętnastego roku życia. Mogę powiedzieć, że na ratunek pośpieszył mi wyłącznie wuj Georg, który zajął się mną w chwili, gdy poczułem się zostawiony przez wszystkich wyłącznie samemu sobie. Zastępczy dziadec zawsze był wszystkim dość obojętny. Zapatrzeni w Johannes, mną się w ogóle nie przejmowali. Nasz Johannes! mawiali zawsze w szczęśliwych momentach, swoje imię natomiast słyszałem wyłącznie przy okazji jakichś okropnych sytuacji. Na domiar złego, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, nastał wtedy narodowy socjalizm, na który moja rodzina okazała się niezwykle podatna. Narodowy socjalizm odpowiadał im w najdrobniejszych szczegółach, by tak rzec, odkryli w nim samych siebie. Obok wielkiego, po większej części jednak tylko kochanego Pana Boga naraz zyskali wielkiego Fuhrera. Ale chociaż wtedy, gdy, by tak rzec, wkraczałem wiata myślenia, narodowy socjalizm należał już od dawna do przeszłości, to jednak odczułem jeszcze na sobie jego niezwykle szkodliwe skutki. Albowiem narodowy socjalizm moich rodziców nie skończył się wraz z końcem epoki narodowego socjalizmu, on był im wrodzony, toteż po zakończeniu epoki narodowego socjalizmu pielęgnowali go w sobie nadal, był on w istocie, podobnie jak katolicyzm, wyłączną treścią ich życia, która była im



niezbędna i bez której nie mogli istnieć. Toteż chociaż epoka narodowosocjalistyczna dawno się skończyła, byłem nadal wychowywany w duchu narodowosocjalistycznym, a równocześnie katolickim, czyli austriacką metodą władzy mieszanej, która w przypadku dorastającego człowieka pociągała za sobą straszne, odrażające konsekwencje. Jednakże pierwiastek katolicko-narodowosocjalistyczny i katolicko-narodowosocjalistyczne metody wychowawcze są w Austrii czymś normalnym, zwyczajnym, najbardziej rozpowszechnionym, nieprzerwanie więc wywierają na cały ten koniec końców narodowosocjalistyczno-katolicki kraj zgubne i straszne skutki. Narodowosocjalistyczno katolickie metody wychowawcze panują w Austrii bez najmniejszych ograniczeń, a kto twierdzi co innego, jest kłamcą i zarazem ignorantem; obowiązujące w tym kraju prawa z ich zgubnym i unicestwiającym mechanizmem działania są też wyłącznie narodowosocjalistyczno-katolickie. Oto prawda o Austrii. Tak zwany człowiek austriacki jest z natury na wskroś narodowosocjalistyczno-katolicki, choćby się przed tym nie wiem jak bronił. Katolicyzm i narodowy socjalizm zawsze się w tym narodzie i w tym kraju równoważyły, toteż raz kraj był bardziej narodowosocjalistyczny, kiedy indziej znów bardziej katolicki, ale nigdy tylko taki albo taki, jedno z dwóch. Umysł austriacki myśli zawsze i wyłącznie w sposób narodowosocjalistyczno-katolicki. Także austriaccy myśliciele zawsze tylko tak myśleli, tymi swoimi odrażającymi narodowosocjalistyczno-katolickimi umysłami. Jeśli wyjdziemy na ulicę w Wiedniu, zobaczymy koniec końców wyłącznie narodowych socjalistów i katolików, którzy raz podają się raczej za narodowych socjalistów, kiedy indziej znowu raczej za katolików, przeważnie jednak za jednych i drugich równocześnie, co ostatecznie przy bliższym zetknięciu i wnikliwej obserwacji strasznie mierzi, czy chcemy się do tego przyznać, czy też nie, powiedziałem do Gambettiego. Jeśli czytamy cokolwiek w austriackich gazetach, to jest to albo katolickie, albo narodowosocjalistyczne; jest to, musimy tak powiedzieć, austriackie, powiedziałem do Gambettiego. Jeśli przez pewien czas rozmawiamy

*z jakimś Austriakiem, już po chwili mamy wrażenie, że rozmawiamy z katolikiem, a nie z wolnym i niezależnym człowiekiem, Gambetti, albo też mamy wrażenie, że rozmawiamy z narodowym socjalistą, wreszcie zaś mamy wrażenie, iż rozmawiamy z kimś, kto jest na wskroś katolikiem i narodowym socjalistą i kto nader szybko budzi w nas odrazę. Ten duch katolicko-narodowosocjalistyczny, skoro w tym kontekście, bo nie mogę inaczej, jestem zmuszony tak sprofanować słowo duch, powiedziałem do Gambettiego, panował w Austrii zawsze i zawsze będzie tu panować. Mój brat Johannes jest z tego samego ducha, podobnie zresztą jak siostry, one jednak naturalnie w najgłupszy sposób, w odróżnieniu od mojego brata Johannesesa, który, podobnie jak ojciec, w mniejszym lub większym stopniu przez całe życie pielęgnował w sobie ducha katolickiego narodowego socjalizmu, który to duch wszakże, jak to już wiele razy powtarzałem, jest austriackim upiorem. Ja sam nie uległem temu duchowi, Gambetti, aczkolwiek ja również przez całe życie będę musiał prowadzić walkę, ponieważ ten duch jest mi wrodzony, a człowiek albo się w ogóle nigdy nie wyzbywa wrodzonych duchów, albo tylko podejmuje rozpaczliwe próby, zapewne jednak nigdy ostateczne, Gambetti. A mimo to moje życie jest dozgonnym uwalnianiem się od tego austriackiego upióra, powiedziałem do Gambettiego. Ten duch, czyli upiór, raz po raz mnie dotykał, powiedziałem do Gambettiego. Gdy tylko zauważam w sobie lub na sobie tego praaustriackiego upióra, bronię się przed nim na wszelkie sposoby. W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym, pomyślałem, patrząc na zdjęcie z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, ukazujące moich rodziców na dworcu Victoria w Londynie, oni właśnie dopiero co się pobrali, i moja matka odniosła triumf, by tak rzec, osiągnęła szczyt. Mój ojciec natomiast nie dostał jeszcze tego, czego pragnął: dziedzica. Tacy mężczyźni jak mój ojciec nie pragną dziecka, oni pragną dziedzica, żenią się więc dopiero w późnym wieku wyłącznie w tym jednym naprawdę podniecającym ich celu, lecą na łeb na szyję do ślubu z kobietą, którą ledwie poznali i o której w swojej żądzy posiadania dziedzica*

*prawie nic nie umieją powiedzieć. Gdy dziedzic przychodzi wreszcie na świat, są już tak osłabieni, że zasługują jedynie na miano starców. Przyszła matka mówi do takiego mężczyzny, dam ci dziedzica, po czym równocześnie i autentycznie zabiera mu właściwie wszystko. Z drugiej strony świeżo upieczony ojciec ma poczucie spełnienia swojej powinności, o co mu wszakże chodziło. Gdy pojawia się dziedzic, kobieta przestaje go w ogóle interesować. Przez większość czasu karze ją lekceważeniem i kiedy wpada w zły humor, a ona da mu po temu okazję, zarzuca jej podłość, zarzuca, że wykorzystwała jego wielkoduszność i poślubiła go tylko po to, by zawładnąć jego majątkiem. Z biegiem czasu oboje zaczynają sobie wszystko zarzucać, czyniąc ze wspólnego życia piekło. Małżeństwo nie prowadzi do wzajemnego poważania czy uspokojenia ani też do wzajemnego, wyrozumiałego i wreszcie pełnego zrozumienia wspólnego pożycia, lecz stopniowo staje się piekłem. Oboje urządzają się jakoś w tym piekle, a w końcu zaczynają się nienawidzić. Tę wzajemną nienawiść pojmują wkrótce jako konieczną, toteż świetnie spędzają w niej resztę życia. O ile jednak ojciec, zwracając się przeciw matce, z biegiem czasu zamknął się w sobie, o tyle ona zaczęła rozglądać się za polem działania dla swoich jeszcze niezmariałyh kobiecych idei i namiętności, czyli właśnie za jakimś Spadolinim, powiedziałem do siebie, wpatrując się w fotografię.*

*Owe mniej czy bardziej nieszczęśliwe okoliczności pozwoliły jej w nieomal szczęśliwy sposób znaleźć nawet arcybiskupa. Na dodatek takiego, który oprócz ciała o pozazdrosczenia godnej budowie ma również jeden z najjaśniejszych umysłów. Kiedy matka jest bardzo szczęśliwa ze Spadolinim, mówi do niego, jak wiem mój nuncjuszu. Taki widok z pewnością wzrusza i chwyta za serce, powiedziałem do Gambettiego. Przy tym, jak zawsze, gdy zaczynałem mówić o tak zwanym drażliwym dla mnie Spadolinim, wpadałem we wściekłość. To przecież absurdalne, powiedziałem do siebie, będąc megalomanami, nauczamy literatury niemieckiej i niemieckiej poezji, a na dodatek niemieckiej filozofii, i udajemy, że znamy tę literaturę, tę poezję i tę*

*filozofię albo że przynajmniej jest nam bliska, a prawdę mówiąc, stanowimy w gruncie rzeczy wyłącznie część tej wolfseggskiej hołoty, która nas tak mierzi, że trudno to wytrzymać. Z takiego podłego prowincjonalnego piekła jak Wolfsegg jedziemy do Rzymu, gdzie ze wszystkimi rozmawiamy o Schopenhauerze oraz o Goethem i nie czujemy się zawstydzeni.*

*Folgujemy swoim nader perwersyjnym pobudkom, powiedziałem do siebie. W gruncie rzeczy zajmuję się właśnie rozkładaniem Wolfsegg i swojej rodziny, rozbieraniem jej na czynniki pierwsze, wymazywaniem, skazywaniem na zagładę, a przy tym sam się rozkładam, rozbieram siebie na czynniki pierwsze, skazuję na zagładę i wymazuję. Ta myśl jednak, powiedziałem do Gambettiego, sprawia mi z kolei przyjemność, ten autorozkład i to autowymazywanie. Przez całe życie nie miałem przecież innych zamiarów. I jeśli się nie mylę, Gambetti, ów autorozkład i owo autowymazywanie nawet mi się udają. W rzeczywistości nie robię nic innego, tylko rozkładam się i wymazuję; moja pierwsza myśl, gdy budzę się o świcie, każe mi z całym zdecydowaniem zabrać się do autorozkładu i autowymazywania. Rodzice prowadzili nas, dzieci, zawsze tylko na skraj przepaści, jej samej tak naprawdę nam nie pokazując, nie pozwalali nam spojrzeć w głąb, zawsze w odpowiednim momencie odciągali nas do tyłu, tak więc nieustannie dążyli wyłącznie do ciągłego doprowadzania swoich dzieci na skraj przepaści, nie pokazując im, co w rzeczywistości stało się powodem tej ruiny. W taki sposób zachowują się miliony rodziców, powiedziałem do Gambettiego. Zamieniłem teraz zdjęcia miejscami, to, na którym jest utrwalony mój brat na żaglówce, położyłem na tym, na którym utrwaleni są moi rodzice, a pod nim zdjęcie sióstr.*

*Przyjechały wtedy do Cannes, żeby ode mnie i wuja Georga wyłudzić pieniądze na zaplanowaną przez siebie podróż do Ameryki, na którą rodzice nie dali im ani grosza, uważając, że taka podróż jest moim siostrom całkiem zbyteczna. W Cannes próbowały wszystkich metod, aby uszczuplić majątek wuja Georga o kwotę potrzebną im na tę podróż. Po dwu tygodniach jednak*

zrezygnowały, wuj Georg nie dał im ani grosza, on również był zdania, że pieniądze wydane na podróż moich siostr do Ameryki to pieniądze wyrzucone w błoto. Od tej pory siostry nienawidziły wuja Georga jeszcze większą nienawiścią niż dawniej. Chociaż w Nicei obchodził się z nimi nader wspaniałomyślnie, jak wiem, prowadził je do najdroższych lokali, kupił im mnóstwo sukien, bransolet, naszyjników etcetera. Jednak wuj Georg je przejrzał. A poza tym to nie one same przez się wpadły na pomysł, żeby wyciągnąć od niego pieniądze na podróż do Ameryki, lecz, o ile wiem, moja matka. To ona wysłała córki w tym podłym celu do Cannes, na próżno jednak. Siłą napędową zła, muszę sobie to powiedzieć, była zawsze moja matka, powiedziałem do Gambettiego. Zło w Wolfsegg, gdy cofniemy się do jego początków, sprowadzało się zawsze do matki, ona stanowiła punkt wyjścia. Z drugiej strony, powiedziałem do Gambettiego, obwinianie jej o to byłoby jednak absolutnie bezsensowne, ona, choć zabrzmi to absurdalnie, nie mogła nic na to poradzić.

Podobnie jak zawsze stanowiła źródło wszelkiego zła, zawsze też przyciągała zło do siebie. Każdy człowiek, który się z nią zetknął, stawał się naraz złym człowiekiem, mógłbym powiedzieć, powiedziałem do Gambettiego, podobnie ze Spadoliniego zrobiła złego człowieka, tak samo jak ze mnie, jak z mojego brata etcetera. I naturalnie z ojca, który pierwotnie nie był przecież złym człowiekiem - prostym tak, muszę to powiedzieć, ale nie złym. Taki człowiek jak moja matka robi złą rodzinę z rodziny, która nigdy zła nie była, i zły dom z domu, który nigdy nie był zły, Gambetti. Nie miałyby jednak absolutnie sensu zwalanie całej winy wyłącznie na nią za to zło, jak to czynimy, gdyż nie mamy innego wyboru, albo dlatego, że inny typ myślenia jest dla nas zbyt trudny, zbyt skomplikowany, po prostu niemożliwy upraszczamy sprawę i mówimy ta nasza matka, ona jest złym człowiekiem, po czym robimy z tego myśl na całe życie. Przez tę kobietę wszyscy staliśmy się źli, powiedziałem do Gambettiego. Ale nawet niewątpliwe wzruszenie wywołane leżącymi przede mną fotografiami nie ustrzegło mnie przed oskarżaniem rodziców teraz, kiedy już nie

żyją, oraz atakowaniem ich w najbrutalniejszy sposób. Ba, naraz przemknęło mi wręcz przez myśl, że rodzice całkiem świadomie i we właściwy im podły sposób zostawili mnie samego. Natychmiast jednak stłamsiłem tę myśl w sobie, ponieważ już w momencie, w którym ją pomyślałem, wydała mi się całkowicie bezsensowna. Matki ponoszą odpowiedzialność, powiedziałem nagle do Gambettiego, przechadzając się z nim po Corso na kilka dni przed wyjazdem do Wolfsegg, już całkowicie i wyłącznie ovladnięty przez Wolfsegg i oczekującą mnie tam okoliczność tak zwanych zaślubin mojej siostry z fabrykantem kapsli do wina, ovladnięty przez Wolfsegg, które ścisłało mi krtań zazwyczaj jeszcze przed wyjazdem z Rzymu, jedynie matki ponoszą odpowiedzialność i to właśnie one unikają tej odpowiedzialności wtedy, gdy są matkami, nieomal całkowicie zwalając wszystko na świat dookoła. Matki ponoszą odpowiedzialność, ale jak co do czego przychodzi, nikt nigdy nie pociąga ich do odpowiedzialności, ponieważ cały świat ma od tysięcy tak wysokie i pozytywne zdanie o matkach, nie do wyplenienia. Dlaczego? spytałem Gambettiego, dlaczego? Matki wydają swoje dzieci na świat, obarczając go za to i za wszystko związane z tymi dziećmi odpowiedzialnością w sytuacjach, kiedy to same powinny ponosić odpowiedzialność, ale jej nie ponoszą. Matki uchylają się od wszelkiej odpowiedzialności za dzieci wydawane przez siebie na świat, taka jest prawda, Gambetti. To, co mówię, dotyczy dużej części, wręcz większości matek. Tyle że jestem w tym myśleniu osamotniony. Takie myśli wolno nam myśleć potajemnie, nie wolno ich jednak wypowiadać, Gambetti, wolno je zatrzymać dla siebie, ale nie wolno ich publikować, w mniejszym lub większym stopniu musimy dusić się nimi w świecie, który na takie myśli reaguje w sobie właściwy sposób, czyli z niechęcią. Artykuł, Gambetti, któremu dałbym tytuł *Matki* i go opublikował, miałby tylko ten skutek, że uznano by mnie za kłamcę lub błazna albo za jednego i drugiego równocześnie. Świat, który jest przecież przyzwyczajony wyłącznie do obłudy, a nie do faktów, nie zniósłby takiego napisanego przeze mnie i opublikowanego artykułu.

Powiedzmy to jasno, w tym świecie fakty się ignoruje, a za fakty uznaje jakieś wydumane ideały, ponieważ pod względem politycznym jest to bardziej korzystne i przyjemne niż coś odwrotnego, Gambetti. Telegram mną nie wstrząsnął, jak to się mówi, sprawił jedynie, że z wolna zaczęły pojawiać się w mojej głowie myśli o skutkach, które naturalnie spowoduje, ale wciąż jeszcze miałem jasny umysł, równie jasny jak w chwili, gdy po raz pierwszy przeczytałem ten telegram. Także później, gdy przeczytałem go po raz drugi i trzeci, ręce mi nie zadrżały, ciałem nie wstrząsnął dreszcz, moje ręce, one nie drżały nawet po kilku godzinach, moje ciało, ono się nie trzęsło. Całkiem spokojnie patrzyłem na swoje mieszkanie, które w ostatnich latach urządziłem sobie według własnego smaku i w całkowitej zgodzie z własnym duchem. Przyzwyczailem się do wielkości tego mieszkania, uczyniłem je, by tak rzec, idealnym dla swoich potrzeb. To mieszkanie zawdzięczasz Zacchiemu, pomyślałem, który mieszka naprzeciw mojemu domu we własnym pałacu. Tutaj, w twoim mieszkaniu, jest twoje centrum, które nim zostanie. Nie zrezygnujesz z tego centrum samego siebie, zrobisz wszystko, żeby nie musieć z niego rezygnować. Nic nie odciągnie cię od Rzymu i nie zawiedzie z powrotem do Wolfsegg. Wstałem i podszedłem do okna. Na Piazza Minerva panował taki spokój, jak jeszcze nigdy przedtem, dwoje, troje ludzi, nic poza tym, co o tej porze, o piątej po południu, było niezwykle. Opuściłem żaluzje, dzięki czemu prawie całkowicie zaciemniłem mieszkanie, tak, najbardziej lubię przebywać w tym nieomal całkowicie zaciemnionym mieszkaniu, tutaj rodzą mi się najlepsze myśli. W pewnym momencie pomyślałem, że pojadę do Wolfsegg jeszcze tego samego wieczoru, nocnym pociągiem, później znów, że polecę dopiero wczesnym rankiem, raz myślałem, że *od razu* wsiądę w pociąg, to znów, że polecę *dopiero jutro* rano pierwszym samolotem, ale chodząc nadal spokojnie tam i z powrotem, rozważałem tylko wciąż to samo, w jaki sposób wrócić do Wolfsegg. Medytowałem, jak też i z jakim nastawieniem oczekują mnie siostry, którym pozwalałam trwać w niepewności co do mojego przyjazdu, *po* myślałem.

Przyszło mi do głowy, że może zejść na dół i zadzwonię, i już nawet podszedłem do drzwi, żeby zejść na dół, jednak znalazłszy się przy nich, wróciłem znowu do okna, i na odwrót, kilkadziesiąt razy, może setki *razy* podchodziłem do drzwi i wracałem, nie pamiętam już dokładnie, ile to było razy, ale ciągle, częściej niż kilka razy, częściej niż kilkadziesiąt razy podchodziłem do okna i znowu szedłem do drzwi. Usiadłem z powrotem przy biurku, co zwykłem czynić o tej porze, ale nie usiadłem po to, by oddać się pracy i robić notatki, przede wszystkim zaś przygotować lekcję dla Gambettiego, lecz po to, żeby znów popatrzeć na zdjęcia, które nadal leżały na moim biurku. Nie czułem najmniejszej potrzeby skontaktowania się z kimkolwiek, chciałem być absolutnie sam, całkiem po prostu nie czułem potrzeby komunikowania się z nikim, musiałem teraz być sam z tą wiadomością o śmierci; kogo, pomyślałem, powinienem powiadomić o śmierci moich rodziców, jak i w jaki sposób, myślałem o kimś jednym i o kimś innym, brałem pod uwagę jakieś jedno i drugie nazwisko, nagle przychodził mi do głowy ten czy inny numer telefonu, ale coraz to rezygnowałem z kolejnego pomysłu podzielenia się z kimkolwiek tą wiadomością o śmierci, może Gambetti, myślałem, może Zacchi, może Maria, moja poetka, która mieszka nieopodal Via Condotti i z którą byłem tego wieczoru umówiony na kolację. Od kiedy mieszkałem w Rzymie, regularnie spotykałem się z Marią, jedyną kobietą, z którą naprawdę utrzymywałem kontakt, do której przez cały czas miałem ochotę chodzić co tydzień, *idziesz do tej mądrej*, myślałem, *do tej pełnej wyobraźni, do tej wielkiej*, gdyż ani przez chwilę nie wątpiłem w to, że to, co ona pisze, jest wielkie, ciągle jeszcze większe niż wszystko inne autorstwa wszystkich innych poetek. Przede wszystkim do niej powinienem zadzwonić i powiedzieć, dlaczego nic nie wyjdzie z naszego dzisiejszego spotkania, dlaczego muszę wracać do Wolfsegg, które zawsze opisywałem jej wyłącznie jako przekłete, zabójcze dla mnie. Maria nie zna innego Wolfsegg niż to moje zabójcze, podobnie jak Gambetti nie zna żadnego innego, ani Zacchi nie zna żadnego



innego, wszyscy inni, z którymi spotykam się w Rzymie, również nie, wszystkim zawsze tylko opowiadałem o przekętym i zabójczym dla mnie Wolfsegg, o prowincjonalnym piekle wolfseggskim. Zadzwoń do Marii, zadzwoń do Gambettiego, zadzwoń do Zacchiego, pomyślałem i znów usiadłem przy biurku.

Niczego nie zabierać ze sobą do Wolfsegg, pomyślałem. Zachować spokój. Zadzwoń do sióstr.

Poinformować je o swoim przyjeździe. Najpierw jednak sam muszę wiedzieć, kiedy pojedę, a tego jeszcze nie wiem. Nie mogłem się jednak zdecydować, nie mogłem podjąć ostatecznej decyzji. Jeśli koleje zastrajkują, polecę samolotem, powiedziałem do siebie, jeśli zastrajkują towarzystwa lotnicze, pojedę pociągiem, ale pociągiem musiałbym pojechać jeszcze dzisiaj w nocy, samolotem zaś polecieć jutro rano o piątej. Jeszcze po żadnym powrocie z Wolfsegg nie myślałem o Wolfsegg z taką niechęcią, przysięgając sobie, że długo już do Wolfsegg nie wrócę. A teraz *bezzwłocznie* muszę tam wracać.

Przyszedł mi na myśl nasz adwokat z Wels, adwokat ojca, który ma kancelarię na Josefsplatz, która to kancelaria za każdym razem, gdy do niej wchodzi, wydaje mi się jednakowo ohydna. Zobaczyłem nagle żonę adwokata, równie ohydny. Zobaczyłem naszego lekarza z Wels, ohydny. Jego żonę, ohydny.

Miasto Wels i wszystkie okoliczne miasteczka zobaczyłem w ohydny świat. Zobaczyłem Vöcklabruck, ohydny, zobaczyłem Gmunden, ohydny. Ci straszni ludzie w tych swoich ciężkich paltach zimowych, wprost chce się rzygać, pomyślałem, tych pozbawionych gustu kapeluszach na głowach, ciężkich, kłocowatych butach na nogach. Zobaczyłem Rynek w Wels i pomyślałem, jaki straszny, jaki odpychający, zobaczyłem Plac Miejski w Gmunden i pomyślałem, jaki ohydny. Kiedy rozmawiamy z ludźmi z tych ohydnych miejscowości, cały świat wydaje się nam po prostu ohydny. Ale kiedy żyjemy w tej okolicy, to ciągle mamy do czynienia z tymi ohydny ludźmi,

pomyślałem, nie możemy od nich uciec, tu oni są regułą. Równie źle wytrzymuję ich sposób mówienia, jak i sposób ubierania się, nie wytrzymuję tego, w jaki sposób myślą, nie wytrzymuję tego, co pokazują, co zrobili i jakie mają plany.

Wszystko, co mówią, mierzi mnie, wszystko, co robią, mierzi mnie. Całkiem po prostu nie wytrzymuję ich katolicko-narodowosocjalistycznego sposobu życia, nie wytrzymuję ich tonu, nie wytrzymuję nie tylko tego, *co* mówią, lecz także tego, *jak* powiedzieli to, co powiedzieli. Kiedy ich obserwuję, nie potrafię okazać należnych im uczuć, tylko same najbardziej niesprawiedliwe, powiedziałem do siebie, prawdopodobnie cierpię również na chorobliwą niechęć do Wolfsegg, jestem niesprawiedliwy wobec nich, jestem bezwzględnie niesprawiedliwy wobec nich i wobec wszystkiego, co ich dotyczy w moim sposobie obserwacji, po prostu obserwując ich, brzydzę się nimi, robi mi się od tego niedobrze. Na co mi te piękne uliczki w tych małych miasteczkach, skoro zaludniają je ci odpychający ludzie, pomyślałem, na co te piękne place, skoro wystają na nich ci mniej lub bardziej szpetni ludzie. Już od bardzo dawna nie umiem wzbudzić w sobie dla nich zrozumienia. Pogardzam nimi, nienawidzę ich, będąc równocześnie świadomi tej swojej strasznej niesprawiedliwości wobec nich. Nie mogę jednak i nie chcę, żeby wszyscy ci ludzie mnie lubili, nie chcę się z tym ludem pospolitować i nie chcę, by mnie lubił, powiedziałem do siebie, już nie mogę do nich, do tego ludu, wrócić. Nie mogę już wchodzić do ich śmiesznych sklepów, nie mogę odwiedzać ich zatęchłych kancelarii, nie mogę już wchodzić do ich lodowatych, wystrojonych na pokaz kościołów. Ci lekarze mnie zrujnowali, ci adwokaci mnie oszukali, ci księża mnie okłamali, wszyscy ci ludzie rozczarowali mnie w najbardziej odrażający sposób i upokorzyli, zachwiewając moją wiarę w nich, więc nie mogę już na nich patrzeć, pomyślałem, brzydzę się nimi i nic tego nie zmieni. Wszyscy ci ludzie nienawidzą tego, co ja kocham, pogardzają tym, co ja poważam, lubią to, czego ja nie lubię. Nawet ich powietrze wydaje mi się teraz

wyłącznie obrzydliwe. Na całym świecie mam przyjaciół, powiedziałem do siebie, tylko tam, gdzie właściwie powinienem czuć się jak w domu, nigdy nie miałem przyjaciół, poza prostymi, najprostszymi robotnikami i górnikami. Na całym świecie czułem się zawsze, przynajmniej przez jakiś czas, niezwykle szczęśliwy, w wielu miejscach byłem najbardziej zadowolonym i najszczęśliwszym człowiekiem, ba, nawet najwdzięczniejszym, tam zaś, gdzie powinienem nim być, nigdy nim nie byłem. Nie rozumieją cię, wcale nie rozumieją, w ogóle nic nie rozumieją, powiedziałem do siebie. Nie mają własnego stylu w życiu, powiedziałem do siebie. Żyją po to, by pracować, nie pracują po to, by żyć. Są pospolici, są podli, równocześnie zaś rozsadza ich mania wielkości. W perwersyjny sposób mówią *dzień dobry*, w równie perwersyjny sposób *dobry wieczór* i *dobranoc*. Kiedy myślisz o swojej rodzinie, robi ci się niedobrze, kiedy myślisz o innych, robi ci się tak samo niedobrze. Ktoś, kto tak myśli, jest oczywiście chory, powiedziałem do siebie i natychmiast uświadomiłem sobie niebezpieczeństwo wynikające z takiego nastroju.

Uspokój się, powiedziałem do siebie, zachowaj jasność umysłu, tylko spokojnie, absolutnie spokojnie.

Ale nie mogłem się wydobyć z tego niebezpiecznego nastroju. Wręcz słyszałem, jak mówią: on cierpi na manię prześladowczą, jak to się zawsze mówi, na inną manię wielkości niż my, na swoją manię wielkości. Kiedy *oni* mnie widzą, im robi się niedobrze, on mówi dzień dobry, a oni odbierają to jako perwersyjne, jak też on mówi to dobry wieczór czy to dobranoc, powiedziałem teraz do siebie. Jak on się ubiera, oni odczuwają to jako równie odpychające, te jego ubrania, te jego kapelusze, te jego buty, to, co mówi, to, co myśli, co robi lub czego nie robi. Pogardzają nim, podobnie jak on nimi pogardza, nienawidzą go, jak on ich nienawidzi. Czyja pogarda, czyja nienawiść jest bardziej usprawiedliwiona?

Nie umiem tego ocenić, powiedziałem do siebie. Wstałem i podszedłem do okna, bo nie mogłem już wytrzymać przy biurku, i spojrzałem na Piazza

Minerva w dole. Zacchi pozamykał wszystkie okiennice, powiedziałem do siebie, pewnie w ogóle go nie ma, pewnie jest u siostry w Palermo. Często ją odwiedza.

Chora na nerki leży w szpitalu, specjalizującym się w leczeniu tak zwanego stwardnienia nerek, w jednej z najpiękniejszych okolic Sycylii, pod Monte Pellegrini. Skoro pozamykał okiennice, to pewnie pojechał do swojej siostry do Palermo, pomyślałem. Ale spróbuję jeszcze poinformować go o śmierci moich rodziców, powiedziałem do siebie. Późnym wieczorem, może już wtedy będzie w domu. Przeszedłem przez całe mieszkanie, w którym mam zawsze pootwierane wszystkie drzwi, możliwie jak najszerzej, abym mógł bez przeszkód spacerować tam i z powrotem, w ten sposób oszczędzam sobie bardzo często konieczności wychodzenia na ulicę w celach regeneracyjnych, wystarczy, że kilka razy przespaceruję się tam i z powrotem po swoim mieszkaniu. Sam opuściłem Wolfsegg, powiedziałem do siebie, po czym przeszedłem całe mieszkanie w jedną stronę. Powoli się uspokajałem. Sam całkiem świadomie opuściłem Wolfsegg i swoją rodzinę. *Zuchwale* zerwałem z Wolfsegg. Zawsze przecież raniłem rodziców.

Zawsze robiłem wszystko przeciw nim, robiłem też zawsze wszystko przeciw rodzeństwu tylko po to, żeby je zranić. Nie przebierałem w metodach ranienia. Bardzo często ich lekceważyłem i ośmieszałem, chociaż nie było w nich nic, co trzeba by lekceważyć i ośmieszać, powiedziałem do siebie i ponownie odzyskałem jasność umysłu. Bardzo często w najpodlejszy sposób oskarżałem ojca w sytuacjach, w których żadne oskarżenie nie miało najmniejszego uzasadnienia. okłamywałem matkę, bardzo często też ośmieszałem ją przy ludziach, lekceważyłem, raniłem ją swoją wyniosłością, musiałem to sobie teraz powiedzieć. Ale rzeczywiście wracał mi spokój, wracała jasność umysłu. Całkiem świadomie odizolowałem się od moich bliskich, przyznawszy się wobec nich do winy, by tak rzec, sam pozbawiłem się praw, powiedziałem do siebie i pospacerowałem w odwrotną stronę. Przez tyle lat nie

kazałem malować mieszkania. ponieważ zupełnie już nie mogę znieść rzemieślników, powiedziałem do siebie, przyglądając się rysom na plafonie. Musiałem wprowadzić się do renesansowego pałacu, żebym wreszcie mógł poczuć się sam, odizolować się od wszystkich, powiedziałem do siebie, gdyż prawda jest przecież taka, że odizolowałem się od wszystkich, nie tylko od mojej rodziny z Wolfsegg Gambetti, Zacchi, Maria, moje towarzystwo skurczyło się do tych paru osób, a wkrótce również to skurczone towarzystwo przestanie istnieć, powiedziałem do siebie i ruszyłem znowu w przeciwną stronę. Jak się dobrze zastanowić, to okazuje się, że nagle jesteśmy *całkiem sami* i żyjemy *całkiem sami bez jednego jedyne go człowieka*, powiedziałem do siebie. *Założyłem ręce za plecy, ten zwyczaj przejąłem od dziadka ze strony ojca, powiedziałem do siebie. W ogóle od dziadka ze strony ojca przejąłem nie tylko wiele, lecz prawie wszystko. Gdyby wuj Georg wiedział, jaki w rzeczywistości jestem teraz samotny. Przez cały czas tęsknię do samotności, a przecież jestem sam, jestem najnie szczęśliwszym człowiekiem. Nie znoszę samotności i nieustannie o niej mówię, głoszę chwałę samotności, a nienawidzę jej do głębi, gdyż ona unieszczęśliwia jak nic poza tym, co wiem, co już teraz odczuwam, na przykład głoszę Gambettiemu chwałę samotności, wiedząc bardzo dobrze, że samotność jest najstraszliwszą ze wszystkich kar. Mówię do Gambettiego, Gambetti, samotność to najwyższa wartość, ponieważ gram rolę jego filozofa, ale przecież wiem bardzo dobrze, że samotność jest najstraszliwsza ze wszystkich kar. Tylko szalenie propaguje samotność, a całkowita samotność to koniec końców nic innego jak całkowite szaleństwo, pomyślałem i znowu ruszyłem w drugą stronę. Mieszkanie jest na tyle duże, że nie muszę doznawać wrażenia, iż ogranicza moje myśli czy wręcz je przygniata, ono pozostawia moim myślom swobodę, którą poza tym czuję również, gdy przebywam na dużych placach. Uwzględniłem to, wybierając mieszkanie z właściwą sobie megalomanią, ponieważ niewątpliwie megalomanią z mojej strony było to, że wynająłem sobie to ogromne mieszkanie na Piazza Minerva za*

*ostatecznie niesamowitą wprost cenę, o której nigdy nie pisałem mojej rodzinie ani słowa, kiedyś wymieniłem jakąś kwotę, bo mnie o to zapytali, lecz nie zdradziłem nawet połowy tej ceny, wymyśliłem jakąś sumę, gdybym bowiem powiedział im prawdę, uznaliby mnie za szaleńca. Jest to jedno z najkorzystniej, wynajętych mieszkań w całym Rzymie, powiedziałem do nich, a potem nigdy więcej nie rozmawiałem z nimi o cenie mojego mieszkania. Muszę przyznać, że od czasu do czasu czuję się w tym mieszkaniu jak w więzieniu, powiedziałem sam do siebie, i chodzę po nim tam i z powrotem, jak się chodzi tam i z powrotem w prawdziwym więzieniu. Często też nazywam to mieszkanie swoim więzieniem intelektualnym, ale tylko sam przed sobą, przed nikim więcej, żeby nie podejrzewano mnie o szaleństwo, gdyż nazywanie mieszkania więzieniem intelektualnym może przyjść do głowy tylko szaleńcowi, pomyśleliby sobie z pewnością. Usiadłem przy biurku i wpatrzyłem się w fotografie, w które wpatrywałem się już całe popołudnie, które obserwowałem, jak natychmiast sam siebie poprawiłem. Położyłem teraz te zdjęcia jedno obok drugiego i uznałem, że utrwalone na nich osoby nie mogą zostać ocenione w taki sposób. Nie jako sfotografowane. Położyłem fotografie jedną na drugiej, tak że zdjęcie rodziców, które ukazuje ich na dworcu Victoria w Londynie, gdy właśnie wsiadają do pociągu do Dover, przykryło dwa pozostałe. Pragnąłem, żeby było odwrotnie, ale oni również teraz robili na mnie takie samo komiczne i zabawne wrażenie jak wcześniej. Włożyłem fotografie z powrotem do szuflady i postanowiłem, jak to się mówi, zadzwonić do przyjaciół i porannym samolotem wylecieć z Rzymu do domu. Miałem całkowitą jasność umysłu. Wiedziałem, co oznacza ten telegram.*

### **Testament**

*Mój przyjazd do Wolfsegg był dyskretny, zaskakujący, siostry nigdy mi tego nie wybaczyły, zwłaszcza że nie od razu pojechałem do nich na górę, tylko najpierw wysiadłem we wsi, w miejscu, w którym mogłem mieć pewność, iż nikt mnie nie obserwuje; u wjazdu do wsi, gdzie główna droga rozwidła się,*

*prowadząc jedną odnogą do kopalń, poprosiłem szofera, żeby się zatrzymał i wysadził mnie w pobliżu szkoły, obok tak zwanej Figury Matki Boskiej, udało mi się nawet przejść przez plac i nikogo nie spotkać; miałem wrażenie, że wszyscy pochowali się w domach i zagrodach, jakby nie chcieli się pokazywać, teraz, gdy moi rodzice, jak zakładałem, leżą na górze w Wolfsegg na katafalku, wraz z moim bratem, że istotnie cała wieś jest pogrążona w żałobie, pomyślałem, nie biorąc pod uwagę, iż również w całkiem zwyczajne dni tygodnia wieś około południa jest opustoszała. W żadnym razie nie chciałem wjechać na górę do Wolfsegg, szofer naturalnie mnie rozpoznał, już na stacji, już w Attnang-Puchheim, gdzie wysiadłem z pociągu i od razu przez perony udałem się do taksówki, wydawało mi się, że ludzie mnie rozpoznają, ale unikałem ich spojrzeń i maszerowałem szybszym niż zazwyczaj krokiem, od razu poszedłem do taksówki, mówiąc, iż chcę jak najszybciej dostać się do Wolfsegg. W czasie jazdy nie myślałem jednak o Wolfsegg, w którego stronę zmierzałem, lecz o Rzymie, który opuściłem wcześniej rano; wbrew swojej woli jedziesz tą drogą w górę do Wolfsegg, pomyślałem, wbrew swojej woli jesteś tutaj, przez cały czas, choć przecież jechałem taksówką przez jedną z najpiękniejszych okolic, jakie w ogóle istnieją, od Przedgórza Alpejskiego do Hausruck, przez okolicę, która zawsze budziła we mnie ogromną sympatię i przynosiła całkowite ukojenie, być może nawet przez najpiękniejszą ze wszystkich, gdybym tyk ko mógł kiedykolwiek patrzeć na nią, zapominając o rodzinie i o Wolfsegg. W gruncie rzeczy jechałem przez swój ulubiony krajobraz, przez gęste lasy w pobliżu Kien i Stocket ku Ottnang.*

*Przecież, powiedziałem do siebie w trakcie jazdy, zawsze kochałeś tych ludzi, tych prostych, najprostszych, chłopów i górników, rodziny oberżystów, w przeciwieństwie do swojej rodziny na górze w Wolfsegg, która zawsze była dla ciebie straszna, już od dzieciństwa, i w czasie jazdy zadawałem sobie pytanie, dlaczego tych jednych, tych tak zwanych dolnych, jako że mieszkają w dolnej okolicy, zawsze kochałem, w odróżnieniu od mojej rodziny na górze, a tych*

*drugich, górnych, nie, tych jednych, dolnych, zawsze uważałem w odróżnieniu od rodziny tam, na górze, którą w gruncie rzeczy zawsze pogardzałem, a nawet zawsze jej nienawidziłem, u tych jednych, z dołu, przez całe życie czuleś się dobrze, u tych drugich, czyli u rodziny na górze, zawsze strasznie, u tych jednych, na dole, jak u siebie w domu, u swojej rodziny na górze nigdy, ale postanowiłem już nie międlić tego dłużej. Widziałem, jak piękny jest krajobraz, przez który jechałem, i myślałem, że bardzo lubię mieszkających tu ludzi, zawsze bardzo lubiłem przede wszystkim górników, powiedziałem sobie, sposób, w jaki odnosili się do siebie i w jaki się wobec siebie zachowywali, w końcu wzrastałem pośród nich, powiedziałem sobie, chodziłem z nimi do szkoły, obracałem się wśród nich całe dziesięciolecie. Tak zaprzątnięty myślą dotyczącą krajobrazu i mieszkańców, nawet przez chwilę, co uświadomiłem sobie dopiero, gdy wysiadłem z taksówki, nie zamieniłem ani słowa z taksówkarzem, który był mi znany, jak to się mówi, zwidzenia, nie wiedziałem jednak, jak się nazywa, i nawet nie spytałem go o nazwisko, chociaż zazwyczaj na samym początku wypytuję wszystkich ludzi z okolicy, jakie noszą nazwiska, jak się nazywają, jest to nawyk, który przejąłem od wuja Georga, wielkiego znawcy i, co muszę powiedzieć, wielkiego przyjaciela ludzi. Nikt nie potrafił nawiązywać równie dobrych kontaktów z ludźmi jak wuj Georg, przede wszystkim z tymi prostymi i pozbawionymi sztuczności. To od niego, i tylko od niego, dowiedziałem się, w jaki sposób z nimi postępować i jak rozmawiać, a także jak zachowywać równowagę między nimi a ludźmi mojego pokroju, żeby obu stronom wydawało się to właściwe. Wuj Georg najlepiej rozumiał się z prostymi ludźmi, kochał ich, to samo mogę też bez wahania powiedzieć o sobie. Na wiejskim placu nie było istotnie żywego ducha, nawet koty wysiadujące tam zazwyczaj w południowym upale gdzieś się pochowały, mogłem więc bez przeszkód i, jak sądziłem, rzeczywiście nieobserwowany podążać swoją drogą w górę do Wolfsegg. Zastłony w gospodach były zasunięte, wystawa u piekarza świeciła pustkami, rzeźnik opuścił rolety, wszystko sprawiało smutne wrażenie, akurat odpowiednio*



do nieszczęścia, jakie nas spotkało. Jeszcze w Rzymie powiedziałem do Zacchiego, którego w istocie złapałem telefonicznie w Palermo, że z trudem mi przychodzi jechać z powrotem do Wolfsegg zaledwie w trzy dni po wyjeździe stamtąd, powiedziałem, właśnie takim niestosownym tonem, jak pomyślałem, na który nie powinienem był pozwalać sobie teraz przede wszystkim wobec kogoś pokroju Zacchiego, z którym nie jestem w aż tak zażyłych stosunkach jak na przykład z Marią czy Gambettim, i idąc przez ten wiejski plac, żałowałem, że w ogóle zadzwoniłem do Zacchiego, gdyż podczas całej rozmowy wydawało mi się, iż Zacchi nie rozumie mojego położenia, w odróżnieniu od Marii, która zrozumiała mnie w pełni, każdy opowiedziany szczegół, zrozumiała wszystkie moje, osobliwe wprawdzie wynurzenia, które jednak, co prawdopodobnie natychmiast wyczula, są dla mnie charakterystyczne, nawet Gambettiemu powiedziałem więcej, niż to było konieczne, przy czym znów zacząłem od razu oskarżać swoją rodzinę, nie umiając się z tego natychmiast wycofać, od razu w jego obecności wdałem się z właściwym mi brakiem opanowania, najbardziej przeze mnie samego znienawidzonym, w oskarżenia, przed którymi nie potrafię się jednak powstrzymać, jeśli domagają się głośnego sformułowania, wracam do piekła, powiedziałem do Gambettiego, już jutro rano o piątej, to straszne, powiedziałem jeszcze do niego, nie pomyślałwszy przy tym ani nie wzięwszy pod uwagę tego, że te komentarze są całkowicie zbędne i w gruncie rzeczy podle, a co najmniej niestosowne, niesłychane w stosunku do członków mojej rodziny w chwili, kiedy mogliby wymagać ode mnie przynajmniej szacunku, ale ja nie potrafię się nigdy zakłamywać, muszę być taki, jaki jestem, jak ułożyli mnie właśnie ci moi rodzice, pomyślałem sobie, idąc przez wiejski plac. Jeśli ludzie mnie zobaczą, pomyślą: ten człowiek zawsze był dziwny, zanim jeszcze zdążył przywitać się ze swoją rodziną na górze w Wolfsegg, idzie najpierw przez wiejski plac, niewychowany, odszczepieniec, niekochany. Zaraz potem jednak pomyślałem, że ludzie ze wsi nie pomyślą sobie o mnie tak jak moja rodzina, która zawsze tak o mnie myślała. w taki sam niesłychany sposób przeciw mnie,

*jak teraz ja przeciw nim, a także iż przecież oni w odróżnieniu od mojej rodziny na górze, która mną pogardza, poważają mnie, w odróżnieniu od rodziny na górze, która mnie w mniejszym lub większym stopniu nienawidzi, kochają. Ludzie ze wsi zawsze mnie kochali, podobnie jak ja ich, przede wszystkim górnicy, większość mieszkańców wsi to górnicy, którzy pracowali w naszych kopalniach węgla brunatnego i po dziś dzień jeszcze tam pracują, chociaż już w niewielkiej liczbie. Wszakże to oni, ludzie ze wsi, byli zawsze moją jedyną pociechą, powiedziałem do siebie, idąc przez wiejski plac. Tutaj mogłem rozmawiać o tym, o czym z moją rodziną nigdy nie mogłem rozmawiać, tu mogłem oczekiwać zrozumienia, wyplakać się w dzieciństwie. Podczas gdy w tej wsi wszystko toczy się w najnaturalniejszy sposób, naprawdę po ludzku, myślałem, idąc przez plac, na górze w Wolfsegg wszystko toczy się sztucznie, nie po ludzku, i zadawałem sobie pytanie, jak do tego doszło, jaka jest tego przyczyna. Ale marsz przez wiejski plac trwał zbyt krótko, żebym nadal mógł rozwijać tę myśl, zastąpiła ją od razu inna: jak i w jakim nastroju zastanę siostry? zadałem sobie pytanie i jednym jedynym spojrzeniem ogarnąłem całą, liczącą około dwustu kilometrów okolicę z zachodu na wschód, co jest możliwe wyłącznie stąd, z żadnego innego miejsca w Austrii. Dokładnie w tym miejscu, w którym zawsze się zatrzymywałem, gdyż najlepiej się do tego nadaje, zobaczyłem naraz w ten bezchmurny dzień całą okolicę i głęboko wciągnąłem powietrze. Dlaczego pozwalamy, zapytałem siebie w tym momencie, by ludzie oszpecali i niszczyli taką wspaniałą naturę, ludzkie, którym, jak sądzimy, wyłącznie na niej zależy. Przybyłem tu we właściwej chwili, pomyślałem, i poszedłem dalej, w górę. Było tak, jakby cała ta miejscowość wymarła, gdyż ciągle jeszcze nie dobiegały mnie żadne odgłosy. Dawniej słyszałem ze wszystkich okien dokładnie te dźwięki, które odpowiadały czynnościom wykonywanym przez mieszkających za tymi oknami ludzi, teraz nic nie słyszałem i również ten fakt wiązałem z naszym nieszczęściem. Nie szedłem aleją w górę wolniej, co byłoby najnaturalniejsze, lecz szybciej. Bezwstydna ciekawość, którą*

nagle w sobie odkryłem, kazała mi w końcu pobiec aleją w górę, zatrzymałem się jednak przed dużą murowaną bramą obok folwarku i spomiędzy olbrzymich gałęzi dwu rosnących przy bramie kasztanowców zapuściłem wzrok w głąb parku oraz ku oranżerii, gdyż to właśnie w oranżerii, odkąd sięgnąć pamięcią, zawsze składa się na katafalku zmarłych z Wolfsegg. Oranżeria była istotnie otwarta, a ogrodnicy z wieńcami i bukietami kwiatów kręcili się przed nią tam i z powrotem. Postanowiłem, że nie pójdę od razu do oranżerii, nie chciałem jeszcze oglądać zmarłych rodziców ani zmarłego brata. Tę chwilę ociągania się wykorzystałem do tego, żeby dokładniej poobserwować wszystko, co dzieje się przed oranżerią, miałem tę możliwość, gdyż jeszcze nie zostałem zauważony, jeszcze nikt mnie nie dostrzegł. Natychmiast uderzył mnie spokój ogrodników, którzy bez słowa, wykonując charakterystyczne dla siebie ruchy, wynosili wieńce z folwarku i wnosili je do oranżerii. Dźwigali ze stajni do oranżerii wiadra z wodą. Pojawił się jeden z łowczych, jakby z zamiarem wejścia do oranżerii, zawrócił jednak tuż przed nią i zniknął, kierując się w stronę folwarku. Przycisnąłem się do muru bramy, żeby mieć jeszcze bardziej idealny punkt obserwacyjny. Musimy obserwować ludzi wtedy, gdy nie wiedza, że są ofiarami naszej obserwacji, pomyślałem. Ognodnicy wychodzili z folwarku i wchodzili do oranżerii, ciągle z wieńcami i bukietami kwiatów, z kublami pełnymi wody i deskami. Przed oranżerią ustawiono wielkie drewniane donice, w których rosły cyprysy oraz palmy, a także agawa, jedna z tych, co to ogrodnicy zawsze hodowali je w oranżerii i nader troskliwie pielęgowali. Z jakim trudem pielęgnuje się i pieści tutaj na północy takie południowe gatunki, pomyślałem, przywarłszy do muru, z nieczystym, jak to się mówi, sumieniem, a jednocześnie z największą, płynącą z obserwacji rozkoszą. Mogłem w spokoju przyglądać się ogrodnikom, spodziewając się, że zapewne wkrótce zobaczę również przynajmniej jedną z sióstr albo któregośkolwiek z krewnych, lecz nie odczuwałem pilnej potrzeby nieodzownego i natychmiastowego obejrzenia leżących na katafalku rodziców ani też leżącego na katafalku brata, czego by

niewątpliwie wymagało choćby najmniejsze poczucie przyzwoitości. Może jednak odczuwałem lęk przed faktem, że nagle nie zobaczę swojej rodziny żywej, lecz umarłą. Ich nieżywych twarzy nie bałem się teraz tak jak niegdyś żywych, bałem się jednak ich samych, więc jeszcze przez jakiś czas wolałem stać przyciśnięty do muru niż po prostu wejść do parku. Naraz uświadomiłem sobie całą teatralność działań rozgrywających się przy oranżerii, uświadomiłem sobie, że oglądam teatr, w którym ogrodnicy grają z wieńcami i bukietami kwiatów. W tym teatrze brak jednak głównej postaci, pomyślałem równocześnie, pomyślałem także o tym, że właściwy spektakl będzie mógł zacząć się dopiero w chwili, gdy wkroczę ja, by tak rzec, główny aktor, który pośpiesznie przybywa z Rzymu na tę tragedię. Wszystko, co widzę zza murowanej bramy, to zaledwie przygotowania do owego spektaklu, który zainauguruję ja, nikt poza mną. Cała ta scena i ludzie za nią, jeszcze przede mną niewidziani, a więc znajdujący się w głównym budynku, wydała mi się garderobą, gdzie aktorzy szykują się, nakładają szminkę, przygotowują do swoich scen, jak ja sam, który przygotowuję się do występu, szukając wszystkich istniejących możliwości, by nie powiedzieć, wyrafinowanych sposobów, ja, który to wszystko, co muszę przedstawić i powiedzieć, jeszcze raz rekapituluję, jeszcze raz powtarzam tekst, jeszcze raz wypróbuję w głowie własne kroki, obserwując tymczasem spokojnie przygotowania innych ludzi, które mają być potajemne. Zaskakiwał mnie spokój, z jakim stałem przy łuku bramy, odtwarzając w pamięci swoją rolę w widowisku, które naraz wydało mi się wcale nie nowe, tylko wypróbowane już setki, tysiące razy. Znam ten spektakl gruntownie, pomyślałem.

Nie męczyły mnie słowa, które będę musiał wygłosić, przychodziły mi na myśl same z siebie, moje kroki i ruchy rąk były tak doskonale wyćwiczone, że wcale nie musiałem się zastanawiać, jak je w ten ruch wprawić, jak nadać mu pełne znaczenie. Przyjechałem z Rzymu w charakterze odtwórcy głównej roli w tym spektaklu, pomyślałem, nie rezygnując z tej rozkosznej myśli, w ogóle nie wstydzilem się tak po-myśleć. Bez trudu wejdę w tę rolę, pomyślałem, ale nie

*pomyślałem równocześnie, jesteś podłym człowiekiem, który nie przyjmuje do wiadomości okrucieństwa tej chwili. Ten spektakl, czyli tragedia, jest znany od wieków, pomyślałem, wszystko w nim toczy się samo z siebie, odtwórca głównej roli zdziwi się, jak świetnie wszystko działa, jak znakomicie jego koledzy aktorzy wyuczyli się tego, co mają zagrać, jak dobrze to opanowali, nie wątpiłem bowiem, że moje siostry i wszyscy inni, już na mnie czekający ludzie również powtarzają swoje role, gdyż podobnie jak ja nie mają najmniejszej ochoty ani zamiaru zblamować się przed mającą pojawić się publicznością, zwaną żałobnikami, z powodu tego, że nie nauczyli się tekstu, nie znają kroków i potykają się, chociaż byłem przekonany, iż tak jak ja doceniają sztukę wysoką, a nie zwykły dyletantyzm, wiadomo jednak, że sztuka pogrzebowa, zwłaszcza na wsi, jest najwyższą sztuką aktorską, jaką można sobie wyobrazić, nawet najprostszy ludzie wznoszą się na pogrzebach na taki poziom sztuki aktorskiej, iż można go przeważnie zaklasyfikować znacznie wyżej niż poziom naszych teatrów, w których nieomal zawsze i wyłącznie panuje czysty dyletantyzm. Moje siostry chodzą tam i z powrotem i przeprowadzają próbę tego pogrzebu nie tylko jako spektaklu, pomyślałem, one przeprowadzają jego próbę jako uroczystego przedstawienia, a fryburski fabrykant kapsli do wina, powiedziałem do siebie, asystuje im, przypominając sobie równocześnie swoją rolę, która jednak ma pozostać zaledwie rolą drugoplanową, jak pomyślałem. Chodzą tam i z powrotem, oczekują mnie i przeprowadzają próbę tragedii, która tak znenacka weszła na afisz w Wolfsegg, pomyślałem. Jutro odbędzie się pogrzeb, pomyślałem, zawsze odbywa się trzy dni po śmierci. Kurtyna jeszcze się nie podniosła. Kostiumy nie są jeszcze do końca dopasowane, pomyślałem, tekst nie płynie jeszcze aktorom wartko z ust. Czyż bowiem jest coś piękniejszego od spektaklu, w którym wszystkie kostiumy są czarne i w którym dominuje czarny kolor? Również wszyscy statyści ze wsi muszą pojawić się wyłącznie w czerni. Już dawno nie mieliśmy w Wolfsegg takiego spektaklu, po raz ostatni odbył się taki po śmierci mojego dziadka ze strony ojca, który w wieku osiemdziesięciu*

*dziewięciu lat w lesie, rozciągającym się za dziecięcą willą aż do Haag, potknął się o korzeń sosny i wyzionął ducha. Moja rodzina zawsze była, by tak rzec, przygotowana na pogrzeb, zawsze miała pod ręką potrzebne rekwizyty, a także stosowne kostiumy, słowem, komplet tego, co przynależy do takiej ceremonii, ale długo trwało, zanim to znów stało się przydatne, pomyślałem. Teraz wystarczy to tylko odkurzyć, pomyślałem. I istotnie, ze wszystkich stron głównego budynku, co teraz zobaczyłem, zwieszały się czarne chorągwie. Ogrodnicy wykonują tylko polecenia moich sióstr, pomyślałem, raczej polecenia Caecilii niż Amalii, pomyślałem i równocześnie pomyślałem też, jaką rolę przydzieliły tymczasem fryburskiemu fabrykantowi kapsli do wina, co będzie musiał powiedzieć, gdy spektakl się zacznie, pomyślałem, jaki tekst włożyły mu w usta, albowiem w to, że powie swój własny, wątpiłem po jednym jedynym spotkaniu z nim w dzień wesela, które odbyło się kilka dni temu. Należało teraz zmienić Wolfsegg z miejsca wesela w miejsce pogrzebu, pomyślałem, stojąc przy murowanej bramie, ciągle jeszcze zdumiony podróżą z Rzymu do Wiednia, która przebiegła bez jakichkolwiek incydentów, wszystko zgadzało się co do sekundy, wbrew wszelkim regułom nie strajkowali ani kolejarze, ani też towarzystwa lotnicze, wszystkie połączenia znakomicie funkcjonowały, siostry, pomyślałem, z pewnością nie uprzątnęły jeszcze dekoracji weselnych, a już musiały wszędzie umieścić i ustawić dekoracje pogrzebowe dokładnie według znanego im planu, który moja matka, by tak rzec, omawiała przynajmniej dwa lub trzy razy do roku dla własnej przyjemności, jak zawsze powtarzała, bo nigdy nic nie wiadomo, ten plan pogrzebowy, od wieków praktykowany aż po najdrobniejsze szczegóły. Również wesela i uroczystości urodzinowe odbywały się w Wolfsegg zawsze według, jak to się mówi, dokładnie z góry opracowanego planu. Moje siostry wiedzą, że na przykład w westybulu za lampami z prawej i lewej strony należy podczas pogrzebu umieścić nie jedną gałąź wawrzynu przyniesioną z oranżerii, lecz dwie, że na balkonie u góry muszą stanąć dwa cyprysy, jeden całkiem z lewej, drugi całkiem z prawej strony, i że oczywiście te cyprysy muszą być*

*jednakowej wysokości, ale nie tak wysokie, by sięgały okien jadalni. Na każdy rodzaj uroczystości w Wolfsegg jest przewidziany dokładny plan, matka zawsze przechowywała te plany w swoim biurku, w najwyższej szufladzie z prawej strony. Zawsze kierowała się tymi planami, podobnie jak wszyscy inni przed nią.*

*Ojciec nie musiał zmuszać jej do przestrzegania tych tak zwanych planów uroczystości, sama bardzo szybko uczyniła z tego swoją pasję. A pogrzeby były zawsze pasją mojej matki. Jednak o własnym, zwłaszcza że odbędzie się tak szybko, z pewnością nie pomyślała, powiedziałem do siebie, stojąc przy murowanej bramie, gdyby mogła, sama urządziłaby swój pogrzeb, tak nagle pomyślałem i natychmiast zobaczyłem, nie widząc tego w rzeczywistości, jak siostry wypełniają życzenia matki dotyczące jej pogrzebu. W tej chwili chodziło mi po głowie słowo krzątania. Dla wszystkich innych byłoby czymś oczywistym, że jadą taksówką w górę alei, jak to jest w zwyczaju, i zajeżdżają przed sam portal, ale nie dla mnie. Toteż taksówkarz, który mnie rozpoznał, był nawet dość zdziwiony, iż wysiadłem akurat w ukrytym przed ludzkim wzrokiem miejscu przy Figurze Matki Boskiej, między dwiema gospodami. Nikt by także nie zrozumiał, pomyślałem, że sam przeszedłem przez wieś i przez wiejski plac. Chciałem jednak dojść do Wolfsegg pieszo, pomyślałem, a absolutnie pusty plac w najidealniejszy sposób wyszedł naprzeciw mojemu zamierzeniu, nie tylko miałem wrażenie, że w ogóle nie jestem obserwowany, lecz rzeczywiście nie byłem obserwowany, i w końcu nie miałem przy sobie żadnego bagażu, co może wydawać się niezwykle, jeśli zważyć, że przecież przyjechałem z Rzymu, ale właśnie dlatego, iż byłem w ogóle bez bagażu, mogłem przez cały czas swobodnie trzymać ręce w kieszeniach spodni. Tak, z rękami w kieszeniach spodni skręciłem potem również w aleję, z takim niesamowitym brakiem wychowania, którego nikt by nie pojął, ludzie ze wsi również. Bądź co bądź mam czterdzieści osiem lat, przybywam z Rzymu, na dodatek na pogrzeb rodziców i brata, a trzymam ręce w kieszeniach spodni! pomyślałem, przywierając mocno do murowanej bramy, by nie mogli zobaczyć mnie ogrodnicy, którzy z wieńcami*

wyniesionymi z folwarku znowu weszli do oranżerii. Złożenie zwłok na katafalku jest zawsze wielkim spektaklem, pomyślałem, dziełem sztuki, które powstaje stopniowo w rękach wielu ludzi, wiedzących, jak należy takie dzieło sztuki stworzyć. Od razu stłumiłem w sobie myśl, że to rodzice i brat leżą na katafalku w oranżerii, nie myślałem o tragedii, lecz o dziele sztuki, o wspaniałości składania na katafalkach, a nie o prawdziwym okropieństwie w tym przypadku. Ponieważ zawsze byłem wnikliwym widzem i jeszcze bardziej wnikliwym obserwatorem, co z biegiem czasu pozwoliło mi uczynić z oglądania oraz obserwacji jedną ze swoich najwyższych cnót, było dla mnie całkiem oczywiste, że stoję teraz przy murowanej bramie, oglądam i obserwuję; poza tym ogrodnicy idealnie się do tego nadawali, uspokajali mnie bowiem, gdyż przecież zawsze chętnie ich oglądałem i obserwowałem, również z tego miejsca, w takich momentach, które, co muszę wyznać, z największą pieczołowitością przeciągałem w czasie, wydłużając je i pomnażając o setki, ba, koniec końców o tysiące chwil. Oglądanie lub obserwowanie, gdy oglądany lub obserwowany nie wie, że jest oglądany lub obserwowany, to jedna z największych przyjemności. Zarazem jednak, jak pomyślałem, jest to całkowicie zakazana sztuka, której, gdy już w niej zasmakujemy, nie potrafimy się mimo wszystko wyrzec. Znowu pojawił się jakiś łowczy, przybył z folwarku z tak zwanym świecznikiem katafalkowym, by wręczyć go jednemu z ogrodników, który właśnie wyszedł z oranżerii, prawdopodobnie po to, żeby odebrać od niego akurat ten świecznik katafalkowy owe świeczniki mają ponad półtora metra wysokości i ustawia się je po obu stronach zmarłego tak, aby rzucały na niego idealne światło; ogólnie rzecz biorąc, ustawia się cztery takie świeczniki katafalkowe, które kiedyś, przed wielu laty, pomalowano na nowo na złoty kolor, jak sobie przypomniałem, co wtedy wzbudziło moją niezwykłą fascynację, gdyż małe dziecko, jakim byłem, pomyślałem, myślało, że zostały pomalowane i wyczyszczone do połysku z powodu jakiegoś konkretnego pogrzebu, o którym już wiadomo, czyj to będzie pogrzeb, ale byłem w błędzie, gdyż minęły całe dziesięciolecia od pomalowania



*świeczników katafalkowych do kolejnego pogrzebu, który, jak się rzekło, był pogrzebem mojego dziadka ze strony ojca. Jeśli w rodzinie przez dłuższy czas nie odbywa się żaden pogrzeb, to wszyscy liczą się z tym, że potem naraz i nagle odbędzie się od razu więcej pogrzebów, takie jest powszechne mniemanie i co się teraz potwierdziło, pomyślałem, śmierć poniosło równocześnie troje ludzi, którzy będą pochowani równocześnie, co oznacza, że później znowu na dłuższy czas zapanuje tu spokój, gdyż przecież zawsze się mówi, iż nieszczęścia rzadko chodzą w pojedynkę, a więc i pogrzeby też; zawsze będą następować trzy po kolei, podobnie jak nieszczęścia, teraz jednak to nieszczęście w naprawdę żywiołowy sposób i znienacka pozbawiło życia troje ludzi, na jeden pogrzeb, jak pomyślałem, na jeden zamiast na trzy. Od strony wsi, przez bardzo wysokie drzewa i krzewy na stoku góry, dało się teraz słyszeć orkiestrę dętą, coś z Haydna, jak to od razu zauważyłem, prawdopodobnie, pomyślałem sobie, tam na dole próbują już muzykę pogrzebową na jutro, w tak zwanym Domu Muzyki, starym budynku obok szkoły. Muzyka urwała się zaledwie po kilku taktach, po czym zaległa absolutna cisza.*

*Później muzyka znowu rozbrzmiała, od początku, o parę taktów dłużej niż poprzednio, by znowu zamilknąć, jak to zwykle bywa podczas prób muzycznych, muzyka rozbrzmiewała co jakiś czas, grano kilka taktów, za każdym razem o ileś więcej, a potem orkiestra znów milkła. Ciągle ten sam fragment z Haydna. Już jako małe dziecko kochałem muzykę ludową, przede wszystkim grę instrumentów dętych, i ta miłość, którą określiłbym jako zamiłowanie, pozostała we mnie do dzisiaj. Jeszcze dzisiaj cenię tę muzykę równie wysoko jak tak zwaną muzykę artystyczną, bardzo często ze świadomością, iż tak zwana muzyka artystyczna byłaby nie do pomyślenia bez tak zwanej muzyki ludowej, granej przede wszystkim podczas wesel i pogrzebów wiejskich. Czymże byłyby pogrzeby i wesela, pomyślałem, bez tej muzyki.*

*Ludzie ze Wsi grają przeważnie jak ludzie obdarzeni słuchem absolutnym, a jeśli są dobrzy, to nieomal zawsze dorównują grą tak zwanym muzykom*

zawodowym, zaleta ludzi ze wsi polega na tym, że ich muzyka nie jest profesjonalna, że grają ją jedynie i wyłącznie z pasji i zamiłowania, a nie z powodów zawodowych, czyli koniec końców wskutek choroby zawodowej, o czym wiemy. Jakże inaczej grała ta kapela podczas wesela mojej siostry, pomyślałem, tamta muzyka była wesola i zwarta, ta jest melan-cholijna i rozwlekła, ale, podobnie jak ta grana na weselu, również autorstwa Haydna, kompozytora, którego obok Mozarta cenię najwyżej, którego zawsze obok Mozarta słuchałem najchętniej i którego, może właśnie z tej przyczyny, iż w porównaniu z uwielbianym przez wszystkich Mozartem zawsze pozostawał w cieniu, należy w historii muzyki cenić jeszcze wyżej niż Mozarta. Kocham Mozarta i Haydna, ale Haydn jest jeszcze większy, pomyślałem. Muzyka Haydna pasuje do nastroju tego południa, do tego migotania w powietrzu, do ruchów ogrodników, którzy w miarowym rytmie i pieczołowicie wynoszą z folwarku wieńce i bukiety kwiatów, by zanieść je do oranżerii, a nic i nikt znikąd im nie przeszkadza. Przywołałem na pamięć liczne popołudnia z dzieciństwa, kiedy to słyszałem dźwięki orkiestry dętej dobiegające ze wsi tu na górę do mojego pokoju, dokładnie ten sam fragment grany dokładnie w tym samym składzie osobowym, jak mi się zdawało i jak mogłem wywnioskować z gry tej orkiestry. Ale chociaż oni grają zazwyczaj same proste kawałki muzyczne, pomyślałem, to przecież teraz grają znacznie bardziej skomplikowane, takie, które, ogólnie rzecz biorąc, stawiają przed instrumentalistami, jak to się mówi, całkiem niemałe wymagania, dla Wolfsegg musiała to być wszakże skomplikowana muzyka, by tak rzec, wyżej postawiona dla tak zwanych wyżej postawionych osobistości, gdyż z takimi miano do czynienia w przypadku osób złożonych w oranżerii na katafalku. Gdy wiadomość o ich śmierci rozeszła się po wsi, dla wszystkich ludzi z dołu musiał to być z pewnością szok. Czegoś tak nadzwyczaj straszego, jak sięgnąć pamięcią, Wolfsegg jeszcze nie przeżyło, pomyślałem i w tym samym momencie zrobiło mi się żal, że nie mogę być w domach tam na dole i słyszeć, co ludzie mówią o tym nieszczęściu, co o nim myślą, jak się przez to

czują, żal, że nie mogę w ich mieszkaniach uczestniczyć w tej niewątpliwie całkiem naturalnej żalobie. Mojego ojca poważali, a może nawet kochali, pomyślałem, niektórzy nawet go kochali, pomyślałem, brata wszyscy w mniejszym lub większym stopniu poważali i kochali, to prawda, matkę poważali, ale jej nie kochali, mimo to jednak ich żaloba jest bądź co bądź ogromna i z pewnością owo nieszczęście zrobiło na nich, co nietrudno sobie wyobrazić, straszne wrażenie, pomyślałem. Co jednak w rzeczywistości może dziać się w ich głowach? pomyślałem, ale nie umiałem odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wieś żyła wszakże przez całe wieki z nas mieszkających tu na górze, pomyślałem, jeszcze dzisiaj, mógłbym powiedzieć, w dużej mierze z nas żyje, przede wszystkim górnicy, pracownicy cegielni i tak zwani robotnicy rolni, pośrednio lub bezpośrednio wszyscy we Wsi w mniejszym lub większym stopniu żyją z Wolfsegg, wokół którego jeszcze dzisiaj gromadzą się w całkiem naturalny sposób, około stu metrów niżej, jakby szukając schronienia. Jedna jedyna chwila, powiedziałem do siebie, Wszystko zmienia w takiej miejscowości jak ta, w takiej okolicy jak ta. I w takiej rodzinie jak moja, pomyślałem. Już od dłuższego czasu, powiedziałem do siebie, stojąc przy murowanej bramie, robię coś, czego nie wolno robić, przynajmniej w ogólnym poczuciu przyzwoitości, w najbardziej niestłuchany sposób odkładam na później swój faktyczny występ w Wolfsegg, pomyślałem. Ale prawdopodobnie jestem również zbyt tchórzliwy, żeby natychmiast wejść do parku i przynajmniej skierować się ku oranżerii, jeśli nie od razu do niej wejść, skierować się ku portalowi, jeśli nie od razu wejść do leżących na katafalku rodziców i do leżącego na katafalku brata, co po prostu było w moim przypadku niemożliwe, nie miałem siły, mogłem tylko stać przy murowanej bramie i przez tę bramę spoglądać w stronę oranżerii, do tego byłem zdolny, ale nie do tego, żeby od razu dać się rozpoznać, taka jest prawda. Nie mam w sobie tego rodzaju beztroski, która, by tak rzec, nie owijając w bawełnę, pozwoliłaby mi natychmiast wkroczyć na taką niewątpliwie straszną scenę. Kto jednak mógłby wykazać tyle siły, zadałem sobie pytanie, obserwując,

*jak ogrodnicy przewożą na wozie drabiniastym kilka drewnianych kobylic z folwarku, by wyladować je przed oranżerią. Znam nazwiska tych ogrodników, pomyślałem, obserwując ich z napiętą uwagą podczas wyladunku. Znam nie tylko nazwiska, znam również ich rodziny i wiem dobrze, skąd się wywodzą, z jednym chodziłem nie tylko do tej samej szkoły, ale także do tej samej klasy, i zawsze był ode mnie lepszy ze wszystkich przedmiotów, przede wszystkim z rachunków, pisał także dużo ładniej niż ja, co nie było znowu wielką sztuką. Ten jeden mieszka na końcu wsi, dokładnie na granicy między Wolfsegg a Ottnang, jego ojciec zaś był pracownikiem gminy, pomyślałem, do tego grabarzem, gdy jeszcze byłem dzieckiem, poważany człowiek, wbrew temu, co można przypuszczać, jako że przecież był grabarzem, kochany przez dzieci, ale dzieci wiejskie zawsze miały naturalny stosunek do śmierci, w przeciwieństwie do dzieci miejskich, które boją się absolutnie wszystkiego, co wiąże się ze śmiercią, dzieci wiejskie zaś tego się nie boją. Drugiego przeznaczono najpierw na księdza, toteż parafia wysłała go do konwiktu w Kremsmunster, gdzie jednak, mimo iż w szkole podstawowej był tak znakomity i w ogóle uchodził za najzdolniejszego, całkowicie mu się nie powiodło, wrócił zatem do Wolfsegg, po czym oddano go do terminu u stolarza. Jednak stolarka też z czasem przestała mu odpowiadać, więc zaczął starać się u nas o zatrudnienie w charakterze ogrodnika.*

*Po odbyciu terminu u stolarza ukończył jeszcze u nas naukę ogrodnictwa i jest teraz z wykształcenia zarówno stolarzem, jak i ogrodnikiem, moja matka często opowiadała o tym szczęśliwym przypadku, wyuczenie tego mężczyzny ogrodnictwa na jej koszt i z zapewnieniem pełnego utrzymania, dzięki czemu zaoszczędziła na zatrudnieniu własnego stolarza w Wolfsegg, było zaiste z jej strony posunięciem na miarę szachowego mistrza. Matka zawsze o wszystkim myślała, głównie jednak o sprawach praktycznych i o wszelkich praktycznych korzyściach, jak się okazywało przez całe dziesięciolecie. Trzeci pochodzi z rodziny górniczej, pracującej w kopalni węgla, i również uczęszczał ze mną do*

szkoły podstawowej, a zaraz potem wyuczył się ogrodnictwa, tyle że nie u nas w Wolfsegg, lecz w Vocklabruck, gdzie ma ciotkę, która przyjęła go do siebie i żywiła przez cały okres nauki. Z tą trojką bawiłem się już w dzieciństwie, pomyślałem. Biegałem z nimi po lasach i po stokach gór. Prawdopodobnie do dzisiaj nie zmienili niczego w swoich mieszkaniach, pomyślałem, w odróżnieniu od wszystkich innych mieszkań, gdzie w ostatnich latach w mniejszym lub większym stopniu zostało coś zmienione i, jak sądzę, oszpecone nowymi, nowoczesnymi meblami, które nie są nic warte i szybko się niszczą. Ci dwaj jednak nigdy nic sobie nie robili z nowoczesności, za to przywiązywali zawsze wagę wyłącznie do jakości i z pewnością z tego powodu ich mieszkania pozostały prawie niezmienione. Każdy z nich ma po troje dzieci, które dzisiaj są w takim samym wieku jak ja wówczas, pomyślałem, i przysparzają im problemów, jak to dzieci, ja jednak takich problemów nie mam, powiedziałem do siebie. Podejście do tych dwu ogrodników nikomu innemu nie sprawiłoby trudności, uściskałby im dłonie, potrząsając nimi, postalby przez chwilę obok i porozmawiał, ja jednak, chociaż bardzo tego pragnąłem, jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Zjechałem pół świata, powiedziałem do siebie, obserwując ogrodników, s w mniejszym lub większym stopniu panuję nad tym światem, a co się tyczy form towarzyskich, opanowałem je również w najnaturalniejszy, żeby nie powiedzieć najkunsztowniejszy sposób, pod względem ich opanowania wykazywałem się wszędzie wysokim stopniem doskonałości, w, jak to się mówi, nieomal wszystkich centrach świata i we wszystkich warstwach społecznych, nie byłem jednak zdolny podejść do ogrodników, uścisnąć im dłoni i przez chwilę z nimi porozmawiać. Powinienem był podejść do nich natychmiast, pomyślałem, od razu, gdy tylko znalazłem się przy murowanej bramie i ich zobaczyłem, ponieważ w momencie, w którym ja stałem przy bramie, oni znajdowali się przed oranżerią ja jednak, choć byłoby to dość korzystne, nie podszedłem do nich zdecydowanym krokiem, lecz, prawdę mówiąc, wystraszyłem się ich i w mniejszym czy większym stopniu z lęku i ze wstydu przywarłem do murowanej

bramy, żeby mnie nie dostrzegli. A przecież najbardziej idealnym rozwiązaniem byłoby powitać ogrodników jako pierwszych, powiedziałem do siebie. Przegapiłem jednak tę szansę, pozwoliłem, aby przeszła mi koło nosa. Gdyby to byli łowczy, pomyślałem, ale akurat ogrodnicy, do których mam ogromny szacunek i których jak nikogo na świecie nie tylko lubię, ale także Kocham. Zarazem jednak to wyczekiwanie przy murowanej bramie jest dla mnie wręcz charakterystyczne, powiedziałem do siebie, nie jestem człowiekiem, który natychmiast wkracza na scenę, wszystko jedno jaką, nie jestem człowiekiem, który z marszu umie odegrać spektakl. Zwleknięcie leży w mojej naturze, pozwala mi wycofać się na z góry upatrzoną, korzystną pozycję obserwacyjną. Właściwą mi cechą jest najzwyczajniej w świecie pośredniość. Raz do roku zapraszamy rodziny ogrodników w komplecie do dziecięcej willi na tak zwany podwieczorek w ogrodzie, który to podwieczorek ma już wielowiekowe tradycje. Ogrownicy przybywają ze swoimi rodzinami na górę do Wolfsegg, gdzie przyjmujemy ich w dziecięcej willi. Za moich czasów robili to zawsze moi rodzice. Ów podwieczorek w ogrodzie był zazwyczaj pewną osobliwością. Na zakończenie, już o wczesnym zmierzchu, dzieciom ogrodników rozdawano jeszcze prezenty, nie przypominam sobie, żebyśmy my sami, Johannes i ja, zostali kiedykolwiek obdarowani w taki, muszę to powiedzieć, istotnie wzruszający sposób, wtedy matka była w swoim żywiole, muszę to powiedzieć, spokojnie wręczała prezenty i wszyscy mieli poczucie, że takie zachowanie wynika z jej psychiki, a nie z aktorstwa, jak wszystko inne. Prawdopodobnie sposób życia ogrodników, taka myśl przyszła mi do głowy, wywierał zbawienny wpływ nawet na moją matkę, pomyślałem, ponieważ wśród ogrodników, czyli podczas podwieczorku z nimi w dziecięcej willi, wyglądała jak odmieniona, daleka od wszystkiego, co było w niej zawsze takie odrażające. W otoczeniu łowczych matka wydawała mi się zawsze odrażająca, a w otoczeniu ogrodników nie. Ogrownicy z Wolfsegg zawsze wywierali na nią zbawienny wpływ. Nie na próżno, ledwo nauczyłem się chodzić, pierwsze kroki skierowałem do ogrodników. Nawet w Rzymie bardzo

*często myślę o ogrodnikach; kiedy nocą leżę w łóżku, nie mogąc zasnąć, widzę się pośród nich, zawsze w nastroju szczęścia. Wydawałem się sobie teraz kimś, kto się gdzieś cichcem zakradł. Ogrodnicy, których obserwowałem, byli, by tak rzec, Czystymi ludźmi, a ja byłem nieczysty, i to do końca moich dni. Myślałem, że już nigdy nie będę należał do Wolfsegg, a już na pewno nie do nich, chociaż przez całe życie nie miałem nigdy większego pragnienia niż należeć do nich, co jednak zawsze było absurdalnym pomysłem, istotnie niestosownym, pomysłem, na jaki mógł wpaść wyłącznie taki zwariowany człowiek jak ja. Przez całe życie ciągnęło mnie do prostych ludzi, chciałem się z nimi związać, ale naturalnie nigdy mi się to nie udawało, nieraz już sądziłem, że mi się udało, w tym błędzie mógłbym nawet często trwać w nieskończoność, przede wszystkim wtedy, gdy przebywałem z ogrodnikami i górnikami, których od samego początku lubiłem, ale owo złudzenie za każdym razem kończyło się straszliwie. Im bardziej moja rodzina trzymała mnie z daleka od tak zwanych prostych ludzi i próbowała mi ich obrzydzić, tym większa była moja tęsknota do nich, przez wiele lat obserwowałem w sobie wręcz chorobliwą żądzę, ale chociaż chciałem się z tej chorobliwej żądzы wyzwolić, zrozumiałwszy, że jest ona pozbawiona sensu i niemożliwa do zrealizowania, nie starczyło mi sił i jeszcze dzisiaj na nią cierpię. Podczas gdy ci tak zwani z dołu zawsze dążyli do nas na górę, ja zawsze dążyłem do nich na dół.*

*Ci z dołu byli zawsze nieszczęśliwi jako ci z dołu, ja byłem nieszczęśliwy jako ten z góry, cierpiałem bowiem z tego powodu, że jestem z góry, podobnie jak ci na dole, że są z dołu. Przez całe życie pragnąłem wkraść się w łaski tych prostych ludzi, którzy są tylko tak zwanymi prostymi ludźmi, pomyślałem, stojąc przy murowanej bramie, używałem wielu trików, żeby ich przechytryć, ale oni mnie przejrzeni i zagrodzili mi drogę, podobnie jak moja rodzina zagrodziła drogę tym tak zwanym z dołu; przejrzała ich i dlatego zagrodziła im drogę. W swoim rzymskim mieszkaniu bardzo często wyobrażam sobie, by tak rzec, siebie pośród nich, pomyślałem, stojąc przy murowanej bramie, mieszam się z nimi,*

*zaczynam mówić ich językiem, myśleć ich myślami, ale udaje mi się to naturalnie wyłącznie w snach, nie w rzeczywistości, ta metoda, którą z największą ochotą chciałbym zastosować, jest absolutnie błędna. W takich chwilach muszę sobie samemu tłumaczyć, że ja nie jestem prosty, a oni nie są skomplikowani, ja nie jestem taki jak oni, oni zaś nie są tacy jak ja, ta formuła stała się dla mnie dożywotnią udręką, od której nie mogę się uwolnić. Kiedy moją rodzinę, czyli tych tak zwanych z góry, nazywam zakłamanymi, popełniam błąd, ponieważ ci z dołu są na swój sposób dokładnie tak samo zakłamani, jak moja rodzina na swój. To tak, jakbym powiedział, że ci z dołu są dobrymi ludźmi, to tak, jakbym powiedział, że nie są chciwi ani ogarnięci manią wielkości, prości ludzie są również tacy, na swój sposób i w takiej samej mierze. Mogę jednak powiedzieć, że pośród prostych ludzi i z prostymi ludźmi zawsze czułem się lepiej niż w towarzystwie swojej rodziny, chociaż wtedy, gdy zrozumiałem, że błędnie ich oceniłem, zawsze przebiegały mi ciarki po plecach, również z powodu zdrady, jaką niewątpliwie popełniałem wobec rodziny i wobec samego siebie. Sami siebie nieustannie zdradzamy, przedkładając jednych nad drugich i czyniąc z nich, by tak rzec, lepszych ludzi, niż koniec końców nimi są, pomyślałem. Nadużywamy ich, uznając się, by tak rzec, za „ich”, przy czym sami siebie nadużywamy w znacznie bardziej odrażający sposób, jako że nadużywamy siebie dla nich, a ich przeciw sobie. Ale nie udaje się nam pozostać sobą do końca i być razem z nimi, w każdym razie niezwykle rzadko, tak że nie możemy na tym budować, tak że to się nie opłaca. Będąc razem z nimi, przeważnie odkładamy na bok wszystko, co czyni nas sobą, a co oni od razu spostrzegają i wykorzystują przeciw nam, wskutek czego nie mamy już takiej samej pewności jak w chwili, w której zaczęliśmy tę grę z nimi, gdyż zawsze jest to tylko gra, nic poza tym, skoro sądzimy, że musimy być nimi, bo tęskniliśmy do nich, bo już dłużej nie znosimy siebie, a oni wydają się nam idealni. Ta dozgonna pomyłka jest pomyłką dozgonnie nas upokarzającą. Prości ludzie wcale nie są tacy prości, jak się sądzi, a skomplikowani nie są wcale aż*



*tak skomplikowani. Zza murowanej bramy widziałem teraz ogrodników wynoszących z folwarku duże czarne płachty i wnoszących je do oranżerii, tak zwane płachty katafalkowe, przechowywane w specjalnym pokoju zmarłych w budynku folwarcznym na okoliczność, gdy trzeba będzie złożyć kogoś na katafalku. Pamiętam, że już raz widziałem dokładnie taką samą scenę: ogrodnicy, naturalnie inni, nie ci, których teraz tu obserwuję, wynoszą płachty katafalkowe z folwarku i wnoszą je do oranżerii; wtedy całkiem bez skrępowania i z niezwykle bliskiej odległości przyglądałem się ogrodnikom, bez najmniejszego wstydu, chociaż zmarły leżący w oranżerii był moim ukochanym dziadkiem, podczas gdy teraz, trzydzieści lat później, stoję przy murowanej bramie i muszę się ukrywać z powodów, które w gruncie rzeczy nie do końca sobie uświadamiam, niewątpliwie jednak wiele z nich mnie całkiem po prostu przygnębia. Naraz poczułem to przygnębienie. Stałem tam, nie mając tej naturalnej, jak wówczas gdy byłem dzieckiem, samoświadomości, która pozwoliłaby mi zwyczajnie podejść do ogrodników, uścisnąć im dłonie, powiedzieć, jak bardzo ich lubię, jak pożyteczni byli zawsze, podejść do nich i pokazać się im takim, jaki jestem. Tego się wystraszyłem. Tego się zląkłem. Kiedy naturalność spotyka się ze sztuczością, dochodzi do katastrofy, pomyślałem; ja, jako ten niewątpliwie sztuczny, jak pomyślałem, z niewątpliwie całkiem naturalnymi ogrodnikami. Przez chwilę mówiłem do siebie, że tylko wmawiam sobie tę swoją sztuczość, że przecież jestem naturalny, podobnie jak tylko sobie wmawiam, że ogrodnicy są naturalni, bo w gruncie rzeczy ogrodnicy są tak samo sztuczni i tak samo naturalni jak ja, powiedziałem do siebie. Chociaż było gorąco, ręce miałem zimne. W dzieciństwie, pomyślałem, znajdowałem zawsze właściwe słowa, teraz już ich nie znajduję. Kiedyś nie potrzebowałem się zastanawiać, w jaki sposób i co mam powiedzieć, żeby ogrodnicy czy górnicy mogli zrozumieć mnie w najnaturalniejszy sposób. Po to musiałem udać się w świat, do Paryża, Londynu i Rzymu, pomyślałem, aby teraz, jak to się całkiem słusznie mówi, być tak spiętym, jak jeszcze nigdy*

*przedtem, po to studiowałem te swoje nauki i przyswoilem sobie, jak sądzę, wyższą wiedzę o człowieku, by teraz nie mieć pojęcia, jak podejść, jak uścisnąć dłonie ogrodnikom i zamienić z nimi kilka słów.*

*Przeszło mi przez głowę, że przez całe dziesięciolecia, w ciągu których robiłem wszystko, aby uwolnić się i uniezależnić od Wolfsegg, i nie tylko od Wolfsegg, lecz od wszystkiego, nie uwolniłem się i nie uniezależniłem, lecz wręcz przeciwnie, okaleczyłem siebie w najbardziej przygnębiający sposób. Jestem okaleczonym człowiekiem, pomyślałem. Zaraz potem jednak podszedłem do ogrodników i uścisnąłem im dłonie. Nie byli zaskoczeni moją nagłą obecnością. Zwróciłem się do każdego po imieniu, uścisnąłem im dłonie, powiedziałem, że przyszedłem pieszo ze wsi tu na górę do Wolfsegg, że przez pewien czas ich obserwowałem, stojąc przy murowanej bramie, powiedziałem, patrząc w jej stronę. Nie zrozumieli tego, ale w ogóle nie przypisali tej mojej uwadze znaczenia, wraz ze mną zwrócili wzrok ku murowanej bramie, nie mając pojęcia, czemu miałyby to służyć. Stosownie do sytuacji byli oczywiście znacznie bardziej skrupowani niż zazwyczaj, mówili tylko wtedy, gdy ich o coś pytałem, a pytałem tylko o ich samopoczucie, na co nic nie odpowiadali. Sądzili, że oczywiście udam się natychmiast do oranżerii, do zmarłych, ale ja tam nie poszedłem, spojrzałem, co od razu sobie uświadomiłem, na szeroko otwarty portal, później w stronę folwarku, gdzie nie było widać żywej duszy, później znowu na portal, po czym spytałem ogrodników, czy moje siostry są w domu. Odpowiedzieli twierdząco. Poszedłem więc w stronę portalu, dużego, czarnego, wysoko wznoszącego się równoboku, na który z położonego nad nim balkonu zwieszała się rozwinięta czarna chorągiew. Tydzień wcześniej park wypełniali ludzie wszelkiego autoramentu, mniej lub bardziej szczęśliwi, jak pomyślałem, mniej lub bardziej różnobarwnie ubrani, świętujący na cześć młodej pary, mojej siostry Caecilii i jej fabrykanta kapsli do wina, aż kres całej tej zabawie położyła nagła burza, wyganiając weselników do samochodów, żeby mogli wyjechać, wrócić do domu, burza zapędziła też niektórych do środka głównego*

*budynku, gdzie bawili się jeszcze całą noc, nieustannie jedząc, pijąc wino i tańcząc. Przez całą tę noc grała orkiestra z Ebensee, nie pozwalając zasnąć tym, którzy położyli się do łóżek już o północy. Dopiero o piątej nad ranem orkiestra przestała grać, ostatnie pary przestały tańczyć, wszystko się naraz uspokoiło, pomyślałem, idąc w stronę portalu.*

*Wesołość gości weselnych udzieliła się wtedy również mnie, nie byłem więc wyłącznie obserwatorem sceny, lecz współgrałem na tej rozhukanej scenie, dwa razy nawet zatańczyłem, raz z Amalią, raz z Caecilią, ale oczywiście te dwa tańce mi wystarczyły, kiedyś całkiem nieźle tańczyłem, ktoś, kto raz nauczy się tańczyć, już tego nie zapomina, w każdym razie tańczyłem z Caecilią lepiej niż fabrykant kapsli do wina. Chociaż grubasy wcale nie tańczą źle, powiedziałem do siebie, przeważnie nawet lepiej od chudzielców, i są też bardziej muzykalni. Ale mnóstwo młodych krewnych, których naraz zobaczyłem na tym weselu, pomyślałem, szybko zaczęło działać mi na nerwy i znowu miałem przykład na to, jak powierzchowne jest pokolenie dzisiejszych dwudziestolatków, jakie niezainteresowane niczym poza dziką żądzą zabawy. W gruncie rzeczy nie umiałem rozmawiać z żadnym z tych bratanków czy siostrzeńców, z żadną z tych bratanic czy siostrzenic, nie myślę nawet o rozmowie, chodzi o to, że nie była z nimi możliwa bodaj krótka, mniej lub bardziej dowcipna pogawędka; kiedy nie tańczyli, stali bez krzty humoru, nieomal otepiali, i widać było po nich śmiertelne znudzenie, którym są udręczeni, gdyż w porę nie przeciwstawili się tej koniec końców śmiertelnej nudzie. W przypadku tych ludzi jest już za późno, pomyślałem, na uwolnienie się od śmiertelnej dozgonnej nudy, już prawie całkiem zżarły ich kaprysy, wykonywane zawody, młode dziewczęta oraz kobiety, a poza tym zawładnęły nimi perwersyjne banały. Kiedy człowiek rozmawia z tymi ludźmi, widać, że mają w głowach wyłącznie te swoje okropne banały, a przede wszystkim oczekujące ich w perspektywie ubezpieczenia na starość i własne samochody.*

*Przecież gdy rozmawiam z którymś z nich, nie rozmawiam z człowiekiem,*

tylko z pozbawionym wyobraźni i całkowicie prymitywnym pyszałkiem, pomyślałem. Owe prymitywne, wypchane wyłącznie pieniędzmi samochwały z tak zwanej okolicznej wyższej sfery przybyły na wesele w szytych na miarę, absolutnie niegustownych ubraniach, na scenie dominowały pyszne lampasy na spodniach i olbrzymie guzy z jelenich rogów na wyłogach marynarek, odziedziczone czarne filcowe marynarki od strojów ludowych i również odziedziczone czarne opaski wokół szyi. Na dodatek Caecilia wcisnęła swojego fabrykanta kapsli do wina w skórzane spodnie, których nasz dziadek ze strony ojca już za życia nie nosił od dobrych kilkudziesięciu lat, a wcisnęła go w nie prawdopodobnie dlatego, żeby z tego swojego fabrykanta kapsli do wina zrobić jeszcze śmieszniejszą kreaturę, ta moja myśl nie była wcale aż tak niedorzeczna, ponieważ dobrze znam Caecilię. Uszczęśliwiła go również marynarką, którą ten sam dziadek miał na sobie w chwili, gdy przewrócił się w lesie, potknąwszy się o korzeń sosny, i w której przyniesiono go z lasu do domu, by najpierw ułożyć w budynku folwarcznym, a w końcu złożyć na katafalku w oranżerii.

Ta marynarka, myślałem przez cały czas, obserwując męża mojej siostry, leżała już kiedyś na katafalku, o czym siostra dobrze wie; całkiem świadomie uszczęśliwiła nią fabrykanta kapsli do wina, z niewątpliwie perwersyjnych pobudek kazała mu włożyć na wesele tę śmiertelną marynarkę. Jak strasznie pan młody musiał czuć się w tej marynarce, czyli śmiertelnej marynarce, pomyślałem, podłość mojej siostry nie zna granic, ale było absolutnie możliwe, że to moja matka wpadła na pomysł, aby fabrykant kapsli do wina włożył na wesele tę marynarkę, która już raz leżała na katafalku w oranżerii, to jest w gruncie rzeczy nawet wielce prawdopodobne, gdyż matka zawsze miała najbardziej perwersyjne pomysły i podłość sama w sobie była zwykle główną siłą napędową jej działań. Poza tym ten biedak, co przez cały czas widziałem, w ogóle nie umiał chodzić w butach z klamrami wyciągniętych z garderoby tego samego dziadka, utrzymywał się w pionie tylko dzięki komicznemu stawianiu kroków, ale, ogólnie rzecz biorąc, był wtłoczony w stary strój, liczący sto

dwadzieścia lat, co Caecilia zresztą raz po raz podkreślała wobec wszystkich ludzi, którzy wcale o to nie pytali, a robiła to dlatego, żeby siebie przedstawić w sposób interesujący, a swojego męża, mniej lub bardziej świadomie, ośmieszyć w oczach całego towarzystwa. W gruncie rzeczy Caecilia przedstawiła temu towarzystwu swojego męża w studwudziestoletnim stroju jako błazna, pomyślałem. Z drugiej strony jednak, pomyślałem, wszyscy oni tkwili w błazeńskich kostiumach, ponieważ wszyscy, z kilkoma wyjątkami, jak lekarze z Wels i Vocklabruck, jak adwokaci z tych samych miast czy kilku wiedeńskich i monachijskich krewnych, mieli na sobie takie stare, co najmniej stuletnie kostiumy. I sami robili z siebie błaznów, to oczywiste. Tego rodzaju wesela zawsze mnie tylko przygnębiały, niebawem więc przestałem w ogóle w nich uczestniczyć i zawsze odmawiałem chodzenia na takie uroczystości. Byłoby jednak niemożliwe nie przyjechać na wesele własnej siostry, pozostać w Rzymie, popełnienie takiego afrontu nawet przez myśl mi nie przeszło, wręcz przeciwnie, samego mnie zaskoczyło, jak dobrze przetrwałem to wesele. Jest to zresztą ostatnie wesele, w jakim biorę udział, po-myślałem, jakbym z góry i na zawsze wykluczał wesele drugiej siostry, czyli Amalii, a wesele brata przynajmniej na najbliższe dziesięciolecie. Ludzie, którzy byli na tym weselu, są podłymi głupcami, pomyślałem. Cieszymy się, widząc człowieka, którego w mniejszym lub większym stopniu znamy, odkąd sami żyjemy, ściskamy jego dłoń, widzimy jednak, że wyrósł na głupca, pomyślałem. A młodzi są jeszcze głupszy niż starzy, z którymi przynajmniej bywa na ogół groteskowo. Ciągłe żyjemy w błędnym przekonaniu, że skoro my się rozwinęliśmy, wszystko jedno w jakim kierunku, inni powinni rozwinąć się podobnie, ale to błąd, większość zatrzymała się w rozwoju i w ogóle się nie rozwinęła, ani w jednym, ani w drugim kierunku, nie są lepsi ani gorsi, postarzeliby się tylko, przez co stali się w najwyższej mierze nieciekawi. Sądzymy, że rozwój dawno niewidzianego człowieka nas zaskoczy, ale kiedy go znowu widzimy, jesteśmy zaskoczeni tylko tym, że w ogóle się nie rozwinął, że zaledwie postarzał się o dwadzieścia lat i zamiast dobrej Figury ma

teraz wyłącznie ogromny brzuch oraz wielkie, niegustowne pierścienie na tłustych palcach, które kiedyś wydawały się nam bardzo piękne. Sądzymy, że z tym czy owym będziemy mogli porozmawiać o wielu sprawach, stwierdzamy jednak, iż z żadnym z nich nie ma-my sobie w ogóle nic do powiedzenia. Stoimy i pytamy sami siebie, dlaczego, ale nie znajdujemy ani jednego słowa, poza tym, że pogoda jest taka czy inna, że kryzys w państwie jest taki czy inny, że socjalizm objawia teraz swoje prawdziwe oblicze i tak dalej. Myślimy, iż przyjaciel z przeszłości będzie również obecnie przyjacielem, ale natychmiast spostrzegamy swoją nieomal zabójczą pomyłkę. Z tą kobietą możesz porozmawiać o malarstwie, z tą znowu o poezji, myślisz, tymczasem już po chwili musisz sobie powiedzieć, że się pomyliłeś, jedna wie równie mało o malarstwie, co ta druga o poezji, obie mogą cię uraczyć co najwyżej paplaniną o kuchni, o tym, jak przyrządza się kartoflanekę w Wiedniu, a jak w Innsbrucku, i ile kosztuje para butów w Meranie, a ile taka sama w Padwie. Jak dobrze rozmawiało ci się niegdyś z tym tam o matematyce, myślisz, jak dobrze z tamtym o architekturze, stwierdzasz jednak, że wiedza matematyczna tego pierwszego, a architektoniczna tego drugiego utonęły przed dwudziestu laty w bagnie dojrzewania. Nie znajdujesz żadnych punktów zaczepienia, żadnego oparcia, i dlatego obrażasz ich, chociaż oni nie wiedzą, dlaczego. Naraz jesteś już tylko kimś obrażającym, kimś, kto ich nieustannie obraża. To wesele będzie bardziej niż śmieszne, powiedziałem do siebie, zanim jeszcze wyjechałem z Rzymu do Wolfsegg, a potem, gdy już wziąłem w nim udział, uznałem, że w gruncie rzeczy było jeszcze śmieszniejsze, tak śmieszne, iż nawet przez chwilę nie odważyłem się pomyśleć, że takie właśnie będzie.

A przecież ciągle słyszałem tylko paplaninę o wspaniałym weselu, o weselu wyjątkowym, jak to się mówi.

Będę się jednak pilnował, aby nie wyznać im swojej prawdy, skoro władzę dzierży ich prawda, pomyślałem. Ale samo właściwe wesele okazało się zaiste wielce zabawne, w paradny sposób komiczne.

*Kaplica, w której się odbywało, była naturalnie przepelniona, tak że taka sama liczba ludzi, którzy znajdowali się wewnątrz, musiała podczas ceremonii stać w kruchcie. Naturalnie nie przeciskałem się do rodziny siedzącej w pierwszych dwu rzędach, z góry z tego zrezygnowałem, tylko stałem w kruchcie razem z kucharkami i ogrodnikami. A że mam dobry słuch, słyszałem wszystko, co ksiądz mówił.*

*Ponieważ jednak ksiądz był lekko podpity, jego uroczyste czynności urzędowe sprawiały wrażenie improwizacji i nie były jak zazwyczaj przy takich okazjach nudne, lecz wszystkich rozbawiły. Tylko moja matka, jak to się mówi, pocila się ze strachu. Ksiądz miał wygłosić mowę do pary młodej, w którą to mowę miał wpleść różne fakty, ale i rzeczy wymyślone, a wreszcie zakończyć cieszącym się powszechną akceptacją zdaniem, że życie do samego końca jest życiem w Bogu i niczym innym. Kiedy jednak dotarł do szczytowego punktu całej akcji i miał spytać narzeczonych, czy są skłonni wypowiedzieć wzajem słynne słowo „tak”, zapomniał imienia panny młodej i po długiej pauzie, która nie uszła niczyjej uwagi, zawołał głośno o pomoc, to znaczy o podpowiedzenie mu imienia panny młodej, które mój ojciec donośnie wykrzyknął, co natychmiast wywołało gromki śmiech w kaplicy i w całej kruchcie. Ponieważ księdzu nie udało się również zapamiętać imienia pana młodego, musiał i w tej sprawie poprosić o podpowiedź, więc mój ojciec podrzucił mu także to imię, tym razem jednak już rozwścieczony, w reakcji na co cała kaplica i kruchta wybuchnęły jeszcze donośniejszym śmiechem niż przy pierwszej oznace słabości umysłu duchownego. W tym momencie ja zamiast imienia przyszłego szwagra miałem ogromną ochotę wykrzyknąć ponad głowami ludzi zebranych w kaplicy po prostu słowa fabrykant kapsli do wina, ale w ostatniej chwili zdołałem się opanować. Owa nikczemność z mojej strony pozostała więc moją tajemnicą, pomyślałem. Zawsze jest śmieszne, gdy panna młoda mówi „tak”, ale jeszcze śmieszniejsze jest, gdy „tak” mówi pan młody. Przy tej okazji znów to stwierdziłem. Czyż bowiem możemy brać poważnie owo „tak” panny młodej,*

*skoro przecież wiemy, że jest zakłamanie, podobnie zakłamanie jak „tak” pana młodego, to dwa razy wypowiedziane z zakłopotaniem „tak”, w którym przecież z góry kryją się jedynie trwające kilkadziesiąt lat męczarnie, pomyślałem. Związanie się owym małżeńskim „tak” oznacza tylko uwięzanie. Nic poza tym. A mimo to młodzi ludzie do niczego nie tęsknią bardziej niż do wypowiedzenia owego „tak” i do rezygnacji oraz do unicestwienia siebie nawzajem, pomyślałem.*

*Ponieważ wydawało mi się, że oglądam mały, naprawdę zamknięty spektakl, czyli komedię i farsę zarazem, poczułem chętkę, aby zacząć gwałtownie bić brawo w momencie, gdy proboszcz wyrzekł ostatnie słowo i oddalił się z ministrantami, naszymi małymi, może sześć lub siedmioletnimi kuzynami.*

*Ale i teraz się opanowałem. Zbyt cenne było dla mnie niezwracanie na siebie uwagi, jakiegokolwiek zainteresowanie całkiem uniemożliwiłoby mi pobyt w Wolfsegg, nie zamierzałem ściągać na siebie uwagi, aby nikt nie musiał później mówić, że ten awanturnik znowu pcha się na scenę. Szczytowym punktem małego, od setek lat odgrywanego spektaklu weselnego jest słowo tak, pomyślałem, za pomocą którego Kościół katolicki nieodwołalnie bierze w posiadanie tych, którzy owo tak wypowiedzieli.*

*Ksiądz poproszono następnie na pierwsze piętro, gdzie czekał na znak rozpoczęcia wesela, które oznajmiono we wszystkich frontowych pomieszczeniach pierwszego piętra. Matka jak zwykle przy takich okazjach panowała nad całością, toteż młoda para została przez nią zredukowana do należytnej młodej parze wielkości, czyli do marionetek, jednej grubej, a drugiej chudej, które zajęły miejsca obok siebie pośrodku stołu, by tak rzec, plecami do balkonu, czyli do świata zewnętrznego, gruby fabrykant kapsli do wina i moja siostra Caecilia, która raz po raz gładziła go prawą ręką po lewej ręce nie z wewnętrznej potrzeby, lecz dlatego, że tak wypadło, jak pewnie sądziła. Kiedy już goście weselni zjedli niewątpliwie dobre potrawy i wypili niewątpliwie*



*pierwszorzędne, naturalnie badeńskie wino, matka znów się podniosła, aby wygłosić krótką mowę, która w niezrównany sposób ujawniła jej sztukę zakłamania. Ma teraz najlepszego zięcia, jakiego w ogóle można sobie wyobrazić, powiedziała, i najszczęśliwszą córkę, jaką można sobie wyobrazić. Podeszła do fabrykanta kapsli do wina i wycalowała go na oczach wszystkich ludzi, po czym jeszcze objęła Caecilię i zaprosiła wszystkich na dół do parku. Jako że była piękna pogoda, ustawiono tam wiele stołów, a ogrodnicy i łowczy zmieszali się niebawem z tak zwanymi wyższymi sferami. Na górę przyszło też wielu ludzi ze wsi, by świętować razem ze wszystkimi. Robili to w sposób absolutnie niewymuszony. I znowu najbardziej podobali mi się ogrodnicy i górnicy. Orkiestra dęta zajęła miejsca na świeżo wyciosanym z desek podium przed oranżerią, gdzie kolejno odegrała utwory z całego swojego repertuaru, który z początkiem każdej nowej godziny znów powtarzała w całości. To wręcz rozchukane wesele słyszano podobno aż w Atzbach, położonym o sześć kilometrów dalej na wschód. Mój brat zachowywał się zadziwiająco powściągliwie, bardzo szybko wyszedł z przyjęcia i nikt go już później nie widział, on nigdy nie lubił takich uroczystości, ale nie z tego samego powodu co ja, który ich banalność i koniec końców bezradność potrafiłem znieść zaledwie przez kilka godzin, lecz z powodów zdrowotnych. Brat zawsze od razu dostawał bólu głowy. Przez całe życie cierpiał na bóle głowy, podobnie jak ojciec, któremu te bóle głowy również zawsze wszystko obrzydzały. On, mój brat, nadający się do tego jak nikt inny, powiedziałem do siebie, po dziś dzień się nie ożenił, a ja nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego; on, który absolutnie potrzebuje dziedzica i ciągle jest do tego przynaglany przez matkę, on, który z tego powodu ciągle drze z matką koty, myślałem podczas całego przyjęcia weselnego. Pewnego dnia naturalnie się ożeni, na krótko przed tym, zanim będzie za późno, z jakąś kobietą z Wels, z Vocklabruck, z pielęgniarzką z Salzburga albo z córką oberżysty z Unterrach czy Straswalchen. Ludzie pokroju mojego brata czekają, aż stuknie im pięćdziesiątka i będzie już najwyższa pora,*

wtedy atakują i wchodzą w to na ślepo, pomyślałem, wieńcząc tą głupotą skroń starego błazna, którym stali się z biegiem czasu. Najpierw pozwalają, żeby okazji przechodziły im niewykorzystane koło nosa, same najlepsze, jak to się mówi, żeby tak zwane przygody nie weszły w nawyk, a bycie z dziewczyną lub kobietą nie stało się oczywistością. Łóżko nie należy W obecnych czasach do jednej jedynej kobiety, lecz do większej ich liczby, i chociaż nie do wielu, to przecież raz po raz do jakiejś innej, którą się z niego wkrótce wypędza ze strachu przed dożywotnim więzieniem, myśli sobie z pewnością, pomyślałem. A teraz ta durna Caecilia wyszła za mąż, ja nie zrobię tego przed pięćdziesiątym rokiem życia, albo jeszcze później, myślał zapewne mój brat W głębi duszy, łapiąc się za głowę i wycofując się z tym swoim bólem głowy. Przywykł wkładać zawsze stare kapelusze, pomyślałem, jak jego ojciec, stare marynarki, stare buty, wszystko na nim musi być zawsze stare, takie - jak zawsze sądzi, nie różniąc się w tym od większości ludzi jego stanu i pochodzenia - aby mógł lepiej zaprezentować swój stan i pochodzenie, obnosić się z nim, takie, aby odpowiadało to gustom tak zwanych górnych, do których się zawsze zaliczał. Kupuje kapelusz i wystawia go na deszcz, pozwala mu przez kilka tygodni wisieć na haku na balkonie domku myśliwskiego i zdejmuje stamtąd dopiero, gdy kapelusz stosownie zwietrzeje; wtedy wsadza go do wrzącej wody i, potwornie gorący, wciska na głowę, by w ten sposób nadać mu odpowiedni kształt, spodnie zanurza na krótko w wodzie i zanim je na siebie włoży, wywiesza w oknie na wiatr, podobnie postępuje z marynarkami, buty natomiast najpierw solidnie tytła w błocie, żeby całkowicie straciły wygląd nowych, gdyż nowych butów się nie nosi, nowych kapeluszy nie wkłada, nowych marynarek też nie, wszystko, co nowe, jest w pogardzie, bo tak wypada, także nowe domy, nowe kościoły, nowe ulice, nowe wynalazki, oczywiście również nowi ludzie, jak to się mówi, wszystko nowe, do czego rzecz jasna należą także nowe myśli. Ta warstwa przywykła w ciągu stuleci do pogardzania wszystkim, co nowe, do nienawidzenia nowości, wskutek czego sama się zestarzała i przestała

odnawiać.

*Biedny człowiek, powtarzam sobie często, myśląc o bracie. Ten biedak dał się w całości pochłonąć przez własny stan, który uważa, jak to się mówi, za zbawienny, nie zostało z brata nic, co by przypominało jego osobowość; podobnie jak ojciec, pomyślałem, wie on żywot jednego z milionów duplikatów tego starego stanu. Wszystko na bracie i wokół niego musi być stare, zleżale, pomyślałem, byle nie auto, jeśli chodzi o auto, zawsze przywiązywał dużą wagę do tego, żeby było najnowsze i najlepsze, co oznaczało, że zawsze musiał mieć najdroższe. Rokrocznie nowe auto, to weszło mu w nawyk, a ponieważ jeździ nim matka, która sama nie posiada auta, bo nie ma prawa jazdy, auto brata musiało być w jej oczach najpiękniejsze i najlepsze. Teraz zaś to najpiękniejsze i najlepsze auto, ten jaguar, przyniosło im zgubę, pomyślałem. Kult samochodów ich unicestwił, pomyślałem. O ile mój brat był zazwyczaj najspoko-kojniejszym w świecie człowiekiem, to gdy prowadził samochód, stawał się najbardziej nieokiełznanym, absolutnym władcą, którym nie mógł być poza swoim autem, gdyż nie pozwalała mu na to jego i moja matka, zastrzegając tytuł władczyni dla siebie, jednakże w aucie, w jaguarze, to on był władcą i ona musiała się podporządkować, to on określał jeśli nie kierunek, to przynajmniej prędkość, co jej, siedzącej obok i przy tych okazjach zawsze pełnej trwogi, było, z tego, co wiem, bardzo nie na rękę, jak to się mówi. Ojciec z kolei kochał traktory, a nie auta, które zawsze wydawały mu się zbyt lekkie, nie przepuszczał żadnej okazji, żeby wsiąść na naszego McCormicka, choćby to nie miało najmniejszego sensu. Uważał siebie na traktorze za najszczęśliwszego z ludzi. Najbardziej niezależnego. Na traktorze jest sobą, było to tyleż smutne, co prawdziwe, i wierzyłem mu, na to mi przyszło, że już tylko na traktorze mogę być sam i szczęśliwy, powiedział kiedyś do mnie. Natomiast jego syn, mój brat Johannes, mawiał często, że musi wsiadać do auta, by odetchnąć i móc pomyśleć, jednak cokolwiek to dla niego znaczyło, mnie przygnębiała konieczność słuchania tych słów i przyjmowania ich za prawdę. Brat coraz*

*bardziej upodabnia się do ojca, myślałem nieraz. W ostatnim czasie bardzo mocno się do niego zbliżył, potrwa jeszcze trochę, pomyślałem podczas wesela, i to on będzie naszym ojcem. Jego chód, postawa ciała, głos coraz bardziej upodabniają go do ojca, niebawem będą identyczne z postawą ciała ojca, z jego chodem, z jego nastrojami, a w konsekwencji naturalnie z jego postawą duchową. Pierworodny syn został, by tak rzec, od samego początku przeznaczony do sprawowania funkcji ojca i wkrótce nim będzie, pomyślałem.*

*To już tylko kwestia czasu. Niekiedy, pomyślałem, gdy mówi brat, mam wrażenie, iż mówi ojciec, gdy słyszę idącego brata, idzie ojciec, gdy myśli brat, myśli ojciec. Rodzice mają w Johannesie upragnionego syna, pomyślałem. Nie mogliby życzyć sobie lepszego następcy, czyli bardziej dla siebie stosownego.*

*Dzień po dniu Johannes zbliżał się do obrazu syna idealnego, jaki sobie wytworzyli, on zbliżał się do niego tak samo szybko, jak ja oddalałem się od owego obrazu idealnego. I dlatego brata kochali coraz bardziej, a mną pogardzali, mnie nienawidzili, ba, brzydzili się mną coraz bardziej, nigdy naprawdę się do tego przed sobą nie przyznając, nie ośmielali się tego robić, mając umysły wyćwiczone w stosowaniu metod samoobronnych. Ten obraz idealny jest nieomal doskonały, pomyślałem podczas wesela mojej siostry Caecilii, już prawie całkowicie pokrywa się ze wzorcem, jaki rodzice, chociaż dopiero, jak to się mówi, post factum, ustanowili obrazem idealnym. Brat pozwolił, żeby wychowali go na podobieństwo owego obrazu idealnego, ja natomiast zawsze uchylałem się przed takimi roszczeniowymi zabiegami z ich strony, nigdy nie byłem zainteresowany tym, aby rodzice przedstawili mi swój obraz idealny mojej osoby, brzydziłem się nim, ponieważ, krótko mówiąc, nigdy nie chciałem odpowiadać ich obrazowi idealnemu, wskutek czego nigdy też nie mogłem być takim obrazem idealnym. Johanna mogli, jak to się mówi, kształtować, lepić, mnie nie. A bardzo wcześnie rozpoczęli to kształtowanie, ten rodzicielski proces lepienia brata, już wtedy, gdy ta dziecięca plastelina miała zaledwie trzy czy cztery latka, już wtedy zauważyli, że istnieje możliwość*

*ulepiania z tej plasteliny swojego obrazu idealnego, przystąpili więc do lepienia i kształtowania plasteliny o nazwie Johannes, nie czuli oporu, podczas gdy zabierając się do mnie, zawsze czuli w tej mierze bardzo silny opór, ja bowiem od samego początku unikałem ich rąk, ich głów, ich rodzicielskich sztuczek lepienia i kształtowania, nie pozwalałem im zbliżyć się do siebie, od samego początku natychmiast ich odpychałem. Ulepili Johannesesa takim, jakim chcieli go widzieć, i bardzo się z tego cieszyli, uszło bowiem ich uwagi, że tą swoją sztuką lepienia i kształtowania zniszczyli go i unicestwili, ostatecznie. Z jego naturalnego umysłu uczynili umysł idealny, i tym samym zniszczyli go w moim rozumieniu w najbardziej bezwstydnym i najpodlejszym sposobie, bezwzględnie, zrobili z niego to, czego nie mogli zrobić ze mnie, idealnie podporządkowanego sobie głupca, który z biegiem czasu stał się kimś, kogo chcieli mieć, odpowiadającego im aż po najdrobniejsze szczegóły, posłusznego człowieka.*

*Johannes, pomyślałem, stał się absolutnie posłuszny rodzicom, przede wszystkim jednak matce, nie bronił się, to było dla niego wygodniejsze, niż gdyby miał się bronić przed każdą kolejną rodzicielską potwornością, przed każdą rodzicielską podłością i przed każdą rodzicielską próbą deformacji; jedynie w samochodzie, w jaguarze, a i tak tylko podczas jazdy, by tak rzec, pozwalali mu wyjawiać własne myśli, podczas tych jazd grozy, jak często powtarzała matka, mógł sobie ulżyć, za co jednak potem, gdy już wysiadł z auta, odpłacali mu się znowu po tysiackroć, temu biedaczynie, pomyślałem. To pewne, że gdy dobiegnie pięćdziesiątki, odbędzie się tu, jak to się mówi, weselisko co się zowie, pomyślałem. Ale zmarły nie może się już ożenić. Z tą myślą w głowie przekroczyłem portal. Westybul był pusty. Lampy w westybulu ozdobiono gałęziami wawrzynu, jak przypuszczałem, stosownie do planu uroczystości pogrzebowej, każde kolejną dwiema gałęziami wawrzynu. Panował ten sam niesamowity słodki spokój, tak charakterystyczny dla domów żałoby. Podłoga w westybulu została, na kilka godzin przed moim przyjazdem, umyta, wyszorowana, jak my to mówimy, na kolanach, przez panny służące, z których*

*najstarsza ma już siedemdziesiąt cztery lata, ale ciągle jeszcze zaliczana jest do panien, nawet na łożu śmierci, gdy będzie już starowinką, prawdopodobnie, jak to się przeważnie działo z tutejszymi służącymi po osiemdziesiątce, nadal będzie nazywana panną. Panny służące zawsze znakomicie czuły się w Wolfsegg, tak mawiała moja matka, chociaż z drugiej strony, co również zawsze powtarzała, nie zostało im i nie zostanie nic oszczędzone. Noszą szare fartuchy, uszyte przez naszą krawcową ze wsi, po których już z daleka można je poznać, włosy mają gładko zaczesane do tyłu, a poza tym, jak to jest przyjęte w Wolfsegg, tak mówi matka, w ogóle nie noszą biżuterii. To do nich najbardziej pasuje, tak mówi matka.*

*Przeważnie już w wieku czternastu lub piętnastu lat przychodzą na służbę do Wolfsegg i w Wolfsegg się starzeją. Jak to się mówi, nie do śmiechu im, są jednak, tak mówi matka, przez wszystkich w Wolfsegg bardzo cenione. Ich liczba zmniejszyła się drastycznie w ostatnich latach, dawniej było tych panien, wliczając w to również dziewczyny kuchenne, z których najstarsza ma teraz również ponad siedemdziesiąt lat, dwanaście, obecnie jest zaledwie pięć, wszystkich razem wziętych. Większość z nich miała już od urodzenia nieprzyjemne głosy, tak mówi matka, albo też te głosy z czasem nabrały takiego nieprzyjemnego brzmienia w Wolfsegg, gdyż służbie nigdy nie wolno było w Wolfsegg mówić w naturalny sposób własnymi głosami, lecz tylko tymi, których je wyuczyła moja matka, sztucznymi, możliwie cichymi i powściągliwymi, tak mówi matka, co wreszcie musiało je całkowicie zniekształcić.*

*Teraz prawie wszystkie dziewczyny pochodzą z dołu, ze wsi, ale dawniej matka najchętniej brała je zawsze, jak sama mówiła, z taniego Muhlviertel, o ile to było możliwe, z wielodzietnych rodzin chłopskich, gdyż słynęły jako zawsze ze wszystkiego zadowolone (moja matka), pilne i w ogóle pracowite. Ale Muhlviertel przestało w ostatnich czasach produkować służące, dziewczęta z Muhlviertel wolały pracować jako robotnice fabryczne niż jako służące, co matka nazywała zawsze upadkiem Muhlviertel, charakterystycznym nie tylko dla*

*tego regionu, lecz w ogóle dla rozwoju całego świata.*

*Panny służące były oczywiście głęboko wierzącymi katoliczkami i miały stosowną do tego, pokorną postawę zarówno wobec zwierzchności kościelnej, jak i świeckiej. Najmilsze służące były brane na ogół z okolicy Freistadt i z Aigen-Schlagel, gdzie zbiegają się ze sobą trzy granice: czeska, bawarska i austriacka, i gdzie w ogóle nie jeździ kolej. Te dziewczęta były zawsze najbardziej wierzące, tak mówiła matka, najprzyzwoitsze, to również określenie matki. Przywoziła je osobiście, rozpytujac uprzednio w klasztorach we Freistadt i Aigen-Schlagel i wyjawiając swoje życzenia. Zakonnice lub mnisi, zależnie od okoliczności, dostarczali jej przeważnie dwu lub trzech bardzo młodych niezepsutych dziewcząt, z którymi wracała do Wolfsegg, by je wdrożyć do pracy i sprawdzić. Owo wdrażanie, czyli sprawdzanie, polegało na tym, że moja matka najpierw kazała dziewczętom szorować westybul, co każdą z nich kosztowało początkowo niezwykle dużo trudu, gdyż długość westybulu, a także szerokość, gdy przychodzi go wyszorować, wymagają naprawdę nieludzkiego wysiłku. Ale dziewczęta, zafascynowane zachowaniem mojej matki i w ogóle Wolfsegg, takim majątkiem, jakiego żadna z nich jeszcze nigdy wcześniej wżyciu nie widziała, szorowały westybul, nie zważając na okropną mordęgę, niektóre się poddawały i wtedy matka oznajmiała im straszną wiadomość, że nie może ich przyjąć, w reakcji na co takiej dziewczynie, która już się właściwie poddała, udawało się jednak za drugą próbą wyszorować faktycznie cały westybul. Matka była zawsze nieprzejednana. Ponieważ jednak była przede wszystkim najbardziej nieprzejednana w stosunku do samej siebie, również swojemu otoczeniu nie szczędziła przynajmniej równie surowych rygorów. Panny służące zaharowywały się, jak to się mówi, na śmierć, a mimo to zawsze były szczęśliwe, że mogą być w Wolfsegg, jak same to nieustannie powtarzały, nie kosztowało to matki złamanego szeląga, a one, niejako na dowód dobrego traktowania, dożywały w Wolfsegg, o czym już wspominałem, sędziwego wieku. Było coś absurdalnego w tym, że z jednej strony zawsze zaharowywały się na śmierć, z*

*drugiej zaś dożywały sędziwego wieku. Żadna tak zwana panna służąca w Wolfsegg nie zmarła, by tak rzec, młodo w każdym razie nie przed sześćdziesiątką. Wszystkim wyprawiano piękny pogrzeb, to słowa mojej matki, a ich rodziny zawsze były wdzięczne za to, że któraś spośród tych dziewcząt miała prawo pracować w Wolfsegg. Takie nastawienie nie zmieniło się do dzisiejszego dnia, pomyślałem w pustym, świeżo wyszorowanym westybulu z podłogą z szerokich desek z modrzewia. Pajęczyny, które zazwyczaj zaciemniały westybul w rogach, usunięto już przed weselem, pomyślałem, okna umyto, lampy nasmarowano oliwą, aby lśniły. Ogrodnicy powiedzieli mi, że siostry są w głównym budynku, również nowy pan, jak w całej swojej niewinności zaczęli nazywać fabrykanta kapsli do wina, pomyślałem. A zatem ta trójka jest najpewniej na górze, na pierwszym piętrze, i nie ma pojęcia o tym, że ja znajduję się już w westybulu, mniej lub bardziej pod nimi. Nie miałem jednak ochoty iść od razu do nich na górę, więc odczekałem jeszcze kilka minut w westybulu. Stałem w miejscu, gdzie zaczynają się schody na pierwsze piętro, a na ścianie wisi portret mojego ciotecznego praprapradziada Ferdynanda, który, jak powiadają, ocalił cesarz, rzucając się osobiście między niego i szturmującego nań węgierskiego zdrajcę. Cioteczny praprapradziad przypłacił swój bohaterski czyn życiem, za co już pośmiertnie, jak się jeszcze dzisiaj czasem wspomina, został podniesiony o jeden stopień wyżej w hierarchii. Ten mężczyzna, pomyślałem, jest rzeczywiście podobny do Kartezjusza, na co nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi, w końcu żył w tej samej epoce co ów Filozof, ale to raczej ubranie upodabnia go do Kartezjusza, mniej zaś głowa. Mimo to podobieństwo między Kartezjuszem a moim ciotecznym praprapradziadem naraz mnie zaskoczyło. Dlaczego jeszcze nigdy nie zwróciłem na nie uwagi, zadałem sobie pytanie, obserwując portret z coraz większym zaciekawieniem. I faktycznie, cioteczny praprapradziad na portrecie ma również tę charakterystyczną dla Kartezjusza brodę i wysoko uniesione kartejuszowskie brwi. Ten portret w ogóle nie jest śmieszny, pomyślałem, zadając sobie*



równocześnie pytanie, czy w gruncie rzeczy nie istnieje taka możliwość, żeby ów cioteczny paraprada przedstawiony na portrecie olejnym był również filozofem, miał bowiem w sobie coś filozoficznego. Postanowiłem poszperać w naszych bibliotekach, może znajdę tam coś, co napisał mój cioteczny paraprada, być może jakieś eseje, pomyślałem, o których do tej pory nie wiem, prawdziwie filozoficzne pisma, sądziłem, że się nie mylę, widząc w utrwalonym na obrazie olejnym mężczyźnie pisarza-filozofa i przypuszczając, że jego dzieła znajdują się w jednej z naszych pięciu bibliotek. Nazwisko znam, należy tylko udać się na poszukiwania w bibliotekach. Wcale mnie nie dziwiło, iż członkowie mojej rodziny nigdy nie rozmawiali o *filozofie Ferdynandzie*, gdyż jest dla nich charakterystyczne, że nigdy nawet nie wspomną o tak zwanych ludziach ducha, a jeśli już, to zawsze w bardzo przykrym kontekście, w każdym razie lekceważąc osobowości o skłonnościach do filozofii. Teraz wręcz sobie wmówiłem, że już kiedyś coś słyszałem o *filozofie Ferdynandzie*, jak go na swój użytek nazwałem, może go nawet czytałem, nie uświadamiając sobie tego, że ów czytany jest osobą z obrazu olejnego zawieszzonego przy schodach w westybulu. Naraz przyszedł mi do głowy pomysł, aby poddać dokładniejszym badaniom również inne zawieszzone przy schodach obrazy olejne moich przodków, do tej pory spoglądałem na nie tylko przelotnie, zawsze w gruncie rzeczy przyjmując jedynie do wiadomości, że chodzi tu o moich przodków, ale nigdy nie zastanawiałem się, o których, do tej pory mnie to nie interesowało; obrazy w Wolfsegg oglądałem dokładnie tak samo, jak to zwykle robili członkowie mojej rodziny, którzy wprawdzie patrzyli na obrazy, ale nigdy nie umieli powiedzieć, co lub kto jest w ogóle na tych obrazach utrwalony, gdyż przez dziesięciolecia patrzyli na nie jedynie z przyzwyczajenia, jako na mniej lub bardziej posępne kolorowe plamy, które swoje ostateczne miejsce znalazły na naszych ścianach przeważnie wieśset lat przed nami, wszystko jedno z jakiego powodu, w tym lub innym miejscu, nikt nigdy się nad tym nie zastanawiał, nie mówiąc już o prowadzeniu jakichkolwiek badań. Kto wie, co

naprawdę wisi na ścianach w Wolfsegg, pomyślałem, być może okaże się nawet, że mieliśmy więcej filozofów za przodków, a może nawet wielu innych ludzi ducha, czyli myślicieli, i być może obrazy wiszące na ścianach są istotnie i naprawdę bezcenne, jak zawsze napomykała moja rodzina. Jednakże ich wartość interesowała mnie w gruncie rzeczy mniej niż ci, co zostali przedstawieni, lub to, co zostało przedstawione na tych obrazach, których są setki. Pomijając już mnóstwo obrazów i malowideł poniewierających się na naszych strychach, pomyślałem, malowideł w większości zapomnianych, które wskutek bezmyślności oraz bezwstydu wpływających w Wolfsegg stuleci znajdują się teraz w pożałowania godnym stanie. Powinienem kiedyś zaangażować jakiegoś konserwatora z Wiednia, pomyślałem i zapamiętałem tę myśl, aby zidentyfikował wszystkie obrazy, a następnie sklasyfikował je i wreszcie wycenił. Pomyślałem o konkretnym znajomym, naczelnym konserwatorze w naszych największych muzeach, który na przykład w ostatnim czasie odrestaurował najcenniejszego Velazqueza, jakiego te muzea posiadają, a posiadają, jak wiem, najcenniejszego Velazqueza ze wszystkich, jeszcze cenniejszego niż ten z muzeum Prado w Madrycie. Przy słowach Velazquez i Prado przemknęła mi naraz przez głowę myśl, że taki Velazquez być może w ogóle znajduje się w Wolfsegg, tylko my o tym nie wiemy; od wieków bowiem mieliśmy niemało hiszpańskich krewnych, zawsze bywali u nas Hiszpanie, jeszcze dzisiaj pojawiają się od czasu do czasu w Wolfsegg i spędzają tu dni na polowaniach, a Wolfsegg zawsze miało bardzo ścisłe powiązania i kontakty z Hiszpanią. Także z Włochami. I oczywiście również z Holandią, skąd bądź co bądź pochodzili i gdzie bądź co bądź malowali Rembrandt i Vermeer oraz inni wielcy tak zwani malarze niderlandzcy. Nagle przysłała mi do głowy wręcz fantastyczna myśl, która później zaprzętała mnie przez cały czas, również wtedy gdy już stałem w kaplicy, do której wszedłem, żeby nie musieć od razu iść do rodziny. Pójdę powoli i bez szumu, pomyślałem, i wszedłem do kaplicy, skąd dawno uprzątnięto dekoracje weselne, by umieścić tam dekoracje pogrzebowe.

Jak szybko zmienili scenerię, pomyślałem. Czarne płótna pokrywały wszystkie wyczyszczone zazwyczaj do połysku i lśniące przedmioty w kaplicy, świeczniki i misy, szkła i łańcuchy, również obydwie okna zasłonięto czarnymi płótnami, paliła się tylko tak zwana *wieczna lampka*, tak że wchodzący nie musiał wcale przebywać w całkowitej ciemności. Przypomniał mi się lapsus pijanego księdza, który tak rozbawił gości weselnych, jeszcze teraz miałem w uszach gromki śmiech weselnego audytorium. Przyszła mi do głowy moja nieobjawiona wówczas podłość i znów usłyszałem ojca wykrzykującego imię *Caecilia*, czym na powrót ożywił absolutnie zmartwiałych gości weselnych. Jak długo właściwie my, którzyśmy jeszcze kilka dni wcześniej słyszeli głos osoby żywej, słyszemy ten głos, gdy ta osoba naprawdę nagle umrze? zadałem sobie pytanie. Przez chwilę poczułem, że powinienem, jak nakazuje obyczaj, przyklęknąć w wejściu do kaplicy, ale tego nie zrobiłem, gdyż w odpowiednim momencie zdążyłem jeszcze uświadomić sobie teatralność i całkowitą sztuczność takiego sposobu zachowania z mojej strony, zakłamanie, jakim niewątpliwie byłoby z mojej strony usiąść w ławce czy przyklęknąć, mimo iż przecież w ogóle nie czułem najmniejszej potrzeby klękać, a jedynie miałem wyobrażenie, że człowiek wchodzący do kaplicy klęka w sposób naturalny, na dodatek w takiej sytuacji. Jaka jednak jest właściwie moja sytuacja? zadałem sobie pytanie, poszedłem kilka kroków do przodu i przystanąłem. Pomyślałem, że w dzieciństwie kaplica nigdy nie była dla mnie ostoją spokoju i skupienia, jak to utrzymują inni ludzie, na których zawsze tak działała, lecz miejscem niesamowitym i strasznym. Jeszcze w wieku piętnastu, a może nawet dwudziestu lat wchodziłem do kaplicy jak do miejsca naprawdę strasznego i okrutnego, jak do miejsca potępienia, by tak rzec, w którym ktoś decyduje za mnie, wówczas wchodziłem do kaplicy niczym do wysokiej sali sądowej, w której za każdym razem mnie osądzano. Palce, jakie widziałem w tej sali potępienia, sędziowskie, nieubłagane, wskazywały zawsze w dół, więc będąc dzieckiem, zawsze wychodziłem z kaplicy z głową wciśniętą w ramiona,

upokorzony i skazany. Gdybym policzył, co Kościół katolicki spowodował, zniszczył i zrujnował swoimi naukami we mnie jako dziecku, musiałby on naprawdę dać mi zadośćuczynienie, powiedziałem do siebie, i mimo całej niewrażliwości musiałby się wystraszyć, pomyślałem. Matka zawsze wysyłała mnie do kaplicy, żebym się tam, by tak rzec, zadręczał setkami i tysiącami grzechów, pozbawiony wszelkiej nadziei. Zawsze wchodziłem do kaplicy z drżeniem, aby później wychodzić z niej jak zbity pies. Jedyne piękne wspomnienia związane z kaplicą to pieśni podczas nabożeństw majowych. Chociaż z biegiem czasu cały świat się absolutnie i, co muszę powiedzieć, wręcz totalnie zmienił, oni w Wolfsegg nadal wchodzą do kaplicy tak, jakby się nic nie zmieniło, wszyscy nadal tak wchodzą, pomyślałem. Że też oni w Wolfsegg zachowują się tak, jakby świat w ciągu ostatnich stu lat w ogóle się nie zmienił, a przecież zmienił się od podstaw, by tak rzec, sam bądź co bądź stanął na głowie, mógłbym powiedzieć, pomyślałem. Moja rodzina patrzyła na Wolfsegg zawsze tak samo jak na te obrazy na ścianach, które zawsze tak, a nie inaczej na tych ścianach wisiały, i nikt tego nigdy nie zmieniał, albo nawet można było je zdjąć, w końcu sami na siebie też tak patrzyli, nie mieli prawa *w niczym* się zmieniać, kto pozwalał się zmieniać albo kto zmieniał się sam przez się, jak wuj Georg i ja, pomyślałem, tego wykluczali, ten nie miał pośród nich i, jak sądzili, z nimi, nic wspólnego.

Ale byłoby też błędem mówić, że czas w Wolfsegg stanął w miejscu, gdyż przecież oni, członkowie mojej rodziny, są w tym czasie, istnieją w tym czasie, są częścią tego czasu, są więc również w najwyższej mierze tym czasem, czego dowodzą swoim obecnym istnieniem. Są nawet przesiąknięci obecnym czasem, pomyślałem, znacznie głębiej niż inni, *ale na swój sposób*. Niesłuszne jest twierdzenie, że członkowie mojej rodziny to relikty *minionego, dawnego, dawno odsuniętego na bok czasu*, albowiem oni są w tym czasie. Jednak na swój sposób. Nie są, jak można by twierdzić, widząc ich i obserwując przez dłuższy czas, z czasu, który z naszym nie ma już nic wspólnego, oni są z tego czasu.

Jednak na swój sposób. Każdy, kto istnieje w tym czasie, jest uczestnikiem tego czasu, pomyślałem. Ludzie myślą się, sądząc, że moja rodzina nie ma w tym czasie czego szukać, gdyż jest ona w tym czasie naprawdę i rzeczywiście znacznie bardziej żywotna niż inni i znacznie bardziej realistyczna niż inni, co widać, rozumie ten czas, jeśli zważę, iż wpływ, jaki wywiera dzisiaj na swoje otoczenie, nie jest najmniejszy.

Ale to ludzie specyficznego rodzaju, nieważne, czy się ten rodzaj neguje czy nie, czy się go odrzuca czy też nie. *Bezsensem byłoby mówić że członkowie mojej rodziny to ludzie z innego świata.* Inną kwestią jest, że Są to ludzie żyjący w najosobliwszy sposób, że wiodą nadzwyczaj osobliwy żywot, czyli taki, który nie przyjmuje do wiadomości zmiany świata i ludzkości, ale są oni naturalnie ludźmi tego czasu.

Byłoby absolutnym nonsensem twierdzić, że są z innego czasu lub z innego świata, gdyż bardziej niż miliony innych są z tego czasu i z tego świata i jak zwykle w nim panują, taka jest prawda. Być może jest to też ich osobliwa sztuczka, że stwarzają pozory, jakby byli z innego czasu i z Innego świata, pomyślałem, którą to sztuczką się posługują i dzięki której, jak to się mówi, nieźle się mają, gdyż oni w gruncie rzeczy nieźle się mają, powodzi się im o wiele lepiej niż milionom innych, którzy twierdzą o sobie, że są ludźmi tego czasu i tego świata, czego moja rodzina, być może z wrodzonego lepszego, a nie tylko dobrego wyczucia relacji między tym światem i tym czasem nigdy nie twierdziła. Nawet ja sam twierdzę, że moja rodzina, niezależnie od tego, jaka jest, by tak rzec, jest bardziej na czasie niż większość znanych mi ludzi, tak pomyślałem w kaplicy, nie mogąc się w ogóle zdecydować na jej opuszczenie i pójście na górę do rodziny. Uzurpujemy sobie prawo, pomyślałem, do wykluczania z tego świata i z tego społeczeństwa takich ludzi jak członkowie mojej rodziny oraz do mówienia, że nie są oni z tego świata, nie z tego czasu, że są *przedwcześni*, ponieważ doskonale czujemy, że nie mamy racji, dokładnie tacy ludzie jak członkowie mojej rodziny, co teraz z dnia na dzień widzę

wyraźniej, żyją *na czasie*. Nie uznaję ich sposobu życia, ale to przecież nie znaczy, iż mówię, że nie należą do tego czasu, że są przedwcześni.

Właśnie oni, mógłbym powiedzieć, są na właściwej drodze, nie na drodze, która wszystko burzy i unicestwia, lecz która spaja wszystko i chroni, choćby nie podobał się nam rodzaj okoliczności, w jakich dążą do osiągnięcia swoich celów, pomyślałem. Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi, co jednak nie znaczy, że należy ich zlikwidować, jak się często myśli, jak myśli się prawie zawsze, jak myśli się prawie zawsze i w konsekwencji tak działa. Pomyślałem też, że ja, chociaż myślę inaczej, sam z biegiem czasu wyznaczyłem siebie na ich likwidatora i wymazywacza, myślę więc podobnie jak ci inni, którym zarzucam niekompetencję i niedopuszczalność takiego myślenia. Nie dlatego są na czasie, że stanowią większość, pomyślałem, jak się wierzy i jak się w tej wierze działa, niezwykle często na niekorzyść swojego czasu, także jedna osoba lub mniejszość może być na czasie, i to o wiele bardziej na czasie niż większość, i nawet prawie zawsze jest, również jednostka może być bardziej na czasie niż większość i w gruncie rzeczy jest niezwykle często najbardziej na czasie. Większość zawsze tylko sprowadzała nieszczęścia, pomyślałem, nawet dzisiaj, gdy takie się zdarzają, zawdzięczamy je większości. Mniejszość albo choćby tylko jednostka są przecież właśnie dlatego uciskane przez większość, że ta mniejszość lub jednostka są o wiele bardziej na czasie niż większość i że działają o wiele bardziej na czasie niż większość. Myśli na czasie są zawsze przedwcześnie, pomyślałem. Przedwcześnie myśli zawsze wyprzedzają swój czas, jeśli rzeczywiście są myślami przedwczesnymi, pomyślałem. To, co na czasie, jest więc istotnie zawsze przedwcześnie, pomyślałem, kiedyś przeprowadziłem na ten temat długą rozmowę z Zacchim. Jestem na czasie oznacza, że muszę wyprzedzać czas swoimi myślami; nie oznacza to, że działam na czasie, gdyż działać na czasie oznacza, że jest to przedwcześnie, i tak dalej. Kilka dni spędziłem z Zacchim na takich rozważaniach, w Orvieto, gdzie Zacchi ma dom w górach, odziedziczony po jednym ze swoich wielbicieli. W gruncie

rzeczy, pomyślałem, ci z Wolfsegg, jakkolwiek obrzydliwi mogą się wydawać jednostce lub nawet większości, są jednak na czasie, pomyślałem, przede wszystkim jeśli dokładnie i nieprzekupnie przyjrzymy się naszemu czasowi i nie pozwolimy się odurzyć i otepić panującej akurat opinii, będącej wyłącznie opinią podsycaną przez aktualną politykę, pomyślałem. Od wieków istnieje opinia aktualna politycznie oraz niezbite fakty, które zawsze były i są przeciwstawne owej politycznie aktualnej opinii. Jest przecież faktem, powiedziałem do siebie, że w obecnej chwili świat znajduje się w stanie chaosu, gdy tymczasem w Wolfsegg panuje porządek, celowo nie powiedziałem do siebie *ciągle jeszcze* panuje porządek, powiedziałem do siebie tylko: panuje porządek. Podczas gdy świat nie może ocknąć się ze stanu śpiączki i w tym stanie śpiączki uświadomić sobie sam siebie, ci z Wolfsegg są bardzo świadomi, choćby budzili we mnie odrazę, choćbym ich z niechęcią unikał, nie kwestionuję jednak, że *działają* bardziej świadomie, poprawiłem się, *działali*, niż pozostała większość świata, pomyślałem. Na swój sposób, powiedziałem do siebie. Zaraz potem pomyślałem, że to, o czym właśnie pomyślałem, jest przecież całkowitym bezsensem albo przynajmniej nieprowadzącą do niczego błazenadą, porażką myślową. Aby ciągnąć dalej myśl, że na czasie są wolfsegganie, a nie pozostali ludzie na świecie, pomyślałem, potrzebowałbym Zacchiego albo Gambettiego, wszystko jedno, myśląc tę myśl w pojedynkę, poniosłem porażkę, jak w przypadku tak wielu myślanych już przeze mnie myśli, padłem ofiarą mylnych wniosków, niedostatku wychowania intelektualnego, jak pomyślałem. Zawsze jednak musimy liczyć się z możliwością poniesienia porażki, w przeciwnym razie skończymy nagle na beczynności, pomyślałem, podobnie jak poza swoimi umysłami nie musimy z większym zdecydowaniem występować przeciw niczemu innemu niż przeciw własnej beczynności, tak też w swoich umysłach musimy w ten sam sposób występować przeciw beczynności, w mniejszym lub większym stopniu z odpowiednią dla siebie bezwzględnością. Musimy pozwolić sobie na myślenie,

odważyć się na nie mimo niebezpieczeństwa, że rychło poniesiemy porażkę, bo nagle nie zdołamy uporządkować własnych myśli, gdyż skoro już myślimy, musimy zawsze brać pod uwagę wszystkie myśli, jakie istnieją i jakie są możliwe, co sprawia, że wtedy zawsze naturalnie ponosimy porażkę; w gruncie rzeczy zawsze ponosiliśmy porażki i wszyscy inni również, choćby nie wiem jakie nosili nazwiska, choćby byli największymi umysłami, naraz, w jakimś miejscu ponosili porażkę i ich systemy się załamywały, czego dowodzą ich dzieła, które podziwiamy, jako że są najbardziej wystawione na ponoszenie porażek. Myśleć oznacza ponosić porażki, pomyślałem. Działać oznacza ponosić porażki. Ale my naturalnie nie działamy po to, by ponosić porażki, podobnie jak nie myślimy po to, by ponosić porażki, pomyślałem. Nietzsche jest dobrym przykładem sposobu myślenia, które samo siebie tak bardzo zapędziło w ponoszenie porażek, że w końcu można je było nazwać wyłącznie szalonym, powiedziałem kiedyś do Zacchiego, pomyślałem. W tych zimnych, pobielanych wapnem murach *mogłem się być rozwijać* co bardzo często powtarzała moja matka, pomyślałem, zastanawiając się w westybulu, czy powinienem od razu iść na pierwsze piętro, czy też nie, do rodziny czy do innych, zgromadzonych w kuchni, jak zauważyłem. Dziewczyny kuchenne i służące rozmawiały *cicho* W kuchni, pamiętając o tym, że znajdują się w *domu żałoby*. Stałem pod drzwiami i usiłowałem zrozumieć, co jest treścią ich rozmowy, ale nie rozumiałem, o czym rozmawiają, wyławiałem tylko pojedyncze słowa, które jednak nie oddawały sensu; o ile mogłem się zorientować, służba rozmawiała o swoich rodzinach, raz po raz pojawiało się słowo Muhlviertel. Byłem świadom niestosowności swojego tkwienia pod drzwiami, ale stałem tam nadal, a jednocześnie nie mogłem się zdecydować, czy iść na pierwsze piętro i tym samym poprzez przywitanie się z rodziną zakończyć to zbliżanie się do niej, czy też całkiem po prostu otworzyć drzwi do kuchni i przywitać się najpierw ze zgromadzonymi tam kobietami i dziewczętami. Właśnie roześmiały się głośno, ja zaś pomyślałem, że gdyby nagle otworzyły drzwi, odkryłyby, iż podsłuchuję, na



myśl o tym, przy całym chłodnym wyrachowaniu, przeszył mnie zimny dreszcz. Musiałem uznać, że moje zachowanie jest całkowicie niedopuszczalne, wszystko jedno, na co się teraz zdecyduję, pomyślałem, na otwarcie kuchennych drzwi, czyli na przywitanie się z kobietami i dziewczętami z kuchni, czy też na pójście na pierwsze piętro do rodziny i przywitanie się z nią, i tak już od dawna mam poczucie winy, poczuwam się do niej na swój własny sposób, oczywiście niezrozumiały, raniący. Treścią rozmowy w kuchni, którą teraz, stojąc w westybulu, śledziłem z największą uwagą były różne pogrzeby, jakie zgromadzone w kuchni kobiety i dziewczęta już kiedyś przeżyły, oraz podobne nieszczęśliwe przypadki. Pewien starzec, osiemdziesięciosiedmioletni, jak mówiły, wpadł do potoku, pewna starsza kobieta, sześćdziesięciosześcioletnia, powiesiła się w oknie sypialni, jakieś dziecko zostało przejechane przez furmankę, na którą w tak zwanej Węglówce, naszym osiedlu górniczym, załadowano właśnie worki z węglem. Opowiadały, że zwłoki wydzielają zawsze nieprzyjemną woń, a wieńce bardzo podrożały, że jest coraz mniej firm pogrzebowych, rodziny zaś, nawet najbliżsi krewni zmarłego, nie chodzą już, jak dawniej, bez wyjątku, przez pół roku w czerni, nawet wdowy, tak opowiadały. Wyglądało na to, że zgromadzone w kuchni kobiety i dziewczęta przygotowują dla siebie popołudniową kawę. Podczas gdy same piją popołudniową kawę już około drugiej, pomyślałem, dla tych z pierwszego piętra nastawiają wodę na kawę dopiero około piątej, kiedy same jedzą już kolację, do której ci z pierwszego piętra zasiadają dopiero około pół do ósmej. Poczulem nagle radość na myśl o tym, że wolfseggskie zwyczaje nie uległy najmniejszym zmianom, te codzienne, pomyślałem. Kobiety i dziewczęta z kuchni rozmawiały o napadniętym i zamordowanym maszyniście, którego pięcioro dzieci pozostało teraz bez zabezpieczenia, a wdowa szuka pracy, żeby móc utrzymać siebie i tę piątkę dzieciaków, ponieważ państwo nie wypłaca ani grosza rodzinom zamordowanych osób, choćby nawet schwytano mordercę, prawo w tym państwie jest wielce niedoskonałe. Usłyszałem o przewróconym wozie

drabiniastym w pobliżu dziecięcej willi, którym dziewczyny kuchenne miały przetransportować kilka drewnianych ławek z dziecięcej willi do głównego budynku, a także, iż po uwadze na temat kur składających jaja roześmiały się głośno, by zaraz jednak zamilknąć, jakby zawstydziły się tego śmiechu jako oznaki nieprzystojnego braku wychowania. Jeśli wejść i przywitam się z nimi, pomyślałem, do cna się ośmieszę, poszedłem więc na pierwsze piętro; fakt, że przyjechałem bez jakiegokolwiek bagażu, z Rzymu, a dokładnie biorąc, jedynie z portfelem i chusteczką do nosa, z niczym poza tym, samego mnie wgłębi duszy rozbawił w tej smutnej atmosferze.

Każę zbadać wszystkie obrazy na ścianach i na strychach, aby w ten sposób sprawdzić ich rzeczywistą wartość, powiedziałem do siebie, wchodząc na górę, na pierwsze piętro, obok olejnego portretu ciotecznego praprapradziada Ferdynanda; zachować spokój i nie dostać zadyszki, pomyślałem, a potem na zakręcie schodów jeszcze raz przystanąłem, podsłuchując i nasłuchając. Najwyraźniej moja siostra Amalia rozmawiała ze swoim szwagrem, będącym również moim szwagrem, z fryburskim fabrykantem kapsli do wina, który przywiózł nam wina badeńskie, pomyślałem, i z którym podczas wesela prawie nie rozmawiałem, ale nie dlatego, że byłem zbyt wyniosły, lecz dlatego, że to on wolał mnie unikać, nieustannie uciekał przede mną, jak tylko mógł, chował się przede mną, bojąc się z pewnością pytań, jakie mógłbym mu zadać. Widzę go jeszcze, jak stoi w parku pod dębem, pomyślałem, samotnie, co stwarzało mi okazję, by do niego podejść, porozmawiać z nim, więcej zeń wyciągnąć, jak sobie wtedy pomyślałem, aniżeli wiem, choć nie było tego wiele, gdyż moja siostra, co się tyczy jej narzeczonego, nigdy nie pozwalała z siebie dużo wyciągnąć, ale kiedy podszedłem do dębu, szwagra już tam nie było, obserwował mnie od jakiegoś czasu i w tym samym momencie, kiedy zauważył, że mam zamiar do niego podejść, wymknął się i, jak sądzę, całkiem bez powodu, nagle, poszedł szybko do oranżerii, gdzie nikogo nie było, w każdym razie ja tam po drugiej stronie nikogo nie widziałem, stałem więc teraz pod

dębem sam, bez bogatego szwagra obok siebie. Także podczas przyjęcia weselnego nie miałem możliwości porozmawiania z nim, bo gdy tylko spojrzałem w jego stronę, natychmiast odwracał ode mnie wzrok, było jasne, iż najwyraźniej bardzo cierpi, że go obserwuję, ale przecież jest czymś najnaturalniejszym w świecie, iż brat żony obserwuje nowego szwagra, to, jak się prezentuje, co ma do powiedzenia, jak zachowuje się, by tak rzec, nie tylko na zewnątrz, ale także od środka. Ale fabrykant kapsli do wina wolał schodzić mi z drogi. Podczas całego pobytu w Wolfsegg ani razu nie miałem okazji porozmawiać z nim naprawdę, pomyślałem teraz; zawsze chciałem to zrobić, odczuwałem taką naturalną potrzebę, ale nigdy mi się to nie udało, tego rodzaju ludzie, na dodatek jeszcze z Badenii, z rejonu winnic, z ogromną zręcznością potrafią zawsze, pomyślałem, unikać kogoś, kto chce przeniknąć ich pytaniami, ci ludzie są bardzo sprytni, jeśli idzie o takie uniki. Mówimy, że mamy do czynienia z głupcem, zarazem jednak musimy przyznać, że jest przebiegły. Grubasy są zawsze bardziej przebiegłe niż inni ludzie, w gruncie rzeczy są też zawsze bardziej ruchliwe. Ale ich ruchliwość ogranicza się do cielesności, gdyż jeśli chodzi o umysłowość, o ile w ogóle w odniesieniu do nich można o czymś takim mówić, tłuszciochy są absolutnie nieruchawe. Chciałem poddać szwagra różnym egzaminom i myślałem, że bardzo łatwo będzie go przeegzaminować, wybadać, by tak rzec, przejrzeć na wylot jego intrygi, zdecydowanie jednak przeceniłem swoją sztukę zbliżania się do ludzi i niewątpliwie poniosłem w tym względzie porażkę. Ale, pomyślałem, z jakiego powodu szwagier mnie unika? Czego się we mnie boi, we mnie, który przecież jestem bratem jego narzeczonej, a po ślubie żony, i który, jak sądziłem, ma prawo dowiedzenia się czegoś o nim? Niewątpliwie rodzina potraktowała jako potworność ze strony mojej siostry, że, w mniejszym lub większym stopniu bez pytania, poślubiła tego mężczyznę, w rzeczywistości wcale go nie znając, to bowiem, iż w ogóle go nie zna, jest oczywiste. Ciągle tylko powtarzała, że tak zwana ciotka z Titisee zna go do głębi, zna jego rodzinę od urodzenia. To jednak oczywiście nie wystarcza, w tej

kwestii myślałem podobnie jak matka, która tę myśl myślała znacznie głębiej niż ja, ale nie mogła przeszkodzić ślubowi, gdyż Caecilia twardo przy nim obstawała, po raz pierwszy w swoim życiu, jak to się mówi, stanęła na własnych nogach i dopuściła się występku przeciw matce, matka bowiem od Samego początku nazywała ten ożenek wyłącznie *występkiem* Caecilii, popełnionym przeciw niej i tylko przeciw niej, jednakże matka, aby nie stracić twarzy, ośmielała się myśleć tę myśl jedynie potajemnie i jedynie wśród nas. Obie córki, tak myślała i wyobrażała to sobie jako niezbity fakt, miały dożywotnio pozostawać w bezpośrednim pobliżu do jej usług, a zatem w Wolfsegg, i jakikolwiek ożenek był całkowicie wykluczony. Póki ciotka z Titisee nie przeforsowała swojego absurdalnego pomysłu, jak często powtarzała moja matka, wbrew wszelkim wcześniejszym planom. Ale ten ślub jest także skierowany przeciw Amalii, pomyślałem, gdyż siostry, o ile wiem, przysięgały sobie, chociaż bez słów, to jednak dozgonną wierność, co znaczyło wyłącznie tyle, że żadna z nich nigdy nie wyjdzie za mąż, gdyż zamążpójście oznacza naturalnie rozstanie, które teraz dokonało się przez ten, jak znowu pomyślałem, absolutnie *kuriozalny ślub*, nazywany przez matkę w najperfidniejszy sposób jedynie *ożenkiem*, które to słowo aż do chwili ślubu wymawiano w Wolfsegg za każdym razem z najwyższą pogardą.

Jednakże i fabrykant kapsli do wina nigdy nie mówił *ślub*, tylko zawsze *ożenek*, znał bowiem to słowo z Badenii oraz ze swoich kręgów i nigdy nie wydawało mu się okropne, podobnie jak wszystkim niewtajemniczonym w naszą ironię, pomyślałem. Nie uważam go za oszusta ani za spekulanta, lecz za głupca dążącego do czegoś tak zwanego wyższego i lepszego, jakich tysiące snują się wszędzie po ulicach, zmieniając każdy lokal, a koniec końców każde większe towarzystwo w nieznośne piekło. Nie mógłby być oszustem, bo brak mu szczwaności, podobnie też nie mógłby być spekulantem, jest to poczciwy karierowicz z kompleksami, powiedziałem do siebie. Mogłem być jednak zmusić go do tego, żeby zdał mi ze wszystkiego sprawę, powiedziałem do

siebie, zastąpienie mu drogi nie przyszłoby mi z trudnością, ale nie miałem na to ochoty. Być może nie chciałem konfrontacji z jego groteskowym językiem, pomyślałem, z tym południowo zachodniemieckim badeńskim dialektem. Badeńska swojskość, którą poznałem dzięki kilku pobytom w Schwarzwaldzie u ciotki z Titisee, nigdy mi się nie podobała, nie znajdowałem w niej nic udatnego, równie mało jak w tak zwanej wiedeńskiej swojskości, której piekielna tępota budziła zawsze we mnie co najmniej odrazę, przeważnie jednak powodowała przygnębienie, ponieważ tak zwana swojskość jest wyłącznie nikczemnym obchodzeniem się z ludzką naturą, a jeśli chcemy posunąć się do ostateczności, absolutnie podłym traktowaniem naszego światopoglądu. Nie mogę powiedzieć, że fabrykant kapsli do wina wkradł się do Wolfsegg, moja siostra wprowadziła go tu przecież z całą premedytacją wbrew matce, popełniając wraz z nim najcięższą zbrodnię przeciw niej. Człowiek, który nigdy nie słyszał o Maksie Bruchu, powiedziała kiedyś matka przy stole, gdy była mowa o fabrykancie kapsli do wina i tylko o fabrykancie kapsli do wina, ona, która nie miała pojęcia o muzyce i dla której, jeśli mam powiedzieć prawdę, koncert skrzypcowy Maksa Brucha był przez całe życie najbardziej zachwycającym przeżyciem muzycznym, akurat ona odczuwała potrzebę jeszcze większego ośmieszenia przyszłego zięcia, niż był już ośmieszony, nie tylko przez nią, lecz przez nas wszystkich, odczuwała potrzebę ośmieszenia go akurat przy użyciu tego wątpliwego nazwiska Maksa Brucha, pomyślałem. W Rzymie, przed przyjaciółmi, dopóty nie opowiadałem o fabrykancie kapsli do wina, póki ślub nie stał się aktem dokonany, dopiero później odtworzyłem tę historię, by tak rzec, od końca, przed Zacchim, Gambettim, a także przed Marią, która słysząc moje opisy, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Dopiero później uświadomiłem sobie podłość, z jaką się przy tym zachowywałem, czyli to, że nie mówiłem przeciw niemu, nowemu szwagrowi, lecz w gruncie rzeczy wyłącznie przeciw sobie, sam siebie przy tym demaskując. Nie mogłem opowiadać o szwagrze poważnie, lecz jedynie w ironiczno-gorzki sposób, po

który sięgam zwykle wtedy, gdy powaga wydaje mi się nie do zniesienia. Ale dokładnie tacy ludzie jak fabrykant kapsli do wina zawsze mnie irytują w ostatecznym efekcie zaś doprowadzają do białej gorączki, jak to się mówi, ponieważ to właśnie oni, a nie kto inny, ukazują naszym oczom nieznośną karykaturę człowieka, jego deformację, jego nikczemną śmieszność, której nie należy mylić z bezradnością. Podobnie jak istnieje różnica między tym, czy mam przed sobą prostego człowieka, czy też proletariusza; jeden jest wprowadzający spokój, drugi natomiast absolutnie nieznośny, wprowadzający niepokój, karykaturalny, pomyślałem. Proletariusz to człowiek przemysłu, nie istniał przed industrializacją, to niewolnik maszyny, nieustannie przez maszynę poniżany, to ktoś, kto nie umie się przed tym poniżeniem bronić, ktoś, kto zostaje spodlony przez maszynę, podczas gdy prosty człowiek, tak jak ja to widzę, nigdy nie stał się niewolnikiem maszyny, nie pozwolił się jej poniżyć, a zatem nie pozwolił się również zniszczyć i unicestwić, pomyślałem. Drobnomieszczenie i proletariusze są budzącymi litość, ale nieznośnymi produktami epoki maszyn, jesteśmy więc przerażeni, gdy mamy ich przed sobą, musimy bowiem myśleć o tym, co te maszyny i biura z nimi zrobiły. Duża część, większość ludzi została zniszczona i unicestwiona przez maszyny i biura, pomyślałem, fabrykant kapsli do wina został zniszczony i unicestwiony przez swoją fabrykę kapsli do wina i przez swoje maszyny wytwarzające kapsle do wina, to one sprawiły, że jest nie do zniesienia, pomyślałem, i chociaż byłem już na pierwszym piętrze, zatrzymałem się jednak na końcu schodów. Nie mogę zrozumieć, co skłoniło moją siostrę do wybrania sobie akurat tego człowieka na dozgonnego partnera. Z drugiej strony wiem, że wcześniej nie trafiła na nikogo, kto by chciał się z nią związać, wszystkie jej próby, a podejmowała takich prób wiele, spełzły na niczym, musiały spełznąć na niczym przy matce, która zawsze zabraniała córkom związków z mężczyznami i w ogóle przebywania w męskim towarzystwie; siostry miały już pod trzydziestkę i nadal musiały stosować się do tego matczynego zakazu, nie ośmielały się go złamać ze strachu, że matka je

wygna i pozbawi wszelkich praw. Zawsze gdy nie stosowały się do matczynych zarządzeń, groziła im *wydziedziczeniem*, a więc stosowały się do nich, niczego bowiem nie obawiały się bardziej niż wydziedziczenia, gdyż zdane na siebie, uważałyby się naprawdę za bezradne, mogę spokojnie powiedzieć: za nic. Kiedy Caecilia wyraziła pewnego razu ochotę wyjechania z pewnym przyjacielem, jak się niefortunnie wyraziła, do Salzburga, zaledwie na dwa dni, w ogóle zabroniono jej przez tydzień wychodzić z domu. Nie inaczej miała się rzecz z Amalią, gdy zgłaszała życzenia dotyczące, jak mawiała matka, takich niebezpiecznych eskapad. Jak jednak zachowam się teraz ja, w tej sytuacji, wobec fabrykanta kapsli do wina, pomyślałem, słysząc równocześnie głosy członków mojej rodziny, wszystkich trojga, chociaż stojąc tu na korytarzu, nie słyszałem, o czym rozmawiają, niewątpliwie omawiali coś, co miało związek z pogrzebem, to nie ulegało wątpliwości. Jak najlepiej się zachować? zadałem sobie pytanie, jak od samego początku ustawić się na tej scenie? Takie rozważania nie prowadzą przeważnie do niczego, sprawiają tylko, że wszystko jest jeszcze trudniejsze, koniec końców komplikują zawsze sprawy całkiem proste, wszystko wygląda też niezwykle złożenie, niesłychanie zawile. Wiedziałem, że wszystko zawsze, jak to się mówi, rozwiązuje się samo przez się i że nie warto zastanawiać się nad tym w przypadkach, które powszechnie nazywa się najtrudniejszymi, takimi jak na przykład moment, gdy po raz pierwszy ludzie stają naprzeciw siebie po otrzymaniu powiadomienia o nieszczęściu, jak w tym przypadku, kiedy wracamy do domu, a świadkowie lub osoby dotknięte tym nieszczęściem już nas jako pierwsze oczekują. Wiemy, że wszystko załatwi się samo przez się, nigdy jednak temu nie dowierzamy, zawsze to lekceważymy i zmieniamy swój umysł w piekło. Gdyby siostry były same, pomyślałem, nie miałbym najmniejszego problemu, wtedy już od dawna byłbym razem z nimi, żeby omówić najbliższą przyszłość, ale fabrykant kapsli do wina uniemożliwia zrozumiałą samą przez się spontaniczność mojego występu. Już staje mi na drodze, pomyślałem, już blokuje moją naturalność, pomyślałem. Już

teraz, tydzień po ślubie, ślub ten okazał się grubą pomyłką, pomyślałem, jest klinem wbitym między Amalię a Caecilię, pomyślałem, który ostatecznie je rozdzieli, w najprostszy sposób, poprzez okazywanie złego humoru, co kazało Amalii wprowadzić się na pewien czas do pawilonu ogrodowego dla ukarania Caecilii, na śmiesznie krótki czas. Fabrykant kapsli do wina siedzi tam teraz z nimi i omawia to, co one właściwie powinny omawiać ze mną, pomyślałem. Miesza się w sprawy, w których nie ma czego szukać, tym swoim niedołęznym umysłem, objawiając te swoje drobnomieszczańskie zapatrywania i banalne poglądy, które nigdy nie przekształcą się w głęboki ogląd spraw, już prawdopodobnie na swój sposób zarządza całym majątkiem. Jeszcze nie minął tydzień od ślubu, a on już się usadowił w Wolfsegg, zagarnął je, pomyślałem, ustawiając się tak, aby słyszeć nieomal wszystko, o czym ci troje rozmawiają, i w gruncie rzeczy ciągle tylko bacznie nadstawiałem ucha, by pochwycić coś na swój własny temat, cokolwiek, ale słyszałem jedynie, że rozmawiają o właścicielu zakładu pogrzebowego, który był tu już trzykrotnie i z którym nie mogą się dogadać. I że do tej pory nadeszło aż czterdzieści wieńców i osiemdziesiąt bukietów. Że kazali zamieścić duże nekrologi nie tylko w „Oberosterreichische Nachrichten” i innych gazetach ukazujących się w Górnej Austrii, lecz również w dziennikach wiedeńskich i monachijskich, a teraz zastanawiają się, czy nie zamieścić jeszcze nekrologu we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Rozmawiają tak cicho, żeby nikt ich nie słyszał, pomyślałem, ale ja słyszałem wszystko, po raz pierwszy odkryłem, że na korytarzu, gdy wewnątrz jest absolutnie cicho i mówi się możliwie najciszej, można usłyszeć prawie wszystko, i to mnie przeraziło, ponieważ do tej pory zawsze sądziłem, iż na zewnątrz nie słyhać tego, o czym mówi się w środku. To odkrycie jest jednym z najważniejszych, pomyślałem, zmusza mnie do podjęcia najwyższych środków ostrożności, jeśli idzie o mój własny sposób mówienia w tak zwanym salonie. Oni są pewni, że nikt ich nie słyszy, a przecież rozumie się każde słowo, pomyślałem. Fabrykant kapsli do wina odpowiadał



przez cały czas tylko *tak* lub nie na najbliższe pytania, całą rozmowę prowadziły moje siostry, co mnie trochę uspokoiło. Nagle jednak fabrykant kapsli do wina powiedział, że katafalk należy postawić nieco wyżej, zacząłem więc wsłuchiwać się jeszcze uważniej. Katafalk jest za niski, w związku z czym goście będą mieli ogromne trudności z zobaczeniem zmarłych, można temu zaradzić jedynie poprzez ustawienie katafalku wyżej. I tak rozmawiali przez dłuższy czas, aż wreszcie wszyscy troje postanowili wydać polecenie, by jeszcze wyżej ustawiono katafalk. Później rozmawiali o ogrodnikach, następnie o łowczych, a wreszcie o tym, że zarezerwowali już wszystkie pokoje dla zapowiedzianych z różnych stron żałobników, we wszystkich gospodach, nie tylko na dole we wsi, ale także w Ottnang, kilkakrotnie padło nazwisko *Gesswagner*, będące równocześnie nazwą gospody, w której zawsze najchętniej przesiadywałem, gdy chciałem uniknąć *wolfseggskiej* kuchni. U *Gesswagnera* mieli duże pokoje z łózkami starego typu, w których goście, zakwaterowani tam przez nas przy najrozmaitszych okazjach, zawsze bardzo dobrze się czuli, ta gospoda jest nie na darmo taka sławna, podobnie jak należący do niej sklep mięsny. Słowo „*Gesswagner*” natychmiast przypomniało mi o tym, ile szczęśliwych godzin spędziłem w związanej z nim gospodzie w towarzystwie mieszkańców *Ottnang*; górnikom, chłopom, stolarzom i robotnikom drogowym, którzy tam przychodzą, zawdzięczam, że bardzo szybko poszerzyły się moje horyzonty. W żadnej innej gospodzie nie przeżyłem nigdy takiej absolutnie naturalnej wesołości, czyli pogody ducha, toteż w tym sensie „*Gesswagner*” jest dla mnie czymś w rodzaju czarodziejskiego zaklęcia. Jest to Centrum *Ottnang*, słynne i znane ze swawolnych, a wręcz rozhukanych ludzi, a poza tym z najlepszej ze wszystkich kapel muzycznych, z wyjątkiem kapeli z naszej wsi. Jednakże słowo „*Gesswagner*” jest naturalnie tylko dla mnie, który znam jego różne konteksty, słowem budzącym wspomnienia o szczęśliwych chwilach, pomyślałem. Nagle rozmowa w salonie zeszła na mój temat, nie mogli pojąć, dlaczego do tej pory się nie odezwałem, skoro przecież wysłali do mnie telegram

*natychmiast po otrzymaniu wiadomości o nieszczęściu. Nawet telefonu, nic, powiedziała Amalia. W tym momencie wszedłem. Podniósłszy się, siostry stały, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, objąłem je, uściśnąłem szwagrowi rękę. Nadal milcząc, zszedłem z Caecilią do oranżerii. Moje pierwsze wrażenie było takie, że siostry uznały mnie za absolutnego następcę nieszczęśliwie zmarłych, nie miały wyboru, tak przyjmuje się kogoś, w kim pokłada się wszelkie nadzieje, pomyślałem, a przez chwilę też, że obecnie są zdane na moją łaskę i niełaskę, zdane na moją pomoc, a przede wszystkim muszą mnie słuchać. Przez chwilę również, że nie mogą już beze mnie istnieć i liczą na moją wspaniałomyślność, wszystko to zaś dlatego, że wiedzą, iż jestem naturalnym spadkobiercą zmarłych, którego obstepują teraz, całkiem bezradne z powodu zaistniałego nieszczęścia.*

*Odszczepieniec, odepchnięty, przeklęty, znenawidzony stał się nagle, by tak rzec, jedynowładcą, żywicielem, wybawcą. W tej pierwszej chwili, gdy mnie ujrzały, postawiły wszystko na mnie, żądając, abym, w mniejszym lub większym stopniu zmuszony koniecznością, zapomniał naraz o wszystkim, co złego i nie do zniesienia wyrządzili mi zmarli i one, bylebym tylko je ocalił. Niewątpliwie miałem taki zamiar, toteż dałem im to do zrozumienia, nie słowami, tylko takim zachowaniem, którego nie umiem bliżej wyjaśnić. Szwagier w ślad za nimi przyjął podobną postawę, oczekując ode mnie, że oprócz sióstr ochronię również jego i naturalnie od razu go uwzględnię w swoich rozważaniach dotyczących przyszłości. Jednakże podobnie jak one same nie mogły wiedzieć, co się teraz stanie, ja także tego nie wiedziałem, gdyż w ogóle jeszcze nie zastanawiałem się nad faktem, że to mnie, wyłącznie mnie, przypadł cały kompleks Wolfsegg z wszystkimi tego konsekwencjami, nie zastanawiałem się nad tym ani dzień wcześniej w Rzymie, po otrzymaniu niewątpliwie szokującego telegramu, ani do tej chwili, do której nadejścia zaprzętał mnie przecież wyłącznie przyjazd tutaj, nie zostawiając mi czasu na myślenie o przyszłości kompleksu Wolfsegg, w każdym razie nie dałem sobie czasu na myślenie o tym,*

*nie chciałem tego robić, nie chciałem bowiem od razu, zanim jeszcze rodzice i brat zostaną pochowani, obciążać się i przytłaczać pozostawionym przez nich kompleksem Wolfsegg; jak na taki stan rzeczy, wiadomość o śmierci rodziców i brata pojawiła się w Rzymie zbyt niespodziewanie, ten szok, jak już powiedziałem, nie był dla mnie wstrząsem, wręcz przeciwnie, popadłem raczej w stan zubożenia w obliczu tego niewątpliwie strasznego nieszczęścia, z którego to stanu nie miałem siły, a wskutek tego również woli się wyrwać. Wtedy położyłem jedynie fotografie na biurku i fantazjowałem, co mogę spokojnie powiedzieć, na ich temat, żeby w mniejszym lub większym stopniu odwrócić swoją uwagę od tej potworności, taka metoda była najlepsza, jak się teraz przekonałem; jednak po otrzymaniu telegramu z wiadomością o śmierci byłem raczej opanowany, a nie wstrząśnięty, jak to się mówi, absolutnie wziąłem się w garść, mój umysł zaś był jasny, jak powiedziałem, ale skutków wiadomości o śmierci nie rozpatrywałem naturalnie ze wszystkimi szczegółami i z całym ciężarem, ponieważ chciałem się ochronić, musiałem się ochronić, nie mogłem i nie chciałem pozwolić, aby śmierć rodziców i brata mnie stłamsiła. W drodze do oranżerii, gdy Amalia szła przodem, pomyślałem, że siostry i szwagier będą teraz całkowicie zdani na mnie, że już teraz z absolutnej konieczności całkowicie się zmienili w stosunku do mnie. Nagle, po śmierci rodziców i starszego brata, zacząłem w ich oczach odgrywać naprawdę ciągle dotąd niewyobrażalną dla mnie rolę, rolę żywiciela i karmiciela. Ale ja przecież jestem nadal takim samym człowiekiem jak przedtem, pomyślałem, ja się nie zmieniłem, ja się nie zmienię, choćby moje siostry tego obecnie ode mnie oczekiwały, musiały w to uwierzyć, aby od razu nie popaść w rozpacz i nie stracić nad wszystkim kontroli. Faktem jest, że w drodze do oranżerii po drugiej stronie, jakkolwiek smutna była dla mnie ta droga, myślałem o tym, że siostry należy spłacić i że nie wyobrażam sobie ich dalszej obecności w Wolfsegg, nie dopuszczę do tego, by Wolfsegg było nadal tak zarządzane jak do tej pory, ale oczywiście nie mogłem wiedzieć, jakie ma być to inaczej, tylko tyle, że to nie*

*może się nadal odbywać tak, jak odbywało się przez całe stulecia aż do dnia dzisiejszego. Amalia rozmyślnie, być może rzeczywiście jako załamana tą nagłą śmiercią córka i siostra, szła przede mną do oranżerii, w czerni, w obcisłej wełnianej sukni, z włosami związanymi z tyłu głowy, prezentowała się bardzo dobrze, podobnie zresztą jak Caecilia, pomyślałem, której w czerni jest także bardzo do twarzy. Gdyby tylko nie chodziły ciągle w tych obrzydliwych chłópkach, pomyślałem, gdyby wkładały czarne suknie, byłyby sympatyczniejsze, pomyślałem. Szwagier u boku Caecilii zrobił na mnie w pierwszej chwili wrażenie absolutnie bez-radnego, ten z jednej strony triumfujący, z drugiej zaś jeszcze tydzień wcześniej obarczony kompleksami weselnik, teraz już taki nie był; nieszczęście i jego bezpośrednie skutki nie zatuszowały bynajmniej znikomości i głupoty szwagra, wszyscy troje stali teraz przede mną, w swojej całej przygnębiającej znikomości. Zamiast wspierać Caecilię, co byłoby naturalne, pozwalał, aby to Caecilia wspierała jego, swojego męża, fabrykanta kapsli do wina, takie w każdym razie odniosłem wrażenie w chwili, kiedy wkroczyłem do tak zwanego salonu i spojrzałem najpierw na Caecilię i jej męża, dopiero później na Amalię, która wydała mi się jeszcze jakoś bardziej opanowana. Wszystko już uruchomili, powiedzieli, ale chociaż nie umiałem sobie tego „wszystkiego” wyobrazić, pomyślałem, że wszczęli wszystkie konieczne teraz działania. Zanim doszliśmy do oranżerii, Caecilia powiedziała, że równocześnie z telegramem do mnie wysłała także telegram do Spadoliniego. Ja mam zdecydować, kogo jeszcze należy powiadomić o tym nieszczęściu poza tymi, których już powiadomiła. Wysłanie telegramu do Spadoliniego uważała za oczywiste. W tym momencie zrozumiałem i to, że także Caecilia dobrze wiedziała, jak należy zaklasyfikować stosunki naszej matki i Spadoliniego. Siostry zawsze były wtajemniczone, pomyślałem.*

Fabrykant kapsli do wina, ogólnie rzecz biorąc, właściwie mi teraz zawadza, pomyślałem równocześnie, nie mogę go jednak wyłączyć, wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że Caecilia zdecydowanie jego wysunie na plan

pierwszy, by tak rzec, jako swojego obrońcę, to mi jednak nie przeszkadzało, nie bałem się bowiem fabrykanta kapsli do wina, gdyż chociaż jest moim szwagrem, nadal pozostanie całkiem margi-nalną postacią bez jakiegokolwiek wpływu na cokolwiek, pomyślałem. Po to, żeby wysunąć swojego męża na plan pierwszy, Caecilia w chwili, gdy wszedłem do salonu, zbyt ostentacyjnie stanęła za nim, jako, by tak rzec, tarczą ochronną. Mnie jednak już w pierwszym momencie wydało się to śmieszne, by nie powiedzieć wręcz niesmaczne, nie wynikało z żadnej wewnętrznej konieczności, żeby, spostrzegłszy, iż wchodzę do salonu, natychmiast miała wstać i stanąć za swoim mężem, to było jej niegodne, pomyślałem, nie rozwijając tej myśli, która w tej chwili nie była aż tak ważna, ale przy całym zrozumieniu obecnej sytuacji jednak mnie to zirytowało. Siostry usiłowały pokazać mi się zmienione, biorąc pod uwagę nową sytuację w Wolfsegg, ale jedynie połowicznie udało im się odegrać przede mną tę przemianę, gdyż one się nie zmieniły, były takie same jak dawniej, tylko ja myślałem, że się zmieniły, to było błędne myślenie z mojej strony, któremu najpierw uległem, a które jednak wyjaśniło się już w chwili, gdy powiedziałem, że chcę teraz zobaczyć zmarłych rodziców i zmarłego brata. Zanim doszliśmy do oranżerii, pomyślałem jeszcze, że prawdopodobnie siostry nie będą obecnie żądać ode mnie niczego poza całkowitym samozakłamaniem. Teraz, kiedy postarasz się chronić je możliwie najlepiej, musisz się mieć na baczności, w przeciwnym razie źle na tym wyjdiesz, w końcu pobierały nauki u matki, umieją więc nawet taką sytuację wykorzystać dla własnych celów. W tym momencie poczułem wstręt do tej myśli, ale przecież nie pomyślałem jej bez powodu, była absolutnie konieczna. Członkowie mojej rodziny, również siostry, nigdy przed niczym się nie wzdragali, jeśli tylko odpowiadało to ich celom, dlatego teraz miałoby być inaczej, powiedziałem do siebie, a równocześnie jak wielka i głęboka musi być moja nieufność wobec nich, żeby w takiej chwili móc w ten sposób myśleć, i poczułem do siebie obrzydzenie.

Nieufność zawsze była pośród nas regułą, każdy dla siebie rozwijał ją w

sobie ponad normalną miarę, czyniąc bezwarunkowo koniecznym nawykiem przeciw wszystkiemu i wszystkim. Ale tę nieufność odczuwałem wyłącznie w Wolfsegg i zawsze tylko w stosunku do mojej rodziny, w innych sytuacjach jej nie odczuwałem, w żadnym innym miejscu nie objawiała się w taki sposób, jak myślę; ledwo znalazłem się w Wolfsegg, już się odezwała, przynależna do Wolfsegg, przynależna do niego jak wszystkie inne tak zwane *złe cechy*, które w gruncie rzeczy są jedynie całkiem naturalnymi metodami, pozwalającymi nabrać pewności co do siebie i nie zginąć. W Rzymie myślałem, że spotkam małoduszne, nerwowo na wszystko reagujące siostry, one jednak, jak stwierdziłem, były uosobieniem spokoju, chyba że mnie wzrok mylił i widziałem tylko ich zewnętrzny spokój, nie dostrzegając wewnętrznego niepokoju i nerwowości. W

Rzymie myślałem, że przyjadę do oszalałego domu, ale dom nie był oszalały, zadałem więc sobie w myślach pytanie, jak wielkie musiałyby się właściwie zdarzyć nieszczęście, żeby członków mojej rodziny powalić i *sparaliżować*, bo to ani ich nie powaliło, ani nie sparaliżowało; zachowali nie tylko właściwą postawę, jak to się mówi, lecz także niezwykłą czujność. W ogóle nie przyszło im do głowy, żeby spytać, jak i dlaczego tak późno przyjechałem z Rzymu, czy pociągiem, czy samolotem, tak oczywiste było dla nich to, że stanąłem przed nimi właśnie w tym momencie, a nie w jakimkolwiek innym. Nie zadali mi ani jednego pytania, pomyślałem, niczym mnie nie poczęstowali, natychmiast zażądali ode mnie, żebym został dyrygentem, który od teraz weźmie wszystko w swoje ręce i będzie silny ale nikt nie wpadł na to, że ja może w ogóle nie dam rady, by tak rzec, objąć urzędu, który spadł na mnie tak nagle, przynajmniej zewnętrznie nie było tego widać. W ciągu jednej sekundy wszystko zrzucili na mnie, pomyślałem, chociaż przecież w tej chwili wiedzą więcej niż ja, być może nawet byli świadkami wypadku, a w każdym razie tymi, którzy pierwsi się o nim dowiedzieli, przede mną, ja wszakże w drodze do oranżerii nie wiedziałem jeszcze nawet jak *to się stało*, miałem

obiekcje co do tego, by ich spytać, jak, nie byłem w tej chwili w stosownym nastroju, by o to pytać. Ale ten wypadek mógł być jedynie wypadkiem samochodowym, pomyślałem, moje siostry nie wpadły również na pomysł, aby mnie oświecić co do rodzaju wypadku, oszczędziły sobie tego tuż po moim powrocie z Rzymu, nikt nie chciał pierwszy podać mi właściwej przyczyny śmierci rodziców i brata, jakby byli skazani na milczenie na ten temat, zachowywali się tak, jakby się umówili co do tej drażliwej sprawy, co do tej naprawdę strasznej okropności, a ponieważ oni się nie odzywali, mówiłem ja, powiedziałem, że nie mogłem wcześniej przyjechać, chociaż to było kłamstwo, ale jak widziałem, uwierzyli mi, oni znają warunki we Włoszech, gdzie jeśli chodzi o środki komunikacji, zawsze panuje chaos, włoskie związki zawodowe starają się doprowadzać do nieomal codziennych strajków, czyli do codziennego stanu chaosu w całych Włoszech, oni o tym wiedzą, gdyż dość często wyjaśniałem im ów stan chaosu, a poza tym znają go z gazet; spokojnie mogłem więc powiedzieć, że nie udało mi się przyjechać wcześniej, od razu bowiem musieli pomyśleć O tym stanie chaosu, a nie o tym, że kłamię. Słowo *Włochy* zawsze było dla członków mojej rodziny słowem oznaczającym stan chaosu, słowem oznaczającym kraj, w którym panuje stan chaosu, toteż bardzo często mnie pytali, dlaczego, by tak rzec, osiedliłem się akurat we Włoszech, gdzie przecież od dziesiątków lat panuje stan największego chaosu. Odpowiadałem im na to, że to właśnie ów stan chaosu kazał mi wybrać Włochy na miejsce mojego zamieszkania, właśnie Rzym, gdzie ten stan chaosu jest największy, ta nieobliczalność niemożność, jak zawsze im opowiadałem. Włochy stały się moim miejscem zamieszkania właśnie dlatego, że są najbardziej chaotycznym krajem Europy, a może nawet najbardziej chaotycznym krajem świata, mówiłem do nich, Rzym, centrum chaosu, nie rozumieli tego, a ja nie miałem ochoty udzielać im dalszych wyjaśnień na temat mojego zainteresowania tamtym krajem. *Samo duże miasto mi nie wystarcza*, powtarzałem im często, *musi być na dodatek chaotyczne, chaotyczna metropolia*, by tak rzec. Oni jednak nigdy

nie wiedzieli, co począć z tymi pojęciami, jak zresztą ze wszystkimi używanymi przeze mnie pojęciami. Nie zapytali nawet, czy nie napiłbym się herbaty albo może wody, pomyślałem, później jednak wziąłem ich w obronę, uwzględniając całą sytuację, gdyż bez wątpienia pyta się kogoś, kto przyjeżdża do Wolfsegg prosto z Rzymu, co w każdych okolicznościach wymaga wysiłku, czy jest spragniony albo głodny, oni jednak o to nie zapytali. Sami siedzieli przy kawie, ale mnie nie poczęstowali, powinienem był po prostu własnoręcznie nalać sobie kawy do filiżanki, pomyślałem, lecz tego nie zrobiłem, ponieważ w gruncie rzeczy pragnąłem jak najszybciej pójść do oranżerii, by zobaczyć zmarłych rodziców i Johannes, nie chciałem już odkładać na później tego, co tak strasznie nieuniknione.

Istotnie Caecilia teraz, kiedyśmy znaleźli się tuż przy oranżerii, zdziwiła się, że nie uścisnąłem dłoni ogrodnikom, nie zamieniłem z nimi ani słowa, nie wiedziała bowiem, iż ja już przynajmniej pół godziny wcześniej, jeśli jeszcze nie wcześniej, rozmawiałem z ogrodnikami, dawno się z nimi przywitałem, a nawet wypytałem ich o samopoczucie, jednak mój sposób zachowania w stosunku do ogrodników wydał się jej dziwny, teraz, kiedy znowu przynieśli wielkie wieńce z folwarku do oranżerii, stali przed oranżerią, żeby nas przepuścić, *państwa*, by tak rzec. Wszedłem do oranżerii, a Caecilia została przy drzwiach.

Przeraziłem się, widząc, że trumny ze zwłokami rodziców i brata stoją na katafalku nie na tym samym poziomie, ojciec wyżej niż matka i Johannes, i że ojciec oraz brat spoczywają w otwartych trumnach, podczas gdy trumna matki jest zamknięta. Zwróciłem się w stronę mojej siostry Caecilii, jakbym natychmiast, zanim jeszcze podejść do trumien, żądał od niej wyjaśnienia tej osobliwości, potem jednak sam znalazłem wytłumaczenie tego ustawienia trumien na różnych poziomach, po prostu zwłoki matki były w stanie uniemożliwiającym pokazanie ich w otwartej trumnie. Później powiedziano mi, że matka, co zresztą podejrzewałem, została wskutek wypadku drogowego, jak



to się mówi, do tego stopnia okaleczona, *nie do poznania*, jak pisały gazety, iż jej trumnę musiano natychmiast zamknąć. Matce podczas wypadku prawie całkowicie oderwało głowę, podczas gdy po ojcu w ogóle niczego nie było widać, ani po Johannesie, obaj uderzyli tylko o przednią szybę i w taki sam sposób, ze skutkiem śmiertelnym, skręcili sobie karki. Matkę żelazna sztanga z ciężarówki z Linzu uderzyła w głowę tak, że ta nieomal całkowicie oddzieliła się od tułowia, owa żelazna sztanga wpadła do środka auta, dokładnie tam, gdzie matka zawsze siedziała, gdy jeździli we troje, i śmiertelnie ją ugodziła. Żadne z nich *nie cierpiało*.

Gdy odwróciłem się po pierwszym spojrzeniu na zamkniętą trumnę matki, zobaczyłem, że Caecilia ma łzy w oczach. Za nią ustawili się ogrodnicy. Postąłem dwie lub trzy minuty przed zmarłymi, po czym odwróciłem się i wyszedłem z oranżerii. Gdy stałem przy zwłokach, wdychałem tę woń, tak charakterystyczną dla zwłok spoczywających na katafalkach, toteż by uniknąć mdłości, wolałem wyjść z oranżerii, wydało mi się, że będzie lepiej nie stać dłużej przy zwłokach, które, tak myślałem, stojąc przy nich, nic a nic mnie nie obchodzą. Na ich widok czułem obrzydzenie, daleko mi było do wzruszenia, jak to się mówi, do odczuwania czegokolwiek poza obrzydzeniem i niechęcią. Łączyła mnie więź z żyjącymi rodzicami i z żyjącym bratem, a nie z tymi cuchnącymi zwłokami, pomyślałem. Pilnowałem się oczywiście, by nie zdradzić się z tym odczuciem przed siostrą czy kimkolwiek innym, co naturalne.

Twarzy ojca i brata w trumnach nie rozpoznawałem nawet jako takich, były do tego stopnia zmienione, jakby całkiem obce, jakby nie miały z nimi nic wspólnego. Chodźmy, powiedziałem do Caecilii przed oranżerią. Wróciliśmy do głównego budynku. Irytowało mnie po drodze, że czarnej chorągwi, nieomal bezwstydnie zwisającej ze środkowego balkonu, nie umieszczono dokładnie pośrodku, zwróciłem więc na to siostrze uwagę, gdyż zawsze nienawidziłem tego rodzaju niedokładności. Wcześniej, w chwili przybycia tutaj, kiedy jeszcze sam, nieodkryty, patrzyłem zza murowanej bramy na główny budynek, nie

zarejestrowałem tego faktu, teraz nagle zaczął mi przeszkadzać najbardziej ze wszystkiego. Siostra dała znak jednemu z ogrodników, żeby umieścił chorągiew dokładnie pośrodku balkonu, to przecież nie jest takie trudne. Powiedziała tylko, iż wszystko odbywało się tak szybko, co zabrzmiało jak usprawiedliwienie z powodu czarnej chorągwi, którą zresztą ogrodnik w chwilę potem umieścił pośrodku balkonu, co stwierdziłem z dołu, bo kierowałem nim spod domu, powiedziałem mu, gdzie dokładnie jest środek balkonu i gdzie należy opuścić chorągiew. Przy tej okazji zauważyłem u siebie oznaki nerwowości, które jednak natychmiast postarałem się stłumić, mówiąc mojej siostrze Caecilii, że dobrze jej w tej czarnej sukni, którą właśnie ma na sobie, *w czerni bardzo ci do twarzy*, powiedziałem, nie powiedziałem tego złośliwie, ale ona naturalnie natychmiast tak to odebrała, nie chciało jej się wierzyć, że mogę wygłosić jakąkolwiek przyzwoitą, nieperfidną uwagę, od razu pomyślała o jakiejś niegodziwości z mojej strony, nie odpowiedziała więc na mój komplement. Słuchaj, powiedziałem, mówię szczerze, w tej czarnej sukni wyglądasz świetnie. Nie chciała jednak ciągnąć tego tematu. Popatrzyła w górę na gołębice, które siedziały na gzymsach okien i które tak tego roku wszystkie te gzymsy zanieczyściły, że widok był prawdziwie nieestetyczny. Gołębice były ogromnym problemem w Wolfsegg, każdego roku siedziało ich setki na budynkach, zanieczyszczały je i rujnowały. Zawsze nienawidziłem gołębi.

Spoglądając na gołębice siedzące na gzymsach okien, powiedziałem do Caecilii, że najchętniej wytrułbym wszystkie gołębice, niszczą budynki, wydzielają wstrętny zapach, a poza tym nic nie budzi we mnie takiego obrzydzenia jak ich gruchanie. Już w dzieciństwie nienawidziłem gruchania gołębi. Problem gołębi narastał w gruncie rzeczy od setek lat, ale nikt go nigdy nie rozwiązał, zawsze tylko o tym mówiono i narzekano, nigdy jednak nie wymyślono na nie żadnego sposobu. *Zawsze nienawidziłem gołębi*, powiedziałem do Caecilii i zacząłem je liczyć, po kolei, na jednym jedynym gzymsie siedziało trzynaście sztuk, ciasno stłoczonych, we własnych

odchodach. Dziewczyny powinny przynajmniej uprzątnąć odchody z gzymsów okiennych, powiedziałem do Caecilii, wyrażając zdziwienie, że nie uprzątnięto ich przed ślubem. Wszystko wyczyściły, ale odchodów z gzymsów okiennych najwyraźniej nie. Tydzień wcześniej nie zwróciło to mojej uwagi. Caecilia słowem nie skwitowała moich wynurzeń na temat gołębi. W dziecięcej willi ogrodnicy pozwolili raz przenocować włóczęgom, powiedziała potem, po dłuższej przerwie, podczas gdy mnie naraz zaczęła dręczyć myśl, czy aby dałem Gambettiemu właściwe książki, czy nie należało mu jeszcze dać *Effi Briest* Fontanego, i włóczędzy zrobili pożar, w związku z czym w pokoju na parterze, gdzie nocowali, zaczęło się palić. Ogrodnikom udało się jednak ugasić pożar, włóczędzy zniknęli na krótko przed jego wybuchem, i dokąd poszli, nikt nie wie, zresztą to wszystko jedno, bo tak czy owak już się ich nie znajdzie, spalony pokój to był właśnie ten, w którym przechowywaliśmy nasze lalki z dzieciństwa, wszystkie lalki się spaliły, powiedziała Caecilia. Spojrzała przy tym ponad wsią na góry. Właśnie lalki z dzieciństwa, pomyślałem, właśnie one, nie wiedząc, jak skomentować to wydarzenie. Fakt, że w dziecięcej willi nocowali włóczędzy, nawet miło mnie poruszył, nie przypuszczałem bowiem, że włóczędzy jeszcze istnieją, wydawało mi się, iż dawno już wyginęli. I pomyślałem, że to oczywiście ogrodnicy pozwolili tym włóczęgom przenocować w dziecięcej willi. Prawdopodobnie Caecilia oczekiwała teraz, iż powiem coś przeciw ogrodnikom, ale ja, wręcz odwrotnie, ku jej ogromnemu zaskoczeniu, zacząłem w bardzo szczególny sposób wychwalać ogrodników, że są najwierniejsi, powiedziałem, że na nich można najbardziej polegać, że są najnaturalniejsi, że najbardziej ich lubię. Właśnie dlatego, iż Caecilia oczekiwała teraz ode mnie czegoś przeciw ogrodnikom, wypowiadałem się o nich dobrze i chwaliłem ich, co, jak sam to czułem, brało się absolutnie z powietrza. Każę odnowić dziecięcą willę, powiedziałem nagle, a to, jak sądziłem, całkiem nieznaczące stwierdzenie zaskokowało Caecilię, która podniosła naraz wzrok i spojrzała mi prosto w oczy. W istocie tą wypowiedzią

ustanowiłem siebie panem Wolfsegg, powiedziałem bowiem dosłownie *każę odnowić dziecięcą willę*, nigdy wcześniej nie mówiłem, że cokolwiek każę w Wolfsegg odnowić, albowiem aż do dzisiejszego dnia nie miałem do tego prawa, wręcz przeciwnie, zawsze odmawiano mi jakichkolwiek praw, od kilkudziesięciu lat odmawiano mi jakichkolwiek praw, nigdy nawet nie czułem choćby najmniejszego posmaku praw wolfseggskich, taka jest prawda. Dziecięca willa to *klejnot*, powiedziałem, należy doprowadzić ją na powrót do takiego stanu, w jakim była dawniej, dokładnie według starych obrazów, powiedziałem. I powziąłem postanowienie, że jak najszybciej rozpocznę odrestaurowywanie dziecięcej willi, na to miałem największą ochotę. Również folwarkowi należy przywrócić dawny wygląd, powiedziałem, folwark jest doszczętnie zaniedbany. Skoro mamy tyle pieniędzy, powiedziałem, ale Caecilia milczała, pozwalając mi mówić. To była jej wypróbowana metoda, pozwolić mi mówić, tak długo, dopóki nie powiem znacznie więcej niż to z mojego punktu widzenia roztropne i korzystne, zbyt wiele zawsze napaplałem, a wtedy ona triumfowała. Również tym razem powiedziałem za dużo, zdradzając się. Poza tym przywiozę swojego konserwatora z Wiednia, aby dokonał spisu naszych obrazów i wycenił ich wartość, powiedziałem. Ledwo to powiedziałem, poczułem się strasznie i spróbowałem skierować rozmowę na inny temat. Nie sądziłem, powiedziałem, że znowu tak szybko będę w Wolfsegg. Nie miałem zamiaru wracać tu przez dłuższy czas, powiedziałem. W

Rzymie czuję się idealnie. Nie mogę żyć w żadnym innym mieście, a na wsi już w ogóle nie. Wolfsegg nie wchodzi w moim przypadku w rachubę, powiedziałem. Być może powinienem był powstrzymać się od tej uwagi, pomyślałem. Dziecięca willa to mój ukochany budynek, powiedziałem. Pamiętasz jeszcze, jak graliśmy *Konfucjusza*, któregośmy sami wymyślili i sami napisali? Nie wiedzieliśmy wcale, kim jest czy co to jest *Konfucjusz*, ale słowo *Konfucjusz* zainspirowało nas do przygotowania przedstawienia.

Gdzie zresztą podziały się te sztuki, które napisaliśmy? spytałem Caecilię.

Nie wiedziała. Muszą być na poddaszu dziecięcej willi, powiedziałem. Ostatnio widziałem je na poddaszu dziecięcej willi. Do Konfucjusza namalowałaś swoją najpiękniejszą scenografię, powiedziałem. Natomiast Amalia była znakomitą *Konfucją*. Trzeba otworzyć biblioteki, powiedziałem. Wszystkie książki muszą odetchnąć świeżym powietrzem, powiedziałem. Przecież nawet nie wiemy, jakie kryją się tam skarby, nie wietrzone, zakurzone, powiedziałem. Wolfsegg powinno się znowu stopniowo ożywić, tak jak ja to sobie wyobrażam, powiedziałem. Caecilia milczała. Przez całe dziesięciolecia rodzice wszystko zamykali, powiedziałem. Znowu spojrzałem w stronę ogrodników, dwaj łowczy przechodzący przez murowaną bramę dostrzegli mnie i pozdrowili z daleka. Tylko polowania, ciągle tylko polowania, powiedziałem i pomyślałem, iż teraz jestem jeszcze bardziej samotny niż dawniej. Gołębie tak natarczywie gruchały, że znów spojrzałem w górę, przede wszystkim na najwyższe piętro. Zawsze gdy zanoszą się na deszcz, gruchają w szczególnie okropny sposób, powiedziałem. Zresztą mój uczeń Gambetti, powiedziałem, także nienawidzi gołębi. W Rzymie jest pełno gołębi, niszczą wszystko, co jest piękne, całą architekturę tego miasta. Gołębie należałoby powybić, powiedziałem i natychmiast poczułem się strasznie, że użyłem słowa *powybić*. Jeden z ogrodników podszedł do nas, aby spytać mnie, czy zamkniętą trumnę należy rzeczywiście podnieść wyżej. Tak, powiedziała moja siostra, chociaż ogrodnik wyraźnie pytał *mnie*.

Poszedł, żeby wraz z kolegą ustawić wyżej na kobylicach trumnę matki. Najlepsze, co jest w Wolfsegg, to ogrodnicy, powiedziałem do Caecilii. Udała, że tego nie słyszy. Wypadek *zdarzył się*, jak to się mówi, w środę wieczorem. W kuchni leżał teraz plik otwartych gazet, kupionych przez pomoce kuchenne, wszedłem do kuchni, by przynajmniej napić się tak zwanej służbowej kawy, i mój wzrok padł natychmiast na plik gazet na małym stole przy oknie. Chociaż początkowo wzdrgałem się przed tym, to w końcu nie mogłem się opanować, usiadłem więc na krześle, by przejrzeć te gazety. W równie odrażający i nikczemny sposób jak o wszystkim, dzienniki donosiły teraz o naszym

nieszczęściu, z ową bezczelnością, a jednocześnie dokładnością co do najdrobniejszych szczegółów, tak charakterystyczną dla naszych gazet, bezwzględność, z jaką potraktowały nasze nieszczęście, żeby zrobić z niego sensację, była równie straszna jak ta, której zawsze się bałem, czytając o innych wypadkach, równocześnie jednak zawsze podziwiałem tak zwaną zimną krew, która w takich sytuacjach bezwstydnie przedostaje się na drukarskie szpalty, po czym świat czytelników łakomie ją wchłania, nie wyłączając mnie, gdyż zawsze byłem takim czytelnikiem łakomym gazetowych sensacji, zarówno w dzieciństwie, jak i dzisiaj; tym razem jednak relacje na temat naszego nieszczęścia wywołały we mnie oczywiście natychmiastowe obrzydzenie. Rodzice pojechali z moim bratem Johannesem do Steyr, aby u mieszkającego tam handlarza maszyn rolniczych obejrzeć nowy model amerykańskiej młockarni, młockarnia, którą zamierzali kupić, miała być również, jak wszystkie maszyny rolnicze w Wolfsegg, marki *McCormick*. Rodzice, których wiozł Johannes, zabawili cały dzień w Steyr, odwiedzili przyjaciół i załatwili sprawunki, bo Steyr jest dobre na zakupy, a pod wieczór pojechali do Linzu, żeby w tak zwanym Domu Brucknera nad brzegiem Dunaju, jednej z najokropniejszych instytucji kulturalnych, jakie w ogóle istnieją, wysłuchać koncertu utworów Brucknera, dyrygowanego przez Eugena Jochuma. Bezpośrednio po koncercie, wiezieni przez ojca, wracali prosto do Wolfsegg i wtedy, *tuż za Wells*, na drodze krajowej nr 1, w miejscu, gdzie się rozwidła, a jedna jej odnoga prowadzi do Gaspoltshofen, *na samym skrzyżowaniu*, ponieśli śmierć na miejscu. W jaki dokładnie sposób doszło do tego wypadku, nie wie nawet prasa, która nie oszczędziła czytelnikom potwornych zdjęć. W którejś z gazet ukazało się nawet jedno tak duże, iż widać na nim bezgłowy tułów mojej matki, patrzyłem na to zdjęcie przez dłuższy czas, naturalnie w nieustannym strachu, że ktoś może wejść do kuchni i mnie na tym przyłapać. Piłem tak zwaną kawę służbową, która, ponieważ stała na rozgrzanym piecu, była jeszcze gorąca, i otwierałem jedną gazetę za drugą, wszystkie strony tytułowe pokazywały

przynajmniej jedno zdjęcie z tego wypadku, nagłówki wyróżniały się taką samą podłością i nikczemnością, jaka zawsze cechuje gazety prowincjonalne, które nie mają powodu bać się o swój poziom, gdyż w oczach czytelników wyróżnia je właśnie to, że są całkowicie pozbawione jakiegokolwiek poziomu, co wszak gwarantuje im niezwykle wysokie nakłady, przynoszące wydawcom krociowe zyski. Tę absolutną podłość i równie podły brak jakichkolwiek zahamowań ze strony owych prowincjonalnych dzienników odczułem teraz, by tak rzec, nie tylko na własnej skórze, lecz również we własnej głowie, toteż im bardziej wnikliwie, siedząc na krześle, oglądałem i czytałem te prowincjonalne brukowce, tym bardziej było to odrażające. Wszystkie gazety sądziły, że muszą się wzajemnie prześcigać w nikczemności. Jeden z nagłówków brzmiał *Rodzina wymazana z powierzchni ziemi*, a pod spodem Troje słuchaczy koncertu zmasakrowanych nie do poznania. Pełny serwis zdjęciowy w środku gazety - przeczytałem, po czym sam natychmiast zacząłem szukać tego serwisu fotograficznego. Postępowałem przy tym, muszę powiedzieć, z największym bezwstydem, jaki tylko można sobie wyobrazić, przeglądając nieustannie gazetę, już na pierwszej stronie anonsującą ów serwis zdjęciowy, i spoglądając jednocześnie ku drzwiom w obawie, by ktoś nie przyłapał mnie na tym niewątpliwie odrażającym występku; nie powinienem tak głęboko zatapiać się w relacjach z wypadku, powiedziałem do siebie, w przeciwnym razie mogę nie zauważyć, gdy ktoś wejdzie do kuchni i mnie na tym przyłapie. Przeczytałem więc, przy czym po raz pierwszy drżały mi ręce, mniej więcej wszystko, co napisały gazety o mojej rodzinie, i wyniosłem z tego czytania wrażenie, że chociaż gazety piszą z największym zakłamaniem, to równocześnie jednak piszą prawdę, chociaż piszą z niewyobrażalną wprost podłością, to równocześnie jednak opisują wyłącznie fakty, że wprawdzie wszystko w tych relacjach zostało przedstawione jako zmasakrowane nie do poznania, jak choćby opis zwłok mojej matki, równocześnie jednak pozostało absolutnie autentyczne. Jakkolwiek załgane jest wszystko, co piszą gazety, powiedziałem również do siebie w

trakcie tej lektury, w rzeczywistości prawdą jest to, co piszą, gdy piszą w sposób zakłamany, a im bardziej zakłamanie piszą, tym wszystko jest prawdziwsze. Czytając gazety, nigdy nie mogę powstrzymać się od stwierdzenia, że są wyłącznie załgane, choć równocześnie piszą wyłącznie prawdę, jeszcze nigdy nie udało mi się uniknąć stwierdzenia tego zjawiska podczas lektury gazet, także teraz, gdy czytałem relację o nieszczęściu, które nas dotknęło, o niewątpliwie jednym z najstraszliwszych, jakie wydarzyły się w ogóle na drogach Górnej Austrii. Na jednym ze zdjęć utrwalono głowę mojej matki połączoną jedynie cienkim strzępkiem skóry z jej siedzącym w samochodzie tułowiem, pod spodem zaś gazeta napisała: *Głowa oddzielona od tułowia*. Ten wypadek dał też oczywiście gazetom okazję do napisania czegoś o Wolfsegg, samych bzdur, jak nietrudno sobie wyobrazić. O rodzicach napisały jako o szczęśliwym małżeństwie, które swoje życie poświęciło pracy i dobru ogółu, brata nazwały *jednym z najlepszych myśliwych w kraju*, ojciec był w którejś z gazet *znanym ze swej rozwagi leśnikiem*, w innej poważanym radcą ekonomicznym, w jeszcze innej zaś *cenionym łowczym, bezinteresownym przewodniczącym Związku Chłopskiego w Górnej Austrii*. Jedna gazeta zamieściła fotografię ukazującą Johanna na jego zagłównie w Sankt Wolfgang i pod spodem dała podpis *Zdjęcie ze szczęśliwych czasów*; nie wiem, jakim cudem owa fotografia znalazła się na biurku redaktora tej gazety, nie umiem sobie tego wyjaśnić. „Linzer Volkszeitung” wydrukowała na czerwono nagłówek *Dwa pokolenia wymazane z powierzchni ziemi*. W żadnej relacji nie zabrakło wzmianki, że nasza rodzina była *rodziną chrześcijańską*, ojca nazwano *dobroczyńcą Kościoła*, matkę *zacną kobietą*. *Osierocili mieszkającego w Rzymie syna, naukowca, oraz jego dwie siostry*, napisała „Linzer Volkszeitung”. Pogrzeb odbędzie się w sobotę po południu, przeczytałem. *Wolfsegg straciło swego pana*, przeczytałem. *Poprzecznicą przebiła cały samochód*, co wyraźnie widać na jednym ze zdjęć, oddzieliła głowę matki od tułowia i cisnęła nią o tylną szybę auta, wszyscy troje, ojciec, Johannes, ale także matka, pozostali na swoich miejscach.



Samochód z całym impetem wjechał na ciężarówkę, która, jak się przypuszcza, zahamowała nagle przy rozjeździe na Gaspoltshofen. Ładunek poprzecznie był przeznaczony dla pewnej firmy w Schwanenstadt.

Gazety pisały o *winie kierowcy ciężarówki*, którego jednak *nie można pociągnąć do odpowiedzialności karnej*, zawsze bowiem winę ponosi ten, *кто najedzie na drugi samochód*. Miejscowa społeczność składa wyrazy *najgłębszego współczucia* z powodu tego nieszczęścia, przeczytałem. *Błogosławieństwo wygłosi zaprzyjaźniony z rodziną arcybiskup Salzburga*, przeczytałem. Arcybiskup Salzburga chodził z moim ojcem do szkoły, obaj mieszkali w internacie gimnazjum w Lambach. *Cała miejscowość jest pogrążona w żałobie*, przeczytałem. Usłyszałem kroki na korytarzu, podniosłem się więc. Ułożyłem gazety na stole tak, jak je zastałem, a na gazetach okulary kucharki. Kuchnia jest dużym sklepionym pomieszczeniem, w dzieciństwie całymi latami właśnie tu najchętniej przebywaliśmy, przede wszystkim zimą, ponieważ w kuchni nawet w najzimniejszej porze roku było zawsze ciepło w przeciwieństwie do reszty domu, który zawsze bardzo źle ogrzewano. Kuchnia była też dla nas, dzieci, najzabawniejszym miejscem mniej więcej do piątego, szóstego roku życia, póki ja nie poznałem ogrodników i nie zaprzyjaźniłem się z nimi, a Johannes łowczych, których towarzystwo wybrał. Kucharka jest u nas od kilkudziesięciu lat. Natychmiast zaczęła do mnie mówić *jaśnie panie* w jej mniemaniu to określenie całkiem naturalnie przeszło z ojca na mnie. Ten tytuł był zawsze przeznaczony dla mojego brata, teraz *ja* musiałem go tolerować. Jeszcze sobie nie uświadamiałem, co ten tytuł w pełni dla mnie oznacza. *Czy jaśniepan* zechce może napić się kawy, spytała kucharka, ja zaś powiedziałem, że właśnie napiłem się kawy służbowej. *Czy jaśnie pan* może zechce przeczytać gazety, spytała tym samym tonem. Nie, powiedziałem, natychmiast uciekając się do kłamstwa, chociaż równocześnie pomyślałem, iż kucharka z pewnością wie, że do tej pory przeczytałem już jej gazety, że łakomie się na nie rzuciłem, jeszcze raz powiedziałem *nieś dziękuję*, co zabrzmiało całkiem nieprzekonująco.

Tak zwani prości ludzie mają, jak to się mówi, dobre ucho na fałszywy ton, na zakłamane użycie języka. Nadal nie wie, ilu pojawi się żalobników, powiedziała kucharka, to przyprawia ją o ból głowy, ale prawdopodobnie jaśnie pan też jeszcze tego nie wie. Powiedziałem, że nie wiem, wiem tyle co nic, wszakże dopiero co *wróciłem do domu, z Rzymu. Ach tak, z Rzymu*, powiedziała kucharka. W ciągu minionych lat oduczyłem się obcować z prostymi ludźmi i w ogóle z nimi rozmawiać, pomyślałem, to mnie przygnębiło, oduczyłem się, w Rzymie oduczyłem się kontaktów z prostymi ludźmi, pomyślałem.

Dawniej łatwo by mi przyszło rozmawiać z kucharką, zapytać ją o coś, wysłuchać odpowiedzi, znowu o coś zapytać i tak dalej. A tu nagle straciłem tę umiejętność. Z ogrodnikami miałem szczęście, tam udało mi się w najnaturalniejszy sposób poprowadzić krótką rozmowę, przy kucharce nie dałem rady, zapewne dlatego, że cały czas myślałem, iż ona wie, że łakomie rzuciłem się na gazety powinna była odebrać jako co najmniej nieprzyzwoite, że przyłapała mnie na takiej niegodziwości, nakryła na takiej podłości, z drugiej strony pomyślałem, iż w sytuacji absolutnie zdominowanej przez zgrozę jest czymś najnaturalniejszym na świecie samemu popaść w przerażenie i zdenerwowanie i nie być zdolnym do najprostszych i najnormalniejszych zachowań, jak na przykład do najprostszej rozmowy z kucharką; nie robiłem sobie nawet z tego powodu wyrzutów, nie zdziwiło mnie to wcale, ale czułem się upokorzony, iż kucharka przychwyciła mnie na podłości, jak gdybym popełnił przestępstwo, stałem naprzeciw tej kobiety, która tymczasem zauważyła, że jej okulary nie leżą na stosie gazet tak, jak je wcześniej położyła, być może sobie wmawiam, że sądziłem, iż ona wie, że przeryłem ten stos gazet i pochłonałem wszystko na temat wypadku, z żarłocznością, jaka pojawia się u mnie zawsze wtedy, gdy dobiore się do gazet, chociaż dzisiaj ta żarłoczność już osłabła, nie jest tak wielka jak dawniej, pomyślałem. Kucharka widzi, że jestem podły i niegodziwy, pomyślałem, widzi to po mnie, wykorzystuje też tę pewność przeciw mnie, pomyślałem, przygląda mi się zbyt badawczo jak na tak zwanego

prostego człowieka, na dodatek jeszcze płci żeńskiej, pomyślałem, *niezwyczajnie*. Ukryła przy tym ręce za plecami, udając, iż zawiązuje z tyłu troczki fartucha, ale odgrywa tę czynność jedynie z powodu zakłopotania, że z kolei ja przychwyciłem ją na braku szacunku, co jej absolutnie nie przystoi, jak pomyślałem, ona jednak okazuje ze swej strony nikczemność, pomyślałem, podłość, kiedy tak badawczo mi się przygląda. Na *jaśnie pana* nie wolno jej tak patrzeć, pomyślałem, jak to możliwe. Z drugiej strony czułem, że moje położenie jest jeszcze o wiele gorsze, bo moja podłość była pierwsza, a jej to tylko reakcja na moją, mój bezwstyd absolutnie nieporównywalny z jej bezwstydem, jej bezwstyd jest śmieszny, pomyślałem, wobec mojego, elementarnego, powinienem był bowiem powstrzymać się od oglądania gazet, nie przyjmować ich do wiadomości, co jednak byłoby równoznaczne z *zafalszowaniem mojego charakteru*, który domagał się szybkiego przejrzania gazet. Kucharka spojrzała na stos gazet tak, że miałem uczucie, iż przyłapała mnie na gorącym uczynku, co do tego nie ma wątpliwości. Przez chwilę jej nienawidziłem. Później jednak spostrzegłem, że *ona* się mnie boi, a to kazało mi błyskawicznie przyjąć wobec niej inną postawę, nie bezpośredniej nienawiści, gdyż kucharka mogła niewątpliwie wyczytać z mojej twarzy, że czuję się winny i myślę, że mnie przejrziała. Byłoby wszakże niewybaczalną głupotą bać się takiego człowieka jak kucharka, choćby tylko przez chwilę, człowieka, który przecież *ode mnie zależy* i koniec końców jest głupi w najmniej groźny sposób. Jeśli mam być szczery, nie podobają mi się te nalane, różowe twarze chłopskie, w których głupota wydaje się, by tak rzec, zgęszczona. W gruncie rzeczy zawsze ich nienawidziłem, chociaż to bardzo niesprawiedliwe, gdyż właśnie te nalane, różowe twarze chłopskie są również dobroduszne, jak żadne inne. Ale właśnie owa dobroduszność budziła zawsze moje podejrzenia, pomyślałem. Jak wszelka dobroduszność, jak w ogóle samo pojęcie dobroduszności, z którym nigdy nie wiem, co począć, i którym w gruncie rzeczy się brzydzę. Kucharka zna mnie od dziecka, pomyślałem, nie mam jej nic do zarzucenia, nie mogę jej

niczego zarzucić, dlaczego więc się na nią złościę, pomyślałem.

Ona zna mnie na wylot. Ale naturalnie, pomyślałem, ja też się myślę co do tej relacji, czy bowiem taka kucharka wie, czym i kim jestem, to w ogóle śmieszne zastanawiać się nad stosunkiem kucharki do mnie.

*Nie*, powiedziałem, *już nie chcę kawy*, powiedziałem to mrukliwie i wyszedłem z kuchni. Caecilia szła mi naprzeciw, za nią Amalia, a za Amalią fabrykant kapsli do wina, mój szwagier. Będziesz musiał przyzwyczaić się do szwagra i do słowa *szwagier*, pomyślałem. Tych troje stanęło nagle przede mną, jakby chciało mnie oskarżyć. Nie wiem, jak wpadłem na ten absurdalny pomysł, pomyślałem jednak, że naraz stoi przede mną troje oskarżycieli, przede mną, którego oskarżają z nie wiedzieć jakiego powodu, być może ze wszystkich możliwych powodów. Ale Caecilia powiedziała tylko, że wybierają się na folwark, aby naradzić się z łowczymi, którzy podczas pogrzebu mają nieść trumny na ramionach, trzeba omówić, kto będzie niósł którą trumnę i tak dalej. Ponieważ była mowa jedynie o łowczych jako niosących trumny, powiedziałem, że oczywiście również ogrodnicy muszą nieść trumny, zirytowało mnie, iż ciągle trzeba mówić o trumnach, cała niezwykłość tej rozmowy polegała na tym, że raz po raz powtarzaliśmy słowo „trumny”, mimo iż przy takich okazjach rozmawia się zazwyczaj tylko o jednej trumnie. Przecież łowczy nie zdołają w ogóle ponieść wszystkich trumien, powiedziałem. *Trumny poniosą i łowczy, i ogrodnicy*, powiedziałem, *dwie trumny poniosą łowczy, jedną trumnę ogrodnicy*. Trumnę z ojcem poniosą łowczy, naturalnie również trumnę z matką, powiedziałem, natomiast Johannes poniosą ogrodnicy.

Podczas rozmowy o niesieniu trumien Caecilia i Amalia wysunęły się przed fabrykanta kapsli do wina; naraz przyszło mu stać na drugim planie i nie miał nic do powiedzenia. Jest całkowicie zrozumiałe, że trumnę matki poniosą łowczy, przy tych słowach pomyślałem o stosunku, jaki moja matka miała do łowczych, równie jasne jest także, iż ojca poniosą łowczy, gdyż był *ich* łowczym, a przez kilkadziesiąt lat nawet *łowczym krajowym*, jak się o nich

mówi. Ten tytuł, nadany mu w czasach nazistowskich, zachował jeszcze dwadzieścia lat po zakończeniu się epoki nazistowskiej. Najpierw łowczy poniosą ojca i matkę, a za nimi ogrodnicy poniosą Johanna, to całkiem proste, powiedziałem. Nagle siostry wczepiły się we mnie jak kleszcze. Wydało mi się, że wszystko na mnie zwały, jak gdyby już dawno zwały na mnie całe Wolfsegg. Kiedy widziałem je obie jednocześnie w tych czarnych sukniach, sprawiały na mnie takie samo komiczne, równocześnie jednak odpychające wrażenie, jak wtedy, gdy były ubrane w te swoje niegustowne chłopy. Szyderstwo zniknęło z ich twarzy, zgorzknienie gdzieś się rozwiało, naraz miały całkiem chore szarobiałe twarze, które naturalnie wskutek noszonych teraz przez siostry czarnych strojów wyglądały na jeszcze bardziej przygnębione. Gdy jedna z siostr mówiła, druga nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie dojdzie do głosu, jedna nagle wpadała drugiej w słowo, jakby się tu nic nie zmieniło. W taki sam sposób miały zaczesane do tyłu włosy, zauważyłem też, że noszą identyczne obuwie. Po powrocie z pawilonu ogrodowego do głównego budynku, pomyślałem, Amalia znów wygląda jak jej siostra Caecilia, obie w jednym spisku. Ale już nie przeciw mnie, lecz nagle dla mojego dobra, jak to odczułem, jednak to właśnie wzbudziło moją odrazę, ten ich bezwstydnym oportunistycznym, bez reszty zrzuconym na mnie po śmierci rodziców i brata. Siostry, dla których przez dziesiątki lat byłem *potworem, podłym odszczepieńcem, teraz się we mnie wczepiają, odgrywając swój teatr bezradności. Nie mogłem jednak posuwać się zbyt daleko w takim odczuwaniu i w takim myśleniu, żeby nie stracić nad sobą kontroli, pomyślałem, zachowam całkowity spokój. Raz po raz chciały oświecać mnie co do przebiegu wypadku, gdy tymczasem ja zostałem już wcześniej oświecony przez gazety, jedna siostra nieustannie wciskała swoje słowa w słowa drugiej, a szwagier nie miał najmniejszej szansy odezwać się choćby słowem. Pozwoliłem im mówić, stwierdziłem przy tym, że opowiadają o tym wypadku zupełnie inaczej niż gazety, by tak rzec, każdy opowiadał o swoim wypadku, o tym, jak on go widzi; sposób, w jaki widzą go gazety, jest znowu*

*całkiem inny niż sposób, w jaki widzą go siostry i jak prawdopodobnie widzi go szwagier, żadne z nich nie opowiada bynajmniej tego samego o tym samym wypadku, każde dla siebie opowiada o zupełnie innym, chociaż przecież chodzi o ten sam wypadek, pomyślałem, podobnie jak o jednym i tym samym fakcie czytamy tyle różnych relacji, podobnie jak to robią gazety, każda z sióstr opowiada o jednym i tym samym wypadku ciągle w inny sposób, tak że w końcu, gdy ludzie opowiadają o jakimś wypadku, chodzi o wiele różnych wypadków. Każdy opowiada o wypadku tak, jak widzi go poprzez swoje odczucia, i chociaż ciągle idzie o jeden i ten sam wypadek, to przecież zawsze o inny, pomyślałem. Caecilia opowiadała o całkiem innym niż Amalia, Amalia nieustannie wpadała Caecilii w słowa, i na odwrót, Caecilia wpadała w słowa Amalii. Szwagier nie miał nic do powiedzenia. Podczas gdy Amalia ciągle mówiła o żelaznej sztandze, która odcięła matce głowę od tułowia, Caecilia nieustannie opowiadała poprzeczniczy, która przebiła głowę matki. Ja sam nic nie mówiłem, nie chciałem się bowiem zdradzić, że znam już wszystkie relacje z gazet i że wszystkie te gazetowe relacje przeczytałem w kuchni, nie mogłem się z tym za żadne skarby zdradzić, nie miałem zamiaru od razu pierwszego dnia pokazać się w świetle najgorszym ze wszystkich możliwych. Toteż siostry były zdania, że wiem o wypadku tyle co nic, i na swój sposób dały upust potokowi słów, wszystko wypowiadając głośno i bez jakiegokolwiek zdyscyplinowania. Najpierw powiadomiła je żandarmeria z Lambach. Akurat szykowały się do snu.*

*Zamiast do łóżek musiały udać się w drogę do Lambach, aby zidentyfikować zwłoki, jak wyraziła się Amalia. Samochód był doszczętnie zniszczony, w ciemnościach, które panowały na miejscu wypadku, żandarmi, zapaliwszy latarki, zmusili moje siostry, żeby wsadziły głowy do zupełnie zdemolowanego wnętrza samochodu i dokonały niedopuszczającej pomyłki identyfikacji wszystkich trojga zmarłych. Nic dziwnego, że podczas tej relacji nasunęła mi się myśl, iż moje siostry mają o wiele bardziej podłe charaktery niż ja. Nerwowość podczas opowiadania nie zdołała przysłonić ich nieczułości.*

Było śmieszne, kiedy obie nieomal jednocześnie powiedziały, że najpierw jeszcze odtransportowano rodziców i Johanna karetką pogotowia z Wels, chociaż już dawno nie żyli. Żandarmeria zachowywała się przyzwoicie. Było oczywiste, że wypadek ten wzbudził od razu ogromne zainteresowanie, zbiegło się wielu okolicznych mieszkańców. Niektórzy w samych ledwo zapiętych koszulach nocnych, jak opowiadała Amalia. O tym, iż był z nimi również szwagier, początkowo w ogóle nie wspomniały, chociaż to właśnie on zawiózł je swoim samochodem na miejsce wypadku. Natychmiast musiały załatwić wszystkie możliwe formalności i aż do następnego przedpołudnia były skazane na całkowitą bezczynność. Amalia poszła najpierw na pocztę, żeby nadać telegram do mnie. Mogły być również zatelefonować, ale nadając telegram, chciały odsunąć w czasie okropną rozmowę, co rozumiem. Szwagra posłały potem na folwark po chorągwie żałobne, i to on wywiesił pierwszą, zwiesił ją z balkonu. Z początku zapanowała straszna cisza, powiedziała Caecilia. Amalia poszła najpierw do łowczych, aby opowiedzieć im o wypadku, łowczy bardzo się już dziwili, że nie ma samochodu, którym państwo minionego popołudnia pojechali do Steyr. Caecilia powiadomiła ogrodników. Caecilia poleciła też Amalii, żeby równocześnie z telegramem do mnie wysłała telegram do Spadoliniego, tekst telegramu do Spadoliniego brzmiał: Matka zmarła. Caecilia, Amalia. Bardzo liczyły na udział Spadoliniego w pogrzebie. Początkowo miały nawet pomysł, aby nabożeństwo żałobne odprawił sam Spadolini, arcybiskup Spadolini, później jednak, na pewno zgodziłbym się z nimi w tej sprawie, zdecydowały się na arcybiskupa Salzburga, słusznie, powiedziała Amalia. Również tak zwanego pobłogosławienia zwłok dokona arcybiskup Salzburga. Sam Spadolini z pewnością będzie się trzymał na uboczu, powiedziały. Z drugiej strony jednak pomyślały, że odmówienie matce odprawienia nabożeństwa i pobłogosławienia przez Spadoliniego oznaczałoby wzięcie na siebie niewybaczalnej winy, ale ta wypowiedziana wobec mnie myśl była obłudna, jak się od razu zorientowałem. Słusznie, gdyż doprawdy było oportunistycznym poproszeniem arcybiskupa

Salzburga, żeby odprawił nabożeństwo żałobne i pobłogosławił zwłoki, udało mi się jednak powstrzymać od powiedzenia siostrze, że jest oczywiste, iż to Spadoliniego należało nakłonić do odprawienia nabożeństwa i wygłoszenia błogosławieństwa, natomiast pozbawione elementarnej smaku słowa, że to kochanek naszej matki powinien bezwarunkowo odprawić nabożeństwo i pobłogosławić zwłoki, zachowałem dla siebie. Wypowiadając się w tak zuchwały sposób, dopuściłbym się niewybaczalnej zbrodni, powiedziałem więc do sióstr, niech już tak zostanie, że to arcybiskup Salzburga odprawi nabożeństwo żałobne i pobłogosławi zwłoki, przecież już dawno postanowiły to beze mnie i nie ma po co tego zmieniać. Taką uległością wobec nich i swoją zgodą zyskałem w ich oczach, poza tym powiedziałem, że przecież oprócz arcybiskupa Salzburga i Spadoliniego na pogrzeb przyjedzie z pewnością jeszcze co najmniej trzech biskupów, a mianowicie biskup z Linzu, z którym ojciec był zaprzyjaźniony, oraz biskupi z Innsbrucka i Sankt Polten, którzy też byli z nim zaprzyjaźnieni. Z tymi biskupami ojciec chodził również do szkoły i kontakty między nimi a ojcem, póki żył, nigdy się nie urwały, nawet w czasach nazistowskich, pomyślałem, mówiąc do sióstr, że biskupi zawsze utrzymywali dobre stosunki z rodzicami, również w czasach nazistowskich. Przed tą uwagą nie mogłem się powstrzymać, zresztą była ona na miejscu, zapobiegła bowiem wytworzeniu się przesadnego sentymentalizmu, a więc zakłamania między mną a siostrami. W gruncie rzeczy bałem się tego pogrzebu jak niczego innego na świecie, w porównaniu z nim wszystkie pogrzeby w ostatnich latach w okolicy Wolfsegg to fraszka, naraz zobaczyłem jednak bardzo wyraźnie, co mnie czeka w sobotę, w dzień uroczystości pogrzebowych. Jakże prawdziwe jest to, co powiedziałem Zacchiemu przez telefon, czyli że spadło na mnie nieszczęście, pomyślałem, podczas gdy siostry odwróciły się do szwagra, w mniejszym lub większym stopniu po to, jak pomyślałem, aby wydać mu polecenie, polecily mu pójść do budynku folwarcznego i sprawdzić, czy na strychu nie leżą jeszcze dwa tak zwane kiry, w dużym, jak twierdziła Caecilia, pudle z napisem Sunlicht,



*mało nie parsknąłem śmiechem, słysząc słowo Sunlicht, wypowiedziane przez nią w sposób absolutnie niewymuszony i z właściwym jej głupawym tonem akurat w tym momencie, ale się opanowałem. Na pudle jest napisane Sunlicht, powiedziała Caecilia do męża, który natychmiast udał się do budynku folwarcznego. Był to, jak sądzę, tylko wybieg, pozwalający jej zostać sam na sam ze mną i z Amalią, wybieg, który skłonił ją do wysłania mojego szwagra do budynku folwarcznego, chciała się go całkiem po prostu pozbyć, intruza, jak pomyślałem i jak być może ona sama też myślała w takich momentach, również ona odbiera nagle mojego szwagra jako wżenione tu obce ciało, pomyślałem, jego własna żona, ta myśl nie rozweseliła mnie jednak tak bardzo, jak by na to zasługiwała, była straszna. Fabrykant kapsli do wina udał się do budynku folwarcznego wyłącznie w tym celu, aby Caecilia mniej lub bardziej swobodnie mogła porozmawiać ze mną i z Amalią, pomyślałem.*

*Gdy już fabrykant kapsli do wina oddalił się od nas, ale nie odszedł jeszcze nawet na dwadzieścia kroków, Caecilia oznajmiła, że mąż działa jej na nerwy, ciągle się w nią wczepia, ani przez chwilę nie może być sama. Ta uwaga mnie zdziwiła, gdyż do tej pory stale miałem wrażenie, iż to ona, Caecilia, wczepia się w swojego męża, mojego szwagra, ale nie że on jest kleszczem, nie odwrotnie. Już w tydzień po ślubie mąż wydaje się jej kleszczem i na dodatek ona informuje nas o tym. Amalii z trudem udało się powstrzymać śmiech, jak spostrzegłem. Jakże łatwo przychodzi człowiekowi śmiać się nawet w tak straszliwej sytuacji, pomyślałem. Tak, taka straszliwa sytuacja nieomal taki śmiech prowokuje, pomyślałem. Kto jest do tego stopnia spięty wskutek takiego nieszczęśliwego wypadku jak nasz, bardzo prędko ucieka się do śmiechu, pomyślałem. Amalia powiedziała, że szwagier w ogóle ich nie wsparł w rozpaczy, stał w swoim pokoju, przy oknie, nie mogły się go o nic doprosić, kilkakrotnie prosiły go o pomoc, na przykład żeby zatelefonował do zakładu pogrzebowego w Vocklabruck, w którym zamówiły usługi, ale szwagier odmawiał pomocy w najdrobniejszych sprawach, powiedziała Amalia. Ciągle*

tylko mówił o szoku, nawet się nie zastanawiając nad tym, o ile większym szokiem był w końcu ten wypadek dla jego żony i jej siostry, które jednak nie mogły, tak jak on, zamknąć się w swoich pokojach, aby w mniejszym lub większym stopniu nic nie robić. Ludzie pokroju mojego szwagra, powiedziałem, nigdy nie dorastają do takich nieszczęśliwych wypadków, elementarne w swej istocie nieszczęście powala tego rodzaju ludzi na ziemię i nie mają siły znowu się podźwignąć, w odróżnieniu od nas, powiedziałem, których takie nieszczęście dotyka o wiele głębiej i bardziej elementarnie, lecz choć nas również powala na ziemię, to my jednak od razu się podnosimy i potrafimy się z nim uporać. Momentalnie pożałowałem tej wypowiedzi, ale nie mogłem jej już cofnąć; my potrafimy się z nim uporać, tak istotnie powiedziałem, inni natomiast nie potrafią, miałem zaś przy tym na myśli wyłącznie to, że my nad takim nieszczęściem zapanowujemy, choćby było absolutnie największe, najbardziej niegodziwe, a drobnomieszczanin nie; naturalnie nie użyłem słowa drobnomieszczanin, które wymierzone było umyślnie w mojego szwagra, pomyślałem je tylko. Drobnomieszczanina, pomyślałem, takie nieszczęście miażdży, drobnomieszczanin obnaża pod jego ciężarem cały swój sentymentalizm, my nie. Drobnomieszczanin, a także proletariusz, sam, by tak rzec, nieszczęśliwie ginie od skutków takiego nieszczęścia, my natomiast nie.

Drobnomieszczanin, podobnie jak proletariusz, nigdy nie ma siły, jaką my mamy, żeby uporać się z takim elementarnym w swej istocie nieszczęściem, pomyślałem. Powiedziałem do sióstr, iż takie nieszczęście przerasta siły szwagra, ale one tego wcale nie rozumiały, nie pojęły, co miałem na myśli, nie rozumiały też zawartej w tym pogardy. Ludzi pokroju szwagra należy po takim elementarnym w swej istocie nieszczęściu, a nasze jest elementarne, całkowicie wykluczyć z gry. Wypowiedziałem to zdanie, zanim fabrykant kapsli do wina zdążył zniknąć w budynku folwarcznym, widziałem jeszcze, jak zmierza w jego stronę. Ludzie pokroju naszego szwagra, powiedziałem mimo to, są w gruncie rzeczy zbyt wygodniccy, by przeżywać nieszczęśliwe wypadki, a to dlatego, że

właściwie we wszystkich sprawach są za bardzo wygodnicy, nie potrafią chłodnym okiem spojrzeć na świat, tak jak my to czynimy, gdy zachodzi taka konieczność. Nie zważałem się powiedzieć tego, co teraz pomyślałem, i powiedziałem do sióstr, że szwagier do nas nie pasuje. Na to Amalia zrobiła tylko kwaśną minę, Caecilia natomiast się odwróciła, bez słowa, chyba po to, żeby popatrzeć za moim szwagrem, ale on już wszedł do budynku Folwarcznego. Tacy ludzie jak ten poczciwy fabrykant kapsli do wina mają niezwykle sentymentalny światopogląd, jakiego my nie mamy, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Ten ich sentymentalizm jest czymś wstrętnym. Ten sentymentalizm jest jednak również podłością, którą oni przez całe życie manipulują ze szkodą dla innych. Sentymentalizm tych ludzi, tak bardzo im wszystko ułatwiający, to nieszczęście dla świata. Ów sentymentalizm, jaki raz po raz objawiają publicznie, budząc wstręt w ludziach naszego pokroju, pomyślałem. Powiedziałem do sióstr, że szwagier w Wolfsegg stąpa po kruchym lodzie. Amalia miała powód do śmiechu, Caecilia nie, milcząc, odwróciła się tylko po tej wypowiedzi w moją stronę i spojrzała na mnie zimnym wzrokiem. Tym samym przyznała się do błędu, którym był ten absurdalny ślub, mnie to spojrzenie nie zmyliło. Nie minęło osiem dni, pomyślałem, a sytuacja jest dokładnie odwrotna, nawet nie mogłaby być bardziej piekielna. Tylko szalenie mógł się z tobą ożenić, powiedziałem do Caecilii, nie powiedziałem tego tak ostro, jak ona to natychmiast odebrała, i pożałowałem tych słów, coś, co było pomyślane jako żart, głęboko ją dotknęło, jak zobaczyłem, Caecilia nadal mnie nienawidzi, pomyślałem, jest taka jak dawniej. Amalia zaś wspiera siostrę w tej siostrzanej nienawiści do mnie. Ale teraz muszę uporać się z nimi obiema, pomyślałem, ubolewając równocześnie nad ich losem, było bowiem dla mnie jasne, że chociaż nie mam jeszcze żadnego, nawet w przybliżeniu dokładnego, nie mówiąc już o precyzyjnym, wyobrażenia o tym, co siostry w najbliższym czasie będą musiały znieść, to jednak mam przeczucie, iż nie jest to dobre przeczucie. Dla Caecilii, która sprowadziła z Badonii do Wolfsegg fabrykanta

*kapsli do wina jako męża po to, by dopiec matce i ukarać ją na swój sposób, ten mąż z Fryburga Bryzgowijskiego, najbardziej katolickiej ze wszystkich osto katolicyzmu, stał się naraz uciążliwy. W tydzień po tym, jak go poślubiła, nie zostawiała na nim, by tak rzec, suchej nitki, albowiem powód, dla którego wyszła za tego fabrykanta kapsli do wina - mianowicie nasza matka i jej sposób postępowania z Caecilią i Amalią w odniesieniu do mężczyzn, czyli przyszłości córek - nagle znikł, przestał istnieć, śmierć matki pozbawiła ten ożenek sensu, powiedziałem do siebie, fabrykant kapsli do wina stał się zbyteczny, tyle że on sam jeszcze tego nie zauważył, w głowach moich sióstr, a więc nie tylko w głowie Caecilii, zaczęło już kielkować coś, czego jeszcze naturalnie nie śmiały wypowiedzieć na głos, ale co objawiały już swoim sposobem zachowania, swoim postępowaniem wobec fabrykanta kapsli do wina, a była to mianowicie idea, jak by tu się uwolnić od całkiem zbytecznego, by tak rzec, w jednej chwili, faceta. On bez ustanku działał mina nerwy, powtórzyła Caecilia kilkakrotnie, Amalia natomiast tym razem milczała. Fasady, którą stanowił fabrykant kapsli do wina, nie dało się już utrzymać. Widać było wyłącznie pogłębiającą się nieuchronnie niechęć. Odesłały szwagra pod byle jakim pretekstem, chcąc sobie swobodnie na nim użyć, jak pomyślałem, we właściwy moim siostrom sposób, za jego plecami. Przez cały czas działała Caecilli na nerwy, co wszakże dowodzi jedynie tego, że i przedtem przez cały czas działał jej na nerwy, a mimo to przyciągnęła go do siebie i przywiozła do Wolfsegg, ciotka z Titisee zaś popierała tę jej bezgraniczną podłość tylko po to, żeby ukarać naszą matkę, swoją szwagierkę. Ciotka z Titisee przyjedzie i wciśnie się do pierwszego szeregu rodziny osieroconej przez zmarłych, świadoma swojego triumfu, pomyślałem. Nawet jeśli małżeństwo Caecilii z jej mężem już teraz można uznać za klęskę, to triumf ciotki z Titisee jest w tej sytuacji tylko jeszcze wspanialszy, osiągnęła wszakże, co chciała, wymierzając swojej szwagierce cios tym najpierw wmówionym bratanicy, mojej siostrze, później jednak istotnie bardzo szybko urzeczywistnionym ślubem.*

*Fakt, że osoba, w którą był wymierzony cały spisek i całe to posunięcie, teraz nie żyje, pomyślałem, bynajmniej nie umniejsza triumfu ciotki z Titisee, tyle że moja siostra musi obecnie zapłacić rachunek za swoją nikczemność. Fabrykant kapsli do wina jest tutaj i zaczyna odgrywać swoją rolę, niezależnie od tego, jak komiczny obrót przybiera występ tego człowieka, pomyślałem, trudno będzie się go pozbyć, w każdym razie najtrudniej będzie Caecilii, mnie koniec końców może to być obojętne, gdyż ja i tak bez trudu już wkrótce wyrzucę go z Wolfsegg, jeśli tylko zechcę, to jedynie kwestia mojej decyzji, nie mam zamiaru znosić go dłużej w Wolfsegg, powiedziałem do siebie, również siostry już wkrótce nie będzie w Wolfsegg, być może ona czuje, co ja myślę, pomyślałem, może nawet wie to z całą pewnością, to nie moja sprawa, nie będę sobie nad tym łamał głowy. Skoro doszło do ślubu w tak groteskowy sposób, jak to zrobiła moja siostra, wbrew wszelkiemu rozsądkowi i na dodatek jeszcze z pełną świadomością, to konsekwencje tego musi ponieść wychodząca za mąż, czyli ona sama i tylko ona sama, pomyślałem. Ślub z fabrykantem kapsli do wina nie może pozostać bez bolesnych konsekwencji. Te bolesne, ba, niezwykle przykre konsekwencje już zaczęły wychodzić na jaw. Ostrzegamy, ale nikt nas nie słucha, pomyślałem, powtarzamy ciągle to samo, ale uszy, dla których jest przeznaczone to, co mówimy, nie słuchają, uszy mojej siostry Caecilii nie słuchały tego, pomyślałem, co jej mówiłem, ręce precz od tego fabrykanta kapsli do wina, ręce precz od takiej perwersyjnej podłości wobec matki. W ten sposób ciotka z Titisee podwójnie zawiniła, pomyślałem, zarówno w stosunku do matki, jak i w stosunku do Caecilii, w stosunku do nas wszystkich. Nie mogła przeboleć, że przed trzydziestu laty została, by tak rzec, wypędzona przez moją matkę, że matka nie tolerowała jej obok mojego ojca, jej brata, i skazała ją na wygnanie do Schwarzwaldu, do małego majątku z leśniczówki, który zawsze do nas należał. I co ta twoja ukochana ciotka z Titisee narobiła, powiedziałem do Caecilii. Caecilia zrozumiała. Przy tym mój ton nie był pocieszycielski, lecz pozbawiony cienia litości, niewybaczający. On przez cały czas działa mi na*

nerwy, to zdanie, wypowiedziane dokładnie tymi słowy przez moją siostrę, oznaczało wyłącznie pierwsze oznaki nienawiści do męża. Chciała się go pozbyć, wysłała go więc na strych budynku folwarcznego, gdzie może sobie długo szukać, pomyślałem, gdyż Caecilia dobrze wie, że na strychu budynku folwarcznego nie ma żadnego pudła z tak zwanymi kirami. A w końcu było też bezczelnością wysłać na górę męża, skoro do tej pory zawsze wysyłano tam służbę. Nie odstępuję mnie ani na krok nie oznaczało też niczego innego jak to, że moja siostra już nie cierpi fabrykanta kapsli do wina. Nie mogę spać przy zamkniętych oknach, co chwila otwieram szeroko wszystkie okna, powiedziała, a on z powrotem je zamyka, przez całą noc. W jej głosie brzmiał wyłącznie bunt, nie tylko rozczarowanie, pobrzmiewała w nim czysta nienawiść, ledwo uprzątnięto dekoracje weselne, tu i ówdzie wisały jeszcze resztki tych weselnych dekoracji, zapomnianych w natłoku przygotowań do pogrzebu, jak widziałem, na przykład na samym budynku folwarcznym, gdzie za lampami przy drzwiach wejściowych tkwiły jeszcze białe goździki, choć w gruncie rzeczy od dawna byłyby tu na miejscu żałobne wawrzyny. Ze też moja siostra jeszcze nie powiedziała, iż on wydziela nieprzyjemny zapach, nie powiedziała tego naturalnie, ale było tak, jakby już dawno to o nim powiedziała. Matka nie musiałaby się wcale zbyt długo zastanawiać nad jak najszybszym rozbiciem tego małżeństwa, ciągle jeszcze nazywanego przez nią groteską, takich myśli mogła była sobie oszczędzić, pomyślałem. Tego małego triumfu życzyłem zmarłej teraz, kiedy już nie może go przeżyć, życzyłem jej, żeby to małżeństwo, którego z całego serca, jak się kiedyś wyraziła, nie cierpi, a które stało się kukulczym jajem podrzuconym jej przez ciotkę z Titisee i Caecilię, bardziej jednak przez ciotkę z Titisee, rozpadło się, jak to się mówi, już w pierwszych dniach po ślubie. W czasie gdy Fabrykant kapsli do wina szukał na strychu budynku folwarcznego lnianych płócien w pudle z napisem Sunlicht, jego małżonka nie zostawiała na nim suchej nitki i bynajmniej się nie wstydziła, w ogóle nie docierało do jej świadomości, że zachowuje się podle, nikczemie. Cienka nić, jaką fabrykant

kapsli do wina związał się z Wolfsegg, już została zerwana, chociaż on sam jeszcze nie ma o tym pojęcia. Caecilia przeszła na moją stronę, a kalkulacja jej siostry Amalii jest również pozbawiona skrupułów, pomyślałem, że chcę teraz ratować maksimum tego, co się da uratować, w tym celu jednak muszą sprzymierzyć się ze mną, gdyż zbyt dobitnie już sobie uświadomiły, że to ja trzymam w rękach wszystkie wolfseggskie nici. Jaśnie pan, o którym nigdy nie myślały, a jeśli nawet, to był nim dla nich Johannes, stał się nagle rzeczywistością a ponieważ same zawsze zachowywały się wobec mnie niesłuchanie wrogo, więc nie spodziewały się niczego dobrego. Musiały jednak najpierw okazać przede mną słabość, by potem twardo przeciw mnie wystąpić, pomyślałem, tak teraz widzę ich jedyną możliwą taktykę, a już ja się nie mylę, powiedziałem do siebie. Ponieważ czułem potrzebę wzięcia kąpieli albo przynajmniej prysznicu, zostawiłem siostry same i poszedłem na pierwsze piętro. Po drodze wyszła mi naprzeciw jedna z pomocy kuchennych z moim portfelem, który, jak powiedziała, zostawiłem wcześniej w kuchni. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, w jaki sposób mój portfel mógł być znaleźć się na stole kuchennym, ale pewnie wyciągnąłem go tam, jak to się mówi, bezwiednie, z kieszeni marynarki, i położyłem na stole, a kucharka, z którą najpierw rozmawiałem, znalazła go pośród gazet. Zdradziłem się więc, powiedziałem do siebie, gdyż odłożony na stół portfel jest niezbitym dowodem. Schowałem portfel i wszedłem do swojego pokoju. Sądziły, że kłamstwo najzwyczajniej w świecie załatwi sprawę i nie zostaniemy rozpoznani jako kłamcy, pomyślałem, a potem demaskuje nas, by tak rzec, jakiś ślad będący skutkiem naszej własnej bezmyślności. Podróż samolotem i pociągiem z Rzymu do Wolfsegg zrobiła widać swoje, gdyż nagle poczułem zmęczenie. W moim pokoju wszystko wyglądało tak, jakbym dopiero co z niego wyszedł. Nie uporządkowałem go, wyjeżdżając do Rzymu, i w tym czasie nikt w nim nie posprzątał, mówią, pomyślałem, że uporządkują mój pokój natychmiast po moim wyjeździe i wszystko poukładają, ale nie uporządkowały go, nie liczyły się z moim

*natychmiastowym powrotem, tak więc znowu przyłapałem je na niedbalstwie. Z drugiej strony, pomyślałem, przyjemnie jest wejść do pokoju, gdzie wszystko znajduje się w nieładzie, nic nie jest sprzątnięte, nikt na widok mojego pokoju nie powiedziałby teraz, że byłem przez tydzień w Rzymie, nic na to nie wskazuje, wygląda tu tak, jakbym opuścił go tylko na chwilę, na kilka godzin albo na jeszcze krócej. Nie posłano nawet mojego łóżka, w całym tym zdenerwowaniu, tak pomyślałem, zapomniaty również posłać moje łóżko. O nieposłanym łóżku z pewnością nic nie wiedzą, pomyślałem, w przeciwnym razie byłyby je posłały, a tak nie posłały go i ich tak zwany fanatyzm na punkcie porządku, jak zawsze mówiła Caecilia, stracił na wiarygodności. Rzuciłem ubranie na podłogę i nagi wszedłem do łazienki. Wziąłem prysznic. Chciałem się ogolić, ale nie znalazłem kremu do golenia, toteż nagi, jak mnie Pan Bóg stworzył, jedynie w zarzuconym na siebie ręczniku kąpielowym ojca, przeszedłem przez korytarz, żeby przynieść sobie jego krem do golenia, którego, jak pomyślałem, już teraz nie potrzebuje i, jak również pomyślałem, stał mu się zbędny. W ojcowskiej łazience wszystko wyglądało tak, jak ojciec to zostawił, jakby w każdej chwili miał wrócić. Również tutaj nie było posprzątane, co one sobie myślą, pomyślałem, one, które, o ile wiem, przez cały dzień nie mają prawie nic do roboty, żeby nawet nie posprzątały pokoju ojca, nawet teraz, gdy nie żyje, nie uważają, że warto by doprowadzić jego łazienkę do porządku, przyszło mi na myśl słowo pietyzm, natychmiast jednak odrzuciłem je ze względu na jego obrzydliwość, całkiem po prostu wykluczyłem to określenie ze swoich rozważań, pomyślałem tylko, że to niesamowite patrzeć, że już prawie dwa dni od śmierci ojca, a jeszcze nie posprzątano, że także o tym zapomniano, ale tak zwana żałoba je usprawiedliwia, pomyślałem. Na początku nie znalazłem ani jednego kremu do golenia, ale tak długo grzebałem w toalecie, aż wreszcie jakiś znalazłem, również mój ojciec golił się, by tak rzec, z zasady, jak ja sam, zawsze nago, nie cierpiał elektrycznej maszynki do golenia, ale i dla mojej skóry taka elektryczna maszynka do golenia nie jest odpowiednia, powiedziałem do siebie i wróciłem*



*do swojej łazienki. Na korytarzu, by tak rzec, w połowie drogi między pokojem ojca a moim, spotkałem Amalię, która przeraziła się, widząc mnie całkiem nagiego, dopiero co zarzucony ręcznik kąpielowy odłożyłem w ojcowskiej łazience, a potem o nim zapomniałem, stałem więc całkiem nagi przed Amalią, która, wykorzystując półmrok, wlepiła we mnie wzrok wcale nie w siostrzany sposób, jak pomyślałem. Ponieważ zatrzymała się na mój widok i w ogóle nie zamierzała odejść, postąpiłem kilka kroków do przodu i, całkiem nagi, stanąłem przed nią, pytając, czy jeszcze nigdy w życiu nie widziała nagiego mężczyzny. No to teraz widzisz, powiedziałem, jak wyglądam, nieźle, prawda, i wytknąłem język, na co ona odwróciła się na pięcie i szybko zbiegła na dół do westybulu. Od trzydziestu lat nie pokazałem języka mojej siostrze Amalii, teraz znów to zrobiłem i nawet mnie to dość rozbawiło. Odświeżony na całym ciele i dzięki temu incydentowi wręcz rozchmurzony, przystąpiłem do golenia. Myślałem przy tym, jak źle wychowane, czyli odkształcone, są moje siostry, co moja matka z nimi zrobiła, dwie całkiem odkształcone dorosłe osoby, w końcu odkształcone i pokręcone nie tylko w sensie fizycznym, jak pomyślałem, lecz całkiem odkształcone i pokręcone również pod względem umysłowym. Namydliłem twarz pędzlem i spojrzawszy na siebie w lustrze, zobaczyłem żartownisia, który sam sobie pokazuje język i któremu to pokazywanie języka sprawia tyle radości, że natychmiast powtarza tę czynność kilkakrotnie, by tak rzec, dla własnej uciechy.*

*Nie ma nic przyjemniejszego niż ogolić się po takiej, krótkiej wprawdzie, ale wyczerpującej podróży.*

*Stojąc przed lustrem nago, z wytkniętym do siebie samego językiem, nie miałem poczucia, że jak do tej pory sądziłem jestem człowiekiem mającym przed sobą mniej życia niż normalni ludzie. Wszedłem do swojego pokoju i ubrałem się, wcześniej bez końca rozważając, czy mam włożyć na siebie całkiem czarny garnitur, czy nie, wreszcie jednak zdecydowałem się na zupełnie nierzucający się w oczy, absolutnie normalny, codzienny strój, starą, noszoną w Rzymie zielonobrunatną marynarkę i pasujące do niej spodnie. Gdyby siostry były inne,*

*pomyślałem, gdyby nie wpadały w tak zmienne nastroje, wspólne życie z nimi w Wolfsegg byłoby może do wyobrażenia, ale w obecnej sytuacji, rozmyślałem, nie wiem, jak to dalej będzie bez nich, bo że nie zostaną w Wolfsegg, było dla mnie oczywiste. Caecilia i Amalia będą musiały odejść, tak będzie najlepiej dla obu stron, pomyślałem. Umościli się w Wolfsegg na całe życie, ale teraz muszą stąd odejść, wszystko jedno dokąd, ale odejść, pomyślałem, dla ich własnego dobra. Tutaj w mniejszym lub większym stopniu przedstawienie się skończyło, pomyślałem, moje siostry jako epizodyczne postaci nie mają już czego szukać w tym teatrze, skoro główni bohaterowie nie żyją i spoczywają na katafalku w oranżerii. Kurtyna opadła, pomyślałem. Jeszcze nie całkiem, pomyślałem, zaczęła się, by tak rzec, część satyryczna. Najtrudniejsza część całości. Kiedy później na dole w westybulu spotkałem moją siostrę Caecilię, poprosiła mnie, żebym przynajmniej włożył czarny krawat, początkowo się bronilem, potem jednak uznałem, że ma rację, i wróciłem na górę do swojego pokoju, gdzie zawiązałem sobie czarny krawat. Teraz miałem stosowny, by tak rzec, strój na ten dzień, podszedłem do okna i zobaczyłem fabrykanta kapsli do wina, który z dużym pudłem wracał z folwarku do oranżerii. Szwagier rzeczywiście znalazł pudło z napisem Sunlicht i kirami, pomyślałem. A ja sądziłem, że to pudło nie istnieje. Mimo to podłość mojej siostry nie ulega wątpliwości, pomyślałem.*

*Posłała swojego, co musiałem sobie powiedzieć, budzącego w niej teraz wstręt męża na strych budynku folwarcznego jedynie po to, żeby wreszcie, jak się wyraziła, zostać sam na sam ze mną i Amalią.*

*Fabrykant kapsli do wina ma nieporadny, niemity dla oka chód, pomyślałem, a kiedy dźwiga taki ciężar jak to pudło, jego chód staje się jeszcze bardziej odstręczający niż zwykle, nogi wyginają mu się wtedy w kabłąki, pomyślałem. Pudło nieomal go przygniata, chociaż nic nie waży, fabrykant kapsli do wina trzyma je tak, jakby to była jego głowa, pomyślałem, komiczny widok. Przed oranżerią ogrodnicy odebrali od niego pudło, a on stał w miejscu, jakby nie wiedział, co ma teraz zrobić, uosobienie bezradności, mogłem być*

*również wyjść mu naprzeciw i pomóc, ale nie zrobiłem tego, gdyż takim ludziom nie da się pomóc, tacy ludzie zawsze są śmieszni i nigdy nie wiedzą, co należy zrobić.*

*Ogrodnicy, którzy właśnie wrócili z folwarku, porozmawiali z nim przez chwilę, ale w końcu musieli go zostawić, gdyż byli zajęci. Od strony osady usłyszałem znowu fragmenty próby muzycznej, teraz poczynili już duże postępy z Haydnem. Ciężka muzyka, pomyślałem. Szwagier doszedł aż do muru, by spojrzeć w dół w stronę wsi, obserwowałem go, jak próbuje udać wyższego, niż jest, jak usiłuje znaleźć oparcie na występie w murze, ale to mu się nie udaje, odwraca się więc w strachu, że ktoś może obserwować jego niezdarność i śmieszność, mnie nie mógł zobaczyć, gdyż stałem za szybą w swoim pokoju, a przez nią nie można zajrzeć z zewnątrz przy takim popołudniowym świetle, można patrzeć na okno, ale nie widzi się, co się za nim dzieje. O tej porze mogę spokojnie stać przy oknie i obserwować wszystko na zewnątrz, powiedziałem do siebie, sam nie będąc widzianym. Fabrykant kapsli do wina wytarł buty i otrzepał marynarkę, zabrudzone po nieudanej próbie wspięcia się wyżej na mur, i znowu rozejrzał się na wszystkie strony, ma, spostrzegłem nagle przy tej okazji, zbyt krótkie ręce, jego garnitury, szyte przecież na miarę, są skrojone w prowincjonalny sposób, w dodatku jeszcze na południo-woniemiecką modłę, bez gustu, materiały, jakie sobie wyszukuje, są materiałami odrażającego drobnomieszczanina, który, sądząc, że bardzo dobrze się prezentuje, uczynił sobie zasadę z dążenia dniami i nocami do czegoś wyższego, nieustannie, i który jest całkiem po prostu opętany tym dążeniem.*

*Tego szwagra podsunęła nam ciotka z Titisee, pomyślałem. Badeńskiego smakosza win, badeńskiego smakosza kotletów, badeńskiego nosiciela białych koszul. Słowa Caecilii, że jej mąż jest najlepszy, mogły teraz wywołać jedynie drwiący śmiech, jakim nie wolno było śmiać się tego popołudnia, należało go stłumić za szybami okien. Raczej wszystko inne poza współczuciem było stosowne w odniesieniu do tego mężczyzny, który wcale nie bez własnej winy*

*zawarł ten związek, pomyślałem, który to związek zaczął mojej siostrze wychodzić nosem już w tydzień po ślubie. Ta sprawa jest epizodem, z którym jednak Caecilia sama musi się uporać. Ja się nie będę wtrącał, co nie znaczy, że zaprzestanę obserwacji i nie będę się nad tym zastanawiał, pomyślałem. Ale absolutnie nie do zniesienia była myśl, że akurat z tym człowiekiem musiałbym na przykład siedzieć razem wieczór w wieczór, na dodatek jeszcze w towarzystwie sióstr, które przecież również nigdy nie wiedzą o czym ze mną rozmawiać. I odwrotnie, ja też nie wiem. Szok po wypadku wystarczy zaledwie na parę dni, by przewyciężyć w sobie to, co już dzisiaj przejmuję mnie zgrozą, pomyślałem, mieć obok siebie te zgorzkniałe twarze sióstr, a na dodatek jeszcze głupią, pozbawioną wszelkiej myśli twarz szwagra śmiejącego się z każdego głupstwa. Jednakże, pomyślałem zaraz potem, wyniosłość nie jest dobrą metodą, żeby stawić czoło otoczeniu, które lekceważone, staje się nie do zniesienia. Gdybyśmy jednak nie byli wyniośli, bylibyśmy zgubieni, wyniosłość bowiem nie jest wyłącznie narzędziem władzy nad światem, który by nas w innej sytuacji, czyli pozbawionej tej wyniosłości, pożarł z kretesem. Nie miałby dla nas żadnych względów. Musimy uprzedzić go swoją własną wyniosłością, powiedziałem do siebie, użyć jej tam, gdzie ocala nas przed pożarciem. Nie ludźmy się bowiem, pomyślałem, gdyż ci tak zwani głupcy, ci, by tak rzec, lekce przez nas wazeni, są najbardziej bezwzględni, nie obchodzi ich, co czujemy, jeśli tylko mogą nam zawadzać i niszczyć nas, a wreszcie unicestwić. Wyniosłość jest absolutnie stosownym środkiem, który pozwala uporać się z nastawionym przeciw nam otoczeniem, bojącym się tej wyniosłości i szanującym ją, choćby nawet była tak udawana jak moja, pomyślałem. Zasłaniamy się wyniosłością, żeby zachować samych siebie, taka jest prawda, jestem wyniosły, by przeżyć, taka jest logika. Oczywiście już po krótkim czasie nie wiemy, czy nasza wyniosłość jest udawana, czy też prawdziwa, ale nie ma potrzeby zadawać sobie wciąż takiego pytania, to by nas tylko doprowadziło do wariacji, a w końcu do szaleństwa. Jest mi obojętne, że mój szwagier nie wie, kim jest Max Bruch,*

*gdyby bowiem wiedział to wówczas, kiedy moja matka ośmieszyła go na oczach całego towarzystwa, wcale by go to nie uczyniło lepszym, równie dobrze matka mogłaby mnie zapytać o to lub owo, a ja nie umiałbym udzielić jej odpowiedzi, tylu rzeczy nie wiem i na tak niewielu sprawach się znam jak na sobie, pomyślałem, podobnie jest z fabrykantem kapsli do wina, choć przecież to całkowicie obojętne, w jakim stopniu ktoś jest, by tak rzec, wykształcony, wręcz przeciwnie, kto jest wykształcony w takim stopniu, że zasługiwałby na podziw mojej matki, musi być w gruncie rzeczy strasznie bezmyślnym głupcem, wykształconym głupcem, jak zawsze mówię, ale fabrykant kapsli do wina sądzi, że to ważne, by wiedzieć, kim jest Max Bruch, że to ważne, by wiedzieć, kim jest Friedrich Kienzel, etcetera. Nawet gdyby nie wiedział, kto to jest Kant, byłoby to absolutnie obojętne, biorąc pod uwagę jego charakter. Tylko że fabrykant kapsli do wina nie ma w ogóle charakteru, pomyślałem. W charakter fabrykanta kapsli do wina zawsze powątpiewałem, w tę, by tak rzec, bezczelność skrytą pod maską bezradności, która to bezradność, gdy chodzi o wspinanie się ku wyższym sferom, jest pozbawiona wszelkich skrupułów. Caecilia dała się nabrać, pomyślałem, obserwując szwagra stojącego na murze. Czego to on nie potrafi zrobić, do czego nie potrafi przyłożyć ręki, jak to się mówi.*

*Potem jednak pomyślałem, że gdyby rzeczywiście coś zrobił, gdyby przyłożył do czegoś ręki, to w każdym razie zrobiłby to zawsze w sposób niewystarczający, krótko mówiąc, jeszcze bardziej by się tylko ośmieszył. Gdyby nie był bez charakteru, pomyślałem, dałby się już dawno przynajmniej polubić ogrodnikom, ale ogrodnicy schodzili mu z drogi, znak, że coś z nim jest nie w porządku, gdyż ogrodnicy mają niewiarygodny instynkt w odniesieniu do ludzi. Ogrodnicy czują komu można zaufać, a komu nie, fabrykantowi kapsli do wina od samego początku schodzili z drogi, co zauważyłem już przed ślubem, po prostu nie mieli do niego zaufania, ale nie jak zazwyczaj do kogoś tutaj obcego, lecz w całkiem zdecydowany sposób, w ich oczach nie był widać kimś bezradnym, lecz człowiekiem bez charakteru, pomyślałem. Zawsze było*

*interesujące, kogo ogrodnicy darzą zaufaniem, bo nigdy się nie mylili. Już sam sposób, w jaki na przykład odebrali od szwagra to pudło, był objawem ich braku zaufania do niego. Nagle wydało mi się śmieszne, żeby tyle czasu spędzać przy oknie na obserwowaniu szwagra, zszedłem więc na dół do westybulu, lecz przedtem jeszcze przystanąłem pod obrazem przedstawiającym ciotecznego praprapradziada Ferdynanda. Mój Kartezjusz, powiedziałem do siebie pod nosem, stracił z biegiem czasu co nieco ze swej filozoficznej wielkości, z tą twarzą nie mógłby napisać żadnych esejów. Amalia wyszła z kuchni, mówiąc, że teraz, późnym popołudniem, zaczną prawdopodobnie przychodzić do nas na górę pierwsze osoby z kondolencjami, już przed południem było ich kilkanaścioro, nie tylko ze wsi na dole, jak profesor szkoły średniej czy lekarz gminny, do których dyspozycji powinniśmy być, najlepiej tuż w pobliżu westybulu, a może nawet w nim samym, stosownym miejscem byłaby też kaplica albo wręcz kuchnia, albowiem nikogo spośród składających kondolencje Amalia nie chciała wpuścić na pierwsze piętro, najlepiej byłoby zamienić tylko kilka słów z tymi ludźmi, nie więcej, i od razu się pożegnać, to wydawałoby się oczywiste. Zgrozą przejęła mnie myśl, że teraz po kolei zaczną zjeżdżać się do nas dokładnie ci ludzie, których w gruncie rzeczy tak nie cierpię, ludzie z klasy średniej, mieszkający w okolicznych małych miasteczkach, którzy nie przepuszczą okazji, by tak rzec, żeby pełnoprawnie odwiedzić nas bez jakiegokolwiek zaproszenia, a na dodatek jeszcze wjechać autami aż do parku, bezczelnie. Już teraz dostrzegłem, że ci wścibscy ludzie wysiadają jeden po drugim ze swoich samochodów i zaczynają się nam naprzykrzać tą wstrętną paplaniną kondolencyjną, do której my musimy robić dobrą minę. Ja w każdym razie będę z obojętnością ścisnął owe ręce i potrząsał nimi, pomyślałem, jak nie ścisnąłem i nie potrząsałem jeszcze żadnymi do tej pory, tak żeby to ani przez chwilę nie pociągnęło za sobą pogłębienia więzi między tymi ludźmi a nami, pomyślałem. W duchu już ćwiczyłem te uściski rąk, to potrząsanie, i uczyłem się tych wszystkich bredni, które będę zmuszony wypowiadać, jak przypuszczałem.*

*Ale nie owych ludzi się obawiałem, z nimi rozprawię się krótko, w sposób ani trochę mnie nieirytujący, pomyślałem, bałem się dwu byłych tak zwanych gauleiterów, którzy już zapowiedzieli się na pogrzeb, jak wiedziałem, oraz mniej lub bardziej licznie mających się pojawić tak zwanych obersturmbannführerów SS, o których przez ostatnie kilkadziesiąt lat myślałem, że już dawno nie żyją albo przynajmniej odsiadują należne im kary, którzy jednak już z podziemia, dokąd uciekli, o czym nieoczekiwanie dowiedziałem się przed laty, utrzymywali przez dziesięciolecia kontakt z moją rodziną, z moimi rodzicami, z wieloma innymi naszymi krewnymi, i którzy teraz wykorzystają ten pogrzeb, powiedziałem sobie, by po raz pierwszy od dawna, i to w sposób bardzo demonstracyjny, znowu wystąpić publicznie. Nie mam jednak żadnej możliwości, żeby zapobiec udziałowi tych ludzi w pogrzebie, po-myślałem. Przybędą, czy tego chcę, czy nie. Byli gauleiterzy nie pozwolą sobie w tym przeszkodzić. O jednym z nich wiem, że posłał tysiące ludzi do naszych i niemieckich więzień oraz zakładów karnych, tak samo tysiące jednym swoim podpisem do Buchenwaldu, Dachau i Auschwitz, o drugim znowu, że przynajmniej podobną liczbę ludzi, w większości Żydów, wysłał do węgierskich i czechosłowackich obozów koncentracyjnych. Nie mówiąc już o maszerującym najzwyczajniej w świecie we wszystkich konduktach pogrzebowych tak zwanym Związku Koleżeńskim, który nie jest niczym innym jak tylko organizacją narodowosocjalistyczną, tak sądzę, gdyż myśli na wskroś narodowosocjalistycznie, a ci ludzie wszędzie, dokądkolwiek pójdą, znów noszą dzisiaj nieustannie swoje narodowosocjalistyczne ordery na piersiach, bez najmniejszego wstydu, właśnie dzisiaj ponownie z największą bezczelnością i całkiem jawnie. Gauleiterów naprawdę się obawiałem i w ogóle nie miałem pojęcia, jak właściwie powinienem ich przyjąć, tych przyjaciół mojego ojca, najpierw kolegów szkolnych, przyjaciół na śmierć i życie, jak sam ojciec zawsze ich później nazywał, później, i z którymi po wojnie, o czym się dowiedziałem, utrzymywał najściślejsze kontakty, chociaż wiedział, że ma do czynienia z*

donosicielami i mordercami; z pełną tego świadomością zapewniał im schronienie, zaopatrywał ich w żywność, dostarczał wszystkiego, czego potrzebowali, by utrzymać się przy życiu, jak to określał. Podobno całymi latami ukrywał ich w dziecięcej willi, a my, dzieci, nie miałyśmy o tym wówczas zielonego pojęcia, całymi latami, jak sobie później przypomniałem, żadne z nas nie miało wstępu do dziecięcej willi, tajemnica zaś całej tej zagadki była taka, że w latach powojennych moi rodzice ukrywali w dziecięcej willi swoich narodowosocjalistycznych przyjaciół. Rodzicom świetnie się udało stworzyć wrażenie, że dziecięca willa jest całkiem niezamieszкана, z zewnątrz wyglądała bowiem na podupadłą, podczas gdy w środku poszukiwani donosiciele i mordercy, odznaczeni Orderem Krwi, żyli sobie, jak sądzę, dostatnio, ponieważ moja rodzina nigdy nie cierpiała na brak żywności, zawsze, podczas wojny i po wojnie, miała, jak to się mówi, wszystkiego w bród, gdy tymczasem reszta narodu, tak to określała moja matka, głodowała i cierpiała niedostatek, jak to się mówi. Dziecięca willa stanowiła kryjówkę dla obu gauleiterów, prawdopodobnie jednak, tak myślę, również ci liczni obersturmbannführerzy SS, zaprzyjaźnieni z moimi rodzicami, korzystali z dobrodziejstw naszego nadmiaru bogactwa, stopniowo wszakże dowiadywałem się różnych rzeczy o tych czasach, które dla nas, dzieci, były zawsze tak zwanymi czasami egzotycznymi, w wieku trzynastu, czternastu lat, co nietrudno sobie wyobrazić. Zawsze jednak dobitnie podkreślano, że nie wolno nam wchodzić do dziecięcej willi. Kiedyśmy mieli po mniej więcej piętnaście lat, otworzono ją dla nas, w tym czasie bowiem, jak pamiętam, graliśmy tam już swoje przedstawienia. Jednakże do dzisiejszego dnia dziecięca willa, chociaż zawsze bardzo ją kochałem, nadal pozostaje dla mnie czymś niesamowitym ze względu na jej profanatorów. Prawdopodobnie, myślę, rodzice ukrywali i zaopatrywali ludzi nie tylko w dziecięcej willi, tych swoich towarzyszy o podobnych narodowosocjalistycznych przekonaniach, jak można powiedzieć, umieszczali z pewnością również w naszych różnych leśniczówkach, nawet w tej nad Weieregg, jak myślę, nieomal całkowicie



niedostępnej.

*Ale o wszystkich tych niesamowitościach rodzice zawsze milczeli i nic nie można było z nich wydobyć, odmawiali wszelkich informacji na ten temat, jedynie regularna, do końca życia prowadzona przez nich korespondencja ze wszystkimi tymi ludźmi była dowodem na to, jak ściśle mieli z nimi powiązania.*

*Podczas gdy moi rodzice do kolacji zasiadali już z Amerykanami, a w trakcie śniadań szampanem pili zdrowie generała Eisenhowera, gauleiterzy siedzieli o kilkaset metrów dalej w dziecięcej willi prawdopodobnie nie mniej rozbawieni, nie musząc rezygnować ani z odrobiny luksusu, jeśli chodzi o jedzenie i picie, jak myślę. Wolfsegg zawsze było perwersyjne, a rodzice doprowadzili tę perwersyjność Wolfsegga do ostatecznych granic, myślę. Prawdopodobnie łowczy byli wtajemniczeni w tę niewątpliwie najbardziej perwersyjną tajemnicę Wolfsegga, myślę, ale z pewnością nie ośmielili się jej zdradzić ogrodnikom, jak myślę. Takich ludzi, pomyślałem teraz, będę musiał przyjąć, nie pozostanie mi nic innego. Dzisiaj wszyscy oni żyją w dobrych warunkach i naprawdę w absolutnym spokoju, w najrozmaitszych, jak to się mówi, najpiękniejszych zakątkach kraju, otrzymując poza tym horrendalnej wysokości emerytury państwowe. Ale dzisiejsze społeczeństwo zasługuje na taką sytuację, pomyślałem, zasługuje na taką perwersję, gdyż samo jest na wskroś perwersyjne. W gruncie rzeczy, pomyślałem, to społeczeństwo jest ich sprzymierzeńcami, sprzymierzeńcami właśnie tych ludzi, tych gauleiterów i obersturmbannführerów SS oraz nosicieli Orderów Krwi, pomyślałem, to ich traktuje nie, by tak rzec, jeszcze dzisiaj, lecz właśnie dzisiaj coraz chętniej jako swoje wzorce, to moi ziomkowie, ci narodowi socjaliści, jak to się mówi, podnoszą ku nim oczy, widząc w nich swoich tajnych przywódców. Owym tajnym przywódcom moich ziomków, pomyślałem, będę musiał ścisnąć dłonie i potrząsać nimi. Tym tajnym przywódcom moich ziomków nie będę mógł zabronić zajęcia miejsca na czele pogrzebowego konduktu, gdy ruszy z miejsca.*

*To mające nastąpić okropieństwo, w którym widziałem naprawdę coś*

straszego, już teraz budziło we mnie obrzydzenie. Nie bez szyderstwa na twarzach siostry wyliczały mi nazwiska tych, którzy już się zapowiedzieli, a obaj byli gauleiterzy oraz byli obersturmbannführerzy SS znaleźli się na pierwszych miejscach. Muszę jednak uporać się z tą sytuacją, zganilem sam siebie w głębi duszy. Nie tylko całymi dniami, ale wręcz tygodniami ci gauleiterzy, obersturmbannführerzy SS i nosiciele Orderów Krwi przesiadywali wszakże i kręcili się, o czym wiem, po Wolfsegg, każąc się moim rodzicom utrzymywać, nawet przez kilkadziesiąt lat, co również wujowi Georgowi zawsze zatruwało pobyty w domu rodzinnym, podobnie jak mnie, który w mniejszym lub większym stopniu czułem się zawsze zmuszony wyjeżdżać stąd, kiedy oznajmiano, że ci ludzie przybędą z wizytą. Narodowy socjalizm jest największym złem w Austrii obok katolicyzmu, pomyślałem, podobnie jak faszyzm we Włoszech obok katolicyzmu. Ale we Włoszech jest jednak całkiem inaczej, Włosi po dziś dzień nie dali się pożreć ani faszyzmowi, ani katolicyzmowi w przeciwieństwie do Austriaków, już dawno zżartych przez obydwie te zła. Za biskupami, wśród których znajduje się przecież dwóch arcybiskupów, pomyślałem, gdyż Spadolini jest wszak arcybiskupem, pójdą gauleiterzy i obersturmbannführerzy SS oraz nosiciele Orderów Krwi, miarowym krokiem, jak to się mówi. A potem, za nimi, ruszy nasz narodowosocjalistyczny lud, pomyślałem.

Przygrywać zaś będzie nasza narodowosocjalistyczna orkiestra. I na podjeździe cmentarza rozlegną się narodowosocjalistyczne wystrzały z moździerzy, którym do wtóru zaczną bić katolickie dzwony kościelne. Jeśli zaś dopisze nam szczęście, pomyślałem, podczas całej tej ceremonii będzie świeciło nasze narodowosocjalistyczno katolickie słońce albo, jeśli szczęście nam nie dopisze, zacznie padać deszcz, narodowosocjalistyczno-katolicki deszcz. Siostry, podobnie jak mój brat Johannes, nie były wtajemniczone w owo tajemnicze Wolfsegg, jak je nazywam, nawet wtedy, gdy wszyscy byliśmy już prawie dorośli, przede wszystkim głupota sióstr ustrzegła rodziców przed tym, by pozwolili nam czegokolwiek się domyślić. Kiedy bowiem mieliśmy już po

*piętnaście, szesnaście lat i naraz wolno nam było wejść do dziecięcej willi, powodowani ciekawością, zapytaliśmy naturalnie, dlaczego do tej pory nie mogliśmy tu wchodzić, dlaczego przekraczanie progu dziecięcej willi było nam zabronione, a nawet zabronione zbliżanie się do niej. Rodzice, byli towarzysze partyjni, nic na to nie odpowiedzieli.*

*Oczywiście jednak nie zdołali dochować tej tajemnicy przez całe życie, pewnego dnia wszystko się wydało, a to w chwili, gdy do Wolfsegg przyjechał jeden z gauleiterów i już na dole w westybulu zaczął opowiadać o czasie spędzonym w dziecięcej willi, o najpiękniejszych latach swojego życia, jak się wyraził w mojej obecności. Stałem obok i musiałem przyjąć do wiadomości, że gauleiter i nosiciel Orderu Krwi około czterech lat mieszkał sobie wraz z kolegami w dziecięcej willi, by tak rzec, w najlepszych warunkach, i jak tam jedli, jak tam pili; byłego gauleitera, powodowanego słynną, by tak rzec, dozgonną wdzięcznością wobec mojej matki, nie można było w ogóle uciszyć, chociaż moja matka nie życzyła sobie słuchać tego wszystkiego, widząc, że stoję obok, gauleiter jednak coraz bardziej dawał się unosić coraz to głośniejszemu i jeszcze bardziej pełnemu zachwyty potokowi wymowy, wynikającemu z wdzięczności, i nie można mu było przerwać. Przynajmniej bezustannie wychwalał świeże powietrze i świeże jajka, które jemu i jego współtowarzyszom matka osobiście przynosiła wówczas dzień w dzień do dziecięcej willi, a także dzień w dzień świeże mleko od naszych wolfseggskich krów. Cały westybul był wypełniony donośnym śmiechem gauleitera, którym kilkakrotnie przerywał on swoją mowę dziękczynną, by w chwilę później znów się popisywać. Ów gauleiter mieszka dzisiaj w Altaussee, gdzie korzysta z dobrodziejstw wypłacanej co miesiąc przez państwo emerytury, która, jak wszystkie inne emerytury w naszym kraju, co pół roku zwiększa się automatycznie o cztery lub pięć procent i którą państwo przyznało mu dokładnie przed trzydziestu laty, zaraz po zatuszowaniu jego okrucieństw i umorzeniu postępowania, jak to się mówi, i jak to się również mówi, nie mrugnawszy okiem. A ja pomyślałem wtedy o górniku Schermaierze z*

*Kropfing poniżej Wolfsegg, którego zawsze odwiedzałem, aby wyrwał mnie z mojej wolfseggskiej rozpacz, i który oprócz wykonywania swojego zawodu prowadził wraz z żoną małe gospodarstwo rolne i hodował trzy krowy, a któremu jak nikomu innemu w okolicy Wolfsegg jestem jeszcze po dziś dzień zobowiązany i którego, zawsze gdy jestem w Wolfsegg, odwiedzam, owego człowieka, zadenuncjowanego podczas wojny przez jednego z najbliższych sąsiadów za to, że słuchał szwajcarskiej radiostacji. Najlepszy przyjaciel doniósł na Schermaiera i sprawił, że ten stanął przed sądem, a w końcu został osadzony w zakładzie karnym Garsten i holenderskiej filii niemieckiego obozu koncentracyjnego. Najbliższy sąsiad i niegdysiejszy najlepszy przyjaciel pozbawił go na dwa lata domu, wpędzając do ciężkich zakładów karnych i obozów zagłady, jakie mają na sumieniu gauleiterzy, którzy tu jutro przybędą. Tak więc zadenuncjował wówczas Schermaiera i wysyłał go po kolei do zakładów karnych, ciężkich więzień i w końcu do obozu koncentracyjnego, wskutek czego życie tego człowieka zostało w mniejszym lub większym stopniu zrujnowane, pomyślałem, i nikogo później to nie obchodziło, on sam zaś nie dostał nawet najmniejszego odszkodowania za owe lata grozy. Przyjaciel, który na niego doniósł i wsadził go do zakładów karnych, ciężkich więzień i obozu koncentracyjnego, po zakończeniu wojny błagał Schermaiera na kolanach, by ten się na nim nie mścił. Schermaier się nie zemścił, już o tym nie rozmawia, z nikim, czasem tylko jego żona, gdy jestem u nich i jem z nimi prosty posiłek, wybuchała płaczem, ponieważ do dziś nie może uporać się z tamtymi czasami; Schermaier nie otrzymał odszkodowania albo może został co najwyżej, by tak rzec, zaspokojony przez państwo w najbardziej odrażający sposób śmieszłą, skromną kwotą pieniężną za cierpienia, jakich doznał od narodowosocjalistycznego, bezdusznego potwora, podczas gdy ludobójcy, który dzisiaj mieszka w Altaussee, to samo państwo przekazuje każdego miesiąca na pierwszego zawrotną emeryturę, zapewniającą mu luksusowe życie, pomyślałem. Schermaier jest upokorzony na całe życie i państwo nigdy nie*

pozwoili mu się wydobyć z tego upokorzenia, natomiast ludobójcy, żyjącemu w Altaussee, to samo państwo tuż po zakończeniu wojny przywróciło wszystkie tak zwane prawa obywatelskie, czym utwierdziło go w jego myśleniu i działaniu. Nienawidzę tego państwa, pomyślałem, nie stać mnie na nic innego, jak tylko na nienawiść do tego państwa, i nie chcę mieć z tym państwem nic wspólnego albo co najwyżej tyle, ile jest absolutnie niezbędne, pomyślałem. To państwo już tak często dawało dowody swojego całkowitego braku charakteru, że niepodobna go dłużej akceptować, choćby codziennie i we wszystkich możliwych miejscach oraz przy wszystkich możliwych okazjach nazywało siebie socjalistycznym, postępowym, demokratycznym czy jakkolwiek inaczej, jest ono straszliwe, pozbawione charakteru, bezwstydne, pomyślałem, i nigdy nie wstydziło się tej swojej straszliwości, braku charakteru i bezwstydu, lecz jeszcze przy każdej nadarzającej się sposobności śmiało chwalić się tymi okropieństwami. Co to za państwo, zadaję sobie pytanie, które ludobójcy przysyła do domu nieprzyzwoicie wysoką emeryturę i obsypuje go zaszczytami oraz pochwałami, a w ogóle nie przejmuje się biednym Schermaierem? Co to za państwo, które ludobójcy pozwala żyć w luksusie, a zapomniało o Schermaierze? pomyślałem. Gdy tylko będę mógł, odwiedzę Schermaiera, pomyślałem i wyszedłem na świeże powietrze. Orkiestra próbowała Haydna, ogrodnicy przeciągali wolfseggski karawan z folwarku za oranżerię, fabrykant kapsli do wina zastąpił im drogę, poprosili, żeby odszedł, usunął się więc na plan dalszy. Siostry były w oranżerii. Zastanawiałem się, czy wejść do środka, czy nie. Schermaier nie jest ani katolikiem, ani narodowym socjalistą, pomyślałem. Nie istnieje wielu takich Schermaierów, pomyślałem, ale istnieją. I nie istnieje wiele takich kobiet jak Schermaierowa, ale istnieją. Kiedy człowiek ich szuka, to ich nie znajduje, ale one istnieją. W końcu wszedłem do oranżerii. Siostry stały przed trumnami, zajęte układaniem szarf przy wieńcach, tak aby można było przeczytać wydrukowane na nich napisy.

Gauleiterzy już przysłali wieńce. Gdybym mógł, otworzyłbym wieko

trumny, w której leży moja matka, ale naturalnie nie mogłem, przychodził mi jednak do głowy taki pomysł, raz po raz świtała mi w głowie myśl, by zajrzeć do trumny, w której spoczywa matka, przy czym słowo spoczywa wydało mi się groteskowe. Ojciec miał teraz całkiem zapadniętą, szarą twarz pokrytą mnóstwem żółtych plam, których nie zauważyłem, gdy byłem pierwszy raz w oranżerii. Johannes zmienił się nie do poznania. Jego twarz wydawała się obca, odrażająca. Ogrodnicy ułożyli pod czarnymi całunami warstwy bloków lodu, by powstrzymać proces rozkładu, już wyraźnie widoczny i zaawansowany, gdyż pora roku była niekorzystna dla zwłok. Bloki lodu przywieziono z browaru Grieskirchen, pomyślałem. Trumny musiały być drogie, prawdopodobnie najdroższe, pomyślałem. Ale przynajmniej nie mają ozdób. Drewno, nic poza tym. Ojcu i Johannesowi złożono ręce jak do modlitwy, co jest przyjętym zwyczajem, powiedziałem do siebie, ale we mnie widok złożonych rąk ojca i brata wzbudził jedynie wstręt. Ojca ubrano w tak zwany strój ze Steyr, taki z szerokimi lampasami, pomyślałem, taki z dużymi guzami z jelenich rogów, a brata w jego ulubiony strój myśliwski, który kupił kiedyś w Brukseli. Podeszedłem jeszcze bliżej do trumien, siostry odsunęły się na bok, nie chcąc przeszkadzać mi w takiej chwili. Pewność siebie, z jaką teraz stałem przed trumnami, musiała rozbudzić w nich niechęć, a przynajmniej je zirytować, ja jednak stwierdziłem, że nie robi to na mnie najmniejszego wrażenia. Chociaż wydawało mi się, że drzę, w moim ciele nic się nie poruszyło. Patrzyłem na leżących w trumnach, jak gdyby ani trochę mnie nie obchodzili, jakbym oglądał obcych ludzi. Ich twarze były bez wyrazu, nie mieli już nawet twarzy. Szybko gniją, pomyślałem. Należy ich co rychłej pogrzebać, w przeciwnym razie zatrują powietrze, oranżerię już wypełnia odór, odór mięsa, który jest tak wstrętnie słodkawy i którego nie znosiłem od dzieciństwa, kiedy to chodziłem z matką oglądać ludzi na katafalkach. Ludzi na katafalkach nie cierpiałem już jako dziecko, ale matka zawsze mnie z nimi konfrontowała, nie Johanna, tylko mnie zabierała ze sobą na pogrzeby, czyli do spoczywających na katafalkach, nie

znajduję wytłumaczenia, dlaczego zawsze mnie, a nie Johannesesa. Tak więc spoczywający na katafalkach już po krótkim czasie nie byli dla mnie niczym obcym, matka jednak zmuszała mnie zawsze, żebym na nich patrzył, dobrowolnie nigdy bym do nich nie podszedł, to naturalne. Teraz siostry stały za mną, słyszałem ich oddechy, ale nie wiedziałem, co myślą, myślą pewnie, że jestem człowiekiem zimnym jak głaz, nieczułym, jakim zawsze byłem dla nich, przynajmniej zawsze nazywały mnie zimnym, nieczułym. Nie umiem sam sobie odpowiedzieć, czy miały rację, czy nie. Jednak ja nie stałem przed trumnami ani zimny jak głaz, jak to się mówi, ani nieczule, wręcz przeciwnie, byłem wstrząśnięty, mógłbym tak powiedzieć, gdyby to słowo nie było w moim rozumieniu takie nikczemne, ale nie poruszałem się, moje ciało się nie poruszało. Nigdy nie życzyłem rodzicom śmierci, powiedziałem do siebie, stojąc przed ich zwłokami, ani przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że powinni umrzeć, stałem przed nimi i mówiłem sobie, że zawsze im złorzeczyłem, ba, zawsze nimi pogardzałem, nie był to brak poważania, tylko pogarda, i że miałem wszelkie powody, by nimi pogardzać, ale nigdy nie życzyłem im śmierci. Ich śmierć jest niewątpliwie straszna, pomyślałem. Co się zaś tyczy Johannesesa, straciłem przyjaciela z dzieciństwa, mimo tego jednak, że owo dzieciństwo jest już tak bardzo odległe, odległe o sporo ponad trzydzieści lat, również teraz nie mam najmniejszego powodu, by oplakiwać zmarłego Johannesesa, chętnie bym może nawet zapłakał w tej chwili, już choćby dlatego, iż stały za mną siostry, najprawdopodobniej oczekujące, że zapłaczę, rozbeczę się, jak to się mówi, że łzy trysną mi z oczu, jak to się mówi, ale nie zapłakałem, nie rozbeczałem się, całkiem po prostu w ogóle się nie poruszyłem.

Podszedłem do trumny matki i, nie wiem dlaczego, kierując się jakimś nagłym impulsem, spróbowałem uchylić wieko, jednak nie udało mi się go podnieść, gdyż było już przyśrubowane. Kiedy odstępiałem od tej próby, poczułem, jaką grozę musiało to wywołać w moich siostrach, odwróciłem się więc w ich stronę i spojrzałem, całkiem dla nich niespodziewanie, bo celowo tak

*szybko się odwróciłem, w ich zgorzkniałe, ba, przerażone twarze. Nie mogłem już dłużej wystać przed trumnami, odwróciłem się więc i wyszedłem z oranżerii. Jednego z ogrodników zapytałem, dlaczego trumna z matką jest zaśrubowana. W odpowiedzi usłyszałem, że zakład pogrzebowy przywiózł już taką zaśrubowaną trumnę do Wolfsegg, dwie pozostałe nie były zamknięte, tylko ta z matką. Tak, naturalnie, powiedziałem do ogrodnika, oczywiście. Okaleczoną, bezgłową, włożyli ją od razu, niezwłocznie do trumny, którą następnie zaśrubowali, pomyślałem.*

*Żeby nikt nie wpadł na pomysł oglądania okaleczonej. Ale ja mam taki pomysł, powiedziałem do siebie.*

*Mimo to oczywiście nie każe otwierać trumny, pomyślałem. Naraz wpadłem na pomysł, by kazać jeszcze raz otworzyć trumnę, i już zastanawiałem się nad sposobem, w jaki powinienem wydać stosowne polecenie, potem jednak znowu zabroniłem sobie choćby najmniejszej myśli o otwarciu trumny, o pokazaniu okaleczonej, co byłoby okrucieństwem, nie mogłem jednak uwolnić się od myśli, żeby jeszcze raz kazać otworzyć trumnę ogrodnikom, pomyślałem, gdy siostry nie będą tego widziały: nie mogłem pozbyć się myśli o ewentualnym otwarciu trumny z matką i długo przechadzałem się przed oranżerią z tą myślą, podczas gdy siostry zostały w środku. Musiałem poniechać tej myśli, spróbowałem więc oderwać się od niej w taki sposób, że kiwnąłem na ogrodnika i spytałem, czy bloki lodu pod zmarłymi wytrzymają do następnego rana, pogrzeb był wyznaczony na godzinę dziesiątą, choć zazwyczaj pogrzeby odbywały się o jedenastej, kiedy jednak chowano któregoś z naszych, wyznaczano je zawsze na dziesiątą. Bloków lodu wystarczy na cztery następne dni, powiedział ogrodnik. Był zaskoczony, słysząc w moich ustach swoje nazwisko, ludzie sądzą, że skoro nie ma nas parę lat, to zapominamy ich nazwisk, ale ja zawsze miałem dobrą pamięć do nazwisk, oczywiście nazwisko ogrodnika było mi znane, również nazwiska wszystkich innych. Wdając się z ogrodnikiem w tę rozmowę, dotyczącą bloków lodu, starałem się w ten sposób*



oderwać od potwornej myśli, by otworzyć trumnę z matką, naturalnie jednak nie udało mi się to w tak krótkim czasie, wciągnąłem więc ogrodnika, zajętego czyszczeniem wyźwirowanej ziemi przed oranżerią, w rozmowę, powiedziałem, że pewnie jeszcze pamięta, jakeśmy razem chodzili do szkoły, co on potwierdził. Wymieniłem nazwiska kilku kolegów szkolnych, wszystkie te nazwiska potrafił od razu powiązać z odpowiednimi osobami, przypomniałem ogrodnikowi o przyjemnych zdarzeniach, a także o tak zwanych psikusach szkolnych, na myśl o których nie mógł w pewnym momencie powstrzymać się od śmiechu, natychmiast jednak zamilkł, spostrzegłszy moje siostry, które, nieświadome, że stojąc przed oranżerią, rozmawiam z ogrodnikiem, właśnie z niej wyszły. Kiedy tak, niezależnie od tego, że siostry stały teraz obok mnie, dalej wciągałem ogrodnika w rozmowę na temat wspólnych czasów szkolnych, z dużą, jak mi się zdawało, determinacją i jedynie w tym celu, by uwolnić się od myśli o otwarciu trumny z matką, byłem jednak coraz bardziej i bardziej, jak to się mówi, owładnięty tą myślą, przede wszystkim pomyślałem, że mimo wszystko należy sprawdzić, co naprawdę jest w tej trumnie, sprawdzić, czy rzeczywiście chowamy w niej naszą matkę, by tak rzec, całą, a nie tylko jej części; pytając ogrodnika, ile może ważyć taki blok lodu, myślałem w gruncie rzeczy nieustannie tylko o tym, że przecież istnieje taka możliwość, iż w trumnie, w której, by tak rzec, spodziewam się całej matki, w rzeczywistości spoczywa niecała, ale naturalnie nie odważyłem się wypowiedzieć tej myśli, nawet przed samym sobą. Siostry stały z boku i nie brały udziału w rozmowie z ogrodnikiem, one nigdy nie rozmawiały z ogrodnikami o sprawach prywatnych, nigdy też nie interesowały się ogrodnikami, ich warunkami życia, nigdy nawet nie zapamiętały ani jednego z ich nazwisk, ani jednego, jak sądzę, nazwiska osób służących w Wolfsegg, nigdy by im przez myśl nie przeszło rozmawiać z ogrodnikami o czymś innym poza sprawami służbowymi, więc już choćby z tego powodu przedłużałem rozmowę z ogrodnikiem, zapytałem go, myśląc oczywiście o siostrach, ale równocześnie całkowicie je ignorując, kiedy zmarł jego ojciec,

który kiedyś, przed laty, gdy miałem pięć lub sześć lat, wyciął mi fujarkę a leszczyny. Dwa lata temu, powiedział ogrodnik, w gruncie rzeczy nie interesowało mnie wcale, kiedy zmarł ojciec ogrodnika, to pytanie było tylko jedną z metod na oderwanie się od potwornej myśli dotyczącej trumny matki, a równocześnie na odwrócenie się do sióstr plecami, ukaranie ich za coś, o czym w tej chwili w ogóle nie wiedziałem, co by to mogło być. Przez cały czas rozmawiałem z ogrodnikiem, ale myśl o otwarciu trumny nie chciała mi wyjść z głowy, ignorowałem siostry, a ogrodnika coraz głębiej wciągałem w rozmowę, powiedziałem do niego, że to bardzo zdumiewające, pracować tyle lat w Wolfsegg, we wcale niełatwych warunkach, powiedziałem do ogrodnika, dobrze wiedząc, iż te słowa dotarły również do stojących z boku sióstr. Warunki w Wolfsegg były zawsze niezwykle trudne, powiedziałem, nie wyjaśniając tego bliżej, zresztą nie musiałem tego robić, gdyż ton, jakim powiedziałem, że warunki w Wolfsegg były zawsze trudne, mówił wszakże wszystko, co się tyczyło owych warunków w Wolfsegg, o czym chciałem powiedzieć, ogrodnik zresztą od razu zrozumiał, co miałem na myśli, czyli że państwo zawsze wszystko utrudniali od kilkudziesięciu lat, ba, od wieków. Z drugiej strony, powiedziałem, dobrze jest przecież dla nas, a miałem tu na myśli całą swoją rodzinę, ogólnie rzecz biorąc, mieć takich świetnych robotników jak on. Siostry przysłuchiwały mi się z ogromnym zainteresowaniem. Ustawily się tak, żeby nie musiały spoglądać ani na mnie, ani na ogrodnika, a więc odwróciły się do mnie i do ogrodnika plecami, Caecilia wbiła czubek buta w ziemię obok drogi, co było jej zwyczajem już od dzieciństwa, rozmawiała z Amalią o czymś, czego nie mogłem zrozumieć, ale był to tylko pretekst, gdyż obie skupiły całą uwagę na treści mojej rozmowy z ogrodnikiem, tak więc przez jakiś czas wszyscy troje wygrywaliśmy własne preteksty, żeby wzajemnie siebie szpiegować i podsłuchiwać, podobnie jak ja w tym momencie koniec końców wykorzystywałem tego ogrodnika dla własnych celów, gdyż miał mnie przecież tylko oderwać od okrutnej myśli o trumnie z matką, tak samo one wykorzystywały się wzajemnie, żeby móc mnie szpiegować.

*Zostawiłem ogrodnika i przyłączyłem się do siostr w nadziei, że będą potrafiły odwieść mnie od mojej potwornej myśli, uciszyć we mnie tę niestosowną myśl, że rozerwie mnie ich mniej lub bardziej nieprzerwana gadatliwość, wywołana prawdopodobnie całą tą nieszczęsną sytuacją. Poprosiłem siostry, by przeszły ze mną do dziecięcej willi po drugiej stronie. Sam nie wiedziałem, dlaczego im to zaproponowałem. Wszyscy troje poszliśmy na drugą stronę do dziecięcej willi. Po drodze pomyślałem, że Schermaier nigdy nie opowiadał o swoim zamknięciu w zakładach karnych, więzieniach ani w holenderskim obozie koncentracyjnym i że skoro on o tym nie mówi, ja kiedyś o tym napiszę, w zaplanowanym Wymazywaniu, pomyślałem, napiszę o Schermaierze, o wyrządzonej mu krzywdzie, o dokonanych na nim zbrodniach. Schermaierowa zawsze tylko płakała, wspominając te tak bardzo nieszczęśliwe i gorzkie dla nich obojga czasy, ale sama nigdy nie mówiła, czemu płacze. I dlatego jest moim obowiązkiem opowiedzieć w Wymazywaniu o Schermaierach i zwrócić na nich uwagę niejako w zastępstwie tych wszystkich, którzy nie opowiadają o swoich cierpieniach z okresu narodowosocjalistycznego, tylko od czasu do czasu ośmielają się z tego powodu zapłakać, o Schermaierowej, którą zarówno narodowosocjalistyczne myślenie, jak i działanie mają na sumieniu, wszystkie te narodowosocjalistyczne zbrodnie, dzisiaj pomijane milczeniem i przez kilkadziesiąt lat gruntownie wypierane ze świadomości. O Schermaierze napiszę tylko tyle, że narodowosocjalistyczne społeczeństwo przypisywało sobie prawo do tego, aby absolutnie bezkarnie go zniszczyć, wręcz unicestwić na całe życie. W drodze do dziecięcej willi przyrzekłem sobie, że w Wymazywaniu zwrócę Schermaierowi, co mu należne - jeśli nie wręcz odebrane przez to społeczeństwo prawa, to przynajmniej, na swój sposób, zwrócę na niego uwagę. Wymazywanie, jeśli kiedykolwiek będę w stanie przelać to wszystko na papier, da mi po temu najlepszą sposobność, pomyślałem. Wspomnienie o Schermaierze pozwoliło mi zapomnieć o potworności otwarcia trumny z matką, przy dziecięcej willi powiedziałem do otwierających ją siostr, że Schermaierowie, których one*

*też dobrze znają, nie chcą mi wyjść z głowy, że właśnie na nich, których nie waham się nazwać najlepszymi ludźmi, jakich znam, narodowy socjalizm wylądował całą swoją potworność, upiorność Najlepszy przyjaciel szkolny na niego doniósł, powiedziałem, gdy Caecilia otwierała dziecięcą willę, w najpodlejszy sposób go zadenuncjował, wsadził do obozu koncentracyjnego, nie mogę o tym zapomnieć, w Rzymie bardzo często leżę na łóżku, rozmyślając o tym, że nasz naród dopuścił się tysięcy, ba, dziesiątków tysięcy takich podłych zbrodni i do tej pory pokrywa je milczeniem. Milczenie naszego narodu o tych tysiącach i dziesiątkach tysięcy zbrodni jest największą ze wszystkich zbrodni, powiedziałem do sióstr. Milczenie tego narodu jest niesamowite, powiedziałem. Milczenie tego narodu jest straszne, owo milczenie jest jeszcze straszniejsze niż same zbrodnie, powiedziałem. I pomyśleć, że ja muszę przyjąć tych morderców, powiedziałem. Wzdragam się przed podaniem im ręki, powiedziałem. Nie mogę ich wykluczyć z udziału w pogrzebie, powiedziałem, ale ręki im nie podam. Wtedy bowiem również ja popełniłbym zbrodnię. Właśnie w dziecięcej willi, w moim ukochanym budynku z dzieciństwa, rodzice ukrywali tych podłych zbrodniarzy, zapewnili im nawet luksusowe życie, właśnie w czasie największej biedy. I nigdy się tego nie wstydzili, powiedziałem.*

*Wręcz przeciwnie, jeszcze się tą niegodziwością chęlpili, powiedziałem. Siostry przez cały czas nie odzywały się ani słowem. Rodzice dopuścili się winy, powiedziałem, udzielając tym podłym ludziom schronienia i ukrywając ich, zbrodniarzy, którzy powinni byli stanąć przed sądem i zostać skazani.*

*Naturalnie na karę śmierci, powiedziałem. Co musi się dziać w duszach takich ludzi jak Schermaierowie, powiedziałem, kiedy widzą, jak traktuje się ich morderców, kiedy widzą, że ci tysiąckrotni mordercy chodzą na wolności i na domiar złego mogą wieść podłe, nikczemne życie w luksusie, podczas gdy oni sami, Schermaierowie, muszą odgrywać rolę zapomnianych, do tego jeszcze rolę zapomnianych w najżałośniejszy sposób. To państwo jest jak moja rodzina, wręcz stworzona do narodowosocjalistycznych zbrodni. A Kościół katolicki,*

*dodałem jeszcze, też nie jest lepszy. Zawsze działa tylko na własną korzyść, milczy tam, gdzie należałoby mówić, powiedziałem, a czując zagrożenie, okopuje się za nadużywanym od tysięcy lat Jezusem Chrystusem. Zgrozą przejmują mnie ci ludzie, powiedziałem, którzy, spuściwszy głowy, będą kroczyć za trumnami, przez nikogo nie nagabywani, wręcz przeciwnie, pójdą w kondukcje jako szacowni przedstawiciele naszego społeczeństwa. Ja, powiedziałem, będę schodził z drogi wszystkim tym ludziom, których zawsze nienawidziłem, będę im schodził z drogi na swój sposób, nie pozwolę im się do siebie zbliżyć, ja nie jestem ojcem, nie jestem matką, powiedziałem. Dziecięca willa była prawie zupełnie wyprzątana. Pomyślałem, gdzie się podziały te piękne obrazy, które jeszcze w ubiegłym roku widziałem tutaj w sieni, z lewej i prawej strony, na ścianach pokoiów na parterze. Obrazy, namalowane przez dawnych przodków, matka sprzedała handlarzowi antyków z Wels, jak od razu stwierdziłem, sprzedała za bezcen. Brak zrozumienia ze strony mojej matki zwłaszcza dla wyjątkowych dzieł sztuki zawsze przepelniał mnie goryczą. Ojciec w ogóle nie cenił obrazów, albo tylko wtedy, gdy mu wiadano, że są niezwykle cenne, jedynie to robiło wrażenie również na matce, nic poza tym. Oboje kompletnie się nie znali na dziełach sztuki. Tak więc ściany na parterze dziecięcej willi były teraz nagle zimne i odpychające, mimo iż, jak pomyślałem, jeszcze rok wcześniej tak bardzo przyciągały wzrok. Ale przez fakt, że długi czas mieszkali tutaj dwaj ludobójcy, dziecięca willa jest w każdym razie spodlona, a nawet stała się nie do zniesienia, pomyślałem. Z drugiej strony przecież dopiero co pomyślałem o tym, żeby kazać urządzić dziecięcą willę, i ta myśl stała się nagle lepsza, naraz pokochałem tę myśl, powiedziałem do sióstr, wszystko jedno, co tu się działo, jako pierwszy budynek każę odnowić dziecięcą willę, od podstaw, ma być z powrotem taka, jaka była przed spodleniem. Dziecięca willa to najpiękniejsza ze wszystkich budowli w Wolfsegg, powiedziałem. A lato jest najlepszą porą na jej odrestaurowanie.*

*Pieniądze z Wolfsegg powinny pójść do ludzi, powiedziałem, szaleństwem*

*jest, aby pleśniały w bankach.*

*Siostry mnie nie zrozumiały. W każdym razie trzeba tu wywietrzyć, powiedziałem do sióstr, powiedziałem, żeby pootwierały wraz ze mną wszystkie okna dziecięcej willi, w dziecięcej willi panuje straszny zaduch, powiedziałem, i podczas gdy siostry, ponieważ był taki ciepły, piękny dzień, otwierały jedno po drugim okna dziecięcej willi, najpierw w pokojach na dole, później stopniowo również w pokojach na górze, przy czym działaliśmy w całkowitym milczeniu i również Caecilia z Amalią rozmawiały podczas tego otwierania okien całkiem niesłyszalnie, pomyślałem, że dopiero trzy lub cztery dni temu dobrze opisałem dziecięcą willę Gambettiemu, na co miałem dowód przy okazji otwierania okien, gdyż pokoje są rzeczywiście tak duże, jak je opisałem Gambettiemu, te wysokie okna, akurat tak zwana dziecięca willa ma tak wysokie okna jak poza tym jeszcze tylko nasz główny budynek, nie ma takich ani w domku myśliwskim, ani też w pawilonie ogrodowym, a na sufitach znajdują się dokładnie takie stiuki, jak usiłowałem je opisać Gambettiemu, same sceny z klasycznych sztuk, na przykład z Natana Lessinga, Zbójców czy Prafausta. Nikt już nie potrafi powiedzieć, kto te stiuki wykonał, myślę jednak, że byli to owi liczni w ubiegłym stuleciu tak zwani wędrowni artyści, którzy często osiedlali się w jednym miejscu na kilka miesięcy lub nawet lat jedynie za dobre jedzenie i parę butów, aby tworzyć takie dzieła sztuki. Ogromne rysy przecinają te stiuki, najwyższy zatem czas je odnowić, pomyślałem. Siostry nie mają pojęcia o treściach wyrażonych na tych stiukach, bo gdy powiedziałem: z Natana, one, co natychmiast spostrzegłem, w ogóle nie wiedziały, o czym mówię, Prafausta wprawdzie znają, nie przypominają sobie jednak żadnej tego rodzaju sceny, jak ta odwzorowana na plafonie, o Zbójcach oczywiście słyszały, podobnie jak ja, w szkole, ale treści sztuki zapomniały, zachował im się w pamięci jedynie tytuł, nic poza tym, i że chodzi o coś klasycznego. Usiłowałem udzielić im wskazówki co do Zbójców, ale zaraz zrezygnowałem z wyjaśniania czegokolwiek, widziałem bowiem absolutną daremność swoich wysiłków. Gambettiemu, jak teraz*

zobaczyłem, przekazałem dość dokładny obraz tych stiuków, on przysłuchiwał mi się uważnie i bardzo długo. Wpływ szkoły rzymskiej na tę anonimową sztukę, powiedziałem do Gambettiego, jest niezaprzeczalny, w ogóle we wszystkich sztukateriach na północ Alp, powiedziałem do Gambettiego, natychmiast można rozpoznać wpływ Włoch, Włosi zawsze byli najlepszymi sztukatorami, powiedziałem do Gambettiego, przypomniałem sobie teraz wszystko, co powiedziałem Gambettiemu stiukach z dziecięcej willi. Raz dokładnie obejrzone obrazy, również stiuki, czego teraz mam dowód, pomyślałem, potrafię zapamiętać niezwykle precyzyjnie, ze wszystkimi szczegółami, przez lata i dziesięciolecia, a przy okazji przekazać to później również ustnie, tak że jest to autentyczne, oddany przeze mnie obraz pokrywa się dokładnie z raz widzianym. Wystarczy, że raz jedyny zobaczę i równocześnie przestudiuję jakiś obraz lub stiuk, jak te z dziecięcej willi, a potrafię zachować go w pamięci precyzyjnie przez lata, co teraz widzę, przez dziesięciolecia. Siostrze nic nie powiedziała moja uwaga, że właśnie zrobiłem interesujące odkrycie, mianowicie iż posiadam umiejętność doskonałego zachowania w głowie raz obejrzanych obrazów, co umożliwia mi kilkadziesiąt lat później złożenie relacji, by tak rzec, wygłoszenie kilkadziesiąt lat później prelekcji, po pierwsze bowiem siostry nie nadążały za moimi myślami, po drugie zaś nie znały Gambettiego, przy różnych okazjach tylko mimochodem ode mnie o nim słyszały, a ponieważ w akcie sprzeciwu wobec mnie nie interesowały się w mniejszym lub większym stopniu niczym, co rzymskie, co ja naturalnie zawsze kochałem i co zawsze mnie fascynowało, kiedy jeszcze w ogóle nie znałem Włoch ani Rzymu, wcale mnie nie rozumiały, ja natomiast myślałem, że całkiem świadomie mnie nie rozumieją, że uczyniły sobie z tego zasadę, nabrały dożgonnego nawyku nierozumienia mnie, nie chciały i nie tolerowały tego, nie chcą i nie tolerują tego jeszcze dziś. Dziecięca willa w Wolfsegg zawsze oznaczała dla mnie prawie wszystko, dla nich w mniejszym lub większym stopniu nic. Tak więc było im też dość obojętne, co wcześniej opowiedziałem o dziecięcej willi w kontekście dwu

*tak zwanych gauleiterów, uznali, że moje opowiadanie jest skierowane przeciw rodzinie, a zwłaszcza przeciw naszym rodzicom, wydało im się też szczególnie obrzydliwe, że właśnie teraz, kiedy nie minęły nawet dwa dni od śmierci rodziców, co chwila ich oskarżam; nie to, że cierpię, widząc ponownie dziecięcą willę, moją najukochańszą budowlę w Wolfsegg, moją najukochańszą architekturę, całkowicie skalaną przez narodowosocjalistycznych gauleiterów, taka myśl jest im w ogóle obca, ba, niewyobrażalna. Kiedyśmy otworzyli wszystkie okna dziecięcej willi i rzeczywiście wpłynęło do środka upragnione świeże powietrze, powiedziałem do sióstr, że teraz każę zostawić okna otwarte przez kilka dni, żeby przez te kilka dni swobodnie mogło wpływać do dziecięcej willi świeże powietrze.*

*Były wyczerpane tą zleconą im przeze mnie, absurdalną, jak zapewne sądziły, czynnością, toteż usiadły na poddaszu, w najbardziej na lewo położonym pokoju, obok siebie, na ławie obitej zielonym aksamitem.*

*Nagle znowu miały takie same szydercze spojrzenia jak na fotografii, którą trzymam w biurku swojego rzymskiego mieszkania na Piazza Minerva, teraz, w jasnym świetle popołudnia, ukazały mi na chwilę owe szydercze spojrzenia, a potem odwróciły wzrok i zaczęły wyglądać przez okno, patrząc ponad wsią na góry. Niewolniczo zwróciły równocześnie głowy ku góróm, jak gdyby dwie przykute do siebie lalki odwróciły się w kierunku szczytów w oddali, pomyślałem. Teraz mógłbym wydać im dowolny rozkaz, pomyślałem, a one by ten rozkaz wykonały. Miałem je w garści. Nie odczuwałem tego jednak jako triumfu, lecz jako nieznośne obciążenie. Zwały się na mnie, pomyślałem naraz. Jeszcze ci się one dadzą we znaki, jak to się mówi. A jak nadejdzie burza? spytała Amalia. Co znaczy burza? odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Jeśli nadejdzie burza i wybije wszystkie okna? odparła na to Amalia. Nie nadejdzie żadna burza, powiedziałem, od wielu dni nic nie zapowiada burzy. Miałem ogromną ochotę, teraz, w chwili gdy siostry takie wyczerpane siedziały na ławce w dziecięcej willi, wygłosić prelekcję, opowiedzieć im coś rzymskiego, by tak*



rzec, coś gorszącego, żeby móc z nimi wytrzymać, odnosiłem bowiem wrażenie, iż dłużej już z nimi nie wytrzymam, po chwili jednak zarzuciłem ten pomysł, to nic nie da, powiedziałem do siebie, jeszcze tylko pogorszę sytuację. Przede wszystkim spojrzałem na Caecilię, która, jak się zdawało, zapomniała o swoim fabrykancie kapsli do wina. Gdyby nasz szwagier nie był taki ociężały, powiedziałem. Nie doczekałem się od Caecilii żadnej odpowiedzi. Amalia zaś zachowywała się tak, jakby w ogóle nie usłyszała mojej uwagi. Podłość ma granice, powiedziałem, mając na myśli, że nienawiść do człowieka, myślałem tu o naszej matce, nie powinna posuwać się aż tak daleko, iż poślubia się głupca tylko dlatego, żeby ukarać znenawidzonego człowieka, tego naturalnie nie powiedziałem, tylko sobie tak pomyślałem. Wypowiedziałem jednak takie oto zdanie: musisz zająć się swoim mężem, nie może być tak, że zostawiasz go całkiem samego w najprawdziwszym sensie tego słowa. Od kiedy tu jestem, on w mniejszym lub większym stopniu sterczy w parku i tylko irytuje ludzi. Caecilia wstała, wyszła z pokoju, zeszła na dół i przemaszerowała przez całą sień na dwór, ja i Amalia, którzyśmy również wstali, widzieliśmy ją oddalającą się od dziecięcej willi, uciekła nam, pomyślałem, głupia gęś, która spaprała sobie całe życie. Głupia gęś, chciałem powiedzieć w myśli, ale powiedziałem to wystarczająco głośno, tak że Amalia musiała usłyszeć. Nie rozumiem, dlaczego rodzice dali ci na chrzcie imię Amalia, a Caecilii Caecilia? spytałem Amalię. Katolicko-narodowosocjalistyczni romantycy, pomyślałem. Zaraz potem opuściliśmy z Amalią dziecięcą willę i udaliśmy się na drugą stronę do oranżerii, gdzie stał szwagier, uosobienie beczynności, pomyślałem na jego widok. Fabrykant kapsli do wina poczuł się nieswojo, że ktoś przyłapał go na tej uosobionej beczynności i że to byłem właśnie ja. Teraz jednak musisz z nim porozmawiać, pomyślałem, po czym ruszyłem prosto w jego stronę; jak okiem sięgnąć nie widać Caecilii, pomyślałem, również Amalia gdzieś zniknęła, stoi więc tam, istotnie opuszczony przez wszystkich, i nie wie, gdzie jest jego miejsce, ale na pewno nie tu w Wolfsegg, pomyślałem. Zaproponowałem, żeby poszedł ze

mną do głównego budynku, mam ochotę coś zjeść, powiedziałem, w kuchni z pewnością coś znajdziemy, powiedziałem, a koleżeński, by tak rzec, sposób, w jaki wygłosiłem te zdania, samego mnie zdumiał. Tak jednak nie chciałem tego powiedzieć, pomyślałem, ale było to tak powiedziane, fabrykant kapsli do wina szedł u mojego boku, na pewien czas wyratowałem go z jego nieznośnego stanu, pomyślałem, jeśli o mnie chodzi. Przez chwilę było mi go nawet żal, jak to się mówi, ale bardzo krótko, albowiem już po kilku krokach znowu wydał mi się natrętem, jak ci ludzie w ogóle się zachowują, pomyślałem, oni w ogóle się nie zachowują, oni całkiem po prostu nad sobą nie panują. W kuchni nie było nikogo, znalazłem dla siebie i fabrykanta kapsli do wina coś do jedzenia, a w wypełnionej po brzegi lodówce odkryłem same smakołyki. Z jednej strony pogardzamy ludźmi, powiedziałem do siebie, siedząc naprzeciw fabrykanta kapsli do wina, z drugiej natomiast zazdrościmy im tej beztroski, tej oczywistości, jakiej w ogóle nie starają się ukryć, na przykład kiedy jedzą, nie mogą się przy tym powstrzymać, najpierw tylko trochę zwlekają, a potem naraz bez cienia wstydu, w mniejszym lub większym stopniu wchłaniają w siebie wszystko, cośmy przed nimi postawili. Te grube, mięsiste palce znowu obudziły we mnie niechęć, na mały palec prawej ręki wciśnięty sygnet, którego fabrykant kapsli do wina prawdopodobnie nie może już zdjąć, choćby nawet chciał, pomyślałem. Skrzyżował nogi pod stołem i oparł się brzuchem o blat, jego guziki przy mankietach są jeszcze większe niż sygnet, pomyślałem, i wraz z nim stanowią całość. Szwagier czekał na to, że coś do niego powiem, wydawało mi się, iż wręcz na to czyha, ale ja nie miałem ochoty podejmować rozmowy z fabrykantem kapsli do wina; pomyślałem, że powiedziałem Zacchiemu, iż za trzy, cztery dni wrócę do Rzymu, czego chyba jednak nie da się zrobić, jak pomyślałem, będę musiał zostać w Wolfsegg tydzień, może dłużej, już teraz widzę, że tydzień z pewnością nie wystarczy. Albowiem wszystkie uciążliwości zaczną się dopiero po pogrzebie, powiedziałem do siebie, będę musiał pójść do kancelarii adwokackich, do najrozmaitszych urzędów, takich jak starostwo

*etcetera. W gruncie rzeczy dopiero teraz zobaczyłem wierzchołek góry lodowej, czyli tego wypadku. To jednak osobliwe, powiedziałem do szwagra, zobaczycie ojca i brata złożonych na katafalku, a matki nie. Z drugiej strony, powiedziałem, te twarze w trumnie na katafalku nie mają już nic wspólnego z rzeczywistymi, to obce twarze, które mnie w ogóle nie obchodzą, powiedziałem. Jak najszybciej muszą znaleźć się pod ziemią. Ledwo poznał teściów i szwagra, powiedziałem, a ci już nie żyją, i w tej samej chwili zobaczyłem słowa padli ofiarą w gazecie, leżącej przede mną na stosie innych, który tymczasem powiększył się o kilka tytułów, słowa padli ofiarą były równie komiczne jak wszystko, co pisały te dzienniki. Czy czytał już gazety informujące o naszym nieszczęściu, spytałem szwagra, który, chociaż ja dawno przestałem jeść, nadal wsuwał do ust duże kęsy chleba z kielbasą, szwagier jednak potrząsnął przecząco głową, odmawiając bodaj zerknięcia do gazet, nie może zrobić tego przede mną, myślał, że nie może sobie na to pozwolić, gdyby teraz przede mną zaczął oglądać gazety z relacjami z wypadku, poczytałbym mu to za niewybaczalny brak dobrego wychowania, więc potrząsając głową, odrzucił nawet moją propozycję, żeby dowiedział się czegoś więcej o naszym nieszczęściu, o dokładnym przebiegu wypadku, właśnie na tym skrzyżowaniu zdarzyło się już tyle śmiertelnych wypadków, powiedziałem całkiem w stylu gazetowym, ani nie cechuje go zła widoczność, ani nie jest uważane za szczególnie niebezpieczne, a raz po raz zdarza się tam tyle wypadków, przeważnie śmiertelnych, powiedziałem, szwagier, połykając kęsy chleba z kielbasą, odgrywał moralizatora, raz wyżej, raz niżej podciągał skrzyżowane nogi, to znowu cofał ręce, wysunięte zbyt daleko na blat stołu, ciągle bacząc na to, żeby guzikami przy mankietach nie dotknąć talerza, czyli przygotowanych przeze mnie kanapek z kielbasą, jak mógłbym w ogóle wpaść na taki pomysł, zdawał się sugerować, jedząc pełnymi ustami chleb z kielbasą, że miałby czelność w mojej obecności albo w ogóle teraz, w tych najsmutniejszych ze wszystkich rodzinnych godzin, czytać te niesmaczne gazety z ich potwornymi relacjami, pogardliwie rzucił*

okiem na strony tytułowe ze zdjęciami zmarłych, jak spostrzegłem, z jednej strony pogardliwie, z drugiej zaś z rozczarowaniem, że nie może od razu przyjrzeć się im bez zahamowań, ponieważ ja tu jestem, ale udawał przede mną, że nigdy by tego nie zrobił, skoro nawet ja mogłem to zrobić swobodnie, jak pomyślałem, raz po raz rzucił na nie wzrokiem, przeżuując kęsy chleba z kielbasą, przede wszystkim wtedy, gdy sądził, że go nie obserwuję, rzucił wzrokiem na owe niewątpliwie interesujące gazety, które prawdopodobnie, gdyby teraz był sam, natychmiast by otworzył, przejrzał je z najwyższym bezwstydem i przeczytał, a tak uniemożliwiał mu to ktoś, o kim musiał sądzić, że nigdy nie mógłby bodaj pomyśleć o czymś tak bezwstydnym, a cóż dopiero to zrobić, podczas gdy ja myślałem, że przecież już dawno popełniłem ten bezwstydną czyn. To nie teraz szwagra było tak odrażająco obłudne, jakbym ja sam to powiedział, gdyż równie dobrze ja sam mogłem być powiedzieć to w tym momencie, triumfowałem, bo on to powiedział, a nie ja, ja stałem tam jako ten przyzwoity, opanowany, on zaś dopiero musiał wejść na scenę z tym swoim bezdennie obłudnym nie teraz, które, ledwo je wypowiedział, jemu samemu musiało wydać się bezdennie obłudne, gdyż taki głupi przecież ten facet nie jest, pomyślałem, żeby się od razu nie zorientował, czym w rzeczywistości jest to jego nie teraz, i koniec końców stało się dla niego z pewnością również od razu jasne, jak na mnie podziałało to, że przejrzałem jego obłudne nie teraz, które przeszło mu przez usta już w dość zatuszowanej formie, tracąc wszelką moc przekonywania w drodze z głowy na zewnątrz. Teraz, ponieważ szwagier stał jako człowiek przejrzany na wylot, obłudnik w głęboko smutnej, rzeczywiście i dosłownie śmiertelnie poważnej sytuacji, mogłem posunąć się o krok dalej i okazać wspaniałomyślność, podsuwając mu gazety ponad nie do końca jeszcze opróżnionym przezeń talerzem kanapek z kielbasą i proponując, aby jednak zerknął do gazet i wyrobił sobie zdanie o tym, jak prasa widzi ten wypadek. Niech spokojnie zerknie, powiedziałem, odchylając się do tyłu, tak jakbym nie chciał przeszkadzać mu w lekturze, i wtedy przemknęła mi przez myśl uwaga,

którą kiedyś zrobił na mój temat Zacchi, że jestem wyrafinowanym zamazywaczem swoich własnych okropieństw, bezgranicznym. Nawet jeszcze teraz bawiło mnie to, co wówczas powiedział o mnie Zacchi, było to w *Ancora verde in Trastevere*, poszliśmy tam razem z Marią, by omówić zaplanowaną wycieczkę do Castel Gandolfo i równocześnie *Słowa Sartrea*, któreśmy czytali, wszyscy troje w tym samym czasie, choć naprawdę nikt z nas trojga nic o tej równoczesności nie wiedział. Do późna w noc omawialiśmy wówczas *Słowa*, tak dokładnie, jak nigdy wcześniej nie robiliśmy tego z żadną książką. Fabrykant kapsli do wina kartkował teraz gazety, przeżuwał ostatnie kęsy chleba z kielbasą, najpierw otworzył stronę ze zdjęciami, później stronę bez zdjęć, a tymczasem tak wyciągnął przed siebie nogi, jak to jest, ogólnie rzecz biorąc, charakterystyczne dla czytelnika gazety, rzeczywiście rozsiadł się wygodnie z tym nieszczęściem i żerującymi na nim pasożytami, pomyślałem. Na twarzy szwagra nie było widać najmniejszych skrupułów, był już dalekowidzem i źle widział z bliska, unika jednak, jak wtedy pomyślałem, noszenia okularów, gazety trzyma tak daleko przed sobą i akurat pod światło padające od okna, żeby móc wchłonąć w siebie wszystko, w gruncie rzeczy od dawna powinien nosić okulary, tak zwane okulary do czytania, pomyślałem, podobne do tych, jakie ja mam już od lat, ale tacy ludzie z próżności nie chcą nosić okularów, powiem Caecilii, żeby jej mąż jak najszybciej sprawił sobie okulary do czytania, i nie przemilczę, że w mojej obecności przeczytał o wypadku w gazetach leżących na kuchennym stole, uważnie jakby nigdy nic i w ogóle bez zażenowania, powiem do Caecilii, pomyślałem, jakby tu chodziło o jakiś rarytas, podczas gdy równocześnie, siedząc ze mną przy stole, pałaszował kanapki z kielbasą, zjadł trzy lub cztery, już nie potrafię powiedzieć tego dokładnie. Obejrzenie nawet największych zdjęć z tej nocy grozy, powiem, pomyślałem, sprawiało twojemu mężowi trudność, na szczęście siedział przy oknie, tak że światło padało na daną stronę pod właściwym kątem. Obserwowałem teraz szwagra i rozmyślałem nad tym, jak w obecności jego żony, a mojej siostry, wykorzystam tę scenę przeciw

*niemu, i ten plan wprowadził mnie w zachwyt, wyobraziłem sobie absolutnie teatralną scenę: podchodzę do siostry i opowiadam o żądzy czytania gazet przez jej męża, powiadamiam ją o tym, że wbrew jej zapewnieniom i całkowicie zgodnie z moimi przypuszczeniami mamy jednak w przypadku fabrykanta kapsli do wina do czynienia z dość pozbawionym gustu człowiekiem. Twój mąż siedział bez skrępowania naprzeciw mnie, słyszałem siebie mówiącego do Caecilii, ale czytał gazety i nawet nie rzucił na mnie okiem, a chociaż miałem z nim do omówienia coś ważnego, wcale nie słuchał tego, co mówię.*

*Istotnie jestem zdolny do takiej podłości, czyli zafalszowania, pomyślałem, obserwując szwagra, w pełni podejrzewałem siebie o taką podłość i wręcz setki razy dopuszczałem się już takich podłości, uczyniłem sobie z nich nawet przyzwyczajenie i metodę, która weszła mi w zwyczaj, pomyślałem. Szwagier, chociaż pazerny, to przecież za moim wyraźnym pozwoleniem i nie bez, jakkolwiek zagranego, to jednak obłudnie udającego przyzwoitość wahania naprawdę przeczytał te gazety, podczas gdy ja je naturalnie tylko, jak to się mówi, przerzuciłem, siedząc kilka godzin wcześniej samotnie w kuchni, on patrzył na zdjęcia całkiem spokojnie i bez skrępowania, ja zaś tylko szybko na nie zerknąłem, mając nieustannie przerażające poczucie, że ktoś mnie przyłapie na bezczelności i faktycznym bezwstydzie, z niewątpliwą świadomością popełniania przestępstwa, podczas gdy szwagier teraz, by tak rzec, na moich wspaniałomyślnych oczach, z wypowiedzianym przeze mnie przed chwilą błogosławieństwem tolerancji, mógł sobie pozwolić na rozkoszowanie się gazetami, widziałem po nim, że sprawia mu rozkosz otwieranie ich i przeglądanie po kolei, strona za stroną. Każdy inny człowiek zamknąłby te gazety po jakimś czasie i z powrotem zwrócił się do mnie, pomyślałem, szwagier jednak do niczego takiego się nie poczuwał, on wcale o mnie nie myślał, moje pozwolenie było dla niego, jak powiedziałem do siebie, równoznaczne z nieograniczoną zgodą z mojej strony, wolał zresztą tkwić z głową w gazetach i przeżuwać kanapki z kielbasą niż wdać się ze mną w jakąkolwiek rozmowę,*

która mogła być dla niego wyłącznie nieprzyjemna, on nie tylko to czuł, on to wiedział i zasłaniał się gazetami, by uniknąć kontaktu ze mną. Jest bowiem prawdą, że nieustannie schodzi mi z drogi, pomyślałem, a nie że szuka ze mną kontaktu, jak sądziłem przez moment, gdy zobaczyłem go stojącego przed oranżerią, niepotrzebnego, ogłupiałego, stwarzał pozory, że nie wie, co ze sobą począć. Gruntownie się pomyliłem i z pewnością błędne było również moje przekonanie, iż powinienem zagadnąć tego na wskroś znudzonego człowieka przed oranżerią i zabrać ze sobą do kuchni, oddać mu się do dyspozycji. Jednak prawdę mówiąc, zabrałem go ze sobą przecież tylko po to, by wziąć go na cel, pomyślałem, nie z pobudek Filantropijnych, nie, wcale nie. Wziąłem szwagra ze sobą do kuchni jedynie w celu dalszego wybadania jego osoby, pod pozorem ugoszczenia go chciałem wyciągnąć z niego to i owo przeciw Caecilii, jego żonie, jak również przeciw niemu samemu. Ten głupiec jest przynajmniej wytwórcą głupstw i wydawcą wszelakich tajemnic, pomyślałem, i z tego powodu zabrałem go ze sobą do kuchni. Ale w gruncie rzeczy teraz nie miałem już wcale ochoty wyciągać z niego czegokolwiek, wystarczyło mi go obserwować, a później, w stosownym momencie, uczynić z tej obserwacji doniesienie do mojej siostry Caecilii, tę obserwację, mówiąc w uproszczeniu, całkiem po prostu sfalszować dla własnych celów przeciw nim obojgu. Siedział tam przez cały czas i kazał mi czekać, powiem do Caecilii, pomyślałem, szczególnie interesowały go zdjęcia obciętej głowy matki. Zdjęcie, na którym ojciec siedzi w samochodzie martwy, odrzucony do tyłu, a obok, przynajmniej wewnątrz, doszczętnie zmiażdżona głowa Johanna, powiem, interesowało mojego szwagra, twojego męża, w szczególności. Jak taki człowiek śmie, powiem, zagłębiać się w mojej obecności w te gazetowe brudy akurat w tak smutnych dla nas godzinach, nie powiem tragicznych, powiem smutnych, gdyż tak tragicznych ma w sobie teatralne zadęcie, tak smutnych natomiast brzmi w uszach po ludzku. Przerażenie siostry podłością szwagra będzie, moim zdaniem, pewne. Ale czy ja tego chcę? zadałem sobie potem pytanie. W ten sposób szwagier stanie się

ważniejszą postacią, niż jest, powiedziałem do siebie. Z drugiej strony nie będę mógł zrezygnować z niego w swoich planach wyparcia go i wypędzenia z Wolfsegg, chociaż było dla mnie również jasne, że ja sam nie muszę w tej sprawie podejmować najmniejszych wysiłków, to załatwi on sam własnymi rękami, a siostry dopomogą mu w tym na swój podstępny sposób. Dni szwagra są policzone, pomyślałem. Siedział tam, pochłaniany przez gazety, a nie odwrotnie, jak to się zawsze mówi. Ja zaś siedziałem naprzeciw niego i zazdrościłem mu, on bowiem mógł robić to, z czego ja musiałem zrezygnować, on mógł czytać gazety, bez skrepowania, nie nagabywany, nawet pod patronatem wszechmocnego naraz szwagra, gdyż podobnie jak on moim, tak i ja jestem teraz przecież jego szwagrem, ale ja jestem szwagrem, którego on musi się obawiać, powiedziałem do siebie, tak to sobie przynajmniej uroiłem, szwagrem, który ni mniej ni więcej tylko decyduje o przyszłości, o przyszłym Wolfsegg, taka jest różnica między szwagrem a szwagrem, ten decydujący siedzi więc teraz naprzeciw tego nieważnego, który nie ma nic do powiedzenia, tak pomyślałem.

Badeński fabrykant kapsli do wina mógł w pełni rozkoszować się gazetami, ja musiałem się od tego powstrzymać. Sytuacja takich ludzi jest zawsze wygodna, pomyślałem, nie wymaga od nich wysiłku, co dla nas nigdy nie jest dostępne. Mnie każdy mógłby w naszej sytuacji zachęcać do przeglądania gazet, a ja oczywiście bym się przed tym zachęcaniem wzbraniał, musiałbym odmówić sobie przeczytania dzienników, pozwolić, by leżały przede mną nietknięte, szwagier natomiast po krótkim wahaniu przyjmuje propozycję i formalnie rzuca się na rozpostarty przed nim w druku wypadek. Okropne, prawda, to była jedyna uwaga, jaką wygłosiłem do szwagra, podczas gdy on zagłębiał się w gazetach, dwa razy użyłem słowa okropne, jednego z najbardziej ulubionych przeze mnie słów, gdy chodzi o coś takiego jak te relacje gazetowe, używam go często, zbyt często, powiedziałem do siebie, o wiele za często również w kontekstach nie najbardziej pasujących do słowa okropne, teraz



*jednak znowu było idealne, powiedziałem okropne, ale szwagier nie podniósł wzroku, nie pozwolił sobie przeszkodzić wypowiedzianym przeze mnie słowem okropne, nie pozwolił się, by tak rzec, powstrzymać w swojej żądzy sensacji. Pewnie ojciec za szybko jechał, powiedziałem. Szwagier zachowywał się tak, jakby nie słyszał moich słów. Nikt nie wie, dlaczego właściwie prowadził ojciec, a nie Johannes, powiedziałem, zazwyczaj bowiem prowadził Johannes. Ojciec już od dawna jest krótkowidzem, powiedziałem. Ludziom po sześćdziesiątce powinno się zabierać prawo jazdy, powiedziałem. To ci po sześćdziesiątce powodują wszystkie wypadki, sieją spustoszenie na drogach. Nie mają już nieodzownej zdolności koncentracji, powiedziałem i zrobiło mi się przykro z powodu fabrykanta kapsli do wina, że powiedziałem to zdanie tak, jakbym napisał je dla jednej z tych leżących na stole gazet, takie typowe zdanie gazetowe. Redaktorzy gazet to sami niechluj, powiedziałem. Zaraz potem jednak: którzy swój własny brud ciskają nam w twarz. W gruncie rzeczy świat, jaki ci gazetowi niechluj pokazują nam w swoich gazetach, jest prawdziwy, powiedziałem. Świat wydrukowany w gazetach jest naszym światem. Znowu powiedziałem: to, co wydrukowane, jest rzeczywiste, a to, co rzeczywiste, jest wyłącznie rzekomą rzeczywistością. Nie mogłem wymagać, żeby szwagier mnie zrozumiał. Prawdopodobnie nawet mnie nie słuchał, w ogóle bowiem nie zareagował na to, co właśnie powiedziałem, patrzył jedynie na zdjęcie, na którym głowę matki, oddaloną o przynajmniej trzydzieści centymetrów od tułowia, widać na stole sekcyjnym z białego marmuru. To przecież absurd, powiedziałem, że zmarłych odtransportowuje się karetkami pogotowia. Szwagier nie podniósł wzroku.*

*Pomyślałem, że jeszcze przed ślubem, a więc po jednym jedynym spotkaniu z fabrykantem kapsli do wina, opisałem go i scharakteryzowałem Gambettiemu. Jako tęgiego mężczyznę koło czterdziestki, który, ponieważ z dnia na dzień robi się coraz bardziej tłusty, zawsze nosi zbyt ciasne ubrania i z powodu zapasienia się cierpi na zadyszkę, nawet gdy mówi, i że jego mówienie*

*jest wymuszonym przez ten stan zapasienia się mówieniem bardzo krótkimi zdaniami, bo na dłuższe wypowiedzi nie może sobie pozwolić.*

*Ten człowiek oddycha, wydając różne odgłosy, powiedziałem do Gambettiego, i co chwila, gdy się z nim idzie, przystaje, po czym wyciągniętą ręką pokazuje jakiś przedmiot, a jeśli nie ma nic do pokazania, to po prostu wskazuje w jakimkolwiek kierunku, czyli na interesujący krajobraz, aby odwrócić uwagę od swojej dychawiczności. Wszystko w nim jest podporządkowane otyłości, powiedziałem do Gambettiego, i tak lekceważąco przedstawiłem mu szwagra, że mi się potem samemu zrobiło przykro, więc powiedziałem do Gambettiego, moja niegodziwość mnie poraża, zaraz jednak przeprosiłem go za to wstrętne wyrażenie poraża mnie, gdyż jako jego nauczyciel nie powinienem był nigdy użyć takiego niesmacznego określenia, pamiętam dokładnie, że powiedziałem do Gambettiego, iż nieustannie się irytujemy, gdy inni używają niesmacznych określeń, ale sami też grzeszymy tym okropnym nawykiem.*

*Poraża mnie było absolutnie niestosowne, powiedziałem wówczas do Gambettiego, a o szwagrze, że dokładnie odpowiada typowi nazywanemu przez mieszkańców południowo-zachodnich Niemiec badeńskim smakoszem, typowi kołtuńskiego przeciętniaka, który osiągnął pewien poziom zamożności i teraz wystawia ją na pokaz, zainteresowany tym, żeby być grubym i tłustym, czyli ogólnie rzecz biorąc, osobą korpulentną, która rzuca się w oczy, szczupłość, powiedziałem do Gambettiego, jest w tych głupkowatych rejonach brana za oznakę choroby i zagrożenia życia, ludzie się jej boją, bo za bardzo przypomina diabła, ascetyczność wydaje się im odrażająca, gruby człowiek stanowi dla nich ideał, uspokaja ich, a do spokoju przykłada się w południowo-zachodnich Niemczech, zwłaszcza zaś w Badenii, jak zresztą w całych Niemczech, największą wagę. Grubasom ufają, z grubasów czynią swoje wzorce, wobec chudzielców natomiast zawsze byli nieufni. Gambetti skwitował wtedy moją teorię śmiechem, ja zaś przyłączyłem się do jego śmiechu. Ci ludzie są jednak*

również strasznie leniwi, pomyślałem teraz, siedząc naprzeciw szwagra, ale to nie to leniwość, jakie ja nazywam twórczym, oni są otepienie leniwi, jak świnia, pomyślałem, która być może dzisiaj jest już bardziej ludzka niż człowiek, niż człowiek, który w ostatnim stuleciu coraz bardziej stał się świnia. Szwagra nie można było wyprowadzić z równowagi, wykorzystałem więc tę sytuację, by dać upust swoim myślom, gdyż już niedługo, jako że było około pół do piątej, zaczęła mnie, pomyślałem, nagabywać różni ludzie składający kondolencje, którzy do nas przyjdą, nie pozwalając dłużej na siebie czekać. Być może to ostatnia taka okazja w kuchni ze szwagrem, żeby być z nim w mniejszym lub większym stopniu sam na sam, jak pomyślałem, chociaż szwagier siedział naprzeciw mnie. Okropne, nieprawdaż, powiedziałem, ale szwagier na to nie zareagował. Ci ludzie nieustannie udają, że są uosobieniem swojskości, jako koneserzy win, jako kumple do żartów, powiedziałem do Gambettiego, ale w gruncie rzeczy są przeciwieństwem swojskości, żądają jej bowiem za wszelką cenę i są nieubłagani, gdy człowiek wzbrania się przed tą ich swojskością, wtedy wszystko w nich zmienia się w nienawiść, powiedziałem wówczas do Gambettiego. Tą swoją swojskością uciskają i ujarzmiają całe swoje otoczenie, i miejsce, w którym za wszelką cenę chcą mieć tę swoją swojskość, zmieniają w piekło. Przynajmniej ja to tak zawsze odczuwam, powiedziałem do Gambettiego, gdy ludzie chcą mi narzucić ową swojskość. Obserwowałem szwagra i równocześnie miałem przed oczyma obrazy z Rzymu, aż w końcu naprawdę pomyślałem, że jestem w swoim rzymskim gabinecie, choć przecież siedziałem w wolfseggskiej kuchni naprzeciw szwagra. Z całą jego ociężałością. Osłabienie wzroku wreszcie ojca zgubiło, powiedziałem. Teraz dostarczą nam młockarnię, powiedziałem, a kto wie, czy w ogóle potrzebujemy nowej młockarni. To zdanie wygłosiłem absolutnie tonem właściciela Wolfsegg, by tak rzec, jako gospodarz wiejski, jeszcze kilka razy przysłuchiwałem się w pamięci temu wygłoszonemu przez siebie zdaniu, w którym zdumiał mnie wyraźnie rolniczy podtekst. Jakby wygłosił je mój brat, pomyślałem. Tym zdaniem w jednym momencie uczyniłem

siebie gospodarzem wiejskim, chociaż nie chciałem nim być, prawdopodobnie wszyscy zażądają teraz ode mnie, żebym został gospodarzem wiejskim, żebym został nim już, pomyślałem, na tę myśl naprowadziło mnie to właśnie zdanie, oczywiście, że tak myślą, pomyślałem, mimo iż przecież w swoim dotychczasowym życiu mogłem być wszystkim, tylko nie gospodarzem wiejskim, oczywiście oczekują ode mnie, żebym porzucił wszystko inne, co oznacza wyłącznie tyle, iż mam porzucić wszystko i być dla nich gospodarzem wiejskim, którego, jak równocześnie pomyślałem, muszą tu jednak mieć, gospodarz jest tu konieczny. Z pewnością myślą, że porzucę Rzym, i już obnoszą się z tą swoją szyderczą radością, pomyślałem, myślą, że porzucę wszystko, co dla mnie wiąże się z Rzymem, że się na to zdobędę, ale to jest wręcz absurdalny pomysł, pomyślałem, choć jednocześnie mocno osadziła się we mnie myśl, że oni rzeczywiście mogliby w to uwierzyć, ponieważ całkiem po prostu musieli w to uwierzyć, iż w mniejszym lub większym stopniu zrezygnuję z siebie jako całości, by zostać ich wolfseggskim gospodarzem, czyli naturalnym, oczywistym dziedzicem. To jednak w moim przypadku w ogóle nie wchodzi w rachubę. Gambetti, Zacchi, Maria, a nawet Spadolini i wszyscy inni, pomyślałem, to w ogóle niewyobrażalne, żebym zrezygnował z takiej atmosfery na rzecz odziedziczonego koszmaru. Jednakże z ich twarzy, z twarzy sióstr, pomyślałem, już bije nieustannie ta szydercza radość, że teraz dopadło mnie to, o czym one dotąd ani przez chwilę nie pomyślały, ale to myśl najbardziej absurdalna ze wszystkich, ja, rolnik w Wolfsegg, więc całe Wolfsegg na mojej głowie i na karku, a one, siostry, ciągnące zyski z tych moich męczarni. Zagłębiony w gazetach szwagier nie domyślał się ani trochę, co się we mnie dzieje, mogąc w tym czasie folgować swojej żądzy sensacji. Również on ciągnący zyski z zadanego mi gwałtu, pomyślałem, z mojego samowyrzeczenia, fabrykant kapsli do wina z Fryburga Bryzgowijskiego ze swoimi czterdziestoma pięcioma robotnikami i urzędnikami, którzy, jak myślę, nieustannie wchodzą mu na głowę, jak to się mówi. Ale siostry mnie naprawdę nie znają, powiedziałem do siebie,

one faktycznie myślą, że tak jak zostało zapisane, obejmę swoje dziedzictwo. Testament zawsze wszyscy znaliśmy, nie trzeba go wcale otwierać, aby dowiedzieć się, co zawiera. Mój drogi Gambetti, powiedziałem do niego przez telefon, pan nie wie, co mnie czeka, nie wie pan przecież, czym jest Wolfsegg, usłyszałem to teraz wyraźnie, podczas gdy szwagier nadal był, co widziałem, przykuty do gazet i zafascynowany opisanym w nich wypadkiem, ja usłyszałem siebie wygłaszającego wówczas to zdanie do Gambettiego: Wolfsegg mnie nie zabije, już ja się o to postaram, i pomyślałem, że być może Gambetti mnie nie zrozumiał, on, Gambetti, sądził wtedy, że telefonuję do niego, by odwołać zaproszenie na kolację z jego rodzicami, gdy tymczasem ja miałem mu do przekazania jedynie krótką informację, że moi rodzice i mój brat Johannes nie żyją, że padli ofiarą wypadku samochodowego, powiedziałem do Gambettiego, a więc powiedziałem coś całkowicie niedopuszczalnego jak na tak zwanego nauczyciela języka niemieckiego. Ale przecież ja nigdy nie nazywałem siebie przy Gambettim nauczycielem języka niemieckiego, zawsze tylko nauczycielem, podobnie jak jego zawsze nazywałem tylko uczniem, nie jestem dla niego żadnym specjalnym nauczycielem, pomyślałem teraz, przekazuję mu zaledwie wiedzę, która w każdym razie ma coś wspólnego z literaturą niemiecką, i oczywiście usiłuję wykonywać dobrze swoją pracę, staram się przekazywać mu wiadomości warte więcej niż honorarium, jakie mi płaci, które ja zresztą przyjmuję od niego tylko, by tak rzec, pro forma, ja żądam go dla zasady, a on mi dla zasady płaci, już choćby po to, żeby zachować wzajemny, absolutnie nieodzowny dystans w naszej relacji nauczyciel-uczeń; mógłbym zrezygnować z wszelkich honorariów, ale to byłoby największym idiotyzmem, to byłby pierwszy krok naruszający naszą relację, pomyślałem, jeszcze dokładniej obserwując szwagra, mogłem to robić całkiem bez przeszkód, ponieważ przez cały ten czas zupełnie mnie ignorował, siedział, jakbym ja już dawno wstał i wyszedł, wyszedł z kuchni, chociaż gdybym rzeczywiście dawno wstał i wyszedł, nawet by tego, tak pomyślałem, nie zauważył.

*Okropieństwo naszego nieszczęścia już dawno zastąpiła sensacja, powiedziałem do siebie, naprzeciw mnie siedzi żywy tego dowód. Szwagier pochodzi z rodziny, której przodkowie byli najpierw chłopami, później zostali drobnomieszczanami z ambicją pięcia się ku górze, cokolwiek to znaczy, i którzy zawsze wszelkimi sposobami chcieli strząsnąć z siebie chłopskość, początkowo na rzecz drobnomieszczaństwa, a później chcieli zamienić to drobnomieszczaństwo na coś wyższego, o czym nie umiem powiedzieć, co by to właściwie miało być. Szwagier jest, by tak rzec, ostatni w tym żmudnym procesie i naturalnie skazany na niepowodzenie. Tacy ludzie stawiają w końcu nieomal wszystko na szalę, by zmienić skórę, a potem jednak jej nie zmieniają, gdyż całkowicie brak im koniecznej do tego energii duchowej, jako że jeszcze w ogóle, by tak rzec, nie odkryli ducha, ani tego, który jest wokół nich, ani tego w sobie samych, a więc nie uczynili nawet pierwszego kroku, stanowiącego warunek zrobienia drugiego. Potem osiadają nagle, jak teraz szwagier, na mieliźnie, w ogóle nie wiedzą, co począć ze światem i ze sobą, i w tym stanie działają wszystkim na nerwy. Wolfsegg ma całkiem po prostu nową, komiczną postać, powiedziałem do siebie, obserwując szwagra, ale komedia nie stała się przez to bynajmniej bardziej znośna ani ciekawsza. Ta komiczna postać nie jest niestety wesola, lecz uciążliwa Nieprzetłumaczalna gra słów: lustig - wesoly, lastig - uciążliwy., pomyślałem, i w tej grze słów odkryłem od razu filozoficzną grę pomyłek na ten temat. Przez chwilę zastanawiałem się, czemu nie zabrałem ze sobą Gambettiego, chociaż Gambetti niewątpliwie nie nadawałby się do tego, by służyć mi w Wolfsegg za duchową tarczę chroniącą mnie przed tą całą ohydą.*

*Prawdopodobnie, pomyślałem teraz, gdyby Gambetti znalazł się w obliczu tego wszystkiego, nawet by mi tylko przeszkadzał, miałbym z nim jedynie kłopoty w sytuacji, kiedy sam już jestem przygnieciony kłopotami. Albowiem tutaj w Wolfsegg wszystko wyglądałoby z Gambettim z pewnością całkiem inaczej niż w Rzymie, w Wolfsegg nie mógłbym nigdy poświęcić mu się tak*

*skrupulatnie i z takim oddaniem jak w Rzymie, tutaj wszystko to, co sprawia, że przebywanie z nim jest przyjemnością, nie byłoby wcale możliwe, powietrze wolfseggskie nie jest powietrzem rzymskim, atmosfera wolfseggska nie ma nic wspólnego z atmosferą rzymską, jednym słowem, Wolfsegg to nie Rzym, popełniłbym więc największy błąd, zabierając Gambettiego ze sobą do Wolfsegg. Właściwym ubraniem na pogrzeb, uwzględniającym warunki klimatyczne, byłby niewątpliwie płaszcz myśliwski, pomyślałem, ale nie włożę płaszcza myśliwskiego, włożę jeden z wiszących tu płaszczy, które noszę w Rzymie, już choćby po to, by odróżnić się od wszystkich innych osób, wkładających na pogrzeby wyłącznie płaszcze myśliwskie, wszyscy, również gauleiterzy, nawet biskupi pojawią się na pogrzebie w płaszczach myśliwskich, nałożonych na kościelne szaty, jeśli tylko będzie najmniejszy wietrzyk, a na cmentarzu zawsze wieje. Księżęta Kościoła, pomyślałem, wiecznie boją się przeziębienia i z okazji różnych uroczystości odbywających się na świeżym powietrzu zawsze narzucają na szaty kościelne płaszcze myśliwskie, a pozostali uczestnicy tych uroczystości z pewnością również. W jednym ze swoich rzymskich płaszczy będę się od wszystkich odcinał, pomyślałem, z góry dam dowód, że nie jestem już wolfsegganinem, lecz rzymianinem, od razu przedstawię się jako rzymianin, za którego przecież mają mnie już od lat, mój występ będzie występem rzymianina. Pomyślałem o płaszczu, kupionym w zeszłym roku w Padwie. Muszę jutro wystąpić jako mieszkaniec metropolii, pomyślałem. Włożę rzymskie buty i przewiążę sobie na szyi rzymski szalik. W ten sposób odetnę się przynajmniej zewnętrznie od towarzystwa w płaszczach myśliwskich, którego w gruncie rzeczy nienawidzę, którego zawsze nienawidziłem. Towarzystwo w płaszczach myśliwskich robi wszystko, by mnie pogrążyć, ale ja będę umiał się obronić, pomyślałem. Jutrzejszy rzymianin będzie silny i nie pozwoli się zakasować towarzystwu w myśliwskich płaszczach. Jeszcze siedząc ze szwagrem w kuchni, usłyszałem, że przybyli pierwsi żałobnicy, nie tylko z kondolencjami, jak sobie natychmiast powiedziałem, lecz*

*ci, których od razu trzeba będzie ulokować w Wolfsegg na noc, wstałem, wstał również szwagier, jeszcze cały przejęty lekturą gazet, a już ktoś zapukał do drzwi, najpierw pomyślałem, gdzie są dziewczyny kuchenne i kucharka, gdzie właściwie podziewają się siostry, pierwsi nocujący w Wolfsegg goście dotarli już do końca westybulu, a ponieważ nie zostali przez nikogo przyjęci, zapukali do drzwi. Od razu uznałem to za okropne, więc później zażądałem od sióstr wyjaśnienia, jak to możliwe, by nie przyjmując pierwszych gości już na zewnątrz przed portalem, powiedziałem do nich, tylko pozwolić dojść im bez powitania do samego końca westybulu, ponieważ siostry wcześniej zapewniały, że przyjmą gości, zarówno składających kondolencje, jak i nocujących, kiedy, widziane przeze mnie po raz ostatni przy tej okazji, wyłożyły na jednym ze stołów w westybulu tak zwaną listę noclegów, na której było dokładnie wyszczególnione, kto z żałobników gdzie ma zostać ulokowany na noc, jedną albo, w razie potrzeby, również na dłużej, czy we wsi, czy też, w przypadku najbliższych krewnych lub najbliższych przyjaciół, jak Spadolini, w głównym budynku bądź też w domku myśliwskim lub w pawilonie ogrodowym, gdzie podobno przygotowano wszystkie pokoje.*

*Spadolinię postanowiły umieścić w głównym budynku, natychmiast to odkryłem, przeglądając listę.*

*Przyjechali krewni ze strony matki, których prawie nie znałem, musiałem się im nawet przedstawić, bo już mnie nie pamiętali, chociaż raz ich widziałem, w Monachium, gdzie mieszkają, ale zapomniałem, z jakiej okazji. Przyjechali cali w czerni, rozejrzeli się, jak mi się wydało, nieco uzurpatorsko po westybulu, zaczęli się od razu dopytywać, gdzie jest kaplica i czy zmarli są złożeni na katafalku w kaplicy, nie, powiedziałem do nich, w oranżerii. Od razu chcieli tam iść, aby zobaczyć zmarłych, na weselu Caecilii tych ludzi nie było, pomyślałem, natychmiast byłbym to zauważył. Nie miałem zamiaru prowadzić ich do oranżerii, szwagier, zobaczywszy tych ludzi, błyskawicznie zniknął z powrotem w kuchni, tak więc zacząłem rozglądać się za siostrami, które w niepojęty*



*sposób zostawiły mnie całkiem samego, i zasugerowałem tym ludziom, żeby jednak poszli beze mnie na drugą stronę do oranżerii, zajęłbym się nimi, gdybym nie był nieodzowny na pierwszym piętrze, powiedziałem, była to wymówka, ale ci ludzie od pierwszej chwili wywarli na mnie tak niemiłe wrażenie, że nie chciałem zostawać z nimi dłużej, jeden po drugim wyciągali do mnie ręce, a ja musiałem je ścisnąć i potrząsać nimi, starałem się ukryć swoją niechęć do tych osób, nie wiem, czy mi się to udało, nie zawsze się to udaje, zwłaszcza wtedy, gdy mam do czynienia z kimś, kto najwyraźniej nie przypada mi do gustu, ich pyszałkowatość była odpychająca, kosztowne ubrania, które najwidoczniej sprawili sobie wyłącznie na ten pogrzeb i które teraz od razu, by tak rzec, jak na próbie generalnej wystawili na pokaz, zarozumiale, a równocześnie z nieprzyzwoitą wyniosłością i ohydłą pewnością siebie, powiedziałem im, gdzie jest oranżeria, było ich razem pięcioro, rodzice z niedorosłymi dziećmi około dwudziestki, już całkiem zepsutymi, jak pomyślałem, nic oprócz powierzchowności, głupoty, bezczelności, najmniejsza powściągliwość nie wyróżniała tych ludzi, a na dodatek rozmawiali tak głośno, jakby byli u siebie w domu, nie wiem nawet, czy kiedykolwiek wcześniej nas odwiedzali, ale prawdopodobnie tak, gdyż moja matka zawsze miała zamiłowanie do takich ludzi, po-myślałem, właśnie do takich, swojego pokroju. Oranżeria jest tam, po drugiej stronie, powiedziałem i kazałem im iść na drugą stronę do oranżerii. Szwagier schował się do kuchni i przekomarzał się z dziewczynami kuchennymi, które tymczasem zajmowały się przygotowaniem bufetu, co siostry polecily im już przed południem, zewsząd znoszono teraz duże tace ze wszystkimi możliwymi rodzajami przygotowanych wcześniej kanapek i wielkie misy ze wszystkimi możliwymi rodzajami sałatek, znoszono je nawet z kaplicy, w której zawsze było chłodno, toteż szczególnie nadawała się do przechowywania potraw, przynoszono zatem owe misy, pełne sosów i kremów, oraz tace z piętrzącymi się na nich kanapkami. Przybyłych należało przecież ugościć. Nie oczekiwali naturalnie żadnej, jak to się mówi, ciepłej kolacji, ale*

*spodziewali się przynajmniej zimnego bufetu, a moje siostry znają się na przygotowywaniu zimnych bufetów, choć poza tym nie umieją niczego przyrządzać. Zimne bufety sióstr były powszechnie lubiane. Nie wiem, która umie robić to lepiej, Caecilia czy Amalia, zawsze obie chwalono za ich zimne bufety, ja sam zachowywałem raczej obojętność wobec tych zimnych bufetów, w ogóle wobec jedzenia, wiem jednak, że austriackie jedzenie nie jest najlepsze z możliwych, niepodobna go rzecz jasna porównywać z jedzeniem rzymskim. Cały westybul pachniał już tym zimnym bufetem.*

*Podczas gdy ludzie z Monachium, którzy w istocie byli moimi bliskimi krewnymi, poszli do oranżerii, od strony folwarku nadchodzili już kolejni i łańcuch przybyłych był już potem, a więc od około piątej po południu do zapadnięcia nocy, nieprzerwany, zjeżdżali się najrozmaitsi ludzie, ze wszystkich możliwych krajów, w końcu w przeddzień pogrzebu było ich już znacznie więcej niż na weselu Caecilii, znacznie ponad sto, prawdopodobnie nawet około stu dwudziestu lub stu trzydziestu osób, w końcu przestałem liczyć i zrezygnowałem również z zajmowania się każdym poszczególnym gościem; to w gruncie rzeczy nadzwyczaj nieprzyjemne, wręcz nawet wstrętne w moim odczuciu zadanie pozostawiłem siostrze, które na koniec stanęły wreszcie na dole przy murowanej bramie, by trzymając w rękach listę, na której było odnotowane, kto gdzie ma być ulokowany, witać przybywających żałobników. W każdym razie najmniej osób umieszczono w głównym budynku, najwięcej zaś w domku myśliwskim, kilka w pawilonie ogrodowym, większość natomiast na dole we wsi, w różnych gospodach. Przeważająca część osób przybyła w czerni, co tworzyło piękny, surowy obraz. Akurat Spadolini nie pojawił się w czerni, miał na sobie szarozieloną tak zwaną jesionkę, o której wiedziałem, że kupowali ją razem z moją matką w Rzymie.*

*Oczywiście na Via Condotti. Ale do Spadoliniego jeszcze wróć. Fabrykant kapsli do wina zniknął gdzieś pośród licznych gości, raz po raz szukała go Caecilia, jego żona, raz po raz słyszałem Caecilię wykrzykującą jego*

imię, jak na mój gust zawsze zbyt głośno, zważywszy na sytuację, i to nieustanne wołanie mojej siostry wywierało komiczne wrażenie na stojących przeważnie na zewnątrz w parku żałobnikach, którzy, jako że pogoda była sprzyjająca, mieli teraz okazję poznać się wzajemnie, gdyż większość, co udało mi się od razu stwierdzić, jeszcze się nie znała. Jednakże wielu stało również w westybulu, przede wszystkim starsi i całkiem starzy, a to ze względu na bliskość kaplicy i kuchni. Wielu żałobników sądziło naturalnie, że zmarli są złożeni na katafalku w kaplicy, toteż po pierwsze udali się w tamtą stronę i byli bardzo zaskoczeni, że zwłok nie złożono na katafalku w kaplicy, ponieważ już od bardzo dawna, czyli od pogrzebu mojego dziadka ze strony ojca, nie musieliśmy organizować żadnego pogrzebu, większość przyjezdnych nie miała pojęcia o naszym zwyczaju składania zmarłych na katafalku w oranżerii, ludzie szli więc przeważnie najpierw do westybulu i do kaplicy, a dopiero potem do oranżerii po drugiej stronie, którą tymczasem przyozdobiono już tyloma wieńcami i bukietami kwiatów, że ogrodnicy mieli trudności z rozmieszczeniem wszystkich tych wieńców i bukietów, których przybywało z godziny na godzinę, raz po raz oddawano te wieńce i bukiety w folwarku po drugiej stronie. Tymczasem w oranżerii zapalono wszystkie świece. Zaprawione w tym dziewczyny kuchenne, te, których nie potrzebowano w kuchni, nosiły gościom wino i wodę nawet do parku, również dwaj łowczy otrzymali polecenie zaopatrywania ich w napoje, a także w drobne przekąski, jak to się mówi. O zmierzchu obraz tego ciągle jeszcze po cichu rozmawiającego towarzystwa w parku prezentował się z mojego okna na pierwszym piętrze przede wszystkim niezwykle elegancko. Poszedłem do swojego pokoju, by nie musieć bez przerwy wystawiać się na widok wszystkich tych ludzi, już wkrótce nie mogłem znieść powtarzania tego samego w kółko i nieustannego wysłuchiwania tych samych zdań, wykorzystałem więc pierwszą nadarzającą się okazję, by zaszyć się w swoim pokoju. Tu z góry miałem w mniejszym lub większym stopniu ogląd całości. Tymczasem siostry polecily szwagrowi zająć pozycję przy murowanej bramie i

*informować gości, gdzie zostaną ulokowani na noc. Pogrzeby ekscytowały mnie zawsze w znacznie większej mierze niż wesela, dzisiaj wszystko podobało mi się istotnie bardziej niż tydzień wcześniej na przyjęciu weselnym, ale w gruncie rzeczy, spoglądając ze swojego okna w dół na park, patrzyłem teraz, na w przeważającej większości tych samych ludzi co przed ośmiu dniami. Tyle że obecnie byli wyraźnie zmienieni, powściągliwi, by tak rzec, w obliczu takiej okoliczności. Stali tam na dole w grupach i gawędzili, jakby chodziło o święto nocy letniej, pomyślałem przez chwilę. Czerń strojów przysłaniała ich nieznośny na ogół brak gustu. Szkoda, pomyślałem, że okazja do powstania tego pięknego, eleganckiego obrazu jest taka smutna, takie towarzystwo w parku na dole, jakie mi się teraz ukazuje, można by zbierać od czasu do czasu ze względu na ów piękny, elegancki obraz, powtarzałem sobie półgłosem, tym, co w nim przyciąga, jest absolutna estetyka, pomyślałem. Ale uchowaj, Boże, od rozumienia tego, o czym to towarzystwo rozmawia, pomyślałem. Stojąc przy oknie, wyobrażałem sobie przez cały czas, że ludzie o mnie pytają, o syna, brata, a więc o dziedzica, nowego pana etcetera, którego nie ma pośród nich i który się nie pojawia, chociaż wszyscy nieustannie twierdzą, że jest tutaj, oczywiście. Nie zapaliłem światła w pokoju, chcąc niezauważony patrzeć na ludzi w dole i nie zostać odkrytym. Spadolini do tej pory jeszcze nie przyjechał, oczekiwałem go cały czas, ale przybył znacznie później i jak można sobie wyobrazić, wzbudził ogromne zainteresowanie. Ponieważ trwało to już zbyt długo, przeszedłem ze swojego pokoju do ojcowskiego. Usiadłem przy stoliku do gry w karty, którego ojciec używał zawsze jako toaletki. Na drzwiach wisiał jeszcze szlafrok ojca. Wstałem i narzuciłem go na siebie, bo naraz zrobiło mi się chłodno.*

*Zawiązawszy szlafrok, stanąłem przed wiszącym na ścianie lustrem. Przewyciężyłem, jak to się mówi, zmęczenie, które, siedząc ze szwagrem w kuchni, początkowo zignorowałem, i teraz nie byłem już zmęczony. Ale nie miałem ochoty się pokazywać. Z wyciągniętymi przed siebie nogami siedziałem więc na ojcowskim krześle przy toalecie. Przy tej okazji zauważyłem, że pokój*

ojca został tymczasem posprzątny, rzeczywiście w błyskawicznym tempie wypucowany na wysoki połysk. Na stole obok okna stały kwiaty w wazonie, nie umiem powiedzieć, jakie kwiaty, było już za ciemno, w pewnym momencie pomyślałem jednak, że ten pokój jest przygotowany dla Spadoliniego. Przemknęło mi przez myśl, co wcześniej powiedziałem przez telefon do Gambettiego, że Spadolini nie tylko prawdopodobnie, lecz z całą pewnością przyjedzie na pogrzeb i będzie nocował w ojcowskim pokoju. Nie pomyliłem się. Przed łóżkiem stały angielskie pantofle, które moja matka kupiła kiedyś ojcu w Wiedniu, a których jednak nigdy nie nosił, ponieważ były dla niego, jak zawsze mówił, zbyt dekadentkie. Mięciutkie pantofle z czarnej kozłęcej skóry, jak matka się o nich wypowiadała, wielce eleganckie, nie noszone, czekały teraz na Spadoliniego. I szlafrok, który mam na sobie, także, pomyślałem. Wstałem, zdjąłem szlafrok i odwiesiłem go z powrotem na drzwi. Wieszak na drzwiach, pomyślałem, przytwierdził własnoręcznie mój ojciec wbrew woli matki; ona się przed tym wzdrygała, on zaś nie dał się powstrzymać przed oszpecceniem drzwi tym wieszakiem, jak wyraziła się moja matka. Również w ojcowskiej łazience wszystko zostało wyczyszczone, wszędzie powieszono świeże rzeczy, krany lśniły, służące wykonały dobrą robotę, pomyślałem, podczas gdy w moim pokoju w ogóle nic nie zrobiły, mój pokój był w takim stanie, jak go, w nastroju paniki przed podróżą, by tak rzec, zostawiłem tydzień wcześniej, w gruncie rzeczy wściekły na rodziców, którzy ostatniego dnia mojego pobytu w domu zasypali mnie zarzutami dotyczącymi sposobu życia w Rzymie; wciąż jeszcze dźwięczą mi w uszach ich słowa, ale już nie miałem ochoty sobie tego powtarzać. Odkryłem teraz również srebrne przybory toaletowe na ojcowskiej toaletce, które matka przywozła kiedyś ojcu z Paryża, zawsze mu coś przywoziła, ale on mawiał o tych przyborach toaletowych, że są zbyt babskie zbyt babskie dla mnie, powtarzał ciągle, za każdym razem używając dokładnie tych słów, aby zdewaluować wartość owych srebrnych przyborów toaletowych z Paryża. Nigdy ich nie używał. Teraz wyjęto je z komody i położono na toaletce, dla

*Spadoliniego, pomyślałem. Matka kazała wygrawerować na nich ojcowskie inicjały, co ojciec, jak sobie przypominam, skwitował tylko słowami co za śmieszna maniera. Nie udało się mojej matce do końca wytrzebić z niego dobrego, ogólnie rzecz biorąc, smaku, pomyślałem. I pomyślałem, z powrotem siedząc na krześle, że zawsze podziwiałem Spadoliniego i w ogóle jego niebywale nadzwyczajne życie, które wzięło swój początek w północnowłoskim mieście w pobliżu jeziora Como; ten syn adwokata, od dzieciństwa przeznaczony do stanu duchownego, był jednym z pięciorga dzieci, które wszystkie studiowały i każde z nich kimś zostało, jak to się mówi, Spadolini zaś niewątpliwie kimś absolutnie nadzwyczajnym. Już niebawem przyjechał najpierw jako ksiądz do Florencji, później do Rzymu, gdzie zrobił karierę. Był zawsze mile widziany i chętnie go słuchano, a wszędzie, gdzie tylko się pojawił, nastrój się poprawiał i, by tak rzec, podnosił się też od razu poziom każdego spotkania towarzyskiego; w wieku trzydziestu lat Spadolini został radcą nuncjatury w Wiedniu, kiedy miał trzydzieści osiem, powierzono mu wysoki urząd skarbowy, a gdy doszedł do czterdziestki, mianowano go nuncjuszem w Azji Wschodniej, później zaś w Ameryce Południowej; po hiszpańsku i portugalsku mówi tak samo bez akcentu jak po angielsku i francusku, można też z nim rozmawiać właściwie o wszystkim, nie istnieje nic, co sprawiałoby mu bodaj najmniejszy kłopot. Moją matkę poznał na przyjęciu w ambasadzie belgijskiej w Wiedniu. Może dla Spadoliniego moja matka była naprawdę dziećciem natury, jak ją zawsze przy mnie nazywał, a teraz to dziecię natury nie żyje, pomyślałem, tak przezeń kochane dziecię natury leży na katafalku w oranżerii, zostawiło go samego. Tyle że Spadolini nigdy nie był sam, zawsze bywał pośród ludzi i zawsze obracał się w różnych centrach świata, to od razu po nim widać, pomyślałem. Ledwo się gdzieś zjawi, błyskawicznie skupia na sobie uwagę, wszystko jedno gdzie, wszystko jedno w jakim gronie. Wszędzie, pomyślałem, o każdej porze, ludzie wprost zabijają się o jego towarzystwo, jak to się mówi. Przy stołach, do których on zasiada, jest najzabawniej. Matka*

*przynajmniej dwa razy w roku zapraszała go do Wolfsegg, ale nie tylko na górę do Wolfsegg, lecz także do najrozmaitszych miejscowości u południowych wybrzeży na kilkudniowy lub wręcz kilkutygodniowy wypoczynek. Spadolini zaś, jak daleko sięgam pamięcią, nigdy nie odmawiał, ten książe Kościoła podróżował pierwszą klasą pociągu lub samolotem, wszędzie tam, gdzie moja matka chciała go widzieć, bywał też oczywiście w najlepszych hotelach i w najprzyjemniejszym otoczeniu. Ojciec czasem o tym wiedział, czasem nie, w końcu jednak zubożyło mu, gdzie i kiedy moja matka spotyka się ze Spadoliniem, więc bardzo często gościli nawet we troje na przykład w Badgastein albo w Taorminie czy w Sus Maria w Szwajcarii, gdzie zatrzymywali się w najpiękniej położonym hotelu Waldhaus. Tam Spadolini przypinał sobie narty biegowe i, jak to się mówi, wiosłował w najbardziej elegancki sposób po jeziorze Sils ku przełęczy Maloja, żeby podziwiać krajobraz, który namalowany, by tak rzec, rozślawił Segantiniego. Arcybiskup, właściciel trzech paszportów, watykańskiego, włoskiego oraz tak zwanego dyplomatycznego, używający tych paszportów wymiennie zależnie od okoliczności, czuł się, muszę to powiedzieć, zawsze najlepiej w obecności mojej matki, często powtarzał te słowa i można mu było wierzyć, pomyślałem. Jacy prostaccy są natomiast nasi austriaccy biskupi, pomyślałem, siedząc na krześle, jak prostacki jest choćby nasz kardynał z Wiednia.*

*Spadolini to, by tak rzec, urodzony książe Kościoła. Wystarczy tylko posłuchać, jak on mówi, wystarczy tylko zobaczyć, jak je, pomyślałem. Albo jak się ubiera. Nie jest dostojnikiem kościelnym, który wyszedł z ludu i z mozolnym trudem wspinał się po szczeblach duchownej kariery, to jest, jak się rzekło, urodzony książe Kościoła, słowa urodzony książe Kościoła powtórzyłem sobie kilka razy półgłosem, siedząc na krześle. Wpływy Spadoliniego w Watykanie są ogromne, do papieży miał zawsze stosunek pełen dystansu, jak sam mawiał od czasu do czasu, za co do chwili obecnej płaci kardynalskim kapeluszem, którego nie dostał. Spadolini, światowiec, pomyślałem. Być może, powiedziałem do*

siebie, śmierć matki sprawi teraz, że odnowię przyjaźń ze Spadoliniem, a nawet ją jeszcze umocnię, uczynię z niej przyjaźń wyłącznie dla siebie. Albowiem to Spadolini był również jednym z powodów, dla których w ogóle wyjechałem do Rzymu, to Spadolini poznał mnie z Zacchim, który załatwił mi mieszkanie na Piazza Minerva, to Spadolini oprowadzał mnie po Rzymie i, by tak rzec, wprowadził w rzymskie towarzystwo oraz niejako pierwszy odkrył przede mną tajemnice Rzymu. Początkowo miałem w Rzymie przecież tylko Spadolinię, całkowicie zdawałem się na Spadolinię, o którym zresztą również wuj Georg miał bardzo wysokie mniemanie, chociaż wiedział, że Spadolini w bardzo osobliwy sposób, jak zawsze się wyrażał, obcuje z moją matką. Spadolini bywał też często w Cannes, pewnego razu pojechał z wujem Georgiem do Senegalu, gdzie we dwóch zorganizowali wystawę malarzy południowofrancuskich i równocześnie całymi tygodniami rozmawiali w stylu filozoficznym, jak mówił wuj Georg. Spadolini jest także artystą, pomyślałem, siedząc na krześle, artystą wysokiej miary, chociaż nie maluje ani nie oddaje się muzykowaniu. Bardzo często odbywałem z nim spacerów po Rzymie, dzięki którym potrafił mnie wyprowadzić z każdego złego nastroju, ze wszystkich możliwych rozpacz, przede wszystkim w moim pierwszym okresie rzymskim, kiedy to niezbyt dobrze wiedziałem, co ze sobą począć, tonąłem w rozmyślaniach i popadłem w wielomiesięczną bezsenność, a nawet miałem myśli samobójcze. Aż dopiero Spadolini pomógł mi się ocknąć, a przede wszystkim z powrotem otworzyć na pracę naukową, i to w końcu właśnie Spadolini podesłał mi Gambettiego. Z rodziną Gambettich Spadolini jest zaprzyjaźniony od kilkadziesiąt lat. Spadolini odbył ze mną wiele spacerów po wzgórzu Pincio, tylko po to, żeby poprzez ćwiczenia intelektualne, jak je zawsze nazywa, wydobyć mnie ze stanu duchowego zamętu. To on przypomniał mi o moich zdolnościach, o, by tak rzec, kapitale intelektualnym, o którym ja sam już dawno zapomniałem; w jakim celu bowiem przyjechałem do Rzymu, spytał, jeśli nie w celu intelektualnym. Moje pasje intelektualne już całkiem zmarniały, nieomal zupełnie obumarły i dopiero



*Spadolini je we mnie ponownie rozbudził, nikt inny. Wspólnie przeprowadzaliśmy owe ćwiczenia intelektualne i bardzo często chadzaliśmy na dobre kolacje na Zatybrze, pomyślałem, z jednej strony, żeby dobrze zjeść z drugiej żeby dobrze pomyśleć, to były częstokroć słowa Spadoliniego, które wbijał mi do głowy. I które mnie niewątpliwie ocaliły. Często zadawał sobie trud wyjeżdżania ze mną na wieś, przez Via Appia, by tak rzec, w nieskończoność, wyłącznie w tym celu, żeby mnie ratować, i muszę powiedzieć, iż Spadolini był jedynym człowiekiem, który mnie uznawał. Wciąż na nowo starał się uświadomić mojej matce, czym i kim jestem, z jakiego, by tak rzec, ducha, ona jednak zawsze była głucha na jego wysiłki w sprawach, które mnie dotyczyły, owo dziecię natury pozwalało mu mówić, wcale go nie słuchając, pomyślałem, siedząc na krześle i przyglądając się przyborom toaletowym z Paryża. Jak to było możliwe, że matka tak Spadoliniego pociągała, że tak naprawdę ją kochał i najwyraźniej rozumiał, rozumiał też mnie, w odróżnieniu od mojej matki, ona nigdy nie chciała mnie zrozumieć, powiedziałem do siebie, siedząc na krześle. Spadolini rozumiał mnie, rozumiał moją matkę, ale matka była zawsze przeciw mnie, chociaż Spadolini był zawsze za mną, pomyślałem. Spadoliniemu nie udało się nakłonić mojej matki do tego, by w ogóle o mnie myślała, kiedyś powiedział mi, ona w ogóle nie ma do ciebie żadnego stosunku jesteś jej całkiem obcy. Ponieważ jednak matka zawsze przyjmowała wszystko od Spadoliniego, jak od nikogo innego, wydaje się wprost niepojęte, że nie przyjmowała niczego, co Spadolini nieustannie powtarzał jej na mój temat, nie słyszała tego, bo nie chciała słyszeć. Lubię ciebie i lubię twoją matę, ale twoja matka ciebie nie rozumie, mówił Spadolini, ona cię nawet nienawidzi, ale i odwrotnie, ty również nie lubisz swojej matki i jej nienawidzisz Spadolini nigdy nie obawiał się wygłaszać swoich opinii o faktach jako czegoś oczywistego. Tylko taki książe Kościoła jak Spadolini może sobie na to pozwolić, on, który w całkiem swoisty sposób patrzy na Kościół, pomyślałem. Wszyscy w rodzinie Spadolinich są niezależnymi umysłami, pomyślałem. Również książe Kościoła*

*Spadolini. Wszystko, co z ducha Spadoliniego, czyli monarchistyczne, pomyślałem, może urzeczywistniać się w łonie Kościoła katolickiego w odpowiadający Spadoliniemu sposób, pomyślałem. Nawet dzisiaj. W pokoju nadal unosił się zapach ojca. Wstałem, otworzyłem szafę i ogarnąwszy jej zawartość jednym spojrzeniem, naliczyłem dwanaście wiszących w niej garniturów. Wszystkie uszyte przez jego wiedeńskiego krawca Knizego, ponieważ jednak ojciec jest dużo niższy ode mnie, był, poprawiłem się, nie będę mógł nosić tych garniturów, pomyślałem i zacząłem się zastanawiać, kto wchodziłby w rachubę, jeśli idzie o owe ojcowskie garnitury. Dać je ogrodnikom to bezsens, pomyślałem, nie dam ich też łowczym ani żadnym krewnym, powiedziałem do siebie i z powrotem zamknąłem szafę. W szafce na buty ojciec miał zwykle około trzydziestu par obuwia, otworzyłem tę szafkę, rozmiar czterdzieści dwa na nikogo tu nie pasuje, więc z powrotem ją zamknąłem.*

*Ale lepsze z ojcowskich koszul zachowam dla siebie, pomyślałem. Mają dobry krój, pasują na mnie. Dla Spadoliniego przygotowali oddzielną szafę, pomyślałem. Na biurku ojca stały fotografie rodzinne, przede wszystkim jedno zdjęcie ukazujące nas wszystkich, wszyscy na tych zdjęciach sprawiamy jednakowo banalne, niewinne wrażenie. Te fotografie uspokajają, nie przerażają, nie skłaniają do zastanowienia, co najwyżej do tego, że wszyscy na nich są jednakowo banalni. Ojciec wstawał o piątej rano, o pół do szóstej siadał przy biurku, by pracować, załatwiać sprawy służbowe, jak mawiał, a później około pół do ósmej jadł śniadanie z matką w tak zwanym dużym salonie, jak matka nazwała dawniejszy zielony pokój, gdy zaś było ładnie, przy szeroko otwartych oknach balkonowych. Owe śniadania rodzice spędzali przeważnie na ustalaniu porządku dnia i wtedy dochodziło do pierwszych sprzeczek i nieporozumień. W ostatnich latach rodzicielskie śniadania upływały prawie zawsze w milczeniu, z salonu dochodził wyłącznie brzęk zastawy stołowej. Ojciec nie był człowiekiem rozmownym, matka zaś niezwykle rozmowna, w*

siódmym niebie, gdy mogła paplać, ale w ostatnich latach przestała być taka rozmowna i w siódmym niebie, przynajmniej w obecności ojca. Ojciec był chory, a ona w głębi duszy spodziewała się jego rychłej śmierci. Zawsze myślała, że ojciec wkrótce umrze. Myślała tak całymi latami, sądziła, że umie to wyczytać z rysów jego twarzy. Kiedy ktoś sprawiał ojcu przykrość, mówiła zawsze, zostawcie w spokoju, przecież on jest chory i na pewno niedługo umrze. Wygłaszanie tej formuły tak bardzo weszło jej w nawyk, że nie powstrzymywała się przed nią już nawet w obecności ojca, również w naszej obecności powtarzała raz po raz, zostawcie ojca w spokoju przecież on jest chory, jednak tłumiała przy tym słowa i na pewno niedługo umrze, nie wypowiadała ich, tylko je myślała, co chwila, gdy ojca nie było w domu lub gdy był zapracowany, dawało się słyszeć: zostawcie ojca w spokoju, przecież on jest chory i na pewno niedługo umrze, a gdy był obecny, zostawcie ojca w spokoju, przecież on jest chory. Kiedy tylko było to możliwe, jeździła do Spadoliniego, do tego glancusia, jak ojciec go kiedyś zatytułował. Niezłe określenie, pomyślałem teraz. Chorego i mającego rychło umrzeć nie-glancusia miała co kilka tygodni dosyć i wtedy szukała towarzystwa glancusia, by potem, gdy glancuś nie miał już dla niej czasu, wracać znowu do chorego, mającego rychło umrzeć nie-glancusia, przeważnie w nocy, w największej tajemnicy, żeby służba niczego nie zauważyła, która to służba jednak, jak wiem, zawsze wszystko zauważała, gdyż służba w końcu zawsze wszystko zauważa. Sądzi się, iż służba niczego nie zauważa, ale ona zauważa wszystko, również najbardziej niepozorne rzeczy, również to, o czego zauważanie nigdy byśmy jej nie podejrzewali.

I dlatego też wszystko wie. Zawsze sądzimy, że służba jest wyeliminowana, że w każdej sytuacji potrafimy ją przechytryć, wywieść w pole, ale ona wszystko zauważa. Spadolini, glancuś, był przedmiotem nieustannej tęsknoty matki, przez tyle dziesiątków lat, pomyślałem. Ojciec pod koniec już w ogóle nie zwracał uwagi na ten przedmiot tęsknoty, w ostatnim czasie, gdy matka wracała po nocach, wcale jej nawet nie pytał, gdzie była, gdyż zawsze

odpowiadała drwiąco u Spadoliniego. Ale koniec końców ten gospodarz wiejski, ten nie-glancus, był w przeciwieństwie do księcia Kościola, glancusia, zawsze tym, który dawał uspokojenie, oparcie. Matka wspierała się czasem na ojcu, mówiąc, że jest w pełni świadoma, co w nim ma. I wdzięczna, że jej wszystko wybacza. Ojciec po prostu pozwalał jej mówić. Zszedł ze sceny, na której był grany Spadolini, ta śmieszna komedia, jak sam ją nazywał. Już od dawna była to tylko dwuosobowa sztuka. Moje zamiłowanie do nieomal całkowicie zaciemnionych pomieszczeń zostało mi do dzisiaj, pomyślałem, ale nie zapalałem światła również z powodu o tej porze roku w Wolfsegg koniecznego, z powodu komarów, które, przyciągane przez światło, natychmiast zmieniały wolfseggskie pokoje w piekło. Prawie nic nie widzę, powiedziałem do siebie, i to najbardziej lubię. Po śniadaniu ojciec szedł na folwark, żeby się po nim rozejrzeć, wsiadał wtedy przeważnie na jeden z traktorów, po czym znikał w lasach, nikt nie wie, czego tam szukał, ale chyba tylko spokoju od swojej żony i reszty rodziny, pomyślałem. Późnym przedpołudniem widywano w jakichś miejscach traktor, który po prostu zostawiał, aby przemierzać pieszo wiele kilometrów po swojej własnej ziemi, co zawsze sprawiało mu największą przyjemność. Wszak zawsze chciał być jedynie chłopem. Nigdy nie miał tak zwanych wyższych aspiracji. Kiedy kwestia potomka, kwestia dziedzica stała się najważniejsza, poślubił mieszczkę, córkę hurtownika warzyw, który, by tak rzec, napelniał słoiki i butelki łąkami rozciągającymi się wokół Wels, żeby później te słoiki i butelki sprzedawać w Wiedniu. Również po ślubie z moją matką ojciec wolał spędzać czas w chlewie niż w tym zielonym pokoju balkonowym, uroczyście nazwanym przez nią dużym salonem, towarzystwo, które zdecydowanie wolał, znajdowało się raczej na folwarku i w domku myśliwskim, pomyślałem. Ale oczywiście ten chłop z pochodzenia odznaczał się zawsze nadzwyczaj pańskim zachowaniem. Od razu pierwsze dziecko, Johannes, stało się pożądanym, zdolnym do dziedziczenia synem. Mnie, jak mówiono, przyjął do wiadomości jako zastępczego dziedzica, również z moich sióstr najchętniej by

zrezygnował, te maruderki nigdy nie miały u niego szans i dlatego już od samego początku były w sposób całkiem naturalny przykute do matki. Obie, zarówno Caecilia, jak i Amalia, były tak zwanymi ładnymi dziećmi, które później, dokładnie jak głosi ludowa tradycja, z czasem coraz bardziej brzydły. Niepostrzeżenie. W każdym razie w moich oczach. Ale ja sam byłem zawsze w sytuacji absolutnie najtrudniejszej ze wszystkich dzieci. Ja, by tak rzec, nie pasowałem do żadnego z rodzicielskich serc i z biegiem czasu przestałem też ostatecznie wpasowywać się w te serca, zrozumiałem, że nie ma w nich dla mnie miejsca. Jednakże ojciec był mi od samego początku bliższy niż matka, której bałem się już jako zupełny brzdąc, podczas gdy ojca zawsze darzyłem zaufaniem, najpierw zaraniem dziecka, potem niedorostka, a później zaufaniem dojrzałego człowieka, do samego końca. Ojciec był dla mnie, bądź co bądź, przez całe swoje życie tak zwaną ojcowską instancją, cokolwiek to znaczy, matkę odbierałem zawsze jako osobę tylko mi szkodzącą. Przez całe życie odnosiłem wrażenie, że mają mnie wyłącznie po to, by, jak to się mówi, mogli kiedyś po mnie sięgnąć. I nie mylili się w tym względzie, czego dowodzi to nieszczęście, pomyślałem teraz, siedząc na krześle, ale nie spodziewali się własnej śmierci. Gdyby Johannes był sam w samochodzie, mogliby teraz sięgnąć po mnie i potwierdzić słuszność swoich przewidywań. Zostali jednak zabici, by tak rzec, razem ze swoim pierwszym dziedzicem, nie skorzystawszy z wtórnego dziedzica. Pomyślałem, siedząc na krześle, że jestem pozostawionym przez nich wtórnym dziedzicem, i takim się też czułem. W słowach wtórny dziedzic zwietryłem swoją szansę. Ale jak ją wykorzystać? pomyślałem. Myśl, że przyjedzie Spadolini, sprawiała mi przyjemność. W Spadolini mam wszakże człowieka, z którym mogę porozmawiać o wszystkim, pomyślałem. W Spadolini mam jasny umysł, jaśniejszy niż mój własny, zamroczony tą śmiertelną katastrofą, jak pomyślałem. Spadolini już w najbliższych dniach, a być może już w najbliższych godzinach, będzie moim partnerem w rozmowach, pomyślałem. Jest mi winien wskazanie wyjścia z sytuacji, którego ja sam nie widzę. Mam wyobrażenia o

najbliższej przyszłości, ale jeszcze nie wiem, jak uczynić z nich to jedno jedyne wyobrażenie, które byłoby rozumne. Spadoliniemu mogę pozwolić na to, na co nie pozwoliłbym nikomu innemu, pomyślałem, żeby powiedział mi, co mam teraz robić. Z drugiej strony nie wiem jednak, jaki Spadolini tu przyjedzie, czy do Wolfsegg przyjedzie pożyteczny dla mnie, czy też taki, który mi zaszkodzi, nie wykluczałem bowiem, że Spadolini może mi teraz także zaszkodzić, odwrotnie, wręcz bałem się takiej możliwości. Musiałbym jednak bardzo mylić się co do Spadoliniego, pomyślałem po chwili. Prawdopodobnie, powiedziałem do siebie, siedząc na krześle, Spadolini już teraz, jadąc tutaj, myśli tę samą, tyle że odwrotną myśl, zbliżając się do Wolfsegg, już teraz na swój sposób rozmyśla nad przyszłością Wolfsegg i nad tym, jak ma się ono uporać ze swoim nieszczęściem. Ale czy ja potrzebuję Spadoliniego? pomyślałem nagle, czy nie mam swojego własnego umysłu? Bynajmniej nie potrzebuję Spadoliniego, powiedziałem teraz do siebie, wstałem i podszedłem do okna, by popatrzeć w dół na ludzi w parku, na żałobników, których liczba tymczasem nie wzrosła, tylko zmalała, ponieważ większość przybyłych wyruszyła już do różnych kwater na nocleg, zobaczyłem, że towarzystwo zaczyna się prawie zupełnie rozchodzić. Spadoliniego nadal nie ma, pomyślałem. Z pewnością jednak przyjedzie jeszcze dzisiaj, pomyślałem. Całkiem świadomie przyjedzie później, aby nie musieć stawiać czoła wszystkim tym ludziom, aby uniknąć tej przykrej sytuacji, a w każdym razie nie pomagać jej się rozwinąć. W środku rozchodzącego się towarzystwa, które nie wahało się deptać trawnika, co mogłem stwierdzić, patrząc z okna, stał z tacą fabrykant kapsli do wina. Zostawiony całkowicie sam sobie. Caecilia zawołała go po imieniu, więc ruszył w kierunku żony, stojącej prawdopodobnie w portalu. Tutaj, przy tym oknie, ojciec wystawał często przez pół nocy, gdy nie mógł zasnąć. Całe życie cierpiał na bezsenność, na którą matka nigdy się nie uskarżała. Stawał przy oknie, chcąc poczuć zmęczenie, ale także wtedy, gdy po dwu czy trzech godzinach stanie przy oknie go znużyło, nadal nie udawało mu się zasnąć. Nabrał więc nawyku wychodzenia przede

*wszystkim w marcu i kwietniu już o trzeciej rano na dwór i wyruszania do lasu. Jestem leśnym człowiekiem, powtarzał często.*

*Najbardziej lubię przebywać w lesie. Najbardziej chciałbym umrzeć lesie, to też było często wypowiedane przezeń zdanie, pomyślałem teraz, ale jego życzenie się nie spełniło, umarł śmiercią w dzisiejszych czasach codzienną, odwrotną do tego życzenia, umarł jak miliony innych ludzi, całkiem jak dzisiejszy nowoczesny człowiek, całkiem po prostu w momencie nagłej dekoncentracji na drodze.*

*Spadolini zwrócił mi uwagę na charakter Gambettiego, by tak rzec, wyjaśnił mi Gambettiego, nauczył mnie, w jaki sposób mam się do niego zbliżyć, jak pozyskać jego zaufanie, gdyż, jak mówił Spadolini, kontakt z Gambettim, takiego użyl określenia, jest arcytrudny. Gambetti wyraził wobec niego, Spadoliniego, życzenie, by jako nauczyciela literatury niemieckiej mieć Austriaka, zdecydowanie nie Niemca. Ja pojawiłem się w Rzymie we właściwym momencie, tak powiedział kiedyś Spadolini, jako ten idealny. Gambetti zawsze uważał Spadoliniego za swojego ojca duchowego, we wszystkim był po jego stronie. Ojciec Spadoliniego od zawsze był zaprzyjaźniony z ojcem Gambettiego, pomyślałem, teraz znowu siedząc na krześle, z zamkniętymi oczami, co pozwalało mi rozkoszować się spokojem w ojcowskim pokoju i widzieć przez otwarte okno, że liczba uczestników pogrzebu już się zmniejszyła, do kilku prowadzących na dole rozmowę z moimi siostrami, której to rozmowy nie mogłem jednak zrozumieć, rozumiałem zaledwie pojedyncze słowa, zupełnie ze sobą niepowiązane, takie słowa jak przeciąg, angina pectoris, anarchia, okropne, deszczowa pogoda, co dokładnie pamiętam, wyłącznie od wiatru zależało, w jaki sposób te słowa dochodziły do mnie na górę, czasem całkiem dźwięcznie i wyraźnie, potem znowu rozmyte, ledwo zrozumiałe, ale wszystkie wypowiedano bardzo powściągliwie; Spadolini od samego początku był przeznaczony do piastowania bardzo wysokiego stanowiska, jak kiedyś sam powiedział, przede wszystkim jego ojciec był niezwykle ambitny i kazał mu*

*studiować, aby szybko zrobił karierę w Watykanie i piął się wysoko w watykańskiej hierarchii, tak kiedyś mówił sam Spadolini, podczas gdy matka Spadoliniego wcale podobno nie była zainteresowana takim bezwzględny i konsekwentnym wspinaniem się Spadoliniego po szczeblach kariery watykańskiej, ale Spadolini, jak kiedyś powiedziała moja matka, od razu i bez najmniejszej przerwy piął się wysoko, błyskotliwa kariera, jaka rzadko zdarza się w dziejach Kościoła, zwłaszcza w dziejach Kościoła, takie były słowa mojej matki. To Gambetti najpierw sprawdził mnie, czy nadaję się na jego nauczyciela, a nie odwrotnie, jak mi powiedział Spadolini. To Gambetti przygotował sobie całkiem określoną metodę przeegzaminowania mnie, a więc sprawdzenia moich zdolności pedagogicznych. Jednakże zdałem te egzaminy ku największemu zadowoleniu, tak powiedział Spadolini, cytując Gambettiego pomyślałem, siedząc na krześle. Sądzymy, że od samego początku jesteśmy nauczycielem ucznia, a w rzeczywistości to uczeń sprawdza nas całymi miesiącami, pomyślałem sobie. Gambetti już od początku mojego kontaktu z nim zadawał mi mnóstwo osobliwych pytań, niezwykłych, jak zauważyłem, nic nie wiedziałem jednak, dlaczego je właściwie zadaje.*

*Początkowo Spadolini, Gambetti i ja chadzaliśmy często na kolacje w pobliżu Piazza Minerva, tam gdzie obsługują gości wyłącznie zakonnice, które naturalnie zawsze robią wielkie zamieszanie wokół Spadoliniego, niemiłe dla niego samego, w lokalu, który wywarł na Marii tak odpychające wrażenie, poszła tam ze mną zaledwie raz, tego wieczoru z Marią zakonnice rzeczywiście wykazywały straszliwą usługowość wobec duchowieństwa, którego przedstawicieli było w tym lokalu akurat tak wielu, że dla Marii musiało to być nie do zniesienia; spotkałem się z nią tam, aby omówić jej wiersze, zwłaszcza tak zwany czeski Ingeborg Bachmann, Bohmen liegt am Meer (Czechy leżą nad morzem), który tymczasem zdobył światową sławę i jest z pewnością jednym z najlepszych, a równocześnie najpiękniejszych wierszy w naszej literaturze.*

*Wówczas powiedziałem do Marii, napisałaś najpiękniejszy i najlepszy*



wiersz, jaki jakakolwiek poetka napisała kiedykolwiek w naszym języku, nie miał to być komplement, powiedziałem prawdę, którą również reszta świata już dawno przyjęła do wiadomości. Zawsze lubiłem wiersze Marii, ponieważ są takie austriackie, równocześnie zaś tak bardzo przeniknięte całym światem i wszechświatem, który otacza ten świat, jak żadne inne. A także dlatego, że napisała je najinteligentniejsza poetka, jaką kiedykolwiek mieliśmy, włączając w to wszystkie inne w dziejach. Wiersze Marii, pomyślałem teraz, są całkowicie antysentymentalne, zupełnie różne od wierszy innych autorów, mówiących wyłącznie o austriackim sentymentalizmie, choćby były nie wiem jak dzikie i nieokielznane, natomiast wiersze Marii są antysentymentalne i klarowne, a pod względem wartości dorównują wierszom Goethego, i to właśnie tym jego wierszom, które cenię najwyżej. Maria musiała przeprowadzić się do Rzymu, by móc napisać te wiersze, powiedziałem do siebie, siedząc na krześle, a potem znowu myśląc o Spadolini, któremu zawdzięczam Gambettiego, najbliższego mi w Rzymie, najbardziej wartościowego człowieka. Czym byłoby moje rzymskie życie bez Gambettiego, pomyślałem, który codziennie konfrontuje mnie ze swoimi nowymi ideami, który codziennie zadaje mi nowe pytania, który dzień w dzień odświeża mój umysł, ponieważ dzień w dzień konfrontuje mnie z prawdziwymi problemami naszego świata, Gambetti, nieustannie pytający, nieprzerwanie drążący, nie dający mi spokoju, pomyślałem, Gambetti, który przychodzi do mnie do mieszkania, i przez cały czas zasypuje pytaniami, przez całą noc aż do chłodnego, bladego świtu, Gambetti, przed którym nie mogę się wykręcić byle czym. Gambetti, który zawsze chce wszystko wiedzieć, krocząc drogą literatury niemieckiej, wysuwając ją jednak na pierwszy plan tylko po to, żeby dowiedzieć się wszystkich innych rzeczy, Gambetti, anarchista, który dopiero dzięki mnie stał się prawdziwym anarchistą, którego ja prawdopodobnie wychowałem na anarchistę wbrew jego rodzicom, wbrew otaczającemu go światu, wbrew niemu samemu, pomyślałem, i który równocześnie pobudził we mnie pierwiastek anarchistyczny, uaktywnił go

*ponownie w Rzymie, jak teraz pomyślałem. Gambetti, który zawsze rzuca mi na biurko, by tak rzec, w twarz, takie gazety jak „Corriere della Sera” i zadaje pytania dotyczące wszystkiego, Gambetti, młodzieniec, którego Maria lubi bardziej niż mnie, Gambetti, największy sceptyk, jakiego kiedykolwiek spotkałem, który znacznie prześciga mnie w swoich wątpliwościach, który zwątpienie uczynił swoją zasadą i którego wątpliwości zaczęły rozpiłowywać cały świat, by rzeczywiście mógł go przestudiować, jak kiedyś do mnie powiedział. Gambetti, który najchętniej wysadziłby wszystko w powietrze, ale równocześnie, ubrany tylko w czerwony sweter, chodzi po Rzymie z książkami Jeana Paula, Kleista i Wittgensteina pod pachą, godzinami, opętany ideą wysadzenia i rozpiłowania świata. Z drugiej strony Gambetti, który jada z rodzicami kolacje w de la Ville i zostawia rodziców w spokoju z ich konserwatyzmem, Gambetti, który kupuje sobie wszystko wyłącznie na Via Condotta i którego pokój jest urządzony nie tylko ze smakiem, lecz z nadmierną wprost kulturą.*

*Gambetti, którego ja trzymam się dokładnie tak samo jak on mnie, Gambetti, po myślałem, siedząc na krześle, zarówno symbol badawczego umysłu, jak i chłodno kalkulujących uczuć, Gambetti, młody zaklinacz otaczającego go świata. Spojrzałem na oświetloną od wewnątrz oranżerię, a więc na obraz, którego wcześniej jeszcze nigdy nie widziałem. Już tylko kilku żalobników znajdowało się na dole w parku, nie mogłem ich rozpoznać. Właściwie powinienem być do ich dyspozycji, pomyślałem, zejść na dół, uścisnąć im dłonie, ale nie byłem do tego zdolny, formalne zabiegi w całości pozostawiłem siostrze, zważyłem je na nie, siostry zresztą bardziej nadawały się do wzięcia na siebie tych formalnych zabiegów, to w końcu one są córkami i umieją obchodzić się z ludźmi swojego pokroju, pomyślałem, ja już dawno oduczyłem się kontaktu z takimi ludźmi, powiedziałem do siebie, w gruncie rzeczy zafascynowany wyłącznie nikłym blaskiem świec pobłyskujących zza szyb oświetlonej oranżerii. Preludium, by tak rzec, ma się ku końcowi, pomyślałem, a*

*Spadoliniego nadal nie widać, inni zaś w gruncie rzeczy wcale mnie nie interesują, nie mam z nimi nic wspólnego, pomyślałem, nic mnie nie obchodzą, wszyscy ci ludzie są dla mnie jedynie uciążliwi, gardzę nimi, a oni gardzą mną. Nagle wydało mi się, że do parku wszedł mój kuzyn Aleksander, bez żony, i pomyślałem, iż to oczywiste, że siostry wysłały Aleksandrowi telegram do Brukseli. Ale nie myślałem o nim przez cały ten czas, pomyślałem, to Aleksander zbliżał się teraz do oranżerii, obserwowałem go, podał rękę kilku osobom stojącym przed oranżerią, na swój sposób, który ponownie mnie w nim ujął, elegancki, a zarazem niezwykle naturalny, i pomyślałem, że Aleksander, mój fantasta, ma teraz dokładnie tyle samo lat co ja, rozstaliśmy się przed trzydziestu laty, on wcześniej odszedł z internatu i wyjechał z rodzicami do Belgii, ale nigdy nie zerwaliśmy ze sobą kontaktów. Ślub Aleksandra, traktowany przeze mnie, co teraz musiałem sobie powiedzieć, początkowo nieufnie, jeszcze pogłębił naszą przyjaźń, nie zaś pokrewieństwo, do którego nie przywiązywaliśmy wagi, wręcz przeciwnie. Ja to bywałem w Brukseli, po raz pierwszy, gdy jechałem do Londynu, potem znowu w drodze do Paryża, Aleksander i jego żona zabierali mnie zawsze, kiedy u nich mieszkalem, do swoich belgijskich przyjaciół na belgijską wieś, w okolicy Brukseli, do Ostendy, zapoznali mnie ze sztuką Ensora i sztuką Delvaux, wozili ze sobą do pięknych posiadłości ziemskich w okolicy Brukseli. Przede wszystkim jednak przesiadywałem całymi nocami w gabinecie Aleksandra, słuchając jego wykładów o Bogu i o świecie, jak to się mówi. W ciągu tych nocy Filozof Aleksander malował w moim umyśle, by tak rzec, swój filozoficzny obraz, który jeszcze potem całymi tygodniami nie dawał mi spokoju. Chadzałem z Aleksandrem do jego brukselskich przyjaciół, koczujących w kiepskich kwaterach, wszyscy byli prawie zupełnie bez środków do życia, pochodzili z najrozmaitszych krajów Europy, przede wszystkim z Polski i Czechosłowacji, z Węgier i Rumunii, byli tak zwanymi wschodnimi Europejczykami, zbiegłymi do Belgii przed swoimi reżymami, w ramiona Aleksandra, w charakterze*

*politycznych uchodźców, by tak rzec. Aleksander nawiązał pierwszy kontakt z tymi politycznymi uchodźcami w biurze obok Gare Luxemburg Ixell i zaoferował im swoją opiekę, chroniąc ich w ten sposób przed zamknięciem, przed osadzeniem w więzieniu, co im groziło, gdyż nielegalnie przybyli ze swoich krajów ojczystych do Belgii. Krótko mówiąc, jego zadaniem było niesienie pomocy politycznym uchodźcom. A on się do tego nadawał.*

*Ponieważ ci ludzie zauważyli, że Aleksander pragnie im rzeczywiście pomóc z racji swojego wspaniałego charakteru, nie zaś z jakiegokolwiek innej przyczyny, nachodzili go, jak to się mówi, naprzykrzali mu się dniami i nocami, ale przecież on sam tego chciał, pomyślałem, stojąc przy oknie ojcowskiego pokoju i obserwując Aleksandra. Chociaż przyjechał z Brukseli, wyglądał tak, jakby wrócił ze spaceru za folwarkiem albo dziecięcą willą, naturalnie w najzwyczajszym ubraniu, całkiem niepozorny, bez cienia pretensjonalności. Ludzie z jego towarzystwa nazywali go często błaznem, ponieważ w ich mniemaniu był zawsze zbyt naturalny, nie nienawidził wprawdzie, jak ja, ich formalizmu, ale zawsze potrafił przeciwstawić mu się z ironią, jednak tytuł błazna przyznali Aleksandrowi wyłącznie z powodu własnych nieczystych sumień i dlatego, że nie rozumieją jego filozofii, pomyślałem. Jednakże ta aleksandryjska Filozofia, jak ją sam na swój użytek nazywam, jest niezwykle trudna, przekracza ogólne możliwości umysłowe, pomyślałem, wymaga uważnego, bezstronnego umysłu, nieprzejednania, ja nigdy nie potrafiłem sprostać temu umysłowi, pomyślałem, zawsze w tym umyśle tonąłem, moje wizyty w Brukseli, chociaż zawsze piękne, tonęły w tym aleksandryjskim umyśle, pomyślałem. Aleksander nauczał, pomyślałem, a ja nie rozumiałem tego fantasty. Teraz przez minutę czy dwie obserwowałem Aleksandra, który oczywiście zostanie zakwaterowany w głównym budynku, jak pomyślałem, i zszedłem na dół do westybulu, wyszedłem na dwór do Aleksandra, który tymczasem zniknął w oranżerii. Już od lat go nie widziałem, nie przyjeżdżał do Austrii, której nie znosił z tych samych politycznych powodów co ja, ja nie*

jeździłem do Belgii z racji panujących tam warunków klimatycznych, chociaż nigdy nie spędzałem w tym kraju bardzo piękne i pożyteczne tygodnie w pewnym określonym rytmie trwającym ponad dwadzieścia lat, zakwaterowany na czwartym piętrze domu przy Rue de la Croix, który mój kuzyn wynajął już trzydzieści lat temu. Tam, na górze, na czwartym piętrze tego brukselskiego domu napisałem też coś o Pascalu, którego wówczas kochałem jak nikogo innego na świecie, a także o wierszach Marii, o strofach owej poetki, której wówczas jeszcze nie znałem. Tam, na górze, na czwartym piętrze, napisałem również niewielki artykuł o moim ulubionym Bohuslavie Martinu, ale zaraz ten artykuł wyrzuciłem. Aleksander wprowadził mnie, by tak rzec, w brukselskie towarzystwo, z Aleksandrem przemierzałem przez pół dnia pieszo wspaniałe lasy w okolicy Brukseli. Wówczas zaczęły się u niego pierwsze napady późniejszej tak zwanej przewlekłej choroby, usiłował ją leczyć nie tylko kortyzonem, lecz również przedsięwziętymi dwa razy w tygodniu na plaży w Ostendzie, wyczerpującymi i zaiste nadmiernie go obciążającymi dwugodzinnymi biegami, w których często mu towarzyszyłem. Ale te biegi po plaży i w słonym powietrzu, które miały podziałać na niego leczniczo, nie okazały się w końcu terapią, jakiej sobie po nich obiecywał, nakłoniony do niej przez jednego z belgijskich lekarzy, którzy, jak wiadomo, są w ogóle najgorsi, belgijscy lekarze zostali okrzyknięci najgłupszymi w całej Europie, jak się później dowiedziałem. Mój kuzyn już od dwudziestu lat żyje na kortyzonie, i tylko na nim, co sam często powtarza. Obok wuja Georga i przed moim rzymskim okresem kuzyn Aleksander, chociaż rówieśnik, był moim nauczycielem filozofii. W chwili gdy chciałem wejść do oranżerii, on właśnie z niej wyszedł, nie mógł tam bowiem wytrzymać dłużej niż pół minuty. Uścisnął moją dłoń i zamknął ją w swojej, po czym kilkakrotnie przeszliśmy się przed oranżerią tam i z powrotem, zupełnie nie przejmując się ludźmi, którzy jeszcze przed nią stali i prawdopodobnie znali mnie i mojego kuzyna, co nas jednak nie interesowało, jako że w gruncie rzeczy nic nas nie obchodzili. Natychmiast wyruszył z

*Brukseli, powiedział o sobie Aleksander, sam, ponieważ jego żona zachorowała. A poza tym bardzo się cieszy, że teraz kilka razy przeszedłem się z nim tutaj przed oranżerią, ma bowiem zamiar natychmiast udać się do, by tak rzec, przydzielonej mu przez nas gospody na dole we wsi, żeby skończyć przywiezioną ze sobą pracę, petycję, powiedział, którą muszę wystosować do rządu belgijskiego i do króla, a dotyczącą moich uchodźców, których rząd belgijski traktuje jak zwierzęta. Fantasta zapytał o moje siostry i zrobiwszy jakąś uwagę na temat stojących dookoła osób, która mnie rozbawiła, ale przez tych stojących dookoła nie została naturalnie usłyszana, która jednak, gdyby ją usłyszeli, głęboko by ich zraniła i wywołała oburzenie na nas obu, pomyślałem, zniknął, nie napomykając słowem na temat nieszczęścia czy też zmarłych leżących w oranżerii na katafalku. Sam znajdzie drogę, nie potrzebuje nikogo, jutro pojawi się na pogrzebie, a potem natychmiast wraca do Brukseli, wieczornym pociągiem, dodał jeszcze. Już nawet nie miałem możliwości powiedzieć mu, że pragnąłbym, aby umieszczono go w głównym budynku, oczywiście jak najbliżej nas, Aleksander miał zawsze taki całkiem bezceremonialny sposób odchodzenia, tym razem jednak ustanowił w tym względzie swoisty rekord. Nie zmienił się, pomyślałem, pozostał taki sam, mój ukochany fantast.*

*Ludzie stojący dookoła, dwie rodziny z Wiener Neustadt, jak teraz zobaczyłem, byli wręcz spokrewnieni ze mną przez matkę, oczywiście powitałem ich, zapytałem nawet, czy mieli miłą podróż, zbyt czułym jak na mój gust tonem, który w tej samej chwili właśnie wobec tych ludzi mi się nie spodobał, gdyż cała ta grupa, ogólnie rzecz biorąc, nie wzbudziła we mnie sympatii. Ci ludzie stali tam, jakby domagali się teraz ode mnie, żebym się im bez reszty poświęcił, jakby byli, by tak rzec, jedynymi tutaj, którymi muszę się zająć, ale to właśnie ich chcę mieć możliwie szybko z głowy, pomyślałem i w kilku nazbyt wyszukanych słowach przeprosiłem za to, że z powodu pewnej niecierpiącej zwłoki sprawy muszę ich ponownie opuścić. Zostawiłem po prostu tę grupę z Wiener Neustadt i poszedłem na folwark, a potem do domku myśliwskiego, sam nie wiedząc, czego*

*tam szukam. Wszedłem do tak zwanego biura mojego ojca, w którym znajdują się wszystkie akta dotyczące Wolfsegg, cała buchalteria. To biuro zawsze było dla mnie koszmarem, jak w ogóle wszystko, co choćby z daleka przypomina biuro. Biuro w Wolfsegg wydziela zapach, jaki wydzielają wszystkie biura, i już po krótkim czasie nieuchronnie ogarnia mnie uczucie, że jeśli możliwie najszybciej nie wyjdę, uduszę się w nim, teraz jednak nawet, czego nigdy wcześniej nie robiłem, usiadłem w tym naszym biurze, usiadłem przy biurku, na którym leżała jeszcze wczorajsza poczta, zaadresowana do ojca. Rachunki, listy dotyczące gospodarstwa w Wolfsegg, druki reklamujące rolnicze. Nienawidzę tak zwanej korespondencji służbowej. Odsunąłem całą stertę listów tak daleko od siebie, żebym mógł położyć na biurku kartkę papieru. Na kartce napisałem wersalikami ALEKSANDER, MÓJ FANTASTA, dokładnie pośrodku kartki, sam nie wiedząc, dlaczego w ogóle piszę na kartce słowo ALEKSANDER. Bez powodu, jak mi się wydawało. Byłem, jak to się mówi, w najwyższym stopniu zdenerwowany. Nagle, gdy tak siedziałem na krześle biurowym, dotarło do mojej świadomości, że przecież siedzę teraz w swoim biurze, a nie w biurze ojca; ogarnięty gwałtownym znużeniem, patrząc na ściany tego biura, poczułem do nich obrzydzenie. A także do setek stojących na regałach segregatorów firmy Leitz, na których mogłem przeczytać wyłącznie słowo Wolfsegg oraz datę roczną. Póki wreszcie nie zwariuję, pomyślałem. Ojciec był również pedantem, pomyślałem. Ten tak zwany pedantyczny charakter pisma zawsze budził we mnie odrazę, te koniec końców prymitywne ojcowskie zdania. Nauczył się kaligrafii i nie zapomniał jej, co pozwala domyślać się, że był niezwykle pedantyczny, pomyślałem.*

*Przez całe życie usiłował zrobić także z Johanna równie nieznośnego pedanta, przez całe życie pracował nad przyszłym wiernym odbiciem własnej osoby. Udało mu się, powiedziałem do siebie, zrobić z Johanna swoje wierne odbicie. Ale wierne odbicia są odrażające, pomyślałem. Ta ojcowska kaligrafia na papierze to produkt wyjąłowanego umysłu, pomyślałem. Wyjąłowanego*

człowieka, jakim był mój ojciec. Niekiedy pragnął wyrwać się z tego wyjałowienia, ale to mu się nie udawało. Owo wyjałowienie posunęło się już za daleko. Ojciec pisał pismem typowym dla przykładowego nauczyciela, pismem, jakim piszą nauczyciele z małych miasteczek, tym starannym, kołtuńskim charakterem. Taki charakter pisma dowodzi trwożliwego, poddawanego uciskowi charakteru. Ojciec był człowiekiem uciskany, człowiekiem niemiłosiernie uciskany zarówno przez Wolfsegg, jak i przez matkę, jego żonę, pomyślałem. Po moim ojcu został jedynie ten belferski charakter pisma, pomyślałem, nic więcej. Ta myśl przyszła mi do głowy, bo na ojcowskim biurku znalazłem zaczęty przezeń, ale niedokończony list, zaadresowany do fabryki nawozów sztucznych w Lustenau w Vorarlbergu, najwyraźniej z prośbą o przysłanie jakiejś oferty, pomyślałem. Tak pisze pomocnik handlowy, pomyślałem, a nie pan na Wolfsegg. Kilkakrotnie przeczytałem zaczęty przez ojca list, który nadał wydawał mi się bardzo prymitywny. Mój ojciec nie potrafił pisać listów, ale tak nie może pisać człowiek. Przygnębiające jest również to, w jaki sposób układał na biurku przybory do pisania, pomyślałem. Tak układają przybory do pisania pomocnicy handlowi i nauczyciele, ale nie człowiek z klasą. Czy mój ojciec był człowiekiem z klasą? zadałem sobie pytanie. Zmęczenie kazało mi zadać sobie jeszcze kilka równie bezsensownych pytań dotyczących ojca.

Co to w ogóle jest klasa? zapytałem siebie w końcu. Widok segregatorów firmy Leitz, pochodzących z początku dwudziestego wieku, do głębi mnie przytłoczył. Uciekłeś od tego świata, żeby teraz nagle cios losu wepchnął cię w niego po szyję, pomyślałem. Słowa cios losu, w swojej całej obrzydliwości i zakłamaniu, dopełniły reszty, jak to się mówi, wstałem więc i podszedłem do okna. Patrząc przez okno widzi stąd umieszczony dokładnie na przeciwległym murze budynku folwarcznego olejny obraz na blasze cynkowej, przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem. Matka Boska ma na tym obrazie nieprawdopodobnie długą szyję, nigdy jeszcze nie widziałem tak namalowanej szyi, całkowicie



*przeczącej wszelkiej wiedzy anatomicznej. Dzieciątko Jezus na obrazie cierpi na wodogłowie. Widok tego obrazu zawsze mnie bawił, rozbawił mnie również teraz. Roześmiałem się na cały głos, było mi obojętne, czy ktoś to słyszy, czy nie. W drzwiach stanęła Caecilia, która przysłała zabrać mnie na wczesną kolację, przygotowaną, jak powiedziała, niezależnie od bufetu dla gości, tylko dla nas. Natychmiast zażądałem od niej wyjaśnień, dlaczego zakwaterowała Aleksandra we wsi, gdyż kto jak kto, ale akurat Aleksander powinien był oczywiście zamieszkać u nas w głównym budynku; zapytałem, w którym z miejscowych zajazdów zakwaterowała Aleksandra, skoro mamy w domu Spdoliniego, powiedziałem, to jest oczywiste, że również Aleksander powinien być ulokowany w pobliżu nas, powiedziałem do niej, gdy oddalaliśmy się od domku myśliwskiego, i że to groteskowe mieć w domu fabrykanta kapsli do wina, a Aleksandra nie. Nie umiała mi powiedzieć, gdzie ulokowała Aleksandra, naprawdę nie pamięta, powtarzała kilkakrotnie, przez całą drogę zasypywałem ją wyrzutami z powodu Aleksandra i powiedziałem również, że ulokowała w głównym budynku akurat tych ludzi, których nie znoszę, po czym wymieniłem nazwiska kilku osób, które już wcześniej spotkałem w głównym budynku i co do których musiałem założyć, że w nim nocują, właśnie ci najwstrętniejsi, powiedziałem, ze strony matki, ty wiesz, że ci ludzie działają mi na nerwy, a Aleksander na dole we wsi, to nikczemne, wypowiedziałem słowo nikczemne, i w końcu zrobiło mi się przykro, nie chciałem cię urazić, powiedziałem po chwili do Caecilii, ale cały ten pogrzeb już mi działa na nerwy, w ogóle przestaję nad sobą panować, przed chwilą śmiałem się z obrazu Madonny, powiedziałem, ale to był nerwowy śmiech, raczej chorobliwy, powiedziałem, jakbym chciał usprawiedliwić się przed Caecilią z wypowiedzenia przed chwilą słowa nikczemne, które mi się nazbyt szybko wyrwało, rzeczywiście w niestosowny sposób, gdyż niewątpliwie nie tylko ja byłem już na granicy wyczerpania nerwowego, lecz także siostry, więc teraz, gdy doszliśmy do portalu, a w westybulu stali nowo przybyli uczestnicy pogrzebu, powiedziałem, że jest mi*

*przykro, iż ją zraniłem, całkiem wbrew swojej woli, w tym najwyższym napięciu nie umiem już zachowywać się tak, jak powinno się tego ode mnie wymagać, powinno, powiedziałem, a potem weszliśmy do westybulu i znowu, zanim udało się nam wreszcie dotrzeć na pierwsze piętro, aby spożyć tę wczesną kolację, musieliśmy ścisnąć ręce wszystkim nowo przybyłym i wygłaszać pogrzebowe frazesy, które już weszły nam w nawyk. Szkoda, powiedziałem do sióstr, że Aleksander nie siedzi z nami przy stole, niewątpliwie byłoby o wiele zabawniej. Jak możemy zostawiać go samego sobie w jednym zajazdów na dole, powiedziałem.*

*Ale siostry miały swój cel w zjedzeniu kolacji tylko ze mną. Chciały mnie wypytać, by tak rzec, w sześć oczu. Nie zdołały jednak ze mnie nic wydobyć. Podczas gdy na piętrze było słychać, jak nocujący w głównym budynku cisną się na dole do urządnego w kuchni bufetu, my tu na górze jedliśmy we trójkę mniej więcej to samo, poza tym Caecilia na moje życzenie zamknęła drzwi wejściowe na pierwsze piętro, aby lemury nie mogły wejść, powiedziałem, bez sprzeciwu podeszła do drzwi i zamknęła je. Nie wytrzymuję ludzi, powiedziałem i znowu zacząłem mówić o Aleksandrze, choć przecież oczekiwałem Spadoliniego, który lada chwila powinien przyjechać. Po ostatnim pobycie w Wolfsegg, powiedziałem do sióstr, nie chciałem nigdy więcej tutaj wracać, powiedziałem nigdy więcej, chociaż pomyślałem, długo nie, ale to nigdy więcej wywarło na siostrach większe wrażenie, dlatego też wypowiedziałem te słowa kilkakrotnie, mój dom jest w Rzymie, a nie w Wolfsegg, powiedziałem do sióstr, Aleksandra zaś należało bezwarunkowo umieścić tutaj w domu. Zamiast posłać tych wszystkich wstrętnych ludzi z Wiener Neustadt, z Wels i Monachium na dół do wsi, posłaliśmy tam Aleksandra, to niewybaczalna podłość, właśnie Aleksandra, powtórzyłem kilkakrotnie i zacząłem się już zastanawiać, czy nie powinienem zejść na dół do wsi i przyprowadzić Aleksandra z powrotem na górę, ale siostry nawet nie wiedziały, w którym zajazdzie Aleksander się zatrzymał. Bezczelność,*

powiedziałem, tak sobie tu ucztować, a Aleksandra skazać na żarcie w gospodzie, powiedziałem. Mimo że on zawsze w Brukseli przyjmował mnie jak najlepiej, całymi tygodniami nocował i gościł w najbardziej wspaniałomyślny sposób. Zarzuciłem siostrze; że *celowo* umieściły Aleksandra we wsi, bo nie odpowiada im mój związek z nim i chciały mi wyrządzić przykrość. Z pewnością jednak posunąłem się za daleko i najprawdopodobniej było to nieuzasadnione podejrzenie z mojej strony. Takiego wartościowego człowieka wysłać do wsi, powiedziałem. A tych bezdennie zakłamanych i zidiociałych ludzi z Wiener Neustadt, z Wels i Monachium zakwaterowywać tutaj, by tak rzec, przez ścianę z nami, to jest podłe. Ponieważ przez cały czas naciskałem siostry w sprawie Aleksandra, ta wspólna kolacja za zamkniętymi drzwiami wcale nie była przyjemna dla nikogo z naszej trójki. Siostry milczały, pozwalając mi mówić, dzięki czemu były w korzystniejszej sytuacji; podczas tej małej kolacji pozwalały mi, by tak rzec, rozwodzić się coraz szerzej nad krzywdą, którą mi wyrządziły, obserwowały ten proces, po czym spróbowały go wykorzystać, zadając kilka pytań dotyczących najbliższej przyszłości, aż wreszcie zasypały mnie wyłącznie pytaniami dotyczącymi przyszłości Wolfsegg. Ja jednak nie odpowiedziałem na ani jedno z tych pytań, szczerze mówiąc dlatego, że nie znałem na nie odpowiedzi, najbliższa przyszłość bowiem była mi znana w równie małym stopniu jak im. Przecież wszyscy zawsze wiedzieliśmy, jaki zapis znajduje się w testamencie rodziców, złożonym nie tylko w wolfseggskiej szafie pancерnej, lecz także u naszego adwokata w Wels.

Co się tyczy tego testamentu, nigdy nie było tajemnic, a zatem też nigdy niejasności. Po śmierci rodziców i brata Wolfsegg automatycznie przypadało mi, *w całości*. Ze zobowiązaniem zapewnienia siostrze należnego miejsca w Wolfsegg, odstąpienia należnej im części albo po prostu spłacenia ich, ja zaś od samego początku myślałem bardziej o spłaceniu sióstr niż o dzieleniu się z nimi Wolfsegg. Chciały ode mnie usłyszeć, co myślę o ich przyszłości w Wolfsegg, ale im tego nie powiedziałem, w ogóle nic nie wyjaśniłem, decyzja należy do

mnie, nie do nich, pomyślałem, i że w gruncie rzeczy od razu w chwili otrzymania wiadomości o tym śmiertelnym wypadku, muszę to sobie powiedzieć, zdecydowałem się na spłacenie ich, a nie na podział. Jeszcze trzymałem telegram w ręce, a już postanowiłem, że je spłacę, pomyślałem, ledwo przeczytałem telegram; jeszcze widzę siebie stojącego przy oknie rzymskiego mieszkania i patrzącego na Piazza Minerva w dole, na okna Zacchiego, na kopułę Panteonu, i mówiącego do siebie, że oczywiście jestem za spłatą, a nie za podziałem. Myśl o spłaceniu siostr była zresztą najpierwszą myślą, jaką pomyślałem po otrzymaniu telegramu. Siostry pytały mnie nieustannie, co teraz zrobimy, się z nimi stanie, a ja nic na to nie odpowiadałem, nie pytały mnie słowami, lecz całym swoim zachowaniem przy stole, gdyż w rzeczywistości nie odzywały się ani słowem, pozwalając, jak już napisałem, abym to ja mówił. Długo nie zauważyłem, że nie ma szwagra, dla którego oczywiście, co nagle spostrzegłem, zostało również nakryte, zapytałem więc o szwagra, a Caecilia powiedziała, że poszedł na dół do wsi, prawdopodobnie do jednej z gospód, powiedziała, on, szwagier, już w ciągu tego jednego tygodnia po ślubie nabrał nawyku schodzenia na dół do wsi, zamiast spożywać kolację rodziną.

To typowe dla takich ludzi, powiedziałem, że je biorą na siebie nawet najprostszyc obowiązków i nie ja-dają kolacji z rodziną, skoro bardziej odpowiada im jedzenie i upijanie się w gospodzie, powiedziałem.

Usłyszawszy tę uwagę, Caecilia zamilkła, Amalia również. Ale to przecież niemożliwe, żeby ten człowiek tak całkiem po prostu się usamodzielił, i zapytałem siostry, dlaczego nie przeszkodziły szwagrowi, tylko pozwoliły mu zejść na dół do wsi i, by tak rzec, zmieszać się z ludem, właśnie w taki dzień, powiedziałem. Siostry milczały i nie udzielały odpowiedzi. Ten człowiek wystawia nam złe świadectwo we wsi, powiedziałem. To się nie godzi, powiedziałem. To doprawdy niesłychane. W chwilę potem powiedziałem, że potrafię to zrozumieć, bo ja sam również nie wytrzymałbym z takimi siostrami i

z taką rodziną, która teraz już jednak nie istnieje, powiedziałem.

Przestała w ogóle istnieć, powtórzyłem kilka razy, na co siostry obrzuciły mnie karcącymi spojrzeniami.

Szwagier przesiaduje w gospodach i ośmiesza nas, powiedziałem. Już ja mu powiem, co o tym myślę, przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy tylko wróci, powiedziałem. Na to Amalia powiedziała, że fabrykant kapsli do wina wraca ze wsi na górę zawsze dopiero po północy, dopiero gdy zamykają wszystkie gospody. Caecilia tego nie skomentowała. Wyrobiłem sobie swój własny pogląd. Potrafię zrozumieć szwagra, powiedziałem, ale dzisiejszego dnia jego zachowanie jest absolutnie nie do przyjęcia.

Czy już za życia rodziców, wieczorami, zamiast „wieczerać” wraz z nimi, również szedł upijać się na dół do wsi, zapytałem Caecilię, Caecilia zaś odpowiedziała na to pytanie twierdząco. Ale sama wzięła sobie na głowę tego fabrykanta kapsli do wina, powiedziałem. To przywiodło mi na myśl ciotkę z Titisee, zapytałem więc, czy już jest w domu; ciotka z Titisee dawno przyjechała i poszła do łóżka, powiedziały siostry, nocuje oczywiście w pokoju matki. Tak, powiedziałem, w pokoju matki, oczywiście. To przecież groteskowe, że akurat ciotka z Titisee nocuje w pokoju matki, pomyślałem. Nie widziałem jej. W ogóle jej nie widziałem, powiedziałem. Co za bezwstydną osobą, powiedziałem. Na to siostry napadły na mnie brutalnie, robiąc mi zarzut, że w ogóle nie zatroszczyłem się o przybyłych gości, obarczyłem je nimi, chociaż przecież byłoby samo przez się zrozumiałe, że to *ja* ich przyjmuję, i to wszystkich, bez wyjątku, usłyszałem teraz od Caecilii, a Amalia jej przytakiwała. Wszyscy oczywiście pytali o mnie zaraz po przyjeździe, zanim jeszcze poszli do oranżerii, żeby rodzicom i bratu, by tak rzec, oddać ostatnie honory, ja zaś tchórzliwie unikam wszystkich tych ludzi, ukrywam się, szukały mnie to tu, to znowu ówdzie, kazały mnie nieustannie szukać, ja jednak, co zresztą *zawsze był* o w moim zwyczaju, w nader przebiegły sposób uchylam się od tej oczywiście uciążliwej procedury. Więc może miałem stać przez cały czas przy portalu,

ściskać wszystkim ręce i raz po raz powtarzać to samo zdanie? spytałem. Tego właśnie ode mnie oczekiwały, żebym mianowicie stał wraz z nimi przy portalu i przyjmował przybywających żałobników, z odpowiednio namaszczonym wyrazem twarzy. Nie wyświadczyłem wam tej grzeczności, powiedziałem do siostr, bo nie byłem do tego zdolny. Już w Rzymie postanowiłem, że nie i stanę przed portalem, powiedziałem do nich. Już w Rzymie przewidziałem, jak potoczy się ten pogrzeb, *straszenie*, powiedziałem, że wszystkimi możliwymi okropieństwami. Ale to minie, powiedziałem, wszystkie okropieństwa zawsze mijają. Obluda jest teraz i tutaj nie na miejscu. Wszystko to nie ma nic wspólnego z żałobą, to tylko teatr, powiedziałem. Rodzice już nie istnieją, w oranżerii leżą *ciała wystawione na proces gnicia*, powiedziałem, *które z tymi ludźmi, jakich te ciała kiedyś stanowiły*, powiedziałem, *nie mają nic wspólnego. Wszystko to jest teraz w mniejszym lub większym stopniu teatrem. A ja nie mam ochoty odgrywać w tym teatrze roli oglądanego przez gapiów głównego aktora, brak mi nieodzownej do tego ochoty. Wszystko to mówiliśmy naturalnie cicho, żeby nikt nas nie usłyszał, żeby nikt nie zrozumiał, co mówimy, na wypadek gdyby, co wszakże jest możliwe, jak pomyślałem, nas podsłuchiowano. Zresztą i tak raz po raz ktoś pukał do zamkniętych drzwi, potem jednak, chociaż nie rozumieli naszego zachowania, przestawali pukać. Jedzenie we trójkę było też tylko pretekstem do, jak siostry prawdopodobnie myślały, niezakłóconego bycia we troje, do czego jednak nie doszło, gdyż z powodu nieustannego pukania do drzwi nie mieliśmy chwili spokoju, i w gruncie rzeczy wszyscy troje byliśmy oczywiście podenerwowani, co nietrudno sobie wyobrazić. Podobno przyjechało już około osiemdziesięciu osób, które tu nocują, usłyszałem od siostr, na co powiedziałem, że większość z nich traktuje ten pogrzeb wyłącznie jako pretekst do zrobienia sobie urlopu na łonie naszej pięknej natury, nie przyjechali w żadnym innym celu, pora roku się do tego nadaje, powiedziałem, a także to, że ten urlop jest również dla nich wszystkich w mniejszym lub większym stopniu bezpłatny, gdyż rachunki za tych wszystkich ludzi płacimy wszakże my,*

*powiedziałem, rachunki zostaną zapłacone z kasy Wolfsegg. Wszystkim tym ludziom, powiedziałem do sióstr, chętnie opłaciłbym urlop gdziekolwiek, żeby tylko nie musieć ich oglądać, a teraz mam ich w domu, nie powiedziałem teraz mamy ich w domu, powiedziałem teraz mam ich w domu, językiem absolutnie wyłącznego właściciela. Nie ma w mydlić sobie oczu, powiedziałem, pogrzeby to zawsze tylko teatr. Zaraz potem pomyślałem jednak, że za daleko posunąłem się w tych swoich wypowiedziach, a przecież najchętniej wcale bym się nie wypowiadał, najchętniej nie mówiłbym ani słowa, powiedziałem już tyle słów, bezsensownych, stawiających mnie naprawdę w okropnym świetle. Kiedy ktoś słyszy mnie mówiącego, musi sądzić, że jestem w ogóle człowiekiem najgorszego charakteru, pomyślałem, ale z pewnością są jeszcze o wiele gorsi. W ten sposób chciałem naraz odwrócić uwagę od swoich wybuchów wściekłości, przede wszystkim na uczestników pogrzebu, ulokowanych w domu, toteż powiedziałem do sióstr, że Rzym jest dla mnie wszystkim, że mogę istnieć wyłącznie w Rzymie. Wtedy natychmiast się ożywiły, ale mnie nie rozumiały. Naprawdę, powiedziałem, gdy tylko pomyślę o Rzymie, nie mogę się już doczekać powrotu do tego miasta, a jestem tutaj dopiero kilka godzin. To, że jeszcze rano byłem w Rzymie, jest dla mnie czymś najbardziej nieprawdopodobnym, powiedziałem. A potem spytałem, czy rozmawiały ze Spadolinim przez telefon. Potwierdziły, że dzwonił z Rzymu, że oczywiście przyjedzie, lada moment, jeszcze tego wieczoru, jak, tego sam na razie nie wie, ale jeszcze dzisiaj przyjedzie do Wolfsegg. Tak więc czekaliśmy już tylko na Spadoliniego, na arcybiskupa, na kochankę naszej matki, na glancusia. Gambetti również stale mi zarzuca, że nie potrafię się opanować, powiedziałem do sióstr, ale zawsze byłem człowiekiem nieopanowanym, powiedziałem, nieobliczalnym i zawsze liczącym na to, że inni zrozumieją ten brak opanowania. Oraz związaną z tym bezwzględność. Ale to oczywiście zbyt duże wymaganie. Jednak w Rzymie jestem całkiem inny, powiedziałem, tam nie jestem taki poirytowany, nieopanowany ani nieobliczalny. Rzym mnie uspokaja, Wolfsegg mnie denerwuje. W Rzymie*

moje nerwy się uspokajają, chociaż jest to najbardziej nerwowe miasto świata, a w Wolfsegg jestem zawsze zdenerwowany, chociaż tu jest zawsze najspokojniej. Jestem ofiarą tego paradoksalnego stanu rzeczy, powiedziałem do sióstr. W Rzymie mam całkiem inny sposób wyrażania się, powiedziałem do nich, zupełnie inaczej rozmawiam ze wszystkimi ludźmi; Gambetti powiedział mi kiedyś, że gdy wracam z Wolfsegg do Rzymu, początkowo zawsze mówię ze zdenerwowaniem, jakie towarzyszy mi wyłącznie w Wolfsegg. Winę za to ponosi moja rodzina, powiedziałem wtedy do Gambettiego, któremu wydawało się, że w Wolfsegg mój sposób myślenia zawsze wypada z rytmu, by tak rzec, z *rzymskiego rytmu*. Gambetti mówił często, że po powrotach z Wolfsegg jestem nie do poznania, z takim człowiekiem, jakim jestem, gdy wracam z Wolfsegg do Rzymu, nigdy nie mógłby się zaprzyjaźnić, powiedział, gdyż po powrotach z Wolfsegg jestem zupełnie inny, by tak rzec, odwrotny do rzymskiego. Prawdę mówiąc, on może przebywać tylko z tym rzymskim, a nie z tym z Wolfsegg. Zawsze potrzebowałem kilku dni, by po powrocie z Wolfsegg uczynić z siebie na powrót rzymianina, który dla niego, Gambettiego, może być użyteczny, dla którego on z kolei może być przyjacielem i uczniem, partnerem rozmów, gdyż dla wolfsegganina nie może być tym wszystkim. Wolfsegg jest dla mnie szkodliwe, mówił zawsze Gambetti, powiedziałem do sióstr. Wystarczy, że dwa lub trzy dni przebywam w Wolfsegg, a już jestem na kilka tygodni wytrącony z równowagi, powiedział o mnie Gambetti, powiedziałem do sióstr. Ja zaś nigdy nie wiem, co mnie zawsze wytrąca z równowagi w Wolfsegg, krajobraz czy ludzie, a może w ogóle powietrze, choć przecież jest najlepsze ze wszystkich, jakie znam, powietrze w Wolfsegg jest najlepsze.

Czy to bardziej mury czy ludzie? zapytałem, nie wiem. To Wolfsegg jako całość, powiedziałem. Ale myślenie o tym lub nawet wypowiedzenie tego, powiedzenie im o tym jest przecież niemożliwe w obliczu faktu, że teraz nagle, by tak rzec, *przez noc*, zostałem dziedzicem Wolfsegg i przejąłem je, jak musiały myśleć, nie przejmę, lecz już przejąłem, jak pomyślałem. Musiały tę



sukcesję potraktować poważnie, nie wyobrażały sobie też w rzeczywistości niczego innego, niż że właśnie ja przejmę Wolfsegg. I to w najdrobniejszych szczegółach i z wszelkimi konsekwencjami. Nie zważając na to, że przecież nie słyszały większości tego, co myślałem, a więc nie mogły śledzić całego toku mojego myślenia, naraz powiedziałem do nich głośno, *ale ja nie jestem gospodarzem wiejskim, nie jestem tym, kto wsiądzie na traktor, jak ojciec. Nie jestem traktorzystą i nie mam ochoty spierać się z dyrektorami magazynów o worek nawozów sztucznych tylko dlatego, że ten worek nawozów sztucznych jest wypełniony do połowy, chociaż ja zapłaciłem za cały. Ja nie jestem Johannesem*, powiedziałem. *Rodzice nie zauważyli, że nie jestem Johannesem.* To ostatnie spostrzeżenie chciałem rozwinąć nieco bardziej szczegółowo, jednakże w tej chwili rozległo się tak uporczywe pukanie do drzwi, że *Caecilia wstała i poszła otworzyć. To fabrykant kapsli do wina się dobijał. W milczeniu usiadł przy stole, gdzie było dla niego nakryte, pomyliłeś się, pomyślałem, on nie poszedł na dół do wsi, nie do gospód. Szwagier był naprawdę trzeźwy, żona położyła na jego talerzu kawałek mięsa i nalala mu wina. Był przez cały czas w pawilonie ogrodowym, powiedział teraz szwagier, usprawiedliwiając się, ze zmęczenia zaszył się w pawilonie ogrodowym i tam przysnął. W końcu wstał dziś już o trzeciej rano, tak w każdym razie powiedział, ponieważ siostry posłały go na dół do wsi do najróżniejszych rzemieślników i handlarzy, a wszystko w związku z wypadkiem. I nagle rozboląła go głowa. W chłodnym pawilonie ogrodowym było mu przyjemnie. Czy wszystko przebiega, jak należy, spytał, równocześnie jedząc, jakby od rana nic nie miał w ustach, chociaż przecież dopiero dwie czy dwie i pół godziny wcześniej jadł ze mną w kuchni, jak pomyślałem. Nie mogąc znieść sposobu jedzenia szwagra i tego, że słowem się nie odzywał, wstałem i wyszedłem. Pomyślałem, że jeśli opuszczę siostry i szwagra, uda mi się powściągnąć swoją napastliwość, zszedłem więc na dół do westybulu, jakbym nie widział stojących tam ludzi, którzy od razu zwrócili się w moją stronę. Zrobiłem pogrzebową minę, jak to się mówi, i ostentacyjnie*

*wszedłem do kaplicy, gdzie usiadłem w jednej ze środkowych ławek. W kaplicy było chłodno i przyjemnie. Nic więc dziwnego, że z tego powodu wykorzystuje się ją przeważnie jako spiżarnię. Całkiem odruchowo ukląknęłam w ławce, a gdy to sobie uświadomiłam, ponownie usiadłam. Nagle odniosłam wrażenie, że do kaplicy weszła ciotka z Titisee. Odwróciłam się i zobaczyłam, że się nie pomyliłam. Przyszła z nią jedna z jej stałych towarzyszek, jedna z siostrzenic, dwunasto lub trzynastoletnia. Ciotka z Titisee była cała w woalach, z miłości do zmarłego brata prawie zupełnie zamaskowała się na czarno. Ponieważ czułam się przez nią w nikczemny sposób obserwowana, wstałam i wyszedłam z kaplicy, uprzednio całując ciotkę z Titisee w rękę, którą wyciągnęła do mnie spod woali. Przez westybul i park poszedłam sam do oranżerii. Dwaj łowczy trzymali tam wartę przy zmarłych. Wydało mi się, że woń zgnilizny jeszcze się wzmogła.*

*Uniosłam czarne całuny, by skontrolować bloki lodu pod trumnami, które to bloki tymczasem najwyraźniej wymieniono. Pozwoliłam sobie tylko na krótkie spojrzenie na twarze zmarłych, nie wytrzymałabym bowiem dłuższego na nie patrzenia. Gdy wszedłam do oranżerii, obaj łowczy przyjęli, jak to się mówi, postawę zasadniczą, co napętniło mnie obrzydzeniem. Wychodząc, poczułam, że to jest jeszcze śmieszniejsze niż przedtem, ale nie miałam możliwości zmienić czegokolwiek w całym tym odrażającym ceremoniale, który moje siostry, a przede wszystkim Caecilia, zaaranżowały dokładnie według obowiązujących reguł, nie potrafiąc odmówić wcielenia w najdrobniejszych szczegółach wszystkich ustaleń z tak zwanego planu pogrzebowego. Z drugiej strony pomyślałam równocześnie, że ta ceremonia doskonale pasuje do Wolfsegg i nie miałoby sensu jej niszczyć. Wszystko tu jest jak trzeba, pomyślałam, niezależnie od tego, czy to wywołuje zgorszenie, czy też nie. A jednak stojący po obu stronach katafalku łowczy byli niewątpliwie komicznymi postaciami, jak odlani z cyny, wystrojeni przez zachwyconego teatrem kostiumologa. W czasie gdy stałam przy trumnach, ogrodnicy zmienili wodę w kubłach. I znów mogłam dostrzec wyraźną różnicę między łowczymi a ogrodnikami, łowczy byli śmieszni,*

*sztuczni, ogrodnicy zaś naturalni. To natychmiast uruchomiło we mnie po raz któryś myślenie porównawcze, w czym, w ogóle nie przejmując się faktem, że stoję przed spoczywającymi na katafalku zmarłymi, odnalazłem się natychmiast z największą przyjemnością: kim są łowczy w odróżnieniu od ogrodników i co sobą w odróżnieniu od nich przedstawiają. Przecież z zewnątrz, powiedziałem do siebie, nie można poznać, co myślę ani że rozmyślam o różnicy między łowczymi i ogrodnikami, a już na pewno nie można poznać, że rozmyślam o usposobieniu łowczych i o usposobieniu ogrodników oraz o tym, jak te dwa usposobienia się do siebie mają. Ludzie myślą, że myślę o pogrzebie, ja natomiast, stojąc przed trumnami, tuż przy zwłokach, bynajmniej nie myślałem o pogrzebie. Orodnicy to ludzie o delikatnych nerwach, pomyślałem, łowczy natomiast przedstawiają sobą zbrutalizowany świat. Jeśli zarówno tych, jak i tamtych ze względu na sytuację w Wolfsegg zatrudnimy przy tym samym zajęciu, otrzymamy urok, jaki Wolfsegg naturalnie również sobą przedstawia, pomyślałem. Wolfsegg przedstawia sobą ogromny urok dla każdego, kto ma ochotę ów urok dostrzec. Przecież ludzie zawsze tu przyjeżdżają i mówią, jak bardzo urokliwe jest według nich Wolfsegg. A zatem Wolfsegg może być widziane i w ten sposób, jako najbardziej urokliwe, co nietrudno sobie wyobrazić, jeśli idzie o majątek ziemski. Ja jednak nie potrafię tak patrzeć, nigdy nie potrafiłem, pomyślałem. I już się tego nie nauczę. Zniszczyłem w sobie taki sposób patrzenia, pomyślałem, wychodząc. Park opustoszał. Reszta rodziny jeszcze je kolację, pomyślałem, patrząc w górę ku oknom. Również ich jest troje, powiedziałem do siebie, szwagier, Caecilia, Amalia. I prawdopodobnie się zamknęli. To ciągle zdenerwowanie we mnie, jak tego uniknąć? zadałem sobie pytanie. Moje pojawienie się musi być dla nich wszystkich impertynencją, obrażam nie tylko siostry, nie tylko szwagra, obrażam wszystkich, pomyślałem. Ale w rzeczywistości nie jestem impertynentem, jak mówiono na mnie od dzieciństwa, pomyślałem, a zaraz potem, że jednak jestem takim impertynentem.*

*Do Gambettiego powiedziałem, iż teraz będę musiał bardzo ogłędnie*

wszystko z siostrami omówić i wciągnąć w te rozmowy szwagra, do wszystkiego przystąpić oględnie, Gambetti, powiedziałem do niego w Rzymie, to samo również powtarzałem raz po raz Zacchiemu i Marii, że teraz będę musiał postępować w Wolfsegg oględnie, ale do tej pory bynajmniej nie postępowalem oględnie, pomyślałem, wręcz przeciwnie, dla niczego nie miałem względów, dla nikogo, i że to nic dziwnego, iż wszystkim, którzy widzą moje absolutnie bezwzględne zachowania, muszę wydawać się człowiekiem bezwzględnym, a nawet nikczemnym. Ale całkiem po prostu nie mogę zachowywać się inaczej, powiedziałem do siebie, całkiem po prostu nie mam żadnej innej możliwości. Nie dorosłem do tej sytuacji, ale również w tej sytuacji nie zawiniłem, nie wywołałem jej. W tym momencie przybył Spadolini. Od razu zaprowadziłem go na górę do sióstr, Caecilii poszła z nim do pokoju ojca, gdzie, jak się wyraził, chciał zrobić toaletę. W tym czasie ja udałem się do lewej górnej biblioteki, która okazała się zamknięta, więc poleciłem Caecilii, żeby przyniosła mi klucze od wszystkich naszych bibliotek, nazajutrz otworzę wszystkie pięć bibliotek, pomyślałem, jeszcze zanim rozpoczną się tak zwane uroczystości pogrzebowe. Usiadłem z Siebenkasem na krześle przy oknie, ale oczywiście nie czułem w sobie spokoju, nieodzownego do czytania, również Spadolini nie wychodził mi z głowy, to niesłychane wrażenie, jakie znowu na mnie zrobił, było silniejsze niż Siebenkas odłożyłem więc książkę na bok. Wiedziałem o tym, że Siebenkas znajduje się w tej bibliotece, umieszczono tutaj książki z okresu Jeana Paula, kiedyś tam jeden z naszych przodków uporządkował książki w tych bibliotekach, nikt już nie umie powiedzieć, kto. Ale oni musieli jeszcze mieć kulturę, pomyślałem, obecni nie mają kultury. Co to jednak znaczy mieć kulturę? zadałem sobie pytanie. Jeśli mówimy, że ci mają kulturę, a tamci jej nie mają, to jest to bez sensu, pomyślałem, mówimy to bezmyślnie. Spadolini miał w ręce jedynie małą czarną torbę podróżną, pomyślałem, siedząc na krześle przy oknie. Później usłyszałem, że bierze prysznic, bo przecież biblioteka przylega do pokoju ojca; wyobraziłem go sobie, Spadoliniego, pod strumieniem wody,

*rozkoszującego się Spadoliniego, znam tylko takiego rozkoszującego się Spadoliniego, pomyślałem. Wyciągnąłem nogi, zgasilem światło i pomyślałem o spotkaniu z Marią, której dałem do przejrzania swój rękopis. Jak wszystkie moje rękopisy, jest napisany niechlujnie, kiedy wrócę do Rzymu, omówi go ze mną, rozłoży na czynniki pierwsze, po czym ja go wyrzucę, jak wszystkie napisane przez siebie teksty, które kiedykolwiek dałem jej do przeczytania. Więcej rękopisów wyrzuciłem, niż zachowałem, pomyślałem, na te zachowane nie mogę już patrzeć, przygnębiają mnie, oddają moje myśli w absolutnie śmieszny sposób, nie warto o tym mówić.*

*Moje rękopisy są nic niewarte, powiedziałem do siebie, nigdy jednak nie przestałem podejmować prób zapisywania różnych myśli, by tak rzec, targać się na ducha, pomyślałem. Maria jest bezstronna, postępuje z moimi rękopisami tak, jak na to zasługują, pomyślałem. Kiedy wyrzucam sprawdzony przez nią rękopis, odczuwam ulgę, pomyślałem. Potem obejmuję ją i oboje przyglądamy się, jak rękopis płonie w jej piecu. To jest z Marią zawsze stan najwyższego szczęścia, pomyślałem. Nikt poza Marią nie potrafi mi uświadomić, że moje rękopisy nie są nic warte i należy wrzucić je do ognia. Kiedyś nazwała mnie człowiekiem, który targa się na filozofię i grzeszy przeciw rozumowi. Chciała tylko zażartować, ale ja potraktowałem tę wypowiedź jako gorzką prawdę. Nie zrezygnuję jednak, powiedziałem do siebie. Już znowu mam coś w głowie. Być może będzie to nosiło tytuł Wymazywanie, pomyślałem, spróbuję tym wszystko wymazać, co przychodzi mi na myśl, wszystko, co w tym Wymazywaniu zostanie napisane, ulegnie wymazaniu, powiedziałem do siebie. Ten tytuł mi się spodobał, w moim odczuciu emanowała z niego ogromna fascynacja. Już nie pamiętam, w jakich okolicznościach przyszedł mi do głowy. Sądzę, że wymyśliła go Maria, która kiedyś nazwała mnie wymazywaczem. Jestem jej wymazywaczem, twierdziła.*

*A to, co przenoszę na papier, zostaje wymazane. W Rzymie spróbuję napisać Wymazywanie, ale zabierze mi to rok, i nie wiem, czy będę miał siłę być*

*przez rok gotowym tylko na to wywazywanie, pomyślałem.*

*Na nim się skoncentrować. Napiszę Wymazywanie i bez ustanku będę z Gambettim omawiał różne rzeczy dotyczące Wymazywania, także ze Spadoliniem, z Zacchim i naturalnie z Marią, pomyślałem; mimo iż oni nie wiedzą, że noszę w głowie Wymazywanie, przedyskutuję z nimi wszystko, co dotyczy tego Wymazywania. Moja tęsknota za Rzymem była większa niż cokolwiek na świecie. Najchętniej od razu wróciłbym ze Spadoliniem do Rzymu, pomyślałem. Bolało mnie, że muszę udzielić sobie odpowiedzi odmownej. Spadolini wraca do Rzymu już jutro wieczorem, ty zostajesz w Wolfsegg. To jest twoja życiowa kara, pomyślałem. Zjeść z Marią kolację, powiedziałem do siebie, to b y dopiero teraz było, porozmawiać z nią o jej nowych wierszach. Posłuchać jej. Okazać ufność. Nalać wina. Wziąłem znowu do ręki Siebenkasa, otworzyłem go, zapaliłem światło i zacząłem się zastanawiać, czy nie było od rzeczy, całkiem błędne, dawać Gambettiemu Siebenkasa. To, że dałem mu Proces, to dobrze, ale niedobrze, że dałem mu Siebenkasa. Zamiast Esch lub anarchia powinienem był dać mu jeszcze raz Schopenhauera.*

*Tyle że teraz wczytał się już w Siebenkasa, by się w nim zaczytać, pomyślałem. Wyobraziłem go sobie w jego gabinecie, jak odseparowany od rodziców, może całkowicie poświęcić się swojej namiętności, czyli literaturze niemieckiej, zostawiony w całkowitym spokoju. I że przecież ma w głowie wyłącznie myśl o rozpiłowaniu i wysadzeniu tego świata w powietrze. Może kiedyś usłyszę straszliwy huk, pomyślałem, bo Gambetti, traktując swoje myśli poważnie, rzeczywiście wysadzi świat w powietrze. On sam do tej pory jedynie marzył o tym, że wysadzi świat w powietrze, rozpiłuje go i wysadzi w powietrze. Ale takie osoby jak Gambetti, powiedziałem do siebie, po czym poprawiłem się od razu i powiedziałem: takie osobowości, jeśli tylko będą miały po temu możliwość, urzeczywistnią pewnego dnia to, o czym przez dziesiątki lat jedynie fantazjowały. Gambetti jest nie tylko urodzonym fantastą, on jest również urodzonym realizatorem swoich fantazji. Ciągle czekam na ten wielki huk,*

pomyślałem, wyciągnąłem nogi przed siebie, nasłuchiwałem i słyszałem odgłosy wydawane przez Spadoliniego, odświeżającego się pod strumieniem wody. W bibliotece były zamknięte tysiące much, wszystkie nieżywe, od wielu lat leżały na podłodze, na kilku kupkach, pod moimi stopami. Nikt nigdy ich nie zamiótł, oni nie wchodzili do bibliotek, teraz mam klucze w ręce i otworzę biblioteki, pomyślałem, ale nie dzisiaj, dzisiaj jestem na to zbyt zmęczony, jutro, od razu rano, zanim jeszcze wzejdzie słońce. Wszystkie pięć bibliotek otworzę na zawsze, pomyślałem i z tą myślą wstałem, podszedłem do okna, by spojrzeć na drugą stronę, ku oranżerii. Dla Marii ten widok byłby czymś absolutnie wspaniałym, pomyślałem, inspiracją nie tylko do napisania wiersza. Ogrodnicy ciągle jeszcze chodzili z coraz to nowymi wieńcami i bukietami kwiatów z folwarku po drugiej stronie do oranżerii, do wieczora nie skończą pracy, pomyślałem. Będą musieli pracować przez całą noc. Ta scena była na wskroś teatralna. A ponieważ myślałem, że Spadolini będzie robił toaletę jeszcze przynajmniej pół godziny, wyszedłem z biblioteki i zszedłem na dół do westybulu.

Było pół do dziewiątej i ani żywej duszy. Zajrzałem do kaplicy, ale ciotka z Titisee już dawno wróciła do swojego pokoju. Usiadłem na tym samym miejscu, gdzie wcześniej siedziała ciotka z Titisee ze swoją młodą, muszę powiedzieć, piękną towarzyszką. Staruszka i młoda dziewczyna, pomyślałem, opiekunka i podopieczna, i na odwrót.

Ukląknąłem znowu, równie bezmyślnie jak wcześniej, usiadłem z powrotem i pomyślałem, że książęta Kościoła, wszyscy razem wzięci, prowadzą niedobłą grę, gdyż uważają Kościół jedynie za niesamowity spektakl światowy, w którym sami grają główne role. I wszyscy ci książęta Kościoła chcą się i cisną na pierwszy plan. Choćby nie wiem co mówili, rozumieją naturalnie, że chodzi tu o największy i równocześnie najbardziej zakłamaną spektakl, jaki kiedykolwiek grano, Spadolini gra zawsze na rampie, zawsze jak najbliższy odtwórcy głównej roli, papieża. Ale przecież nie *tak* blisko, żeby musiał z nim umrzeć i zostać

obalony. Przeżył już trzech papieży, pomyślałem, klęcząc w ławce, a ponieważ obecny, jak wiadomo, też cierpi na śmiertelną chorobę, przeżyje i tego czwartego, po czym wystąpi jako jeszcze większy glancuś niż do tej pory. Spadolini jest absolutnie opętany tym kościelnym spektaklem.

Początkowo myślałem, że będę miał czas pójść na drugą stronę do folwarku i zajrzeć do obór, co jeśli robiłem, to zawsze o tej porze, gdy zwierzęta całkiem się już uspokajały, ale pomyślałem, że nie mogę przecież urazić Spadoliniego i zostawić go tu w samotności, chciałem też zejść na dół do wsi, żeby poszukać Aleksandra, ale już po chwili zrezygnowałem z tego pomysłu, nie miałem bowiem ochoty wystawiać się na spojrzenia ludzi, nie tego dnia, nie tego wieczoru. Spadoliniego i Aleksandra poznałem kiedyś ze sobą w Brukseli, jednakże eksperyment, aby ci dwaj, księżę Kościoła i fantasta, wiedli dysputę tak długo, póki nie dojdą do wspólnego stanowiska, nie udał mi się, założyłem się, by tak rzec, sam ze sobą, i przegrałem zakład. Raz Spadolini był górą, to znów Aleksander, sprawiało mi przyjemność przysłuchiwać się im obu, patrzeć, jak jeden drugiego stara się przebić, ale ta walka umysłów, jak ją nazywam, pozostała nierozstrzygnięta.

Spadolini często mówił, że chciałby spotkać się z Aleksandrem, podobnie i Aleksander oświadczał, że chętnie by się zobaczył ze Spadolinim. Co za niefortunna sytuacja, iż Spadolini, księżę Kościoła, mieszka u nas, a Aleksander, fantasta, został zesłany przez siostry na dół do wsi. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czyby później, gdy Spadolini będzie gotowy, nie zejść z nim na dół do wsi i razem poszukać Aleksandra, zrezygnowałem jednak z tego pomysłu, nie mogłem bowiem wymagać od Spadoliniego, już w pierwszej godzinie, jeszcze zanim w ogóle cokolwiek zje, aby udał się ze mną na poszukiwanie Aleksandra. A i sam Spadolini odrzuciłby moją propozycję, był to winien siostrom, które tymczasem siedziały w tak zwanym salonie, czekając wyłącznie na Spadoliniego, ekscelencję z Rzymu. Przez chwilę wydało mi się perwersyjne, że znajduję się akurat w kaplicy, w której siedziałem kiedyś z Marią, po



spacerze w lesie, trzy lata temu spotkałem się tu z Marią, którą zaprosiłem do Wolfsegg, gdy wracała z Paryża do Rzymu. Rodzice wyjechali; gdy wrócili, a ja już od dawna byłem z Marią w Rzymie, siostry naopowiadały im bzdur, kłamstw, jak teraz pomyślałem. Maria była naturalnie zachwycona Wolfsegg, najlepsze powietrze jakie kiedykolwiek wdychałam, powiedziała, zrobiłem z nią dwa długie spacerzy przez masyw Hausruck, jeden aż do Haag, skąd wróciliśmy pociągiem. Johannes przyjechał po nas na stację do Mambach. O Johannesie Maria powiedziała, że jest *prostym, ale miłym człowiekiem*. Wieczory spędzaliśmy we wsi, w przynoszącej wytchnienie gospodzie *Brandl*, raz jednak byliśmy nawet w Ottnang, u *Gesswagnera*, w mojej ulubionej zwyczajnej gospodzie, gdzie Maria stała się nagle niesłychanie rozmowna, natychmiast nawiązała kontakt z gospodarzami, ze wszystkimi gośćmi, to było absolutnie niesamowite, zawsze bowiem miała problemy, jeśli idzie o kontakty z prostymi ludźmi, większe niż ja, który w gruncie rzeczy nigdy ich nie miałem, w każdym razie nie w odniesieniu do prostych ludzi, z proletariuszami to co innego. Przed wszystkim rozumiała się dobrze z Gesswagnerową i nawet, czego zazwyczaj nie robiła, zaczęła opowiadać o swoim życiu. Okazało się, że Maria miała podobne dzieciństwo jak Gesswagnerowa, którą znam jako osobę nietracącą nigdy dobrego humoru.

*Wolfsegg*, powiedziała wówczas Maria, *podoba mi się, ale twoi ludzie mi się nie podobają*. To wygłoszone wtedy przez nią zdanie dźwięczy mi w uszach po dziś dzień. Maria nie dała się nakłonić do ponownego przyjazdu do Wolfsegg. To nie dla mnie, powiedziała. Nic w Wolfsegg nie napisała. Ani też przez całe tygodnie po pobycie w Wolfsegg. Wolfsegg nie jest miejscem dobrym dla poezji, powiedziała.

Nie dla *jej* poezji, pomyślałem teraz, wstałem i wyszedłem z kaplicy. Spadolini był już z siostrami.

Urządząca w kuchni kucharka przygotowała mu nawet gorącą zupę i podała pieczeń na ciepło. Szwagier siedział naprzeciw niego, zdumiony, jak od

razu zauważyłem, z szeroko otwartymi ustami, taka jest prawda. Jeszcze nigdy w życiu nie siedział naprzeciw prawdziwego arcybiskupa, *faktycznego ekscelencji, i przez cały czas po moim wejściu był skazany na milczeniu. Usiadłem obok Caecilii, wypilem kieliszek wina, potem drugi i z prawdziwą przyjemnością przysłuchiwałem się Spadoliniemu, jak zawsze jemu, który potrafi bez wstępów podjąć rozmowę i ją prowadzić. Jest tak, powiedział do nas, jakby w każdej chwili mieli wejść rodzice. Jakby w każdej chwili miała wejść wasza matka. Istotnie od śmierci rodziców, co nietrudno sobie wyobrazić, nic się nie zmieniło, nie było jeszcze widać żadnych zmian, chociaż w nas wszystko się już w rzeczywistości zmieniło. Również w Spadolini, to oczywiste. Bardzo wysoko cenil naszego ojca, był onorowy, powiedział, on, jako Włoch, może sobie pozwolić na słowo onorowy, a jak on wymówił to honorowy, to było dla niego charakterystyczne, niesłyszalne „h”, podwójne lub wręcz potrójne „r”, świadomy tego udatnie wypowiedzianego słowa, rozglądał się, rozkoszując się wrażeniem.*

*Z ojcem łączyła go dozogonna przyjaźń, znowu onorrrowa przyjaźń. W ustach wszystkich innych ludzi takie sformułowanie byłoby nie do zniesienia, wypowiedziane przez Spadoliniego brzmiało absolutnie wspaniale. Ojca poznał jeszcze wcześniej niż naszą matkę, podczas kolacji na Gentzgasse w Wiedniu, w pałacu irlandzkiego ambasadora, zaraz po wojnie, jak powiedział, w czasach największej biedy. Ojciec natychmiast wpadł mu w oko jako najbardziej niezwykły pośród wszystkich gości, subtelny charakter, niezwykle dobrze wychowany człowiek. Z nim najchętniej rozmawiał, ojciec zaprosił go też od razu do Wolfsegg, wówczas byłem jeszcze radcą nuncjatury, powiedział Spadolini. Wolfsegg go zafascynowało, czegoś takiego jeszcze nigdy wcześniej w życiu nie widział, budowle będące uosobieniem austriackiej elegancji i wielkości, pańskości, a równocześnie naturalności, tacy mili ludzie i takie wyborne jedzenie.*

*Matka powitała go jak syna, powiedział Spadolini. Ojciec wraz z*

*Johannesem odwiedzili go w Rzymie przy okazji podróży do Palermo, oprowadził więc obu po mieście, nie mogąc jednak nie myśleć jednocześnie o Wolfsegg, o jego wspaniałości. Kiedy Włosi wymawiają niemieckie słowo Herrlichkeit, wspaniałość, brzmi to jak Ehrlichkeit, uczciwość, więc Spadoliniemu wydawało się kilkakrotnie, iż mówi wspaniałość, a zawsze mówił uczciwość, co mnie, jak również siostry rozbawiło, nie żeby nas to śmieszyło, lecz było to miłe, szarmanckie. Poza tym Spadolini mówi niezwykle muzykalnie, myślę.*

*Charakteryzował ojca jako rozważnego człowieka, który dla swoich bliskich był uosobieniem dobroci, nigdy nie wysuwał siebie na pierwszy plan, wszystko robił zawsze i wyłącznie dla rodziny i wszędzie, gdzie tylko się pojawiał, zyskiwał powszechną sympatię. Konie, mówił Spadolini, były jego najbardziej ulubionymi zwierzętami. Z końmi wasz ojciec był najszczęśliwszy, gdy tylko mógł być razem ze swoimi zwierzętami. A polowania, mówił Spadolini. Często wybierał się z ojcem na polowania, chociaż wasza matka zawsze bardzo się tego bała, powiedział. Myśliwi są nieobliczalni, unberechenbarrr, powiedział Spadolini z podwójnym lub wręcz potrójnym r na końcu. Ojciec był prawdziwym księciem, prawdziwym arystokratą. I mądrym człowiekiem. Bardzo wykształconym. Spadolini widział innego ojca niż ja, również innego niż moje siostry. Gdy opisujemy tego samego człowieka, każdy z nas widzi zawsze kogoś innego niż pozostali, pomyślałem. Ilu opisujących, tylu widzących, każdy patrzy na tę samą osobę z innej strony, pod innym kątem, a więc tyle oglądów jednego i tego samego człowieka, powiedziałem do siebie, toteż i Spadolini prezentuje inny niż my, skądinąd niezwykle, pomyślałem, nadzwyczajny ogląd, który stawia ojca w obliczu śmierci niewątpliwie wyżej, niż to mogło się Spadoliniemu wydawać, nawet podczas tego opowiadania. Ojciec był mądrzejszy niż inni, miał tyle zainteresowań jak mało kto z jegostanu. Ojciec był najpokorniejszym człowiekiem na świecie z jednej strony, a kilka zdań później najbardziej niespokojnym. Wzorem przyzwoitości. Wielkim panem. Filozofem. Skromnym*

człowiekiem.

*Wielkodusznym. Trzymającym wszystko w garści, rozumnym. zacnym, równocześnie opanowanym i lubianym. Spadolini nie szczędził ojcu słów uznania. Spotkał go w Kairze, weszli razem do piramidy Cheopsa, mówił Spadolini, wspinali się coraz wyżej po drewnianych stopniach, aż obaj się zmęczyli. Z*

*Aleksandrii wysłali do nas widokówkę, która nigdy do Wolfsegg nie doszła. W Rzymie zawsze przechadzał się z naszym ojcem po Via Veneto, gdyż ojciec bardzo lubił Via Veneto. Wasz ojciec kochał Rzym, twierdził Spadolini. Tak dobrze piło się wino z waszym ojcem, powiedział. Wasz ojciec był umysłem filozoficznym, powiedział. Miał świetne wykształcenie polityczne. W gruncie rzeczy, pomyślałem, wszystko, co Spadolini mówi teraz o ojcu, jedząc kolację w naszej obecności, jest nieprawdziwe, wszystko to, co Spadolini mówi teraz o ojcu, jest absolutnie nieprawdziwe. Ja opowiadałem o ojcu zawsze coś wręcz przeciwnego, to znaczy, że nie był człowiekiem rozumnym ani opanowanym, nie miał też moim zdaniem umysłu filozoficznego i tak dalej. Spadolini naszkicował portret ojca takiego, jaki nigdy nie istniał, jaki jednak miał teraz pozostać w umyśle Spadoliniego, pomyślałem. Ale chociaż nieprawdą jest to, co Spadolini powiedział o ojcu, pomyślałem, ma to pozór autentyczności. Często słyszymy o jakimś człowieku same bzdury, samą nieprawdę i fałsz, pomyślałem, a wierzymy, że to autentyczne, że to po prostu prawda o tym człowieku, bo powiedział to ktoś równie przekonujący jak Spadolini. W tym przypadku jednak Spadolini mnie nie przekonał, najwyraźniej naszkicował taki obraz ojca, jaki chciał zachować, a nie taki, jaki odpowiada prawdzie i rzeczywistości, pomyślałem. Ojciec w wydaniu Spadoliniego był najwyraźniej przez tegoż Spadoliniego wyidealizowany, wyidealizowany nawet nie bez smaku, pomyślałem, gdy Spadolini, z niezwykłą elegancją, przedstawił charakterystykę ojca, nie zapominając o tonie żałoby, niezbędnym teraz wobec faktu, że ojciec nie żyje dopiero od dwóch dni, a rzeczywisty brak smaku w fałszerstwie*

*Spadoliniego nie mógł wyjść na jaw, o czym on sam dobrze wiedział, był bowiem zbyt inteligentny, by nie zauważyć, jak koniec końców wyłonił się z jego mowy obraz naszego ojca, który był wprawdzie człowiekiem przyzwoitym, jak uspokajająco powiedział Spadolini, zapewne nawet jaśnie panem, ale nikim więcej. Siostry zawisły jednak na ustach Spadoliniego, jakby te wargi głosiły samą prawdę i tylko prawdę, co najdowodniej malowało się na ich twarzach. Spadolini długo unikał podjęcia tematu matki, długo więc trzymał się tematu ojca; ojciec, chociaż w gruncie rzeczy nie dość interesujący, by opowiadać o nim aż tak wyczerpująco, stanowił jednak dla niego pretekst do odwrócenia uwagi od matki, od kochanki, jak pomyślałem. A przecież Spadolini dobrze wiedział, że kiedy mówił o ojcu, wszyscy czekaliśmy na to, aby zaczął mówić o matce. Wybrałem się kiedyś z waszym ojcem na górę Ortler, powiedział, i wtedy on uratował mu życie, w ostatniej chwili rzucając jemu, Spadoliniemu, linę na ścianie skalnej, w najostatniejszym momencie, powiedział Spadolini. Zupełnie go nie krępowało, że je sam, a my tylko siedzimy obok. Zastanawialiśmy się jedynie, czy mu smakuje. Kuchnia postarała się nadzwyczajnie, nie podano Spadoliniemu czegoś przygotowanego naprędce, lecz starannie przygotowany posiłek, co od razu zauważyłem. W szwajcarskim mieście Sion, a więc w dolinie Rodanu, wszedł z naszym ojcem do małego kościółka, do romańskiego, jak powiedział Spadolini, i w tym kościółku zobaczyli wizerunek Chrystusa, przedstawiający Syna Bożego z osobliwie wykrzywioną twarzą, chorobliwie wykrzywioną twarzą. Ojciec miał powiedzieć do niego, Spadoliniego, że ten obraz zrobił na nim takie wrażenie jak żaden inny oglądany przez niego kiedykolwiek wcześniej. Ojciec był wielkim znawcą sztuki, a także przyjacielem artystów. Słowo artysta przypadło do gustu Spadoliniemu, więc wypowiedział je od razu kilkakrotnie, wyłącznie dla własnej przyjemności. Był człowiekiem natury, powiedział Spadolini. Człowiekiem prawa, powiedział po chwili, i że miał dobry stosunek do swojej wiary. Wasz ojciec był dobrym katolikiem, powiedział, spoglądając przy tym na siostry. Tą uwagą zakończył*

*charakterystykę naszego ojca, równocześnie przestał też jeść. Nikt nie wyciera sobie tak elegancko ust serwetką jak on, pomyślałem.*

*Caecilia nalala mu wina, on zaś odchylił się w krzesło i powiedział, że jutro wieczorem musi być z powrotem w Rzymie, gdyż papież poprosił go do siebie, wszakże z papieżem nigdy nie wiadomo, czy rzeczywiście w wyznaczonym czasie przyjmie kogoś, kogo wezwał. W Rzymie panują teraz absolutnie fatalne stosunki, klimat polityczny się zaostrzył, zarówno komuniści, jak i faszyci dążą do rychłego przejęcia władzy. Ale ani faszystom, ani komunistom nie uda się dojść do władzy, powiedział Spadolini.*

*Gdy wychodzi z domu, nie wie, czy jeszcze wróci do niego żywy, faszyci najzwyczajniej w świecie strzelają do ludzi, wszystko jedno, czy ci mają z ich sprawą coś wspólnego, czy nie, robią to tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, powiedział. To niespokojne, straszne czasy. Z drugiej jednak strony również najciekawsze, jakie Włochom kiedykolwiek dane było przeżyć. Jestem tak przywiązany do Rzymu, powiedział, że w ogóle nie umiem sobie wyobrazić, abym miał z niego wyjechać, chociaż ja sam nigdy nie mogę stanowić o tym, czy zostanę, czy nie. Jestem skazany na działanie sił wyższych, powiedział. Zadałem sobie pytanie, na czym polega mój podziw dla Spadoliniego. On sam udziela na to odpowiedzi, samą swoją obecnością, pomyślałem. Mój podziw budzi to, w jaki sposób coś mówi, wystawiając przy tym na pokaz swoją osobę, a nie to, co mówi, pomyślałem. On mówi wszystko inaczej niż wszyscy inni, pomyślałem. Bez najmniejszego zażenowania zaczął potem nagle mówić o naszej matce. Chociaż jest nie do opisania, jak się wyraził, opisał ją jednak. Ona zawsze była elegancka, ona, która zaprowadziła go po raz pierwszy do Opery Wiedeńskiej, na Kawalera srebrnej róży, dzięki niej poznał najslawniejsze śpiewaczki, występujące w Operze Wiedeńskiej, i do dzisiejszego dnia utrzymuje przyjacielskie kontakty z owymi śpiewaczkami, dzięki naszej matce odkrył muzykę austriacką, gdyż to matka, będąc w Wiedniu, zabierała go na koncerty Filharmoników, wraz z naszym ojcem chodzili do tak zwanego Musikverein i do*

*Konzerthaus, przede wszystkim matce zawdzięcza, że usłyszał tyle Mahlera w Wiedniu, na którego matka zwróciła mu uwagę i którego też potem istotnie pokochał, na każdy koncert Mahlera chodził z naszą matką, powiedział, matka była wysoce umuzykalniona, zawsze więc ubolewał, że nie gra na żadnym instrumencie, chociaż prawdopodobnie, powiedział, zostałaby wielką pianistką, swojego odwołania z Wiednia żałował przede wszystkim dlatego, że nagle, głównie z powodu stanowisk, jakie musiał piastować za oceanem, został odizolowany od muzyki. Matka pływała z nim w górę Dunaju do Durnstein, do Wachau, oprowadzała go po Salzburgu, pokazała mu Salzkammergut już wkrótce po ich pierwszym spotkaniu zaprosiła do Paryża, gdzie on wcześniej nigdy nie był. Jako radca nuncjatury nie miał wówczas takich możliwości podróżowania jak później w charakterze nuncjusza, był jeszcze dość, jak sam powiedział, ograniczony. Nasza matka zaprosiła go do Florencji, gdzie wraz z ojcem spędzała kilka tygodni jesiennych, i dopiero wtedy naprawdę pokazała mu Florencję, wcześniej już często bywał we Florencji, ale nasza matka nauczyła go kochać to miasto Uffiziów. To, że tak dobrze zna Górny Austrię, jest zasługą naszej matki, te wspaniałe, errliche jeziora i góry, Totes Gebirge, wysoki Priel, powiedział. I te wszystkie errliche zamki, jakich nie ma nigdzie poza tym. Całą tę errliche górnoaustriacką krainę, najpiękniejszą ze wszystkich krain Austrii, jak sądził. Naszą matkę zawsze gorąco kochał, ba, mógł tylko wielbić jej nadzwyczajny styl bycia. I tę ponad trzydzieści lat trwającą przyjaźń, jak żadną inną. Nasza matka go uzdrowiła, powiedział, stale wynajdywała dla niego najlepsze lekarstwa, odwiedzała go zawsze w najcięższych godzinach, kiedy leżał na łożu boleści, w mniej lub bardziej beznadziejnym stanie, zostawiony przez lekarzy sam sobie. Wasza matka była dla mnie zawsze najlepszym lekarzem, przywoziła mi do Rzymu te górnoaustriackie zioła, które mnie uzdrawiały, powiedział. Być może zawdzięczam życie tylko tym górnoaustriackim ziołom, powiedział, które wasza matka przywoziła mi do Rzymu, nie szczędziła trudu, by go odwiedzać, również w najtrudniejszych*

*sytuacjach przyjeżdżała do Rzymu, aby go ratować. Tymi leczniczymi ziołami uratowała mi życie, wykrzyknął Spadolini i dodał, że matczyne zioła lecznicze z Górnej Austrii zachowały go dla ludzkości, dosłownie i dość patetycznie, ale tak, że w ogóle nie raniło to naszych uszu, ponieważ wykrzyknął te słowa z niebywałym wdziękiem. Jeśli zajdzie taka konieczność, poleci zioła lecznicze z Górnej Austrii papieżowi, powiedział. Po czym zamilkł na kilka minut, a nikt z nas nie ośmielił się przerwać tego milczenia. Szwagier siedział naprzeciw Spadoliniego prawie oszołomiony, jak to się mówi. Siostry absolutnie podporządkowały się temu milczeniu, narzuconemu przez Spadoliniego akurat we właściwym momencie. Później Spadolini powiedział jeszcze, że dopiero co w ubiegłym tygodniu umówił się z naszą matką na podróż do Kalabrii, która to podróż stała się teraz nieaktualna. Zobaczyc trulli, powiedział.*

*Matka od dawna pragnęła odwiedzić Kalabrię, i chciała to zrobić wczesnym latem. Ale nagle i nieoczekiwanie, powiedział Spadolini, wszystko się zmienia. Później zaczął mówić o wycieczce na Etnę, na którą kilka lat temu wybrał się z Taorminy z naszą matką i ze mną, mam wrażenie, że pięć czy sześć lat temu matka odwiedziła mnie w Rzymie, całymi dniami biegałem z nią po mieście, by znaleźć dla niej parę butów, jakie ubzdurała sobie, że kupi, musiały być niebieskie i z określonego gatunku świńskiej skóry, tak cienkiej i miękkiej jak skóra na rękawiczki, aż wreszcie, po wielodniowych poszukiwaniach, znaleźliśmy rzeczywiście odpowiadające jej buty. Kupiła trzy pary. Ciągała mnie ze sobą częściej lub rzadziej na mnóstwo kolacji ze znanymi mi, ale niespokrewnionymi z nami ludźmi, tylko po to, żeby mieć alibi ze względu na ojca i tylko po to, żeby zatuszować swoje nieustanne spotkania ze Spadolinim, czego w gruncie rzeczy nikt jej nie zazdrościł i o czym również koniec końców wszyscy wiedzieli, a co ona jednak bez przerwy starała się trzymać w tajemnicy. Zabierała mnie na te straszne kolacje, po których nie wracała ze mną do domu, ponieważ chciała spędzać noce ze Spadolinim i rzeczywiście je spędzała.*

*Nie zazdrościłem mojej matce tych spotkań, współczułem jej tylko, że jest*



na nie skazana, co byłem zmuszony stwierdzić. Po tych kolacjach Spadolini czekał na nią zawsze gdzieś na Zatybrzu, jak wiem, po czym szli do mieszkania któregoś z przyjaciół Spadoliniego i do rana byli razem. Współczułem nie tylko matce, współczułem również Spadoliniemu. Z drugiej strony gardziłem obojgiem. Ale na wycieczkę na Etnę, pod koniec stycznia, wybrali się jednak razem ze mną. Zamieszkaliśmy w Taorminie, naturalnie w Grand Hotelu Timeo. Wynajęliśmy taksówkę, która dowiozła nas aż do granicy wiecznego śniegu. Tam wjechaliśmy kolejką linową na płaskowyż Etny. Główny krater spowijała mgła, w ogóle nie było go widać. Wszyscy troje byliśmy najszczęśliwszymi ludźmi, jakich można sobie wyobrazić. Spadolini tak teraz opisywał tę wycieczkę na Etnę: wjechaliśmy kolejką linową na sam szczyt i poszliśmy do restauracji. Było tam jednak do tego stopnia zimno, że nie chcieliśmy pozostawać ani chwili dłużej, niż wymagało tego wypicie filiżanki herbaty. Potem ja i twoja matka, powiedział do mnie, postanowiliśmy zejść pieszo z Etny, chociaż ty się wzdragales, bałeś się, pamiętasz jeszcze? zapytał. Tak, odparłem, bałem się. Bałeś się, powiedział Spadolini, ale my się nie baliśmy. Wziąłem twoją matkę za rękę i zaczęliśmy schodzić z Etny, powiedział. Ty wróciłeś kolejką linową. Widzieliśmy cię z dołu w kolejce linowej, ty widziałeś nas z kolejki linowej, powiedział. Nagle zaczęła się zamieć śnieżna, powiedział. Ta zamieć zrobiła się tak gwałtowna, że straciliśmy cię z oczu, my ciebie, a ty nas, powiedział Spadolini, nie widzieliśmy już kolejki linowej, ty, który stałeś w tej kolejce, też straciłeś nas z oczu. Powiedziałeś, że kolejka tak się chybotala, iż bałeś się, czy nie wyrwie jej z zakotwień, powiedział Spadolini. Opowiadałeś potem, że szukałeś nas pod kolejką w śniegu, ale nas nie widziałeś. Kolejka tak mocno się chybotala, że sądziłeś, iż nadeszła twoja ostatnia godzina, powiedział Spadolini. My też nie widzieliśmy kompletnie nic w tej zamieci, przycupnęliśmy więc w jakiejś szczelinie lodowej. Kurzawa prawie natychmiast nas przysypała. Jak w Alpach, powiedział Spadolini, jak w Alpach. Myśleliśmy, że zginiemy, tak jak giną ludzie w Alpach. W ogóle nic nie widzieliśmy, powiedział Spadolini. Ale,

*pomyślałem, jeśli nie chcemy zamarznąć, musimy iść dalej. Schwyciłem twoją matkę i ruszyliśmy naprzód. Potem ja nagle opadłem z sił, więc matka mnie schwyciła i tak dalej, powiedział Spadolini. Ty już dawno byłeś na stacji w dolinie, a zamieć nadal szalała. Powiadomiłeś żandarmerię. Żandarmeria nie weszła jednak na górę, bo zadymka była zbyt silna. Tkwiliśmy w szczelinie lawy, powiedział Spadolini, bojąc się, że runiemy w dół, trwaliśmy więc bez ruchu. Ale twoja matka powtarzała ciągle, że musimy iść dalej. Schwyciła mnie i pchała dalej i dalej, coraz dalej, pchała coraz dalej, powiedział Spadolini. Wreszcie przycupnęliśmy w jakiejś szczelinie lawy, myśląc, że teraz już niechybnie umrzemy. Modliłem się, powiedział Spadolini, po kryjomu, tak by wasza matka o tym nie wiedziała. Całkiem po kryjomu. Wtedy zamieć się uspokoiła i byliśmy ocaleni. Ostrzegaliście nas, powiedział teraz Spadolini do mnie, nie powinniśmy byli schodzić pieszo z Etny w dolinę. W ten sposób zginęło już wielu ludzi, powiedział Spadolini. Etna to zabójcza góra, powiedział patetycznie. Ale my, twoja matka i ja, byliśmy tacy szczęśliwi, powiedział. Nigdy nie zapomnę tej wycieczki na Etnę, powiedział Spadolini. Później wróciliśmy do Taorminy. Na pół zamarznęci i wyczerpani poszliśmy spać. Ale już wieczorem pojawiliśmy się w jadalni, elegancko ubrani, powiedział Spadolini, jakby nigdy nic. Powinienem być cię wtedy posłuchać, powiedział Spadolini, jednak miłość do twojej matki całkiem odebrała mi rozum. Gdyby nie to, że matka ciągle mnie podtrzymywała i pchała naprzód, powiedział, ona po prostu spychała mnie w dół Etny, powiedział. Twoja matka, gdy co do czego przychodziło, była, jak to się mówi, nieustraszoną kobietą. Energiczną, powiedział Spadolini, aktywną. Wieczorami zaś uosobieniem elegancji. Tamtego wieczoru miała na sobie perską suknię, tę kremową, powiedział, na pewno wiesz, którą. Mój Boże, jak wasza matka w tej sukni wyglądała! powiedział. Może nie pamiętacie matki takiej, jak ja ją pamiętam, powiedział. Ja zachowam o niej najlepsze wspomnienia. To była dla mnie straszna wiadomość, powiedział Spadolini, najstraszliwsza wiadomość, najstraszliwsza wiadomość od długiego czasu.*

*Jakże często wasza matka ratowała mnie od śmierci, mówię prawdę, zapraszając mnie do Wolfsegg. Tutaj znajdowałem spokój, potrzebny mi dla ocalenia siebie, powiedział. Ten dom i ta wieś są mi tak drogie jak nic innego na świecie. Ta wysoka kultura, powiedział Spadolini, która wszędzie tutaj panuje, stając się ocaleniem dla zrozpaczonego człowieka, Jako nuncjusz w Peru przez cały czas myślałem tylko o Wolfsegg, o was i o waszej matce. Te myśli pozwoliły mi tam przeżyć. Ale Peru to wspaniały, errliches kraj, errlich, errlich, errlich. Ta wiadomość jest naprawdę niezwykle smutna, powiedział, po czym wstał, dając do zrozumienia, że zdecydował się teraz pójść na drugą stronę do oranżerii, do zmarłych. Zanim cała nasza piątka opuściła pokój, podszedł jeszcze raz do mnie i powiedział: śmierć matki jest największą stratą. Nie trać opanowania, powiedział, i powiedział także to, że jestem teraz panem na Wolfsegg. To był dla Spadoliniego właściwy moment na odwiedzenie oranżerii. Wszyscy pozostali goście rozeszli się już do swoich pokojów, tylko z kuchni dochodziły jeszcze jakieś odgłosy, poza tym żadnego innego dźwięku.*

*Caecilia szła przodem, jakby biegła, ale nie był to bieg, otwierała wszystkie drzwi, pierwsza dotarła do oranżerii, około dziesięciu, dwunastu metrów przed oranżerią zwolniła, a potem, z osobliwym opanowaniem, wykonała ostatnie kroki w jej kierunku, nie weszła jednak od razu do środka, gdyż oczywiście czekała na Spadoliniego, który szedł za nią, nie tracąc rzecz jasna równowagi ducha. Miał na sobie najelegantsze buty, jakie kiedykolwiek widziałem, na te jego buty zwróciłem uwagę już w chwili, gdy idąc za nim, towarzyszyłem mu na pierwsze piętro, Spadolini zawsze przywiązywał ogromne znaczenie do obuwia, które musiało być najelegantsze, wielką przyjemnością było patrzeć, jak je sobie kupował, naturalnie również wyłącznie na Via Condotti, nigdy na Corso, gdzie zwykle ja kupowałem swoje, podziwiałem jego buty na zielonej trawie, które w świetle lamp katafalkowych z oranżerii, rozjaśniających fragment ciemnego poza tym parku, nabierały szczególnego znaczenia. Spadolini chciał, żebym to ja pierwszy wszedł do oranżerii, albo*

*przynajmniej Amalia, ale ustąpiliśmy mu pierwszeństwa.*

*Spadolini wziął Caecilię pod rękę i wszedł. Stanął przed trumnami, przytulił Caecilię do siebie. Za Caecilią stanął szwagier, za Spadolinim Amalia, za nimi wszystkimi, na drugim planie, ja sam. Straż przy zmarłych się nie poruszyła, jakbyśmy mieli tu do czynienia ze złożonym na katafalku wysokim dostojnikiem wojskowym, obaj trzymający wartość łowczy ani drgnęli. Ta scena przypomniła mi Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie, gdzieśmy kiedyś poszli z Johannesem, z którym spotkałem się w Warszawie, żeby następnie pojechać do Krakowa, on był wówczas w Zakopanem na polowaniu, ja zaś z wizytą u krewnych w pobliżu Wilanowa. Staliśmy tak wszyscy przez kilka minut bez ruchu. Nagle zapragnąłem zobaczyć twarze sióstr, szwagra i Spadoliniego, a nie te zmarłe, już zupełnie wyobcowane twarze ojca i brata, podszedłem więc do trumien, udając, że sprawdzam stan bloków lodu. Zajrzałem pod kiry, podniosłem je i z powrotem opuściłem, zainteresowany wyłącznie twarzami Spadoliniego, sióstr i szwagra. Na ich twarzach nie było jednak żadnych oznak tego, co dzieje się we wnętrzu osób skrytych za tymi twarzami. Niczego mi nie zdradziły. Były absolutnie nieporuszone, jak zasłony, za którymi, by tak rzec, wszystko skrywały. Miałem nadzieję, że te twarze zdradzą mi, co się za nimi kryje, ale one naprawdę zasłoniły absolutnie wszystko, co się za nimi kryje, ukryły wszystko, co mogłoby mnie zaciekawić. Sami przebiegli, niezwykle opanowani ludzie, pomyślałem, stojąc jeszcze przed nimi, przez chwilę niepewny, czy aby nie odgadli mojego zamiaru. Można się tego było spodziewać zarówno po Spadolinim, jaki po moich siostrach. Jedyłą osobą, która pokazała swoją prawdziwą twarz, bez, by tak rzec, zasuniętej zasłony, był szwagier, fabrykant kapsli do wina, który nie zasłonił swojej tępoty, zresztą wcale tej tępoty nie był świadom, jak pomyślałem, wszyscy inni ukryli twarze za zasłonami, ale szwagier, fabrykant kapsli do wina, jako jedyny ze stojących przed trumnami w ogóle mnie w tym momencie nie interesował. Za tymi zasłonami, ukrywającymi ich twarze, kryją jednak z pewnością najciekawsze dla*

*mnie myśli, powiedziałem do siebie. I nawet wiem, co to za myśli, wcale nie muszę zrywać tych zasłon, żeby wiedzieć, co za nimi myślą, co się tam za nimi dzieje, pomyślałem. Starannie, stosownie do sytuacji, jeszcze raz podniosłem jeden z kirów, aby po chwili położyć go znowu z całkowitym spokojem na blokach lodu, choć przecież byłem w pełni świadom własnej niegodziwości, każącej mi wyjaśnić sobie tylko podłość i nikczemność ukrytą za zasłonami na twarzach wszystkich czworga. To samo przez się zrozumiałe, że Spadolini wziął Caecilię pod rękę, pomyślałem. Filmowa scena, pomyślałem. Filmowe twarze, pomyślałem. Twarze aktorów filmowych. Szybko się cofnąłem, jakbym sobie w tym momencie uświadomił, że swoim wystąpieniem naprzód zakłóciłem ów uroczysty akt, i ponownie stanąłem za grupą żałobników. Łowczy byli poirytowani, ale mimo tej irytacji starali się nie stracić opanowania. Filmowa scena, pomyślałem. Spoczywający na katafalku zmarli wyglądali teraz, jakby byli z wosku, już brudnoszarzy. Należałoby ich umyć, te ich brudnoszare, zapadnięte twarze, rano, pomyślałem, wydam stosowne dyspozycje, żebym tylko nie zapomniał. Nagle Spadolini uklęknął przed trumną naszej matki.*

*To była okropna scena. Siostrze nie pozostało nic innego tylko także uklęknąć. Ja naturalnie nadal stałem. Dwie czy trzy minuty, jak na tę sytuację to bardzo długo. Siostry i Spadolini na klęczkach przed trumnami. Filmowa scena, pomyślałem znowu. Przed wejściem do oranżerii arcybiskup Spadolini posilił się kolacją, pomyślałem. Najpierw kolacja, potem oddanie czci, pomyślałem. Jakże elegancko potrafi wstać, pomyślałem po chwili, w odróżnieniu od sióstr, które wykonywały przy tym naprawdę niezgrabne ruchy. Spadolini odwrócił się w moją stronę, jakby chciał zapytać, co teraz? Ruszyłem do wyjścia.*

*Spadolini opuścił oranżerię. Na dworze zapadł naraz zupełny zmrok. Matka została z pewnością tak ciężko okaleczona, powiedział Spadolini szeptem, że nie można jej było tak jak ojca i Johanna złożyć na katafalku. A potem, kilka kroków dalej, idąc w stronę głównego budynku, spytał, w jaki sposób doszło do tego wypadku. Siostry nie potrafiły udzielić mu wyjaśnień.*

*Opowiedziałem więc Spadoliniemu wszystko, co przeczytałem w gazetach, krótkimi zdaniami, tak jakbym tylko uszeregował gazetowe nagłówki. Po koncercie, powiedziałem. Ach tak, po koncercie, powiedział Spadolini. Nasze życie spoczywa w rękach Boga, powiedział. A my naturalnie Boga nie rozumiemy. Nie mamy sił, by go zrozumieć Niech Bóg da wam siłę uporania się ze swoim życiem, powiedział. A później życzył sobie tylko pójść do swojego pokoju i pozostać tam aż do pogrzebu. Pomodlę się za zmarłych, powiedział. Za drogich zmarłych. Ponieważ siostry sądziły, że Spadolini zostanie z nami do późnego wieczora, nie kryły zaskoczenia, gdy je tak po prostu zostawił same sobie. W ten sposób nagle były znowu zdane wyłącznie na mnie, toteż zaproponowały, byśmy wypili jeszcze razem po kieliszku wina, w salonie na górze.*

*Szwagier był za tym. Ja jednak chciałem zakończyć ten dzień na swój własny sposób nie oglądać już rodziny. Powiedziałem, że pójdę do siebie, zostawiłem siostry i szwagra całkiem po prostu na drodze, podobnie jak wcześniej zrobił to Spadolini, i udałem się do swojego pokoju. Tam najpierw się zamknąłem, ale nie miałem zamiaru kłaść się do łóżka, byłby to szczyt głupoty, albowiem o śnie niepodobna było nawet myśleć. Wszystko, co Spadolini powiedział o matce, jest wszakże powierzchowne, pomyślałem, opisał matkę tak, jak chciał ją nam teraz pokazać, widzianą przezeń w obecnej chwili, pomyślałem, jego powierzchowny ogląd ukazał matkę taką, jaką on chciał ją zachować teraz, siedząc z nami przy stole, a nie taką jaką w rzeczywistości widział, matkę kochającą Austrię i muzykę, miłą dla ludzi, ba, przyjaciółkę artystów, czyli matkę taką, że mnie samemu było przykro wobec Spadoliniego, nie wobec sióstr, które potraktowały jego słowa poważnie, mimo iż nie można ich było potraktować poważnie, nawet jeśli bardzo dobrze opisał wycieczkę na Etnę, pomyślałem, i zadał sobie trud, aby opisać tę wycieczkę tak, że w mniejszym lub większym stopniu nie miałem temu opisowi nic do zarzucenia, ale opisał ją również tak, że ci, którzy ten opis usłyszeli, mogli go nazwać*

*powierzchnym, chociaż nie byli świadkami owego epizodu, w odróżnieniu ode mnie, który wszakże mam w głowie całą demoniczność tego epizodu na Etnie, jak pomyślałem, siedząc na krześle, nie zapalając światła i pozwalając oddziaływać na siebie ciemności, a więc ten epizod na Etnie Spadolini opisał w mniejszym lub większym stopniu jako nic nie znaczący banal, zrelacjonował go, jakby ów epizod nie miał w sobie nic szatańskiego, jak pomyślałem, mimo że przecież był szatański, na wskroś szatański, pomyślałem teraz.*

*Spadolini zrelacjonował niefrasobliwą wycieczkę z Taorminy Katanii i na Etnę, ale to było całkiem co innego niż tylko niefrasobliwa wycieczka. Zejście ich obojga z płaskowyżu Etny było szatańskie, wykoncypowane przez nich, pomyślałem, zarówno przez moją matkę, jak i przez Spadoliniego. Wykorzystali tę zamieć, pomyślałem. Wykorzystali te szczeliny w lodzie. Uwzględnili tę zadymkę śnieżną w swoich rachubach i świadomie schodzili z Etny w czas tej zawiei, pomyślałem, bezczelnie zostawili mnie samego i nieświadomego na płaskowyżu Etny, jak myśleli, oboje nie byli bowiem nigdy ludźmi niefrasobliwymi, pomyślałem, lecz zawsze mieli wyrachowanie za zasadę. Siedzący przy stole Spadolini opisał matkę w taki sposób, jakby rzeczywiście była beztroska, beztrosko kochająca, uwielbiająca go, ale nasza matka wcale taka nie była, pomyślałem. Nie była beztroską osobą, która wybiera się ze Spadolinim na beztroską wycieczkę na Etnę, ona była przebiegłą osóbką, której przebiegłość w niczym nie ustępowała przebiegłości Spadoliniego, wręcz przeciwnie, przebiegłość naszej matki była o wiele bardziej szczwana, pomyślałem, gdyż matka zawsze była szczwana. To ohydne słowo wydało mi się w tym momencie najtrafniejsze i nie lękałem się go w tym momencie użyć. Ci dwoje byli zawsze szczwani.*

*Spadolini tak scharakteryzował matkę, jakby chodziło o jakąś powierzchowną kobietę, która ma same pozytywne strony, nie zna zła, chroni się przed złem, nie pozwala mu się do siebie zbliżyć, pomyślałem, ale przecież matka była zupełnie inna, ona była złem, pomyślałem, nie lękając się pogłębić*

*tej myśli i ciągnąć jej teraz dalej, podczas gdy siedziałem na krześle. Matka była uosobieniem zła, pomyślałem, Spadolini nie mógł nie zauważyć tego zła, uosobionego w naszej matce, na to był zbyt inteligentny, zbyt wytrawny umysłowo, jak powiedziałem do siebie, by użyć słowa, ukutego przez samego Spadoliniego. Podczas tej skromnej kolacji scharakteryzował matkę jako nawet, by tak rzec, kobietę światową, którą nigdy nie była, gdyż matka była typową prowincjuszka, parweniuszka, absolutnie antykulturalnym człowiekiem, pomyślałem, wydało mi się naraz, że to pojęcie pasuje do mojej matki jak ulał, ona naturalnie nigdy nie kochała Mahlera, w ogóle nie uwielbiała żadnego kompozytora, a muzyką posługiwała się dla swoich celów, by na koncertach prezentować najnowsze, pozbawione gustu stroje w towarzystwie, które ją wielbiło, mimo iż nie było czego w niej wielbić, gdyż jest najbardziej odpychająca ze wszystkich kobiet, jakie istnieją, pomyślałem. Dla niej nic nie znaczył żaden obraz, w ogóle żadne dzieło sztuki, ona gardziła wszystkim, co miało cokolwiek wspólnego ze sztuką. Spadolini przedstawił nam matkę, która nauczyła go kochać Florencję, a jednocześnie nasza matka z największą niechęcią jeździła do tego starego miasta, z największą niechęcią zwiedzała tak zwane stare kościoły, czyli dzieła sztuki, z największą niechęcią szła na każdy koncert, na każdą wystawę i nigdy nie przeczytała żadnej dobrej książki, to też znamienne, powiedziałem do siebie. Spadolini podał nam na tacy zupełnie zafalszowaną matkę, powiedziałem do siebie. Jakże niesmaczny wydał mi się nagle wykład Spadoliniego o matce, na wskroś obtudny, zakłamany, skrojony całkiem na użytek tej okoliczności, którą arcybiskup siedzący przy stole bez przerwy nazywał smutną okolicznością, nie odczuwając przy tym prawdziwego smutku, bo tego nie potrafił. Matka była nagle, nie w oczach Spadoliniego, lecz tak, jak ją opisał, niezwykle wytworną, cieszącą się życiem, jak się wyraził, afirmującą życie osobą, kobietą o wszechstronnych zainteresowaniach, dobrą matką, urodzoną gospodynią, pomyślałem. Spadolini nazwał ją kilkakrotnie duszą Wolfsegg, pomyślałem. Niekwestionowaną obserwatorką przyrody, a*



*także gościnną panią domu, powiedział gastfreundliche Errin. Spadolini mówił o człowieku, który z biegiem czasu zmienił nam wszystkim Wolfsegg w raj, charakteryzował się dobrocią i świeżością życia, o człowieku, którego musieliśmy kochać. Spadolini mówił o człowieku, dla którego miłość otoczenia do niego była, by tak rzec, najoczywistsza w świecie. Wasza matka była uosobieniem dobroci, powiedział do nas Spadolini, ona tu wszystko trzymała w garści. Wasza matka to był dusza człowiek, powiedział dosłownie, a ja jeszcze teraz zadaję sobie pytanie, skąd on wytrzasnął to niesmaczne określenie. W tym, co mówił Spadolini, jedno zakłamanie splatało się, by tak rzec, z drugim, pomyślałem. Ale Spadolini nie jest zakłamanym, lecz dokładnie wszystko kalkulującym człowiekiem, pomyślałem. Jakże on wypowiedział owo dusza człowiek, to rzeczywiście nie do naśladowania. Nikt, kogo znam, pomyślałem, nie potrafiłby wymówić tego z taką oczywistą łagodnością i szlachetnością. Jedynie arcybiskup Spadolini, pomyślałem, siedząc na krześle i wchłaniając w siebie ciemność. Sprawiało mi przyjemność to powtarzanie wyrachowanych wypowiedzi Spadoliniego, słowo po słowie, studiowanie jego tonu, krasomówstwa. Od Spadoliniego mogę się wiele nauczyć, pomyślałem, ciągle czegoś nowego. Jak on wymówił słowo Caecilia, gdy po raz pierwszy zobaczył Caecilię po swoim przyjeździe, jak wymówił słowo Amalia, słowo szwagier, które wyszło mu z ust z tak niewiarygodnie wyrachowaną nieporadnością, pomyślałem.*

*Jak się odwrócił przy oranżerii i spojrzął w drugą stronę ku głównemu budynkowi, by powiedzieć: ten errliche budynek, to rrewelacyjne dzieło sztuki. I jak powiedział do Amalii: twoja matka wiele mi o tobie opowiadała, same najlepsze rzeczy. A do Caecilii: twoja matka zawsze cię chwaliła. Do mnie natomiast: twoja matka stawiała na ciebie. Zaczął mówić również o Johannesie, mówił o nim jak o bogobojnym człowieku, najprzyzwoitszym, jakiego kiedykolwiek znał, o najczystszy charakterze, najbardziej powściągliwym partnerze rozmów. O spokojnym, najbardziej kryształowym bracie, powiedział*

*Spadolini.*

*Do Johannesesa przyłgnął całym sercem, podobnie zresztą jak do ojca, do obu od samego początku przyłgnął całym sercem. Kiedyś zaprowadziłem Johannesesa do Pałacu Watykańskiego, powiedział Spadolini, i przedstawiłem go Ojcu Świętemu, powiedział. Na raz zrobiło się tu pusto, powiedział również, ale zaraz potem, że nowi ludzie wezmą Wolfsegg w swoje ręce i wszystko znowu będzie dobrze.*

*Tymczasem prawdopodobnie prasowano mu marynarkę, jak sobie tego życzył, pomyślałem, i spodnie, siostry prasują mu ubrania, podczas gdy on w pokoju ojca modli się za wszystko, co nas dotyczy.*

*Dawniej chodził do kaplicy, żeby się modlić, pomyślałem, ale dzisiaj boi się, iż goście, nocujący wraz z nim w domu, będą mu przeszkadzać. Smutek jest piękną cnotą, powiedział, pomyślałem. Wszechmogący zamyka jedną bramę, by otworzyć inną, powiedział. Naraz poczułem obrzydzenie do jego słów, które wprawdzie były mi nazbyt dobrze znane, które jednak nigdy wcześniej nie wzbudziły we mnie tak wyraźnego obrzydzenia. Po zjedzeniu pieczeni, po opowiadaniu o Etnie, pomyślałem, powiedział również, że matka odwiedziła go w jego urzędzie po raz ostatni, zapłakana i wymizerowana, jak sam powiedział. Zapłakana i wymizerowana przyjechała do mnie do Rzymu, powiedział, szukając u mnie pomocy. Do dzisiaj jednak nie zna powodu jej rozpacz. Czy my znamy powód rozpacz matki, dopytywał się. To coś miało związek z ojcem. Ona, matka, zawsze najbardziej martwiła się o Wolfsegg, a jeszcze bardziej o swoje dzieci, o nas. Z nikim nie rozmawiało mu się lepiej niż z naszą matką, która była również dobrą słuchaczką; była dokładnym przeciwieństwem dobrej słuchaczki, pomyślałem, matka nigdy nie potrafiła słuchać, zawsze wtrącała we wszystko swoje trzy grosze, nigdy nie pozwalała się nikomu wypowiedzieć, niszczyła każdą rozmowę już w zarodku. Nie znosiła rozmów. Nie pozwalała na dobre zaistnieć żadnej rozmowie, pomyślałem. Z największą bezwzględnością zagarniała scenę dla siebie, dusząc w zarodku każdą rozmowę. Jej uwagi,*

*którymi niszczyła każdą rozmowę, były takie głupie, pomyślałem. Jedną z nieznośnych cech matki było, że nienawidziła wszelkich rozmów, a przede wszystkim tak zwanych rozmów na tematy duchowe, by tak rzec, o wyższych ambicjach, nie znosiła takich rozmów i wszystkie w mniejszym lub większym stopniu zabijała swoją głupotą. Była morderczynią wszystkich naszych rozmów, pomyślałem. Wszyscy z tego powodu cierpieliśmy. Spadolini naszkicował własny obraz matki w bezwstydnym sposób, pomyślałem, w taki, jak to zawsze robią pozostali przy życiu, by postawić siebie w korzystnym świetle. Powiedział, że słuchała Mahlera jak anioł, choć przecież ona nudziła się na wszystkich koncertach niezależnie od tego, co w ich trakcie grano, rysy jej twarzy rozpromieniały się wyłącznie wtedy, gdy chodziło o największe banaty, pomyślałem. Czytała kilka stron książki, i nigdy więcej, chyba że była to jakaś niezwykle banalna książka, nienawidziła bowiem czytania jak niczego innego na świecie. W każdej sytuacji stwarzała jedynie pozory i wszystko zagarniała dla siebie, pomyślałem, bezwzględnie zafalszowywała wszystko i równocześnie degradowała, okazywanie bodaj najmniejszego szacunku dla wytworów umysłu, nie leżało w jej naturze, pomyślałem.*

*Dlatego nienawidziła wuja Georga, z tego powodu nienawidziła również mnie, nienawidziła wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z umysłem, pomyślałem. Spadolini daleko się posunął, za daleko, pomyślałem, gdy powiedział, że nasza matka była, jak na kobietę, niezwykła, powiedział też z właściwą sobie pasją, iż interesowała się wszystkim, co duchowe, była człowiekiem muzyki, powiedział. W rzeczywistości matka w ogóle nie interesowała się sprawami duchowymi i dzieliły ją całe mile od tego, by być człowiekiem muzyki, nawet ojciec, któremu w gruncie rzeczy było obojętne, czy jego żona interesuje się sprawami duchowymi, czy nie, czy jest człowiekiem muzyki, czy nie, mówił o niej stale wyzbyta duchowości niezguła, a ojciec, pomyślałem, jej partner życiowy, znał ją chyba najlepiej.*

*Spadolini wzbogacił swoją gloryfikację matki również o uwagę, że matka*

*miała dryg do filozofii, „drrryg” powtórzył kilkakrotnie, co jego zakłamaniu dodało nawet czulego akcentu; ja zaś, gdy on tak wymawiał to słowo „drrryg”, pomyślałem jeszcze, że wymawia je z nader szczególną czułością, nie zastanawiając się wcale, co właściwie mówi, wypowiadając słowo „drrryg”. Jego jak przysłania zawsze co, pomyślałem. Nie mogło się obyć bez tego, żeby na dodatek nie nazwał naszej matki pobożną osobą; wierną wyznawczynią Kościoła, dobrą chrześcijanką. W Rzymie matka kupiła mu, naturalnie na Via Condotti, jedwabną koszulę nocną, którą on jednak nosi wyłącznie w prawdziwe święta. Wyszukała ją, powiedział, a wyszukała najpiękniejszą i najlepszą. Wasza matka mi matkowała, powiedział nagle.*

*Bardzo często czuła się bezgranicznie sama, opuszczona przez wszystkich, powiedział. W Wolfsegg, pośród was, powiedział Spadolini, całkiem sama, naprawdę samotna. Samotny człowiek, powiedział też o matce, uciekający przed samotnością jak przed niczym innym na tym świecie, tak przez nią znienawidzonym z powodu jego nudy, o czym wiem, w przeciwieństwie do Spadoliniego. Od Spadoliniego doszedłem później w osobliwy sposób do Goethego: do patrycjusza Goethego, którego Niemcy przycięli i przykroili sobie na księcia poetów, powiedziałem ostatnim razem do Gambettiego, doszli do pocziwca Goethego, kolekcjonera owadów i aforyzmów z jego filozoficzną mielonką; powiedziałem do Gambettiego, który naturalnie nie zrozumiał słowa mielonka, więc mu je wyjaśniłem.*

*Do Goethego, filozoficznego drobnomieszczanina, do Goethego, życiowego oportunisty, o którym Maria zawsze mówiła, że nie postawił świata na głowie, lecz wetknął głowę do niemieckiego ogródka działkowego. Do Goethego, rachmistrza kamieni, astrologa, ssącego kciuk filozofa Niemców, który na wszelki wypadek i na w razie czego napelniał ich domowe słoiki duchową marmoladą. Do Goethego, który robił Niemcom paczki z oklepanych prawd i kazał je Cotcie sprzedawać jako najwyższe dobro duchowe, a nauczycielom gimnazjalnym wsmarowywać je w uszy Niemców aż do tychże*

uszu ostatecznego zatkania. Do Goethego, który niemieckiego ducha zdradził ni mniej, ni więcej tylko na stulecia i stawiał na średniactwo Niemców z ową pilnością; którą w rozmowie z Gambettim nazwałem pilnością Goethowską. Do Goethego, filozoficznego demagoga, jak ostatnim razem powiedziałem do Gambettiego. Goethe jest Niemcem do codziennego użytku, powiedziałem do Gambettiego, Niemcy zażywają Goethego jak lekarstwo i wierzą w jego skuteczność, w jego moc leczniczą; Goethe jest w gruncie rzeczy wyłącznie felczerem Niemców, powiedziałem do Gambettiego, pierwszym niemieckim homeopatą ducha. Zażywają, by tak rzec, Goethego i zdrowieją. Cały naród niemiecki zażywa Goethego i czuje się zdrowy. Ale Goethe, powiedziałem do Gambettiego, jest szarlatanem, ponieważ felczerzy są szarlatanami, a jego poezja to największa szarlataneria Niemców. Niech pan będzie ostrożny, Gambetti, powiedziałem do niego, niech się pan ma na baczności przed Goethem. Wszystkim psuje żołądki, tylko nie Niemcom, oni wierzą w Goethego jak w cudotwórcę. A przy tym ten cud świata jest jedynie filisterskim działkowiczem filozoficznym. Gambetti roześmiał się głośno, gdy mu wytłumaczyłem, co to jest ogródek działkowy. Nie wiedział tego. Ogólnie rzecz biorąc, powiedziałem do Gambettiego, dzieło Goethego jest filisterskim ogródkiem działkowego filozofa. Goethe w niczym nie osiągnął najwyższych wyżyn, powiedziałem, wszystko, co stworzył, to zaledwie średniactwo. Nie jest największym lirykiem, nie jest największym prozaikiem, powiedziałem do Gambettiego, a jego sztuki teatralne są na przykład w porównaniu ze sztukami Szekspira tym, czym rosły owczarek szwajcarski wobec zabiedzonego jamnika z frankfurckich przedmieść. Faust, powiedziałem do Gambettiego, co za megalomania! Absolutnie nieudana próba pismaka chorego na manię wielkości, powiedziałem do Gambettiego, chorego, któremu cały świat uderzył do tego frankfurckiego łba. Goethe, owładnięty manią wielkości frankfurczyk i weimarczyk, owładnięty manią wielkości patrycjusz na Frauenplan. Goethe, który poprzekręcał Niemcom w głowie, mający ich już od stu pięćdziesięciu lat

na sumieniu i robiący z nich błaznów. Goethe jest grabarzem ducha niemieckiego, powiedziałem do Gambettiego. Jeśli przeciwstawimy mu na przykład Woltera, Kartezjusza, Pascala, powiedziałem do Gambettiego, Kanta, ale naturalnie również Szekspira, to Goethe robi się straszliwie malutki. Książę poetów, śmiechu warte, na dodatek jeszcze rdzennie niemieckie pojęcie, powiedziałem do Gambettiego. Holderlin jest wielkim lirykiem, powiedziałem do Gambettiego, Musil jest wielkim prozaikiem, a Kleist wielkim dramaturgiem, Goethe po trzykroć nimi nie jest. Później znowu wróciłem do tego, co Spadolini powiedział o mojej matce, czyli że była szczególnym człowiekiem, a ja pomyślałem, iż Spadolini ma o tyle rację, że każdy człowiek jest szczególny, nie wykluczając mojej matki, ale on, Spadolini, nie to miał na myśli, Spadolini w oportunistyczny sposób zafalszował matkę mnie, nam, podczas kolacji, przedstawiając ją jako szczególnie dobrą, szczególnie wykształconą, o szczególnych zainteresowaniach, czyli na antypodach tego, czym była, gdyż w gruncie rzeczy nasza matka była całkiem zwyczajną, absolutnie niczym szczególnym się nie wyróżniała, nie było w niej nic szczególnego, żeby nie powiedzieć, iż w moim pojęciu była szczególnie bezwzględna i szczególnie głupia, w prymitywny sposób szczególnie próżna i, to teraz też po”myślałem, szczególnie łasa na pieniądze. Ale może Spadolini o tym nie wiedział, nie mógł wiedzieć. Kiedy pomyślę o wielu tak zwanych mieszkaniach własnościowych, które nasza matka nabyła potajemnie, we wszystkich możliwych miastach, w większości za plecami ojca, który prawdopodobnie w ogóle nic nie wiedział o tej swoistej chciwości na pieniądze, nie myślał o niej tak, żeby domyślić się jej chciwości na pieniądze, pomyślałem. Wystarczy mi tylko przypomnieć sobie perwersyjny entuzjazm matki dla akcji giełdowych.

Spadolini podczas tej kolacji zafalszował nam matkę w niedopuszczalny sposób, zaprezentował, by tak rzec, matkę przeciwną faktycznej, w szarmancki sposób, co przynależy do jego kunsztu, pomyślałem, znacznie bardziej wyidealizował matkę niż ojca, którego zresztą wyidealizował

nieznośnie już wcześniej, z wyrachowania. To zaś, co powiedział do nas, do mnie i moich sióstr, pomyślałem teraz, w gruncie rzeczy sprowadza się również do idealizowania nas, absolutnie niedopuszczalnego, które jednak przejrzałem na wylot, pomyślałem, nie uszło to mojej uwagi, ponieważ z biegiem czasu wykształcił mi się dobry słuch na tony Spadoliniego. Kalkulujący Spadolini siedział naprzeciw nas przy tej kolacji, kalkulujący Spadolini poszedł z nami na drugą stronę do oranżerii, by nam potem w oranżerii przedstawić równie wykalkulowany teatr smutku, pomyślałem. I wyidealizował Wolfsegg, gdyż Wolfsegg, jakie nam opisuje, nie ma nic wspólnego z rzeczywistym. Ten ierrrarrcha Kościoła już w pierwszych godzinach pobytu w Wolfsegg doprowadził swoją niebywałą sztukę wyrachowania do rozkwitu, pomyślałem, tę wyrachowaną sztukę zafalszowywania; na naszych oczach zrobił, by tak rzec, z głupców inteligentów, ze złych ludzi świętych, z analfabetów filozofów, a z ludzi w rzeczywistości podłych powszechnie szano-wane osobistości. Z brzydoty piękno, z nikczemności i podłości wewnętrzną i zewnętrzną wielkość, z nieludzi, by tak rzec, ludzi, ujmując rzecz dokładnie. Z okropnego kraju raj, a z tępego narodu naród godny uwielbienia. Spoczywających na katafalku zmarłych Spadolini wyniósł na wyżyny, które pod żadnym względem nie są dla nich stosowne, pomyślałem. On ich fundamentalnie zafalszował, pomyślałem, a na dodatek sprzedał to zafalszowanie w absolutnie niedopuszczalny sposób jako rzeczywiste i prawdziwe. Nadużył, by tak rzec, naszych oczu i uszu, świadomie wprowadzając je w błąd, tylko po to, by możliwie najlepiej przedstawić siebie, byśmy go zostawili w spokoju, by przeciągnąć nas na swoją stronę, co jednak całkiem źle sobie wymyślił, powiedziałem do siebie, gdyż zbyt daleko posunął się w tych fałszach i zafalszowaniach. Spadolini nas nie docenił, pomyślałem, także moich sióstr, które koniec końców nie są takie głupie i nie pozwolą sobie teraz wmówić i wmusić rodziców a la Spadolini, a na dodatek brata jako wspaniałego i godnego szacunku człowieka, czymkolwiek oni wszyscy dla nich byli, nie są na tyle głupie, żeby dać się nabrać Spadoliniemu, dać się, by tak rzec, złapać na

*lep jego zafalszowań, pomyślałem, z pewnością również siostry miały wrażenie, że Spadolini bredzi i wydobywa z siebie wyłącznie powierzchowne, oportunistyczne banialuki, przyjęte w takich sytuacjach i pozwalające naraz w obliczu śmierci, jak to się niesmacznie określa, uczynić zmarłych w oczach pozostałych przy życiu smacznymi, chociaż przez całe życie byli dość niestrawni i nie do zniesienia. Również Spadolini podporządkował się tej regule, powiedziałem do siebie, co pozwoliło mu przedstawić zmarłych w świetle, jakie im nie przystoi, pomyślałem, Spadolini ustawił teraz zmarłych spoczywających na katafalku w tak jasnym świetle, że stało się to wręcz nieapetyczne. Zmarły wiódł prawdziwe życie, powiedziałem teraz do siebie, wszystko jedno, jakie ono było, nikt nie ma prawa go zafalszowywać i czynić nagle z natury, którą był, coś nienaturalnego tylko dlatego, że opowiadającemu przynosi to korzyść i pozwala wywierać miłe i dobre wrażenie. Spadolini pragnął wywrzeć miłe i dobre wrażenie zarówno opisem matki, jak i opisem ojca, a także opisem brata, pomyślałem. Ów ierrrarrcha Kościoła wywierał na tyle miłe i dobre wrażenie, że przez cały czas przejmowało mnie to zgrozą, tak wygląda prawda, pomyślałem. Spadolini prawdopodobnie sądził, iż jesteśmy na tyle prymitywni, by dać się na niego nabrać, i że musi nam odmalować zmarłych tak, jak odmalował ich przy stole, zniekształconych, odwrotnych, pomyślałem.*

*Spadolini odmalował ludzi, których sam nigdy nie widział, nie zawahał się sęczyć nam otwarcie do uszu jednej nieprawdy za drugą, wtykać nam tych nieprawd do uszu, które przecież zawsze dobrze słyszały, i podtykać pod oczy, które, jak myślę, zawsze dobrze widziały, całkiem coś innego, niż widział Spadolini.*

*Spadolini jest urodzonym fałszerzem, powiedziałem teraz do siebie, urodzonym oportunistą, czyli urodzonym księciem Kościoła. Naraz zrozumiałem, dlaczego Spadolini zrobił taką niewiarygodną karierę, dlaczego tak zawrotnie szybko mknął do przodu, aż na najwyższe szczyty. W tym względzie Maria nade mną góruje, pomyślałem, z tym jej naprawdę*



nieprzekupnym spojrzeniem, ona nigdy nie pozwoliła zwieść się blichrowi Spadoliniego, a przede wszystkim jego wyrafinowanej biegłości w przekonywaniu, pomyślałem. Nigdy, pomyślałem. Maria zawsze we właściwy sposób oceniała Spadoliniego, nie podziwiała go jak ja, zawsze był w jej oczach odrażający. Mnie Spadolini napawa wstrętem, a dla ciebie jest niebezpieczny, powtarzała mi częstokroć. Spadolini jest niebezpieczny dla wszystkiego, czego się tknie, zawsze też nazywała go wyłącznie niebezpiecznym Spadolinim. Dzisiaj mamy tego niebezpiecznego Spadoliniego przy stole, pomyślałem. Mamy w domu tego niebezpiecznego Spadoliniego, jak o nim mówiła Maria, pomyślałem. Zmarłych od razu kanonizujemy, żebyśmy mogli czuć się bezpieczni przed zakusami z ich strony i żeby zostawili nas w spokoju, to też wyrażenie Marii, pomyślałem. Jakże często, pomyślałem, myliłem się co do Spadoliniego. Co do tego odrażającego Spadoliniego. W takiej sytuacji znajdowałem się też raz po raz w Rzymie, pomyślałem, Spadolini budził we mnie odrazę, a później, następnego dnia, w następnej godzinie znowu mnie fascynował. Tacy ludzie nieustannie budzą w człowieku odrazę, po czym znów go fascynują, pomyślałem. Spadolini jest przykładem odrażającego oraz fascynującego człowieka, a my bardzo często nie mamy pewności, czy w danym momencie jesteśmy nim zafascynowani, czy też budzi on w nas odrazę, czy powinniśmy, czy wolno nam pozwolić sobie na fascynację nim, czy też powinniśmy czuć, że jest odrażający. Jednakże nie możemy wyrzec się takiego człowieka, mówimy do siebie, nigdy więc nie umiałem wyrzec się Spadoliniego. Później, w Rzymie, znowu do niego pójść i pozwolić się fascynować i budzić w sobie odrazę, ale jednak bardziej fascynować niż budzić odrazę, i zawsze będzie mi niezbędny, pomyślałem. Zawsze miałem wyłącznie nieodzownego Spadoliniego, pomyślałem, i równocześnie pomyślałem też, że w tej chwili ten odrażający człowiek nocuje w ojcowskim pokoju, na swój sposób, na sposób Spadoliniowski, zajęty prawdopodobnie posuwaniem naprzód swoich kalkulacji dotyczących świata, możliwie jak najdalej, aż do ostateczności.

*Spadolini zawsze posuwa się w swoich kalkulacjach do ostateczności, sam siebie przy tym nie oszczędzając, pomyślałem, przed pójściem na spoczynek połyka sześć tabletek i przegląda się w lustrze. Być może ma na sobie tę jedwabną koszulę nocną, którą kupiła mu moja matka, śpi w niej, brak gustu u Spadoliniego jest całkiem odmienny od braku gustu u naszej matki, ale pozostaje brakiem gustu. Podczas kolacji strasznie, jak to się mówi, pilnował się, by nie popełnić błędu i nie wspomnieć o którymś z licznych potajemnych spotkań z naszą matką, chociaż ja wiem o prawie wszystkich spotkaniach, wiedzą o nich również siostry. Przez cały czas myślałem, jak zręcznie opowiada o tym jednym, znanym spotkaniu, a to drugie, nieznanne, pomija, całkiem po prostu o nim nie myśląc, dzięki czemu udaje mu się całkiem po prostu traktować te potajemne spotkania jako niebyłe. Ale nie musiałby traktować ich jako niebyłych, pomyślałem, o wiele straszniejsze, jak to się mówi, było to właśnie, że traktował owe potajemne spotkanie jako niebyłe, niż gdyby otwarcie o nich mówił, oszczędziłby sobie przynajmniej sporo napięcia nerwowego, pomyślałem, mógłby przedstawić wszystko o wiele spokojniej, nie musiałby kreślić przed nami swoich szkiców z tak wielką nadostrożnością, przed nami, którzy być może wiemy nawet więcej o tych jego potajemnych niż o tych tak zwanych upublicznionych spotkaniach z naszą matką. Jednakże Spadolini zawsze był człowiekiem nadostrożnym i właśnie dzięki temu godnym podziwu, podziwianym nie tylko przeze mnie, pomyślałem, i nie tylko urodzonym dyplomatą. Spadolini mówił o wycieczce na Etnę, pomyślałem, która była interesująca, ale przecież nie tak interesująca jak wycieczka do Syrakuz czy wycieczka do Trapani, nie mówiąc już o wycieczce na Malte, na którą wybrał się z naszą matką w tajemnicy przede mną. Opowiadanie o tych wycieczkach i podróżach byłoby niewątpliwie znacznie ciekawsze, w każdym razie dla mnie, chociaż znacznie straszniejsze dla niego, Spadoliniego, pomyślałem.*

*Nie mogłem przestać myśleć o stercie rachunków hotelowych leżących ciągle w pokoju matki, na których zawsze widniały rozliczenia za dwie osoby, tą*

*drugą osobą był Spadolini, którego matka na wszystkich tych wycieczkach i podczas wszystkich tych podróży oczywiście, jak to się mówi, utrzymywała.*

*Arcybiskup podróżował na jej rachunek, a ona czuła się zwyciężczynią.*

*Równocześnie pomyślałem, że to jednak wielce wzruszające, jeśli zważyć, że przez ponad trzydzieści lat jeździła na wycieczki i podróżowała ze Spadolinim, a w tym czasie ani Spadolini nie zmęczył się nią, ani też ona nie zmęczyła się Spadolinim, jak wiem, ich związek nigdy nie osłabł, wręcz przeciwnie, wraz ze starzeniem się obojga przybierał tylko na sile. Dla ojca ten związek był zawsze korzystny, pomyślałem, dzięki temu mógł coraz bardziej panować nad matką. Ojciec był świadomym cierpiętnikiem, który w tej roli, odgrywanej potajemnie również wobec nich dwojga, wydawał się sobie wspinały, jak wiem. Ojciec nigdy nie miał nic przeciw temu związkowi, może na samym początku, chociaż przecież musiał myśleć, że sam jest temu winien, gdyż to on poznał matkę ze Spadolinim, o którym musiał wiedzieć, jaki jest.*

*Ojciec przez trzydzieści lat z największą wyrozumiałością przyglądał się rozwojowi tego związku, który z gwałtownego i niegodziwego stawał się życiowo koniecznym, spokojnym, i który należało zostawić w spokoju. Podczas kolacji Spadolini oszczędził nam wszystkiego, co było dla niego istotnie najdroższe w związku z naszą matką, napomykał jedynie o błahostkach i wychwalał ją, tylko to, by tak rzec, rzucił nam na pożarcie, ale nie pozwolił sobie odebrać niczego, co było dla niego cenne. Spadolini mógł jednak spokojnie wszystko powiedzieć, a więc przyznać się, pomyślałem, my przecież już od lat byliśmy wtajemniczeni, wskutek czego znowu musiało się nam wydawać straszne to, co już od lat w ogóle nie było dla nas straszne. Lecz Spadolini nie posunął się tak daleko, by myśleć, że my wiemy więcej niż on, powiedziałem do siebie, i że każde z nas już sobie tę większą wiedzę ostatecznie przemyślało, każde dla siebie, ja na swój, siostry na swój sposób, toteż dla Spadoliniego ciągle jeszcze istnieje powód do powściągliwości, chcę powiedzieć, do zamknięcia i domknięcia, dochowania tajemnicy. O tyle też*

wydawało się śmieszne być świadkiem wspomnień Spadoliniego o matce. Spadolini bardzo dobrze będzie sobie w przyszłości bez niej radził, pomyślałem teraz, w gruncie rzeczy to już jest poza nim, zatrzymują go tu wyłącznie formalności pogrzebowe, pomyślałem. W Rzymie opowie mi jeszcze wiele bajeczek o matce, pomyślałem, będzie służyła mu za pretekst, by także ode mnie mógł nadal dostawać pieniądze, jak w ułamku sekundy przyszło mi do głowy, wyciągać je ode mnie, okrężną drogą przez zmarłą matkę. Natychmiast jednak poczułem obrzydzenie do tej myśli, poczułem też najgłębsze obrzydzenie do samego siebie i byłbym najszczęśliwszy, gdybym nie był pomyślał tej myśli, ale nie potrafiłem jej już powstrzymać w toku rozważań dotyczących kolacji ze Spadolinim, nie umiałem jej wyeliminować. Musiała zostać pomyślana, powiedziałem do siebie, jak tyle innych myśli, których nie chcemy pomyśleć, a musimy je pomyśleć. Zaśnięcie było teraz niemożliwe, lecz wobec nieodzownie wczesnej pobudki, jaka mnie czekała, nie chciałem naturalnie zażywać żadnych tabletek, spróbowałem więc zabić czas czytaniem, tą już miliony razy sprawdzoną metodą, którą przyswoiłem sobie dobre kilkadziesiąt lat temu. Pomyślałem o Kierkegaardzie i jego Chorobie na śmierć, sądząc zaś, że ta książka znajduje się w położonej najbliżej mnie prawej górnej bibliotece, wyszedłem możliwie najciszej z pokoju, by przynieść sobie owo dzieło Kierkegarda; Chorobę na śmierć czytałem kiedyś, przed wielu laty, przynajmniej dwadzieścia lat temu. W drodze do biblioteki wydało mi się jednak śmieszne, że chcę przeczytać akurat Chorobę na śmierć i akurat książkę Kierkegarda mimo okoliczności i wiedzy o tym, iż Spadolini jest tuż tuż, chęć czytania Kierkegarda i jego Choroby na śmierć to naprawdę perwersyjna myśl, pomyślałem, więc zawróciłem jeszcze przed biblioteką, bo czytanie teraz jakiegokolwiek książki wydało mi się w ogóle bezsensowne; nie umiałem sobie nawet wyobrazić, jaka książka mogłaby mnie w tej chwili zainteresować czy wręcz przykuć moją uwagę, pomyślałem, może Jean Paul, Borne, a potem, może Kleist, a potem, może Heine, pomyślałem znowu, albo od razu Schopenhauer,

*ale nie był to dobry pomysł, żeby w ogóle coś czytać, zamiast spokojnie siedzieć w pokoju i całkiem po prostu porozmyślać; od jak dawna nie miałem już spokoju, by całkiem po prostu porozmyślać, powiedziałem do siebie, wróciłem zatem do pokoju, usiadłem i wyciągnąwszy nogi przed siebie, przymknąłem oczy. Byłem już jednak zbyt niespokojny, żeby przez dłuższy czas usiedzieć spokojnie na krześle, przegapiłem właściwy moment, to już nie było możliwe, wstałem więc i zacząłem przechadzać się po pokoju tam i z powrotem, ale chodzenie tam i z powrotem mnie nie uspokajało, nieustannie bowiem miałem w głowie myśl, jak tu przetrwać tę noc, tę niewątpliwie nastraszliwszą ze wszystkich nocy, jak pomyślałem, która nie mogąc być krótsza, będzie się dłużyła, choćbym sobie do woli rozmyślał, nie skrócę jej, niczego nie boję się bardziej niż takich ciągnących się nocy, ja, który nad sobą panuję i już od dawna nie zażywam tabletek nasennych, ale nie umiem wymknąć się nocy ledwo pomyślę, że nie uda mi się zasnąć, już jest pół do pierwszej lub pół do drugiej nad ranem, mimo to nie zażywam tabletki i problem sam się rozwiązuje, teraz w żadnym razie nie wolno mi zażyć tabletki, pomyślałem, gdyż najpóźniej o pół do czwartej muszę wstać i rozpocząć dzień pogrzebu. Otworzyłem okno, żeby wpuścić świeże powietrze, ale świeże powietrze nie wpłynęło, powietrze, które wpłynęło, było ciężkie i ciepłe. O dziwo w pokoju było lepsze powietrze niż na dworze, więc na powrót zamknąłem okno. Spadolini może pozwolić sobie na zażycie tabletki nasennej, pomyślałem, zazdrościłem mu tego, on może poleżeć do ósmej lub dziewiątej, pomyślałem. A siostry zawsze miały dobry sen, te głupie, pomyślałem. One przez całe życie nie zażyły ani jednej tabletki. Ponieważ jednak nie mogłem zażyć tabletki ani też nie miałem ochoty na czytanie w ogóle i ponieważ w tej chwili czułem obrzydzenie do wszelkiej literatury, również do francuskiej, a nawet do angielskiej, jak pomyślałem, których kiedy indziej, jako że nie znosiłem już niemieckiej, swobodnie, by tak rzec, nadużywałem w charakterze środka na przetrwanie nocy, jak pomyślałem, będę musiał wymyślić co innego, gdyż takie zwykłe siedzenie lub spacerowanie z*

*jednej strony mi nie wystarcza, z drugiej zaś jest nie do wytrzymania, co już widziałem. Zacząłem rozważać, czy nie byłoby najlepiej wyjść z pokoju i w ogóle z domu, narzuciłem na siebie marynarkę, a potem wyszedłem z pokoju i zszedłem na dół do westybulu. Zajrzałem do kuchni, gdzie pomoce kuchenne w ogóle nie uprzątnęły bufetu doszczętnie stratowanego przez gości, więc dało mi to do myślenia, pozwalało bowiem wyciągnąć wnioski dotyczące niedbałości pomocy kuchennych i naturalnie pośrednio dotyczące niedbałości moich sióstr jako ich pań, w każdym razie niechlujstwa, co w przyszłości należy zmienić, i odkryłem, że sterta gazet nadal leży na stole. Usiadłem przy nim i zacząłem brać gazety, w kolejności, w jakiej akurat same wchodziły mi w ręce, sądziłem bowiem, że teraz będę mógł te gazety przeczytać tak samo bez żenady i wstydu, jak kilka godzin temu zrobił to szwagier, który przecież pokazał mi, jak można bez żenady i wstydu czytać takie gazety, ale nie mogłem. Podczas gdy szwagra te gazety dosłownie pochłaniały, właśnie w najbardziej bezwstydnym sposób, mnie te same gazety natychmiast odpychały; coś, co wyobrażałem sobie jako rozkosz, okazało się nagle czynnością napawającą obrzydzeniem, odłożyłem więc gazety i wyszedłem z kuchni. W westybulu unosiły się zapachy ludzi, którzy tu teraz nocowali, jak mi się zdawało, a przede wszystkim zapach ciotki z Titisee. Gdy wszedłem do kaplicy, poczułem tam również zapach ciotki z Titisee. Być może dochodziła już dwunasta, nie pamiętam. Kaplicy zawsze się bałem, ponieważ, jak już powiedziałem, wydawała mi się zawsze salą sądową, nie tylko w dzieciństwie, lecz także później, już w wieku dorosłym, i teraz miałem to samo uczucie, że nie mogę przebywać w niej dłużej, aby mnie nie zaatakowała, musiałem więc wyjść. W marynarce było mi teraz o wiele za ciepło, zdjąłem ją z siebie, przewiesiłem przez ramię i poszedłem przez park na drugą stronę do oranżerii.*

*Oranżeria była naturalnie otwarta, pomyślałem więc, że cały park jest już wypełniony odorem zgnilizny wydzielanej przez zwłoki. Całkiem po prostu wejść do oranżerii, pomyślałem, i wszedłem do środka.*

*Łowczy, którzy ciągle jeszcze tam stali i nikt ich do tej pory nie złuzował, zobaczywszy, że wchodzę, wyprężyli się natychmiast na baczność, moje wkroczenie absolutnie ich zaskoczyło, jako że bardzo cichutko podszedłem pod samą oranżerię. Ci ludzie są przez całe życie postaciami teatralnymi, pomyślałem na ich widok, ten, kto ma nad łowczymi władzę, może zrobić z nimi, co zechce, wykonają koniec końców każdy, nawet najbardziej niedorzeczny i absurdalny rozkaz, to ten nieszczęsny militarizm w nich, pomyślałem, każesz im wyjść, posłuchają, każesz im wejść, posłuchają, pošlesz ich na śmierć, również posłuchają. Ojciec jest dla nich ciągle panem pułkownikiem, pomyślałem, którym istotnie był podczas wojny, w okresie nazistowskim. Pan pułkownik nie poległ jednak, by tak rzec, stosownie do swojego stanu na tak zwanym polu chwały, lecz został zabity wskutek uderzenia głową o przednią szybę swojego samochodu na skrzyżowaniu dróg pod Lambach, pomyślałem. Znowu zacząłem się dopytywać, czy wymieniono bloki lodu i czy w ogóle jest ich wystarczająco dużo, w tym celu jednak nie przyzwałem skinieniem, co byłoby naturalne, żadnego z łowczych do siebie, lecz podszedłem do jednego z nich i spytałem, czy wymieniono bloki lodu i czy w ogóle jest ich wystarczająco dużo, co łowczy trzymający wartę potwierdził skinieniem głowy. Zwracając się do łowczego, bez reszty poddałem się ceremoniałowi, jaki ustanowiły tu moje, ogólnie rzecz biorąc, zapobiegliwe siostry. Zgodnie z naszym od dawna praktykowanym zwyczajem składania zwłok na katafalku oraz planem pogrzebowym. Znowu nie mogłem się opanować i spróbowałem otworzyć wieko trumny matki, ale było rzeczywiście mocno przyśrubowane. Niezręczność sytuacji, że przy próbie podniesienia wieka obserwują mnie dwaj łowczy, była mi już teraz obojętna, musiałem się z tym pogodzić. Nie wiemy przecież, co czynimy, powiedziałem do siebie, gdy mamy nerwy napięte do takiej ostateczności, że sądzimy, iż w każdej chwili puszczą.*

*Odszedłszy od katafalku, i tylko dlatego, by nagłym bezceremonialnym wyjściem z oranżerii nie skompromitować się przed łowczymi, stanąłem jeszcze*

*raz przed trumnami, ale pomyślałem przy tym, że łowczy są wstrętnymi ludźmi, w ogóle najwstrętniejszymi, że nie wytrzymują już widoku ich mundurów i nie cierpię tych twarzy, a także iż fizjonomie łowczych zawsze wydawały mi się wstrętne, i naraz wystraszyłem się nadchodzącego dnia. Ale wszystko pójdzie jak z płatka, powiedziałem zaraz do siebie słowami mojej siostry Caecilii, która w ciągu ostatnich godzin już kilkakrotnie wypowiedziała słowa jak z płatka, pomyślałem, mając na myśli uroczystości pogrzebowe. W zupełności mogę zdać się na siostry, powiedziałem do siebie, przede wszystkim na Caecilię. Ona przecież nie śpi, leży w łóżku, pozwalając, by kondukt pogrzebowy maszerował przed nią już dzisiaj, przy czym jak najdokładniej go kontroluje. I nie uchodzi jej uwagi nic, co przeszkadza lub przynajmniej sprawia wrażenie, że przeszkadza, pomyślałem. Owo zestawianie i aranżowanie Caecilia odziedziczyła po matce, pomyślałem, by tak rzec, inscenizowane. Zainscenizuje więc ten pogrzeb dokładnie tak samo, jak zainscenizowałyby go nasza matka. A przy tym będzie miała uczucie, że matka patrzy, czy rzeczywiście wszystko zostało zainscenizowane po jej myśli, a nie po myśli kogokolwiek innego. Pogrzeb, na dodatek pogrzeb naszych rodziców i brata, zostanie wystawiony, pomyślałem, w inscenizacji Caecilii, i w tym momencie zobaczyłem przed sobą afisz teatralny z wszystkimi szczegółowymi danymi dotyczącymi tego spektaklu.*

*Jest tytuł, jest obsada, jest reżyseria i tak dalej, pomyślałem. Łowczy nie stracili opanowania, ja też nie, choć dość długo stałem przed trumnami, wyobrażając sobie tę mającą nastąpić nazajutrz przed południem prapremierę w inscenizacji mojej siostry, a nawet rozkoszując się nią. Nagle pomyślałem, co by było, gdyby jednak otwarto wieko trumny z matką i zmusiłbym Spadoliniego do obejrzenia zawartości trumny, ale uciąłem tę myśl gwałtownie. Aby nie pozwolić jej się znowu pojawić, wyszedłem z oranżerii. Jednakże powietrze na zewnątrz było teraz jeszcze gorsze niż przedtem, duszne, prawie nie do zniesienia.*

*Sądziłem, że gdy pójdę teraz na drugą stronę do dziecięcej willi, po raz*



*pierwszy znowu sam, poprawi mi to nastrój, poszedłem więc do dziecięcej willi, przedtem jednak zatrzymałem się jeszcze w folwarku.*

*Zwierzęta leżały w stajniach, oborach i chlewach jak martwe, widok był obrzydliwy, nie mogłem znieść wy-ziewów ciał zwierząt, nie byłem podobny do Johannaesa, którego ich odór zawsze podniecał i który ten odór uwielbiał. Ja nie jestem Johannaesem, pomyślałem. Mnie zwierzęta nie uspokajały, w odróżnieniu od zapewnień wszystkich ludzi, którzy twierdzą, że przy zwierzętach się uspokajają, ja, wręcz przeciwnie, będąc przy zwierzętach i musząc wdychać ich odór, od razu czuję się zdenerwowany. Tak zwana miłość do zwierząt była mi zawsze dość obca, nie nauczyłem się jej też z upływem lat. Zwierzęta na ogół napawały mnie lękiem. Zaludniały moje sny, napadając mnie i pożerając, dzieciństwo produkowało we mnie zawsze takie straszliwe sny o zwierzętach. Raz po raz stwierdzałem, że w odróżnieniu od Johannaesa, którego zwierzęta zawsze uspokajały, mnie zawsze wprawiają w niepokój, lęk i przerażenie, jak to się mówi. Nawet dzisiaj jeszcze nawiedzają mnie zwierzęta, napadają i pożerają we snach. Jednakże raz po raz podejmowałem próby uspokojenia się przy zwierzętach, ponieważ wszystkim innym się to udaje, co sobie pomyślałem, ale moje próby w tym kierunku, mogę to powiedzieć, nie udawały mi się przez całe życie. Zwierzęta były dla mnie zawsze co najmniej niesamowite, nawet te najmniejsze, najbardziej niepozorne, i zawsze lękałem się na przykład każdego poruszenia się owadów, nie mówiąc już o rybach, które mój brat z największą przyjemnością sam łowił, łapał za ogony, by rozbijać tym rybom łby i wyrzucać, jeszcze dzisiaj widzę często, jak zabite przez mojego brata ryby spływają w dół potoku za dziecięcą willą, połyskując srebrzyście bokiem zwróconym ku światłu słońca. Dzieci służby nigdy sobie nic nie robiły z obcinania kurom łbów na pniakach, wręcz przeciwnie, sprawiało im to największą przyjemność, także Johannaesowi, któremu rodzice zabronili tego robić, a który jednak właśnie dlatego bardzo często odcinał kurom łby, dla własnej przyjemności. Już jako małemu dziecku udawało mu się jednym jedynym uderzeniem odciąć kurze łeb i*

przyglądać się, jak oddzielony od łba tułów kury z szalonym śmiertelnym impetem frunie w powietrzu jeszcze jakieś dwadzieścia lub trzydzieści metrów. Johannesowi zawsze sprawiało największą frajdę przyglądanie się szlachtowaniu świń albo zabijaniu krów w naszej własnej wolfseggskiej rzeźni na domowy rosół z wołowiny, jak zawsze mawiał ojciec. Podziwiałem ich, robiłem to razem z nimi, ale ta czynność nigdy nie sprawiała mi takiej przyjemności jak Johannesowi, wszystko to zawsze mnie przerażało, pomyślałem. Ja nie jestem Johannesem. W oborze naliczyłem jednym rzutem oka dziewięćdziesiąt dwie sztuki, idealna liczba, to słowa mojego ojca. Przynajmniej tutaj gospodarstwo jest jeszcze nietknięte, pomyślałem. Elektryczna dojarka zamontowana nad łbami krów kosztowała trzysta osiemdziesiąt tysięcy szylingów, przemknęło mi przez myśl, gdyż kiedyś dobitnie podkreśliła to moja matka. Naturalnie, pomyślałem, ta fabryka mleka godna jest zwiedzania. Potem poszedłem na drugą stronę do dziecięcej willi. Faktycznie zostawiły wszystkie okna dziecięcej willi otwarte, pomyślałem, ale nie dlatego, że ja powiedziałem, iż okna mają przez cały dzień być otwarte, lecz dlatego, że zapomniały je zamknąć. Nie było burzy, pomyślałem, ale niewątpliwie wisi w powietrzu.

Teraz nie możesz już nawet poszukać Aleksandra, pomyślałem, siadając na ławce przed dziecięcą willą.

Gdybyśmy mieli na kolacji również Aleksandra, Spadolini nie wysiłalby się tak bardzo, pomyślałem.

Kolacja przebiegłaby zupełnie inaczej, Spadolini pokazałby się z całkiem innej strony. Aleksander, słysząc niektóre z jego uwag, całkiem po prostu by się roześmiał i ośmieszył Spadolinię, który w obecności Aleksandra musiałby obrać absolutnie inną taktykę. Spadolini wydał mi się teraz człowiekiem złego, Aleksander zaś dobrego charakteru. Kiedy jednak mówię, że Aleksander ma dobry, a Spadolini zły charakter, pomyślałem, to też nie jest słuszne. Co się tyczy Aleksandra, to, by tak rzec, dobry człowiek w nim tuszuje wiele

*nieujawnionego nigdy zła. Na przykład nieomal tępe, bezwzględne metody, do jakich posuwa się Aleksander, gdy chce narzucić komuś własne poglądy lub gdy tych, którzy na to nie pozwalają, karze wielodniowym milczeniem, zamyka się w swoim pokoju lub grozi samobójstwem; dobry człowiek jest groźny, bezwzględny, pomyślałem, z powodu jednej pomyślanej przezeń, niewątpliwie śmiesznej myśli potrafi doprowadzić drugą osobę do rozpacz i być może nawet zamordować, pomyślałem. Ale ten demoniczny Aleksander ukrywa się pod Aleksandrem lubianym, zawsze miłym, zawsze pomocnym. Kiedy takiego choćby nie wiem jak miłego człowieka poobserwujemy przez jakiś czas, bodaj tylko we własnej głowie, przy czym nie gra roli, w jak dużej odległości od nas znajduje się ów obserwowany, z dobrego zaczyna się coraz bardziej i bardziej stawać złym człowiekiem, nie ustajemy w wysiłkach, póki z dobrego i miłego nie zrobimy złego i niegodziwego, jeśli tak nam odpowiada, jesteśmy bowiem gotowi do takiego nadużycia, żeby na przykład wydobyć siebie ze straszliwie dręczących nastrojów, w jakie popadliśmy z niewiadomych powodów. I rzeczywiście w tym momencie, pomyślałem, prawdopodobnie dlatego, że Spadolini mi już nie wystarcza i nie wystarczają mi także wszyscy inni, nadużywam Aleksandra w charakterze swojego koła ratunkowego, całkiem po prostu porywam dobrego Aleksandra i dla własnych celów zmieniam go stopniowo w złego, złośliwego człowieka, jak wszystkich innych, którzy wcześniej wydawali mi się dobrzy do tego celu. Nie umiemy sobie poradzić za pomocą lektury, za pomocą spacerowania tam i z powrotem, za pomocą wyglądania przez okno, musimy więc sięgać po swoich najbliższych i najserdeczniejszych przyjaciół, aby wydobyć siebie z nieubłaganego nastroju, pomyślałem. Raz po raz widzę po sobie, że kiedy do głębi ogarnia mnie ten nieubłagany nastrój, biorę ni mniej, ni więcej tylko wszystkich możliwych ludzi, po prostu jednego po drugim, i rozkładam ich w swojej głowie na czynniki pierwsze, wyrzynam w pień, wszystko w nich gruchoczę, by ocalić siebie, a ich pozbawić wszelkich pozytywnych cech i wreszcie znowu móc odetchnąć. Jeśli*

*nie rodziców albo siostry, pomyślałem, ponieważ już mi nie wystarczali, pomyślałem, jeśli nie Johanna lub wszystkich pozostałych, to w ostatecznej rozpaczy i konsekwencji zawsze sam siebie gruchotałem na swój sposób, który mogę nazwać wyłącznie najbardziej bezwzględny. A teraz, w tym momencie, jest to właśnie Aleksander, ponieważ siostry, Spadolini i szwagier nie wystarczają mi do popelnienia tego nadużycia. Taka jest prawda. Aby ulżyć samemu sobie, idziemy naprawdę po trupach, pomyślałem teraz. W dziecięcej willi szukałem dzieciństwa, ale naturalnie go nie znalazłem. Wchodziłem do wszystkich pokoi w poszukiwaniu dzieciństwa, ale naturalnie go nie znalazłem. Po co właściwie, pomyślałem, chcę odrestaurować dziecięcą willę? Skoro nie ma już nikogo, kto umiałby się nią cieszyć i z niej korzystać, pomyślałem, a w chwilę później, że przecież byłoby bez sensu urządzać ten budynek tak, jak zamierzałem to zrobić aż do tej chwili, czyli przekształcić go ponownie w dziecięcą willę, jaką niegdyś była dla nas, dzieci, pomyślałem jednak, że sama myśl na ten temat jest doprawdy absurdalna, gdyż nie da się odtworzyć dzieciństwa, odtwarzając dziecięcą willę, pomyślałem; wydawało mi się, że odtwarzając dziecięcą willę od podstaw i każąc ją odnowić, odtworzę ponownie dzieciństwo, odnowię je, by tak rzec, od podstaw. Dzieciństwo jest teraz równie spustoszone jak dziecięca willa, pomyślałem.*

*Pokoje dziecięce są teraz tak samo ogołoczone, zmarnowane i ograbione jak dziecięca willa, chociaż moje dzieciństwo jednak nie tak samo jak dziecięca willa przez matkę, lecz przeze mnie samego, to ja ograbiłem i zmarnowałem swoje dzieciństwo z jeszcze większą bezwzględnością niż matka dziecięcą willę, przede wszystkim roztrwonilem najpiękniejsze rzeczy z dzieciństwa, dokładnie tak samo jak moja matka najpiękniejsze rzeczy z dziecięcej willi, i teraz nie pomoże już otwarcie na oścież okien dzieciństwa, to byłoby wręcz śmieszne, podobnie jak otwieranie na oścież okien dziecięcej willi, pomyślałem. Dzieciństwo zostało przeze mnie absolutnie wykorzystane i zużyte, pomyślałem, sprzedane za bezcen, pomyślałem. Dzieciństwo wyzyskałem do ostatka.*

*Wszędzie szukamy dzieciństwa i wszędzie znajdujemy tylko słynną ziejącą pustkę, pomyślałem, sądzimy, że wchodząc do jakiegoś domu, w którym przeżyliśmy niezwykle szczęśliwe godziny lub nawet dni dzieciństwa, spojrzymy w głąb niego, ale spoglądamy jedynie w głąb tej sławnej i osławionej ziejącej pustki, pomyślałem. Wejście do dziecięcej willi oznacza przecież wyłącznie wejście w ziejącą pustkę, dokładnie tak samo jak wejście do lasu, w którym w dzieciństwie byłem taki szczęśliwy, oznacza wyłącznie wejście w słynną ziejącą pustkę, to tak, jakbym wchodził wszędzie tam, gdzie jako dziecko byłem szczęśliwy, a ukazywała mi się jedynie ziejąca pustka. Trwonimy swoje dzieciństwo, jakby było niewyczerpane, ale ono nie jest niewyczerpane, pomyślałem, ono wyczerpuje się niezwykle szybko, pozostawiając jedynie ową słynną ziejącą pustkę.*

*Jednakże tak dzieje się nie tylko ze mną, pomyślałem, tak dzieje się ze wszystkimi, więc fakt, że to do-znanie nie zostaje oszczędzone nikomu, wydał mi się natychmiastową pociechą, w tym momencie życzyłem tego doznania wszystkim ludziom. Odszukanie dzieciństwa, kiedy jesteśmy starsi lub już w ogóle się zestarzejemy, oznacza wyłącznie wejrzenie w głąb owej ziejącej pustki, która jak nic innego na świecie przejmuje nas zgrozą. O tyle dobry był pomysł wejścia do dziecięcej willi w nadziei wejścia w głąb samego dzieciństwa, w nadziei, że jest możliwe coś, co teraz okazało się zbawienną pomyłką, od tej bowiem chwili nie będę już wierzył w to, że wystarczy wejść do dziecięcej willi, by wejść w głąb dzieciństwa. Że wystarczy wejść do lasu dzieciństwa, aby już wejść w głąb dzieciństwa, że wystarczy wejść w krajobraz dzieciństwa i uwierzyć, iż na powrót wchodzę w dzieciństwo, gdy tymczasem wchodzę jedynie w tę sławną i osławioną ziejącą pustkę. Nie wydam się już na pastwę straszliwej konfrontacji z ową sławną i osławioną ziejącą pustką, pomyślałem. Za każdym razem, kiedy w Rzymie pomyślałem o Wolfsegg, czułem się tak, jakby wystarczyło tam pojechać, aby wejść w głąb dzieciństwa. Takie myślenie okazywało się jednak zawsze pomyłką, całkiem podłą, nikczemną pomyłką,*

*pomyślałem. Odwiedzisz rodziców, myślałem często w Rzymie, czyli odwiedzisz rodziców swojego dzieciństwa, ostatecznie jednak, odwiedzając rodziców, odwiedzisz wyłącznie sławną i osławioną ziejącą pustkę. Nie możesz odwiedzić dzieciństwa, ponieważ już go nie ma, powiedziałem do siebie. Dziecięca willa pokazuje ci bezlitośnie, że dzieciństwo nie jest już możliwe. Musisz się z tym pogodzić. W ogóle, kiedy się odwracasz, widzisz wyłącznie ziejącą pustkę, pomyślałem, nie tylko w odniesieniu do dzieciństwa, niezależnie od tego, co to jest, skoro minęło, jest to jedynie ziejąca pustka, powiedziałem do siebie. I dlatego dobrze będzie, jeśli w ogóle przestaniesz się odwracać, nie wolno ci się odwracać, już choćby ze względu na konieczność chronienia samego siebie, pamiętaj o tym, pomyślałem teraz. Jeśli odwrócisz się ku przeszłości, spojrzysz jedynie w ziejącą pustkę, jeśli spojrzysz we wczoraj, nie znajdziesz tam niczego oprócz ziejącej pustki, pomyślałem, nawet gdy spojrzysz w przeżyty właśnie moment, zajrzysz wyłącznie w głąb ziejącej pustki. Chciałeś wejść do dziecięcej willi, żeby wejść w głąb dzieciństwa, pomyślałem, którego przez całe dziesięciolecia pozbywałeś się po kawałku, uważając, że jest niewyczerpane, i wskutek tego całkowicie je wyczerpałeś, zmarnowałeś bez zastanowienia, pomyślałem. Uległeś absolutnie prymitywnemu sentymentalizmowi i wyczerpawszy bez reszty inne możliwości, wpadłeś na ten pomysł z dziecięcą willą. Ale ów pomysł ukazuje naraz całą swoją straszność i straszliwość, dziecięca willa staje się nagle koszmarem sennym. Kiedy pomyślałeś i na dodatek powiedziałeś do sióstr, że każesz odtworzyć dziecięcą willę, naprawdę wierzyłeś, że jej odtworzenie pozwoli ci na powrót odtworzyć dzieciństwo. By tak rzec, faktycznie uwierzyłeś, iż podobnie jak dziecięcą willę, uda ci się na powrót odmalować dzieciństwo, uda ci się to dzieciństwo, by tak rzec, świeżo otynkować, położyć mu nowy dach etcetera.*

*Mimo iż już tyle razy przeżyłeś z tą myślą klęskę swojego dzieciństwa, pomyślałem, gdyż przecież pomysł odtworzenia dziecięcej willi i równocześnie dzieciństwa nie przyszedł ci na myśl po raz pierwszy, pomyślałem. Często go*

wprowadzałeś w czyn, a nawet narzucałeś ten pomysł innym, po czym widziałeś, jak ponoszą klęskę, podjąwszy go, ten najbardziej absurdalny ze wszystkich pomysłów. Całkiem świadomie wmanewrowywałeś ich w tę skazaną na klęskę myśl, przemilczając przed nimi swoje straszne doświadczenie z tym najbardziej absurdalnym ze wszystkich pomysłów i zostawiając ich samych z tym przemilczeniem. Podle. Zostawiłem dziecięcą willę za sobą i wszedłem do biura. Domek myśliwski nie był zamknięty, prawdopodobnie ze względu na to, by łowczy, trzymający wartę przy trumnach, mogli swobodnie wchodzić i wychodzić, pomyślałem. Jest pewne, że nie będę dzień w dzień jak ojciec przychodził do biura i zasiadał w nim, by załatwić korespondencji służbową, rozmawiać z zarządcą, i w ogóle ze służbą w tym stęchłym powietrzu. Nie uznaję, jak mój ojciec, biura za swoją właściwą przestrzeń życiową w przyszłości, pomyślałem. Segregatory firmy Leitz nie zawężą mojego życia firmy Leitz najpierw zawężyły życie ojca, a potem pewnego dnia rzuciły się na niego i stłamsiły jego samego.

To nie jest wizja, pomyślałem, to rzeczywistość. Korespondencja służbowa zrobiła z ojca niewolnika tego gospodarstwa, bez reszty podporządkował swoje życie tej codziennej korespondencji służbowej, pomyślałem. Najpierw zamknęli go w tym biurze jego rodzice, moi dziadkowie, a potem ono samo całkowicie go stłamsiło, pomyślałem. Mnie ono nie stłamsi, ja nie pozwolę mu się stłamsić. Biuro jest tak urządzone, że każdego musi stłamsić, pomyślałem. Nie zapaliłem światła, by nikt mnie nie odkrył. Ale łowczy naturalnie dawno zauważyli, że jestem w biurze, pomyślałem. Nigdy nie wkroczę do tego biura jako rolnik, nie jestem rolnikiem, rolnictwo w ogóle mnie nie interesuje. W jednym z segregatorów firmy Leitz można zobaczyć zapisy, kiedy i ile pieniędzy przekazywano mi z Wolfsegga przez całe dziesięciolecie, odkąd stąd wyjechałem. Wstałem i zacząłem szukać odpowiedniego segregatora Firmy Leitz, ale nie znalazłem ani jednego ze swoim imieniem. Na różnych segregatorach Firmy Leitz były wypisane wszystkie możliwe imiona, z wyjątkiem

*mojego. Jak wysoka jest właściwie ta niesłychana suma, o jakiej zawsze mówił ojciec, ta niesłychana suma, z powodu której czyniła mi wyrzuty matka, ale najzłośliwiej zawsze robiły to siostry? Ja kazałem się zawsze utrzymywać z Wolfsegg, mówiły, nie wahałem się żądać coraz więcej z wolfseggskiej kasy, ciągle je szantażowałem, jak mówią, pomyślałem.*

*Tam, powiedziałem do siebie, musi być ten segregator firmy Leitz, w którym jest zapisana ta niesłychana suma, tam, tam, tam, ale go nie znalazłem. Wyciągnąłem kilka segregatorów firmy Leitz, przewertowałem je, nie znalazłem jednak odpowiednio zabójczego dla mnie, przemknęło mi bowiem przez myśl, iż matka powiedziała do mnie kiedyś, że gdybym zobaczył, jak wysoka jest suma, którą na mnie wydali, natychmiast padłbym trupem. Na próżniaka, pomyślałem, jakim zawsze mnie nazywali, na tego, który wykorzystuje Wolfsegg dla swoich wątpliwych, ba, obrzydliwych celów, dla swoich obrzydliwych celów intelektualnych, jak pomyślałem. Pan syn przechadza się po Rzymie, podczas gdy my tutaj ciężko pracujemy, mawiał mój ojciec do wszystkich ludzi, gdy był wrogo do mnie usposobiony, w ostatnich zaś latach, kiedy już było jasne, że nie mam zamiaru wrócić do Wolfsegg, lecz chcę pozostać w Rzymie, w każdym razie daleko od Wolfsegg, w jakiejś okolicy duchowej, by tak rzec, ojciec był do mnie na ogół wrogo usposobiony, pomyślałem. Nie wahał się wobec wszystkich ludzi poniżyć mnie z powodu wysyłanych mi co miesiąc pieniędzy, które mi się zresztą należały, jak teraz pomyślałem. Na jakie bzdury oni sami wyrzucali zawsze tyle pieniędzy w błoto, pomyślałem, wystarczy tylko pomyśleć o bziku matki na punkcie strojów, o faryzejskim bziku ojca na punkcie popierania Związku oraz o bziku Johanna na punkcie motorówek i żaglówek, które kosztowały tyle pieniędzy, że ja nigdy tyle nie kosztowałem. To prawda, pomyślałem, siostry kosztowały zawsze najmniej, ale też one nie są więcej warte, pomyślałem.*

*Szkoda każdego grosza, który dano im do rąk, pomyślałem. W tym strasznym, zatechłym biurze ojciec czuł się w mniejszym lub większym stopniu jak u siebie w domu. Błat biurka był, by tak rzec, blatem ucieczkowym, za*



*którym szukał schronienia przed rodziną, chcąc poprzez pisanie listów handlowych, jak ten napisany jego ręką, który jeszcze leży na biurku, uciec od rodziny. Albo wsiadał na traktor, znosząc smród i mordercze trzęsienie tego traktora, albo też z tego samego ucieczkowego powodu chodził codziennie do biura. Pod koniec swojego straszego życia ojciec był człowiekiem zupełnie osamotnionym, pomyślałem. Godnym politowania. Zaraz jednak pomyślałem, że całkiem świadomie niczemu nie przeciwdziałając. Ojciec przystał na życie w takiej godnej politowania sytuacji, ni gdy niczemu nie przeciwdziałał, był zbyt słaby na przeciwdziałanie temu, wszystko jedno czemu.*

*Przeciwdziałanie nigdy nie było w jego stylu, pomyślałem, wolał iść tą żalospną drogą podłego, totalnego zmarnienia, pomyślałem. Taka niesamowita natura, pomyślałem, i taki naprawdę niesamowity majątek, a ojciec wiódł żalospny żywot przy biurku. Biuro sprawiło, że twarz ojca stała się bez wyrazu, jak to było widać ostatnio, pomyślałem. Koniec końców biuro go zniszczyło. Nic nie pomogły przedsiębrane dwa razy do roku tak zwane podróże edukacyjne. Wybierał się w nie znużony, niechętny, znużony wracał do domu, czując obrzydzenie do nieudanych prób ucieczek od samego siebie. I wtedy biuro na powrót stawalo się jego azylem, pomyślałem. Stopniowo i całkiem niepostrzeżenie, za plecami, niszczyła go z jednej strony rodzina, która uwzięła się, by go zniszczyć, pomyślałem, z drugiej zaś to biuro, w którym nagromadziła się cała biurokratyczna tępota wyłącznie w tym jednym jedynym celu, by stłamsić ojca i jego życie. Ale ojciec sam szukał schronienia w tej biurokratycznej tępocie, pomyślałem, przed historyczną żoną, naszą matką, uciekał do biura, w którym zamykał się na większość czasu, jak pomyślałem. Jedynie łowczy mieli tam swobodny wstęp, nikt poza tym. Członkowie rodziny musieli się wcześniej meldować, a gdy pukali bez uprzedzenia, nie wpuszczał ich, ojciec zabraniał im wstępu, swoim, by tak rzec, nieubłaganym niszczycielom. Ja nie pozwolę się temu biuru ani zniszczyć, ani unicestwić, pomyślałem, nie będzie to mój azyl. Segregatorów firmy Leitz nie uczynię, jak*

*ojciec, swoimi niemymi towarzyszami na pół dnia lub całe dni, a często też jeszcze w najohydniejszy sposób na pół nocy lub całe noce. Biuro nie będzie moim mostkiem kapitańskim, jak ojciec bardzo często wyrażał się o swoim biurze, pomyślałem, nadal w tym momencie odczuwając podłe upokorzenie, kiedy ojciec, świadomie czy nie, nazywał biuro swoim mostkiem kapitańskim, choć przecież nigdy nie sprawował władzy kapitana w Wolfsegg, gdyż kapitanem była tu zawsze i wyłącznie nasza matka. Z pełną świadomością godziła się, by ojciec wypowiadał swobodnie słowa mostek kapitański, również w towarzystwie, gdyż te wypowiadane przezeń słowa mostek kapitański bardzo ją zawsze w takiej chwili rozśmieszały. Nie, nie, to nie będzie moje biuro, pomyślałem. Nie pozwolę, by zawładnęły mną segregatory firmy Leitz. Segregatory firmy Leitz zawładnęły już milionami ludzi, którzy nie potrafią wyzwolić się spod ich upokarzającej władzy, pomyślałem. Miliony ludzi są uciskane przez segregatory firmy Leitz. Cała Europa pozwala się od stu lat uciskać segregatorom firmy Leitz, a ucisk segregatorów firmy Leitz jeszcze się pogłębia, pomyślałem. Niebawem segregatory firmy Leitz nie tylko zawładną Europą, ale ją unicestwią. Już kiedyś powiedziałem do Gambettiego, że zwłaszcza Niemcy pozwolili na to, by ich uciskały segregatory firmy Leitz. Nawet literatura Niemców jest uciśniona przez segregatory firmy Leitz, powiedziałem kiedyś do Gambettiego. Każda niemiecka książka, którą otwieramy i która w powstała tym stuleciu, powiedziałem do Gambettiego, jest uciśniona przez segregatory firmy Leitz.*

*Niemcy piszą już literaturę prawie całkowicie unicestwioną i uciśnioną przez segregatory firmy Leitz, powiedziałem do Gambettiego. W Niemczech wszystkim dyrygują segregatory firmy Leitz, powiedziałem do Gambettiego. A ta dzisiejsza literatura, uciśniona przez segregatory firmy Leitz, jest naturalnie wskutek tego niezwykle żalosna, takiej bezsilnej, żalosalnej literatury nie było nigdy wcześniej, powiedziałem do Gambettiego. Jest to śmieszna literatura biurowa, pisana pod dyktando segregatorów firmy Leitz, tak przynajmniej*

wydaje mi się za każdym razem, gdy czytam napisaną dzisiaj książkę.

*Wszystkie te książki są bezgranicznie żalosalne, powiedziałem do Gambettiego, powstały bowiem w umysłach ludzi, którzy pozwolili, by zawładnęły nimi segregatory firmy Leitz, na całe życie, Gambetti, powiedziałem. Mając przed sobą niemiecką literaturę, mamy przed sobą drobnomieszczańską literaturę urzędniczą, nawet wielkie postaci tej niemieckiej literatury nie są niczym innym, Gambetti, Tomasz Mann czy wręcz Musil, powiedziałem, którego jeszcze z tych wszystkich wytwórców literatury urzędniczej stawiam na pierwszym miejscu. Ale także Musil nie stworzył niczego innego oprócz żalosalnej literatury urzędniczej. Ta literatura jest na wskroś mieszczańska, a w większości drobnomieszczańska, powiedziałem do Gambettiego na Pincio, również Tomasz Manny, również Musile pozwoliły, by każdą napisaną przez nich liniijką zawładnęły bez reszty segregatory firmy Leitz. Czytając tę literaturę, widzimy, że pisze ją urzędnik, raz w większym, innym razem w mniejszym stopniu drobnomieszczański urzędnik, któremu w gruncie rzeczy i koniec końców prowadzą pióro wyłącznie segregatory firmy Leitz. Patrycjusz Tomasz Mann pisał na wskroś drobnomieszczańską literaturę, powiedziałem do Gambettiego, przeznaczoną i napisaną wyłącznie dla drobnomieszczan, drobnomieszczenie pochłaniają tę literaturę z rozkoszą, Gambetti, powiedziałem do niego. Od stu przynajmniej lat istnieje jedynie tak zwana przeze mnie literatura biurowa, drobnomieszczańska literatura urzędnicza, powiedziałem do Gambettiego. A jej mistrzami byli Tomasz Mann i Musil, nie mówiąc już o innych. Jeśli pominiemy Kafkę, powiedziałem do Gambettiego, który rzeczywiście był urzędnikiem, ale jako jedyny nie pisał literatury biurokratycznej i urzędniczej, wszyscy inni nie napisali niczego innego, ponieważ w ogóle nie byli do niczego innego zdolni. Urzędnik Kafka, powiedziałem do Gambettiego, on jedyny nie pisał literatury biurokratycznej i urzędniczej, tylko wielką, czego nie można powiedzieć o wszystkich tak zwanych wielkich pisarzach niemieckich tego stulecia, o ile człowiek nie chce wstąpić w*

szeregi tych milionów felietonistycznych gaduł, którzy od stu lat robią z gazet felietonistyczną garkuchnię, gdzie raz po raz aż do przesyty warzą te swoje błędy, od których włos się na głowie jeży, Gambetti. Dokładnie rzecz biorąc, powiedziałem do Gambettiego, Niemcy wyprodukowali w tym stuleciu wyłącznie literaturę zawładniętą przez segregatory firmy Leitz, którą to literaturę bez owijania w bawełnę chcę nazwać literaturą segregatorów firmy Leitz, aby nie popełnić przestępstwa w czasie, który tę literaturę segregatorów firmy Leitz zdemaskuje pewnego dnia jako literaturę segregatorów firmy Leitz i wyrzuci ją tam, gdzie jest jej miejsce, do kubła na odpadki historii literatury, Gambetti. Z drugiej strony ta pisana obecnie literatura jest nasza, powiedziałem do Gambettiego, i czy nam to odpowiada, czy nie, będziemy musieli z nią żyć, ponieważ zawarliśmy z nią pakt, powiedziałem dość patetycznie do Gambettiego, nie pozostaje nam nic innego. W rzeczywistości jest przecież wiele, by tak rzec, imponujących momentów szczytowych w naszej literaturze, powiedziałem do Gambettiego, ale nie mamy prawa porównywać się na przykład z Szekspirem. Gambetti słuchał mnie wtedy z uwagą, pomyślałem, przysłuchiwał mi się, można powiedzieć, ale jak sądzę, nie potraktował mnie wtedy poważnie, a ja pomyślałem, jaka to szkoda, że akurat w kwestii dotyczącej literatury współczesnej nie traktuje mnie poważnie. Pod koniec swoich wywodów powiedziałem zresztą do niego, by tak rzec, uspokajając go: wyjąwszy Marię, a miałem przy tym na myśli, że Maria napisała wiersze, które, krótko mówiąc, są lepsze niż wszystko inne, co wyprodukowano w języku niemieckim w jej, czyli również w naszym czasie. Gambetti potraktował to chyba jako przyjacielski i szarmancki żart z mojej strony, ale ja pomyślałem, że mówię mu prawdę i jestem absolutnie przeświadczony, iż wiersze Marii stanowią szczytowe osiągnięcie naszej literatury, i to nie tylko naszych marnych dziesięcioleci, lecz w ogóle naszego stulecia, które, tak powiedziałem do Gambettiego, przeminie, nie obdarzając nas najprawdopodobniej ani jednym szczytowym osiągnięciem literackim, to jest wyłącznie moje zdanie, Gambetti,

*powiedziałem do niego, Niemcy i my jesteśmy przynajmniej na pół wieku wystarczająco osłabieni, tak że ani oni, ani my nie będziemy już potrafili dorobić się żadnego szczytowego osiągnięcia.*

*Gdyż na wiarę w cuda, Gambetti, już od dawna sobie nie pozwalałam. A tym bardziej na wiarę w cuda literackie. Zresztą, powiedziałem do Gambettiego, jest mało prawdopodobne, aby ten świat, taki, jakim go dzisiaj znamy i jaki codziennie musimy trawić, istniał jeszcze do końca tego wieku, zdecydowanie w to wątpię, wszystkie oznaki wskazują na to, że świat w najkrótszym czasie zmieni się do tego stopnia, iż będzie całkiem nie do poznania, będzie to świat od podstaw zmieniony i od podstaw zniszczony.*

*Wszystko na to wskazuje, powiedziałem do Gambettiego. Ale, powiedziałem do Gambettiego, ta moja wizja jest z góry obarczona błędem. Na to Gambetti się roześmiał, tym swoim swobodnym i niepohamowanym Gambettiowskim śmiechem, pomyślałem. Częstokroć sami do tego stopnia zapędzamy się w przerysowywaniu, powiedziałem później do Gambettiego, że owo przerysowywanie uważamy potem za jedyny logiczny fakt i przestajemy w ogóle dostrzegać właściwe fakty, jedynie to przerysowywanie wywindowane bez miary na same szczyty. Zawsze zadawałem się fanatyzmem przerysowywania, powiedziałem do Gambettiego. Niekiedy, gdy ów fanatyzm przerysowywania czynię sztuką przerysowywania, staje się on jedyną możliwością wydobycia się z marności własnego nastroju, przesytu umysłowego, powiedziałem do Gambettiego. Tak dalece wyszkoliłem się w sztuce przerysowywania, że spokojnie mogę nazwać siebie największym artystą przerysowywania, jakiego znam. Nie znam żadnego innego. Nikt nigdy nie doprowadził sztuki przerysowywania aż do takiej ostateczności, powiedziałem do Gambettiego, a potem, że gdyby ktoś kiedyś chciał wprost zapytać, kim właściwie i tak naprawdę jestem, mógłbym tylko odpowiedzieć: największym artystą przerysowywania spośród wszystkich, jakich znam. Na to Gambetti znowu wybuchnął tym swoim Gambettiowskim śmiechem, zarażając mnie nim, i*

*śmialiśmy się obaj tego popołudnia na Pincio tak, jak nie śmialiśmy się jeszcze nigdy wcześniej. Ale również to zdanie jest naturalnie przerysowane, myślę teraz, gdy je piszę, i charakterystyczne dla mojej sztuki przerysowywania. Wówczas powiedziałem do Gambettiego, że sztuka przerysowywania to sztuka przekraczania, przekraczania życia w moim rozumie-mu, powiedziałem do Gambettiego. Aby dzięki przerysowaniu, a wreszcie dzięki sztuce przerysowywania wytrzymać to życie, powiedziałem do Gambettiego, i uczynić je możliwym. Im jestem starszy, tym bardziej uciekam w swoją sztukę przerysowywania, powiedziałem do Gambettiego. Wielcy przekraczający życie byli zawsze wielkimi artystami przerysowywania, wszystko jedno, kim byli, co tworzyli, Gambetti, byli nimi w końcu wyłącznie dzięki swojej sztuce przerysowywania. Malarz, który nie przerysowuje, jest złym malarzem, muzyk, który nie przerysowuje, jest złym muzykiem, powiedziałem do Gambettiego, podobnie też pisarz, który nie przerysowuje, jest złym pisarzem, przy czym może być tak, że właściwa sztuka przerysowywania polega na tym, by niczego niedorysowywać, wtedy jednak musimy powiedzieć, że ów pisarz przerysowuje niedorysowanie, czyniąc w ten sposób przerysowane niedorysowanie swoją sztuką przerysowywania, Gambetti. Tajemnicą wielkiego dzieła sztuki jest przerysowanie, powiedziałem do Gambettiego, jest to też tajemnica wielkiej Filozofii, sztuka przerysowywania jest w ogóle tajemnicą umysłu, powiedziałem do Gambettiego, potem jednak zarzuciłem tę niewątpliwie absurdalną myśl, która przy jeszcze bliższym potraktowaniu musiałaby niewątpliwie okazać się jedynie słuszna, i oddaliłem się od domku myśliwskiego, zmierzając w kierunku folwarku, aż wreszcie poszedłem do dziecięcej willi, myśląc sobie, że to dziecięca willa sprowokowała we mnie te absurdalne myśli. Wymazywanie, pomyślałem w drodze powrotnej z dziecięcej willi do folwarku, dlaczego nie. Ale nie nastąpi ono tak od razu. Potrzebuję na nie dużo czasu. Więcej niż rok. Może dwa, albo nawet trzy lata. Przecież od czasu do czasu uważamy się za absolutnie zdolnych do wykonania jakiejś pracy umysłowej, nawet do napisania*

*czegoś, jak choćby takiego Wymazywania, ciągle jednak cofamy się przed tym z przerażeniem, wiedząc dobrze, że najpewniej tego nie wytrzymamy, a potem, gdy może już dość daleko posuniemy się do przodu, ponosimy nagle klęskę i wtedy wszystko jest stracone, nie tylko cały czas, któryśmy na to zużyli, a więc go roztrwonili, jak się potem bezwzględnie okazuje, okazuje się również, że na dodatek bla-mujemy się w najstraszliwszy sposób, jeśli nie wobec całego świata, to przynajmniej sami przed sobą.*

*Nie zależy nam szczególnie na powodowaniu tej klęski, wzdragamy się więc przed rozpoczęciem takiej pracy umysłowej, chociaż mamy wrażenie, że moglibyśmy ją rozpocząć, odkładamy ją na kiedy indziej, jakbyśmy chcieli odłożyć na kiedy indziej jakiś wielki blamaż, niesłychany samoblamaż, pomyślałem.*

*Żądamy od innych, aby przynajmniej dobrze wykonywali swoją pracę, w gruncie rzeczy jednak, aby ją wykonywali nadzwyczaj nie, pomyślałem, sami natomiast nic z siebie nie dajemy, nawet najblahszego napisanego produktu umysłowego, tak to jest, pomyślałem, od wszystkich żądamy rzeczy najwyższych i najniezwykleszych, a sami nie dajemy z siebie zupełnie nic. Bojąc się ponieść klęskę, nie chcemy wystawiać się na straszliwe upokorzenie, więc coraz to odkładamy pomysł napisania takiego produktu umysłowego na kiedy indziej, wszelkimi sposobami, przy użyciu wszystkich wymówek, wszystkich podłości, które akurat wydają się nam użyteczne. Naraz jesteśmy zbyt tchórzliwi, by zacząć. Z drugiej jednak strony ciągle nosimy się z tą pracą umysłową i za wszelką cenę chcemy ją wykonać. Założyliśmy ją sobie, mówimy do siebie i chodzimy z tym pojęciem założyliśmy tam i z powrotem, całymi dniami, całymi tygodniami, całymi miesiącami, i całymi latami, niekiedy nawet całymi dziesięcioleciami, ale nie siadamy, by ją naprawdę zacząć. Zamiar, jaki mamy, jest czymś niesamowitym, mówimy do siebie, ale mówimy to również do innych, prawdopodobnie dlatego, że jesteśmy zbyt próżni, by to przemilczeć, potrafimy jednak zrobić wyłącznie coś całkiem i absolutnie śmiesznego. Napiszę*

niesamowity artykuł, mówię do siebie i równocześnie się tego boję, a w chwili tego strachu już ponoszę klęskę wskutek tej absolutnej niemożności zaczęcia. Mówimy z wielkim zadęciem, jaki mamy zamiar i że będzie to coś niesłychanego i wyjątkowego, w ogóle nie cofamy się przed takim sformulowaniem, ale równocześnie idziemy ze spuszczoną głową do łóżka i zażywamy tabletkę nasenną, zamiast zacząć owo Niesłychane i Wyjątkowe. Tacy jesteśmy, powiedziałem kiedyś do Gambettiego, udajemy, że jesteśmy zdolni do wszystkiego, nawet do najwyższych i największych rzeczy, a potem nie dajemy rady nawet wziąć do ręki pióra, by przelać na papier choćby jedno słowo z tej zapowiadanej przez nas niesłychaności i wyjątkowości. Wszyscy wpadamy w megalomanię, powiedziałem do Gambettiego, żeby nie musieć płacić za swoją nieustanną niegodziwość. Wymazywanie, pomyślałem, ale, prawdę mówiąc, jeszcze po latach, miałem o nim zaledwie niejasne pojęcie, nie myślę przy tym o czymś niesłychanym, powiedziałem do Gambettiego, ani o niczym wyjątkowym, jednakże o czymś więcej niż tylko szkic, o czymś więcej niż tylko naszkicowanie życia, o czymś, co da się oglądać. Wyłącznie o czymś, co da się oglądać i czego nie będę musiał się wstydzić, powiedziałem do Gambettiego. Uważam się za zdolnego i kompetentnego, żeby napisać coś, co wydaje mi się warte tego, by o tym napisać, ponieważ jest dla mnie tak ważne, a ponadto jeszcze sprawia mi ogromną przyjemność, jak myślę. Nie jestem właściwie pisarzem, powiedziałem do Gambettiego, tylko pośrednikiem literatury, na dodatek niemieckiej, to wszystko. Swego rodzaju literackim pośrednikiem rzeczywistości, powiedziałem do Gambettiego, prowadzę, by tak rzec, pośrednictwo nieruchomości literackich. I chociaż dzisiaj każdy piszący kartki pocztowe nazywa siebie pisarzem, powiedziałem do Gambettiego, to ja sam nie nazywam siebie pisarzem nawet po setkach artykułów, które próbowałem napisać i które już napisałem. Zresztą nienawidzę większości pisarzy, powiedziałem do Gambettiego, kocham bardzo niewielu, ale tych za to najzarliwiej, jak umiem. Pisarzy, protokolantów, jak myślę, że trzeba ich nazwać, przede wszystkim



*niemieckich, powiedziałem do Gambettiego, unikałem przez całe życie, przez całe życie nie siadałem z nimi przy jednym stole, gdyż, powiedziałem do Gambettiego, poznawanie pisarza i siadanie z nim przy jednym stole wydaje mi się czymś najobrzydliwszym na świecie. Dzieło tak, powiedziałem do Gambettiego, ale jego wytwórcy nie, powiedziałem do Gambettiego. Większość z nich ma kiepskie, wręcz kuriozalnie obrzydliwe charaktery i bez względu na to, kim są, w każdym przypadku w trakcie osobistego spotkania niweczą swój wytwór, unicestwiają go, powiedziałem do Gambettiego. Ludzie cisną się, by poznać ulubionego, uwielbianego lub nawet znenawidzonego pisarza, całkowicie niszcząc w ten sposób jego dzieło, powiedziałem do Gambettiego. Najlepszą metodą uwolnienia się od dzieła pisarza, które człowiekowi wszystko jedno z jakiego względu nie daje spokoju, czy dlatego, że je najwyżej ceni, czy też dlatego, że go nienawidzi, jest poznanie jego wytwórcy. Idziemy do wytwórcy dzieła literackiego i uwalniamy się od niego, powiedziałem do Gambettiego. Pisarze, ogólnie rzecz biorąc, są najobrzydliwszymi ludźmi, jacy istnieją, powiedziałem do Gambettiego, ja sam na początku studiów odwiedzałem rzeczywiście pisarzy, pchałem się do nich, muszę to przyznać, napadałem ich i wreszcie zaskakiwałem znenacka, powiedziałem do Gambettiego, do niektórych nawet się podkradałem, by ich wyszpiegować. Po wizytach u nich wszystkich bez wyjątku znenawidziłem ich wytwory i nie mogłem już czytać żadnego z nich, Gambetti.*

*Wszystkich tych odwiedzanych przeze mnie i w mniejszym lub większym stopniu wyszpiegowanych pisarzy traktuję dzisiaj jako podłych, niegodziwych, a nawet głupich ludzi, którzy osiągnęli pewną literacką sławę, powiedziałem do Gambettiego, których towarzystwa umiem się jednak wyrzec, gdyż oferują mi wyłącznie miernotę. Wszystko w tych ludziach jest mierne, powiedziałem do Gambettiego.*

*Wszystko w tych ludziach jest drobnomieszczańskie i żalosne. Wszystko w tych ludziach cuchnie podłą złośliwością i nędznym biedermajeryzmem, który na*

*dodatek dopuszcza się występku megalomanii.*

*Koniec końców wszyscy ci ludzie są na wskroś poczciwi, podobnie jak to, co piszą i rzucają na rynek, powiedziałem kiedyś do Marii. To tak, jakby literaturę niemiecką profanowali od stu lat sami prowincjusze. Mamy dzisiaj prowincjonalną literaturę, żadną inną, powiedziałem do Marii, pomyślałem w drodze na folwark, tylko twoja, Mario, jest wielka, wyjątkowa, trwała, nie będziemy się musieli jej wstydzić jeszcze za sto lat. Nie, powiedziałem wówczas do Gambettiego, nigdy nie chciałem być pisarzem, taka myśl nigdy nie powstała mi w głowie, ale zawsze miałem pomysł napisania czegoś tylko dla siebie. Żałuję, że później było to tu i ówdzie publikowane. Ale ja nie jestem właściwie pisarzem, Gambetti, powiedziałem do niego, absolutnie nie. Przechodząc obok półotwartych okien folwarku, słyszałem oddechy krów i pomyślałem, że bardzo często przypominamy sobie dokładnie szczegóły, tak zwane rzeczy mało ważne, zachowując je i wnikając w nie w trakcie rozważań. Oddajemy się do dyspozycji tym rzeczom ubocznym i szczegółom, aby się im najpierw przyjrzeć, potem je przejrzeć: na przykład, że w drodze z dziecięcej willi do biura dokładnie zaobserwowałem, jak chmury za dziecięcą willą ułożyły się w kształt smoka z szeroko otwartą paszczą. Wtedy taka uboczna rzecz może stać się dla nas wyraźna również we wspomnieniu, wtedy, wiele tygodni później, wiele miesięcy później, wiele lat później zobaczymy być może dokładny przebieg ruchów takiej formacji chmur, myślę, przywołamy ją bez najmniejszego trudu w pamięci, dokonamy tego, by tak rzec, na rozkaz naszego mózgu, podobnie jak nie sprawia nam najmniejszej trudności przywołanie w pamięci na przykład mimiki czyjejś twarzy, którą widzieliśmy kiedyś, wiele lat temu, również mnie nie sprawia teraz najmniejszej trudności równie dokładne ujrzanie twarzy członków mojej rodziny, którzy stali przed trumnami, takimi, jakie ukazały mi się one wówczas, gdy na nie patrzyłem, z ich niezwykle dokładną mimiką, gdyż również tak zwana nieruchoma twarz jest absolutnie mimiczna, ponieważ nie jest martwa, nawet martwa twarz jest mimiczna, ponieważ w rzeczywistości nie jest martwa, i tak*

dalej. Opanowawszy mechanizm, który nam to umożliwia, jeszcze wiele lat później słyszymy i widzimy precyzyjnie. Dokładnie tak samo dzieje się ze zmysłem powonienia, jak wiemy. Idziemy ulicą w Paryżu i jakiś zapach zwraca naszą uwagę na coś, co faktycznie jest odległe o dwadzieścia lub trzydzieści lat wstecz albo jeszcze bardziej, i wtedy ze wszystkimi szczegółami przywołujemy w pamięci ów przedmiot, ową okoliczność lub owo spotkanie, nawet jeśli upłynęło już dwadzieścia czy trzydzieści lat. Z tego naturalnego mechanizmu uczyniłem sobie sztukę, myślę, którą uprawiam codziennie, i będę się jeszcze w tej sztuce doskonalił. Krowy w folwarku oddychały, a ja nagle poczułem najgłębsze zmęczenie, wróciłem więc do swojego pokoju. Zasupeł zasłony. Naturalnie nie mogłem zasnąć i podczas tej bezsennej nocy rozmyślałem tylko o tym, co stanie się teraz z tym wszystkim? Z Wolfsegg i wszystkim, „co do niego przynależy? Ponad dwie godziny zaprzętała mnie wyłącznie ta myśl, nie myślałem wtedy co stanie się z Wolfsegg?, lecz co zrobię z tym Wolfsegg, które wskutek śmierci rodziców rzeczywiście i w najprawdziwszym sensie tego słowa spadło mi teraz na głowę i grozi stłamszeniem mnie, Wolfsegg z całym swoim niesamowitym impetem spadło mi na głowę, pomyślałem. Gdy tak przewracałem się w łóżku to na jeden, to znów na drugi bok, było szaleństwem wmawiać sobie, że zdołam się uspokoić, ta sytuacja bez wyjścia, której istnienie nagle uświadomiłem sobie w całej jej straszliwości, nie dawała mi spokoju, nie pozwalała pomyśleć żadnej rozsądnej myśli i nie mogłem nawet trochę dłużej, choćby przez minutę, uleżeć na jednym boku, bo moje serce było w najwyższym stopniu pobudzone. Tak więc spędziłem resztę nocy na dokładnym kontrolowaniu serca, nieustannie licząc uderzenia, nieregularności, raz po raz, w coraz krótszych odstępach czasu wybijające te uderzenia serca z rytmu, tak że wpadłem w straszną panikę. Mój internista w Rzymie naprawdę napędził mi śmiertelnego stracha, pomyślałem, wmówił mi, że życie moje będzie krótkie, a nie długie, zrobił to z niemającą sobie równych bezczelnością i bezwzględnością, jak teraz pomyślałem, bez krztyny wrażliwości. Lekarze chcą,

*tak pomyślałem, znaleźć potwierdzenie swojego wyroku i wolą raczej mówić o rychłym końcu niż przedstawiać perspektywy końca ciągnącego się dłużej, aby się nie zblamować, gdyż lekarze niczego nie boją się bardziej niż blamażu spowodowanego czyjąś nagłą, gwałtowną śmiercią, której nie przewidzieli, zawsze więc wolą, jak mój rzymski internista, przepowiadać zaledwie krótkie ba, najkrótsze życie, by oszczędzić sobie takiego blamażu. Muszę jednak powiedzieć, że rzymscy lekarze są lepsi niż austriaccy, których mogę nazwać wyłącznie ludźmi bez skrupułów i absolutnie niewrażliwymi. Tak więc mój rzymski internista przedstawił mi perspektywę bardzo krótkiego życia; leżąc zatem w łóżku i nie mogąc zasnąć, myślałem, co naprawdę zrobię z tym Wolfsegg, choć oczywiście nie mogłem tego wymyślić, a już na pewno nie w tych warunkach; przez cały czas rejestrowałem szybkość uderzeń swojego serca, ich nieregularność. Słyszemy naturalnie, co mówi lekarz, w tym przypadku internista, ale mu nie wierzymy, słyszemy, co mówi, ale nie wierzymy, ignorujemy to. Być może owo ignorowanie jest lepszą metodą, myślę teraz, ale naturalnie cierpimy bez przerwy z tego powodu, że lekarz nam powiedział, iż nie mamy przed sobą długiego życia, tak więc uciekamy ciągle przed jego słowami, jego niszczącymi zdaniem, bo przecież chcemy żyć, chociaż tak bardzo psioczymy na to życie i być może nawet nim pogardzamy, czepiamy się go jednak mocno i naprawdę chcemy je mieć na wieczność. Przez cały czas, całymi tygodniami, pomyślałem, nie uświadamiałem sobie rzeczywistego stanu swojego zdrowia, teraz jednak, leżąc w łóżku, bezsennie, zdenerwowany wszystkim, uświadomiłem go sobie z największą bezwzględnością. Chociaż powinienem był robić wszystko, by się oszczędzać, również jeśli idzie o ewentualne napisanie tego Wymazywania, które już tak bardzo utrwaliło mi się w głowie, dopuszczam do tego, że denerwuję się teraz w sposób, który może być tylko jeśli nie wręcz zabójczy, to jednak dla nas szkodliwy, pomyślałem. Że też przyzwyczailem się w Rzymie do rytmu przynoszącego ulgi w mojej chorobie, pomyślałem, a także, co się tyczy lekcji z Gambettim, dostosowałem ten rytm dokładnie do swojego stanu*

chorobowego, wszystko w Rzymie podporządkowałem swojemu stanowi chorobowemu, i że też pozwalam się sobie teraz denerwować, na co nie powinienem sobie w żadnym razie pozwolić, pomyślałem. Zawsze jednak, gdy w ostatnich latach przyjeżdżałem do Wolfsegg, denerwowałem się i przeciążałem serce, pomyślałem, co zawsze nadzwyczaj mu szkodziło. Po wizytach w Wolfsegg zawsze też odwiedzałem swojego rzymskiego lekarza, który stwierdzał, że przeciążyłem serce, i to wyłącznie przez pobyt w Wolfsegg, przez pobyt w Austrii, jak ja sam to jeszcze doprecyzowywałem. Wszystkie pobyty w Austrii i w Wolfsegg były w ostatnich latach nadzwyczaj szkodliwe dla mojego serca, zawsze doprowadzały je do granic jego możliwości. Ale ja nigdy nie zważałem na swoje serce, pomyślałem, dlatego też tak daleko to z nim zaszło, nigdy bowiem na nie nie zważałem, już od dzieciństwa, żadne serce nie wytrzymuje takiej natury jak moja, powiedziałem do siebie, wcześniej choruje, słabnie, ponieważ od dzieciństwa było nadużywane, od najwcześniejszego dzieciństwa nadużywałem swojego serca i zawsze je przeciążałem, pomyślałem, nigdy nie pozwalałem mu pracować spokojnie. Moje serce nigdy nie zaznało spokoju, jaki powinno było mieć, pomyślałem, a teraz jest zniszczone. Zamiast je jednak chronić, chronić w Rzymie, żyć swoim, jemu podporządkowanym rytmem, jak pomyślałem, jeżdżę do Wolfsegg, szkodząc mu i znowu straszliwie je denerwując. Ale to tylko ten jeden dzień, powiedziałem do siebie, więc już choćby ze względu na serce wrócę możliwie najrychlej do Rzymu, do domu, jak do siebie powiedziałem, gdyż mój dom jest w Rzymie, a nie tutaj w Wolfsegg, i tam znowu zacznę chronić swoje serce, nie będę od niego zbyt wiele żądał, jak mi zalecił internista i co powtarza mi raz po raz Maria, zbyt wiele żądasz od swojego serca, powtarza ciągle, uważaj na swoje serce, ciągle słyszę, jak to powtarza, i nie zastanawiam się nad tym, chociaż ona ma rację, pomyślałem. Maria, moja rzymska pani doktor, pomyślałem, moja wielka poetka, moja wielka lekarka, moja wielka artystka życia, podekscytowany pobiegnę do Marii, pomyślałem. Nie mogąc dłużej wyleżeć w łóżku z tym podekscytowanym sercem,

wstałem, odświeżyłem się w łazience i jeszcze w płaszczu kąpielowym usiadłem w fotelu przy oknie, zdjąwszy wcześniej z półki tak zwaną Monografię o Kartezjuszu. Wbrew oczekiwaniom Kartezjuszowi udało się nagle odwrócić moją uwagę od wszystkich lęków, jakie mnie dręczyły, już po pierwszych zdaniach nie o Kartezjuszu, lecz jego autorstwa, byłem uratowany. Czytałem te zdania i odwróciły one moją uwagę, nie chcę powiedzieć, że mnie uspokoiły, ale jednak odwróciły moją uwagę. Że też wielcy Filozofowie są moimi wybawcami, pomyślałem, wszystko jedno, co ich autorstwa czytam, odwraca to moją uwagę, ratuje mnie, pomyślałem. Jak się zdaje, nie jest możliwe poznanie, póki nie poznamy sprawcy naszego własnego istnienia, pomyślałem i odwróciło to moją uwagę, byłem uratowany. Z tym zdaniem mogłem spędzić kilka godzin przy oknie do czasu, gdy będę musiał wstać i zejść na dół, ponieważ zacznie się pogrzeb. Już od dłuższej chwili obserwowałem przez okno siostry, stojące przed oranżerią i rozmawiające z łowczymi i ogrodnikami oraz z licznie już przybyłymi innymi, by tak rzec, dostojnymi uczestnikami pogrzebu, również ze szwagrem, ja jednak do nich nie zszedłem, miałem wrażenie, że mnie oczekują, ale nie zszedłem do nich, nie chciałem bowiem przerywać sobie obserwacji, którą z okna mogłem idealnie wzmóc, zupełnie bez przeszkód. Oni wszyscy robili już wystarczająco dużo ceregieli przed oranżerią i niewątpliwie jeszcze więcej w oranżerii; na dwa duże wozy załadowano olbrzymie stosy wieńców i bukietów, po czym ogrodnicy i dwaj stajenni, jakich mamy jeszcze w Wolfsegg!, odprowadzili te wozy aż do murowanej bramy, tak żeby później można było bez problemu przetransportować obok nich zwłoki, wszystko, co widziałem z okna, sprawiało wrażenie, że odbywa się dokładnie według planu pogrzebowego, o którym zawsze mówiła nasza matka, jakby nic nie działo się poza tym planem, a już na pewno nic, co byłoby z nim niezgodne lub jemu przeciwne. Był deszczowy dzień, ale nie padało, pomyślałem więc, że nie będzie padać. Wszyscy byli mniej lub bardziej, by tak rzec, stosownie ubrani na tę żalobną okoliczność, a nawet całkiem na czarno, wielu ludzi ze wsi stało już przed oranżerią.

*Zobaczyłem także pierwszych muzyków miejscowej orkiestry dętej, którzy zajmowali miejsca przed oranżerią. Instrumenty skrzyły się, mundury muzyków były czarno-zielone, w moich ulubionych kolorach. Caecilia trzymała w garści całe to, jak widziałem teraz z okna, widowisko, które rozwijało się wręcz imponująco. Co chwila szeptała coś do ucha Amalii lub swojemu mężowi, fabrykantowi kapsli do wina, oni zaś niewątpliwie w reakcji na to wykonywali polecenia w oranżerii, ale nie potrafiłem dociec, czego te polecenia dotyczą. Światła w oranżerii najwyraźniej wygaszono. Chodziło teraz o rozpoczęcie pogrzebu, o to, żeby wszystkim, by tak rzec, jeszcze raz podpowiedzieć konieczne hasła, jeszcze raz powtórzyć ich wystąpienia. Prowadząca ten spektakl już teraz przeżywała swoje wielkie chwile, chociaż jeszcze nie momenty szczytowe, ale te momenty szczytowe, pomyślałem, zbliżają się wielkimi krokami.*

*Jakby na próbę muzycy ustawili się przed oranżerią, po czym znowu się rozeszli, ogrodnicy i łowczy przytoczyli dwa wozy z wieńcami i bukietami, w chwilę potem je zatrzymali, również jak na próbę, wszystko pod kontrolą mojej siostry Caecilii, jak widziałem. Amalia stała zawsze za nią, również szwagier. Coraz więcej ludzi wychodziło z folwarku, z domku myśliwskiego, i przybywało tu na górę ze wsi. Ale jeszcze nie było widać nikogo spośród tak zwanych dostojników, oni wszakże mieli czas.*

*Wreszcie Caecilia wbiegła do głównego budynku, co było dla mnie sygnałem, że muszę opuścić pokój i zejść do niej na dół. Po drodze natknąłem się na ciotkę z Titisee, przywitałem się z nią, ale potem zszedłem jej z drogi, podczas całego pogrzebu schodziłem jej z drogi, jak tylko było to możliwe. W kuchni postawiono przede mną śniadanie, które w mniejszym lub większym pośpiechu spożyłem wraz z towarzyszącym mi przy tym szwagrem. Co za tępy, prawie że bezduszny człowiek, pomyślałem, obserwując, jak bierze chleb, smaruje go masłem, a na to nakłada marmoladę, tymi swoimi ociężałymi ruchami, ale ci ludzie nie są niczemu winni, myślałem przez cały czas obserwacji, oni nie są absolutnie niczemu winni, aż dotarło do mojej*

świadomości, że to pomyślałem, przestałem więc myśleć tę myśl i przerwałem całą obserwację, ponieważ w jednej chwili wydała mi się nieprzyzwoita, nie niesprawiedliwa, ale nieprzyzwoita, sam sobie wydałem się do głębi wstrętny z tą myślą. Nie powinniśmy takich ludzi bez przerwy obserwować, nieustannie patrzeć im na ręce, powiedziałem do siebie, to do niczego nie prowadzi, tylko do tego, że musimy wtedy do głębi pogardzać sami sobą. Caecilia powiedziała, iż powinienem zawiązać sobie czarny krawat, co potem zresztą zrobiłem, bez sprzeciwu, uważałem bowiem za oczywistość, że skoro nie zjawiam się na pogrzebie w czarnym garniturze, to niech mam przynajmniej czarny krawat. Włożyłem czarne buty i szary garnitur, ponieważ, prawdę mówiąc, nigdy nie posiadałem czarnego garnituru i nigdy też nie wpadłem na pomysł, by sprawić sobie czarny garnitur, nawet w ciągu tych dwu straszliwych dni. Byłaby zadowolona, gdybym zawiązał sobie chociaż czarny krawat, powiedziała Caecilia. Nie zrobiło to na mnie wrażenia gniewu, wręcz przeciwnie, jak pomyślałem, pełnej wyrozumiałości. Siostra objawiła mi się ni stąd, ni zowąd jako pełna wyrozumiałości, jest dla mnie taka pełna wyrozumiałości, bo znajduje się teraz w swoim żywiole. Najrozmaitsi ludzie, których obecności wcale nie podejrzewałem, znaleźli się naraz w kuchni, żeby coś zjeść, ale ja nie wdałem się z nikim w rozmowę. Chociaż byłem główną osobą w całym tym zdarzeniu, sam nie traktowałem siebie tak, jak oni mnie. Ci ludzie wbijali we mnie wzrok, ale ja się od nich odwracałem. Powinienem był podać rękę kilkorgu z nich, pomyślałem, ale nie podałem jej nikomu. Jak mógłbym podać rękę tym wszystkim ludziom, pomyślałem. Nie było moim zamiarem przedstawić siebie jako obłudnika. Wypiłem filiżankę herbaty, zjadłem kromkę chleba i poszedłem do westybulu, gdzie siostry stały z burmistrzem, który dopiero w tym momencie przybył z kondolencjami, jak zobaczyłem, burmistrz wygłosił do moich sióstr kilka tych niesmacznych zdań, których używa się powszechnie podczas składania kondolencji, a siostry zachowywały się tak, jak tego po nich oczekiwano, w odróżnieniu ode mnie, który, zgodnie ze swoją naturą, przez cały



czas w ogóle nie zachowywałem się tak, jak tego po mnie oczekiwano. Siostry przyjęły jeszcze cały szereg kondolencji w westybulu, od wszystkich możliwych i niemożliwych tak zwanych wyżej postawionych ludzi, piastujących różne urzędy, jak pomyślałem, ja zaś w tym czasie trzymałem się absolutnie na uboczu, w ponurym kącie przed drzwiami do kaplicy, gdzie można stać, nie będąc rozpoznanym. Przynajmniej tyle, pomyślałem, że nikt mnie nie rozpoznaje, gdy tak stoję, i rzeczywiście mnie nie rozpoznawano, w przeciwnym bowiem razie ludzie rzuciliby się na mnie, pomyślałem, a nie na moje siostry, na syna, jak się należało, a nie na córki. Dzięki temu jednak wszyscy rzucili się natychmiast na córki, a mnie zostawili w spokoju. Raz po raz dopytywano się o mnie, ale moje siostry nie odpowiadały na te pytania, bojąc się, że ja później, po pogrzebie, będę się im kazał wytłumaczyć z tych odpowiedzi, jak pomyślałem, chociaż, lub ponieważ, wiedziały, że stoję przed kaplicą. Straciłem ochotę do liczenia przybyłych ludzi, co zacząłem robić z początku, niebawem wydało mi się ich zbyt wielu. W końcu całe sfory wcisnęły się do środka, miałem więc z mojego kąta możliwość obserwowania wszystkich tych żałobników, bez najmniejszej żenady. Ale potem tłum się naraz rozstał, ponieważ przybył biskup Linzu. Do niego muszę podejść, pomyślałem, nie pozostaje mi nic innego, podszedłem więc i przywitałem się z biskupem Linzu. Za nim stał już biskup Salzburga. Musiałem teraz zostać z biskupami. Zaprowadziłem ich na pierwsze piętro. Sprytny Spadolini pojawi się dopiero w ostatnim momencie, pomyślałem, i tak też się stało. Rozmawiałem z biskupami przynajmniej pół godziny, gdy nagle wkroczył Spadolini w towarzystwie Caecilii. Biskupi przywitali się ze Spadolinim tak, jakby był od nich o wiele wyższy rangą, nie powstali, by go powitać, tylko się wręcz poderwali. Smutna okazja, powiedział biskup Linzu, na co Spadolini: straszne nieszczęście, po czym wszyscy usiedli. Rozmawiali między sobą, a ja nie musiałem uczestniczyć w ich rozmowie, rozmawiali o Rzymie, co na biskupach austriackich zrobiło duże wrażenie, wszystko, co mówił Spadolini, było dla nich nowe, a Spadolini wiedział, co mówić, żeby wprawić biskupów w

zadziwienie. Opat z Kremsmunster, który pojawił się tymczasem, przysiadł się do nich w milczeniu, bez szczególnych ceregieli. Był gruby i wyglądał jak dobrze odżywiony oberżysta z regionu Innviertel. Przez pół godziny Spadolini rozprawiał o Rzymie, powiedział, by tak rzec, wszystko i nic, a później Caecilia poprosiła biskupów na dół. Biskupi, którym niewątpliwie przewodził elegancki Spadolini, czekali w westybulu na znak, który Caecilia chciała dać, gdy nadejdzie pora, żeby wszyscy przeszli na drugą stronę do oranżerii, gdzie, by tak rzec, miał się zacząć właściwy pogrzeb. Poza biskupami nie było w westybulu nikogo więcej, tłum ludzi czekał przy oranżerii, ciągnąc się już teraz hen poza wielką murowaną bramę, prawdopodobnie, tak pomyślałem, aż na dół do wsi, toteż w gruncie rzeczy nie można już było mówić o kondukcje pogrzebowym, gdyż ludzie zajmowali pewnie cały odcinek drogi od oranżerii do cmentarza. Nabożeństwo pogrzebowe miało się odbyć, jak to było przewidziane, nie w kaplicy, lecz w miejscowym kościele. Biskupi, zwracając się wyłącznie do mnie, rozmawiali najpierw o Rzymie, później o Wolfsegg, Spadolini zaś dał im poznać, że jest jednym z moich najlepszych przyjaciół, moim najpierwszym rzymskim przyjacielem, jak się wyraził. Przez dziesiątki lat był wielkim przyjacielem domu, bywał tu często w gościnie i był zawsze zachwycony Wolfsegg, taka errliche okolica, taki errliche budynek, taki nadzwyczajny sposób Życia, powiedział. Biskupi nie mogli się na niego napatrzeć ani się go do syta nasłuchać, miał na sobie najelegantsze ubranie, jakie z pewnością kiedykolwiek widzieli. Moja rola była rolą człowieka wstrząśniętego i tę rolę uważałem za najkorzystniejszą. Nie musiałem prawie nic mówić, tylko pilnować się, żeby pochylać głowę możliwie zawsze w tych momentach, gdy mnie obserwowano, co nie znaczy, że wszystko to pozostawiło mnie absolutnie zimnym, ale, prawdę mówiąc, nie czułem nic więcej ponad to, co czułem w czasie innych pogrzebów, fakt, że to członkowie mojej rodziny mają teraz być poniesieni do grobu, nie wstrząsał mną, gdyż widowisko było zbyt wielkie, żeby taka rzecz mogła stanowić wstrząs, jeszcze wcale nie poczułem tego wstrząsu,

*on nastąpi, powiedziałem do siebie, dopiero wtedy, gdy już wszystko minie, przeżywałem szok, ale wstrząs dopiero nastąpi, tak pomyślałem, stojąc razem z biskupami w westybulu. Podziwiali moją postawę, ale ta postawa nie była postawą, o której myśleli, że dzięki niej panuję nad tym niesamowitym nieszczęściem, była to postawa, jaką przyjąłem z góry, należała do mojej roli. Ja sam czułem, że chociaż moja rola jest obrzydliwa, to przynajmniej do tej chwili gram ją jednak wyśmienicie, aktor, jeśli jest dobry, czuje, kiedy jest dobry, nie trzeba go wcale o tym zapewniać, pomyślałem.*

*Spadolini posunął się w swojej bezczelności do tego, że kilkakrotnie zwrócił biskupom uwagę na moją wspaniałą postawę, właśnie Spadolini, który z pewnością mnie przejrzał, ale ciągle mniej lub bardziej według mnie obrzydliwie mówił do biskupów, jak to ja wspaniale się zachowuję, zważywszy, że to moi rodzice i brat są niesieni do grobu. Zachowywałem się stosownie do swojej roli. Caecilia poprosiła biskupów do oranżerii po drugiej stronie. Tam zamknięto już trumny i załadowano je na wozy. Biskupi podążali za trumnami, z których każda, spoczywająca na wozie ciągnionym przez dwa konie, każda na swoim własnym wozie, bez jakichkolwiek ozdób kwiatnych, sprawiała dokładnie takie skromne wrażenie, jak to było przewidziane w planie pogrzebowym, wozy ruszyły powoli, biskupi podążyli za nimi, potem ja, obok mnie siostry, za nami zaś wszyscy krewni, Aleksander oczywiście w pierwszym rzędzie. Za krewnymi szli, dokładnie tak, jak się tego obawiałem, byli gauleiterzy i inni narodowosocjalistyczni dostojnicy, do których czułem największą odrazę i którzy budzili we mnie największy lęk, co muszę wyznać. Pojawili się ze wszystkimi swoimi narodowosocjalistycznymi orderami na piersiach. Za nimi ustawił się tak zwany Związek Koleżeński, stowarzyszenie kombatantów o na wskroś narodowosocjalistycznych zapatrywaniach. Dołączyły też różne inne grupy, utworzył się liczący wieleset osób kondukt, który ledwo mógł ruszyć z miejsca, bo w rzeczywistości był tak długi jak cała droga i tylko sztuce aranżacji mojej siostry Caecilii należało zawdzięczać, że taki kondukt w ogóle udało się*

*uformować; kazała temu tłumowi ludzi ustawić się za folwarkiem i przed dziecięcą willą. Wozy z trumnami poruszały się naturalnie niezwykle powoli w dół do wsi, nie w kondukcje pogrzebowym, lecz przejeżdżając obok niego, zdumionego, inaczej bowiem nie byłoby to możliwe; ludzie na prowadzącym ze wsi do nas na górę gościńcu, o ile tylko mogli, cofali się, by przepuścić wozy z trumnami i nas, plan Caecilii się powiódł, wszystko się udało, istotnie utworzył się kondukt i ruszył z miejsca, ona sama szła obok mnie niczym uosobienie niepokoju, drżąc na całym ciele, jak czułem, teraz bowiem, mając obowiązek podążać w kondukcje, musiała wypuścić całą ceremonię z rąk, jak to się mówi. Ale nie było powodu do obaw, plan został wykonany nawet mimo obecności tylu setek ludzi o ile na całkiem zwykły pogrzeb wiejski wybiera się co najmniej sto osób, to w naszym, jak pomyślałem, brało udział może kilka tysięcy, nie wiem. Arcybiskup Salzburga celebrował, zgodnie z planem, mszę pogrzebową. Kiedy słuchałem, jak odprawia mszę, a trumny były ustawione przed ołtarzem, pomyślałem, że już ponad dwadzieścia lat temu, by tak rzec, wystąpiłem z Kościoła. Mogłem więc teraz pozwolić sobie na całkowicie niezależne obserwowanie przebiegu kościelnego pogrzebu. Moja rodzina nigdy nie wybaczyła mi tego, że wystąpiłem z Kościoła, to był prawdopodobnie powód ich potępiającego mnie osądu, pomyślałem. Ale wystąpiłem z Kościoła dokładnie w chwili, gdy duchowo przestałem mieć z Kościołem cokolwiek wspólnego, jak to sobie teraz powtarzałem, nie chciałem mieć z nim więcej do czynienia.*

*Oczywiście biskupi wiedzieli, że wystąpiłem z Kościoła już ponad dwadzieścia lat temu. Fakt, że tak wcześnie wystąpiłem z Kościoła katolickiego i już nie jestem z nim związany, wywoływał we mnie przez całą mszę przyjemne poruszenie, oglądasz to wspaniałe widowisko, ale nic cię ono nie obchodzi, myślałem przez cały czas, czujesz woń kadzidel, ale cię ona nie odurza. Słuchasz słów, ale nie wywołują w tobie niszczących skutków. Przez całe dziesiątki lat, przez całe dzieciństwo i wczesną młodość, pomyślałem, bałeś się duchowieństwa katolickiego, teraz się go nie boisz. Teraz nie musisz się go bać.*

*To widowisko jest wspaniałe, pomyślałem, i denerwuje cię w całej tej swojej wspaniałości, ale w ogóle cię nie dotyka. A z rodzicami i z bratem już się przecież pożegnałeś, w mniejszym lub większym stopniu krótko i węzłowato, kiedy otrzymałeś telegram, pomyślałem. Pogrzeb jest wyłącznie dramatem, który ci wmusili i którego tytuł oddanie ostatniej posługi w gruncie rzeczy budzi w tobie wyłącznie odrazę, jest bowiem zakłamany, pomyślałem. A już najbardziej zakłamany jest ten rodzaj dramatu. Taki pogrzeb to najwspanialszy dramat, jaki można sobie wyobrazić, pomyślałem. Żaden dramatopisarz, nawet Szekspir, pomyślałem, nie napisał nigdy tak wspaniałego dramatu, wobec tego tutaj cała światowa literatura dramatyczna jest śmieszna, pomyślałem, widząc i słysząc, jak arcybiskup Salzburga odprawia mszę pogrzebową, a na dodatek ten tłum ludzi przed nim. Jak to dobrze, że w samą porę wycofałem się z Kościoła katolickiego, pomyślałem. Siedziałem w pierwszej ławce, po lewej ręce obok mnie Caecilia, po prawej ręce obok mnie Amalia, dokładnie według planu pogrzebowego, przy Amalii zajął miejsce Aleksander. Spadolini siedział tam, gdzie zazwyczaj siedzą księża, wraz z opatem z Kremsmunster i biskupami z Linzu i Sankt Polten, by tak rzec, na poczesnym miejscu, tuż obok ołtarza, oddzielony od prostego ludu. To on w całym tym spektaklu gra główną rolę, pomyślałem, a nie celebrujący mszę arcybiskup Salzburga, który pod koniec mszy wygłosił krótką mowę ku czci zmarłych, a raczej przemowę, podczas której mówił jednak o naszym ojcu jako o zgasłym w tak tragiczny sposób przyjacielu, o serdecznej matce, o równie serdecznym synu. Arcybiskupi mają całkiem swoisty sposób mówienia, pomyślałem, mówiąc, wyśpiewują właściwie wszystkim psalmy; kiedy uczęszczali do seminarium duchownego, chodzili właściwie do katolickiej szkoły aktorskiej, pomyślałem, również biskupi o prostych umysłach, jak ci z Salzburga i Linzu, mówią, jakby wyśpiewywali psalmy, jakby byli wyszkolonymi aktorami, ulubionymi i poważanymi aktorami, ale prowincjonalnymi, nie tak jak Spadolini, który w każdym słowie, jakie mówi, w każdym geście, jakim nas raczy, jest, by tak rzec, górującym nad tymi*

wszystkimi prowincjonalnymi aktorami aktorskim geniuszem, odgrywającym, by tak rzec, absolutnie światowy teatr katolicki. Spadolini zagłębił się w swoją niemą rolę, pomyślałem, spuścił głowę, siedział w wyłącznie dla niego zarezerwowanej ławce i był świadom swego aktorskiego geniuszu, swojego arcybiskupiego geniuszu, pomyślałem. To, że przyjechał z Rzymu, opromieniło go w naszym miejscowym kościele dodatkową, naprawdę niestychaną aurą. Ludzie w kościele podziwiali tego przybyłego z Rzymu arcybiskupa, a nie celebrującego mszę arcybiskupa Salzburga, który obok Spadoliniego musiał wydawać się o wiele zwykleszy, tak naprawdę jeszcze prymitywniejszy, niż był w rzeczywistości. Po mszy, odśpiewanej przez miejscowych śpiewaków, miejscowa kapela zagrała dokładnie ten kawałek Haydna, który próbowała poprzedniego dnia po południu, bardzo spokojnie, bezbłędnie, jak pomyślałem. Spadolini chciał sprawiać wrażenie, że na czas tej mszy pogrzebowej całkiem zatopił się w sobie, nie pozwolił sobie ani razu na podniesienie wzroku. Ze złożonymi rękoma był, by tak rzec, absolutnie pogrążony w smutku, a gdy zaczął opowiadać o naszej matce, wydawało się, jakby jego smutek nie był nawet udawany, lecz prawdziwy, ale wydawało mi się tak tylko przez moment, gdyż zaraz potem znowu pomyślałem, że nienagannie opanował swoją rolę. Prawdę mówiąc, kochałem tego arcybiskupa, widząc go tak upozowanego, kochałem w nim bowiem wielkiego aktora Spadoliniego, nie znam żadnego większego, żadnego, który miałby większe oddziaływanie na publiczność, jak to się mówi. Naraz przyszły mi do głowy owe liczne podróże, jakie odbywał z moją matką, również te ze mną, a więc odbywane we troje. Spadolini, dzięki któremu wszystkie te podróże były jedną wielką przyjemnością, który wszystkie te podróże na swój sposób zaczarowywał, jak to się mówi, widziałem czarującego Spadoliniego, światowca, któremu matka była całkowicie uległa, pomyślałem sobie.

Obserwując jego, a nie arcybiskupa Salzburga, miałem go przed oczyma, jak chodzi po Rzymie, odwiedza najwytworniejsze sklepy, najdroższe lokale, jak

wchodzi do tych sklepów, jak odwiedza te lokale, widziałem go na wzgórzu Pincio, w ogrodach Borghese, widziałem, jak błyszczy w ambasadach, jak bryluje na wernisażach, jak to się mówi, wszyscy cisną się do tego eleganckiego katolickiego światowca, który może nazywać siebie arcybiskupem i nuncjuszem i cieszyć się przyjaźnią wieluset przyjaciół, pomyślałem. Spadolini, pomyślałem, któremu moja matka opłacała te wszystkie podróże, która sfinansowała mu dwie podróże do Ameryki, wymarzony przez niego pobyt w Kairze, podróż do Persepolis i podróż do Tunezji, ponieważ jak nic innego na świecie pragnął zobaczyć Kartaginę, Spadolini, któremu moja matka kupiła większość jego garderoby i urządziła mu całą bibliotekę.

Spadolini, który z niezrównaną elegancją potrafi wziąć cło ręki książkę i wypić kieliszek wina, Spadolini, którego damy z tak zwanego dobrego towarzystwa oblegają dokładnie tak samo jak komunistyczni działacze miasta Rzymu i który jest też co parę tygodni serdecznie przyjmowany przez komunistycznego burmistrza tego miasta. Spadolini, który koresponduje z całym światem i z ludźmi wszelkich stanów, Spadolini, który zna Watykan na pamięć i od podszewki, podobnie jak miasto Rzym, które go uwielbia i które uczyniło zeń uwielbianego i naprawdę przez wszystkich kochanego Spadolinię. Obserwowałem go z boku, jak obserwuje się wielkiego aktora, studiując każdy jego ruch, Spadolini dokonuje niewątpliwie wielkiej sztuki, pomyślałem, nie okazuje żadnej słabości, nie pozwala sobie na najmniejsze niedbalstwo. Podobnie jak w teatrze najtrudniejsze ze wszystkich są role nieme, bez tekstu, nie zaś te, gdzie trzeba dużo mówić i paplać, tak i w tym spektaklu Spadolini niewątpliwie wziął na siebie najtrudniejszą ze wszystkich ról, pomyślałem, a kostium, który sam sobie wyszukał, jest dla tego spektaklu najidealniejszy i najdoskonalszy. Nie można oglądać Spadolinię i nie zacząć go natychmiast uwielbiać, chociaż niekoniecznie kochać, pomyślałem. Każdy, kto ogląda Spadolinię, w mgnieniu oka musi ulec fascynacji jego osobą, pomyślałem. Gambetti powiedział kiedyś do mnie, że w jego oczach Spadolini jest najbardziej

nadzwyczajnym aktorem spośród wszystkich aktorów, włączając w to wszystkich aktorów świata, jakich zna, najbardziej uwodzicielskim, i szkoda, że występuje wyłącznie w Kościele katolickim, a nie w jednym z naszych pierwszorzędnych teatrów. Żaden reżyser nie mógłby Spadoliniego niczego nauczyć, powiedział Gambetti, on już wszystko wie, on już wszystko umie, on już jest wszystkim. Przypomniałem sobie tę wypowiedź Gambettiego, kiedy tak obserwowałem Spadoliniego z boku, bez skrępowania, co muszę powiedzieć, całkowicie niezainteresowany swoim bezpośrednim otoczeniem. Automatycznie, jak inni, zgodnie z liturgią mszy, wstawałem, po czym siadałem, gdy wszyscy siadali, w rzeczywistości jednak podziwiałem wyłącznie sztukę Spadoliniego. Jakbym znowu uległ tej sztuce Spadoliniowskiej, co już nieraz się zdarzyło. To tak, jakby największy aktor epoki przyjechał do małej, nieznannej i w mniejszym lub większym stopniu również zupełnie nieważnej miejscowości, żeby odegrać tu arcykatolickiego Hamleta, pomyślałem, obserwując Spadoliniego. Po zakończeniu mszy wyniesiono trumny z kościoła, najpierw trumnę matki, potem trumnę ojca, a później trumnę z Johannesem. Prawdę mówiąc, naraz zadrżały mi kolana, gdy ogrodnicy wynosili z kościoła trumnę z Johannesem i przechodzili obok mnie. Bardzo zgrabnie wzięli ją na ramiona, jakby codziennie brali trumny na ramiona, pomyślałem. Łowczy wynieśli z kościoła trumnę z ojcem i trumnę z matką, Johannesem na moje wyraźne życzenie wynieśli ogrodnicy. Caecilia nie płakała, nie miałem okazji popatrzeć na Amalię, fabrykant kapsli do wina jako nasz szwagier robił, by tak rzec, dobrą i nieporadną minę do złej gry. Był naprawdę postacią nie na miejscu w całej tej historii, teraz jeszcze bardziej rozpoznawalny jako postać całkiem nie na miejscu, bardziej niż kiedykolwiek indziej. Z jednej strony wszyscy kierowali spojrzenia na mnie, z drugiej zaś na Spadoliniego. Caecilia zmusiła swojego męża, a naszego szwagra, żeby wspierał naturalnie ją, nie zaś mnie, fabrykant kapsli do wina wyprowadził więc Caecilie, przechodząc obok mnie, z kościoła, przy moim boku szła Amalia, która podczas tych dni żałoby nabrała nawyku



chodzenia z opuszczoną głową, pomyślałem, obserwując ją. Szydercze spojrzenia sióstr zmieniły się najpierw w zgorzkniałe, a teraz pełne smutku, pomyślałem. Caecilia była naturalnie tą bardziej opanowaną z nich dwóch, Amalia nadal sprawia wrażenie o wiele młodszej, niż naprawdę jest, pomyślałem, ale nigdy nie wygląda pociągająco. To dlatego do tej pory została sama, pomyślałem, gdyż do tej pory nie przyciągnęła do siebie żadnego mężczyzny, nawet mężczyzny pokroju fabrykanta kapsli do wina. Przez chwilę było mi jej żal, ale zaraz potem nie mogłem jednak nie pomyśleć o jej w gruncie rzeczy głupkowskim sposobie zachowania, jaki wszędzie demonstruje, wszystko jedno, gdzie, jak pomyślałem. Amalia nigdy nie będzie szczęśliwym ani nawet zadowolonym człowiekiem, pomyślałem, ale Caecilia także nie, trzyma przecież teraz to swoje nieszczęście pod ręką, pomyślałem i spojrzałem z ukosa na fabrykanta kapsli do wina, na twarz tego podprzeciętnego, pomyślałem sobie przy tym, któremu udało się zakraść do Wolfsegg. Nie mogłem stłumić w sobie tej myśli. Miejscowa kapela muzyczna zagrała znowu Haydna, lepiej niż poprzednio, jak pomyślałem, kondukt pogrzebowy posuwał się teraz jeszcze wolniej w kierunku cmentarza, podobnie jak przedtem w kierunku kościoła. Zawsze nienawidziłem pochodów, przemarsze są dla mnie czymś najwstrętniejszym na świecie, do tego jeszcze przemarsze z akompaniamentem muzyki, wszystkie nieszczęścia świata zaczynały się zawsze od takich pochodów i przemarszów, pomyślałem. Myśl, że niedaleko za mną idą byli gauleiterzy okręgów Górnego i Dolnego Dunaju, którzy zbrukali mi dziecięcą wilę i w końcu ją bezpowrotnie zrujnowali, budziła we mnie wstręt, za byłymi gauleiterami szli ludzie ze Związku Koleżeńskiego, niektórzy o laskach, starzy bojownicy i nosiciele Orderów Krwi za swoje godne pogardy narodowosocjalistyczne ideały. A za nimi, tak szepnęła mi Caecilia na chwilę przed tym, gdy kondukt ruszył, szedł mój przyjaciel ze studiów Eisenberg, mój brat duchowy, rabin z Wiednia, z którym odbędę rozmowę zaraz po zakończeniu tej ceremonii, jak pomyślałem. Taki kondukt pogrzebowy to groteska,

*pomyślałem. Taki ciągnący się hen daleko kondukt pogrzebowy to nie tylko uzurpacja, lecz także potworny brak poczucia smaku, pomyślałem, wiedząc dokładnie, że nikt z tego konduktu pogrzebowego, tak jak przypuszczałem, nie odważy się pomyśleć, nikt nie wpadnie na pomysł, żeby tak pomyśleć, wręcz przeciwnie, gdyby, by tak rzec, widzieli i słyszeli moje myśli, wszyscy by pomyśleli, że to ja jestem z nich wszystkich najbardziej pozbawiony poczucia smaku. Być może i jestem najbardziej pozbawiony poczucia smaku, pomyślałem.*

*Ale nie odczuwałem ani odrobiny wstydu, aż do momentu, gdyśmy stanęli przed otwartym grobowcem.*

*Powiedziałem kiedyś do Gambettiego, że gdy stoimy nad otwartym grobem, jest w nas tylko zdrada.*

*Perwersyjność tej ceremonii dotarła do mojej świadomości, gdy arcybiskup Salzburga podszedł do otwartego grobowca, żeby wygłosić mowę, w której od razu na samym początku zaczął opowiadać o wielkim, dzielnym wojowniku na polu chwały, mając oczywiście na myśli mojego ojca. Mówił wyłącznie o ojcu, o matce nie wspomniał słowem, nie wspomniał również o Johannesie, ale nie rozmyślnie, lecz przez roztargnienie, przez zarozumiałość, męskie samolubstwo i męskie przecenianie siebie, jak pomyślałem. Nad otwartym grobowcem wygłosiło mowy dwunastu mężczyzn, którzy zgrywali się na najlepszych przyjaciół mojego ojca, chociaż naturalnie nigdy nimi nie byli, utrzymywali to arcybiskup Salzburga i biskupi z Sankt Polten oraz Linzu, utrzymywali to obaj byli gauleiterzy, utrzymywali to dwaj obersturmbannführerzy SS. a także tak zwany przewodniczący Związku Koleżeńskiego oraz prezes zarządu Związku Łowieckiego. Dobrą godzinę nasz ojciec był nazywany najlepszym przyjacielem właśnie przez tych ludzi, którzy nigdy nie powinni byli pozwolić sobie na taką uzurpację, którym jednak, jak to zwykle na pogrzebach, nikt nie zaprzeczył. Trumny już dawno spoczęły w grobowcu. Na ostatek Spadolini wystąpił naprzód, pomyślałem więc, że coś powie, ale to byłoby wbrew niemu samemu, właściwemu Spadoliniemu, toteż*

wycofał się natychmiast, jakby chciał, żeby wszyscy uwierzyli w to, iż jest nic nieznaczący, co jednak, ponieważ stanowił absolutny punkt centralny tej ceremonii, było zakłamanie; nie zadawszy sobie trudu wygłoszenia bodaj jednego jedyne go banału, wmieszał się w tłum cisnący się przy grobowcu. Nieomal byłbym nie docenił Spadoliniego, pomyślałem. Przemówienie tak zwanego prezesa Związku Koleżeń skiego było podle, a nawet nikczemne, prezes powiedział bowiem o moim ojcu, że właściwie żył on wyłącznie celami Związku Koleżeń skiego. Najpierw przemówienie tego prezesa wydało mi się podle i nikczemne, ale już po kilku minutach nie wydawało mi się takie, musiałem sobie bowiem powiedzieć, że prezes do pewnego stopnia powiedział prawdę. Również przewodniczący Związku Łowieckiego powiedział prawdę, musiałem sobie powiedzieć, także obaj byli gauleiterzy powiedzieli prawdę, ojciec, towarzysz partyjny, był jednym z nich, dla wszystkich tu przemawiających był jednym z nich. Raz po raz powtarzałem sobie, że to przecież strasznie przykre, iż z niedbalstwa nie zająknęli się bodaj słowem na temat matki. Do Caecilii powiedziałem jeszcze nad otwartym grobowcem, iż nikt nie uznał za warte zachodu, by choćby słowem wspomnieć o matce. Przemawiał świat mężczyzn, pomyślałem, ów świat mężczyzn nie przyjął matki do wiadomości. A Johannes był w całej tej historii absolutnie nieważną postacią, wskutek swojej przedwczesnej śmierci sam siebie uczynił całkowicie nieistotną i nieinteresującą osobą. O nim, poza tym, że niesiono jego trumnę i spuszczone ją do grobowca, w ogóle nikt nie mówił. To ojciec był wielką osobowością, którą należało wykorzystać nad grobem i która należycie została przez wszystkich wykorzystana. Ojciec jeszcze raz przydał się do ich celów, nikt poza tym, pomyślałem. Arcybiskup Salzburga i biskupi spojrzeli jeszcze raz w otwarty grobowiec i odeszli. Po czym wszyscy przedefilowali obok nas, obok mnie i siostr, jak to jest w zwyczaju. Stu dwudziestu dwu drwali, a teraz jest ich dwudziestu, pomyślałem, dwa tuziny ogrodników, a teraz jest siedmiu, pomyślałem nad otwartym grobowcem. Gigantyczne szkody w lasach na

*północy aż do Gallspach w dole, pomyślałem, trzydzieści dwa hektary pierwszej klasy stracone wyłącznie wskutek tak zwanego scalenia gruntów, co całymi tygodniami złościło ojca. Z drugiej strony pomyślałem o gigantycznym sprzeniewierzeniu podatkowym, jakiego dopuścił się doradca podatkowy z Wels. To, w jaki sposób ten człowiek wypowiada słowo Wolfsegg, zawsze budzi we mnie wstręt, także to, jak wypowiadają je inni ludzie z Wels, Linzu, Vocklabruck oraz z Ebensee. Słowo Wolfsegg zawsze znienawidzone, pomyślałem nad otwartym grobowcem, wszystko, co związane ze słowem Wolfsegg, zawsze znienawidzone, zohydzone i znienawidzone. A wskutek tego już od dzieciństwa zawsze znienawidzone wszystko, co wiąże się z Wolfsegg, taka jest prawda, pomyślałem. Jedni schodzą zakłamani z Wolfsegg na dół do wsi, inni zaś, tak samo zakłamani, przychodzą z dołu ze Wsi na górę do Wolfsegg. Mnie już wcześniej ciągnęło z powrotem do siebie, odpychało od nich, pomyślałem teraz, nad otwartym grobowcem. Gigantyczna wolfseggska afera korupcyjna to wszystko, pomyślałem, wielowiekowa wspólnota zbrodni. Początkowo bałem się Kościoła, później go znienawidziłem, pomyślałem, najpierw bałem się wszystkiego, co wywodzi się z Kościoła, a potem tego nienawidziłem, coraz głębszą nienawiścią, pomyślałem. W ostateczności Kościół nadal panuje nad wszystkim w tym kraju i w tym państwie, pomyślałem nad otwartym grobowcem, katolicyzm nadal trzyma w tym kraju i w tym państwie Wszystko w swoich rękach, choćby nie wiem kto rządził. Katolicy, szarlatańscy, pomyślałem, zakłamani duszpasterze. Nie chcemy mieć z tym wszystkim nic wspólnego, mówimy i mdli nas od tego.*

*Duchowieństwo katolickie nadal niczego nie wypuszcza z rąk w tym kraju i w tym państwie, pomyślałem. Odejść stąd, odejść od tego wszystkiego, pomyślałem, to była moja jedyna myśl. Niech ta ceremonia przewali się przede mną, a potem na zawsze stąd odejść, pomyślałem. Widziałem, jak wszyscy mnie nienawidzą, nawet nie w głębi duszy. Filozoficzne zainteresowania z jednej strony, filozoficzny brak zainteresowań z drugiej. Budzący obrzydzenie fanatyzm*

dla sztuki, pomyślałem. Ludzie w Rzymie też nie są inni, są jeszcze bardziej zakłamani, ale jak wysoki stopień inteligencji sobą prezentują, pomyślałem. Kilkuset ludzi po prostu nie wystarczy, musi ich być kilka milionów, pomyślałem, miliony zakłamanych, a nie tylko setki, miliony obrzydliwych, a nie tylko setki. By tak rzec, wziąć kąpiel duchową w takim mieście jak Rzym i zatonać w tej kąpeli duchowej, pomyślałem. Kroki znienawidzonych, głosy znienawidzonych, pomyślałem nad otwartym grobowcem, absolutna obrzydliwość znienawidzonych. Pogrzeb jest aktem końcowym, pomyślałem. Zbrukali nie tylko dziecięcą willę, wszystko mi zbrukali, pomyślałem. Najpierw bałem się życia, potem go nienawidziłem, pomyślałem nad otwartym grobowcem. Wmawiając sobie, że Rzym jest rozwiązaniem, oczywiście również się mylimy. Czepiamy się takiego człowieka jak Gambetti, którego być może już zniszczyłem, albo takiego człowieka jak Maria, i jesteśmy straceni, również obcując z takimi charakterami, pomyślałem nad otwartym grobowcem. Ach, wie pan, Gambetti, powiedziałem kiedyś do niego przed hotelem Hassler, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem, jeśli mamy być szczerzy, powszechny proces ogłupiania jest już tak dalece zaawansowany, że nie ma odwrotu. Wraz z wynalezieniem fotografii, a więc wraz z rozpoczęciem się tego procesu ogłupiania przed ponad stu laty, poziom umysłowy ludności świata nieustannie się obniża. To fotografie, powiedziałem do Gambettiego, uruchomiły ów proces ogłupiania, który osiągnął tę w gruncie rzeczy zabójczą dla ludzkości prędkość w chwili, kiedy obrazy fotograficzne stały się ruchome. Ludzkość, zarówno dzisiaj, jak i od kilkudziesięciu już lat, wpatruje się wyłącznie w te zabójcze obrazy fotograficzne i jest przez nie jak sparaliżowana. Na przełomie tysiącleci ludzkość nie będzie już wcale potrafiła myśleć, Gambetti, a zapoczątkowany przez fotografię proces ogłupiania, czego skutkiem jest to, że ruchome obrazy stały się ogólnoswiatowym przyzwyczajeniem, osiągnie punkt szczytowy. Życie w takim świecie, opanowanym wyłącznie przez tępotę, przestanie być w ogóle możliwe, Gambetti, powiedziałem wtedy do

*niego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem, i dobrze będzie, jeśli popełnimy samobójstwo, zanim ten proces ogłupiania bez reszty ogarnie cały świat. Toteż będzie zupełnie logiczne, jeśli ci, którzy żyją z myślenia i dzięki myśleniu, popełnią samobójstwo jeszcze przed przełomem tysiącleci. Myślącemu człowiekowi mogę udzielić tylko takiej rady, żeby popełnił samobójstwo jeszcze przed przełomem tysiącleci, Gambetti, takie jest naprawdę moje przekonanie, powiedziałem do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem. Ciągle wyglądało na to, że za chwilę się rozpada, ale nie padało. postanowiłem, że nikomu z defilujących obok mnie nie podam ręki. Itak też zrobiłem. Niektórzy próbowali podać mi rękę, ale ja jej nie przyjąłem. Całkiem świadomie wziąłem na siebie to odium. Już sama myśl o tej okaleczonej, upadłej, a koniec końców również skończonej Austrii, pomyślałem, powiedziałem do Gambettiego zaledwie na kilka dni przed tym wręcz nieznośnie pozbawionym najmniejszego poczucia smaku pogrzebem, przyprawia o mdłości, nie mówiąc już o tym na wskroś upadłym państwie, Gambetti, którego podłość i nikczemność są bezprzykładne nie tylko w Europie, lecz również na całym świecie; od dziesiątków lat podle, upadłe i tępe rządy, a i przez te podle, upadłe i tępe rządy śmiertelnie i nie do poznania okaleczony naród, powiedziałem do Gambettiego, pomyślałem teraz. Najpierw ten podły i nikczemny narodowy socjalizm, a potem ten podły, nikczemny i zbrodniczy pseudosocjalizm, powiedziałem wtedy na Pincio do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem. To narodowosocjalistyczne i pseudosocjalistyczne zniszczenie i unicestwienie naszej austriackiej ojczyzny we współpracy z austriackim katolicyzmem, który sprowadzał na Austrię same nieszczęścia. Dzisiaj Austria jest krajem, rządzonym przez pozbawionych skrupułów geszefciarzy z pozbawionych sumienia partii, powiedziałem do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem. Ten oszukany pod wszystkimi względami naród austriacki, powiedziałem do Gambettiego, któremu katolicyzm, narodowy socjalizm i pseudosocjalizm w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat odjęły rozum w*

najbardziej bezecny sposób, powiedziałem do Gambettiego, pomyślałem teraz. Bezećność to hasło, nikczemność to napęd, a zakłamanie to klucz do dzisiejszej Austrii, Gambetti. Budząc się każdego poranka, powinniśmy się śmiertelnie wstydzic za tę dzisiejszą Austrię, Gambetti, powiedziałem do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem. Ciągłe i ciągłe powtarzam sobie, kochamy ten kraj, ale my przecież nienawidzimy tego kraju, Gambetti. W Rzymie i gdziekolwiek na świecie, Gambetti, pomyślałem teraz, powiedziałem wtedy do Gambettiego, ta Austria już nas w ogóle nie obchodzi. Wszędzie, dokąd się udamy w tej dzisiejszej Austrii, znajdziemy wokół siebie jedynie kłamstwo, wszędzie, gdzie skierujemy wzrok w tej dzisiejszej Austrii, zobaczymy jedynie zakłamanie, niezależnie od tego, z kim pan w tej dzisiejszej Austrii rozmawia, rozmawia pan z kłamcą, Gambetti, powiedziałem wtedy do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem. W gruncie rzeczy ten śmieszny kraj i to śmieszne państwo nie są warte tego, by o nich mówić, powiedziałem wtedy do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem, każda myśl o nim to wyłącznie strata czasu. Biada jednak temu, kto w tym kraju nie jest ślepy, powiedziałem do Gambettiego, kto nie jest głuchy i nie postradał rozumu! Być dziś Austriakiem to kara śmierci i wszyscy Austriacy są skazani na tę karę śmierci, powiedziałem wtedy do Gambettiego, pomyślałem teraz nad otwartym grobowcem. Wszystko, co austriackie, jest pozbawione charakteru, powiedziałem wtedy do Gambettiego, pomyślałem teraz. Powrót do Austrii powoduje za każdym razem totalny efekt zbrukania, pomyślałem nad otwartym grobowcem. Nosiciele Orderu Krwi, obersturmbannführerzy SS, wsparci na laskach i kijach narodowosocjalistyczni bohaterowie, nie zaszczylicili mnie ze swojej strony, jak to się mówi, nawet spojrzeniem. Żalobnicy, z wyjątkiem arcybiskupów, biskupów i absolutnie najbliższych krewnych, zostali zaproszeni do gospód Brandl i Gesswagner Tam przygrywała im orkiestra, odkomenderowana przez moją siostrę Caecilię osobno do Brandla i osobno do Gesswagnera. Arcybiskupów, biskupów oraz krewnych poproszono do stołu, jak

to się mówi, tu na górze w naszym domu. Większość z nich została aż do późnego popołudnia. Spadolini odjechał jeszcze wieczorem do Rzymu, najpierw pomyślałem, że pojedę od razu z nim, ale ta myśl była jednak, co natychmiast zrozumiałem, najbardziej bezsensowna. Zobaczymy się za kilka dni w Rzymie, powiedziałem do niego. Zniknął całkiem niepostrzeżenie. Wycofałem się z Aleksandrem i zamknąłem się z nim na czas tego naszego wspólnego bycia w swoim pokoju, nie chciałem, aby ktokolwiek mi przeszkadzał. Aleksander był znowu opętany własnymi ideami życiowymi, chciał zwrócić się z petycją do prezydenta Chile o uwolnienie wszystkich chilijskich więźniów politycznych, w tej najstraszliwszej ze wszystkich dyktatur. Nie przeszkadzało mu to, co powiedziałem, iż jego prośba nie odniesie żadnego skutku. Godzinę po Spadolini Aleksander wyjechał do Brukseli. Ja pozostałem do godzin nocnych zamknięty w swoim pokoju i opuściłem go dopiero wtedy, gdy wydawało mi się, że nie spotkam już nikogo z żalobników. W tym czasie rozmyślałem o tym, jak postąpię z Wolfsegg, które, co tymczasem bezsprzecznie stwierdzono, należy teraz wyłącznie do mnie, ze wszystkimi prawami i obowiązkami, jak to się mówi w języku prawniczym. Miałem już w głowie plan dotyczący przyszłości Wolfsegg i wszystkiego, co do niego należy również w Dolnej Austrii, w Burgenlandzie i w Wiedniu, gdy do godziny drugiej nad ranem rozmawiałem z siostrami o przyszłości Wolfsegg, nie dopuszczając szwagra do udziału w tej rozmowie, o co wyraźnie poprosiłem. Pod koniec rozmowy, chociaż już w tym momencie wiedziałem, co stanie się z Wolfsegg, nie umiałem powiedzieć tego siostronom, im, które podczas całej tej rozmowy nie miały mi nic do powiedzenia, ale ciągle obrzucały mnie tymi swoimi szyderczymi, zgorzkniałymi spojrzeniami, powiedziałem, że nie wiem, co się stanie z Wolfsegg, że nie mam najmniejszego wyobrażenia na ten temat, choć równocześnie byłem już całkowicie zdecydowany, iż zgłoszę się w Wiedniu do Eisenberga na rozmowę, podczas której ofiaruję mu całe Wolfsegg, w całej jego okazałości, i wszystko, co do niego przynależy, jako absolutnie bezwarunkową darowiznę dla Izraelickiej



*Gminy Wyznaniowej w Wiedniu. Tę rozmowę przeprowadziłem już w dwa dni po pogrzebie z Eisenbergiem, moim bratem duchowym, a Eisenberg w imieniu Izraelickiej Gminy Wyznaniowej przyjął mój dar. Z Rzymu, gdzie teraz znowu jestem, gdzie napisałem to Wymazywanie i gdzie pozostanę, pisze Murau (urodzony w roku 1934 w Wolfsegg, zmarły w roku 1983 w Rzymie), podziękowałem mu, że zechciał ten dar przyjąć.*

**KONIEC**

